

James Clavell
OPERACJA WHIRLWIND

KSIĘGI 3-4

Przekład Michał Jankowski

KSIĘGA TRZECIA

Czwartek

22 lutego 1979

NA PÓLNOCNY ZACHÓD OD TEBRIZU, 11:20.

Z miejsca, gdzie siedział, ze schodków kabiny zaparkowanego wysoko w górach 212, Erikki mógł ogarnąć wzrokiem spory kawał Sowieckiej Rosji. Daleko w dole wody rzeki Aras płynęły na wschód do Morza Kaspijskiego, wijąc się wąwozami i biegnąc wzdłuż sporego odcinka granicy irańsko-sowieckiej. Na lewo Yokkonen mógł zajrzeć do Turcji i obejrzeć piętrzącą się na cztery tysiące pięćset metrów górę Ararat. 212 stał nie opodal wejścia do grotty, w której znajdowała się amerykańska stacja nasłuchowa.

Znajdowała się kiedyś, pomyślał z ponurym rozbawieniem. Gdy wylądował tu poprzedniego dnia po południu - wskaźnik pokazywał dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt metrów - pstrokata banda bojowców lewicowych fedainów, którą ze sobą przywiózł, wpadła do
9

grotty, ale Amerykanów już nie zastała. Cimtarga stwierdził, że zniszczono wszystkie ważniejsze elementy wyposażenia i zabrano książki szyfrów. Wiele świadczyło o pospiesznym opuszczaniu jaskini, lecz zadbano o to, żeby nie pozostawić niczego, co miało jakąś wartość.

- Tak czy inaczej, oczyścimy ją - oświadczył Cimtarga swym ludziom - oczyścimy tak jak inne. - Zwrócił się do Erikkiego: - Czy możesz tam wylądować? - Wskazał ręką miejsce wysoko w górze, gdzie widać było kompleks masztów radarowych. - Chciałbym je rozmontować.

- Nie wiem - odparł Erikki. Granat, który dostał od Rossa, nadal tkwił, przyklejony taśmą, pod jego lewym ramieniem - Cimtarga i jego łapacze nie przeszukali Fina - nóż pukoh także spoczywał na miejscu, w po-, chwie z tyłu. - Polecę i sprawdzę.

- Sprawdzimy, kapitanie. Sprawdzimy razem - rzucił Cimtarga ze śmiechem. - Nie będzie cię kusiło, żeby nas opuścić.

Erikki zabrał go ze sobą i polecieeli. Maszty wpuszczono w grubą warstwę betonu na północnym stoku góry, na skrawku płaskiego terenu, który mieli teraz przed sobą.

- Jeśli pogoda się utrzyma, nie będzie problemu. Co innego, jeśli zerwie się silny wiatr. Mogę zawisnąć i opuścić was na linie. - Błysnął zębami w wilczym uśmiechu.

Cimtarga roześmiał się.

- Dzięki, ale nie. Nie chcę przedwcześnie umierać.

- Jak na Sowiet, zwłaszcza z KGB, nie jesteś najgorszy.

- Ty też nie. Jak na Fina.

Od niedzieli, gdy Erikki zaczął latać z Cimtarga, zdążył już go polubić. Nie, żeby naprawdę go lubić, czy mu ufać, pomyślał. Ale Sowiet był grzeczny i postępował fair, odmierzał dla lotnika uczciwe porcje wszystkich posiłków. Zeszłej nocy wypił z Yokkonenem butelkę

James Clavell OPERACJA WHIRLWIND
KSIĘGI 3-4

Przekład Michał Jankowski

KSIĘGA TRZECIA

Czwartek

22 lutego 1979

NA PÓŁNOCNY ZACHÓD OD TEBRIZU, 11:20.

Z miejsca, gdzie siedział, ze schodków kabiny zaparkowanego wysoko w górach 212, Erikki mógł ogarnąć wzrokiem spory kawał Sowieckiej Rosji. Daleko w dole wody rzeki Aras płynęły na wschód do Morza Kaspijskiego, wijąc się wąwozami i biegnąc wzdłuż sporego odcinka granicy irańsko-sowieckiej. Na lewo Yokkonen mógł zajrzeć do Turcji i obejrzeć piętrzącą się na cztery tysiące pięćset metrów górę Ararat. 212 stał nie opodal wejścia do groty, w której znajdowała się amerykańska stacja nasłuchowa.

Znajdowała się kiedyś, pomyślał z ponurym rozbawieniem. Gdy wylądował tu poprzedniego dnia po południu - wskaźnik pokazywał dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt metrów - pstrokata banda bojowców lewicowych fedainów, którą ze sobą przywiózł, wpadła do 9

groty, ale Amerykanów już nie zastała. Cimtarga stwierdził, że zniszczono wszystkie ważniejsze elementy wyposażenia i zabrano książki szyfrów. Wiele świadczyło o pospiesznym opuszczaniu jaskini, lecz zadbano o to, żeby nie pozostawić niczego, co miało jakąś wartość.

- Tak czy inaczej, oczyścimy ją - oświadczył Cimtarga swym ludziom - oczyścimy tak jak inne. - Zwrócił się do Erikkiego: - Czy możesz tam wylądować? - Wskazał ręką miejsce wysoko w górze, gdzie widać było kompleks masztów radarowych. - Chciałbym je rozmontować.

- Nie wiem - odparł Erikki. Granat, który dostał od Rossa, nadal tkwił, przyklejony taśmą, pod jego lewym ramieniem - Cimtarga i jego łapacze nie przeszukali Fina - nóż pukoh także spoczywał na miejscu, w po-, chwie z tyłu. - Polecę i sprawdzę.

- Sprawdźmy, kapitanie. Sprawdźmy razem - rzucił Cimtarga ze śmiechem. - Nie będzie cię kusiło, żeby nas opuścić.

Erikki zabrał go ze sobą i polecieeli. Maszty wpuszczono w grubą warstwę betonu na północnym stoku góry, na skrawku płaskiego terenu, który mieli teraz przed sobą.

- Jeśli pogoda się utrzyma, nie będzie problemu. Co innego, jeśli zerwie się silny wiatr. Mogę zawisnąć i opuścić was na linie. - Błysnął zębami w wilczym uśmiechu.

Cimtarga roześmiał się.

- Dzięki, ale nie. Nie chcę przedwcześnie umierać.

- Jak na Sowiet, zwłaszcza z KGB, nie jesteś najgorszy.

- Ty też nie. Jak na Fina.

Od niedzieli, gdy Erikki zaczął latać z Cimtarga, zdążył już go polubić. Nie, żeby naprawdę go lubić, czy mu ufać, pomyślał. Ale Sowiet był grzeczny i postępował fair, odmierzał dla lotnika uczciwe

porcje wszystkich posiłków. Zeszłej nocy wypił z Yokkonenem butelkę 1

wódki i ustąpił najlepsze miejsce do spania. Nocowali w wiosce, o dwadzieścia kilometrów na południe, na dywanach rozpostartych na brudnej polepie. Cimtarga 10

powiedział, że choć w okolicy mieszkali głównie Kurdowie, ta wioska składa się z kryptofedainów i jest bezpieczna.

- Dlaczego zatem pilnuje mnie strażnik?

- Jest bezpieczna dla nas, kapitanie, a nie dla pana. Przedwczoraj w nocy, gdy Cimtarga przyszedł po niego ze strażnikami, wkrótce po odejściu Rossa, zawieziono go do bazy. W ciemnościach, łamiąc wszystkie przepisy IATC, polecili do wioski w górach, na północ od Choju. Tam o świcie załadowali helikopter uzbrojonymi ludźmi i polecili do pierwszej z amerykańskich stacji radarowych. Była zniszczona i opustoszała, tak jak ta tutaj.

- Ktoś musiał ich ostrzec, że przybędziemy - zauważył zde gustowany Cimtarga. -

Matierjebcy szpiedzy!

Później Cimtarga powiedział Erikkiemu, że według tego, co szeptali miejscowi, Amerykanie ewakuowali się zeszłej nocy bardzo dużymi helikopterami bez żadnych oznaczeń.

- Dobrze by było złapać ich na szpiegowaniu. Bardzo dobrze. Mówi się, że sukinsyny mogą widzieć nasze terytorium na tysiąc sześćset kilometrów w głąb.

- Masz szczęście, że już ich tu nie ma. Może musiałbyś stoczyć bitwę, a to byłby incydent międzynarodowy.

Cimtarga roześmiał się.

- My z tym nie mamy nic wspólnego. Nic. To znowu Kurdowie odwalają krecią robotę.

Banda zbirów, co? To na nich spadłaby odpowiedzialność. Cholerni jazdwas, co? W końcu ciała zostałyby odnalezione na terenie Kurdów. Taki dowód wystarczyłby Carterowi i CIA.

Erikki poruszył się na zimnym metalowym stopniu. Był przygnębiony i zmęczony. Ostatniej nocy znowu źle spał; dręczyły go koszmary związane z Azadeh. Nie mógł spać od czasu pojawienia się Rossa.

Jesteś głupcem, powtarzał sobie tysiące razy. Nie pomagało. Wydawało się, że nic nie pomoże. To pewnie przez to latanie; zbyt wiele godzin lotu w złych warunkach, w ciemnościach. Trzeba jeszcze martwić się

o Noggera, myśleć o Rakoczym, zabójstwach. O Rossie. Przede wszystkim zaś o Azadeh.

Czy ona na pewno jest bezpieczna?

Spróbował zawrzeć z nią pokój co do Johnny'ego „Jasne Oczy”.

- Przyznaję, że byłem zazdrosny. To głupie. Przysięgam na starożytnych bogów moich przodków, że mogę znieść twoje wspomnienia o nim. Mogę i znieść - oświadczył, ale to nie wystarczyło. - Po prostu nie myślałem, że jest tak... takim mężczyzną i... tak niebezpiecznym.

Jego kukri mógłby się zmierzyć z moim nożem.

- Nigdy, kochanie. Nigdy. Tak się cieszę, że ty jesteś sobą i ja jestem sobą, i że jesteśmy razem. Jak moglibyśmy się stąd wydostać?.

- Nie wszyscy, nie razem, nie jednocześnie - powiedział jej uczciwie. - Byłoby najlepiej, gdyby żołnierze wyrwali się, gdy tylko będą mogli, i zabrali Noggera. A dopóki ty tu jesteś, nie wiem, Azadeh, jak my możemy uciec, naprawdę nie wiem. Jeszcze nie wiem. Może moglibyśmy przedostać się do Turcji...

Spojrzał teraz na wschód w kierunku Turcji. To tak blisko, a jednocześnie tak daleko, gdy Azadeh jest w Tebrizie. Trzydzieści minut lotu. Ale kiedy? Gdybyśmy dotarli do Turcji, a helikopter nie zostałby obłożony sekwestrem, gdybym mógł zatankować i polecieć przez granicę do Asz Szargaz... Gdyby, gdyby, gdyby! Bogowie mych przodków, pomóżcie mi!

Zeszłego wieczoru, przy wódce, Cimtarga był małomówny jak zwykle, pił jednak uczciwie.

Wysączyli butelkę do ostatniej kropelki, szklanka po szklance.

2

- Na jutro mam następną, kapitanie.

- To dobrze. Kiedy skończymy?

- Za dwa-trzy dni skończymy tutaj i wracamy do Tebrizu.

- A potem?.

- Potem dowiem się, co dalej.

Gdyby nie wódka, Erikki by go sklął. Wstał i spojrzał na Irańczyków, układających w stosy sprzęt, który

12

mieli zabrać. Większość zelastwa wyglądała bardzo zwyczajnie. Gdy Yokkonen ruszył przez

nierówny teren pokryty skrzypiącym pod butami śniegiem, pilnujący go strażnik poszedł za nim. Żadnej szansy ucieczki. Żadnej okazji przez całe pięć dni.

- Cieszy nas twoje towarzystwo - powiedział któregoś dnia Cimtarga, mrużąc orientalne oczy. Zdawało się, że umie czytać w myślach.

W górze kilku ludzi pracowało przy demontażu masztów radarowych. Co za marnowanie czasu, pomyślał Erikki. Nawet ja widzę, że nie ma w nich nic szczególnego.

- Nieważne, kapitanie - wyjaśnił Cimtarga. - Moich szefów cieszą hurtowe ilości. Bierzemy wszystko. Lepiej więcej niż mniej. Czym się zajmujesz? Pracujesz na dniówki. - Znow śmiech, a nie wymyślania.

Yokkonen poczuł, że zeszywniały mu mięśnie szyi. Wykonał skłon, dotykając palcami butów. Opuścił ramiona i głowę, a potem zaczął wykonywać krążenia głową tak, aby sam jej ciężar naciągał ścięgna, wiązadła i mięśnie.

- Co robisz? - zapytał Cimtarga, podchodząc do niego. ___

- Świetnie robi na ból szyi. Erikki włożył ciemne okulary; światło odbite od śniegu raziło w oczy. - Jeśli robić to dwa razy dziennie, szyja nigdy nie boli.

- Ach, ciebie też boli kark? Ja mam to bez przerwy. Muszę chodzić do kręgarza przynajmniej trzy razy w roku. To pomaga?

- Gwarantowane. Nauczyła mnie tego kelnerka. Noszenie tac przez cały dzień wywołuje ból karku i pleców. To tak jak u pilotów - choroba zawodowa. Wypróbuj to i sam się przekonaj. -

Cimtarga pochylił się i poruszył głową. - Nie, nie tak. Głowa i ramiona luźno; jesteś zbyt napięty.

Cimtarga postąpił według tych wskazówek; poczuł, że coś chrupnęło mu w szyi. Gdy podniósł głowę, powiedział:.

- Genialne, kapitanie. Jestem winien przysługę.

13

- To rewanż za wódkę.

- To jest cenniejsze niż butelka wód...

Erikki osłupiał, gdy z piersi Cimtargi trysnęła krew otworem wyrwanym przez pocisk, który trafił go od tyłu. Potem usłyszał krzyki i zobaczył koczowników wysypujących się zza skał i drzew, wydających bojowe okrzyki i strzelających w biegu. Atak był krótki i gwałtowny.

Yokkonen zobaczył, że ludzie Cimtargi padają na ziemię, przygniecenii liczebną przewagą przeciwnika. Strażnik Fina, jeden z nielicznych, którzy mieli broń, zdążył raz wystrzelić i został od

razu trafiony. Brodaty człowiek ze szczepu stanął nad nim i z lubością dobił go kolbą karabinu. Inni pobiegli do jaskini. Jeszcze trochę strzałów i zapanowała cisza.

Ponaglany przez dwóch mężczyzn, Erikki podniósł ręce; czuł się głupio bezbronię, a serce waliło mu jak młot. Jeden z napastników odwrócił Cimtargę i wpakował mu kolejną kulę.

Drugi minął Erikkiego i ruszył do 212, aby upewnić się, że w kabinie nikt się nie ukrył. Teraz mężczyzna, który zastrzelił Cimtargę, dysząc ciężko, stanął przed Erikkim. Był niski, oliwkowa skóra, broda, czarne oczy i włosy. Miał na sobie prymitywną odzież i śmierzdział.

- Opuść ręce, spuść - powiedział w kalekiej angielszczyźnie. - Jestem szejk Bajazid, wódz tutaj. Potrzebujemy ty i helikoptera.

3

- Czego ode mnie chcecie?

Koczownicy dobijali rannych i odzierali zabitych ze wszystkiego, co mogło mieć jakąś wartość.

- CASEVAC. - Bajazid uśmiechnął się nieznacznie na widok miny Erikkiego. - Wielu z nas pracować przy ropy. Kto jest ten pies? - Wskazał Cimtargę czubkiem buta.

- Mówił, że nazywa się Cimtarga. Był Sowieciem. Myślę, że z KGB.

- Oczywiście, Sowiec - rzucił szorstko mężczyzna. - Oczywiście z KGB. Wszyscy Sowieci w Iranie KGB. Papiery, proszę. - Yokkonen wręczył mu dowód tożsamości. Mężczyzna obejrzał

dokument i skinął głową,

14

na wół do siebie. Wywołując jeszcze większe zdumienie Erikkiego, oddał mu dokument. -

Dlaczego latasz z sowieckim psem? - Słuchał w milczeniu i z coraz bardziej ponurym wyrazem twarzy, gdy Erikki opowiadał o tym, jak Abdollah-chan schwycił go w pułapkę. -

Abdollah-chan nie człowiek do zaszkodzenia. Dosięgnąć Abdollaha Okrutnego być bardzo trudno, nawet na ziemi Kurdów.

- Jesteście Kurdami?.

- Kurdami - potwierdził Bajazid; to kłamstwo było bardzo wygodne. Przyklęknął i obszukał

Cimtargę. Żadnych dokumentów, w kieszeni trochę pieniędzy, nic więcej poza automatycznym pistoletem w kaburze i kilkoma nabojami, które Bajazid także zabrał. - Masz być pełne paliwo?

- W trzech czwartych.

- Ja chcę jechać trzydzieści kilometrów południe. Pokażę. Potem zabrac CASEVAC i do Rezaije, do szpitala.

- Dlaczego nie do Tebrizu? To znacznie bliżej.

- Rezaije w Kurdystanie. Kurdowie tam bezpieczni, czasami. Tebriz należy do naszych wrogów: Irańczyków, Szacha czy Chomeiniego, bez różnicy. Do Rezaije.

- W porządku. Najlepszy będzie Szpital Zamorski. Byłem tam już kiedyś. Jest lądowisko helikopterowe i są przyzwyczajeni do CASEVAC. Możemy tam zatankować; mają paliwo do śmigłowców... przynajmniej mieli dawniej.

Bajazid zawahał się.

- Dobrze. Tak. Lecimy od razu.

- A co potem?

- Potem, jeśli zawieźć nas dobrze, może cię zwolnimy, żebyś zabrał żonę od chana z Gorgonów. - Szejk Bajazid odwrócił się i krzyknął do swych ludzi, żeby się pospieszyli i wsiadali do helikoptera.

- Startujemy, proszę.

- A co z nim? - Eriki wskazał Cimtargę. - I z innymi?

- Zwierzęta i ptaki wkrótce tu posprzątać.

15

Wejście na pokład i start nie zabrały zbyt wiele czasu. Yokkonen był teraz pełen nadziei.

Odnalezienie wioski nie było trudne. CASEVAC dotyczyło starej kobiety.

- Ona jest naszym wodzem - wyjaśnił Bajazid.

- Nie wiedziałem, że kobiety mogą być wodzami.

- Dlaczego nie, jeśli tylko są dostatecznie mądre, silne, sprytne i pochodzą z odpowiedniej rodziny. My, muzułmanie sunniti, nie lewacy ani heretyckie bydło szyickie, które wstawia mułłów między ludzi a Boga. Bóg jest Bogiem. Startujemy.

- Czy ona zna angielski?

- Nie.

- Wygląda na bardzo chorą. Może nie przetrwać podróży.

- Jak Bóg zechce.

Żył jednak, gdy po godzinie lotu Erikki posadził helikopter na ziemi. Szpital Zamorski był wybudowany, obsadzony personelem i sponsorowany przez zagraniczne kompanie naftowe.

Yokkonen pokonał trasę lecąc nisko, omijając Tebriz i wojskowe lotniska. Bajazid siedział z przodu obok pilota, a sześciu uzbrojonych ludzi z tyłu ze swą przywódczynią. Leżała na noszach bez ruchu, lecz przytomna. Znosiła ogromne cierpienie bez słowa skargi.

Lekarz i sanitariusze znaleźli się na lądowisku w kilka sekund po tym, jak maszyna dotknęła ziemi. Lekarz miał na sobie biały kitel z dużym czerwonym krzyżem na rękawie, a pod spodem grube swetry. Był trzydziesto-paroletnim Amerykaninem, ciemne obwódki otaczały jego przekrwione oczy. Uklęknął przy noszach, a pozostali czekali w milczeniu. Kobieta jęknęła cicho, gdy dotknął jej brzucha, choć zrobił to delikatnie i sprawnie. Mówił do niej przez chwilę w łamanym tureckim. Uśmiechnęła się nieznacznie, skinęła głową i podziękowała. Lekarz zawołał sanitariuszy, którzy wynieśli nosze ze śmigłowca. Na polecenie Bajazida dwóch ludzi towarzyszyło chorej.

16

Lekarz odezwał się do szejka kulawym dialektem:

- Ekscelencjo, potrzebne mi jest nazwisko, wiek i...

- szukał właściwego słowa - choroba, opis choroby.

- Mówić po angielsku.

- Świetnie. Dziękuję, agha. Jestem doktor Newbegg. Obawiam się, że ona zbliża się do końca, agha. Jej puls jest prawie niewyczuwalny. Jest stara i chyba nastąpił krwotok wewnętrzny. Czy nie upadła niedawno?

- Mówić wolniej, proszę. Upaść? Tak, tak, dwa dni temu. - Bajazid urwał na dźwięk salwy broni palnej, a potem mówił dalej: - Tak, dwa dni temu. Pośliznęła się w śniegu i uderzyła o skałę. Bokiem o skałę.

- Chyba krwawi w środku. Zrobię, co będę mógł, ale... przykro mi, nie mogę obiecać, że będzie dobrze.

- In sza'a Allah.

- Jesteście Kurdami?

- Kurdami. - Rozległy się strzały, tym razem bliżej. Wszyscy się obejrzel. - Kto?

- Nie wiem, boję się, że to, co zwykle - odpowiedział niespokojnie lekarz. - Zielone Opaski przeciwko lewakom, lewacy przeciwko Zielonym Opaskom, przeciwko Kurdom... Jest wiele

ugrupowań, a wszystkie uzbrojone.

- Przetarł oczy. - Zrobię, co będę mógł, dla starej pani. Może lepiej niech pan pójdzie ze mną, agha. Może pan po drodze podać szczegóły. - Pospiesznie odszedł.

- Doktorze, czy macie tu jeszcze paliwo? - zawołał za nim Erikki.

Lekarz zatrzymał się i spojrzał nieprzytomnie.

- Paliwo? Och, paliwo do helikoptera? Nie wiem. Zbiornik jest z tyłu.

Wbiegł po schodkach prowadzących do głównego wejścia, łopocząc połamami fartucha.

- Kapitanie - powiedział Bajazid. - Poczekaj pan, aż wrócę. Tutaj.

- Ale paliwo? Mogę...

- Czekać tu. Tu.

Szejk pospieszył za doktorem. Dwóch jego ludzi ruszyło za nim, dwóch zostało przy Finie.

17

Erikki wykorzystał czas oczekiwania i wszystko posprawdzał. Zbiorniki prawie puste. Od czasu do czasu zajeżdżały ciężarówki z rannymi; wychodzili im naprzeciw lekarze i felczerzy.

Wielu ludzi spoglądało ze zdziwieniem na helikopter, ale nikt się nie zbliżył. Strażnicy bardzo o to dbali.

Jeszcze podczas lotu Bajazid oświadczył:

- Od wieków my, Kurdowie, próbujemy być niezależni. My oddzielny naród, oddzielny język, oddzielne zwyczaje. Teraz chyba sześć milionów Kurdów w Azerbejdżanie, 5

Kurdystanie, przy granicy sowieckiej, z tej strony Iraku i Turcja. - Wypluwał słowa. - Od wieków z nimi walczymy, razem albo pojedynczo. Mamy góry. Jesteśmy dobrymi wojownikami. Salah ad-Din; on był Kurdem. Znasz go? Salah ad-Din.

Saladyn był rycerskim muzułmańskim przeciwnikiem Ryszarda Lwie Serce podczas krucjat w dwunastym wieku. Mianował się sułtanem Egiptu i Syrii i opanował Królestwo Jerozolimy w roku pańskim 1187 po zgnieceniu połączonych sił krzyżowców.

- Tak, wiem o tym.

- Dziś inni Salah ad-Dini wśród nas. Pewnego dnia odzyskamy wszystkie święte miejsca, ale najpierw Cho-meini, ten zdrajca Iranu, zgnije w rowie.

- Zrobiliście zasadzkę na Cimtargę i pozabijaliście ich tylko z powodu CASEVAC?

- Oczywiście. To wrogowie. Wasi i nasi. - Bajazid uśmiechnął się swym krzywym uśmiechem. |- Nie się dzieje w naszych górach bez naszej wiedzy. Nasza wódz chora - wy blisko. Widzieliśmy, Amerykanie odjeżdżają, sępy przybywają i ty rozpoznany.

- Och, jak?

- Czerwonowłosa z Nożem. Niewierny, który rozgniatą zabójców jak wszy, a potem dostaje w nagrodę córkę Gorgona! Pilot CASEVAC? - Ciemne, niemal czarne oczy wyrażały zdumienie. - O tak, kapitanie, znamy pana dobrze. Wielu z nas pracuje przy wyrębie albo przy ropie - człowiek musi pracować. To dobrze, że nie jesteś Sowietem ani Irańczykiem.

- Czy po CASEVAC pomożecie mi przeciwko chanowi z Gorgonów?

Bajazid roześmiał się.

- Twoja wojna nie jest naszą wojną. Abdollah-chan na razie nam sprzyja. Nie pójdziemy przeciwko niemu. To, co ty zrobisz, zależy od Boga.

Na dziedzińcu szpitala było zimno; lekki wiatr jeszcze bardziej wzmagął chłód. Erikki chodził

tam i z powrotem, żeby się rozgrzać. Muszę się dostać do Tebrizu. Wyrwę jakoś stamtąd Azadeh i uciekniemy na zawsze.

Pobliskie strzały zaalarmowały jego i strażników. Na ulicy za bramą szpitala samochody zwolniły. Kierowcy naciskali klaksony, zrobił się zator. Ludzie przyspieszali kroku. Dalsze strzały. Ci, którzy zostali jeszcze w samochodach, wyskakiwali, szukając schronienia lub uciekając. Dziedziniec szpitalny był rozległy, 212 zajmował tylko jedną stronę. Dzika strzelanina wzmagala się. Jeszcze bliżej. Wyleciały szyby z niektórych okien szpitala.

Strażnicy padli na śnieg, kryjąc się za podwoziem maszyny. Erikki zżymał się, gdyż helikoptera nie osłaniało. Nie wiedział, dokąd pobiec, co zrobić. Na start nie było czasu; poza tym miał zbyt mało paliwa. Usłyszał kilka rykoszetów i padł na ziemię. Za murami toczyła się potyczka. Potem ustała tak szybko, jak się rozpoczęła. Ludzie wychodzili z ukrycia, odezwały się klaksony. Wkrótce ruch uliczny wrócił do normy.

- In sha a Allah - powiedział jeden z ludzi szczepu.

Odbezpieczył karabin i stanął na warcie. Mała cysterna z benzyną nadjeżdżała od zaplecza szpitala. Za kierownicą siedział młody, uśmiechnięty Irańczyk. Erikki ruszył mu na spotkanie.

- Cześć, kapitanie - rzucił radośnie kierowca, z silnym nowojorskim akcentem. - Mam was zatankować. Wasz nieustraszony wódz, Bajazid, załatwił to. - Pozdrowił koczowników.

Rozpogodzili się i odpowiedzieli na pozdrowienie. - Napełnimy go po brzegi, kapitanie. Ma pan jakieś specjalne zbiorniki?

- Nie, tylko zwykłe. Nazywam się Erikki Yokko-nen.

18

19

- Jasne. Czerwonowłosa z Nożem. - Młodzieniec uśmiechnął się. - Jest pan tu czymś w rodzaju olbrzyma z legendy. Kiedyś pana tankowałem, może z rok temu. - Wyciągnął rękę. -

Jestem Ali Benzynka, to znaczy Ali Reza.

Uścisnęli sobie dłonie, a gdy rozmawiali, młody człowiek napełniał zbiornik.

- Chodziłeś do amerykańskiej szkoły? - zapytał Erikki.

6

- Cholera, nie. Szpital tak jakby mnie adoptował, gdy byłem dzieckiem, już dawno, jak jeszcze nie było tego budynku. Kiedyś szpital był jednym ze Złotych Gett wschodniej strony miasta. Wie pan, kapitanie, „Tylko dla personelu amerykańskiego”, magazyn Ex-Tex. -

Młodzieniec uśmiechnął się, starannie zakręcił pokrywę zbiornika i zaczął napełniać następny. - Najpierw przygarnął mnie doktor Abe Weiss. Świetny facet, po prostu świetny.

Wciągnął mnie na listę płac i uczył, do czego służy mydło, skarpetki, łyżka i toaleta - cholera, te wszystkie sztuki, takie nieirańskie dla takiego szczura ulicznego jak ja. Bez starych, bez domu, bez nazwiska, bez niczego. Nazywał mnie swoim hobby. Nawet nadał mi imię. Potem, któregoś dnia, odszedł.

Erikki dostrzegł w oczach chłopca szybko ukryty ból.

- Przekazał mnie doktorowi Templetonowi, który robił to samo. Czasem trudno mi się połapać, kim właściwie jestem. Kurd nie Kurd, Jankes nie Jankes, żyd nie żyd, muzułmanin nie muzułmanin... - Wzruszył ramionami. - Wszystko pochrzanione, kapitanie. Świat, wszystko. Co?

- Tak.

Yokkonen zerknął w stronę szpitala. Bajazid schodził po schodach razem z dwoma bojowcami i sanitariuszami dźwigającymi nosze. Staruszka była nakryta łącznie z głową.

- Startujemy, gdy tylko jest paliwo - rzucił szejka.

- Przykro mi - powiedział Erikki.

- In sza a Allah.

20

Przeglądali się sanitariuszom umieszczającym nosze w kabinie. Bajazid podziękował im i odeszli. Wkrótce ostatni zbiornik był także pełny.

- Dzięki, panie Reza. - Erikki wyciągnął rękę. - Dziękuję.

Młody człowiek spojrzał ze zdumieniem w oczach.

- Nikt nigdy nie powiedział do mnie „pan”, kapitanie. Nigdy. - Mocno potrząsał ręką Erikkiego. - Dziękuję. Zawsze, gdy będzie pan potrzebował paliwa, ma je pan jak w banku.

Bajazid usiadł obok Fina, zapiął pasy i założył słuchawki. Silniki zwiększały obroty.

- Teraz wracamy do wioski, z której przylecieliśmy.

- A co potem? - zapytał Erikki.

- Omówię to z nowym wodzem - odpowiedział szejk, ale pomyślał: ten człowiek i ten helikopter przyniosą wielki okup, może od chana, może od Sowietów, a może nawet od jego ziomków. My, biedni ludzie, potrzebujemy każdego riala, jakiego możemy dostać.

NIEDALEKO TEBRIZU JEDEN - W WIOSCE ABU MARD, 18:16. Azadeh wzięła miskę ryżu i miskę choesztu, podziękowała żonie naczelnika i ruszyła po brudnym i zaśmieconym śniegu ku szopie położonej nieco na uboczu. Miała ściągniętą twarz, brzydko kasłała.

Zapukała i weszła przez niskie drzwi.

- Dzień dobry, Johnny, jak się czujesz? Trochę lepiej?

- Doskonale - odparł. Nie odpowiadało to prawdzie.

Pierwszą noc spędzili w jaskini, przytuleni do siebie, dygocząc z zimna.

- Nie możemy tu zostać, Azadeh - powiedział o świcie. - Zamarzniemy na śmierć. Będziemy musieli sprawdzić bazę.

Dobrnęli tam przez śnieg i z ukrycia obserwowali teren. Zobaczyli dwóch mechaników i 206, od czasu do czasu pojawiał się Nogger. Po całej bazie kręcili się jednak uzbrojeni mężczyźni.

Dajati, kierownik bazy,

21

przeprowadził się do mieszkania Azadeh i Erikkiego. On, jego żona i dzieci.

- Synowie i córki psa - szepnęła Azadeh, widząc swoje buty na nogach żony Dajatiego. -

Może moglibyśmy zakraść się do kontenerów; mechanicy by nas ukryli.

- Są ciągle pilnowani. Założę się, że nawet w nocy pilnuje ich jakiś strażnik. Ale kim oni są?

Zielone Opaski, ludzie chana czy jeszcze ktoś inny?

- Nie poznaję żadnego z nich, Johnny.

- Szukają nas - powiedział, czując się podle; ciążyła na nim śmierć Guenga. I Gueng, i Tenzing byli z nim od samego początku. I jeszcze Rosemont. A teraz Azadeh. - Jeszcze jedna noc na dworze i zachorujesz. Oboje zachorujemy.

- Nasza wioska, Johnny. Abu Mard. Należy do naszej rodziny od ponad stu lat. Oni są lojalni.

Wiem, że są. Możemy spędzić tam dzień czy dwa dni.

- A nagroda za moją głowę? I twoją? Dadzą znać twojemu ojcu.

- Poproszę, żeby tego nie robili. Powiem, że Sowieci próbowali mnie porwać, a ty mi pomogłeś. Właściwie to prawda. Powiedziałabym, że musimy się ukrywać do czasu powrotu mojego męża. On jest tutaj bardzo lubiany, Johnny, jego CASEVAC ocaliły życie wielu ludziom.

Spojrzał na nią. Przeciwno takiemu pomysłowi przemawiał tuzin powodów.

- Wioska leży przy drodze...

- Tak, oczywiście, masz rację i zrobimy to, co uznasz za słuszne, ale wioska sięga aż do lasu.

Możemy się tam ukryć, nikt się tego nie domyśli.

Zwrócił uwagę na jej zmęczenie.

- Jak się czujesz? Czy masz jeszcze dużo sił?

- Nie mam, ale czuję się dobrze.

- Moglibyśmy przejść kilka kilometrów równoległe do drogi i ominąć blokadę. To znacznie mniej niebezpieczne niż wioska, co?

- Ja... raczej nie. Mogę spróbować. - Zawahała się i dodała: - Raczej nie. Nie dzisiaj. Ty idź, a ja poczekam. Może Erikki wróci dzisiaj.

- A jeśli nie?

- Nie wiem. Ty idź.

Spojrzał na bazę. Gniazdo żmij. Pójść tam, to samobójstwo. Ze wzniesienia, na którym stali, sięgał wzrokiem aż do głównej drogi. Mężczyźni - prawdopodobnie Zielone Opaski i policja -

nadal blokowali drogę. Przy blokadzie utworzyła się długa kolejka pojazdów. Nikt nas teraz nie podwiezie, pomyślał, chyba że dla nagrody.

- Idź do wioski, a ja poczekam w lesie.

- Bez ciebie po prostu oddadzą mnie ojcu. Znam ich, Johnny.

- Być może zdradzą cię, tak czy inaczej.

- Wedle woli Boga. Moglibyśmy jednak dostać trochę jedzenia i ogrzać się, może nawet przenocować. Moglibyśmy wymknąć się o świcie. Może nawet udałoby się załatwić samochód czy ciężarówkę; kalandar ma starego forda.

Stłumiła kichnięcie. Uzbrojeni ludzie znajdowali się niedaleko. Było więcej niż prawdopodobne, że wysyłali do lasu patrole; Ross i Azadeh, idąc w stronę bazy, musieli ominąć grupę bojowców. Pomysł z wioską to szaleństwo, pomyślał Ross. Ominięcie zapory potrwa kilka godzin, nawet w dzień, a w nocy... Nie możemy spędzić jeszcze jednej nocy na mrozie.

- Chodźmy do wioski - powiedział.

Zrobili to. Mostafa, kalandar, wysłuchał opowieści Azadeh, unikając wzroku Rossa.

Wiadomość o ich przybyciu szybko się rozeszła; już po chwili wiedzieli wszyscy, a ta informacja nałożyła się na inną: o nagrodzie za sabotażystę i porywacza córki chana.

Kalandar przydzielił Rossowi chatę z brudnym klepiskiem i za-pleśniałymi dywanami. Chata była oddalona od drogi, na krańcu wioski. Kalandar zauważył spojrzenie twarde jak stal, matowe włosy i szczecinę zarostu. Także karabin, kukri i plecak pełen amunicji. Azadeh zaprosił do

8

23

własnego domu - slumsu o dwu pomieszczeniach, bez elektryczności i bieżącej wody.

Zamiast toalety - rów.

Zeszłego wieczoru, o zmierzchu, jakaś staruszka przyniosła Rossowi gorący posiłek i butelkę wody.

- Dziękuję - powiedział. Bolała go głowa i czuł, że ma gorączkę. - Gdzie jest Jej Wysokość? -

Kobieta wzruszyła ramionami. Miała pomarszczoną twarz ze śladami po ospie, brązowe pieńki zębów. - Zapytaj ją, proszę, czy mnie przyjmie.

Później po niego posłano. W pokoju domu naczelnika wioski, w obecności naczelnika, jego żony, niektórych dzieci i paru dorosłych, ostrożnie pozdrowił Azadeh, tak jak obcy powinien pozdrawiać wysoko urodzoną. Oczywiście miała na sobie czador. Klęczała na dywanach, zwrócona do drzwi. Jej twarz miała żółtawy, niezdrowy odcień, Ross jednak pomyślał, że wrażenie to może wywoływać migoczące światło lampki oliwnej.

- Salam, Wasza Wysokość. Czy jest pani w dobrym zdrowiu?

- Salam, Agha, tak, dziękuję, a pan?

- Chyba mam trochę gorączki.

Zobaczył, że na moment podniosła wzrok znad dywanu.

- Mam lekarstwo, czy potrzebuje go pan?

- Nie, nie, dziękuję. - W obecności tak wielu patrzących i słuchających osób nie mógł

powiedzieć tego, co chciał. - Być może będę mógł także jutro złożyć pani wyrazy uszanowania - rzekł. - Pokój niech będzie z panią, Wasza Wysokość.

- I z panem.

Długo nie mógł zasnąć. Ona także. O świcie wioska zbudziła się do życia. Rozpalono paleniska, wydojono kozy, postawiono na ogniu warzywny choreszt, który nie byłby bardzo pożywny, gdyby nie kawałki kurczaka w niektórych chatach, w innych kozy lub owcy - mięso stare, twarde, często zepsute. Miski ryżu, którego nigdy nie było dość. W dobrych czasach dwa posiłki dziennie - rano i w ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

24

Azadeh miała pieniądze i płaciła za jedzenie. Nie pozostało to nie zauważone. Azadeh poprosiła, żeby do choresztu na kolację wrzucono całego kurczaka dla wszystkich domowników i zapłaciła za to. Tego także nie przeoczono.

- Zaniosę mu teraz jedzenie - powiedziała o zachodzie słońca.

- Ale, Wasza Wysokość, nie powinna pani mu usługiwać - zauważyła żona kalandara. - Ja zaniosę miski, a pani może ze mną pójść.

- Nie, wolałabym pójść sama, gdyż...

- Boże, miej nas w swojej opiece, Wasza Wysokość. Sama? Do mężczyzny, który nie jest pani mężem? Och nie, to nie do pomyślenia. Chodźmy. Wezmę naczynia.

- Dobrze. Dziękuję. Wedle woli Boga. Dziękuję. On wczoraj mówił coś o gorączce. To może być jakaś, zaraza. Wiem, że niewierni często chorują na coś, na co my nie jesteśmy uodpornieni. Po

prostu nie chciałam narażać pani na śmiertelną chorobę. Dziękuję, że chce mnie pani wyręczyć.

Poprzedniego wieczoru wszyscy widzieli, że twarz niewiernego błyszczy od potu. Wszyscy widzieli, jak zdradzieccy bywają niewierni; większość to czciciele szatana i czarownicy.

Prawie wszyscy wieśniacy uważali skrycie, że na Azadeh spadł jakiś zły urok. Najpierw opętał ją czarami Olbrzym z Nożem, a teraz sabotaży-sta. Żona naczelnika w milczeniu wręczyła Azadeh miski, a ta ruszyła przez śnieg.

Teraz widziała go w półmroku izby, której jedynym oknem był otwór pozostawiony w ścianie z wysuszonych na słońcu cegieł. Nie było szyby; worek zasłaniał prawie całą dziurę. W

powietrzu wisiał ciężki odór moczu i nieczystości z pobliskiego rowu.

- Jedz, póki gorące. Nie mogę zostać długo.

9

- U ciebie wszystko w porządku? - Leżał w ubraniu pod jednym kocem, drzemał. Teraz usiadł po turecku. Gorączka trochę spadła na skutek leków z podręcznej apteczki, ale rozstrój żołądka nie ustąpił. - Nie wyglądasz zbyt dobrze.

25

Uśmiechnęła się.

- Ty też. Czuję się dobrze. Jedz.

Był bardzo głodny. Zupa była rzadka, ale wiedział, że tak będzie lepiej dla jego żołądka.

Poczuł, że nadchodzi kolejny skurcz, ale udało mu się go opanować. Ból chwilowo minął. -

Myślisz, że się w końcu wymkniemy? - zapytał między jednym kęsem a drugim. Starał się jeść powoli.

- Ty tak, ja nie.

Odpoczywając i drzemiąc przez cały dzień, żeby zebrać siły, próbował coś wymyślić. Raz, gdy spróbował wyjść z wioski, przekonał się, że obserwuje go setka oczu. Doszedł do krańca wsi i zawrócił. Po drodze zobaczył starą ciężarówkę.

- A co z ciężarówką?

- Pytałam naczelnika. Powiedział, że nie jest na chodzie. Nie wiem, czy mówił prawdę, czy kłamał.

- Nie możemy zostać zbyt długo. Na pewno trafi tu kiedyś jakiś patrol albo twój ojciec o nas usłyszy. Naszą jedyną nadzieją jest ucieczka.

- Lub porwanie 206 z Noggerem. Spojrzał na nią.

- A ci wszyscy ludzie, którzy pilnują bazy?

- Jedno z dzieci powiedziało mi, że wrócili dzisiaj do Tebrizu.

- Jesteś pewna?

- Pewna to nie, Johnny. - Ogarnął ją niepokój. - Ale dziecko nie miało powodu kłamać. Ja...

ja tu kiedyś uczyłam, jeszcze przed wyjściem za mąż. Byłam jedynym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek mieli, i wiem że mnie lubili. Dziecko powiedziało, że został tylko jeden człowiek, najwyżej dwóch ludzi.

Zadrżała. W ciągu ostatnich tygodni tyle kłamstw, tyle problemów, pomyślała. Czy to tylko tygodnie? Tyle strachu i przemocy, odkąd Rakoczy i muła przyczepili się do Erikkiego i do mnie, gdy wyszliśmy z sauny. Teraz wszystko jest takie beznadziejne. Erikki, gdzie jesteś?

Chciała krzyknąć. Gdzie jesteś, Erikki?

26

Ross zjadł zupę i włożył do ust ostatnie ziarenko ryżu. Ważył szanse, próbował planować.

Azadeh klęczała obok. Zobaczyła jego zmierzwione, brudne włosy, zmęczenie i poważny wyraz twarzy.

- Biedny Johnny - mruknęła i dotknęła go. - Nie przyniosłam ci szczęścia, prawda?

- Nie bądź głupia, to nie twoja wina. - Pokręcił głową. - Absolutnie nie twoja. Posłuchaj, oto co zrobimy: zostaniemy tu na noc i wyruszmy jutro o brzasku. Sprawdzimy, jak wygląda sytuacja w bazie. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, pójdziemy pieszo. Spróbuj nakłonić naczelnika, żeby nam pomógł i trzymał gębę na kłódkę. To samo dotyczy jego żony. Reszta wioski robi to, co on im każe. To da nam szansę, przynajmniej na początku. Obiecuj im wielką nagrodę, którą wypłacisz po unormowaniu się sytuacji, a na razie... - Sięgnął do skrytki w plecaku i wyciągnął dziesięć złotych rupii.

- Daj im pięć, a pozostałe na wszelki wypadek zatrzymaj.

- Ale... ale co z tobą? - zapytała, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, przepełniona nową nadzieją wobec tak ogromnego pizkeszu.

- Mam jeszcze dziesięć. - Kłamstwo przeszło mu gładko przez usta. - Fundusz awaryjny; grzeczność rządu Jej Królewskiej Mości.

- Och, Johnny, teraz chyba mamy szansę. Dla nich to fortuna.

10

Oboje spojrzeli w okno, gdy wiatr poruszył osłaniającym je workiem. Azadeh wstała i umocowała go najlepiej, jak umiała. Nie dało się zasłonić całego otworu.

- Nie szkodzi - powiedział Ross. - Chodź tu i usiądź. - Usłuchała. Usiadła bliżej niż przedtem. - Weź to, tak na wszelki wypadek. - Wręczył jej granat.

- Trzeba trzymać rączkę, wyciągnąć zawleczkę, policzyć do trzech i rzucić. Do trzech, a nie czterech.

Skinęła głową, podciągnęła czador i starannie schowała granat do kieszeni narciarskiej kurtki.

Obcisłe narciarskie spodnie były wpuszczone w buty.

27

- Dziękuję, teraz czuję się pewniej. - Odruchowo dotknęła Rossa i pożałowała tego, czując ogień. - Ja... ja już lepiej pójdę. Przyniosę ci o świcie jedzenie, a potem wyruszymy.

Wstał i otworzył przed nią drzwi. Na dworze zapadły już ciemności. Żadne z nich nie spostrzegło niewyraźnej postaci, która oderwała się od ściany chaty i zniknęła; oboje jednak czuli spoczywający na nich wzrok licznych mieszkańców wioski.

- Co z Guengiem, Johnny? Sądzisz, że nas znajdzie?

- On czuwa, gdziekolwiek teraz jest. - Poczł zbliżający się skurcz. - Dobranoc, słodkich snów.

- Słodkich snów.

Dawniej właśnie tak do siebie mówili. Teraz ich spojrzenia spotkały się, serca zabiły jednym rytmem. Poczuli ciepło, a jednocześnie ogarnęły ich złowieszcze przeczucia. Azadeh odwróciła się; czerń jej czadom wtopiła się w mrok nocy. Ross zobaczył, że otwierają się drzwi chaty naczelnika. Azadeh weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Usłyszał silnik ciężarówki wspinającej się na wzniesienie gdzieś w pobliżu. Potem klakson wyprzedzającego ją samochodu. Nadszedł skurcz tak silny, że mężczyzna natychmiast przykucnął. Mimo wielkiego bólu nie udało mu się wypróżnić. Lewą ręką nabrał garść śniegu i wytarł się, dziękując Bogu, że Azadeh już odeszła. Czuł, że nadal jest obserwowany. Sukinsyny, pomyślał. Wrócił do chaty i usiadł na prymitywnym sienniku.

Po ciemku oliwił kukri. Ostrzyć nie musiał, gdyż zrobił to już wcześniej. Światelko lampki zamigotało na ostrzu. Ross usnął, nie chowając noża do pochwy.

W PAŁACU CHANA, 23:19. Lekarz trzymał chana za nadgarstek i jeszcze raz sprawdzał tętno.

- Musi pan dużo wypoczywać, Wasza Wysokość - powiedział z niepokojem w głosie - i zażywać jedną z tych pastylek co trzy godziny.

- Co trzy godziny... tak - odparł słabym głosem Abdollah-chan. Ciężko oddychał. Spoczywał

duszkach rozłożonych na łożu z grubych dywanów. Obok stały Nadżud, jego najstarsza, trzydziestopięcioletnia córka, i Aisza siedemnastoletnia trzecia żona. Obie kobiety pobladyły.

Dwaj strażnicy pilnowali drzwi, a Ahmed przyklęknął koło doktora. - Teraz... teraz zostawcie mnie samego.

- Przyjadę o świcie ambulansem i...

- Żadnego ambulansu! Zostaję tutaj! - Chan poczerwieniał, przez klatkę piersiową przeszła kolejna fala bólu. Wszyscy patrzyli na niego, wstrzymując oddech. Gdy mógł już mówić, powtórzył gardłowym głosem: - Zostaję tutaj.

- Wasza Wysokość! Minał już jeden atak serca, dzięki Bogu dość łagodny. - Lekarz mówił

łamiącym się głosem. - Nigdy nie wiadomo, czy to się nie powtórzy... Tutaj nie mam sprzętu, a pan powinien leżeć na oddziale intensywnej terapii.

- Czego... czego tylko pan potrzebuje, proszę to sprowadzić. Ahmed, dopilnuj tego!

- Tak, Wasza Wysokość. - Ahmed spojrzał na doktora.

Lekarz schował stetoskop i aparat do pomiaru ciśnienia do staroświeckiej torby. Przy drzwiach włożył buty i wyszedł. Nadżud i Ahmed ruszyli za nim. Aisza zawahała się. Była niska i drobniutka, zamężna od dwóch lat; miała syna i córkę. Chan był nienaturalnie blady, rzeził, z trudem łapał powietrze. Przysunęła się bliżej i wzięła go za rękę, ale on ze złością wyszarpnął dłoń i przesunął ją po piersi, obrzucając żonę przekleństwami. Aisza przestraszyła się jeszcze bardziej.

Za drzwiami w holu doktor zatrzymał się. Miał starą i pooraną zmarszczkami twarz i siwe włosy. Wyglądał na starszego, niż naprawdę był.

- Wasza Wysokość - zwrócił się do Nadżud - on powinien leżeć w szpitalu. Szpital w Tebrizie nie jest za dobry. Najlepszy byłby Teheran. Powinien być w Teheranie, choć podróż... To lepsze niż zostawanie tutaj. Ciśnienie krwi jest zbyt wysokie, już od lat zbyt wysokie, ale, no cóż, wedle woli Boga.

- Dostarczymy tu wszystko, czego pan potrzebuje - oświadczył Ahmed.

- Bzdury! - rzucił ze złością lekarz. - Nie mogę tu przywieźć sali operacyjnej, apteki i aseptycznego otoczenia!

- Czy on umrze? - zapytała Nadzud z szeroko rozwartymi oczami.

- W czasie oznaczonym przez Boga, tylko wtedy. Ciśnienie jest o wiele za wysokie... Nie jestem magikiem i nie mamy odpowiednich urządzeń. Czy domyśla się pani, co wywołało atak? Kłócił się z kimś, czy coś w tym rodzaju?

- Nie, nie było kłótni, ale na pewno chodzi o Aza-deh. To znowu ona, ta moja przyrodnia siostra. - Nadzud załamała ręce. - To ona. Wczoraj rano uciekła z sabotażystą, to...

- Z jakim sabotażystą? - zapytał zdumiony lekarz.

- Z tym, którego wszyscy szukają, z wrogiem Iranu. Jestem pewna, że on jej nie porwał. Ona na pewno z nim uciekła. Jak mógłby ją porwać z samego środka pałacu? To ona wprawiła Jego Wysokość w taki gniew. Wszyscy od wczoraj żyjemy w strachu...

Głupia wiedźma! - pomyślał Ahmed. Ten nieprzypadkowy dziki wybuch wywołali ludzie z Teheranu: Hasze-mi Fazir i znający farski niewierny. Wywołało go to, czego zażądali od mojego pana, i to, na co mój pan wyraził zgodę. A to przecież taka drobna sprawa: wydanie im Sowiet, który udawał przyjaciela, a jest wrogiem. Mój pan sprytnie to wszystko rozegra; pojutrze spalona ofiara trafia przez granicę do sieci, a dwaj wrogowie z Teheranu wracają i także wpadają do sieci. Wkrótce mój pan podejmie decyzję i będę mógł działać. Na razie Azadeh i sabotażystą są bezpiecznie zablokowani w wiosce, na łasce mojego pana. To dobrze, że naczelnik zawiadomił nas natychmiast o ich przybyciu. Tylko nieliczni ludzie na ziemi są tak sprytni, jak Abdol-lah-chan, a tylko Bóg wyznaczy datę jego śmierci, nie ten pies, doktor.

30

- Musimy już iść - powiedział. - Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale musimy załatwić pielęgniarkę, lekarstwa i trochę sprzętu medycznego. Doktorze, powinniśmy się pośpieszyć.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza. Aisza była jeszcze bledsza niż przed chwilą.

- Ahmed, Jego Wysokość chce, żebyś na chwilę wszedł.

Gdy Ahmed zniknął za drzwiami, Nadzud złapała lekarza za rękaw i szepnęła:

- Jaki jest stan Jego Wysokości? Musi mi pan powiedzieć prawdę. Ja muszę wiedzieć.

Doktor bezradnie uniósł ręce.

- Nie wiem, nie wiem. Spodziewałem się czegoś gorszego niż to... już od roku albo nawet dłużej. Atak był łagodny. Następny może być silny lub łagodny, za godzinę lub za rok.

Naprawdę nie wiem.

Nadzud wpadła w panikę w chwili, gdy parę godzin temu chan upadł. Gdyby zmarł, prawnym dziedzicem byłby Hakim, brat Azadeh - obaj bracia Nadzud zmarli jeszcze w dzieciństwie.

Syn Aiszy miał tylko roczek. Chan nie miał żyjących braci, zatem jedynym dziedzicem pozostawał Hakim. Popadł jednak w niełaskę i został wydziedziczony, a więc pozostawała 12

regencja. Jej mąż, Mahmud, był najstarszym z zięciów; mógłby być regentem, gdyby Abdollah nie wydał innego polecenia.

Dlaczego miałby to zrobić? - pomyślała, czując, że jej żołądek zmienia się w bezdenną otchłań. Ojciec wie, że mogę kierować swym mężem i zapewnić potęgę naszego rodu. Syn Aiszy - phi, chorowite dziecko, tak chorowite jak matka. Będzie, jak zechce Bóg, ale małe dzieci często umierają. On nie jest zagrożeniem. Ale Hakim? Hakim tak.

Pamiętała, jak poszła do chana, gdy Azadeh wróciła ze szkoły w Szwajcarii.

- Ojczy, przynoszę ci złe wieści, ale musisz znać prawdę. Podśluchałam Hakima i Azadeh, Wasza Wyso-31

kość. Ona mu powiedziała, że nosiła w sobie dziecko, ale pozbyła się go z pomocą lekarza.

- Co?

- Tak... tak, słyszałam, jak to mówiła.

- Azadeh nie mogła... Azadeh nie... Azadeh tego nie zrobiła!

- Zapytaj ją. Błagam, nie mów jej, skąd o tym wiesz, zapytaj ją w imieniu Boga, niech ją zbada lekarz... Ale to jeszcze nie wszystko. Wbrew twjej woli Hakim nadal chce zostać pianistą. Powiedział jej, że zamierza uciec. Prosił Azadeh, żeby pojechała z nim do Paryża.

Powiedział, że tam będzie mogła „wyjść za swego kochanka”, ale ona, ale Azadeh, powiedziała: „Ojciec zmusi cię do powrotu, zmusi nas. Nie dopuści do tego, żebyśmy wyjechali bez jego zezwolenia, nigdy”. Potem Hakim powiedział: „Ja pojadę. Nie zamierzam zostać tutaj i zmarnować sobie życia. Jadę!” Na to ona: „Ojciec nigdy do tego nie dopuści, nigdy!” „Więc niech lepiej umrze”, odparł Hakim, a ona rzekła: „Zgoda”.

- Ja... ja w to nie mogę uwierzyć!

Nadżud pamiętała, jak spurpurowiał na twarzy i jak się wtedy przestraszyła.

- W obliczu Boga - powiedziała - słyszałam to, Wasza Wysokość, w obliczu Boga... Potem powiedzieli, że muszą przygotować plan, że muszą... - Zadrżała, gdy ryknął na nią i rozkazał, żeby dokładnie powtarzała ich słowa. - Hakim powiedział dokładnie tak: „Trochę trucizny w jego chałwie albo w napoju... Moglibyśmy przekupić jakiegoś strażnika, żeby go uśmiercił, albo otworzyć w nocy bramę zabójcom... są setki sposobów. Otaczają nas tysiące wrogów, którzy mogą to za nas zrobić. Wszyscy go nienawidzą. Musimy się zastanowić i czekać cierpliwie”...

Łatwo było snuć tę opowieść; zagłębiała się coraz bardziej w gąszcz kłamstw, aż wkrótce sama w nie uwierzyła - choć nie do końca.

Bóg mi wybaczy, powiedziała sobie, ufna jak zawsze. Bóg mi wybaczy. Azadeh i Hakim zawsze nas nienawidzili, nie znosili naszej rodziny, chcieli, żebyśmy umarli, 32

poszli na wygnanie, chcieli sami przejąć całe nasze dziedzictwo, oni i ta czarownica, ich matka. Nie dbała o mnie. Bez troski wydała mnie za męża za tego gamo-niowatego Mahmuda, tego śmierdzącego impotentą, nędznego, chrapiącego gamonia. Zmarnowała mi życie. Mam nadzieję, że mój mąż umrze, że zjedzą go robaki, ale nie wcześniej niż zostanie chanem, tak żeby mój syn odziedziczył po nim tytuł.

Ojciec musi przed śmiercią pozbyć się Hakima. Niech Bóg nie pozwoli mu umrzeć, zanim tego nie zrobi. Azadeh musi być poniżona, wygnana, zniszczona. Albo jeszcze lepiej: złapana na cudzołożeniu z tym sabotaży-stą. Och, tak. Wtedy moja zemsta byłaby dokonana.

Piątek

23 lutego 1979

OKOLICE TEBRIZU JEDEN, W WIOSCE ABU MARD, 6:17. O świcie twarz innego Mahmuda, islam-sko-marksistowskiego mułły, wykrzywił gniew.

- Czy położyłaś się z tym człowiekiem? - ryczał. - W obliczu Boga, położyłaś się z nim?

Przerażona Azadeh klęczała przed nim.

13

- Nie masz prawa wpadać...

- Czy leżałaś z tym mężczyzną?

- Jestem... jestem wierna swojemu mężowi - wydy-szała. Jeszcze przed chwilą ona i Ross siedzieli na dywanach w chacie, pospiesznie przełykając posiłek, który przyniosła. Byli szczęśliwi, gotowi do drogi. Naczelnik przyjął z wdzięcznością pizkesz i podziękował

wylewnie. Dostał cztery złote rupie; jedną Azadeh dała po cichu jego żonie. Naczelnik poradził im, żeby wymknęli się z wioski od strony lasu, gdy skończą jeść, 37

i życzył im wszystkiego najlepszego. Potem drzwi otworzyły się z hukiem. Wbiegli jacyś obcy, po krótkiej szamotaninie uporali się z Rossem i wywlekli ich oboje na dwór, rzucając ją do stóp Mahmuda i bijąc Rossa.

- Jestem wierna, przysięgam. Jestem wier...

- Wierna? Dlaczego nie jesteś w czadorze? - krzyknął mułła.

Wokół nich zgromadziła się w milczeniu większość przestraszonych mieszkańców wioski.

Pół tuzina uzbrojonych mężczyzn oparło się na karabinach; dwaj z nich stali nad Rossem, który leżał nieprzytomny z twarzą w śniegu. Z czoła sączyła się strużka krwi.

- Ja... ja noszę czador, ale... zdjęłam go na chwilę przy jedzeniu.

- Zdjęłaś czador w chacie przy zamkniętych drzwiach, jedząc z obcym? Co jeszcze zdjęłaś?

- Nic, nic - broniła się, owijając ciaśniej parką. - Po prostu jadłam, a on nie jest obcym, tylko moim starym... starym przyjacielem mojego męża - poprawiła się szybko, ale to potknięcie nie pozostało nie zauważone.

- Abdollah-chan jest moim ojcem, a wy nie macie prawa...

- Stary przyjaciel? Jeśli rzeczywiście nie jesteś winna, nie masz się czego obawiać! W

obliczu Boga, leżałaś z nim? Przysięgnij!

- Kalandarze, wyślij kogoś do mojego ojca, wyślij!

- Kalandar nawet nie drgnął. Wszyscy obecni przesywali ją wzrokiem. Bezradnie spojrzała na strużkę krwi na śniegu; jej Johnny jęknął. - Przysięgam na Boga, że jestem wierna swemu mężowi! - zawyła.

Przeszywający krzyk wstrząsnął wszystkimi; dotarł nawet do Rossa i przywrócił go do przytomności.

- Odpowiedz na pytanie, kobieto! Tak czy nie? W imieniu Boga, leżałaś z nim czy nie?

- Mułła stał nad nią jak chory sęp. Mieszkańcy wioski czekali; czekali wszyscy, nawet drzewa i wiatr, nawet Bóg.

In sza'a Allah!

38

Opuścił ją strach, jego miejsce zajęła nienawiść. Odwzajemniła spojrzenie Mahmuda. Wstała.

- Przysięgam na Boga, że zawsze byłam wierna mojemu mężowi - wyrecytowała starannie. -

W imieniu Boga, tak, kochałam tego człowieka wiele lat temu.

Wielu obecnych aż zadygotało; Ross był przerażony: nie powinna tego mówić.

- Nierządniczo! Upadła kobieto! Przyznałaś się do winy. Zostaniesz ukarana zgodnie...

- Nie - krzyknął Ross. Dźwignął się na kolana, ignorując wymierzone w niego lufy karabinów dwóch mudzaheddinów. - To nie była wina Jej Wysokości. To ja jestem winny.

Tylko ja, tylko ja!

- Nie bój się, niewierny, zostaniesz ukarany - powiedział Mahmud i zwrócił się do wieśniaków: - Słyszeliście wszyscy, że ta nierządnica przyznała się do nierządu. Słyszeliście też, że i niewierny przyznał się do nierządu. Dla niej istnieje tylko jedna kara, a co do niewiernego... Co powinniśmy zrobić z niewiernym?

Mieszkańcy wioski czekali. Ten mułła nie był ich mułłą ani mułłą ich wioski. Nie był też prawdziwym mułłą, tylko islamsko-marksistowskim. Przybył bez zaproszenia. Nikt nie wiedział, dlaczego przyszedł. Przybył nagle jak gniew boży, razem z lewakami - także nie z 14

ich wioski. Nie prawdziwy szyita, tylko oszołom. Czyż imam nie powtarzał pięćdziesiąt razy, że tacy ludzie są szaleńcami, którzy udają tylko służbę bożą, czcząc skrycie szatana Marksa-Lenina?

- No i jak? Czy on powinien dzielić z nią karę? Nikt mu nie odpowiedział. Mułła i jego ludzie mieli

broń.

Azadeh czuła, że wszyscy się w nią wpatrują, ale nie mogła już nawet się poruszyć ani nic powiedzieć. Stała na dygoczących nogach; wszystkie głosy dochodziły do niej jakby z oddali, nawet krzyk Rossa.

- Nie macie prawa nas sądzić. Plugawicie imię Boga! Jeden z mężczyzn popchnął go brutalnie na ziemię

i przycisnął szyję obcasem.

39

- Wykastrować go i spokój - zaproponował.

- Nie, to kobieta go skusiła - sprzeciwił się inny.

- Sam widziałem, jak wczoraj w chacie podniosła dla niego czador. Popatrzcie na nią, nawet teraz kusi nas wszystkich. Gzy dla niego nie wystarczy sto batów?

- On położył na niej ręce - dodał następny mężczyzna. - Odetnijmy mu dłonie!

- Dobrze - zgodził się Mahmud. - Najpierw dłonie, potem baty. Zwiążcie go!

Azadeh chciała krzyknąć, lecz nie mogła wydobyć głosu z gardła. Waliło jej serce, wywracał

się żołądek, umysł przestał pracować. Widziała, jak stawiają wrywającego się i kopiącego Johnny'ego na nogi i przywiązują go do belek sterczących ze ściany chaty. Stała jej przed oczami scena z dzieciństwa: ona i Hakim, rozbawieni, rzucali kamieniami w kota. Kot pisnął, zwinął się padając, a potem próbował odpełznąć. Piszczął przeraźliwie, aż wreszcie zastrzelił

go jeden ze strażników. Ale teraz... Wiedziała, że nikt jej nie zastrzeli. Rzuciła się na Mahmuda z przeraźliwym skowytym, z przygotowanymi do zadania ciosu paznokciami, lecz opuściły ją siły i upadła.

Mahmud spojrzał w dół, na nią.

- Postawcie ją pod ścianą - rzucił do jednego ze swych ludzi. - Potem niech ktoś przyniesie jej czador.

- Odwrócił się i spojrzał na wieśniaków. - Kto tu jest rzeźnikiem? Kto jest wioskowym rzeźnikiem? - Nikt nie odpowiedział. Głos Mahmuda nabrał ostrzejszego brzmienia. -

Kalandarze, kto jest twoim rzeźnikiem?

Naczelnik wskazał szybko niskiego mężczyznę w prymitywnie uszytym stroju.

- Abrim, Abrim jest naszym rzeźnikiem.

- Idź i przynieś swój najostrzejszy nóż - rozkazał Mahmud. - Reszta niech zbiera kamienie.

Abrim ruszył, żeby wykonać polecenie.

- Wedle woli Boga - pomrukiwali między sobą mieszkańcy wioski.

- Czy widzieliście kiedyś kamienowanie? - zapytał ktoś.

40

- Ja raz widziałam - odpowiedziała mu sędziwa staruszka. - To było w Tebrizie, gdy byłam małą dziewczynką. - Zadrżał jej głos. - Cudzołożnica była żoną kupca z bazaru, tak, pamiętam, była żoną kupca. Jej kochanek też był kupcem. Oderwali mu głowę przed meczetem, a potem mężczyźni ukamienowali kobietę. Kobiety też mogły rzucać kamieniami, ale nie chciały. Nie widziałam, żeby któraś to robiła. To trwało długo, to kamienowanie.

Potem przez wiele lat słyszałam te krzyki...

- Cudzołóstwo jest wielkim grzechem i musi być ukarane, ktokolwiek byłby grzesznikiem, nawet ona. Koran mówi, że mężczyzna otrzymuje sto batów... mułła decyduje, nie my -

powiedział kalandar.

- Ale on nie jest prawdziwym mułłą, a imam przed takimi ostrzegał!

15

- Mułła jest mułłą, prawo prawem - oświadczył ponuro kalandar. W skrytości duszy chciał

poniżenia chana i zniszczenia tej kobiety, która siała kiedyś nowe i obrazoburcze myśli w umysłach ich dzieci. - Zbierajcie kamienie.

Mahmud stał na śniegu, nie zwracając uwagi na zimno, wieśniaków i sabotażystę, który jęczał

i przeklinał, szarpiąc wściekle więzy, ani też na bezwładną kobietę pod ścianą.

Rano, jeszcze przed świtem, gdy zbliżał się do bazy, żeby ją przejąć, usłyszał, że w wiosce jest sabotażysta i o n a. Ona, z sauny, pomyślał ze wzrastającym gniewem, ona, która tak dumnie paradowała, wysoko urodzony pomiot przeklętego chana, który udaje naszego patrona i który zdradził nas, i zdradził mnie. Zeszłej nocy napuścił na mnie zabójców; ogień karabinu maszynowego przed meczetem po ostatniej modlitwie zabił wielu, mnie jednak nie.

Chan próbował mnie zabić! Mnie, chronionego świętym słowem islamu połączonym z marksizmem-leninizmem, co jest jedynym sposobem zbawienia świata.

Spojrzał na nią. Zobaczył długie nogi, opięte niebieskimi narciarskimi spodniami, i białą narciarską kurtkę.

41

Nierządnicą, pomyślał, czując do niej wstręt za to, że go kusiła. Jeden z jego ludzi zarzucił na nią czador. Jęknęła, ale nie wyrwała się z odrętwienia.

- Jestem gotowy - oświadczył rzeźnik, obracając w palcach nóż.

- Najpierw prawa ręka - powiedział Mahmud do swych ludzi. - Zwiążcie go powyżej nadgarstków.

Zawiązali mocno pasy materiału, oderwane od worka zasłaniającego okno. Wieśniacy przeciskali się do przodu, żeby lepiej widzieć, a Ross użył wszystkich sił, by nie dać ujścia swemu przerażeniu; widział tylko ospowatą twarz nad nożem do ćwiartowania, zmierzwiłone wąsy i brodę, puste oczy, kciuk próbujący odruchowo ostrza. Skoncentrował spojrzenie.

Zobaczył, że Azadeh budzi się z odrętwienia, i przypomniał sobie.

- Granat! - zawył. - Azadeh, granat!

Usłyszała go i sięgnęła do bocznej kieszeni, podczas gdy Ross krzychał, ściągając uwagę wszystkich na siebie.

Rzeźnik klnąc wysunął się do przodu, chwycił mocno prawą dłoń Rossa, wpatrując się w nią z uwagą. Z nożem w pogotowiu obracał dłoń- w różne strony, zastanawiając się, w którym miejscu stawu przeciąć ścięgna. Dało to Azadeh czas. Zebrała się w sobie i ruszyła pędem, przecinając mały placyk. Z rozpędu popchnęła rzeźnika, który upuścił nóż. Odwróciła się do Mahmuda, wyrwała zawleczkę i stała tak, dygocząc i przytrzymując rączkę małą, delikatną dłonią.

- Precz! - wrzasnęła. - Precz stąd!

Mahmud nie poruszył się. Wszyscy inni rozbiegli się w popłochu, klnąc i krzyjąc, deptając po kimś, kto się przewrócił.

- Azadeh, szybko, tutaj - zawołał Ross. Usłyszała go jak przez mgłę i usłuchała. Zasłoniła sobą Rossa, nie spuszczać wzroku z Mahmuda. W kąciu jej ust pojawiła się piana. Ross zobaczył, że Mahmud odwraca się i podchodzi do jednego ze swych ludzi stojących poza zasięgiem rażenia granatu. Jęknął, wiedząc, co się teraz stanie.

- Szybko, podnieś nóż i odetnij mnie - rzucił. - Nie puszczaj rączki. Ja ich obserwuję.

Zobaczył, że mułłą bierze karabin od jednego ze swych ludzi, odciąga kurek i odwraca się w ich stronę. Azadeh miała już w ręku rzeźnicki nóż i sięgała do więzów krępujących jego prawą rękę. Wiedział, że kula ją zabije lub zrani, rączka odpadnie, cztery sekundy i ich oboje ogarnie zapomnienie; to dobrze: szybko, bez cierpień i hańby. - Zawsze cię kochałem, Azadeh - szepnął, uśmiechnął się, a potem jeszcze odwzajemnił jej uśmiech.

Huknął strzał. Serce Rossa na moment przestało bić. Potem następne strzały. To nie Mahmud.

Strzały padały z lasu, a mułła krzyczał i wił się na śniegu. Rozległ się okrzyk:

- Allahu Akbar! Śmierć wrogom Boga! Śmierć lewakom! Śmierć wrogom imama!

16

Rycząc z gniewu, jeden z mudzaheddinów ruszył do ataku i poległ. Reszta rzuciła się do ucieczki, desperacko szukając schronienia. W ciągu kilku sekund placyk opustoszał, jeśli nie liczyć jęczącego Mahmuda. Czteroosobowy zespół zabójców z Tude, którzy śledzili go od świtu, uciszyli rannego serią z broni maszynowej i wycofali się tak cicho, jak przybyli.

Ross i Azadeh spojrzeli tępo na opustoszałą wioskę.

- To niemożliwe... niemożliwe - mruzczała, nie mogąc pozbierać myśli.

- Nie puszczaj rączki - powiedział chrapliwym głosem. - Szybko, przetnij więzy, szybko!

Nóż był bardzo ostry. Azadeh trzęsły się ręce. Przecinała pasy długo, skaleczyła go w rękę, ale niegroźnie. Gdy tylko mógł, chwycił granat. Choć czuł mrowienie w obolałych dłoniach, odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że trzyma rączkę. Wszedł do chaty, odnalazł kukri, który zaplątał się w koc podczas szamotaniny, włożył go do pochwy i sięgnął po karabinek.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Azadeh, szybko. Bierz czador i plecak. Idź za mną. - Wlepiała w niego wzrok. - Prędko!

42

43

Uśluchała go jak automat, a on wyprowadził ją z wioski do lasu, trzymając w prawej ręce granat, a w lewej karabin. Potykając się biegli przez piętnaście minut; zatrzymał się i zaczął

nasłuchiwać. Nikt ich nie ścigał. Azadeh ciężko dyszała. Zobaczył, że ma plecak, ale zapomniała o czadorze. Jej jasnoniebieskie spodnie narciarskie odcinały się wyraźnie od śniegu i drzew. Ruszył naprzód, a ona potykając się pobiegła za nim. Kolejne sto metrów i nadal spokojnie.

Jeszcze nie możemy się zatrzymać. Zwolnił kroku, czując klucie w boku. Był bliski wymiotów; granat nadal w pogotowiu, potykająca się Azadeh. Odnalazł ścieżkę prowadzącą na tyły bazy. Nikt ich nie ścigał. Ross zatrzymał się na wzniesieniu za kontenerem Erikiego, czekając na Azadeh. Poczuł, że żołądek mu ciąży; zatoczył się, upadł na kolana i zwymiotował. Niepewnie wstał i wszedł dalej na wzniesienie, szukając miejsca bardziej osłoniętego. Azadeh dołączyła do niego. Dyszała ciężko, oddech wydobywał się z płuc z głośnym świstem. Osunęła się na śnieg, czując mdłości.

W dofe, obok hangaru, Ross zobaczył 206. Jeden z mechaników mył kadłub. Dobrze, pomyślał Ross,

może szykuje go do lotu. Trzej uzbrojeni rewolucjoniści naradzali się, paląc na werandzie, w miejscu osłoniętym od wiatru. Poza tym żadnego śladu życia, choć z kominów baraku Erikkiego, kontenera mechaników i kuchni unosił się dym. Ross mógł

sięgnąć wzrokiem aż do drogi. Zapora nie zniknęła; stało przed nią właśnie kilka samochodów osobowych i ciężarówek.

Powrócił wzrokiem do ludzi na werandzie. Przypomnił sobie ciało Guenga, rzucone jak worek kości na brudną podłogę ciężarówki. Może pod stopy tych właśnie mężczyzn, może innych. Od nagłego przyływu gniewu aż rozbolała go głowa. Zerknął na Azadeh. Skurcz już jej przeszedł, choć nadal znajdowała się w szoku. Nie widziała go; na brodzie trochę śliny i wymiocin. Wytarł jej twarz swoim rękawem.

- Już w porządku. Trochę odpoczniemy, a potem ruszamy dalej.

44

Skinęła' głową i podparła się ramionami, przenosząc się raz jeszcze do swego własnego świata. Ross powrócił do obserwowania bazy.

Minęło dziesięć minut; zmieniło się niewiele. W górze pokrywa brudnych chmur wezbrała śniegiem. Dwaj uzbrojeni mężczyźni weszli do biura; widział ich od czasu do czasu w oknach. Trzeci mężczyzna nie zwracał uwagi na 206. Żadnego innego ruchu. Z kuchni wyłonił się kucharz, oddał mocz na śnieg i wrócił do wnętrza. Upłynęło jeszcze trochę czasu.

Teraz jeden ze strażników wyszedł z biura i ruszył przez śnieg do kontenera mechaników; na jego ramieniu wisiał karabin M16. Otworzył drzwi i wszedł. Po chwili wyszedł razem z wysokim Europejczykiem w lotniczym kombinezonie i jeszcze kimś. Ross rozpoznał pilota 17

Noggera Lane'a i mechanika. Mechanik powiedział coś do Lane'a, pomachał ręką i wrócił do kontenera. Strażnik i pilot ruszyli w kierunku 206.

Wszyscy namierzeni, pomyślał z bijącym sercem Ross. Niezręcznie sprawdził karabin; przeszkadzał mu granat trzymany w prawej dłoni. Przełożył ostatnie dwa zapasowe magazynki z chlebaka do kieszeni. Nagle ogarnęła go fala strachu. Chciał uciekać, och, Boże, pomóż mi, bieć, ukryć się, płakać, być w domu, gdziekolwiek indziej...

- Azadeh, schodzę teraz na dół. - Zmusił się, żeby to powiedzieć. - Przygotuj się. Pobiegniesz do helikoptera, gdy pomacham ręką albo krzyknę. Gotowa? - Zobaczył, że skinęła głową i poruszyła wargami, tak jakby potwierdzała, ale nie był pewien, czy coś do niej dotarło.

Powtórzył jeszcze raz to samo i uśmiechnął się, żeby dodać jej odwagi. - Nie martw się.

W milczeniu skinęła głową.

Poluzował w pochwie kukri i wyszedł na szczyt wzgórza, jak dzika bestia szukająca pożywienia.

Zszedł za barak Erikkiego i ukrył się za sauną. Ze środka dochodziły głosy dzieci i kobiety.

Spierzchnięte usta, granat ogrzany ciepłem dłoni. Przemykając pomiędzy ogromnymi blaszanymi beczkami, stosami elemen-45

tów rury, piłami tarczowymi i sprzętem do wyrębu lasu, zbliżał się do pomieszczenia biurowego. Człowiek na werandzie spojrzął obojętnie na strażnika i pilota, podchodzących do hangaru. Otworzyły się drzwi biura; pojawił się nowy strażnik, a obok niego jakiś inny mężczyzna: starszy, wyższy, gładko ogolony, chyba Europejczyk, lepiej ubrany, ze stenem.

Na grubym skórzanym pasie wisiał kukri w pochwie.

Ross puścił rączkę granatu. Odpadła. - Jeden, dwa, trzy. - Wypadł z ukrycia, rzucił granat w kierunku odległego o czterdzieści metrów człowieka na werandzie i schował się za zbiornikiem, szykując drugi granat.

Widzieli go. Na chwilę zamarli bez ruchu. Gdy rzucili się na ziemię, granat eksplodował.

Zburzył werandę, zabił jednego człowieka, ogłuszył drugiego, okaleczył trzeciego. Ross, z karabinkiem gotowym do strzału, wyskoczył na otwartą przestrzeń; w prawej dłoni drugi granat, palec wskazujący na spuście. Na werandzie nic się nie poruszyło. Obok hangaru mechanik i pilot rzucili się na ziemię, osłaniając rękami głowy. Strażnik ruszył w stronę hangaru i po chwili nie był już osłonięty. Ross wypalił i chybił. Skoczył do hangaru, zauważył boczne drzwi i zmienił kierunek. Otworzył drzwi i skoczył do środka. Wróg czaił

się za silnikiem, mierząc w główne drzwi. Ross odstrzelił mu głowę

- seria zahuczała w pomieszczeniu z falistej blachy

- i podbiegł do głównych drzwi. Wyjrzał; zobaczył Noggera i mechanika, rozpląszczonych na śniegu koło 206. Jeszcze z ukrycia zawołał do nich:

- Szybko! Ilu ich jeszcze jest? - Żadnej odpowiedzi.

- Na rany Chrystusa, odpowiedzcie!

Nogger Lane uniósł pobladłą twarz.

- Nie strzelać, jesteśmy cywilami, Anglikami, nie strzelaj!

- Ilu ich jest?

- Było... było pięciu... pięciu... ten tutaj, a reszta w... w biurze... chyba w biurze.

Ross podbiegł do tylnych drzwi, opadł na podłogę i wyjrzał. Żadnego ruchu. Biuro oddalone było o pięć-

dziesiąt metrów - jedynym ukryciem była ciężarówka. Zerwał się na nogi i pobiegł. Pociski zagrzechotały o metal. Przypadł do ciężarówki i spojrział. Zobaczył, że ktoś strzela seriami przez wybite okno biura.

Za ciężarówką nieco martwego pola ostrzału, a tam rów prowadzący w zasięg ognia. Jeśli zostaną w ukryciu, są moi. Jeśli wyjdą - a powinni, wiedząc, że jestem sam - ich będzie na wierzchu.

Poczołgał się na brzuchu do przodu, żeby zabić. Wszystko zamarło: wiatr, ptaki, nieprzyjaciel. Wszystko zamarło w oczekiwaniu. Był już w rowie i powoli posuwał się naprzód. Przybliżył się. Głosy i skrzypnięcie drzwi. Znow cisza. Następny metr. Jeszcze jeden. Teraz! Starannie wbił czubki butów w śnieg, uniósł się nieco na kolanach, zwolnił

dźwignię granatu, policzył do trzech, zerwał się na nogi, pośliznął, ale zdołał utrzymać równowagę, i wrzucił granat przez otwarte okno, obok stojącego w nim człowieka z karabinem, po czym szybko padł na śnieg. Wybuch przerwał stukot pistoletu maszynowego, omal nie niszcząc bębenków w uszach Rossa, który znow zerwał się na nogi i popędził w stronę kontenera, nieustannie strzelając. Nagle skończyła się amunicja. Poczł skurcz żołądka, który ustąpił dopiero wtedy, gdy udało mu się wyjąć pusty magazynek i założyć nowy. Strzelił na wszelki wypadek do człowieka z pistoletem maszynowym w oknie i zatrzymał się.

Cisza. Potem krzyk. Ostrożnie wywalił kopnięciem zrujnowane drzwi i wszedł na werandę.

Ten, który krzyczał, nie miał nóg, był otepiały, lecz jeszcze żył. Miał przytroczony do pasa kukri. Nóż Guenga. Furia zaślepiła Rossa; wyrwał kukri z pochwy.

- Zdobyłeś to przy zaporze? - ryknął w farsi.

- Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi... - Potem jakiś obcy język, a potem: - ...kimkolwiek jesteś... pomóż mi... - Mężczyzna wył, wyrzucając z siebie 'ładne słowa: - Poomózzz mmmi, tak, zabiłem sabr pomóż...

Z mrozącym krew w żyłach okrzykiem cios. Gdy odzyskał zdolność widzenia, u /

Twarz należała do głowy, którą trzymał w lewej ręce. Przepelniony odrazą odrzucił głowę i odwrócił się. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Potem odzyskał

równowagę umysłu. Wciągnął w nozdrza woń krwi i kordytu. Stwierdził, że stoi otoczony szczątkami kontenera, i rozejrzał się dookoła.

Baza zamarła, lecz w jej kierunku biegli ludzie z zapory na drodze. Lane i mechanik nie podnieśli się jeszcze ze śniegu. Ruszył biegiem w ich kierunku, starając się pozostać niewidoczny dla zbliżających

się od drogi mężczyzn.

Nogger Lane i mechanik Arberry ujrzeli go i zastygli w przerażeniu - zmierzwiona broda i włosy, dzikie spojrzenie maniakałnego koczownika, mudzaheddina czy fedaina mówiącego płynnie po angielsku. Dłonie i rękawy zbroszone krwią z głowy, którą kilka chwil wcześniej odciął na ich oczach jednym ciosem noża, wydając nieludzki okrzyk. Skrwawione ostrze noża trzymanego w rękę, drugi nóż w pochwie, karabin w ręce. Ukłękli z podniesionymi rękoma.

- Nie zabijaj nas, jesteśmy przyjaciółmi, cywilami, nie żabi...

- Zamknijcie się! Szykować się do startu. Szybko! Nogger Lane oniemiał.

- Co?

- Na rany Chrystusa, prędeż - rzucił ze złością Ross. Widok ich twarzy wprawił go w furję; nie zdawał sobie sprawy ze swojego wyglądu. - Ty. - Wymierzył w mechanika ostrze kukri Guenga. - Widzisz to wzniesienie?

- Tak... tak, proszę pana - wykrztusił Arberry.

- Pobiegnij tam najszybciej, jak możesz, i przyprowadź panią. Ona tam czeka... - Urwał, widząc Azadeh, która wyszła z lasu i zaczęła zbiegać ze wzniesienia. - Zapomnij o tym. Leć i przyprowadź drugiego mechanika. Prędko, na Boga, te sukinsyny z blokady mogą lada chwila tu dotrzeć. Jazda, pospiesz się! - Arberry pobiegł. Bał się tego człowieka, ale jeszcze bardziej ludzi

48

19

nadbiegających od strony drogi. Ross wrzasnął do Noggera Lane'a: - Powiedziałem, żebyś startował!

- Tttak... tak... ta kobieta, czy to nie Azadeh, Azadeh Erikkiego?

- Tak. Powiedziałem: startuj!

Nogger Lane nigdy przedtem nie uruchomił 206 tak szybko; mechanicy nigdy jeszcze tak szybko się nie ruszali. Azadeh miała do przebycia sto metrów, a wrogowie byli za blisko.

Ross skoczył pod wirującym śmigłem, wbiegł pomiędzy nią a atakujących i opróżnił

magazynek. Przypadli do ziemi, a on z przekleństwem na ustach cisnął w ich kierunku pusty magazynek. Pokazało się kilka głów. Jeszcze jedna seria i jeszcze jedna, ostrożnie, trzeba oszczędzać amunicję. Głowy schowały się. Azadeh była już blisko, lecz zwalniała. Ostatkiem sił minęła Rossa i zatoczyła się na drzwi kabiny. Mechanicy wciągnęli ją do środka. Ross wycofując się oddał kolejną serię strzałów i wskoczył na fotel z przodu. Wzniesli się i odlecieli.

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH W KOWISSIE,

17:20. Starke wziął swoją kartę i obejrzał ją. As pikowy. Odchrząknął. Był zabobonny jak wszyscy piloci, ale po prostu dołożył ją do innych. W bungalowie było ich pięciu i grali w pokera ciągnionego: Freddy Ayre, doktor Nutt, Pop Kelly i Tom Lochart, który przyleciał

poprzedniego dnia z Zagrosu Trzy z kolejnym ładunkiem części zamiennych, przewożonych w ramach ewakuacji. Było już zbyt późno, żeby mógł wrócić tego samego dnia. Z powodu zakazu latania dziś, w piątek, Tom był przykuty do ziemi do świtu następnego dnia. Na ruszcie płonęły szczapy, gdyż popołudnie było chłodne. Przed mężczyznami piętrzyły się stosy riali: największy przed Kellym, najmniejszy przed doktorem Nuttem.

50

- Ile kart, Pop? - zapytał Ayre.

- Jedną - odparł bez wahania Kelly, odrzucając kartę.

Pozostałe cztery położył przed sobą na stole, koszulkami do góry. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o pomarszczonej twarzy i jasnych włosach. Był pilot RAF-u przez trzydzieści parę lat. Nazywano go „Tatą”, gdyż miał już siedmioro dzieci, a ósme było w drodze.

Ayre zamaszycie rzucił kartę na stół. Kelly przyglądał się jej przez chwilę, potem, nie zaglądając, zmieszał z innymi, a dopiero potem obejrzał prawe górne rogi trzymany w rękę kart, starannie i w skupieniu. Radośnie westchnął.

- Lipa gówno! - powiedział Ayre i wszyscy się roześmiali.

Poza Lochartem, który wpatrywał się melancholijnie w swoje karty. Starke zmarszczył brwi.

Niepokoił się o niego, ale był bardzo zadowolony z jego obecności. Chodziło o tajny list Gavallana, który John Hogg przywiózł 125.

- Tysiąc riali na otwarcie - powiedział doktor Nutt i wszyscy na niego spojrzeli. Zwykle zaczęłyby najwyżej od stu riali.

Lochart obojętnie spoglądał na trzymane w rękę karty. Nie interesował się grą, myślał o Zagrosie i Szah-razad. Zeszłej nocy BBC poinformowała o poważnych starciach podczas pochodów protestu kobiet w Teheranie, Isfahanie i Meshedzie. Na dziś i jutro planowano dalsze marsze.

- Dla mnie za dużo - oświadczył i odrzucił karty.

- Sprawdzam pana, doktorze, i dorzucam parę ty-sięczków - powiedział Starke, a pewność siebie

doktora Nutta zniknęła. Nutt dobrał dwie karty, Starke jedną, Ayre trzy.

Kelly spojrział na swego strita: 4-5-6-7-8.

- Twoje dwa tysiące, Duke, i do trzech tysięcy!

- Pasuję - powiedział od razu Ayre, odrzucając dwie pary: króle na dziesiątkach.

51

20

- Pas - powiedział z ulgą doktor Nutt, odrzucając trzy damy, które dostał przy rozdaniu.

Dziwiła go własna lekkomyślność. Był pewien, że Starke dostał strita, kolor albo fulla.

- Twoje trzy tysiące, Tata, i do trzydziestu tysięcy - powiedział słodkim głosem Starke, czując się świetnie. Rozbił parę szóstek, zatrzymując trzy kiery, i dążył do karety. As pik pokrzyżował mu szyki, ale można było wygrać, gdyby tylko udało się zmusić blefem Kelly'ego do spasowania.

Wszyscy wpatrywali się w Kelly'ego. W pomieszczeniu zapadła cisza. Zainteresował się nawet Lochart.

Starke cierpliwie czekał, opanowując swą twarz i ręce. Niepokoila go pewność siebie Kelly'ego. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli Kelly znowu go przebije. Wiedział, co powie Manuela, gdy okaże się, że postawił tygodniowy zarobek na kulawą kartę.

She'dbust a girdlefor starters, pomyślał i uśmiechnął się.

Kelly był spocony. Zauważył uśmiech Starke'a. Już raz złapał go na blefie, ale to było wiele tygodni temu i nie chodziło o trzydzieści tysięcy, tylko o cztery. Nie mogę stracić tygodniowego zarobku, pomyślał. A jednak skurczybyk może blefować. Coś mi mówi, że stary Duke blefuje; poza tym mogę wziąć forszę za nadgodziny. Kelly jeszcze raz rzucił okiem na karty, upewniając się, że jego strit nie zniknął. Oczywiście, strit to strit, na Boga, a Duke blefuje! Otworzył usta, żeby powiedzieć: „Sprawdzam; za trzydzieści tysięcy, ale powstrzymał się, mówiąc zamiast tego:

- Twoje na wierzchu, Duke.

Rzucił karty, a wszyscy wybuchnęli śmiechem. Poza Starke'em, który wziął talię, dołożył do niej swoje karty i starannie przetasował, żeby upewnić się, że nikt ich nie obejrzy.

- Założę się, że blefowałeś, Duke - powiedział z uśmiechem Lochart.

- Ja? Z pokerem? - rzucił Starke z drwiącym uśmiechem. Spojrział na zegarek. - Muszę zrobić rundkę.

52

Zostawmy to na razie, pogramy po kolacji, co? Tom, chcesz się przejść?

- Jasne. - Lochart włożył parkę i wyszedł za Star-kiem na dwór.

W normalnych czasach tę porę dnia lubili najbardziej. Przed zachodem słońca było już po lataniu, wszystkie helikoptery umyte i zatankowane na następny dzień, miłe oczekiwanie na drinka, czas na poczytanie, napisanie listów, słuchanie muzyki, jedzenie, telefon do domu, a potem spanie.

Inspekcja bazy wypadła dobrze.

- Przejdźmy się, Tom - powiedział Starke. - Kiedy wracasz do Teheranu?

- Może jeszcze dziś?

- Aż tak źle?

- Gorzej. Wiem, że Szahrazad poszła na demonstrację, chociaż mówiłem jej, żeby tego nie robiła. No i poza tym ta cała reszta...

Poprzedniego wieczoru Lochart opowiedział Star-ke'owi o jej ojcu i wszystko o HBC. Starke był przerażony; cieszył się, że nie wiedział o tym wszystkim, gdy Hosejn i jego Zielone Opaski zabrali go na przesłuchanie.

- Teraz Mac będzie na nią uważał, Tom. Upewni się, że u niej jest wszystko w porządku.

Gdy Lochart przybył, wywołali przez radio NcIvera - słyszalność dla odmiany była dobra - i poprosili go, żeby sprawdził, czy Szahrazad jest bezpieczna. Skorzystali z tego, że wolno im było raz dziennie łączyć się z biurem w Teheranie.

- Te ograniczenia skończą się, gdy tylko wrócimy do normalności, co może nastąpić już lada dzień. Będziecie mogli rozmawiać, z kim tylko zechcecie - oświadczył major Czangiz, komendant bazy. Choć pilnowała ich główna wieża bazy, to połączenia przywracały im równowagę ducha i dawały wrażenie normalności.

21

- Gdy wyczyścimy Zagros Trzy i wszyscy będziecie już tutaj, dlaczego nie wziąć w poniedziałek 206? Załatwię to z Makiem - odezwał się Starke.

53

- Dzięki, to by było pierwsza klasa.

Teraz, gdy jego własna baza była zamknięta, Lo-chart przechodził formalnie pod komendę Starke'a.

- Nie myślałeś o wyniesieniu się stąd? Mógłbyś zabrać 212 zamiast Scota. Scot będzie bezpieczny, gdy tylko wydostanie się z Zagrosu. Albo jeszcze lepiej: możecie lecieć razem.

Pogadam z Makiem.

- Dziękuję, ale nie. Szahrazad nie może teraz zostawić rodziny.

Kontynuowali spacer. Szybko zapadały ciemności, powietrze było mroźne, ale rześkie, choć unosił się w nim smród benzyny, dochodzący z pobliskiej ogromnej rafinerii. Rafineria właściwie nie działała, jeśli nie liczyć wysokich kominów, na których szczycie płonęły lotne związki ropy. W większości bungalowów i hangarów bazy, a także w kuchni, zabłyśły już światła; mieli własne generatory, na wypadek przerwy w dostawie prądu z bazy. Major Czangiz powiedział Starke'owi, że teraz już system generatorów bazy wojskowej będzie na pewno działał.

- Rewolucja się skończyła, kapitanie. Teraz rządzi imam.

- A lewacy?

- Imam kazał ich wyeliminować, chyba że podporządkują się naszemu islamskiemu państwu.

- Głos majora Czangiza brzmiał twardo i złowieszczo. - Lewacy, Kurdowie, wyznawcy bahaizmu, cudzoziemcy - wszyscy wrogowie. Imam wie, co robi.

Imam. Tak samo mówiono podczas przesłuchiwania Starke'a przez komitet Hosejna. To tak jakby był prawie świętym, pomyślał Starke. Hosejn był głównym sędzią, a jednocześnie oskarżycielem. Pomieszczenie w meczecie wypełniali wrogo nastawieni ludzie w różnym wieku, wszyscy z Zielonych Opasek. Pięciu sędziów, żadnych przypadkowych gapiów.

- Co wiesz o ucieczce wrogów islamu helikopterem z Isfahanu?

- Nic.

54

Jeden z pozostałych czterech sędziów, młodych, nieokrzesanych ludzi, niemal analfabetów, powiedział natychmiast:

- On jest winny zbrodni przeciwko Bogu i zbrodni przeciwko Iranowi. Pracuje dla amerykańskich czcicieli szatana. Winny.

- Nie - odezwał się Hosejn. - To jest sąd, który przestrzega praw Koranu. On jest tu po to, żeby odpowiadać na pytania. Nie został oskarżony o zbrodnię. Jeszcze nie. Nie jest jeszcze oskarżony o żadną zbrodnię. Kapitanie, niech pan powie wszystko, co wie, na temat zbrodni popełnionej w Isfahanie.

Powietrze w sali stało się ciężkie. Starke nie widział żadnej przyjaznej twarzy, choć wszyscy obecni wiedzieli, kim jest, i wiedzieli o walce z fedainami w Bandar Dejlami. Odczuwał

strach w postaci tępego bólu. Wiedział, że jest zdany tylko na własne siły, a właściwie jest w ich rękach.

Odetchnął głęboko i rozpoczął, starannie dobierając słowa:

- W imieniu Boga Litościwego, Miłościwego. - Tak zaczynały się wszystkie sury Koranu. W

sali powstało pełne zdziwienia poruszenie. - Ja nic nie wiem. W tym czasie byłem w Bandar Dejamie. O ile wiem, żaden z moich ludzi nie miał z tym nic wspólnego. Wiem tylko to, co powiedział mi Zataki z Abadanu, gdy wrócił z Isfahanu. Powiedział dokładnie tak:

„Słyszeliśmy, że we wtorek kilku zwolenników Szacha, sami oficerowie, uciekali na południe helikopterem pilotowanym przez Amerykanina. Bóg przeklnie wszystkich satanistów". To wszystko, co powiedział, i wszystko, co wiem.

22

- To ty jesteś satanistą - przerwał mu triumfalnie jeden z sędziów. - Jesteś Amerykaninem.

Jesteś winny.

- Jestem człowiekiem Księgi i dowiodłem już, że nie jestem satanistą. Gdyby nie ja, wielu obecnych w tej sali już by nie żyło.

- Gdybyśmy zginęli w bazie, byłibyśmy teraz w raju - krzyknął ze złością jakiś człowiek z zieloną opaską

55

z końca sali. - Wykonywaliśmy bożą pracę. To nie miało z tobą nic wspólnego, niewierny.

Okrzyki aprobaty. Nagle Starke wybuchnął gniewem.

- Na Boga i Jego proroka - krzyknął. - Jestem człowiekiem Księgi! Prorok dał nam szczególne przywileje i ochronę! - Dygotał z gniewu. Strach zniknął. Nienawidził tego operetkowego sądu, całej tej ślepoty, głupoty, ignorancji i bigoterii. - Koran mówi: O, ludzie Księgi, nie przekraczajcie w waszej religii granic prawdy ani nie naśladujcie tych, którzy weszli na bezdroża i pociągnęli za sobą innych. Ja tego nie zrobiłem! - zakończył, uderzając pięścią w stół. - Mój Bóg przeklnie tego, kto ośmielił się zadać mi kłam!

Wszyscy wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Nawet Hosejn.

Ciszę przerwał jeden z sędziów:

- Ty... ty cytujesz Koran? Czytasz po arabsku, tak jak mówisz w farsi?

- Nie, nie, ale...

- Zatem miałeś nauczyciela, mułłę?

- Nie. Czyta...

- Więc jesteś czarownikiem! - krzyknął inny sędzia. - Skąd możesz znać Koran, skoro nie miałeś nauczyciela ani nie znasz arabskiego, świętego języka Koranu?

- Czytałem po angielsku, w moim własnym języku. Znowu zdumienie i niewiara, ale Hosejn powiedział:

- To, co on mówi, jest prawdą. Koran przetłumaczono na wiele obcych języków.

Jeszcze większe zdziwienie. Jakiś krótkowzroczny młodzieniec o ospowatej twarzy spojrział na mułkę przez grube, pęknięte szkła okularów.

- Skoro przetłumaczono Koran na inne języki, ekscelencjo, to dlaczego nie ma tłumaczenia na farski, dla nas?

- Językiem Świętego Koranu jest arabski - wyjaśnił Hosejn. - Żeby znać dobrze Koran, wierny musi czytać go po arabsku. Właśnie dlatego mułowie ze wszystkich krajów uczą się arabskiego. Prorok, niech imię jego będzie chwalone, był Arabem. Bóg mówił do niego 56

w tym języku, a on to spisał dla innych. Żeby naprawdę znać Świętą Księgę, trzeba ją czytać tak jak została napisana. - Hosejn skierował spojrzenie czarnych oczu na Starke'a. -

Tłumaczenie nigdy nie dorównuje oryginałowi, prawda?

Starke spostrzegł dziwny wyraz twarzy mułki.

- Tak - odrzekł. Intuicja podpowiadała mu, że powinien się zgodzić. - Tak, rzeczywiście.

Chciałbym móc przeczytać oryginał.

Ponownie zapadła cisza. Przerwał ją młodzieniec w okularach.

- Skoro znasz Koran tak dobrze, że możesz go cytować jak mułka, dlaczego nie jesteś muzułmaninem? Dlaczego nie jesteś wiernym?

Przez salę przeszedł szum. Starke zawahał się, omal nie wpadł w panikę, Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, a wiedział, że zła odpowiedź zaprowadzi go na szubienicę. Cisza narastała.

Starke usłyszał, jak mówi:

- Dlatego, że Bóg nie zdjął jeszcze przesłony z moich uszu i nie otworzył jeszcze mojej duszy.

- Dodał spontanicznie: - Nie opieram się temu i czekam. Czekam cierpliwie.

Nastrój sali uległ zmianie. Teraz cisza nie była złowieszczą, ale pełną litości. Hosejn powiedział

łagodnym głosem:

23

- Idź do imama, a twoje oczekiwanie osiągnie kres. Imam otworzy twą duszę na chwałę Boga. Imam to zrobi, wiem to na pewno. Siedziałem u stóp imama. Słyszałem, jak imam modlił się za świat, jak ustanawiał prawa, jak siał Pokój Boży. - Obecni westchnęli i skupili uwagę na mulle. Patrzyli w jego oczy, w których pojawiły się dziwne ogniki, słyszeli nowy ton w jego głosie i narastającą ekstazę. Nawet Starke'owi udzielił się ten nastrój. - Czyż imam nie przyszedł po to, żeby otworzyć duszę świata? Czyż nie zjawiał się pomiędzy nami, by oczyścić islam ze zła, żeby rozprzestrzenić islam na całym świecie, żeby nieść przesłanie Boga, tak jak było to obiecane? Tak, po to przyszedł imam.

Słowa te zawisły w ciszy. Wszyscy je rozumieli, także 57

Starke. Mahdi! - pomyślał, skrywając wstrząs, jaki przeżył. Hosejn daje do zrozumienia, że Chomeini jest Mahdim, legendarnym dwunastym imamem, który zniknął przed wiekami.

Szyici wierzyli, że ukrył się tylko przed wzrokiem ludzi, że jest nieśmiertelny. Bóg obiecał, że pojawi się on pewnego dnia, żeby panować nad doskonałym światem.

ri

Wszyscy wpatrywali się w mulłę. Wielu kiwało głowami, po twarzach innych spływały łzy.

Wszyscy pograżyli się w zadumie, wszyscy byli zadowoleni, nie było wśród nich żadnego niedowiarka. Dobry Boże, pomyślał Starke, nieco ogłuszony tym wszystkim. Jeśli Irań-czycy ubierają Chomeiniego w takie szaty, jego władza nie będzie mieć końca. Dwadzieścia czy trzydzieści milionów mężczyzn, kobiet i dzieci ruszy radośnie na śmierć, na jedno jego skinienie. Dlaczego nie? Mahdi gwarantuje im miejsce w niebie. Gwarantuje!

Ktoś powiedział:

- Bóg jest wielki.

Inni powtórzyli to za nim. Zaczęli między sobą rozmawiać, zapomnieli o Starke'u. W końcu przypomnieli sobie o nim i pozwolili mu odejść, mówiąc:

- Idź do imama, idź i uwierz...

Wracając do bazy, czuł się dziwnie lekko, powietrze nigdy nie smakowało lepiej, nigdy nie był tak pełen radości życia. To może dlatego, że zwrócono mu życie. Dlaczego? A Tom? Jak mu się udało wymknąć z Is-fahanu, z Dez Damu, nawet z samego HBC? Czy jest jakaś głębsza przyczyna, czy to tylko szczęście?

Teraz, w mroku, spojrzał na Locharta. Niepokoił się o niego bardzo poważnie. Straszna- ta historia z HBC, straszna historia z ojcem Szahrazad, straszne, że Tom i Szahrazad znaleźli się w potrzasku, z którego nie ma ucieczki. Wkrótce oboje będą musieli wybrać: wspólne wygnanie, prawdopodobnie

na zawsze, albo rozstanie.

- Tom, jest coś szczególnego. To bardzo tajne, tylko między nami. John Hogg dostarczył list od Andy'ego Gavallana. - Byli już bezpiecznie oddaleni od bazy. Szli 58

wzdłuż obwodnicy chronionej ośmiopasmowym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Nikt nie mógł podsłuchiwać. Mimo to zniżył głos. - Chodzi o to, że Andy nie widzi tu naszej przyszłości. Pisze, że rozważa ewakuację w celu zmniejszenia strat.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł szybko Lochart. - Wszystko wraca do normy. Musi. Andy może się nie przejmować. My się nie przejmujemy, więc on tym bardziej.

- On musi się przejmować, Tom. Chodzi o prosty rachunek ekonomiczny, z czego musisz sobie zdawać sprawę. Nie dostajemy pieniędzy nawet za prace wykonane wiele miesięcy temu, teraz nie mamy dość pracy dla wszystkich maszyn i pilotów. On za to płaci z Aberdeen. Iran to ruina, a czasy są ciężkie właśnie dla nas.

- Chodzi ci o to, że zamknięcie Zagrosu trzeba będzie dopisać do strat? To nie moja wina, do cholery...

24

- Spokojnie, Tom. Andy usłyszał pogłoskę, że wszystkie zagraniczne firmy lotnicze, joint ventures, i cholera wie co jeszcze, a zwłaszcza śmigłowce, mają być zna-cjonalizowane. I to już zaraz.

Lochart poczuł nagle przyływ nadziei. Czyż to nie wspaniały pretekst, żeby zostać? Jeśli ukradną - zna-cjonalizują - nasze maszyny, nadal będą potrzebowali pilotów. Znam farsi i mogę szkolić Irańczyków, przecież o to w końcu im chodzi i... a co z HBC? Znów ten HBC, pomyślał bezradnie. Nie można się od tego uwolnić.

- Jak on się o tym dowiedział, Duke?

- Andy twierdzi, że to „pewne” źródło. Wiesz, o co nas prosi? Ciebie, Scraga, Rudiego i mnie? Gdyby udało mu się opracować sensowny plan, chciałby, żebyśmy przelecieli na dziko przez zatokę.

Lochart wlepił w rozmówcę zdumione spojrzenie.

- Jezu, mamy tak po prostu wystartować, bez zezwolenia, bez niczego?

- Jasne. Nie mów tak głośno.

- On oszalał! Jak możemy skoordynować Lengeh, Bandar Dejlam, Kowiss i Teheran?

Wszyscy musieliby wystartować jednocześnie, a odległości są różne!

59

- Jakoś musimy sobie poradzić, Tom. Andy twierdzi, że albo to, albo zamykamy interes.

- Nie wierzę! Firma działa na całym świecie!

- On mówi, że jeśli stracimy Iran, to już po nas.

- Łatwo mu mówić - rzucił gorzko Lochart. - Chodzi mu tylko o pieniądze. Łatwo narażać nasze tyłki, gdy samemu siedzi się w ciepélku i ryzykuje tylko pieniądze. Powiedział, że jeśli wycofa personel, a wszystko inne zostawi, to S-G będzie pływać brzuchem do góry?

- Tak. To właśnie powiedział.

- Nie wierzę w to.

Starke wzruszył ramionami. Usłyszeli jakieś żalosne wycie dochodzące z oddali. Odwrócili się i spojrzeli w kierunku przeciwnego krańca ich części lotniska. W świetle kończącego się dnia dostrzegli Freddy'ego Ayre'a z kobzą; wspólnie ustalili, że tylko tam wolno mu ćwiczyć.

- Jasny szlag - rzucił kwaśno Starke - te hałasy doprowadzają mnie do szału.

Lochart nie zwrócił na to uwagi.

- Jasne, że ty nie zamierzasz uczestniczyć w tym cholernym uprowadzeniu maszyn, bo to by właśnie było to! Nie ma mowy, żebym się do tego przyłączył. - Zobaczył, że Starke wzrusza ramionami. - Co mówią inni?

- Jeszcze nie wiedzą i nikt ich nie pytał o zdanie. Powiedziałem ci, że na razie wszystko pozostaje pomiędzy nami. - Starke spojrział na zegarek. - Za chwilę trzeba wywołać Maca. -

Zobaczył, że ciałem Locharta wstrząsnął dreszcz. Wiatr niósł żalosny dźwięk kobzy. - Jak można w ogóle mówić, że to jest muzyka. Niech mnie piorun trafi, jeśli wiem - powiedział. -

Pomysł Andy'ego jest wart rozważenia, Tom. Jako wyjście ostateczne.

Lochart nie odpowiedział. Czuł się źle, zmierzch był ponury, wszystko było ponure. Nawet powietrze, zatrute wyziewami rafinerii, nie było w porządku. Chciałby znaleźć się w Zagrosie, blisko gwiazd, gdzie powietrze i ziemia nie były zanieczyszczone. Poza tym ciągnęło

60

go do Teheranu, gdzie powietrze było wprawdzie jeszcze gorsze, ale tam była ona.

- Na mnie nie licz - powiedział.

- Pomyśl o tym, Tom.

- Już pomyślałem. Ten cały pomysł jest wariacki. Gdy dobrze to wszystko przemyślisz, dojdiesz do

takiego samego wniosku.

- Jasne, stary.

25

Starke zastanawiał się, czy jego przyjaciel wreszcie się domyśli, że właśnie on, Lochart, ma do odegrania najważniejszą rolę.

W HOTELU INTERNATIONAL, ASZ SZAR-GAZ, 18:42. - Czy mógłbyś to zrobić.

Scrag? - niespokojnie zapytał Gavallan. Słońce zaczynało zachodzić.

- Nie ma problemu z wyprowadzeniem moich pięciu ptaszków z Lengeh, Andy - odparł

Scragger. - To musi być jakiś właściwy dzień. Musielibyśmy wykiwać radar na Kisz, ale z tym nie będzie problemu, gdyby chłopaki chcieli trochę pobrykać. Ale z wszystkimi częściami? Niemożliwe.

- A zrobiłbyś to, gdyby było możliwe? - zapytał Gavallan. Przybył dzisiejszym lotem z Londynu. Przywiózł ze sobą z Aberdeen same złe wiadomości dotyczące stanu interesów.

Imperial Air zwiększa nacisk, podcinając skrzydła S-G na Morzu Północnym, naciski kompanii naftowych, Linbar zwołuje specjalne zebranie 62

zarządu w sprawie możliwego „niewłaściwego zarządzania” S-G. - Zrobiłbyś to, Scrag?

- Lecę sam i wszyscy są bezpieczni. Proste jak drut.

- Czy twoje chłopaki by to zrobiły?

Scragger zastanowił się. Pociągnął łyk piwa. Siedzieli przy stole na jednym z nieskazitelných tarasów otaczających basen najnowszego hotelu maleńkiego szejkanatu. Inni goście zajmowali stoliki w pewnym oddaleniu. Balsamiczne, czyste powietrze, wiatr akurat taki, żeby poruszać lekko liśćmi palm i obiecywać piękny wieczór.

- Ed Vossi tak. - Uśmiechnął się. - Podłapał dość złodziejskiego charakteru Australii i jankeskiego szwun-gu. Willi Neuchtreiter chyba nie. Trudno by mu było złamać tyle przepisów naraz, kiedy nie chodzi o jego tyłek i sam nie jest zagrożony. Co powiedział Duke Starke? A Tom Lochart i Rudi?

- Jeszcze nie wiem. W środę wysłałem list do Duke'a przez Johnny'ego Hogga.

- Wygląda na trochę niebezpieczne, nie?

- I tak, i nie. Johnny Hogg to dobry kurier, ale ciągle pozostaje problem: bezpieczna łączność. Tom Lochart będzie wkrótce w Kowissie. Słyszałeś o Za-grosie?

- Aż za dużo! Tam, w górach, naprawdę świrują. Co ze starym Rudim?

- Jeszcze nie wiem, jak się z nim porozumieć. Może Mac coś wymyśli. Rano lecę 125 do Teheranu. Mamy rozmawiać na lotnisku. Potem od razu wracam. Mam zarezerwowany nocny lot do Londynu.

- Trochę za bardzo to popychasz, co, stary?

- Mam trochę problemów, Scrag.

Gavallan zapatrzył się w swoją szklanę, obojętnie przelewając whisky z kostkami lodu z jednej strony na drugą. Obok przechodzili inni goście hotelowi, w tym trzy dziewczyny w kostiumach bikini. Złota, opalona skóra, długie, czarne włosy, ręczniki zarzucone niedbale na ramiona. Scragger zauważył je, westchnął i przeniósł wzrok na Gavallana.

I 63

- Andy, może będę musiał za dzień czy dwa dni zabrać Kasigiego z powrotem do Iran-Tody.

Stary Georges szczypie się w ucho, odkąd Kasigi zgodził się płacić mu dwa dolce za garnek.

Kasigi myśli, że do Bożego Narodzenia cena dojdzie do dwudziestu za baryłkę.

Gavallan zaniepokoił się.

- Jeśli tak, to wszystkie uprzemysłowione kraje będą nieźle rąbnięte; znów zacznie się inflacja. Mam nadzieję, że jeśli ktoś będzie to wiedział na pewno, to tym kimś będę ja. - Gdy Scragger wspomniał o Kasigim i Todzie, zareagował natychmiast, gdyż Struan dostarczał

załogi i wynajmował wiele statków budowanych przez Todę. Byli ze sobą związani od dawna. - Kiedyś, przed laty, znałem szefa Kasigiego, człowieka nazwiskiem Hiro Toda. Czy Kasigi o nim wspominał?

- Nie, nigdy. Gdzie go poznałeś? W Japonii?

26

- Nie. W Hongkongu. Toda robił interesy ze Strua-nem - firmą, dla której kiedyś pracowałem. Wtedy nazywali się Toda Shipping. Budowali tylko statki i nie byli takim potężnym koncernem jak teraz. - Gavallan spojrzał twardziej. - Kiedyś moja rodzina zajmowała się handlem w Szanghaju. Nasza spółka została w pewnym stopniu wyparta w czasie pierwszej wojny światowej. Potem połączyliśmy się ze Struanem. Mój staruszek był w Nankinie w 1931, gdy Japonce tam wpadły. Potem złapali go w Szanghaju zaraz po Pearl Harbor. Nigdy nie wyszedł z obozu jeńców wojennych. - Spojrzał ponuro na szklanę rozświetloną promieniami słońca. - W Szanghaju i Hongkongu straciliśmy wielu przyjaciół.

Nigdy nie daruję Japońcom tego, co zrobili w Chinach, nigdy, ale życie idzie naprzód, prawda? Trzeba kiedyś zakopać topór wojenny, ale lepiej patrzeć im na ręce.

- To tak jak ze mną. - Scragger wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że Kasigi jest w porządku.

- Gdzie on teraz jest?

- W Kuwejcie. Wraca jutro, a ja mam go zawieźć do Lengeh na poranne konsultacje.

64

- Jeśli polecisz dla Iran-Tody, to może mógłbyś przy okazji zamienić słówko z Rudim?

Trochę go wysondować?

- Jasne. Dobry pomysł, Andy.

- Kiedy spotkasz się z Kasigim, wspomnij mu, że znam jego szefa.

- Jasne, wspomnę. Mogę go zapytać, czy... - Urwał, patrząc ponad ramieniem Gavallana. -

Patrz, Andy, na to warto popatrzeć!

Gavallan obejrzał się. Zobaczył niezmierny zachód słońca. Odcienie czerwieni, purpury, brązu i złota barwiły odległe chmury. Słońce skryło się za horyzontem prawie w trzech czwartych, rzucając krwawy blask na wody zatoki. Lekki powiew wiatru poruszał płomykami świec, zdobionych nakrochmalone obrusy na stołach przygotowanych do kolacji na tarasie.

- Masz rację, Scrag - odparł od razu Gavallan. - To nie czas na poważną rozmowę; poważne tematy mogą poczekać. Z zachodem słońca nic na tym świecie nie może się równać.

- Co? - Scragger wpatrywał się w niego ze zdumieniem. - Na Boga! Nie chodziło mi o zachód słońca, tylko o ten towar.

Gavallan westchnął. Towarem okazała się Paula Giancani, która wychodziła właśnie z położonego niżej basenu. Jej bikini było mniej niż skąpe, strużki wody spływające po wysmarowanej oliwką skórze błyszczały w świetle zachodzącego słońca jak klejnoty.

Wycierała ręcznikiem nogi, ręce, plecy, znowu nogi. Włożyła cienki jak pajęczyna szlafrok kąpielowy, w pełni i radośnie świadoma tego, że w zasięgu wzroku nie było mężczyzny, który nie doceniłby jej pokazu, ani kobiety, która nie spoglądałaby zawistnie.

- Cholerny napaleniec.

Scragger roześmiał się i wzmocnił brzmienie australijskiego akcentu.

- To moja jedyna radocha, stary kogucie! Pierwszo-

kłaśna kobita!

Gavallan przyglądał się dziewczynie.

- No cóż, Włoszki mają w sobie coś ekstra, ale ta młoda osoba... to nie taki szlagier jak Szahrazad i nie ma w sobie egzotycznej tajemniczości Azadeh, ale zgadzam się, Paula ma coś innego.

Razem ze wszystkimi obserwowali, jak przechodziła pomiędzy stolikami, roztaczając na swym szlaku aurę pożądania i zawiści, aż zniknęła w ogromnym holu hotelowym. Później wszyscy mieli zjeść razem kolację: Paula, Genny, Manuela, Scragger, Gavallan, Sandor Petrofi i John Hogg. Odrzutowiec Alitalii, którym przyleciała Paula, był znów w Dubaju, o kilka kilometrów drogi autostradą; czekał na zezwolenie na lot do Teheranu po kolejną turę Włochów. Genny McIver spotkała Paulę przypadkiem, robiąc zakupy.

27

Scragger westchnął.

- Andy, stary chłopie, ja sam na pewno bym jej jeszcze coś dodał, nie ma żadnych wątpliwości.

- Mam nadzieję, że by ci się udało, Scrag. - Gavallan zachichotał i zamówił następną whisky z wodą sodową u nienagannie ubranego, uśmiechniętego kelnera Pakistańczyka, który pojawił

się na pierwsze skinienie. Niektórzy goście hotelowi włożyli już eleganckie i drogie stroje, szykując się do uroczego wieczoru. Najnowsza moda paryska, śmiałe dekolty, nakrochmalone białe garnitury wieczorowe, a obok tego sportowe, lecz zawsze bardzo drogie ubrania.

Gavallan miał na sobie dobrze skrojony tropikalny garnitur, a Scragger regulaminowy mundur: biała koszula z krótkimi rękawami, epolety, czarne spodnie i buty. - Piwo, Scrag?

- Nie, dzięki, stary. Wysączę to do końca i przygotuję się do spotkania z Pulsującą Paulą.

- Marzyciel!

Gavallan jeszcze raz zapatrzył się na zachód słońca. Gadanina starego przyjaciela sprawiła, że poczuł się lepiej. Słońce skryło się już prawie za horyzontem; nigdy nie było piękniejsze; przypominało mu zachody w Chinach, Hongkong, Kathy i lana, śmiech w Wielkim Domu na wzgórzu. Cała rodzina silna i w dobrym zdrowiu, własny dom na przylądku Shek-o. Byli młodzi

66

i mieszkali razem, Melinda i Scot, jeszcze wtedy dzieci, służące drepczące tu i tam, a w dole, na spokojnej o zachodzie słońca powierzchni morza, sampany, dżon-ki i statki wszelkich kształtów i rozmiarów.

Wierzchołek słońca zatonął w morzu. Gavallan uroczyście klasnął w dłonie.

- Co jest, Andy?

- Co takiego? Och, przepraszam, Scrag. Kiedyś oklaskiwaliśmy słońce, Kathy i ja, w momencie kiedy zniknęło. Dziękowaliśmy słońcu za to, że jest, za wspaniały widok i za to, że żyjemy i możemy je podziwiać, za taki właśnie niepowtarzalny zachód słońca jak dzisiaj.

Następny nie będzie nigdy taki sam. - Gavallan pociągnął łyk whisky, obserwując promienie wydobywające się zza horyzontu. - Nauczył mnie tego świetny facet, zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi i nadal nimi jesteśmy. Wspaniały człowiek, jego żona też pierwsza klasa. Kiedyś ci o nich opowiem. - Odwrócił się tyłem do zachodu, nachylił i powiedział cicho: - Lengeh.

Uważasz, że to możliwe?

- Och, tak, gdyby chodziło tylko o nas. Musimy bardzo starannie wszystko zaplanować; radar na Kiszu szaleje bardziej niż zwykle, ale możemy go wykiwać, jeśli tylko wybierzemy odpowiedni dzień. Problem polega na tym, że irański personel naziemny, razem z naszym obecnie przyjaznym, ale gorliwym komitetem i z nieprzyjaznym faciem z IranOil połapią się w ciągu kilku minut. Muszą, jeśli wszystkie ptaszki znajdą się jednocześnie w powietrzu.

Natychmiast polecą z jęzorem, zawiadomią IATC. Postawią na nogi wszystkie punkty kontrolne w Dubaju, Abu Żabi i tutaj, właściwie wszędzie: od Omanu, przez Arabię Saudyjską i Kuwejt, do Bagdadu. Poproszą, żeby ktoś nas przy-skrzypił po wylądowaniu.

Nawet jeśli się tu dostaniemy... no cóż, stary szejka to fajny facet, liberalny i przyjazny, ale, do cholery, on nie może walczyć z irańską kontrolą lotów, która w dodatku będzie miała rację. A nawet gdyby nie miała racji... On nie może walczyć z Iranem; oprócz sunnitów ma tu całkiem spory odsetek

67

szycitów. Nie jest tak źle, jak w innych krajach zatoki, ale zawsze...

Gavallan wstał, podszedł do krawędzi tarasu i spojrzał na stare miasto. Kiedyś był to ociekający złotem port, bastion piratów, rynek niewolników i wielki ośrodek handlowy.

Podobnie jak Suhar w Omanie, zwano go Portem Chin. Od pradawnych czasów zatoką biegł złoty morski szlak łączący basen Morza Śródziemnego - wtedy centrum świata - z Azją.

Podróżujący po morzach kupcy, Fenicjanie, zdominowali tę niewiarygodnie bogatą drogę 28

morską. Przywozili z Azji i Indii towary do Szatt el-Arab, a następnie krótkimi szlakami karawan na swe rynki. W końcu zbudowali prawdziwe śródziemnomorskie imperium, zakładając takie miasta jak Kartagina, zagrażając nawet samemu Rzymowi.

Stare, otoczone murami miasto wyglądało pięknie w zamierającym świetle; dobrze utrzymane i chronione przed nowoczesną zabudową wraz z dominującym nad nim fortem szejka. W

ciągu wielu lat Gavallan zdążył poznać starego szejka i podziwiał go. Szejkanat, choć otoczony przez Emiraty, był niezależną, suwerenną enklawą, sięgającą zaledwie trzydzięci kilometrów w głąb lądu,

o dwunastokilometrowym pasie wybrzeża. Na lądzie i morzu, aż do odległych o sto sześćdziesiąt kilometrów wód irańskich, rozciągało się łatwo dostępne ropośne pole, zawierające wiele miliardów baryłek. Tak więc Asz Szargaz miała nowe, odrębne miasto z tuzinami hoteli i drapaczy chmur, z lotniskiem, które mogło przyjąć jumbo jęta. Pod względem bogactwa ustępowała Emiratom, Arabii Saudyjskiej czy Kuwejtowi, lecz jeśli tylko umiało się poszukać, było tu wszystko. Szejk był tak mądry, jak mądrzy byli jego fenicyjczycy przodkowie w sprawach tego świata. Zażarcie strzegł niezależności, i choć sam nie umiał ani czytać, ani pisać, jego synowie ukończyli najlepsze uniwersytety na kuli ziemskiej.

Szejk, jego rodzina i szczerzy byli właścicielami wszystkiego. Słowo szejka było prawem. Był sunnitą, nie fundamentalistą, tolerancyjny wobec zagranicznych gości i pracowników, jeśli tylko zachowywali się odpowiednio.

68

- On także nie cierpi Chomeiniego i wszystkich fundamentalistów, Scrag.

- Tak, ale nie odważy się na podjęcie walki z Cho-meinim. To nam nie pomoże.

- Ale i nie zaszkodzi. - Gavallan czuł się oczyszczony zachodem słońca. - Zamierzam wynająć kilka frachtowych odrzutowców i ściągnąć je tutaj. Gdy przybędą nasze śmigłowce, zdemontujemy rotory, wypchamy do pełna brzuchy samolotów i znikniemy. Szybkość ma zasadnicze znaczenie. I planowanie.

Scragger gwizdnął.

- Ty naprawdę chcesz to zrobić?

- Naprawdę chcę sprawdzić, czy to jest realne, Scrag, i jakie mamy szanse. Wóz albo przewóz. Jeśli stracimy wszystkie irańskie helikoptery, sprzęt i części zamienne, zamkniemy interes. Tej sytuacji nie obejmuje żadne ubezpieczenie, a nadal musimy spłacić to, co jesteśmy winni. Jesteś współnikiem. Możesz zobaczyć wieczorem liczby. Przywiozłem dla ciebie rozliczenia. I dla Maca.

Scragger pomyślał o swym udziale w firmie, to jest o wszystkim, co miał, o Neli i jej dzieciach, i o wnukach w Sydney, o fermie Baldoon, gdzie jego rodzina hodowała od stu lat owce i bydło, utraconej podczas wielkiej suszy. Od lat miał na nią oko, marząc o odkupieniu rodzinnej własności.

- Nie muszę oglądać liczb, Andy. Skoro mówisz, że jest źle, to jest źle. - Obserwował niebo.

- Wiesz co? Zajmie się Lengeh, jeśli opracujesz plan i jeśli inni do tego wejdą. Może po kolacji porozmawiamy z godzinę o logistyce i dokończymy przy śniadaniu. Kasigi nie wróci z Kuwejtu przed dziewiątą. Coś wykombinujemy.

- Dzięki, Scrag. - Gavallan poklepał przyjaciela po ramieniu; górował nad nim wzrostem. -

Cieszę się cholernie, że tu jesteś, że byłeś z nami przez te wszystkie lata. Właśnie po raz pierwszy

pomyślałem, że naprawdę mamy szansę, że to nie tylko marzenia.

- Jeden warunek, stary - dodał Scragger. Gavallan natychmiast zrobił się czujny.

69

- Badań nie mogę ci załatwić. Jeśli będziesz pod kreską, nie da się nic zrobić.

- Co ty powiesz? - Scragger był urażony. - To nie ma nic wspólnego z „Bрудnym” Duncanem i moimi testami. Wyniki będą dobre, dopóki nie skończę siedemdziesięciu trzech lat.

Warunek jest taki, że przy kolacji posadzisz mnie obok Pulsującej Pauli. Genny usiądzie z 29

drugiej strony, Manuela koło mnie, a ten jurny węgierski Sandor na drugim końcu stołu razem z Johnnym Hoggiem.

- Masz to załatwione!

- Świetnie! Nie przejmuj się, stary. Dość generałów dobierało mi się do dupy na pięciu wojnach, żebym nie zdążył się czegoś nauczyć. Już czas, żeby się przebrać do kolacji. W

Lengeh robi się nudno, nie ma dwóch zdań.

Odszedł; zręczny, szczupły i wyprostowany. Gavallan podał kartę kredytową uśmiechniętemu Pakistańczykowi.

- Nie ma potrzeby, sahib. Proszę tylko podpisać rachunek - powiedział kelner i dodał miękko:

- Jeśli wolno mi coś zasugerować, efendi, niech pan nie używa American Express. Tak wychodzi najdrożej.

Zdumiony Gavalla"n zostawił napiwek i odszedł.

Z drugiej strony tarasu dwóch mężczyzn obserwowało jego odejście. Obaj byli dobrze ubrani, czterdzie-stoparoletni, jeden Amerykanin, drugi ze Środkowego Wschodu. Obaj mieli w uszach małe wzmacniacze głosu. Człowiek ze Środkowego Wschodu bawił się staroświeckim piórem. Gdy Gavallan minął zatopionych w rozmowie dobrze ubranego Araba i bardzo atrakcyjną dziewczynę, Europejkę, mężczyzna wycelował w tym kierunku pióro.

Obaj mężczyźni usłyszeli natychmiast w słuchawkach:

- ...kochanie, pięćset dolarów amerykańskich to znacznie więcej niż cena rynkowa - mówił

Arab.

- To zależy od tego, jakie siły rynkowe ciebie dotyczą, kochanie - odpowiedziała z miłym, środkowoeuropejskim akcentem. Zobaczyli, że uśmiecha się łagodnie.

- Opłata obejmuje najlepszą jedwabną bieliznę, którą możesz rozerwać na strzępy, i sondę, którą mam włożyć w twoim momencie prawdy. Doświadczenie to doświadczenie, a specjalne usługi wymagają specjalnego podejścia. Poza tym, skoro masz czas tylko jutro, od osiemnastej do dwudziestej...

Głosy ucichły, gdy mężczyzna przekręcił skuwkę i z kwaśnym uśmiechem położył pióro na stole. Był przystojny, o oliwkowej skórze; importer i eksporter luksusowych dywanów, podobnie jak pokolenia jego przodków, wykształcony w Ameryce. Nazywał się Aaron ben Aaron. Jego głównym zajęciem była praca w izraelskim Mosadzie. Był majorem.

- Nie wiedziałem, że Abu ben Talak jest taki pokręcony - zauważył sucho.

Drugi mężczyzna chrząknął.

- Oni wszyscy są pokręceni. A ja nie wpadłbym na to, że dziewczyna tutaj poluje.

Aaron zakręcił pióro długimi palcami; niechętnie zostawiał je w spokoju.

- Świetny gadżet, Glenn, oszczędza wiele czasu. Szkoda, że nie miałem czegoś takiego parę lat temu.

- KGB wypuściło w tym roku nowy model; działa na sto metrów. - Glenn Wesson pociągnął

łyk bourbona z lodem. Był Amerykaninem, od wielu lat handlował oliwą. Zawodowy funkcjonariusz CIA. - Nie taki mały jak ten, ale skuteczny.

- Możesz wykombinować dla nas parę sztuk?

- Tobie będzie łatwiej. Niech twoi faceci po prostu poproszą Waszyngton. - Zobaczyli, że Gavallan zniknął w holu. - Interesujące.

- Co o tym myślisz? - zapytał Aaron.

- To, że możemy rzucić firmę helikopterową wilkom Chomeiniego na pożarcie, kiedy tylko zechcemy

- razem z pilotami. Talbot, Robert Armstrong i całe MI6 musieliby się nieźle napocić, a to niezła myśl.

- Wesson zaśmiał się cicho. - Talbotem trzeba od czasu do czasu dobrze potrząsnąć. O co chodzi z S-G? Myślisz, że to jakaś przykrywka dla MI6?

- Nie jesteśmy pewni, co oni kombinują, Glenn. Podejrzewamy coś wręcz przeciwnego; właśnie

dlatego pomyślałem sobie, że powinieneś posłuchać. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Pozornie ich działania są zupełnie normalne, ale: mają francuskiego pilota, Sessonne'a, który sypia z mającą dobre powiązania kurierką OWP, Sajadą Bertolin, i sponsoruje ją; mają Fina, Erikkiego Yokkonena, związanego ściśle z Abdollah-chanem, który jest na pewno podwójnym agentem, skłaniającym się bardziej w stronę KGB niż naszą i jest otwarcie antyżydowski; Yokkonen zna dobrze Christiana Tollonena, który już z definicji jest podejrzany. Poza tym powiązania rodzinne Yokkonena w Finlandii są idealne dla głęboko utajnionego sowieckiego asa. Wreszcie, dostaliśmy cynk, że on jest właśnie na Sawalanie ze swoim 212 i pomaga Sowietom w rozmontowywaniu waszych tajnych radarów w całej okolicy.

- Jezu. Wiesz na pewno?

- Nie. Powiedziałem: cynk. Sprawdzamy to. Dalej, Kanadyjczyk Lochart: jego żona pochodzi ze znanej antysyjonistycznej rodziny kupców z bazaru; w jego mieszkaniu siedzą teraz agenci OWP, jego...

- Tak, ale słyszeliśmy, że chata została zarekwirowana. I nie zapominaj, że próbował pomóc w ucieczce tym sprzyjającym Szachowi i proizraelskim oficerom.

- A jednak zostali zestrzeleni. Same trupy, a on o dziwo przeżył. Walik i generał Seladi byłiby na pewno w każdym rządzie na uchodźctwie, a przynajmniej blisko niego - straciliśmy kolejne dwa ważne atuty. Lochart jest podejrzany. Jego żona i jej rodzina są z Cho-meinim, a to znaczy, że przeciwko nam. - Aaron uśmiechnął się sardonicznie. - Czyż nie jesteśmy drugim po was Wielkim Szatanem? Dalej: Amerykanin Starke pomaga w odparciu ataku fedainów w Bandar Dejlami i zaprzyjaźnia się bardzo z kolejnym zaciekłym wrogiem Szacha i Izraela, fanatykiem Zatakim, który...

- Z kim?

- Intelktualista, walczył z Szachem. Sunnita. Organizował strajki na polach naftowych Abadanu, wysadził w powietrze trzy posterunki policji, a teraz stoi na czele Komitetu Rewolucyjnego Abadanu i nie pożyje długo na tej ziemi. Coś do picia?

- Jasne, dziękuję. To samo. Wspomniałeś o Sajadzie Bertolin. My też ją mamy w kartotece.

Myślisz, że można by ją odwrócić?

- Nie ufałbym jej. Najlepiej tylko obserwować i patrzeć, do kogo nas zaprowadzi. Szukamy jej kontrolera; jeszcze go nie namierzyliśmy. - Aaron zamówił to samo dla Wessona i wódkę dla siebie.

- Wracając do S-G, Zataki jest wrogiem, Starke zna farsi, Lochart też. Obaj obracają się w niewłaściwym towarzystwie. Teraz Sandor Petrofi: węgierski dysydent, rodzina jeszcze na Węgrzech; kolejny potencjalny kret z KGB albo przynajmniej ich narzędzie. Rudi Lutz, Niemiec, bliska rodzina za Żelazną Kurtyną; to zawsze podejrzane, a to samo z Neuchtreiterem z Lengeh. - Wskazał ruchem głowy miejsce, na którym siedział

przedtem Scragger. - Staruszek jest po prostu wyszkolonym zabójcą, najemnikiem, który może celować równie dobrze w nas, jak w kogoś innego. Gavallan? Powinieneś załatwić, żeby twoi ludzie

z Londynu wciągnęli go do ewidencji; nie zapominaj, że to on dobierał

wszystkich innych. Nie zapominaj, że to Brytyjczyk. Możliwe, że cała ta jego operacja jest przykrywką dla KGB...

- Nie ma mowy - przerwał nagle poirytowany Wesson. Cholera jasna, pomyślał, dlaczego ci wszyscy faceci cierpią na manię prześladowczą, nawet stary Aaron, który jest z nich wszystkich najlepszy. - To wszystko jest zbyt naciągane. Nie ma mowy.

- Dlaczego nie? On cię może kiwać. Brytyjczycy są w tym mistrzami, jak Philby, McLean, Blake i cała reszta.

- Jak Crosse. - Wesson ściągnął usta tak, że utworzyły wąską linię. - W tym punkcie masz rację, stary.

31

- Kto?

72

73

- Roger Crosse. Jakies dziesięć lat temu Pan Super-szpieg, ale teraz jest pochowany i zapomniany, z całym talentem Limeyów. To jeden z Klubu Old Boyów, zdrajców najsprytniejszych z nich wszystkich.

- Kim był Crosse?

- Byłem szefem Armstronga i przyjacielem z Wydziału Specjalnego w Hongkongu. Był

oficjalnie mniej ważnym wicedyrektorem MI6, ale naprawdę szefem ich najbardziej koronkowych operacji. Wywiad Specjalny, zdrajca, załatwiony przez KGB na jego własną prośbę na krótko przed tym, zanim mogliśmy sukinsyna przygwoździć.

- To udowodnione? To, że oni go wykończyli?

- Jasne. Zatruta rzutka z małego dystansu, zwykła procedura. Zapędziliśmy go w ślepy zaułek, nie miał jak się wyrwać. Mieliśmy go na tacy jako potrójnego agenta. Mieliśmy też wtedy flancę w ambasadzie sowieckiej w Londynie - niejakiego Brodnina. Wystawił nam Crosse^, a potem zniknął. Biedny sukinsyn, ktoś musiał go przykapować.

- Ci przekłęci Brytyjczycy. Szpiegzy mnożą się u nich jak króliki.

- Nieprawda. Mają też paru wielkich łapaczy, a zdrajcy są wszędzie.

- U nas nie.

- Lepiej się o to nie zakładaj, Aaron - rzucił kwaśno Wesson. - Zdrajcy są wszędzie, a z Teheranu wydostały się takie przecieki, przed i po ucieczce Szacha, że musimy mieć kolejnego zdrajcę na wysokim stanowisku.

- Talbot albo Armstrong? Wesson drgnął.

- Jeśli to któryś z nich, to powinniśmy po prostu się poddać.

- Tego właśnie chce nieprzyjaciel: żebyście się poddali i wynieśli do diabła ze Środkowego Wschodu. My nie możemy się wynieść i musimy myśleć inaczej. - Aaron mówił z ponurym wyrazem ciemnych, zimnych oczu, obserwując rozmówcę z kamienną twarzą. - Skoro już o tym mówimy, dlaczego naszemu staremu przyja-74

cielowi, pułkownikowi Haszemiu Fazirowi, udaje się ująć cało po zamordowaniu nowego czystkowicza SA-VAMA, generała Dżanana? Wesson zbladł.

- Dżanan nie żyje? Jesteś pewien?

- Bomba samochodowa, w poniedziałek wieczorem. - Aaron przymrużył oczy. - Skąd ten smutek? To był jeden z twoich?

- Mógł być. My... negocjowaliśmy. - Wesson zawahał się, a potem westchnął. - Ale Haszemi jeszcze żyje? Myślałem, że jest na liście skazańców Komitetu Rewolucyjnego.

- Był, ale już nie jest. Usłyszałem dziś rano, że wykreślono jego nazwisko, potwierdzono stopień i przywrócono Wywiad Wewnętrzny. Prawdopodobnie wszystko za zgodą bardzo wysokiego szczebla.

Aaron pociągnął łyk.

- Skoro wrócił do łask po tym wszystkim, co zrobił dla Szacha i dla nas, musi mieć bardzo potężnego protektora.

- Kogo? - Wesson zobaczył, że rozmówca wzrusza ramionami, przebiegając wzrokiem tarasy. Jego uśmiech zniknął. - To może znaczyć, że przez cały czas pracował dla Ajatollaha?

- Być może. - Aaron znów bawił się piórem. - I znów coś dziwnego. We wtorek widziano, jak Haszemi wsiadał do 125, należącego do S-G, na lotnisku w Teheranie. Z Armstrongiem.

Polecieli do Tebrizu i wrócili mniej więcej po trzech godzinach.

- Szlag mnie trafi!

- Co się kryje za tym wszystkim?

- Jezu, nie wiem, ale myślę, że powinniśmy to sprawdzić. - Wesson jeszcze bardziej zniżył

głos. - Jedno jest pewne: jeśli Haszemi wraca do łask, to musi wiedzieć, gdzie jest sedno sprawy, co? Takie informacje byłyby bardzo cenne, powiedzmy dla Szacha.

- Szacha? - Aaron chciał się uśmiechnąć, lecz zrezygnował, widząc wyraz twarzy Wessona. -

Chyba nie mówisz poważnie, że Szach ma szansę powrotu?

75

- Zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy, stary - powiedział Wesson z pewnością siebie i dopił drinka. Dlaczego ci faceci nie rozumieją, co się dzieje na świecie? - pomyślał. Nadszedł czas, żeby zmądrzeli, przestali dostrzegać tylko Izrael, OWP i Środkowy Wschód i dali nam pole manewru. - Jasne, że Szach ma szansę, choć jego syn trochę większą. Wkrótce Chomeini będzie już martwy i pogrzebany, wybuchnie wojna domowa. Władzę przejmie armia, która będzie potrzebowała jakiejś sztandarowej postaci. Reza zostałby wtedy wielkim monarchą konstytucyjnym.

Aaron ben Aaron z trudem ukrył niedowierzenie. Był zdumiony i zatrwożony naiwnością Wessona. Po tych wszystkich latach spędzonych w Iranie, pomyślał, jak możesz nadal nie rozumieć zasad działania sił rozrywających Iran? Gdyby ktoś inny był na miejscu Aarona, skląłby Wessona za jego głupotę, za setki zlekceważonych sygnałów, za odkładanie bez przeczytania całych stosów raportów wywiadowczych, zawierających informacje zdobyte z narażeniem życia, za całe lata błagania polityków i generałów, amerykańskich i irańskich, żeby uwierzyli w ostrzeżenia o nadciągającym pożarze.

Wszystko jak grochem o ścianę. Przez całe lata. Wola boska, pomyślał. Bóg nie chce, żeby szło nam łatwo. Łatwo? Nigdy w historii nie było nam łatwo.

Spostrzegł, że Wesson na niego patrzy.

- Co?

- Poczekamy, zobaczymy. Chomeini jest starcem, nie przeżyje nawet roku. Jest stary i czas gra na naszą korzyść. Poczekamy, zobaczymy.

- Dobrze. - Aaron powstrzymał się od wszczęcia sporu. - Na razie mamy pilniejszy problem: S-G może wspierać ataki komórek wroga. Jeśli się nad tym zastanowić, piloci helikopterowi pracujący przy ropie są wymarzoną pomocą dla sabotażu, jeśli tylko sytuacja się pogorszy.

- Jasne, ale Gavallan chce się wynieść z Iranu. Sam słyszałeś.

- Może wiedział, że podsłuchujemy, albo to jakiś fortel.

- Dajże spokój, Aaron. Myślę, że on jest koszerny, a cała reszta to przypadek. - Wesson westchnął. - Dobra, wciągnę go na listę. Nie wysra się, żebyś o tym nie wiedział, ale, stary, te twoje chłopaki widzą wroga pod łóżkiem, na suficie i pod dywanem.

- Dlaczego nie? Wrogów jest wielu; znanych, nieznanych, czynnych i biernych.

Aaron rozglądał się metodycznie wokół. Badał wzrokiem nowo przybyłych, szukał wrogów.

Wiedział, że nad zatoką, a zwłaszcza w Asz Szargaz, aż roi się od agentów nieprzyjaciela.

Wiemy, że wrogowie są. Tutaj, w starym mieście i w nowym mieście, na drodze do Omanu, w Dubaju i w Bagdadzie, w Damaszku, Moskwie, Paryżu i Londynie, za oceanem, w Nowym Jorku, na południe, aż do Przylądka Dobrej Nadziei, i na północ, do kręgu polarnego.

Wszędzie, gdzie mieszkają ludzie, którzy nie są żydami. Tylko żydzi nie są automatycznie podejrzani, a i tu trzeba zachować ostrożność.

Wielu spośród wybranych nie lubi syjonizmu, nie chce iść na wojnę lub płacić za wojnę, nie chce zrozumieć, że równowaga Izraela zależała od Szacha, naszego jedyne go sprzymierzeńca na Środkowym Wschodzie i jedyne go w całej OPEC dostawcy ropy dla naszych czołgów i samolotów. Wielu żydów nie chce uwierzyć, że opieramy się plecami o Ścianę Płaczu i musimy walczyć i ginąć za daną przez Boga ziemię Izraela, którą odzyskaliśmy z bożą pomocą tak wielkim kosztem!

33

Spojrzał z sympatią na Wessona. Przebacał mu jego błędy, podziwiał jako zawodowca, ale go żałował: on nie jest żydem, a zatem jest podejrzany.

- Cieszę się, że urodziłem się żydem, Glenn. Dzięki temu życie jest znacznie łatwiejsze.

- Dlaczego?

- Wiadomo, na czym się stoi.

76

77

W DYSKOTECE HOTELU SZARGAZ, 23:52.

W sali dominowali Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi - mniej Japończyków i innych Azjatów. Większość stanowili Europejczycy, znacznie, znacznie więcej mężczyzn niż kobiet.

Wiek przeważnie od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. Ludzie pracujący nad zatoką musieli być młodzi, najlepiej nieżonaci, i silni, aby wytrzymać twarde życie w celibacie. Kilku pijanych, niektórzy hałaśliwi. Brzydcy i nie tacy brzydcy, z nadwagą i bez nadwagi; większość szczupła, sfrustrowana i dynamiczna. Nieliczni miejscowi z Asz Szargaz i innych państw zatoki, ale tylko bogaci, zeuropeizowani; sami mężczyźni. Większość obecnych przebywała na podeście. Pili napoje bezalkoholowe i rozglądali się za dziewczynami. Ci nieliczni, którzy korzystali z położonego niżej parkietu, tańczyli z Europejkami: sekretarkami, pracownicami ambasad i linii lotniczych, pielęgniarkami lub pracownicami hotelu - partnerka była trudna do zdobycia. Żadnych Arabek ani

kobiet z Asz Szargaz.

Paula tańczyła z Sandorem Petrofim, Genny ze Scraggerem, a Johnny Hogg przyklejał się w tańcu do dziewczyny, która przedtem, na tarasie, pogrążona była w rozmowie z Arabem.

Kiwali się w tempie dwukrotnie wolniejszym niż tempo muzyki.

- Jak długo tu będziesz, Alexandro? - szepnął.

- Tylko do przyszłego tygodnia. Potem muszę pojechać do męża, do Rio.

- Och, jesteś za młoda na mężatkę! Jesteś tu sama?

- Tak, sama, Johnny. To smutne, prawda?

Nie odpowiedział, tylko przyciągnął ją jeszcze bliżej, błogosławiąc swoje szczęście: podniósł

książkę, którą ona upuściła w holu. Migające światełka na chwilę go oślepiły. Potem zauważył na górze Gavallana, który stał przy poręczy, ponury i zatopiony w myślach. Znów zrobiło mu się go żal. Wcześniej niechętnie załatwił dla szefa jutrzejszy nocny lot do Londynu, próbując namówić go, żeby odpoczął choć jeden dzień.

78

- Wiem, jak fatalnie wpływają na pana loty odrzutowcem.

- Nie ma problemu, Johnny, dziękuję. Nic się nie zmieniło? Startujemy do Teheranu o dwudziestej drugiej?

- Tak, szefie, nadal korzystamy z pierwszeństwa. To dotyczy też czarteru do Tebrizu.

- Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie gładko; najpierw tam, a potem prosto z powrotem.

John Hogg poczuł, że dziewczyna przywiera do niego biodrami.

- Czy możemy jutro zjeść razem kolację? Powinienem wrócić koło szóstej.

- Być może, ale nie przed dziewiątą.

- Doskonale.

Gavallan spoglądał na tańczących, prawie ich nie dostrzegając. Odwrócił się, zszedł na dół i wyszedł na taras. Piękna noc, ogromny księżyc, niebo bez chmur. Bezcieniowe reflektory rzucały delikatne światło na pięknie utrzymane ogrody otoczone murami. Działały niektóre automatyczne spryskiwacze.

Hotel Szargaz był największym hotelem w szejkana-cie. Z jednej strony morze, z drugiej pustynia,

siedemnaście piętér, pięć restauracji, trzy bary, salon koktajlowy, kawiarnia, dyskoteka, dwa baseny, sauny, łaźnie parowe, korty tenisowe, ośrodek zdrowia, promenada z tuzinem butików i sklepem z antykami, sklep z dywanami Aarona, salony fryzjerskie, 34

biblioteka wideo, piekarnia, elektronika, teleks i hala maszyn. Tak jak we wszystkich nowoczesnych hotelach europejskich, wszystkie pokoje i apartamenty miały klimatyzację, łazienki i bidety. Obsługa świadczyła usługi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę -

głównie uśmiechnięci Pakistańczycy - sprzątało codziennie. Prasowanie na poczekaniu. W

każdym pokoju kolorowy telewizor, wewnętrzne kina, kanał giełdowy i łączność satelitarna ze wszystkimi stolicami świata.

To prawda, pomyślał Gavallan, a jednak to getto. Choć władcy Asz Szargaz, Dubaju i Szirazu są liberalni

79

i tolerancyjni, tak że cudzoziemcy mogą pić w hotelach, a nawet kupować trunki, to jednak niech Bóg strzeże każdego, kto odsprzeda alkohol muzułmaninowi. Nasze kobiety mogą prowadzić samochody, chodzić po zakupy ci spacerować, ale nie jest zagwarantowane, że tak będzie zawsze. O kilkaset metrów dalej mieszkańcy Asz Szargaz żyją tak, jak żyli od wieków.

O kilka kilometrów dalej alkohol jest zakazany, a kobiety nie mogą prowadzić samochodów, wychodzić bez mężczyzny na ulicę; muszą okrywać włosy, ręce i ramiona i nosić luźne spodnie. Kawalek dalej, na prawdziwej pustyni, ludzie żyją na poziomie, który można uznać za okrutny.

Kilka lat wcześniej Gavallan wynajął rangę rovera i przewodnika. Razem z NcIverem, Genny i swą nową żoną Maureen wybrali się na pustynię, żeby spędzić noc w jednej z oaz na krańcu Rub al-Chali, Pustej Ćwierci. Był piękny wiosenny dzień. Po kilku minutach jazdy od lotniska droga przeszła w szlak, który wkrótce zaniknął. Samochód toczył się kamienistym wzniesieniem pod kopułą nieba, czasem skały, pokonując teren, na który nigdy nie spadła kropla deszczu, na którym nigdy nic nie rosło. Nic. Gdy zatrzymali samochód i wyłączyli silnik, cisza spadła na nich jak coś fizycznego. Paliło słońce, ogarnęła ich przestrzeń.

Niebieskoczarna noc, ogromne gwiazdy, dobre namioty wyłożone miękkimi dywanami.

Jeszcze ogrom-niejsza cisza, ogromniejsza przestrzeń, przestrzeń wprost niewyobrażalna.

- Nie mogę tego znieść, Andy - szepnęła Maureen.

- To mnie śmiertelnie przeraża.

- Mnie także. Nie wiem dlaczego, ale przeraża.

- Wokół oazy pustynia sięgająca horyzontu, urągająca ludziom i nieziemska. - Wydaje się, że ten ogrom wysysa z człowieka życie. Wyobraź sobie, jak tu jest w lecie!

Drgnęła.

- Czuję się tu mniejsza od ziarnka piasku. To mnie przygniata, jakoś pozbawia równowagi.

Och, chłopcze,

80

wystarczy mi ten raz. Mogę żyć w Szkocji, co najwyżej w Londynie. Już nigdy więcej...

I rzeczywiście nigdy nie wróciła. Tak jak Neli Scra-ga, pomyślał. Nie można ich winić.

Zatoka jest wystarczająco twarda dla mężczyzn, a już kobiety... Rozejrzał się wokół siebie.

Przez francuskie okno wychodziła właśnie Genny; wachlowała się, wyglądała znacznie młodziej niż w Teheranie.

- Cześć, Andy. Ty to się zawsze umiesz urządzać. W środku jest tak duszno! I ten dym, fuj!

- Nigdy nie przepadałem za tańcem.

- Ja mogę tańczyć tylko wtedy, gdy nie ma Dunca-na. Tańczy, jakby kij połknął. - Zawahała się. - Co do jutrzejszego lotu, czy myślisz, że mogła...

- Nie - odpowiedział grzecznie. - Jeszcze nie teraz. Za jakiś tydzień, kiedy opadnie kurz.

Skinęła głową, nie ukrywając rozczarowania.

- Co powiedział Scrag?

- Powiedział: tak, jeśli wejdą do tego inni, a cała rzecz będzie możliwa. Dobrze się nam rozmawiało przy śniadaniu. - Gavallan objął ją ramieniem i lekko uściśnął. - Nie martw się o Maca. Upewnię się, że u niego wszystko w porządku.

35

- Mam dla niego butelkę whisky. Mógłbyś ją zabrać?

- Schowam w neseserze. IATC przypomniało, że nie wolno przewozić w samolocie gorzały.

Nie ma problemu. Przewiozę.

- Więc może lepiej nie, nie tym razem. - Dostrzegła, że jest poważny i niespokojny. U niego to było niezwykle. Biedny Andy. Każdy widzi, że ze zmartwienia aż wychodzi z siebie. -

Andy, czy mogę coś zaproponować?

- Oczywiście, Genny.

- Wykorzystaj tego pułkownika i tego Roberta, nie Roberta, Armstronga, tego VIP-a, którego musiałeś wozić do Tebrizu. Poproś ich, żeby załatwili ci powrót przez Kowiss, że niby musisz zabrać jakieś silniki do remontu, co? Mógłbyś porozmawiać osobiście z Du-kiem.

81

- Świetna myśl: udać się do najważniejszego człowieka.

Wspięła się na palce i obdarzyła go siostrzanym pocałunkiem.

- To samo można powiedzieć o tobie. No cóż, wracam. Od czasu wojny nie miałam takiego powodzenia. - Roześmiała się, on także. - Dobranoc, Andy.

Gavallan wrócił do swojego hotelu, który znajdował się niedaleko, przy drodze. Nie zauważył

śledzącego go człowieka ani tego, że przeszukano jego pokój i przeczytano wszystkie dokumenty. Nie zauważył też, że w pokoju i telefonie założono podsłuch.

Sobota

24 lutego 1979

1....."iiii/^JJŁ

V Kazwiii* * «««*nl ł

LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE W TEHERANIE, 11:58. Drzwi kabiny 125 zamknęły się za Robertem Armstrongiem i pułkownikiem Haszemim Fazirem. Siedzący w kokpicie John Hogg uniósł kciuk w ten sposób, że stojący obok samochodu Gavallan i NcIver mogli to zobaczyć, i rozpoczął kołowanie przed startem do Tebrizu. Gavallan właśnie przyleciał z Asz Szargaz; dopiero teraz on i NcIver zostali sami.

- Co jest, Mac? - zapytał.

Wiatr szarpał grube zimowe ubrania i wzniecał zamieć śnieżną.

- Kłopoty, Andy.

- Wiem, że kłopoty. Powiedz mi szybko, o co właściwie chodzi.

NcIver przysunął się bliżej rozmówcy.

85

- Właśnie usłyszałem, że mamy tylko tydzień. Potem zakaz lotów do chwili nacjonalizacji.

- Co? - Gavallan zeszywniał. - Czy to powiedział ci Talbot?

- Nie. Armstrong, kilka minut temu, kiedy pułkownik poszedł do toalety i zostaliśmy na chwilę sami. - NcIver wykrzywił twarz. - Sukinsyn powiedział to z tą swoją udawaną grzecznością: „Na pana miejscu nie założyłbym się, że zostało więcej niż dziesięć dni, a bezpieczniej przyjąć, że tydzień. I niech pan nie zapomina, NcIver, w zamknięte usta nie wpadają muchy”.

- Jezu, czy on wie, że coś planujemy? Gwałtowny podmuch wiatru sypnął w nich śniegiem.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem, Andy.

- A co z HBC? Wspomniał o tym?

- Nie. Kiedy zapytałem o dokumenty, odpowiedział: „Są bezpieczne”.

- Powiedział, o której mamy się dzisiaj spotkać? NcIver potrząsnął głową.

- Tylko tyle: „Jeśli wrócę na czas, skontaktujemy się”. Sukinsyn.

Otworzył drzwiczki samochodu.

Zaniepokojony Gavallan otrzepał się ze śniegu i wszedł do ciepłego wnętrza. Szyby były zaparowane. NcIver włączył na maksimum odmrażanie i dmuchawę, ogrzewanie już było na 36 maksimum, włożył do magnetofonu kasetę z jakąś muzyką, wzmocnił dźwięk, a potem zaklął i ściszył.

- O co jeszcze chodzi, Mac?

- Właściwie o wszystko - wybuchnął NcIver. - Erikkiego porwali Sowieci czy jakieś KGB.

Jest ze swoim 212 gdzieś w górach przy granicy z Turcją i robi Bóg wie co. Nogger uważa, że zmusili go do pomagania przy oczyszczaniu amerykańskich tajnych stacji radarowych.

Nogger, Azadeh, dwóch naszych mechaników i brytyjski kapitan ledwie uszli z życiem, uciekając z Tebrizu. Wrócili wczoraj i na razie mieszkają u mnie - przynajmniej jeszcze tam byli, kiedy rano wychodziłem z domu. Mój Boże, Andy, szkoda, 86

że nie widziałeś, w jakim byli stanie. Ten kapitan to ten sam facet, który uratował Charliego w Doszan Tappeh i którego Charlie podrzucił w okolice Bandar-e Pah-lawi...

- Kim on jest?

- Tajnym agentem. Jest kapitanem w formacji Gurkhów... nazywa się Ross, John Ross. I on, i Azadeh mówili niezbyt spójnie. Nogger był za bardzo zdenerwowany i... i przynajmniej są już bezpieczni, ale... - Głos NcIvera załamał się. - Przykro mi o tym mówić. Straciliśmy w Zagrosie mechanika, Effera Jordona. Został zastrzelony...

- Jezu Chryste! Stary Effer nie żyje?

- Tak... tak, niestety, a twój syn został draśnięty... nic poważnego - dodał szybko NcIver, widząc, że Gavallan zbladł. - Scot czuje się dobrze, nic mu nie jest.

- Jak poważnie?

- Kula przeszła przez mięśnie prawego ramienia. Kości nietknięte; Jean-Luc powiedział, że mają penicylinę, medyka, że rana jest czysta. Scot nie będzie mógł jutro wywieźć 212 do Asz Szargaz, więc poprosiłem Jean-Luca, żeby to zrobił i zabrał Scota ze sobą. Potem ma wrócić do Teheranu najbliższym lotem 125 i przerzucimy go z powrotem do Kowissu.

- Co się, u diabła, stało?

- Nie wiem dokładnie. Starke przekazał mi tylko dziś rano wiadomość od Jean-Luca.

Wygląda na to, że w Zagrosie działają terroryści, chyba ci sami, którzy zaatakowali Bellissimę i Rosę. Musieli zacząć się w lesie koło bazy. Effer Jordon i Scot ładowali części zamienne do 212 akurat dziś po świcie i dostali. W biednego starego Effera trafiła większość pocisków, a w Scota

tylko jeden... - NcIver znów uzupełnił szybko swą wypowiedź, widząc twarz Gavallana. - Jean-Luc zapewnił mnie, że ze Scotem wszystko jest w porządku, Andy, uczciwie, na Boga!

- Nie myślałem tylko o Scocie - powiedział ponuro Gavallan. - Effer był z nami prawie od początku. On miał troje dzieci?

87

- Tak, tak. Straszne. - NcIver zwolnił sprzęgło i ruszył, kierując się z powrotem do biura. -

Chyba wszystkie jeszcze chodzą do szkoły.

- Zrobię coś dla nich, gdy tylko wrócę. Powiedz jeszcze coś o Zagrosie.

- Niewiele więcej wiem. Toma Locharta tam nie było; w piątek musiał prznocować w Kowissie. Je-an-Luc powiedział, że nie widzieli żadnego z napastników, nikt nie widział. Po prostu z lasu padły strzały. W bazie i tak wszystko aż się gotuje. Nasze ptaszki pracują bez przerwy. Przywożą ludzi z miejsc wierceń i przerzucają ich partiami do Szirazu. Wszyscy się zwijają, żeby zdążyć przed terminem, który wypada jutro o zachodzie słońca.

- Dadzą radę?

- Mniej więcej. Wywieziemy doKowissu wszystkich ludzi, z wierceń i naszych, większość drogich części i wszystkie helikoptery. Trzeba będzie zostawić sprzęt do wierceń, ale za to już nie odpowiadamy. Bóg jeden wie, co się stanie z bazą i urządzeniami wiertniczymi bez obsługi i konserwacji.

- Znowu będzie tam dzika pustka.

37

- Tak. Cholerne, głupie marnostrawstwo! Cholernie głupie! Zapytałem pułkownika Fazira, czy mógłby coś w tej sprawie zrobić. Sukinsyn uśmiechnął się tylko tym swoim pieprzonym uśmiechem i powiedział, że trudno ustalić, co się, do cholery, dzieje obok, w biurze w Teheranie, a co dopiero mówić o dalekim południu. Zapytałem go o komitet na lotnisku; czy oni mogliby pomóc? Powiedział, że nie, że komitety nie mają łączności z innymi, nawet w Teheranie. Zacytuję go: „Tam, w Zagrosie, wśród tylko na wpół cywilizowanych szczepów i koczowników, jeśli się nie ma armat, nie jest Iran-czykiem, a najlepiej ajatollahem, lepiej robić to, co oni każą”. - NcIver kaszlnął i ze złością wytarł nos. - Sukinsyn wprawdzie się z nas głośno nie śmiał, Andy, ale smutny też nie był.

Gavallan był zaniepokojony. Tyle pytań, które trzeba zadać i uzyskać odpowiedź, wszystko zagrożone i tu,

88

i w kraju. Tydzień do godziny zero? Dzięki Bogu, że Scot... biedny stary Effer... Jezu Chryste, Scot postrzelony! Spojrzał ponuro przez przednią szybę i zobaczył, że zbliżają się do rejonu frachtowego.

- Zatrzymaj na chwilę samochód, Mac. Będziemy mogli jeszcze trochę porozmawiać bez świadków, co?

- Tak, oczywiście. Przepraszam, ale nie mogę się skupić.

- Z tobą wszystko w porządku? Mam na myśli twoje zdrowie?

- Jasne, świetnie, gdybym tylko się pozbył tego kaszlu... Chodzi po prostu o to... o to, że się boję.

- NcIver powiedział to spokojnie, ale takie wyznanie wstrząsnęło Gavallanem. - Nie kontroluję sytuacji. Straciłem już jednego człowieka, sprawa HBC ciągle nad nami wisi, stary Erikki w niebezpieczeństwie, zagrożone S-G i wszystko, nad czym pracowaliśmy.

- Przebierał palcami po kierownicy. - Gen dobrze się czuje?

- Tak, doskonale - wyjaśnił cierpliwie Gavallan, martwiąc się o przyjaciela. Już po raz drugi odpowiadał na to pytanie. NcIver zapytał go o to od razu przy schodni 125. - Genny świetnie się czuje, Mac. Mam list od niej. Rozmawiała z Hamiszem i Sarah. W obu rodzinach wszystko w porządku, a Angusowi wyrósł pierwszy ząb. W domu wszystko w porządku, a ja mam w neseserze butelkę Loch Vay, którą Gen ci przysyła. Próbowwała przekonać Johnny'ego Hogga, żeby ją zabrał i ukrył w toalecie po tym, kiedy ja powiedziałem, że przykro mi, ale nie. - Po raz pierwszy zobaczył na twarzy NcIvera ślad uśmiechu.

- Gen jest uparta, co do tego nie ma dwóch zdań. Cieszę się, że jest tam, a nie tutaj, choć bardzo za nią tęsknię. - NcIver patrzył przed siebie. - Dziękuję, Andy.

- Nie ma o czym mówić. - Gavallan zastanawiał się przez chwilę. - Dlaczego to Jean-Luc ma wywieźć 212, a nie Tom Lochart? Nie byłoby lepiej, gdyby wyjechał?

89

- Oczywiście, ale on nie wyjedzie z Iranu bez Szah-razad, a z nią jest kolejny problem. -

Taśma kasety doszła do końca. Odwrócił kasetę i wepchnął ją z powrotem. - Nie mogę jej wytropić. Tom się o nią martwił i poprosił mnie, żebym poszedł do domu jej rodziny przy bazarze. Zrobiłem to, ale nikt nie otworzył drzwi. Tom jest pewien, że poszła na marsz protestacyjny.

- Jezu! BBC mówiło o rozruchach i aresztowaniach. I o atakowaniu kobiet przez różnych czubków. Myślisz, że trafiła do aresztu?

- W Bogu nadzieja, że nie; słyszałeś o jej ojcu? Och, jasne, sam ci o tym powiedziałem, kiedy ostatnio tu byłeś, prawda? - NcIver odruchowo przetarł przednią szybę. - Co chcesz robić? Chcesz tu poczekać do powrotu samolotu?

- Nie, pojedźmy do Teheranu. Zdążymy? Gavallan spojrział na zegarek. Wskazywał 12:25.

- Och, tak. Mamy do załadowania masę „zbędnego” sprzętu. Na pewno zdążymy, jeśli wyruszymy od

razu.

38

- Dobrze. Chciałbym się spotkać z Azadeh i Nog-gerem. I tym Rossem. A zwłaszcza z Talbotem. Po drodze możemy spróbować zajrzeć do domu Bakrawa-na, co?

- Dobra myśl. Cieszę się, Andy, że tu jesteś, bardzo się cieszę.

Koła zabuksowały i samochód ruszył.

- Ze mną jest tak samo, Mac. Tak naprawdę, to jeszcze nigdy nie byłem w takim dołku.

NcIver kaszlnął.

- Kiepskie wiadomości z kraju?

- Tak. - Gavallan bezmyślnie przecierał boczne okienko grzbietem rękawiczki. - W

poniedziałek odbędzie się nadzwyczajne zebranie zarządu Struana. Będę musiał odpowiadać na pytania dotyczące Iranu. Cholerna sprawa!

- Będzie tam Linbar?

- Tak. Ten skurczybyk zdąży zrujnować Noble House, zanim przejdzie na emeryturę.

Rozszerzanie

90

działalności na Amerykę Południową jest głupie, skoro Chiny stoją u progu otwarcia.

NcIver zmarszczył brwi, słysząc nowy ton w głosie Gavallana, ale nie odpowiedział. Wiedział

o wieloletniej rywalizacji i nienawiści, o podejrzanych okolicznościach śmierci Davida MacStruana i o zdumieniu, jakie zapanowało w Hongkongu, gdy Linbar stanął na czele organizacji. NcIver miał nadal wielu przyjaciół w kolonii; przekazywali mu najnowsze plotki, którymi karmił się Hongkong, plotki o Noble House i jego rywalach. Nigdy jednak dotąd nie rozmawiał o tym ze starym przyjacielem.

- Przepraszam, Mac - rzucił szorstko Gaval-lan. - Nie chcę rozmawiać o tym wszystkim, o lanie, Quillanie, Linbarze czy kimś innym związanym ze Stru-anem. Oficjalnie nie jestem już w Noble House. Zostawmy to.

Uczciwie powiedziane, pomyślał NcIver i skupił się na prowadzeniu samochodu. Zerknął na Gavallana. Starość jest dla niego łaskawa, pomyślał. Wygląda tak dobrze jak zawsze; nawet pomimo tych wszystkich kłopotów.

- Nie przejmuj się, Andy, jakoś to będzie.

- Chciałbym móc wierzyć, że się nie mylisz, Mac. Te siedem dni to ogromny problem, prawda?

- Ogromny to za mało powiedziane... - NcIver zauważył, że wskaźnik paliwa opadł do zera i wybuchnął gniewem: - Ktoś musiał wyssać benzynę na parkingu. - Zatrzymał samochód, wysiadł, wsiadł z powrotem i zatrzasnął drzwiczki. - Cholerny skurwysyn wyłamał zamek tego pieprzonego korka. Muszę zatankować. Na szczęście mamy jeszcze kilka pięciogalonowych beczek i pół podziemnego zbiornika rezerwowego paliwa dla helikopterów.

Zamilkł, zaprzątnięty myślami o Jordonie i Zagrosie, i HBC, i siedmiu dniach. Kogo jeszcze stracimy? Zaczął kląć w myślach i nagle przypomniał sobie słowa Genny: „Możemy to zrobić, jeśli tylko zechcemy, wiem, że możemy. Wiem, że możemy...”

91

Gavallan rozmyślał o synu. Nie uspokoję się, dopóki nie zobaczę go na własne oczy. Jutro, przy odrobinie szczęścia. Jeśli Scot nie wróci przed moim lotem do Londynu, odwołam rezerwację i wrócę w niedzielę. Muszę też skontaktować się jakoś z Talbotem - może będzie mógł pomóc. Mój Boże, tylko siedem dni...

NcIver błyskawicznie uzupełnił paliwo, a potem wyjechał z lotniska i włączył się do ruchu ulicznego. Duży odrzutowy transportowiec USAF schodził ponad ich głowami do lądowania.

- Obsługują średnio około pięciu jumbo jetów dziennie, nadal z udziałem wojskowych kontrolerów i „nadzorujących” Zielonych Opasek. Wszyscy wydają polecenia, a potem je zmieniają i nie chcą niczego słuchać - powiedział NcIver. - BA obiecały mi trzy miejsca w każdym z ich lotów dla naszych obywateli

39

- z bagażem. Lada dzień mają dostać jumbo.

- Czego chcą w zamian?

- Klejnotów koronnych! - odparł NcIver, próbując złagodzić przygnębienie, ale ten żart zabrzmiał płasko.

- Nie, niczego, Andy. Kierownik BA, Bill Shoesmith, to wspaniały facet; odwala tu kawał

dobrej roboty. -NcIver ominął wypalony wrak autobusu, stojący na skraju drogi, tak jakby był starannie zaparkowany.

- Kobiety znów dziś maszerują. Mówi się, że będą to robiły, dopóki Chomeini nie zmięknie.

- Jeśli pozostaną solidarne, będzie musiał.

- Ja już nie bardzo wiem, co o tym myśleć. - Nelver przez chwilę prowadził w milczeniu.

Potem wskazał kciukiem pieszych na chodniku. - Wygląda na to, że oni uważają, iż wszystko na świecie idzie dobrze. Meczety pełne, tłumne pochody zwolenników Chomeiniego, Zielone Opaski nieustraszenie zwalczają lewaków, którzy walczą z nimi równie nieustraszenie. -

Kasznął. - Nasi pracownicy, no cóż, po prostu raczą mnie zwykłą irańską grzecznością i pochlebstwami; nigdy nie wiadomo, co myślą naprawdę. Pewnym można być tylko tego, że chcą nas WYRZUCIĆ! - Raptownie wjechał na chod-92

nik, aby uniknąć czołowego zderzenia z samochodem pędzącym na klaksonie niewłaściwą stroną drogi, o wiele za szybko jak na ośnieżoną jezdnię. Potem znów ruszył. - Cholerny czubek - powiedział. - Gdybym nie kochał starej Lulu, zamieniłbym ją na poobijaną pół-

ciężarówkę i miałbym przewagę nad tymi cholernikami!

- Spojrzał na Gavallana i uśmiechnął się. - Andy, tak się cieszę, że tu jesteś. Dziękuję. Już się lepiej poczułem. Przepraszam.

- Nie ma problemu - odparł spokojnie Gavallan, choć był wewnętrznie wzburzony. - Co z Operacją?

- zapytał, gdyż nie mógł już dłużej dusić w sobie tego pytania.

- No cóż, siedem dni czy siedemdziesiąt... - Nelver skreślił gwałtownie, ponownie unikając wypadku, odwzajemnił obelżywy gest i ruszył w dalszą drogę. - Udawajmy, że wszyscy się zgodziliśmy i że jeśli zechcemy, możemy nacisnąć guzik w Dniu Zero, za siedem dni. Albo nie, Armstrong powiedział, że lepiej nie liczyć na więcej niż tydzień, więc przyjmijmy, że sześć dni, sześć dni od dzisiaj, to znaczy w najbliższy piątek. Piątek, tak czy inaczej, jest najlepszy, prawda?

- Tak, to dla nich dzień wolny. Też o tym myślałem.

- Zatem teraz to, z czym my musimy sobie poradzić, Charlie i ja. Faza pierwsza: od dziś wysyłamy każdego cudzoziemca i każdą część, jeśli tylko możemy, wszelkimi sposobami: 125, ciężarówką do Iraku czy Turcji albo jako bagaż i nadbagaż linią BA. Załatwię jakoś, żeby Bill Shoesmith dał nam więcej miejsc dla pasa-

|zerów i pierwszeństwo do powierzchni frachtowej. Wysłaliśmy już dwa 212 „do remontu”, a trzeci, z Zagrosu, polecą jutro. Mamy pięć ptaszków tu, w Teheranie: jeden 212, dwa 206 i dwa alouette. Wysyłamy 212 i dwa alouette do Kowissu, rzekomo po to, żeby spełnić prośbę Ważniaka o przysłanie helikopterów, choć Bóg jeden wie, do czego są mu potrzebne; Duke mówi, że nawet te, które są tam na miejscu, nie mają za bardzo co robić. W każdym razie zostawiamy tu dla kamuflażu dwa 206.

93

- Zostawiamy?

- Nie możemy wydostać wszystkich maszyn, Andy, niezależnie od czasu. Dalej: Dzień Zero minus dwa, to znaczy środa. Reszta personelu Kwatery Głównej, to-znaczy Charlie, Nogger, pozostali piloci, mechanicy i ja, pakuje się w środę do 125 i zwiewa do Asz Szargaz, jeśli oczywiście nie da się wywieźć kogoś wcześniej BA. Nie zapominaj, że mamy niby pozostać w tej samej liczbie: jeden odlatujący za jednego przylatującego. Następnie...

40

- Co z papierami, z wizami wyjazdowymi?

- Spróbuję dostać blankiety od Alego Kia. Będę potrzebował kilku szwajcarskich czeków in blanco. On wie, co to piszkesz, ale jest także członkiem rady, bardzo sprytnym. Jest pazerny, ale nie ma ochoty ryzykować własnym tyłkiem. Jeśli nie uda się zdobyć papierów, po prostu

„upiszkeszujemy” sobie drogę do 125. Naszym usprawiedliwieniem wobec współników, Kia czy kogokolwiek innego, kiedy już odkryją, że zniknęliśmy, jest to, że zwołałeś pilną konferencję w Asz Szargaz. To kulawe usprawiedliwienie, ale nie ma o czym mówić. To kończy fazę pierwszą. Jeśli nie uda się nam wyjechać, z Operacją koniec, gdyż bylibyśmy zakładnikami, za których chcieliby dostać z powrotem śmigłowce, a wiem, że ty byś nas nie poświęcił. Faza druga: zakładamy...

- A co z twoimi prywatnymi rzeczami z mieszkania? I z rzeczami tych chłopaków, którzy mają mieszkania lub domy w Teheranie?

- Firma będzie musiała wypłacić uczciwe odszkodowanie. To wejdzie do rachunku zysków i strat Operacji Whirlwind. Zgoda?

- He to wyniesie, Mac?

- Nie tak znowu dużo. Nie mamy wyboru; musimy wypłacić odszkodowanie.

- Tak, tak, zgoda.

- Faza druga: zakładamy interes w Asz Szargaz, a przedtem dzieje się kilka rzeczy naraz. Ty załatwiasz przylot frachtowców jumbo do Asz Szargaz po południu. Dzień Zero minus jeden.

Do tego czasu Starke

94

melinuje jakoś dostateczną liczbę czterdziestogalono-wych beczek, żeby przerzucić je przez zatokę. Ktoś inny melinuje dla Starke'a jeszcze trochę paliwa na jakiejś zapomnianej przez Boga wysepce u wybrzeża Arabii Saudyjskiej albo Emiratów oraz dla Rudiego i jego chłopaków z Bandar Dejlamu, którzy na pewno będą go potrzebować. Scrag nie ma problemów z paliwem. W tym czasie ty załatwiasz brytyjską rejestrację dla wszystkich ptaszków, które zamierzamy „wyeksportować”, i dostajesz zezwolenie na przelot przez przestrzeń powietrzną Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej i Emiratów. Ja odpowiadam za przebieg Operacji Whirlwind. O świcie w Dniu Zero wydajesz mi polecenie: ruszać albo nie ruszać.

Jeśli nie, wszystko się kończy. Jeśli tak, ja mogę uchylić polecenie wyruszenia, jeżeli uznam, że tak jest rozsądniej.. Także wtedy wszystko się kończy. Zgoda?

- Z dwoma zastrzeżeniami, Mac. Skonsultujesz się ze mną, zanim uchyłisz polecenia, tak jak ja z tobą, zanim wydam swoje. Po drugie: jeśli nie uda się w Dniu Zero, spróbujemy ponownie w Dniu Zero plus jeden i Zero plus dwa.

- W porządku. - NcIver wziął głęboki oddech. - Faza trzecia: o świcie w Dniu Zero albo Zero plus jeden czy dwa - uważam, że trzy stanowi maksimum tego, co możemy z siebie wydusić -

nadajemy przez radio zakodowaną wiadomość: „Ruszać!” Trzy bazy potwierdzają i natychmiast wszystkie uciekające maszyny startują i kierują się do Asz Szargaz.

Prawdopodobnie pomiędzy przylotem Scraga a ostatniego, zapewne Duke'a, będą cztery godziny różnicy, jeśli wszystko pójdzie dobrze. W chwili gdy helikoptery wylądują gdziekolwiek poza Iranem, zamieniamy irańskie numery rejestracyjne na brytyjskie i w ten sposób robimy się częściowo legalni. W momencie lądowania w Asz Szargaz ładuje się 747, które startują ze wszystkimi na pokładzie. - NcIver odetchnął. - Proste.

Gavallan nie odpowiedział od razu; rozmyślał o planie, szukał luk i niebezpieczeństw.

95

- To jest dobre, Mac.

- Nie jest, Andy, wcale nie jest.

- Wczoraj rozmawiałem długo ze Scragiem. Powiedział, że Operacja jest możliwa do zrealizowania i że on wchodzi, jeśli to się rzeczywiście odbędzie. Powiedział, że wybada 41

innych podczas weekendu i da mi j;nać, ale był pewien, że we właściwym dniu będzie mógł

wywieźć swoje maszyny i chłopaków.

NcIver skinął głową i nie odpowiedział. Skupił uwagę na prowadzeniu samochodu po śliskiej i niebezpiecznej drodze, przemykając bocznymi uliczkami, aby ominąć główne, wiedząc, że są zatłoczone.

- Jesteśmy już niedaleko bazaru.

- Scrag powiedział, że mógłby za parę dni dostać się do Bandar Dejlamu i wysondować Rudiego; listy są zbyt ryzykowne. Aha, dał mi wiadomość dla ciebie.

- Jaką, Andy?

Gavallan sięgnął po neseser. Znalazł kopertę i włożył i okulary, których używał do czytania. i

- Zaadresowana: B.D. Kapitan NcIver. j

- Któregoś dnia dam mu po nosie za tego „Brudnego” Duncana - powiedział NcIver. -

Przeczytaj. \

Gavallan otworzył kopertę, wyciągnął kartkę, do której przypięta była druga, i chrząknął.

- Napisał tylko: Wypchaj się. Do tego jest przypięte orzeczenie lekarskie... - Spojrzał na dokument. -
...podpisane przez doktora G. Gernina, Konsulat Australijski, Asz Szargaz. Stary skurczybyk ma cholesterol w normie, ciśnienie sto trzydzieści na osiemdziesiąt pięć, cukier w normie... wszystko cholernie w normie. Jest jeszcze postscriptum: Zamierzam przelecieć nad tobą w swoje siedemdziesiąte trzecie urodziny, stary palancie!

- Chciałbym, żeby tak było, ale skurczybyk nie da rady. Czas pracuje przeciwko niemu. On...

- NcIver ostrożnie przyhamował. Uliczka wychodziła na plac przed bazarowym meczetem.

Jej wylot blokowali mężczyźni, wykrzykujący i wymachujący bronią. Nie było którejdy ich objechać, więc NcIver zwolnił i zatrzymał

96

samochód. - Znowu kobiety - powiedział, dostrzegając za mężczyznami prącą do przodu falę demonstrantek.

Okrzyki demonstrujących i ich przeciwników niosły ze sobą groźbę przemocy. Po obu stronach drogi ruch zatamowały gigantyczne korki; gniewnie porykiwały klaksony. Nie było tu chodników, tylko brudne i zamulone rowy, zasypane śniegiem, kilka straganów, jacyś przechodnie.

Wokół samochodu zebrał się tłum. Gapię dołączali do tych, którzy stali z przodu, wypełniając jezdnię pomiędzy samochodami. Wśród gapiów wielu łobuziaków; jeden z nich wykonał pod adresem Gavallana obelżywy gest, inny kopnął w błotnik, jeszcze inny w zderzak; wszyscy odbiegli zaśmiewając się.

- Cholerne małe skurwysyny.

NcIver widział ich we wstecznym lusterku. Wokół samochodu gromadzili się inni młodzieńcy. Przez tłum precyzyjnie się kilku mężczyzn; gniewne spojrzenia, po drodze uderzenia kolbami w drzwiczki samochodu. Z przodu widać było przechodzącą przez skrzyżowanie główną część pochodu. Potężny pomruk: Allahu Ak-barr... zdominował

okrzyki mężczyzn.

Gavallana i NcIvera zaalarmował nagły trzask. Kamień uderzył w samochód o centymetry od okna. Potem samochód zaczął się kołysać; banda chłopaków podskakiwała na zderzakach, wykonując obsceniczne gesty. NcIver nie wytrzymał. Gwałtownie otworzył drzwi, przewracając kilku

napastników; wyskoczył na zewnątrz i natarł na grupę, która natychmiast się rozpieczęła. Gavallan wypadł z samochodu równie szybko i zaatakował tych, którzy obciążali wóz z tyłu. Potężnym ciosem wysłał jednego z nich w powietrze. Większość pozostałych wycofała się. Ich krzyki mieszały się z przekleństwami przechodniów, ale dwóch większych zaatakowało Gavallana od tyłu. Dostrzegł ich. Jednego uderzył w pierś, drugim walnął o bok jakiejś ciężarówki i ogłuszył. Roześmiał się i załomotał pięścią w drzwiczki 42

kabiny. NcIver ciężko dyszał. Z jego strony młodzieńcy z bezpiecznej odległości wykrzykiwali przekleństwa.

97

- Uważaj, Mac!

NcIver zrobił unik. Kamień świsnął koło jego głowy i uderzył w bok ciężarówki. Młodzi ludzie, dziesięciu czy dwunastu, ruszyli naprzód. NcIver nie miał dokąd uciekać; stanął przy masce samochodu. Gavallan oparł się o samochód, chcąc utrzymać napastników na dystans.

Jeden z młodzieńców rzucił się na niego z drągiem wzniesionym jak pałka, a trzech inni zaatakowali z boku. Gavallan uchylił się przed ciosem, lecz pałka zawadziła o jego ramię.

Złapał haust powietrza, runął na napastnika, uderzeniem w twarz pozbawił go równowagi, po czym sam pośliznął się i upadł w śnieg. Pozostali napastnicy ruszyli do przodu, żeby go zabić.

Nagle zamiast butów wymierzających razy Gavallan spostrzegł, że ktoś pomaga mu się podnieść. Był to uzbrojony mężczyzna z zieloną opaską. Młodzi ludzie skulili się pod ścianą ze strachu, gdyż drugi mężczyzna mierzył do nich z karabinu. Starszy muła krzyczał na nich gniewnie, a całą grupę otoczyli gapie. Gavallan spojrział bezradnie i zobaczył, że NcIver, który także wyszedł z zajścia mniej więcej bez szwanku, stoi przed samochodem. Do Gavallana podszedł muła i odezwał się w farsi.

- Man zaban-e szomora chub nemidonam, Agha.

- Przepraszam, nie znam pańskiego języka, ekscelencjo - wychrypiał Gavallan, czując ból w piersi.

Muła, starzec z, białą brodą, w białym turbanie i czarnej szacie, odwrócił się i przekrzykując zgiełk, powiedział coś do gapiów i ludzi siedzących w innych samochodach.

Jeden z kierowców zbliżył się niechętnie, z szacunkiem pozdrowił mułę, wysłuchał go, a potem powiedział w dobrym, choć nieco sztucznym angielskim:

- Muła informuje pana, agha, że młodzieńcy nie mieli racji, atakując panów, i że złamali prawo, a pan oczywiście nie złamał prawa ani ich nie sprowokował. - Znów wysłuchał słów muły i zwrócił się do Gavallana i NcIvera: - On chce, żebyście wiedzieli, że republika islamska przestrzega niezmiennych praw Boga. Młodzi

98

ludzie złamali prawo, atakując nie uzbrojonych cudzoziemców, którzy spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. - Brodaty mężczyzna w średnim wieku, odziany w wyszarżane ubranie, odwrócił się do mułły, który przemawiał teraz podniesionym głosem do tłumu i młodzieńców.

Widać było, że jego słowa przyjmowane są przychylnie. - Zaświadczyście, że prawo jest przestrzegane, wina ukarana, a sprawiedliwość wymierzona od razu. Karą jest pięćdziesiąt batów, ale najpierw młodzi ludzie będą błagać o przebaczenie was i wszystkich tu obecnych.

Przy akompaniamencie wrzawy czynionej przez członków pochodzących z kopniakami przerażonych młodzieńców przed obliczami NcIvera i Gavallana. Padli na kolana i uniżenie błagali o wybaczenie. Potem popchnięto ich z powrotem pod ścianę i oćwiczono batami do poganiania bydła, dostarczonymi gorliwie przez przedstawicieli zainteresowanego tym widowiskiem i drwiącego tłumu. Mułła, dwaj mężczyźni z Zielonych Opasek i inni, wybrani przez mułłę, wymierzali sprawiedliwość. Bezlitośnie.

- Mój Boże - mruknął Gavallan, któremu zrobiło się słabo.

- To jest islam - odezwał się ostrym głosem kierowca-tłumacz. - Islam ma jedno prawo dla wszystkich ludzi, jedną karę za każdą zbrodnię, a sprawiedliwość się nie ociąga. Prawo jest prawem Boga; jest nietykalne i wieczne, nie tak, jak na waszym skorumpowanym Zachodzie, gdzie można naginać prawa i opóźniać sprawiedliwość w interesie prawników, którzy tuczą się na takim naginaniu i korupcji oraz na podłości i nieszczęściu innych ludzi... -

Przeszkodziły mu krzyki biczowanych. - Te psie syny nie mają dumy - rzucił obelżywie mężczyzna, wracając do swego samochodu.

43

Gdy wymierzanie kary dobiegło końca, mułła łagodnie upomniął tych młodych ludzi, którzy byli jeszcze przytomni, a potem zwolnił ich i odszedł ze swymi Zielonymi Opaskami. Tłum rozproszył się, pozostawia-99

jąc NcIvera i Gavallana obok samochodu. Napastnicy wyglądali teraz jak żałosne kukły w zbroczonych krwią łachmanach; niektórzy jęcząc próbowali wstać. Gavallan chciał pomóc jednemu z nich, lecz zrezygnował, gdy ten, przerażony zaczął się odczołgiwać. Błotniki samochodu były powyginane, a farba porysowana, rzucanymi złośliwie kamieniami. NcIver jakby się nagle postarzał.

- Nie można chyba powiedzieć, że na to nie zasłużyli - zauważył Gavallan.

- Gdyby mułła się nie zjawił, nieźle by nas skopali - dorzucił schrypniętym głosem NcIver.

Cieszył się, że nie było tu Genny. Bolałby ją każdy wymierzony bat, pomyślał. Czuł

wywołany ciosami ból klatki piersiowej i pleców. Oderwał wzrok od samochodu i z trudem rozprostował ramiona. Potem zauważył, że człowiek, który służył za tłumacza, nadal tkwi w samochodzie uwięzionym w korku ulicznym. Zmagając się z bólem, pobrnął przez śnieg w jego kierunku.

- Dziękuję za pomoc, agha - krzyknął przez zamknięte okienko, starając się przekrzyczeć hałas ulicy.

Samochód był stary i poobijany; cisnęło się w nim jeszcze czterech mężczyzn. Kierowca opuścił szybę.

- Mułła potrzebował tłumacza. Pomagałem jemu, a nie wam - rzucił ze złością. - Gdyby nie było was w Iranie, wasz niesmaczny pokaz materialnej zamożności nie kusiłby tych biednych głupców.

- Przykro mi, chciałem tylko...

- A gdyby nie wasze równie odrażające filmy i telewizja, która gloryfikuje bezbożne gangi uliczne i buntownicze klasy szkolne, ci biedni głupcy przestrzegaliby prawa. Te filmy sprowadzał Szach na zlecenie swych mocodawców, żeby demoralizować młodzież. Lepiej odjedźcie, póki was także nie przyłapano na naruszaniu prawa.

Zamknął okienko i gniewnie nacisnął klakson.

100

W MIESZKANIU LOCHARTA, 14:37. Zapukała w umówiony sposób do drzwi nadbudówki. Miała osłoniętą twarz i przybrudzony czador. Od wewnątrz odpowiedziało jej pukanie. Znow zastukała cztery razy szybko i raz powoli. Drzwi uchyliły się trochę, a w szczelinie dojrzała Tejmura z pistoletem wymierzonym w jej twarz. Roześmiała się.

- Nikomu nie ufasz, kochanie? - zapytała po arabs-ku, dialektem palestyńskim.

- Nie, Sajado, nawet tobie - odpowiedział, a gdy upewnił się, że za drzwiami stoi naprawdę Sajada Ber-tolin i jest sama, uchylił szerzej drzwi, a ona odsłoniła twarz i padła w jego objęcia. Kopniakiem zatrzaskał drzwi i zamknął je na klucz: - Nawet tobie. - Pocałowali się żarliwie. - Spóźniłaś się.

- Nie, to ty byłeś za wcześnie. - Znow się roześmiała, oderwała od niego i wręczyła mu torbę.

- Tu jest mniej więcej połowa, resztę przyniosę jutro.

- Gdzie zostawiłaś tę resztę?

- W skrytce w Klubie Francuskim. - Sajada Ber-tolin zdjęła czador i to ją całkowicie odmieniło. Miała na sobie puchową kurtkę narciarską, ciepły golf z kaszmiru, spódnice w kratę, grube skarpety i wysokie futrzane buty, a wszystko to ładne i modne. - Gdzie są inni? -

zapytała.

Błysnęły mu oczy.

- Odesłałem ich.

- Ach, miłość po południu. Kiedy wróca?

- O zachodzie słońca.

44

- Świetnie. Najpierw prysznic. Jest jeszcze ciepła woda?

- O, tak. I centralne ogrzewanie, i koc elektryczny. Luksus! Lochart i jego żona wiedzieli jak żyć. Jak pasza. Jak to się mówi po francusku? Ach tak, garconniere.

Poczuł się rozgrzany jej śmiechem.

- Nie masz pojęcia, kochanie, jakim pizkeszem jest gorący prysznic. To o wiele przyjemniejsze niż kąpiel, nie mówiąc już o innych sposobach. - Usiadła na krześle, żeby zdjąć buty. - Ale to ten stary wszetecznik

101

Bakrawan wiedział jak żyć, a nie Lochart. Początkowo mieszkanie służyło jego kochance.

- Tobie? - zapytał bez złośliwości.

- Nie, kochanie, on musiał mieć młode, bardzo młode. Ja nie jestem niczyją kochanką, nawet własnego męża. To Szahrazad mi powiedziała. Stary Dżared wiedział jak żyć. Szkoda, że nie miał więcej szczęścia umierając.

. - Spełnił swoje zadanie.

- To za mało dla takiego człowieka. Głupiec!

- Był znanym lichwiarzem i zwolennikiem Szacha, choć łożył hojnie na Chomeiniego.

Naruszył prawa Boga i...

- Prawa gorliwych fanatyków, kochanie, fanatyków. Ty i ja także naruszamy wszystkie możliwe prawa, może nie? - Wstała i pocałowała go lekko. Ruszyła korytarzem po pięknych dywanach, weszła do sypialni Szahrazad i Locharta, a stamtąd do luksusowej łazienki z lustrami. Odkręciła prysznic i stała, czekając, aż woda się ogrzeje. - Zawsze uwielbiałam to mieszkanie.

Oparł się o framugę.

- Moi zwierzchnicy dziękują ci za sugestię. Jak wypadł marsz?

- Okropnie. Irańczycy to zwierzęta. Obrzucali nas przekleństwami i błotem, wymachiwali penisami, a to wszystko dlatego, że chcemy trochę równości, że chcemy się ubierać tak jak lubimy, że chcemy być piękne przez tę odrobinę czasu, kiedy jesteśmy młode. - Zbadała ręką temperaturę wody. - Wasz

Chomeini powinien zmięknąć.

- Roześmiał się.

- Nigdy. Na tym polega jego siła. Poza tym tylko niektórzy są zwierzętami, Sajado, a reszta nie bardzo umie się znaleźć. Gdzie się podziała twoja cywilizowana palestyńska tolerancja?

- Wy, tutejsi mężczyźni, wrzuciliście ją do klozetu, Tejmurze. Zrozumiałbyś to, gdybyś był

kobietą. - Znow sprawdziła wodę i poczuła, że zaczyna lecieć gorąca.

102

- Czas, żebym wróciła do Bejrutu. Tutaj nigdy nie czułam się czysta; nie czułam się czysta już od miesięcy.

- Ja też chętnie wrócę. W Iranie wojna już się skończyła, ale nie w Palestynie, Libanie czy Jordanii. Tam potrzebują wyszkolonych bojowców. Są żydzi, których trzeba zabijać, przeklęty syjonizm, który trzeba przegnać, i święte miejsca, które trzeba odzyskać.

- Cieszę się, że wracasz do Bejrutu. - Spojrzała na niego zachęcająco błyszczącymi oczami. -

Powiedziano mi, że mam być w kraju za parę tygodni, co mi bardzo odpowiada. Będę jeszcze mogła wziąć udział w marszach. Manifestacja planowana na czwartek będzie chyba największa!

- Nie rozumiem, dlaczego zawracasz sobie tym głowę. Iran nie jest twoim problemem, a żadne pochody i protesty i tak niczego nie zmieniają.

- Mylisz się. Chomeini nie jest głupcem. Biorę udział w pochodach z tego samego powodu, z którego pracuję dla OWP; chodzi o naszą ojczyznę, o równość, o prawa dla kobiet Palestyny... i, tak, i dla kobiet we wszystkich krajach. - Brązowe oczy zapłonęły. Nigdy jeszcze nie widział jej tak pięknej. - Kobiety protestują, kochanie. Na Boga Koptów, jedyne Boga, i na twojego Marksa-Lenina, którego skrycie czcisz, dni dominacji mężczyzn minęły!

45

- Zgoda - odparł od razu i roześmiał się. Niespodziewanie ona także się zaśmiała.

- Jesteś szowinistą, ty, który rozumiesz inaczej.

- Woda osiągnęła idealną temperaturę. Zdjęła narciarską kurtkę. - Wejdzmy pod prysznic razem.

- Dobrze. Powiedz mi o papierach.

- Później. - Rozebrała się, nie czując wstydu, podobnie on. Byli podnieceni, lecz cierpliwi, gdyż ufali sobie jako kochankowie - kochankowie od trzech lat: w Libanie, Palestynie i tu, w Teheranie. Namydlił ją, a ona jego. Bawili się sobą nawzajem, a ta zabawa stawała się stopniowo coraz

bardziej intymna, bardziej zmysłowa i erotyczna, aż ona krzyknęła i krzyknęła

103

znowu, a potem, gdy już w nią wszedł, zatonęli w sobie, jeszcze gwałtowniej, aż jednocześnie eksplodowali. Potem, uspokojeni, leżeli razem w łóżku, korzystając z ciepła elektrycznego koca.

- Która godzina? - zapytała leniwie i westchnęła.

- Godzina miłości.

Spokojnie sięgnęła ręką, a on drgnął, nie przygotowany, i cofnął się protestując. Potem chwycił jej dłoń i przyciągnął bliżej.

- Jeszcze nie, nawet ty jeszcze nie, kochany! - powiedziała, czując się dobrze w jego objęciach.

- Pięć minut.

- Nie zastąpi pięciu godzin, Tejmurze.

- Godzina...

- Dwie godziny - powiedziała z uśmiechem. - Za dwie godziny będziesz znów gotowy, ale wtedy mnie już tutaj nie będzie. Będziesz musiał pójść do łóżka z jedną ze swoich żołnierskich dziwek. - Słumiła ziewnięcie i przeciągnęła się jak kot. - Och, Tejmurze, jesteś cudownym kochankiem, cudownym. - Usłyszała jakiś dźwięk. - Czy. to prysznic?

- Tak. Zostawiłem odkręcony. Luksus, co?

- Tak, tak, ale to marnotrawstwo.

Ześliznęła się z łóżka, zamknęła od środka drzwi łazienki, skorzystała z bidetu i weszła pod prysznic. Podśpiewując, umyła głowę, owinęła się grubym ręcznikiem i wysuszyła włosy elektryczną suszarką. Spodziewała się, że kiedy wróci, on będzie smacznie spał. Nie spał.

Leżał na łóżku z poderżniętym gardłem. Na wpół okrywający go koc był przesiąknięty krwią, a odcięte genitalia ułożono starannie na poduszce przy jego głowie. Patrzyli na nią dwaj mężczyźni. Obaj byli uzbrojeni w rewolwery z tłumikami. Przez otwarte drzwi sypialni zobaczyła trzeciego mężczyznę, który pilnował drzwi wejściowych.

- Gdzie reszta dokumentów? - Mężczyzna mówił dziwacznie akcentowanym angielskim, mierząc do niej z rewolweru.

104

- W... w Klubie Francuskim.

- Gdzie w Klubie Francuskim?

- W skrytce. - Zbyt długo pracowała w podziemiu dla OWP; była zbyt doświadczona, żeby wpaść w panikę. Jej serce nie biło szybciej niż zwykle. Zastanawiała się, co zrobić przed śmiercią. W torebce miała nóż, ale zostawiła ją na nocnym stoliku. Teraz torebka leżała na łóżku, jej zawartość obok, a noża nie było. Żadnej broni w zasięgu ręki. Żadnej oprócz czasu -

o zachodzie słońca mieli wrócić pozostali; do zachodu było jednak daleko. - W części dla pań

- dodała.

- Która skrytka?

46

- Nie wiem. Numerów nie ma, a to, co chce się przechować, daje się pracownicy, wpisując do książki nazwisko. Pracownica odnotowuje inicjały i wydaje rzecz z powrotem, gdy się o nią poprosi. Ale tylko osobiście.

Mężczyzna spojrział na drugiego, który nieznacznie skinął głową. Obaj mieli czarne włosy, ciemne oczy i wąsy. Nie mogła rozpoznać akcentu. Mogli być Irań-czykami, Arabami albo Żydami, mogli pochodzić z każdego miejsca od Egiptu i Syrii po Jemen na południu.

- Ubieraj się. Jeśli czegoś spróbujesz, nie pójdziesz do piekła tak bezboleśnie jak ten człowiek, którego nie obudziliśmy. Jasne?

- Tak.

Zaczęła się ubierać. Nie próbowała się zasłonić. Człowiek stojący przy drzwiach obserwował uważnie nie jej ciało, lecz ręce. Zawodowcy, pomyślała z przestrawieniem.

- Gdzie dostałaś papiery?

- Od kogoś zwanego Ali. Nie widziałam go nigdy przed...

- Stop! - To słowo, choć wypowiedziane cichym głosem, miało ostrość brzytwy. - Skłam jeszcze raz, Sajado Bertolin, a pokroję w plasterki twoją piękną pierś i zmuszę cię, żebyś ją zjadła. Jedno kłamstwo zostaje wybaczone jako twój eksperyment. Mów dalej.

105

Teraz ogarnął ją strach.

- Nazywał się Abdollah ben Ali Siba. Rano poszedł ze mną do starej kamienicy czynszowej koło uniwersytetu. Zaprowadził mnie do mieszkania i szukaliśmy tam, gdzie nam powiedziano.

- Kto wam powiedział?

- „Głos”. Głos w słuchawce telefonu. Znam go tylko jako głos. Od... od czasu do czasu telefonuje do mnie i wydaje specjalne polecenia.

- Jak go rozpoznajesz?

- Po głosie, a poza tym jest zawsze hasło. - Wciągnęła sweter przez głowę. Była już ubrana, nie miała na sobie tylko butów. Rewolwer z tłumikiem nie drgnął przez cały ten czas. -

Hasłem jest to, że zawsze, w ciągu pierwszych minut rozmowy, wspomina w ten czy inny sposób o poprzednim dniu, niezależnie od tego, kiedy rozmawiamy.

- Dalej.

- Szukaliśmy pod deskami podłogi i znaleźliśmy materiał: listy, akta, trochę książek.

Upchnęłam to w torebce i poszłam do Klubu Francuskiego i... a potem, ponieważ urwał się pasek od torebki, zostawiłam połowę i przyszłam tutaj.

- Kiedy poznałaś tego mężczyznę, Dimitriego Jazer-nowa?

- Nigdy. Powiedziano mi tylko, że mam tam pójść z Abdollahem, upewnić się, że nikt nas nie obserwuje, znaleźć dokumenty i oddać je Tejmurowi.

- Dlaczego jemu?

- Nie pytałam. Nigdy o nic nie pytam.

- Mądrze. Co robi... robił Tejmur?

- Dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że jest... że był Irańczykiem wyszkolonym przez OWP

na Bojownika Wolności - odparła.

- Który oddział?

- Nie wiem. - Za ramieniem mężczyzny mogła widzieć sypialnię, lecz odwracała wzrok od łóżka i patrzyła na mężczyznę, który wiedział zbyt wiele. Sądząc po zadawanych pytaniach, mogli być agentami

SAVAMA, KGB, CIA, MI6, Izraelczykami, Jordańczykami, Syryjczykami, Irakijczykami, mogli też należeć do jednej z grup ekstremistów OWP, które nie uznawały przywództwa Arafata. Wszyscy chcieliby wejść w posiadanie zawartości sejfu amerykańskiego ambasadora.

- Kiedy wróci Francuz, twój kochanek?
- Nie wiem - odpaliła, rozmyślnie nie ukrywając zdziwienia.-
- Gdzie on teraz jest?
- W swojej bazie w Zagrosie. Zagros Trzy.
- Gdzie jest pilot Lochart?
- Chyba też w Zagrosie.
- Kiedy tu wróci?
- To znaczy do tego mieszkania? Nie sądzę, żeby kiedykolwiek tu wrócił.
- Do Teheranu?

Jej wzrok powędrował do sypialni, choć opierała się temu ze wszystkich sił. Zobaczyła Tejmura. Poczła, że wywraca się jej żołądek; zatoczyła się do toalety i gwałtownie zwymiotowała. Mężczyzna przyglądał się temu spokojnie, cieszył się, że pękła w niej jedna z barier. Był przyzwyczajony do widoku ludzi, którzy tak właśnie reagowali na terror. Mimo to mierzył do niej z pistoletu i obserwował uważnie czy nie wpadnie jej do głowy pomysł jakiejś sztuczki.

Gdy skurcz minął, opłukała usta wodą, próbując przezwyciężyć mdłości. Skłęła w myślach Tejmura, który był na tyle głupi, żeby odesłać przyjaciół. Idiota! - miała ochotę wrzasnąć.

Idiotyzm. Gdy jest się otoczonym wrogami z prawa, lewa i środka... Czy kiedykolwiek przeszkadzało mi w kochaniu się to, że inni są obok? Byle drzwi były zamknięte...

Oparła się o zbiornik, była gotowa przyjąć swoje przeznaczenie.

- Najpierw jedziemy do Klubu Francuskiego - powiedział. - Wyciągniesz resztę materiałów i dasz je mnie. Jasne?

- Tak. Rozumiem.

- Od teraz pracujesz dla nas. Tajnie. Będziesz dla nas pracować. Zgoda?
- A mam jakiś wybór?
- Tak. Możesz umrzeć. W brzydki sposób. - Usta mężczyzny zrobiły się jeszcze węższe, a oczy przypominały teraz oczy płaza. - Po twojej śmierci ktoś zajmie się dzieckiem zwanym Jassar Bialik.

Zbladła.

- Aha, dobrze! Zatem pamiętasz swojego synka, który mieszka z rodziną twego wuja przy ulicy Flower Merchants w Bejrucie? - Mężczyzna wpatrywał się w nią, żądając odpowiedzi. -

Pamiętasz?

- Tak, tak, oczywiście - wykrztusiła. Oni nie mogą wiedzieć o moim ukochanym Jassarze, nawet mój mąż nie wie...

- Co się stało z ojcem chłopca?

- Zzostał... został zabity.

- Gdzie?

- Na... na Wzgórzach Golan.

- To smutne. Stracić młodego męża w kilka miesięcy po ślubie - zadrwił mężczyzna. - Ile miałaś wtedy lat?

- Sie... siedemnaście.

- Pamięć cię nie zawodzi. Dobrze. Jeśli wybierzesz pracę dla nas, ty, twój syn, wujek i jego rodzina będziecie bezpieczni. Jeśli nie będziesz absolutnie posłuszna albo jeśli spróbujesz nas zdradzić czy popełnić samobójstwo, chłopczyk Jassar przestanie być mężczyzną i straci wzrok. Jasne?

Bezradnie skinęła głową. Jej twarz miała kolor popiołu.

- Gdybyśmy zginęli, inni dopilnują, abyśmy zostali pomszczeni. Nie miej co do tego wątpliwości. A teraz, co wybrałaś?

48

- Będę wam służyć. - Zapewnię synkowi bezpieczeństwo i zostanę pomszczona, ale jak, jak mam to zrobić? - dodała w myślach.

- Dobrze. Na oczy, jaja i fiuta twojego syna, będziesz nam służyć?

108

- Tak. Pr... proszę-, kim... komu mam służyć? Obaj mężczyźni uśmiechnęli się. Bez wesołości.

- Nigdy o to nie pytaj ani nie próbuj tego odkryć. Powiemy ci, gdy to będzie konieczne.

Konieczne. Jasne?

- Tak.

Mężczyzna odłączył tłumik i schował go razem z bronią do kieszeni.

- Chcemy dowiedzieć się natychmiast, kiedy wróci Francuz lub Lochart. Ty się tego dowiesz, a także tego, ile oni mają helikopterów tu, w Teheranie, i gdzie jeszcze. Jasne?

- Tak. Jak mam się z wami skontaktować?

- Dostaniesz numer telefonu. - Oczy zmrużyły się jeszcze bardziej. - Tylko ty możesz go znać. Jasne?

- Tak.

- Gdzie mieszka Robert Armstrong? Robert Armstrong?

- Nie wiem. - W jej głowie zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Mówiło się, że Armstrong jest wyszkolonym zabójcą zatrudnianym przez MI6.

- Kim jest George Talbot?

- Talbot? Urzędnikiem ambasady brytyjskiej.

- Jakim urzędnikiem? Czym się zajmuje?

- Nie wiem. Po prostu urzędnikiem.

- Czy któryś z nich jest twoim kochankiem?

- Nie. Oni... oni wpadają czasem do Klubu Francuskiego. Znajomi.

- Zostaniesz kochanką Armstronga. Jasne?

- Ja... spróbuję.

- Masz dwa tygodnie. Gdzie jest żona Locharta?

- Myślę... myślę, że w domu rodziny Bakrawana, przy bazarze.

- Upewnij się. I zdobądź klucz do drzwi frontowych. - Mężczyzna dostrzegł wyraz jej twarzy i skrył rozbawienie. Jeśli masz jakieś skrupuły, nic nie szkodzi, pomyślał. Wkrótce nawet zjedzenie gówna sprawi ci przyjemność, jeśli tylko tego zapagniemy. - Wkładaj palto, idziemy od razu.

109

Czując, że uginają się pod nią nogi, przeszła przez sypialnię, kierując się w stronę drzwi wyjściowych.

- Poczekaj! - Mężczyzna wrzucił jej rzeczy z powrotem do torebki, a potem, tknięty nagłą myślą, owinał byle jak to, co leżało na poduszce, w jedną z jej jednorazowych chusteczek i także włożył do torebki. - Żeby przypominało ci o obowiązku posłuszeństwa.

- Nie, proszę. - Z jej oczu trysnęły łzy. - Nie mogę... nie to.

Mężczyzna wcisnął jej torebkę do ręki.

- Więc pozbądź się tego.

Zrozpaczona poczłapała z powrotem do łazienki i wrzuciła zawiniątko do ubikacji.

Zwymiotowała jeszcze gwałtowniej niż przedtem.

- Pospiesz się!

Gdy mogła już ustać na nogach, zwróciła się do mężczyzny:

- Gdy inni... gdy wrócą i znajdą... jeśli mnie tu nie będzie... będą wiedzieli... wiedzieli, że należę do tych, którzy to zrobili i...

49

- Oczywiście. Uważasz nas za głupców? Myślisz, że działamy sami? W chwili gdy ci czterej wrócą, będą martwi, a mieszkanie podpalone.

W MIESZKANIU McIVERA, 16:20. Ross powiedział:

- Nie wiem, panie Gavallan, niewiele pamiętam od chwili, gdy zostawiłem Azadeh na wzgórzu i zszedłem do bazy, aż mniej więcej do momentu, gdy dotarliśmy tutaj. - Miał na sobie jedną z koszul mundurowych Pettikina, czarny sweter, czarne spodnie i czarne buty. Był

czysty i ogolony, jednak jego twarz zdradzała krańcowe wyczerpanie. - Ale przedtem wszystko przebiegało tak jak... jak panu powiedziałem.

- Straszne - stwierdził Gavallan. - Bogu niech będą dzięki za pana, kapitanie. Gdyby nie pan, inni byliby już martwi. Bez pana przepadliby. Napijmy się, jest tak cholernie zimno. Mamy trochę whisky.

- Skinął na Pettikina. - Charlie?

110

Pettikin podszedł do kredensu.

- Jasne, Andy.

- Ja nie, dziękuję, panie McIver - powiedział Ross.

- A ja obawiam się, że tak, choć słońce nie zeszło jeszcze nad reję - oświadczył McIver.

- Ja też - dodał Gavallan.

Obaj dotarli tu niedawno. Przeżywali jeszcze to, że omal nie przydarzyło się im prawdziwe

nieszczęście, i martwili się, gdyż w domu Bakrawana nikt nie otworzył drzwi, choć walili długo żelazną kołatką. Potem przybyli tutaj. Ross, który drzemał na kanapie, zerwał się natychmiast na odgłos otwieranych drzwi, wysuwając groźnym gestem do przodu dłoń uzbrojoną w kukri.

- Przepraszam - powiedział drżącym głosem, chowając broń.

- W porządku - odparł Gavallan, udając, że wcale się nie przestraszył. - Jestem Andrew Gavallan. Cześć, Charlie! Gdzie jest Azadeh?

- Jeszcze śpi - wyjaśnił Pettikin.

- Przepraszam, że zerwałem pana z łóżka, kapitanie - powiedział Gavallan. - Co się przydarzyło w Tebrizie?

Ross opowiadał nieskładnie, myląc kolejność zdarzeń i poprawiając się. Nagłe wyrwanie z głębokiego snu nieco go zdezorientowało. Bolała go głowa, bolało go wszystko, ale był

zadowolony, że opowiada, rekonstruuje bieg wydarzeń, zapełnia stopniowo puste miejsca i układa kawałki łamigłówek we właściwych miejscach. Poza Azadeh. Nie, nie mogę jeszcze odłożyć jej na miejsce.

Rano, gdy przebudził się z niespokojnego, przerywanego snu, był przerażony. Pomieszało mu się wszystko: ryk silników, huk wystrzałów, kamienie, eksplozje i zimno. Wpatrywał się w swe dłonie, próbując oddzielić sen od jawy. Potem zobaczył człowieka, który go obserwował, i krzyknął:

- Gdzie Azadeh?

- Jeszcze śpi, kapitanie Ross. Zajmuje wolny pokój w drugim końcu korytarza - odpowiedział Pettikin,

111

starając się go uspokoić. - Pamięta mnie pan? Charlie Pettikin, Doszan Tappeh?

Rozpoczął poszukiwania w zakamarkach swej pamięci. Wspomnienia powracały powoli, były ohydne. Duże luki, bardzo duże. Doszan Tappeh? Co z Doszan Tappeh? Miałem tam złapać helikopter i...

- Ach, tak, kapitanie, jak się pan ma? Miło... miło znów pana spotkać. Ona śpi?

- Tak. Jak niemowlę.

- To dla niej najlepsze. Najlepsze. Spać. - Jego umysł nadal pracował z trudem.

50

- Najpierw herbatka. Potem kąpiel i golenie. Wykombinuję dla pana jakieś ubranie i maszynkę do golenia. Jest pan mniej więcej mojego wzrostu. Głodny? Mamy jajka i trochę chleba. Chleb jest nieco stary.

- Och, dziękuję, nie, nie, nie jestem głodny. To bardzo miło z pana strony.

- Coś panu zawdzięczam. Nie, przynajmniej dziesięć cosiów. Jestem cholernie zadowolony, że pana widzę. Proszę posłuchać, chociaż chciałbym dowiedzieć się jak najszybciej, co się stało... no cóż, McIver pojechał na lotnisko po naszego szefa, Andy Gavallana. Niedługo tu będą i pan będzie musiał wszystko im opowiedzieć, więc ja poczekam. Na razie żadnych pytań; musi pan być wyczerpany.

- Dziękuję, tak, ale... ale niewiele pamiętam... Pamiętam, że zostawiłem Azadeh na wzgórzu, potem prawie nic, jakieś błyski, jak we śnie, aż obudziłem się przed chwilą. Jak długo spałem?

- Spał pan jak kamień przez jakieś szesnaście godzin. My, to znaczy Nogger i dwóch naszych mechaników, prawie nieśliśmy was tutaj. Położyliśmy Azadeh i pana do łóżek jak dzieci. Mac i ja. Rozebraliśmy pana, zmyliśmy trochę najgorszy brud i zanieśliśmy do łóżka - zresztą niezbyt delikatnie - ale i tak żadne z was się nie obudziło.

- Czy z Azadeh wszystko w porządku?

- Och, tak. Zaglądałem do niej parę razy, ale ani drgnęła. Co... przepraszam, żadnych pytań!

Najpierw

112

golenie i kąpiel. Niestety woda jest tylko ciepława, ale włączyłem w łazience piecyk elektryczny, więc nie jest najgorzej...

Teraz Ross patrzył na Pettikina, który podawał whisky McIverowi i Gavallanowi.

- Naprawdę pan nie chce, kapitanie?

- Nie, nie, dziękuję.

Ross machinalnie rozcierał prawy nadgarstek. Szybko opuszczała go energia. Gavallan dostrzegł jego zmęczenie i wiedział, że nie ma już zbyt wiele czasu.

- Co do Erikkiego. Nie pamięta pan czegoś, co dałoby nam jakieś pojęcie, gdzie on może teraz być?

- Niczego poza tym, o czym już powiedziałem. Może Azadeh będzie mogła pomóc. Sowiet nazywa się Certaga albo jakoś podobnie. To z nim Erikki musiał pracować przy granicy. Jak już mówiłem, wykorzystywali ją jako zakładniczkę. Poza tym były jakieś komplikacje z jej ojcem i podróżą, którą mieli razem odbyć. Przepraszam, ale dokładnie nie pamiętam.

Drugiego człowieka, tego, który przyjaźni się z Abdollah-chanem, nazywano Mzytryk, Petr Oleg. - To

przypomniało Rossowi o zakodowanej wiadomości Viena Rosemonta przeznaczonej dla chana, ale uznał, że to nie powinno Gavallana obchodzić. Nie powinny go także obchodzić zabójstwa, wepchnięcie człowieka pod ciężarówkę na wzgórzu ani to, że Ross wróci pewnego dnia do wioski po głowy rzeźnika i kalandara, który, gdyby nie łaska Boga albo duchów Wysokiej Krainy, ukamienowałby Azadeh, a jego okaleczył. Zrobi to po złożeniu sprawozdania Armstrongowi albo Talbotowi, albo amerykańskiemu pułkownikowi; przedtem zapyta ich, kto zdradził operację w Mekce. Ktoś to zrobił. Zaślepiła go na chwilę myśl o Rosemoncie, Tenzingu i Guengu. Gdy rozwiąła się mgła, zauważył zegar na gzymsie.

- Muszę pójść do budynku w pobliżu ambasady brytyjskiej, czy to daleko?

- Nie. Jeśli pan chce, możemy pana podrzucić.

- Czy można to zrobić teraz? Przepraszam, ale boję się, że znów zasłabnę, zanim zdołam to załatwić.

113

Gavallan spojrział na NcIvera.

- Mac, chodźmy już teraz. Może złapię Talbota. Zdążymy jeszcze wrócić, żeby zobaczyć się z Azadeh i Noggerem, jeśli tu będzie.

51

- Dobra myśl.

Gavallan wstał i włożył swoje grube palto. Pettikin zwrócił się do Rossa.

- Pożyczę panu palto i rękawiczki. - Dostrzegł, że ten patrzy w głąb korytarza. - Czy chciałby pan, żebym obudził Azadeh?

- Nie, dziękuję. Ja... tylko tam zajrzę.

- Drugie drzwi z prawej strony.

Patrzyli, jak idzie korytarzem, zgrabnie i cicho niczym kot, bezszelestnie otwiera drzwi, przez chwilę stoi, a potem je zamyka. Wziął swój karabinek i dwa kukri: swój i Guenga. Zmienił

zdanie i położył swój obok, na gzymsie.

- W razie gdybym nie wrócił - powiedział - powiedzcie jej, że to prezent, prezent dla Erikkiego. Dla Erikkiego i dla niej.

W PAŁACU CHANA, 17:19. Przerażony kalandar Abu Mard klęczał.

- Nie, nie, Wasza Wysokość, przysięgam, że to mułła Mahmud powiedział nam...

- On nie jest prawdziwym mułłą, ty psi synu! Wszyscy o tym wiedzą! Na Boga, ty... ty chciałeś ukamienować moją córkę? - wrzasnął chan. Ciężko dyszał, na twarzy z gniewu wystąpiły czerwone plamy. - Ty tak postanowiłeś? Ty postanowiłeś, że ukamienujesz moją córkę?

- To on, Wasza Wysokość - zaskamlał kalandar - to mułła tak zadecydował po przesłuchaniu, kiedy przyznała się do cudzołożenia z sabotażystą...

- Ty psi synu! Pomagałeś i podjudzałeś tego fałszywego mułłę... Kłamca! Ahmed powiedział mi, co zaszło!

115

Abdollah oparł się w łóżku na poduszkach; za nim stał strażnik, Ahmed, i inni strażnicy naprzeciw niego, przy kalandarze, Nadżud, najstarsza córka, i Aisza, młoda żona, siedziały z boku, starając się skryć przerażenie i strach, że gniew chana może się obrócić przeciwko nim.

Przy drzwiach klęczał Hakim, brat Azadeh, który przybył właśnie na wezwanie ojca i został

tu doprowadzony pod strażą. Jego ubranie nosiło ślady podróży. Wysłuchał relacji Ahmeda o tym, co zaszło w wiosce, z równą chanowi wściekłością.

- Ty psi synu! - krzyknął ponownie Abdollah; z ust kapąła mu ślina. - Pozwoliłeś...

pozwoliłeś, żeby ten pies, sabotażysta, uciekł... pozwoliłeś mu powlec ze sobą moją córkę...

Udzieliłeś schronienia sabotażyście, a potem... potem ośmieliłeś się osądzić członka mojej -

MOJEJ - rodziny i ukamienowałbyś... bez zapytania mnie - MNIE - o zgodę?

- To mułła - zawył kalandar. Powtarzał to raz za razem.

- Zamknijcie mu pysk!

Ahmed mocno uderzył kalandara w ucho, ogłuszając go na moment. Potem rzucił go brutalnie na kolana i syknął:

- Jeszcze jedno słowo, a utnę ci język. Abdollah próbował złapać oddech.

- Aisza, daj mi... daj mi jedną z tych... z tych pigulek... - Nie wstając z klęczek, sięgnęła po lekarstwo, otworzyła buteleczkę, wydobyła pastylkę i włożyła mu do ust, które natychmiast otarła chusteczką. Chan trzymał pastylkę pod językiem, zgodnie ze wskazaniem lekarza. Po chwili skurcz minął, dudnienie w uszach ustało, a sala przestała się kołysać. Spojrzenie nabiegłych krwią oczu spoczęło znów na starym człowieku, który dygotał i popiskiwał, nie panując nad sobą. - Ty psi synu! A więc ośmielasz się gryźć rękę swojego właściciela, ty, ty, rzeźniku, ty i ta twoja cuchnąca wioska. Ibrim - rzucił pod adresem jednego ze strażników -

zabierz go z powrotem do Abu Mard i ukamie-

116

nij. Niech go ukamienują wieśniacy. Potem odetnij rzeźnikowi ręce.

Ibrim i jeszcze jeden strażnik brutalnie postawili zawodzącego człowieka na nogi, biciem zmusili do milczenia i otworzyli drzwi. Zatrzymali się, gdy Hakim dodał:

- Potem spalcie wioskę!

52

Chan spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

- Tak, potem spalcie wioskę - powtórzył, nie spuszczać wzroku z Hakima, który odwzajemniał spojrzenia, próbując zachować się odważnie. Zamknęły się drzwi i zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko dyszeniem Abdollaha. - Nadżud, Aisza, wyjść! - rozkazał.

Nadżud zawahała się. Chciała zostać. Chciała usłyszeć wyrok na Hakima. Rozkoszowała się myślą, że przyłapano Azadeh na cudzołóstwie i że ta po schwytaniu zostanie ukarana.

Dobrze, dobrze, dobrze. Wraz z Azadeh zginą obaj: Hakim i Czerwonowłosa z Nożem.

- Możesz mnie w każdej chwili zawołać, Wasza Wysokość - powiedziała.

- Wróć do siebie. Aisza, ty zaczekaj na końcu korytarza.

Obie kobiety wyszły. Ahmed z zadowoleniem zamknął drzwi; wszystko odbywało się planowo. Dwaj inni strażnicy czekali w milczeniu.

Chan poprawił się z trudem na poduszkach i skinął na nich.

- Czekajcie na zewnątrz. Ahmed, ty zostaniesz. - Gdy strażnicy wyszli i w dużej, chłodnej sali pozostali tylko oni trzej, Abdollah wlepił spojrzenie w Hakima. - Powiedziałeś: „Spalcie wioskę”. Dobra myśl, ale to nie usprawiedliwia zdrady. Ani twojej, ani twojej siostry.

- Nic nie usprawiedliwia zdrady popełnionej wobec własnego ojca, Wasza Wysokość, lecz ani Azadeh, ani ja nie zdradziliśmy i nie spiskowaliśmy przeciwko tobie.

117

- Kłamca! Słyszałeś, co powiedział Ahmed! Przyznała się do uprawiania nierządu z sabotażystą, przyznała to.

- Przyznała się do tego, że go kochała, Wasza Wysokość, wiele lat temu. Przysięgła przed Bogiem, że nigdy nie była cudzołożnicą ani nie zdradziła swego męża. Nigdy! Co powinna powiedzieć córka

chana, stojąc przed tymi psami i synami psów, i jeszcze gorzej, przed mułłą Lewej Ręki? Co powinna powiedzieć córka chana? Czyż nie próbowała ochronić twej czci przed tą bezbożną kupą gówna?

- Nadal przekręcasz słowa. Nadal bronisz tej suki, którą się stała?

Twarz Hakima przybrała barwę popiołu.

- Azadeh zakochała się, tak jak zakochała się matka. Jeśli ona jest suką, to zarzucasz to także mojej matce!

Twarz Abdollaha ponownie nabiegła krwią.

- Jak śmiesz mówić coś takiego?

- To prawda. Spałeś z nią, zanim zostaliście mężem i żoną. Kochała cię i dlatego, ryzykując życie, wpuszczała cię ukradkiem do sypialni. Narażała życie dlatego, że cię kochała i że ty o to błagałeś. Czyż nasza matka nie namówiła swego ojca, aby cię zaakceptował i czyż nie namówiła twojego ojca, żeby pozwolił ci ją poślubić, zamiast twojego starszego brata, który chciał ją mieć jako drugą żonę? - Hakimowi załamał się głos. Przypomniawszy sobie, jak matka umierała. On miał wtedy siedem lat, Azadeh sześć. Nie rozumieli zbyt wiele. Wiedzieli tylko, że ona straszliwie cierpi od czegoś, co nazywało się „nowotwór”, a na zewnątrz, na podwórzu, ich ojciec Abdollah chodzi tam i z powrotem ogarnięty żalnością. - Czyż nie stała zawsze po twojej stronie przeciwko twojemu ojcu i twojemu starszemu bratu, a potem, gdy brat został zabity i zostałeś dziedzicem, czyż nie łagodziła sporu z twoim ojcem?

- Nie możesz... nie możesz tego wszystkiego wiedzieć. Byłeś... byłeś zbyt młody!

118

- Stara niania Fatma powiedziała nam, powiedziała nam, zanim umarła. Powiedziała nam wszystko, co pamiętała...

Chan słuchał nieuważnie. On także pamiętał, pamiętał wypadek brata na polowaniu, tak zręcznie zaaranżowany. Stara niania o tym także mogła wiedzieć, a jeśli tak, to wiedzą też Hakim i Azadeh, a to jeszcze jeden powód, żeby ich uciszyć. Pamiętał też wszystkie zaczarowane chwile z wróżką Naftalą, przed i po ślubie, przez wszystkie dni przed początkiem bólów. Gdy urodził się Hakim, byli małżeństwem od niecałego roku, od dwóch, 53

gdy pojawiła się Azadeh. Naftala miała wtedy zaledwie szesnaście lat; była drobna, fizycznie w typie Aiszy, ale tysiącokrotnie piękniejsza, długie włosy jak sploty złotych nici. Pięć dalszych niebiańskich lat, żadnych następnych dzieci, ale to nie miało nigdy znaczenia. Czyż nie miał

w końcu syna, silnego i strzelistego, podczas gdy trzej synowie pierwszej żony urodzili się chorowici i mieli umrzeć, a cztery córki były brzydkie i swarliwe. Czyż żona nie miała zaledwie dwudziestu jeden lat, nie cieszyła się dobrym zdrowiem i nie była tak silna i piękna jak dwójka dzieci, które wydała na świat? Na dalszych synów pozostawało jeszcze dużo czasu.

Potem zaczęły się bóle. I agonia. Wszyscy lekarze z Teheranu bezsilni.

In sza'a Allah, mówili.

Nic nie przynosiło ulgi oprócz narkotyków, coraz silniejszych, w miarę jak opadała z sił.

Boże, daj jej miejsce w raju i pozwól mi ją tam odnaleźć.

Patrzył na Hakima, widząc rysy Azadeh, które były rysami matki. Słuchał jego słów.

- Azadeh tylko się zakochała, Wasza Wysokość. Skoro kochała tego człowieka, czyż nie możesz jej wybaczyć? Czyż nie miała zaledwie szesnastu lat i nie przebywała na wygnaniu w szwajcarskiej szkole, tak jak ja w Choju?

- To dlatego, że jesteście oboje zdraźcecy, niewdzięczni i zatruci jadem! - krzyknął chan.

Powracało

119

dudnienie w uszach. - Wynoś się! Będiesz... zostaniesz z dala od innych, pod strażą, dopóki po ciebie nie przyślę. Ahmed, dopilnuj tego, a potem tu wróc.

Hakim wstał. Był bliski płaczu. Wiedział, co nastąpi, i nie mógł temu zapobiec. Wyszedł

niepewnym krokiem. Ahmed wydał niezbędne rozkazy i wrócił do sali. Chan miał zamknięte oczy, szarą twarz; oddychał jeszcze ciężiej niż przedtem. Boże, nie każ mu umierać, modlił się w duchu Ahmed.

Abdollah otworzył oczy i zogniskował spojrzenie.

- Muszę w jego sprawie coś postanowić, Ahmed. Prędko.

- Tak, Wasza Wysokość - rozpoczął jego doradca, starannie dobierając słowa. - Ma pan tylko dwóch synów: Hakima i dzieciaczka. Gdyby Hakim miał umrzeć lub - uśmiechnął się dziwnym uśmiechem - gdyby zdarzyło się tak, że zostałby niewidomym inwalidą, Mahmud, mąż Jej Wysokości Nadżud, zostałby regentem do czasu...

- Ten głupiec? Stracilibyśmy nasze ziemie i władzę w ciągu roku! - Na twarzy chana wystąpiły czerwone pręgi; było mu coraz trudniej składnie rozumować. - Daj mi następną pigułkę.

Ahmed usłuchał i podał wodę do popicia. Starał się uspokoić Abdollaha:

- Jest pan w rękach Boga, wyzdrowieje pan, proszę się nie martwić.

- Nie martwić się? - mruknął chan, czując ból w klatce piersiowej. - Zgodnie z wolą Boga mułła zmarł na czas... dziwne. Petr Oleg dotrzymał słowa... choć on... choć mułła umarł zbyt szybko... zbyt

szybko.

- Tak, Wasza Wysokość. Po chwili skurcz znów zelżał.

- Co... co radzisz w sprawie Hakima? Ahmed udał, że się zastanawia.

- Pański syn, Hakim, jest dobrym muzułmaninem, można go wyszkolić. Dobrze zarządzał

pańskimi sprawami w Choju i nie uciekł, choć mógł. Nie jest zbyt gwałtowny, chyba że broni siostry, prawda? Ale to

120

właśnie jest ważne, gdyż na tym polega jego siła. - Zbliżył się i powiedział miękko: - Mianuj go swym spadkobiercą, Wasza Wysok...

- Nigdy!

- Pod warunkiem, że przysięgnie na Boga, iż będzie strzegł swego młodszego brata tak samo jak siostry. Pod dalszym warunkiem, że jego siostra wróci natychmiast dobrowolnie do 54

Tebrizu. Tak naprawdę, Wasza Wysokość, nie ma pan przeciwko nim żadnego pewnego dowodu, tylko pomówienia. Proszę mi zaufać. Wydobę-dę z nich prawdę i powiem panu.

Chan był skoncentrowany. Słuchał uważnie, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

- Aha, brat jako przynęta, żeby schwytać siostrę, a siostra, żeby schwytać męża?

- Mogą być przynętą dla siebie nawzajem! Oczywiście, Wasza Wysokość, wpadł pan na to wcześniej ode mnie! W zamian za okazanie łaski bratu musi przysiąc przed Bogiem, że zostanie tutaj, aby mu pomóc.

- Ona to zrobi, o tak, ona to zrobi!

- Zatem oboje znajdą się w twoim zasięgu i będziesz mógł bawić się nimi, jak zechcesz, ofiarowując im coś i odbierając, niezależnie od tego, czy naprawdę są winni, czy nie.

- Są winni.

- Jeśli tak, a dowiem się o tym szybko, jeżeli powierzy mi pan zbadanie tej sprawy, to wedle woli Boga umierać będą powoli. Wtedy wyznaczysz męża Fazuli jako następnego po sobie chana. On zresztą nie jest wiele lepszy niż Mahmud. Jeśli nie są winni, pozwól, aby Hakim pozostał dziedzicem, pod warunkiem że ona tu zostanie. A jeśli Bóg zechce, że zostanie wdową, zaręczy się z tym, kogo wybierzesz, Wasza Wysokość, by Hakim pozostał twoim spadkobiercą - nawet z Sowietem, gdyby umknął z pułapki, co?

Po raz pierwszy tego dnia chan się uśmiechnął. Rano, gdy Armstrong i pułkownik Haszemi Fazir

przybyli, aby pojąć Petra Olega Mzytryka, udawali, że troszczą się stosownie o zdrowie Abdollaha, tak jak on

121

udawał bardziej chorego, niż wtedy był. Mówił słabym, niepewnym głosem i obaj musieli się pochylić, aby go usłyszeć.

- Petr Oleg przyjedzie tu dzisiaj. Miałem wyjechać mu naprzeciw, ale poprosiłem, żeby tu przyszedł z powodu... bo jestem chory. Wysłałem mu wiadomość, żeby tu przyjechał.

Powinien być na granicy o zachodzie słońca. W Dżolfie. Jeśli od razu wyjedziecie, będziecie mieli dużo czasu... on przelatuje przez granicę małym wojskowym helikopterem sowieckim i ląduje przy bocznej drodze dochodzącej do szosy Dżolfi-Tebriz. Tam czeka na niego samochód... nie można pomylić skrzyżowania, jest tylko jedno... kilka kilometrów na północ od miasta... to jedyna boczna droga... bezludna okolica, jest tylko szlak. Jak... jak go zdejmiecie, to wasza sprawa i... ponieważ nie mogę być obecny, dacie mi taśmę z... z przesłuchania?

- Tak, Wasza Wysokość - odparł Haszemi. - Jak pan radzi go zdjąć?

- Zablokujcie drogę do skrzyżowania z obu stron starymi, przeładowanymi ciężarówkami rolniczymi... drewnem opałowym lub koszami ryb... droga jest wąska i kręta, i podziurawiona, panuje na niej duży ruch, a więc łatwo zamaskować zasadzkę. Ale... ale bądźcie ostrożni, zawsze są samochody Tude, mogą mu pomóc. To mądry człowiek i nie zna strachu... Ma w klapie kapsułkę z trucizną.

- W której?

- Nie wiem... nie wiem. Wyląduje mniej więcej o zachodzie słońca. Nie możecie przegapić skrzyżowania, jest tylko jedno...

Zatopiony w myślach Abdollah-chan westchnął. Wiele razy ten helikopter zabierał go do dacz w Tbilisi. Wiele wesołych chwil: wspaniałe jedzenie, kobiety młode i usłużne, o pełnych wargach, łatwe do zaspokojenia - potem, przy odrobinie szczęścia, Wertyńska, diabliska do dalszych rozrywek.

Zauważył, że Ahmed go obserwuje.

- Mam nadzieję, że Petr wymknie się z pułapki.

122

Tak, dobrze by mu zrobiło, gdyby... gdyby ją miał.

55

- Ogarnęła go fala zmęczenia. - Teraz się prześpię. Przyślij strażnika, a kiedy zjem kolację, zgromadź tu moją „oddaną” rodzinę. Zrobimy tak, jak sugerowałeś.

- Uśmiechnął się cynicznie. - Mądrze jest nie mieć złudzeń.

- Tak, Wasza Wysokość.

Ahmed wstał. Chan pozazdrościł mu prężnego i silnego ciała.

- Poczekaj, jest jeszcze... jeszcze coś. - Zastanawiał się przez chwilę, co było niespodziewanie męczące.

- Ach, tak. Gdzie jest Czerwonowłosy z Nożem?

- Z Cimtargą przy granicy, Wasza Wysokość. Cim-targa powiedział, że może ich nie być przez kilka dni. Wylecieli we wtorek wieczorem.

- Wtorek? A jaki dziś dzień?

- Sobota, Wasza Wysokość - odpowiedział Ahmed, skrywając niepokój.

- Ach tak, sobota. - Kolejna fala zmęczenia. Czuł w dziwny sposób własną twarz. Podniósł rękę, żeby jej dotknąć, ale wysiłek okazał się zbyt wielki. - Ahmed, sprawdź, gdzie on jest.

Gdyby coś się stało... gdybym miał następny atak i... dopilnuj, żeby zabrano mnie do Teheranu, do Szpitala Międzynarodowego, od razu. Natychmiast, rozumiesz?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Sprawdź, gdzie jest i... trzymaj go tutaj... przekonaj, zmusz Cimtargę. Trzymaj tu Czerwonowłosego z Nożem.

- Tak, Wasza Wysokość.

Gdy strażnik wrócił do sali, chan zamknął oczy i poczuł, że zapada się w przepaść.

- Nie ma Boga oprócz Boga... - mruknął. Bardzo się bał.

PRZY PÓŁNOCNEJ GRANICY, NA WSCHÓD OD DŻOLFY, 18:05. Zbliżał się zachód słońca. 212 Erikkiego stał pod prymitywną, pospiesznie skleconą wiatą. Po burzy, która przeszła w nocy, dach pokryty

123

był śniegiem, grubym na kilkadziesiąt centymetrów. Erikki wiedział, że dalsze oddziaływanie mrozu zniszczy maszynę.

- Czy mógłbym dostać jakieś derki czy słomę, żeby go czymś owinać? - zapytał szejka Bajazida w chwili, gdy dwa dni wcześniej wrócili z Rezaije z ciałem starej kobiety-wodza. -

Smigłowiec potrzebuje ciepła.

- Nie mamy dość nawet dla ludzi.

- Jeśli przemarznie, nie będzie działał - oświadczył, zły, że Bajazid nie pozwolił mu natychmiast wrócić do Tebrizu, oddalonego zaledwie o sto kilometrów. Zamartwiał się o Azadeh i niepokoił losem Rossa i Guenga. - Jak wydostaniemy się z tych gór, jeśli helikopter nie będzie sprawny?

Szejk niechętnie wydał swym ludziom polecenie wybudowania wiaty i wydania kilku owczych i kozich skór. Erikki umieścił je tam, gdzie według niego były najpotrzebniejsze.

Wczoraj po świcie chciał odlecieć. Ku jego przerażeniu, Bajazid powiedział, że za pilota i helikopter należy się okup.

- Może pan być cierpliwy, kapitanie, poruszać się swobodnie po wiosce ze strażnikiem i majstrować przy swoim helikopterze - oświadczył sucho. - Może pan też niecierpliwić się i złościć, a wtedy zostanie pan związany jak dzikie zwierzę. Nie chcę mieć kłopotów, kapitanie, i nie szukam kłótni. Chcemy tylko dostać okup od Abdollah-chana.

- Ale przecież powiedziałem już, że on mnie nienawidzi i nie ruszy w mojej sprawie palcem, nie mówiąc już o oku...

- Jeśli powie „nie”, poszukamy okupu gdzie indziej. W twojej firmie w Teheranie, twoim rządzie, może u twoich sowieckich pracodawców. Na razie zostanie pan tu jako gość. Będzie pan jadł tak, jak my jemy, spał, jak my śpimy, i będzie pan traktowany równo. Albo będzie pan związany i głodny. Tak czy inaczej, zostanie pan tu do chwili wypłacenia okupu.

56

- Ale to może potrwać miesiące i...

- In sza'a Allah!

124

Przez cały wczorajszy dzień i przez pół nocy Erikki zastanawiał się nad sposobami wymknięcia się z pułapki. Zabrali mi granat, lecz zostawili nóż. Strażnicy jednak byli czujni i nie spuszczaali z niego oka. Zejście do doliny w lotniczych butach i bez zimowego ekwipunku było niemal niemożliwe, a nawet w dolinie nie byłby bezpieczny w tym wrogim kraju. 212

doleciałby do Tebrizu w trzydzieści minut, ale na piechotę?

- Spadnie dziś jeszcze trochę śniegu, kapitanie. Erikki rozejrzył się. Szejk stał o krok od niego, a on nie usłyszał jego nadejścia.

- Tak. Jeszcze kilka dni takiej pogody i mój ptaszek, mój helikopter, przestanie latać; siądą

akumulatory i nie będzie działać większość przyrządów. Muszę włączyć silnik, żeby doładować akumulatory i rozgrzać olej. Muszę. Kto zapłaci okup za wrak uwięziony w tych górach?

Bajazid zastanawiał się przez chwilę.

- Jak długo silniki muszą pracować?

- Dziesięć minut dziennie. To absolutne minimum.

- Dobrze. Możesz to robić codziennie po zapadnięciu ciemności, ale musisz najpierw mnie zapytać. Pomożemy ci go wytoczyć. Dlaczego mówi się „go”, a nie „Je”?

Erikki zmarszczył brwi.

- Nie wiem. Statek jest rodzaju męskiego, a to jest statek powietrzny. - Wzruszył ramionami.

- Doskonale. Pomożemy wytoczyć go spod dachu, a podczas pracy silników będzie w ciebie mierzyć z odległości półtora metra pięć karabinów. To na wypadek, gdyby cię coś podkusiło.

Erikki roześmiał się.

- Zatem nic mnie nie podkusi.

- Dobrze.

Bajazid uśmiechnął się. Był przystojnym mężczyzną, choć zęby miał w kiepskim stanie.

- Kiedy wyślesz wiadomość do chana?

- Już wysłałem. Przy takim śniegu zejście do drogi zajmuje cały dzień, nawet konno, ale do Tebrizu nie jest

125

daleko. Jeśli Abdollah zgodzi się od razu, może dowiemy się jutro, a może pojutrze, zależnie od śniegu.

- A może nigdy. Jak długo chcesz czekać?

- Czy wszyscy ludzie z Dalekiej Północy są tak niecierpliwi?

Erikki wysunął podbródek.

- Starożytni bogowie byli bardzo niecierpliwi, gdy przytrzymywano ich wbrew ich woli; przekazali to nam. To źle być trzymanym wbrew swej woli, bardzo źle.

- Jesteśmy biedni i prowadzimy wojnę. Musimy brać to, co Jedyne Bóg zsyła w nasze ręce.

Okup jest starożytnym zwyczajem. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Nauczyliśmy się od Saladyna rycerskiego postępowania z jeńcami. Nie tak jak niektórzy chrześcijanie.

Chrześcijanie nie są znani z rycerskości. My traktuje... - Miał słuch i wzrok lepszy niż Erikki.

- Tam, w dolinie!

Teraz Erikki także usłyszał silnik. Po chwili dojrzał lecący nisko, pomalowany na barwy ochronne helikopter, który zbliżał się od północy.

- Sowiecki wojskowy helikopter bliskiego wsparcia... co on robi?

- Leci do Dżolfy. - Szejek splunął na ziemię. - Te psie syny przylatują i odlatują, jak chcą.

- Jest ich dużo?

57

- Nie, ale jeden to też za dużo.

PRZY SKRZYŻOWANIU W OKOLICACH DŻOLFY, 18:15. Kręta, boczna droga wiodąca przez las była pokryta śniegiem nie tkniętym przez pług. Znaczyły go nieliczne ślady wozów i ciężarówek, a także ślady starego chevy z napędem na cztery koła, zaparkowanego pod kępą sosen, blisko otwartej przestrzeni, zaledwie o kilka metrów od głównej szosy. Armstrong i Haszemi widzieli przez lornetki dwóch mężczyzn w grubych paltach i rękawicach, siedzących na przednim siedzeniu i nasłuchujących uważnie przez otwarte okna.

- Nie ma zbyt wiele czasu - mruknął Armstrong.

126

- Może w ogóle nie przyleci. - Od pół godziny prowadzili obserwację z niewielkiego pagórka otoczonego drzewami, z którego widać było miejsce lądowania. Ich samochód i pozostali ludzie Fazira oczekiwali dyskretnie na szosie. Było bardzo cicho, wiał lekki wiatr. Przeleciały jakieś ptaki, kracząc żałośnie.

- Alleluja! - szepnął Armstrong.

Jego podniecenie wzrosło. Jeden z mężczyzn otworzył boczne drzwiczki i wysiadł z samochodu. Zaczął wpatrywać się w niebo na północy. Kierowca włączył silnik. Potem usłyszeli dźwięk nadlatującego helikoptera i wreszcie ujrzeli maszynę ześlizgującą się ze wzgórza i zapadającą w dolinę. Śmigłowiec leciał tuż nad wierzchołkami drzew; jego tłokowy silnik zmniejszył obroty. Wylądował nienagannie, wzbijając tumany śniegu. Zobaczyli pilota i siedzącego obok mężczyznę. Pasażer, niskiego wzrostu, wysiadł i ruszył w kierunku oczekującego mężczyzny. Armstrong zaklął.

- Poznajesz go, Robercie?

- Nie. To nie Susłow, Petr Oleg Mzytryk. Jestem pewien. - W głosie Armstronga brzmiało gorzkie rozczarowanie.

- Operacja plastyczna?

- Nie, nic z tych rzeczy. To był duży sukinsyn, mocno zbudowany, mojego wzrostu.

Zobaczyli, że mężczyźni coś sobie wręczają.

- Czy to był list? Co on mu dał, Robercie?

- Wygląda na jakiś pakiet, może list. Armstrong wymruczał kolejne przekleństwo, koncentrując uwagę na ustach obserwowanych ludzi.

- Co oni mówią? - Haszemi wiedział, że Armstrong umie czytać z ruchów warg.

- Nie wiem. To nie jest ani farsi, ani angielski. Haszemi zaklął i poprawił ostrość swej już i tak starannie wyregulowanej lornetki.

- To wygląda na list.

Mężczyzna wymówił jeszcze kilka słów i wrócił do helikoptera. Pilot natychmiast zwiększył obroty i wystartował. Mężczyzna ruszył w kierunku chevy.

127

- Co teraz? - zapytał rozgoryczony Fazir. Armstrong obserwował mężczyznę idącego do samochodu.

- Dwie możliwości: przejąć samochód zgodnie z planem i zobaczyć, co „to” jest, jeśli uda się nam zneutralizować tych dwóch sukinsynów, zanim „to” zniszczy. To by zdradziło, że znamy punkt przerzutowy Grubej Ryby. Możemy też tylko ich śledzić, zakładając, że chodzi o wiadomość dla chana i wyznaczenie nowej randki. - Przewyciężył już rozczarowanie wynikające z tego, że Mzytryk wymknął się z sieci. W naszej grze trzeba mieć szczęście, tłumaczył sobie. Nie szkodzi. Dostaniemy go następnym razem, a on zaprowadzi nas do zdrajcy, do czwartego i piątego, i szóstego człowieka, a ja naszczam na ich groby i na grób Susłowa, czy jak tam się nazywa Oleg Mzytryk, jeśli dopisze mi szczęście. - Nie musimy nawet ich śledzić. On pojedzie prosto do Abdollaha.

- Skąd wiesz?

58

- Stąd, że chan jest osiłą wszystkiego, co dzieje się w Azerbejdżanie, czy to dla Sowietów, czy przeciwko nim. Przede wszystkim będą chcieli się dowiedzieć, jak ciężko jest chory i kogo wyznaczył na regenta do czasu pełnoletności szczeniaka albo, co bardziej prawdopodobne, do czasu gdy zacznie kwitować w przestworzach. Czyż wraz z tytułem nie przychodzi władza, ziemia i

bogactwo?

- I tajne numerowe konta w banku szwajcarskim. To jeszcze jeden powód, żeby się spieszyć.

- Tak, ale nie zapominaj, że w Tbilisi może zajść coś poważnego, coś, co spowoduje opóźnienie; Sowieci mają już dość Iranu i są tak samo zaniepokojeni jak my.

Zobaczyli, że mężczyzna wsiadł do chevy i zaczął coś szybko mówić. Kierowca zwolnił sprzęgło i zawrócił w kierunku szosy.

- Wracajmy do naszego samochodu.

Powrotna droga ze wzniesienia była całkiem łatwa. Na szosie Dzolfi-Tebriz panował duży ruch; niektóre samochody miały już zapalone światła. Ich ofiara nie 128

mogłaby się wymknąć, gdyby postanowili zamknąć pułapkę.

- Haszemi, jest jeszcze inna możliwość. Mzytryk mógł się w porę połapać, że syn go zdradził, i wysłać ostrzeżenie chanowi. Nie zapominaj, że nadal nie wiemy, co się stało z Rakoczym, gdy twój niedawno zmarły przyjaciel, generał Dżanan, pozwolił mu odejść.

- Ten pies nigdy by sam tego nie zrobił - zauważył Haszemi z krzywym uśmiechem na twarzy, przypominając sobie radość, z jaką nacisnął guzik i obserwował skutki działania bomby, która unicestwiła jego wroga razem z domem, przyszłością i przeszłością. To mógł

być rozkaz Abrima Pahmudiego.

- Dlaczego?

Haszemi zmrużył oczy i spojrzał na Armstronga, ale nie wyczytał z jego twarzy podstęp.

Znasz zbyt wiele tajemnic, Robercie. Wiesz o taśmach z przesłuchania Rakoczego, a co gorsza, o mojej Grupie Cztery i o tym, że pomogłem Dżananowi dostać się do piekła, gdzie niebawem dołączy do niego chan, za parę dni Talbot, a ty, mój stary przyjacielu, gdy będę miał trochę czasu. Czy powinienem ci powiedzieć, że Pahmudi kazał ukarać Talbota za jego zbrodnie przeciwko Iranowi? Czy powinienem ci powiedzieć, że wykonam to polecenie z przyjemnością? Przez całe lata chciałem usunąć Talbota, ale samotnie nie odważyłem się na ten krok. Teraz wina może spaść na Pahmudiego, oby Bóg spalił go na popiół. Jeszcze jedna przeszkoda zniknie z mojej drogi. Ach tak, jeszcze Pahmudi w przyszłym tygodniu. Ty, Robercie, zostałeś wybrany na zabójcę, który prawdopodobnie zginie. Pahmudi nie jest wart ani jednego z moich prawdziwych zabójców.

Zachichotał, schodząc ze wzgórza. Nie czuł zimna, nie martwił się nieobecnością Mzytryka.

Mam ważniejsze zmartwienia, myślał. Za wszelką cenę muszę chronić moich zabójców z Grupy Cztery - moją gwarancję rajy na ziemi i władzy nad samym Chomeinim.

- Tylko Pahludi mógł nakazać wypuszczenie Rakoczego - powiedział. - Wkrótce dowiem się dlaczego

129

oraz tego, gdzie on teraz jest. Albo w ambasadzie czy kryjówce sowieckiej, albo w lochu SAVAMA dla przesłuchiwanym.

- Albo już w bezpiecznym miejscu poza Iranem.

- Więc będzie bezpiecznie martwy; KGB nie toleruje zdrajców. - Haszemi uśmiechnął się sardonicznie. - Co

obstawiasz?

Armstrong przez chwilę nie odpowiadał, tknięty myślą, że przecież Fazir nie uznawał

hazardu, podobnie jak on sam. Teraz. Po raz ostatni założył się w Hongkongu w sześćdziesiątym trzecim o łapówkę, którą włożono do szuflady jego biurka, gdy był

nadinspektorem wydziału śledczego. Czterdzieści tysięcy dolarów Hongkongu - wówczas 59

około siedmiu tysięcy amerykańskich. Wbrew wszelkim zasadom wyjął z szuflady heung yau czy też Wonne Smarowanie, jak to się tam nazywało, i po południu tego samego dnia postawił wszystko na konia zwanego Rybka Pilot. W wariackim odruchu chciał odzyskać za jednym zamachem wszystko to, co stracił na koniach i giełdzie.

Była to pierwsza łapówka, jaką przyjął po osiemnastu latach służby, choć hojnych propozycji nie brakowało nigdy. Wygrał wysoko. Odłożył pieniądze na miejsce, zanim sierżant policji, który je podrzucił, zorientował się, że zostały ruszone. Na spłatę długów zostało więcej niż dość. Mimo to czuł niesmak i był przerażony swą głupotą. Nigdy więcej się nie zakładał ani też nie tknął heung yau, choć możliwości znajdowały się zawsze w zasięgu ręki. „Jesteś cholernym głupcem, Robercie”, powiedzieliby niektórzy z jego kolegów. „Cóż to szkodzi odłożyć trochę gotówki na emeryturę”.

Emerytura? Jaka emerytura? Jezu, dwadzieścia lat nienaganej gliniarskiej służby w Hongkongu, jedenaście lat tutaj, też uczciwie pomagał tym cholernym czubkom, i to wszystko na straty. Dzięki Bogu, że muszę się martwić tylko o siebie. Żadnej żony, dzieci, bliskich krewnych, tylko ja. A jednak jeśli dostanę tego cholernego Susłowa, który doprowadzi mnie do jednego

130

z naszych wysoko postawionych zdrajców, cholernych morderców, okaże się, że było warto.

- Nie lubię zakładów tak samo jak ty, Haszemi, ale gdybym miał... - Urwał i wyciągnął

papierosy; obaj z rozkoszą zaciągnęli się dymem. Dym mieszał się z zimnym powietrzem; w świetle zachodu wyglądał czysto. - Gdybym miał się założyć, najwięcej przemawia za tym, że Rakoczy został

piszkeszem Pahmudiego dla jakiejś sowieckiej szychy, po prostu na wszelki wypadek.

Haszemi roześmiał się.

- Z każdym dniem lepiej rozumiesz Iran. Muszę być ostrożniejszy. - Doszli już prawie do samochodu; asystent Fazira wysiadł i otworzył tylne drzwiczki. - Jedziemy prosto do chana, Robercie.

- A co z chevy?

- Inni będą go śledzić. Chcę przede wszystkim pojechać do Abdollaha. - Pułkownik spochmurniał. - Chcę się po prostu upewnić, że ten zdrajca jest bardziej po naszej stronie niż po ich.

W BAZIE LOTNICZEJ KOWISSU, 18:35. Starke wlepił zdumione spojrzenie w Gavallana.

- Whirlwind w ciągu sześciu dni?

- Niestety tak, Duke. - Gavallan rozpiął parkę i powiesił kapelusz na wieszaku w przedpokoju. - Chciałem sam ci o tym powiedzieć. Przepraszam, ale na to wychodzi. - Obaj mężczyźni znajdowali się w bungalowie Starke'a. Freddy Ayre stał na zewnątrz i pilnował, żeby nikt nie mógł podsłuchiwać. - Dziś rano dowiedziałem się, że wszystkie nasze ptaszki mają być przykute do ziemi do czasu nacjonalizacji. Mamy sześć bezpiecznych dni na zaplanowanie i wykonanie Operacji Whirlwind; jeśli się na to zdecydujemy. Wypada w piątek. W sobotę każda chwila będzie już policzona.

- Jezu. - Starke machinalnie rozpiął kurtkę lotniczą i podszedł do kredensu, stukając lotniczymi butami,

132

które pozostawiały na dywanie śnieg i smużki wody. W głębi dolnej szuflady leżała ostatnia butelka piwa. Zerwał kapsel, wlał połowę zawartości do szklanki i wręczył ją Gavallanowi. -

Zdrowie - powiedział, pijąc z butelki. Usiadł na kanapie.

- Zdrowie.

- Kto do tego wchodzi, Andy?

60

- Scrag. Nie wiem jeszcze o jego chłopakach, ale dowiem się jutro. Mac opracował terminarz i całościową trójfazową Operację; dziurawy jak sito, ale możliwy do wykonania. Powiedzmy, że możliwy. Co z tobą i twoimi chłopakami?

- Jak wygląda plan Maca? Gavallan wyjaśnił.

- Masz rację, Andy, dziurawy jak sito.

- Gdybyś miał stąd zwiąć, jak byś to zaplanował? Macie największe odległości i natrudniejsze zadanie.

Starke podszedł do lotniczej mapy wiszącej na ścianie i wskazał linię łączącą Kowiss z krzyżykiem oznaczającym platformę wiertniczą w zatoce, kilka kilometrów od wybrzeża.

- Ta platforma nazywa się Flotsam, jest jedną z tych, które obsługujemy - powiedział, a Gavallan zauważył, że jego głos jest pełen napięcia. - Dotarcie do wybrzeża zajmuje nam około dwudziestu minut; osiągnięcie platformy następne dziesięć. Zamelinowałbym paliwo na brzegu, na tym kierunku. Myślę, że to dałoby się zrobić bez wzbudzania zbytnich podejrzeń; tam są tylko wydmy, w promieniu wielu kilometrów żadnych zabudowań. Kiedyś często urządzaliśmy tam pikniki. Awaryjne lądowanie w celu sprawdzenia sprzętu przed przelotem nad morzem nie powinno zaalarmować radaru, choć oni robią się z każdym dniem coraz gorsi. Żeby przelecieć przez zatokę, musielibyśmy schować po dwa czterdziestogalonowe bębny na jeden śmigłowiec i tankować ręcznie po drodze.

Zapadł już prawie zmrok. Okna wychodziły na pas startowy, a dalej na bazę lotnictwa. 125, korzystający z priorytetowego zezwolenia na lot do Asz Szargaz, 133

oczekiwał na przybycie cysterny z paliwem. Otaczali go zdenerwowani natręci z zielonymi opaskami. Uzupełnienie paliwa nie było naprawdę konieczne, ale Gavallan polecił Johnowi Hoggowi zatankować, co dawało więcej czasu na rozmowę ze Starkiem. Dwaj inni pasażerowie, Arberry i Dibble, wysłani na urlop po ucieczce z Teb-rizu, siedzieli wciśnięci pomiędzy kosze wypełnione pospiesznie spakowanymi częściami zamiennymi, oznaczonymi napisami po angielsku i w farsi: DO NATYCHMIASTOWEJ NAPRAWY I ZWROTU DO

TEHERANU. Nie wolno im było zejść z pokładu, nawet w celu rozprostowania nóg. Pilotom także, poza czynnościami kontrolnymi i dopilnowaniem tankowania po przybyciu cysterny.

- Poleciałbyś do Kuwejtu? - przerwał milczenie Gavallan.

- Jasne. Kuwejt byłby najlepszy, Andy. Musielibyśmy w Kuwejcie uzupełnić paliwo, a potem przepychać się wybrzeżem do Asz Szargaz. Gdyby to zależało ode mnie, to chyba na wszelki wypadek zabrałbym więcej paliwa. - Starke wskazał małą plamkę wysepki u wybrzeża Arabii Saudyjskiej. - Tu byłoby dobrze. Lepiej trzymać się poza Arabią, bo nie wiadomo, co oni zrobią.

- Krytycznie badał wzrokiem wszystkie odległości.

- Wysepka Dżellet, Ropucha. Jest taka, na jaką wygląda. Żadnych domów, nic, tylko świetne wędkowanie. Byłem tam raz czy dwa razy z Manuela, gdy stacjonowaliśmy w Bahrajnie.

Tam bym zostawił paliwo.

Zdjął lotniczą czapkę, wytarł z czoła kropelki potu i znów włożył czapkę. Miał twarz bardziej niż zwykle poraną zmarszczkami i zmęczoną. Czepiano się wszystkich lotów bardziej niż dawniej: unieważniano je i nakazywano ponownie, po czym znów unieważniano. Es-fandiari stał się jeszcze

bardziej męczący, wszyscy nerwowi i poirytowani, od tygodni żadnej poczty czy innych form kontaktu z domem. Większości jego ludzi, nie wyłączając jego samego, od dawna należał się urlop. Poza tym dodatkowe problemy z personelem i maszynami z Zagrosu Trzy. I co zrobić z ciałem Effera Jordona

134

które jutro przywiozą? To było pierwsze pytanie Starke[^], gdy spotkał Gavallana na schodni 125.

61

- Już to załatwiłem, Duke - oświadczył ponuro Gavallan. Wiatr osiągnął prędkość dziesięciu węzłów, panował dotkliwy chłód. - Dostałem zezwolenie kontroli lotów. 125 wróci jutro po południu i zabierze trumnę. Wyślę ją do Anglii pierwszym możliwym lotem. Straszne. Gdy tylko wrócę, odwiedzę jego żonę i zrobię, co będę mógł.

- Pieprzone szczęście. Dzięki Bogu za to, że Scotowi nic się nie stało, co?

- Tak, ale to straszne, że w ogóle komuś się przydarzyło. - Co by było, gdyby chodziło o ciało Scota i trumnę Scota? - zadał sobie to pytanie po raz nie wiadomo który. Czy pogodziłbym się tak łatwo z faktem morderstwa, gdyby to był Scot? Nie, oczywiście, że nie.

Należy tylko podziękować losowi, że tym razem się udało, i zrobić, co tylko można. Co tylko można.

- O dziwo, ludzie z teherańskiej kontroli lotów i komitetu lotniska byli tak wstrząśnięci jak my i bardzo pomocni. Porozmawiajmy, nie mam zbyt wiele czasu. Tu są listy do paru chłopaków i jeden od Manueli. Czuje się dobrze, Duke. Powiedziała, żebyś się nie martwił. Dzieci w porządku, chcą zostać w Teksasie. U twoich starych też wszystko w porządku. Manuela prosiła, żeby ci to powiedzieć, gdy tylko będzie okazja...

Potem Gavallan przekazał przerażającą wiadomość o sześciu dniach; w głowie Starke'a zapanował zamęt.

- Razem z maszynami z Zagrosu Trzy będę tu miał trzy 212, jedną alouette i trzy 206 plus ładunek części. Dziewięciu pilotów włącznie z Tomem Lochartem i Jean-Lukiem, i dwunastu mechaników. To trochę za dużo jak na sprawne przeprowadzenie Operacji, Andy.

- Wiem. - Gavallan wyjrzał przez okno. Cysterna przetaczała się na tle 125. Zobaczył, że Johnny Hogg schodzi na płytę lotniska. - Jak długo potrwa tankowanie?

- Jeśli Johnny nie będzie ich poganiał, na pewno ze trzy kwadransy albo godzinę.

135

- To niewiele na opracowanie planu - zauważył Gavallan. Spojrzał na mapę. - Lecz potem czasu też nie będzie. Czy obok tej linii jest jakaś pusta platforma, to znaczy nadal zamknięta?

- Całe tuziny. Strajkujący opuścili je parę miesięcy temu. Drzwi zaspawane. Wariactwo, co?

Dlaczego pytasz?

- Scrag powiedział, że to może być idealne miejsce do zamelinowania benzyny i uzupełnienia paliwa.

Starke zmarszczył brwi.

- Nie w naszym rejonie, Andy. To musi być duża platforma, a nasze są małe. Nie mamy żadnej, która mogłaby przyjąć więcej niż jeden helikopter naraz, a nie możemy, do cholery, krążyć i czekać. Co powiedział stary Scrag?

Gavallan powtórzył.

- Myślisz, że zobaczy się z Rudim?

- Powiedział, że w najbliższych dniach, a tak długo nie mogę czekać. Czy nie mógłbyś wynaleźć jakiegoś pretekstu, żeby polecieć do Bandar Dejlamu?

Starke zmrużył oczy.

- Jasne. Może mógłbym wysłać tam parę maszyn, powiedzmy, że je inaczej rozmieszczamy...

Albo jeszcze lepiej: powiedz Waźniakowi, że pożyczamy je na tydzień. Jak tego sukina nie ma, dostajemy czasem jakieś zezwolenia.

Gavallan pociągnął łyk piwa.

- Nie możemy już działać w Iranie. Ten wypadek z biednym starym Jordonem nie powinien być się wydarzyć. Cholernie żałuję, że nie zarządziłem ewakuacji kilka tygodni wcześniej.

Cholernie żałuję.

- To nie twoja wina, Andy.

- W pewnym sensie moja. W każdym razie musimy się zwijać. Z helikopterami albo bez.

Musimy spróbować i uratować, co się da. Bez ryzykowania życia ludzi.

- Wszystkie numery są cholernie ryzykowne, Andy. - Starke powiedział to łagodnym głosem.

- Wiem. Chciałbym, żebyś zapytał swoich chłopaków, czy wezmą udział w Operacji.

62

136

- Na pewno nie wywieziemy wszystkich śmigłowców. Nie ma mowy.

- Wiem i dlatego proponuję, żeby skupić się na 212.

- Gavallan zobaczył, że Starke spojrział na niego z zainteresowaniem. - Mac się zgodził.

Zdołasz wywieźć swoje trzy?

Starke zastanawiał się przez chwilę.

- Poradzę sobie najwyżej z dwoma. Będziemy potrzebowali dwóch pilotów i, powiedzmy, po jednym mechaniku na śmigłowiec, na wypadek, gdyby coś wysiadło. Poza tym dodatkowi ludzie do obsługi zapasowych bębnow i tankowania w drodze. To minimum. Ten numer będzie ryzykowny, ale przy odrobinie szczęścia... - Cicho gwizdnął. - Może moglibyśmy wysłać trzeci 212 do Rudiego w Bandar Dejlamie? Jasne, dlaczego, u diabła, nie? Powiem Waźniakowi, że pożyczamy go na dziesięć dni. Możesz wysłać do mnie potwierdzony teleks z prośbą o przekazanie maszyny. Ale, do diabła, Andy, mamy tu jeszcze trzech pilotów i... -

Zadzwoił wewnętrzny telefon bazy. - Szlag by to trafił

- rzucił poirytowany, podchodząc do aparatu. - Tak się przyzwyczailem do tego, że telefony nie działają, że przy każdym dzwonku podskakuję jak oparzony kot, spodziewając się końca świata. Halo, tu Starke. Tak?

Gavallan obserwował go, wysokiego, szczupłego i silnego. Chciałbym być tak silny, pomyślał.

- Aha, dziękuję - mówił Starke. - Dobrze... jasne, dzięki, sierżancie. Kto?... Jasne, dawaj go.

Gavallan zauważył zmianę w głosie Starke'a i zaczął słuchać uważniej. - Po południu... Nie, nie możemy, nie teraz... NIE! Nie możemy! Nie teraz, jesteśmy zajęci. - Odłożył słuchawkę i mruknął: - Sukinsyn. Waźniak chce z nami rozmawiać. „Chcę natychmiast widzieć was dwóch w moim biurze!” Dupa wołowa! - Pociągnął łyk piwa i poczuł się lepiej. - Poza tym Wazari zgłosił z wieży, że ostatnia z naszych maszyn właśnie wylądowała.

- Kto?

- Pop Kelly. Włóczył się, wożąc paru nafciarzy od jednych wierceń do drugich. Jest ich coraz mniej, czego

137

nie można powiedzieć o tych tłustych dupach z komitetów, które zajmują się bardziej modlitwami i sprawowaniem sądów kapturowych niż wydobyciem ropy. - Drgnął. - Mówię ci, Andy, te komitety sponsoruje szatan. - Gavallan usłyszał, lecz nie odpowiedział, a Starke dodał: - Są z piekła rodem.

- Tak. Azadeh otarła się o śmierć. Przez ukamienowanie.

- Co takiego?

Gavallan opowiedział o ucieczce z wioski.

- Nadal nie wiemy, gdzie, do cholery, podziewa się Erikki. Rozmawiałem z Azadeh przed wyjazdem. Była... sparaliżowana, to chyba jedyne właściwe słowo. Jeszcze nie wyszła z szoku.

Twarz Starke'a przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. Z trudem zapanował nad gniewem.

- Powiedzmy, że moglibyśmy wywieźć 212. A co z chłopakami? Mamy jeszcze trzech pilotów i z dziesięciu mechaników do wywiezienia przed wykręceniem numeru. Co z nami?

Co z częściami zamiennymi? Zostawiamy trzy 206 i alouette... A co z naszymi domowymi gratami, z rachunkami bankowymi, mieszkaniami w Teheranie, fotografiami i rzeczami dla dzieciaków? Nie tylko naszymi, u diabła, lecz także innych. Jeśli pryśniemy, wszystko będzie stracone. Wszystko.

- Firma zapłaci za rzeczy. Nie mogę odkupić wszystkich drobiazgów, ale zwrócimy sumy z rachunków bankowych i zapłacimy za resztę. Poza tym to nie tak dużo, bo większość z was trzyma pieniądze w Anglii i ściąga je tylko w miarę potrzeb. Przez kilka ostatnich miesięcy, od chwili gdy zastrajkowały banki, kredytowaliśmy z Aberdeen wszystkie płace i 63

świadczenia. Teraz zapłacimy za meble i rzeczy osobiste. Zresztą wygląda na to, że tego i tak nie udałoby się wydostać: porty są zakorkowane, nie ma ciężarówek, kolej nie działa, lotów frachtowych prawie nie ma. Wszyscy otrzymają odszkodowanie.

Starke z namysłem skinął głową. Wypił resztkę piwa.

138

- Nawet jeśli wydostaniemy 212, to i tak dostaniecie po tyłku.

Gavallan cierpliwie tłumaczył:

- Nie. Policz to sam. Jeden 212 to milion dolarów, 206 to sto pięćdziesiąt tysięcy, a alouette -

pięćset tysięcy. Mamy w Iranie dwanaście 212. Gdyby udało się je wydostać, pozostalibyśmy w branży, a ja mógłbym wytrzymać irańskie straty. Ale tylko to. Boom w naszym przemyśle i dwanaście 212 pozwoli nam działać. Wszystkie części, które uda się wydostać, będą dodatkową premią; tutaj znów koncentrujemy się na częściach do 212. Z 212 pozostajemy w branży.

Próbował w to wierzyć, ale ta wiara stawała się coraz słabsza. Tyle przeszkód do pokonania, gór, na które trzeba się wspiąć, wąwozów, które trzeba przekroczyć. Tak, ale pamiętaj, że tysiąckilometrowa podróż zaczyna się od jednego kroku. Bądź małym Chińczykiem, powiedział sobie. Pamiętaj o swoim dzieciństwie w Szanghaju i o starej niani Ah Soong i o tym, co mówiła o losie, który składa się trochę ze szczęścia, trochę z przeznaczenia: „Los to los, młody panie, dobry lub zły. Czasem modlisz się o dobry los i dostajesz go, a czasem nie.

Ale ayeeyah, nie wierz za bardzo bogom. Bogowie są jak ludzie. Śpią, wychodzą na obiad, upijają się, zapominają, co mają zrobić. Kłamią, obiecują i znów kłamią. Módl się, o co chcesz, ale nie polegaj na bogach. Polegaj tylko na sobie i swojej rodzinie, a nawet będąc z rodziną, polegaj na sobie. Pamiętaj, młody panie, że bogowie nie lubią ludzi, gdyż ci przypominają im o sobie"...

- Oczywiście, wywieziemy chłopaków, co do jednego. A na razie, czy poszukałbyś ochotników do poprowadzenia dwóch 212, gdybym nacisnął guzik Operacji?

Starke spojrział na mapę. Potem powiedział:

- Jasne. To będę ja i albo Freddy, albo Pop Kelly. Ten drugi może zabrać 212 do Rudiego i wziąć udział razem z nim. Oni nie mają za daleko. - Uśmiechnął się krzywo. - W porządku?

139

- Dziękuję - odparł Gavallan, uradowany tym, co usłyszał. - Dzięki. Wspomniałeś Tomowi Lochartowi o Operacji, gdy tu był?

- Jasne. Powiedział, żeby go z tego wyłączyć, Andy.

- Ach, tak. - Dobry nastrój prysł. - No to koniec. Jeśli on zostaje, nie możemy posunąć się naprzód.

- On poleci, Andy, czy mu się to podoba, czy nie

- zauważył Starke ze współczuciem w głosie. - On już jest w to wszystko wplątany. Poleci z Szahrazad albo bez niej. To jest właśnie najgorsze: z lub bez. Inaczej nie ucieknie przed konsekwencjami sprawy HBC, Walika i Isfahanu.

- Chyba masz rację - odparł po chwili Gavallan.

- To nie jest fair, prawda?

- Tak. Z Tomem nie będzie kłopotów. W końcu sam to zrozumie. Nie jestem natomiast pewien co do Szahrazad.

- Mac i ja próbowaliśmy zobaczyć się z nią w Teheranie. Pojechaliśmy do domu Bakrawana i dobijaliśmy się przez dziesięć minut. Nikt nam nie otworzył. Mac pojechał też wczoraj. Może po prostu nie otwierają

drzwi.

- To niepodobne do Irańczyków. - Starke zdjął lotniczą kurtkę i powiesił ją w małej sieni. -

Gdy tylko jutro Tom wróci, wyślę go do Teheranu, jeśli tylko zostanie dość światła 64

dziennego. Jeśli nie, to w poniedziałek rano. Zamierzałem załatwić to dziś z Makiem podczas naszej zwykłej rozmowy.

- Dobra myśl. - Gavallan przeszedł do kolejnego problemu. - Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, co zrobić z Erikkim. Rozmawiałem z Talbotem. Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić. Potem pojechałem do ambasady fińskiej i powiedziałem o wszystkim pierwszemu sekretarzowi, niejakiemu Tollonowi. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego i równie bezradnego. „To raczej dzikie okolice”,

rzekł, „a na granicy wszystko się kotłuje: rebelia, powstanie, toczą się walki. Jeśli jest w to zamieszane KGB" ... Nie dopowiedział, Duke, zakończył właśnie tak: „Jeśli jest w to zamieszane KGB" ...

140

- A co z Azadeh? Może mógłby pomóc jej tatuś, chan?

- Wygląda na to, że oni są jakoś monstrualnie skłócenii. Azadeh była wstrząśnięta.

Poprosiłem ją, żeby zapomniała o irańskich dokumentach, wsiadła do 125 i poczekała na Erikkiego w Asz Szargaz, ale ten pomysł upadł jak ołowiany balon. Nie ruszy się z miejsca, dopóki nie zjawi się Erikki. Przypomniałem jej, że Abdollah sam ustanawia dla siebie prawa.

Może ją bez trudu dosięgnąć w Teheranie i porwać, gdy tylko zechce. Odpowiedziała: In Sza'a Allah.

- Erikki się znajdzie, mogę się o to założyć. - Starke był tego pewien. - Strzegą go jego antyczni bogowie.

- Mam nadzieję. - Gavallan włożył parkę. Mimo to nadal odczuwał zimno. Widział przez okno, że tankowanie jeszcze się nie zakończyło. - Mógłbym przed odlotem dostać herbaty?

- Jasne. - Starke poszedł do kuchni. Nad zlewem wisiało lustro, a nad kuchenką gazową stara, sfatygowana makatka oprawiona w ramkę, którą przyjaciółka z Falls Church dała Manueli w prezencie ślubnym. Na makatce widniał napis: PIEPRZYĆ GOTOWANIE W DOMU.

Uśmiechnął się, wspominając, jak się zaśmiewali, gdy ją dostali. Potem dojrzał w lustrze Gaval-lana studiującego mapę. Chyba zwariowałem, pomyślał, wracając myślą do sześciu dni i dwóch helikopterów. Jak, do cholery, mamy wyczyścić bazę i pozostać w jednym kawałku?

Andy ma rację: tutaj jesteśmy skończeni. Chyba oszalałem, zgłaszając się na ochotnika. Ale co, u diabła? Jeśli sam nie chcesz, możesz poprosić jednego z chłopaków, żeby poleciał. Tak, ale...

Rozległo się pukanie do drzwi frontowych, a zaraz potem Freddy Ayre powiedział cicho:

- Ważniak tu idzie z Zieloną Opaską.

- Wejdz, Freddy, i zamknij drzwi - powiedział stanowczo Starke.

Czekali w milczeniu. Energiczne pukanie. Starke otworzył drzwi i zobaczył arogancki uśmiech Esfandiariego. Rozpoznał natychmiast w młodzieńcu z zieleni-141

ną opaską jednego z ludzi mułły Hosejna, a także członka komitetu, który go przesłuchiwał.

- Salam - powiedział grzecznie.

- Salam, Agha - odpowiedział nieśmiało uśmiechnięty młody człowiek. Miał grube, pęknięte okulary

i wyszarzałe ubranie i automat.

Starke poczuł nagle, że jest bardzo zmęczony; usłyszał swoje własne słowa:

- Panie Gavallan, chyba zna pan Ważniaka.

- Nazywam się Esfandiari. Pan Esfandiari! - rzucił ze złością mężczyzna. - Ile razy mam powtarzać? Gaval-lan, bardzo by wam pomogło, gdybyście wyrzucili tego człowieka, zanim my to zrobimy!

Gavallan poczerwieniał.

- Chwileczkę, kapitan Starke jest najlepszym...

- A ty jesteś Ważniak i skurwysyn - wybuchnął Starke, zaciskając pięści. Wyglądał tak groźnie, że Ayre i Gavallan osłupieli. Esfandiari cofnął się o krok, a młodzieniec z zieloną opaską rozdziawił usta. - Zawsze byłeś Ważniakiem, a ja nazywałbym cię Esfandiari, czy 65

jakie tam cholerne imię byś sobie wymyślił, gdyby nie to, co zrobiłeś kapitanowi Ayre'owi.

Jesteś skurwysynem bez jaj i należy ci się lanie, które dostaniesz, zanim zdążysz choć trochę podrosnąć!

- Postawię cię przed komite...

- Jesteś tchórzliwym zjadaczem wielbłądziego gówna i zabieraj stąd swoją dupę. - Starke obelżywie dla Esfandiariego odwrócił się do chłopaka z zieloną opaską, który nadal gapił się z szeroko otwartymi ustami. Przeszedł na farsi i powiedział grzecznie i z szacunkiem: -

Ekscelencjo, powiedziałem temu psu - tu wskazał niedbale kciukiem Esfandiariego - że jest tchórzliwym gównojadem, który potrzebuje uzbrojonych ludzi, żeby go chronili, gdy rozkazuje innym uzbrojonym ludziom, żeby bezprawnie bili i straszili nie uzbrojonych i spokojnych członków mojego szczepu, który nie... - Dławiąc się gniewem, Esfandiari próbował przerwać, ale Starke nie dopuścił go do głosu. - ...który nie wystąpi przeciwko mnie jak mężczyzna: z nożem, szablą, karabinem czy

142

pięścią, zgodnie z obyczajem Beduinów pragnących uniknąć wendety i zgodnie także z moim obyczajem.

- Wendeta? Oszalałeś! W imieniu Boga, co za wendeta? To jest zabronione prawem... -

Esfandiari krzyczał, ciągnąc swą tyradę.

Gavallan i Ayre przyglądali się bezradnie. Nie rozumieli farsi i byli całkowicie zaskoczeni nagłym wybuchem Starke'a.

Człowiek z Zielonych Opasek nie podzielał poglądów Esfandiariego. Podniósł rękę. Był pełen

podziwu dla Starke'a i jego wiedzy. Trochę mu nawet zazdrościł.

- Proszę, ekscelencjo Esfandiari - powiedział. Za grubymi, pękniętymi szklami okularów jego oczy wydawały się większe. Gdy zapadła cisza, zwrócił się do Starke'a: - Czy domaga się pan odwiecznego prawa zemsty na tym człowieku?

Starke czuł, że wali mu serce. Usłyszał, jak mówi twardo:

- Tak. - Wiedział, że idzie na duże ryzyko, które musi jednak podjąć. - Tak.

- Jak niewierny może żądać takiego prawa? - wykrzyknął z furią Esfandiari. - Nie jesteśmy na saudyjskiej pustyni, nasze prawa zakazują...

- Domagam się tego prawa!

- Wedle woli Boga - powiedział młodzieniec i spojrzał na Esfandiariego. - Być może ten człowiek nie jest niewiernym. Nie naprawdę. Ten człowiek domaga się tego, czego chce, ekscelencjo.

- Czy ty zwariowałeś? Oczywiście, że jest niewiernym i nie mów o jakichś cholernych zemstach rodowych, na które prawo nie zezwala. Ty głupcze, to jest sprzeczne z prawem, to jest...

- Nie jesteś mułłą! - krzyknął rozzłoszczony już młodzieniec. - Nie jesteś mułłą, żeby mówić, co jest prawem, a co nie jest! Zamknij się! Nie jestem analfabetą ze wsi. Umieję czytać i pisać, i jestem członkiem komitetu, który ma tu zapewnić porządek, a ty zakłócasz spokój. -

Wlepił wzrok w Esfandiariego, który znów cofnął się o krok. - Zwrócę się do komitetu 143

i do mułły Hosejna - powiedział do Starke'a. - Nie ma zbyt wiele szans, żeby się zgodzili, ale może... Wedle woli Boga. Zgadzam się, że prawo jest prawem i że człowiek nie powinien wykorzystywać innych uzbrojonych ludzi, żeby bezprawnie bili nie uzbrojonych niewinnych albo nawet karali zło, choć zło tylko wzmacnia Boga. Zostawiam cię Bogu. - Odwrócił się, żeby odejść.

- Chwileczkę, agha - powiedział Starke. Zdjął z wieszaka zapasową parkę i wyciągnął ją w stronę młodzieńca. - Proszę przyjąć ten drobny podarunek.

- Nie mogę tego przyjąć - odparł młodzieniec, choć otworzył szeroko oczy przepelnione pożądaniem.

66

- Proszę, ekscelencjo, to tak niewiele, że prawie nic. Esfandiari chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował,

gdy młody człowiek na niego spojrzał, a następnie zwrócił się do Starke'a:

- Chyba nie mogę tego przyjąć. To... to jest zbyt cenne i chyba nie mogę tego przyjąć od Waszej Ekscelencji.

- Proszę - powtórzył cierpliwie Starke, kontynuując zwyczajową procedurę. Potem przytrzymał parkę tak, żeby młody człowiek mógł ją włożyć.

- No cóż, skoro pan nalega... - Młodzieniec udał wahanie. Podał Ayre'owi automat i włożył

parkę. Inni nie wiedzieli, o co chodzi, oprócz Esfandiariego, który patrzył i czekał, obiecując w duchu zemstę. - Jest wspaniała - powiedział młodzieniec, zapinając parkę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł, że jest mu ciepło. Nigdy nie miał tak wspaniałego okrycia. -

Dziękuję, agha. - Dostrzegł wyraz twarzy Esfandiariego i jego niechęć do tego człowieka wzrosła. Czyż nie przyjął właśnie piszkeszu, co było jego prawem? - Spróbuję przekonać komitet, żeby zgodził się na to, o co prosi Wasza Ekscelencja - oświadczył zadowolony z siebie.

Wyszedł i zniknął w zapadającym zmroku. Starke natychmiast wskoczył na Esfandiariego.

- A teraz, czego chcesz?

- Wiele licencji pilotów i zezwoleń pobytowych straciło aktualność i...

144

- Amerykańskie i brytyjskie nie straciły, jedynie irańskie, a te przedłuża się automatycznie, jeśli inne są w porządku! Jasne, że nie są przedłużone! Przecież wasze biura nie działały od miesięcy. Wyjmij wreszcie głowę z tyłka!

Esfandiar poczerwieniał jak burak, a w chwili gdy zaczął odpowiadać, Starke odwrócił się do niego plecami i po raz pierwszy spojrzał bezpośrednio na Gaval-lana.

- Nie możemy tu już pracować, panie Gavallan. Sam pan widział, jak się nas czepiają.

Freddy'ego zbili, nas pilnują, no i nie mogę współpracować z tym zasrań-cem. Myślę, że powinien pan zamknąć bazę na parę miesięcy. Natychmiast! - dodał.

Gavallan nagle zrozumiał.

- Zgoda - odparł i przejął inicjatywę. Starke westchnął z ulgą, przeszedł przez pokój i usiadł, udając rozdrażnienie. Serce waliło mu mocno. - Zamykam bazę od razu. Wyślemy maszyny i personel gdzie indziej. Freddy, weź pięciu ludzi, którym należy się urlop, i ładuj ich na 125, z bagażami, natychmiast...

- Nie może pan zamknąć bazy - warknął Esfandiar. - Ani nie może...

*|<|

- Już jest zamknięta, na Boga - oświadczył Ga-vallan, starając się wzbudzić w sobie gniew. -

To moje helikoptery i moi ludzie. Nie zamierzamy poddawać się dłużej tym szykanom.

Freddy, komu należy się urlop?

Ayre zaczął obojętnie wymieniać nazwiska, a Esfandiari zgłupiał. Zamknięcie bazy wcale mu nie odpowiadało. Czyż w czwartek nie przybędzie z wizytą wicepremier Kia i czyż on, Esfandiari, nie zamierza zaoferować mu nadzwyczajnego pizkeszu? Zamknięcie bazy przekreśliłoby wszystkie te plany.

- Nie może pan zabrać stąd helikopterów bez mojej zgody - krzyknął. - Są własnością Iranu!

- Będą własnością spółki, gdy ta za nie zapłaci

- ryknął Gavallan, którego gniew wyglądał imponująco.

- Zamierzam poskarżyć się wyższym władzom! Sabotuje

145

pan wyraźny rozkaz imama, który nakazał, żeby wydobywanie ropy wróciło do normy! Tak!

Ty...

- Zabraniam zamknięcia bazy. Komitet zaaresztuje Starke'a za bunt, jeśli...

67

- Pieprzenie! Starke, polecam panu zamknąć bazę. Ważniaku, zapominasz, że my mamy dobre powiązania. Poskarżę się bezpośrednio wicepremierowi Alemu Kia, który jest doradcą naszego zarządu. Zajmie się tobą i IranOil!

Esfandiari pobladł.

- Premier Kia jest... w... w zarządzie?

- Tak. Jest. - Na ułamek sekundy Gavallan stracił wątek. Posłużył się nazwiskiem Kia jako jedynym, jakie znał z obecnego rządu. Zdumiał się wrażeniem, jakie wywarło na Esfandiarim.

Zorientował się jednak i poszedł za ciosem: - Mój bliski przyjaciel, Ali Kia, zajmie się tym wszystkim! A co do ciebie, jesteś zdrajcą Iranu! Freddy, pakuj natychmiast pięciu ludzi na pokład 125! Starke, wyślij o świcie wszystkie helikoptery do Bandar Dejlamu. O świcie!

- Tak jest!

- Chwileczkę - wtrącił się Esfandiari, widząc, że jego plany obracają się w ruinę. - Nie trzeba zamykać bazy, panie Gavallan. To prawda, były nieporozumienia, głównie przez Petrofiego i tego Zatakiego. Ja nie jestem odpowiedzialny za to pobicie. To nie ja! - Starął się mówić spokojnie, choć wewnętrznie kipiał z gniewu. Chciał widzieć ich wszystkich w więzieniu, biczowanych i skamlących o litość, której by nie doznali. - Nie trzeba zamykać bazy, panie Gavallan. Można normalnie odbywać

loty!

- Jest już zamknięta - rzucił władczo Gavallan i spojrzął na Starke'a, poszukując jakiejś wskazówki. - Choć robię to bardzo niechętnie.

- Tak, ma pan rację. - Głos Starke'a był przepełniony szacunkiem. - Oczywiście, może pan zamknąć bazę. Możemy inaczej rozmieścić helikoptery albo posypać je naftaliną i schować do szafy. W Bandar Dejlamię potrzebują niezwłocznie 212 do... do obsługiwania kon-146

traktu Iran-Tody. Moglibyśmy wysłać im jedną maszynę, a inne odstawić.

- Panie Gavallan - rzucił szybko Esfandiari - praca odbywa się z każdym dniem w coraz normalniejszych warunkach. Rewolucja zwyciężyła i jest zakończona, władzę sprawuje imam. Komitety... komitety wkrótce znikną. Będą kontrakty Guerneya, a to oznacza konieczność podwojenia liczby 212. Co do przedłużenia licencji... In sza'a Allah! Poczekamy jeszcze trzydzieści dni. Nie można podejmować pochopnych decyzji, panie Gavallan.

Jesteście w tej bazie już od dawna, dużo tu zainwestowaliście i...

- Wiem, ile zainwestowaliśmy - warknął Gavallan. Tym razem nie musiał udawać gniewu; aluzja była zbyt przejrzysta. - Świetnie, kapitanie Starke. Zrobię tak, jak pan radzi i, na Boga, lepiej, żeby się pan nie mylił. Proszę wysłać dziś dwóch ludzi 125. W przyszłym tygodniu przyłecą ich zmiennicy. Proszę też wysłać jutro 212 do Bandar Dejlamu. Na jak długo maszyna ma być wypożyczona?

- Sześć dni, proszę pana. Wróci w niedzielę. Gavallan zwrócił się do Esfandiariego.

- Helikopter wróci, jeśli tutaj sytuacja ulegnie poprawie.

- 212 jest nasz... 212 należy do bazy, panie Gavallan

- szybko poprawił się Esfandiari. - Jest zapisany w naszych listach przewozowych i będzie musiał wrócić. A co do personelu, zarządzenie mówi, że najpierw przylatują nowi piloci i mechanicy, a dopiero potem ich poprzednicy mogą wyjechać...

- Więc musimy zmienić to zarządzenie, panie Esfandiari, albo od razu zamknę bazę - rzucił cierpko Gavallan, mając nadzieję, że groźba poskutkuje.

- Starke, proszę wysłać dwóch ludzi dzisiaj, a resztę, oprócz niezbędnego personelu, czwartkowym lotem. W piątek przyślemy zmienników, jeśli sytuacja wróci do normy.

Starke zauważył, że wściekłość Esfandiariego rośnie; szybko interweniował: 147

- Nie wolno nam latać w piątek, proszę pana. Załoga powinna przybyć w sobotę rano. -

Spojrzął na Esfandiariego. - Nie zgadza się pan?

Przez chwilę Esfandiariemu wydawało się, że wybuchnie. Długo tłumiony gniew omal nie zapanował nad

rozsądkiem. . . . ,

- Jeśli... jeśli przeprosi pan za te obelgi i nieodpowiednie zachowanie.

Zapadła głęboka cisza. Drzwi nadal były otwarte, w pokoju panował chłód, Starke jednak, zastanawiając się nad odpowiedzią, czuł strużki potu, spływające po plecach. Udało się osiągnąć bardzo dużo, ale Esfandiari nie jest głupcem: szybkie przeprosiny wzbudzą jego podejrzliwość, a odmowa może przekreślić to, co już .

Z °-yNie przeproszę, ale w przyszłości będę mówił „panie Esfandiari”.

..

Esfandiari bez słowa odwrócił się na pięcie i wypadł . z pokoju. Starke zamknął drzwi; czuł, że koszula pod : swetrem klei mu się do pleców.

- O co, do cholery, chodziło, Duke? - zapytał ze ; złością Ayre. - Macie nierówno pod sufitem?

- Chwileczkę, Freddy - przerwał Gavallan. - Duke, : czy Ważniak przełknie to wszystko?

.

- Nie... nie wiem. - Starke usiadł, czując, że uginają ; się pod nim kolana. - Jezu.

- Jeśli tak... jeśli tak... Duke, jesteś genialny! Wspaniały pomysł, świetny!

.

- Przejąłeś piłkę, Andy. To ty zrobiłeś przyłożenie.

- Jeśli to było przyłożenie.

Gavallan otarł pot z czoła. Zaczął wyjaśniać wszystko Ayre'owi, ale przerwał mu dzwonek telefonu.

- Halo? Tu Starke... Jasne, poczekaj... Andy, to wieża. Mają łączność z NcIverem. Wazari pyta, czy chcesz od razu podejść, czy później się z nim połączysz. NcIver mówi, że ma dla ciebie wiadomość od faceta nazwiskiem Avisyard.

W pomieszczeniu kontroli lotów Gavallan nacisnął przełącznik nadawania. Niemal mdliło go z niepokoju.

Wazari obserwował go, podobnie jak człowiek z Zielonych Opasek, znający angielski.

- Tak, kapitanie NcIver?

- Dobry wieczór, panie Gavallan. Cieszę się, że pana zastałem. - Głos NcIvera przebijał się przez trzaski i zakłócenia; nie można było z niego niczego wyczytać. - Jak pan mnie słyszy?

- Trzy na pięć, kapitanie NcIver. Proszę mówić.

- Właśnie dostałem teleks od Liz Chen. Treść: Proszę przesłać panu Gavallanowi następujący teleks z datą 25 lutego, który właśnie przyszedł. „Wyrażono zgodę na twoją prośbę

[podpisano] Masson Avisyard". Kopia poszła do Asz Szargaz. Koniec wiadomości.

Przez chwilę Gavallan nie wierzył własnym uszom.

- Wyrażono zgodę?

- Tak. Powtarzam: Wyrażono zgodę na twoją prośbę. Teleks podpisał Masson Avisyard. Co mam odpowiedzieć?

Gavallan z trudem powstrzymał się od promiennego uśmiechu. Masson był jego przyjacielem w Biurze Rejestracji Lotniczej w Londynie, a „prośba” dotyczyła masowego przyznania brytyjskiej rejestracji helikopterom stacjonującym w Iranie.

- Proszę tylko potwierdzić odbiór wiadomości, kapitanie NcIver.

- Możemy kontynuować planowanie.

- Tak. Zgoda. Za chwilę wyjeżdżam, czy jest coś jeszcze?

- W tej chwili nie, tylko rutynowe informacje. Przekażę je kapitanowi Starke'owi wieczorem podczas zwykłej rozmowy. Cieszę się z Massona. Szczęśliwych lądowań.

- Dzięki, Mac, nawzajem.

69

Gavallan wcisnął przełącznik i wręczył mikrofon sierżantowi Wazariemu. Zauważył blizny, złamany nos i brak kilku zębów, ale nic nie powiedział. Co można Wło powiedzieć?

Dziękuję, sierzancie?

Wazari wskazał przez okno ludzi obsługujących cysterne, którzy zwijali długi wąż.

149

- Samolot zatankowany, s... - Powstrzymał się od dodania: „sir”. - My, eee, nie mamy oświetlenia

pasa startowego; niech pan lepiej jak najszybciej wejdzie na pokład.

- Dziękuję. - Gavallan niemal z lekkim sercem ruszył w kierunku schodów. Zatrzymał się, gdy ożyła wewnętrzna radiostacja bazy. - Tu komendant bazy. Proszę pana Gavallana.

Wazari natychmiast wcisnął przełącznik.

- Tak jest. - Zdenerwowany, wręczył mikrofon Gavallanowi, który stał się nagle bardzo czujny. - To major... przepraszam, pułkownik Czangiz.

- Tak, pułkowniku? Andrew Gavallan.

- Osobom postronnym nie wolno przysyłać drogą radiową zakodowanych wiadomości. Kim jest Masson Avisyard?

- Inżynierem projektantem - odparł Gavallan. To właśnie przyszło mu w pierwszej chwili do głowy. Uważaj, ten sukinsyn jest sprytny, pomyślał. - Nie chciałem..

- Czego dotyczyła „prośba” i kim jest... - Nastąpiła przerwa; słychać było przytłumione głosy. - Kim jest Liz Chen?

- To moja sekretarka, pułkowniku. Prośba dotyczyła... - Czego? Chciał krzyknąć, lecz nagle znalazł właściwą odpowiedź. - ...ograniczenia siedzeń do konfiguracji sześciu rzędów po dwa fotele z każdej strony przejścia w nowym helikopterze X63. Wytwórnia chciała to zrobić inaczej, ale nasi inżynierowie uważają, że sześć na cztery zwiększy bezpieczeństwo, umożliwiając szybkie wychodzenie w sytuacji awaryjnej. Chodzi też o oszczędność i...

- Tak, doskonale - przerwał mu pułkownik. - Powtarzam: nie można korzystać z radiostacji bez uprzedniego zezwolenia, jeśli nie chodzi o nagły wypadek. Poza tym oczywiście nie wolno kodować. Zakończono tankowanie pańskiego samolotu; ma pan zezwolenie na natychmiastowy start. Nie ma zgody na jutrzejsze lądowanie w celu zabrania ciała z wypadku w Zagrosie.

150

Echo Tango Lima Lima może wylądować w poniedziałek między 11:00 a 12:00, w zależności od potwierdzenia dowództwa, wysłanego do radaru na Kiszu. Dobranoc.

- Ale uzyskaliśmy już formalną zgodę Teheranu. Mój pilot wręczył zezwolenie pańskiemu oficerowi zaraz po wylądowaniu.

- Poniedziałkowe lądowanie zależy od potwierdzenia Dowództwa Lotnictwa Irańskiego. -

Pułkownik mówił jeszcze ostrzejszym tonem - Powtarzam: Dowództwa Lotnictwa Irańskiego.

To jest baza lotnictwa irańskiego. Podlegacie przepisom i zarządzeniom lotnictwa irańskiego i musicie się do nich stosować. Czy pan zrozumiał?

Po chwili Gavallan odpowiedział:

- Tak, zrozumiałem, ale my prowadzimy operacje cywilne...

- Jesteście w Iranie, w bazie lotnictwa irańskiego, a zatem podlegacie przepisom i zarządzeniom lotnictwa irańskiego.

Połączenie urwało się. Wazari nerwowo układał coś na swym, już i tak pedantycznie uporządkowanym, biurku.

Niedziela

25 lutego 1979

ZAGROS, WIERCENIA BELLISSIMA, 11:05. Odczuwając przenikliwe zimno, Tom Lochart przyglądał się Jesperowi Almqvistowi, ekspertowi od wierceń, który manipulował

dużym czopem, zawieszonym teraz na drucie nad odsłoniętym otworem wiertniczym. Wokół

70

widać było wypalone po bombowym ataku terrorystów ruiny urządzeń i kontenerów mieszkalnych, które częściowo przykrył już świeży śnieg.

- Opuszczaj - krzyknął młody Szwed.

Jego asystent, oczekujący w małej kabine, natychmiast uruchomił kołowrót. Walcząc z wiatrem, Jesper z trudem skierował czop do metalowej obudowy odwiertu. Czop składał się z ładunku wybuchowego, umieszczonego nad dwiema metalowymi czaszami, umocowanymi wokół gumowego pierścienia uszczelniającego. Lochart widział zmęczenie obu mężczyzn.

Zamykali już

155

czternasty odwiert w ciągu trzech dni. Zostało jeszcze pięć, a do terminu upływającego o zachodzie słońca pozostało tylko siedem godzin. W dobrych warunkach praca przy każdym odwiercie zajmowała trzy godziny, nie licząc czasu niezbędnego na dotarcie do celu.

- Sukinsyńskie warunki - mruknął równie zmęczony Lochart.

Zbyt wiele godzin lotu od czasu, gdy Zielone Opaski z komitetu wyznaczyły termin, zbyt wiele problemów: zamykanie całego pola obejmującego jedenaście miejsc wierceń, lot do Szirazu po Jespera, przewożenie załóg do Szirazu od świtu do zmroku, transport części zamiennych do Kowissu, szybkie podejmowanie decyzji, co zabrać, a co zostawić. W tak krótkim czasie nie można było zrobić wszystkiego. Poza tym śmierć Jordona i zranienie Scota.

- Tak, zatrzymaj w takim położeniu! - krzyknął Jesper i pobiegł przez śnieg do kabiny.

Lochart widział, jak Szwed sprawdza wskaźnik głębokości i naciska guzik. Stłumiona eksplozja; z szybu buchnął kłęb dymu. Gdy Jesper wracał, asystent natychmiast wyciągnął

resztki drutu, zanim pozostałości rury zamknęły otwór. „Ładunek wybuchowy sprawia, że łączą się dwie czasze” - wyjaśnił przedtem Jesper. - To wtłacza gumową uszczelkę w stalowe ocembrowanie; szyb jest zatkany, a uszczelka wystarcza na parę lat. Gdybyście chcieli znów go otworzyć, wrócimy tu ze specjalnym wiertłem, które wyciągnie czop. Szyb będzie jak nowo narodzony. Może”.

Otarł twarz rękawem.

- Wynośmy się stąd do diabła, Tom!

Wrócił do kabiny, wyłączył elektryczność, schował do torby wszystkie wydruki komputerowe i zamknął drzwi.

- Co ze sprzętem?

- Zostaje. Kabina jest w porządku. Wsiadajmy już, cholernie zmarzłem. - Jesper ruszył do lądowiska, gdzie oczekiwał 206. - Gdy tylko wrócę do Szirazu, wpadnę do IranOil. Załatwię zezwolenie na powrót i zabranie

156

kabin. Jedenaście kabin to kupa forsy; nie ma sensu, żeby tak sobie stały i nie pracowały.

Zamknięte przetrwają około roku, zależnie od pogody. Są tak zaprojektowane, że wytrzymują złe warunki atmosferyczne, choć nie wandalizm. - Wskazał ruiny bazy. - Idiotyzm!

- Tak.

- Idiotyzm! Tom, powinieneś widzieć szefów z IranOil, kiedy im powiedziałem, że was wyrzucają, a pan Sera zamyka pole. - Jasnowłosey, błękitnooki Jesper uśmiechnął się ponuro. -

Kwiczeli jak zarzynane świny i przysięgali, że żaden komitet nie nakazał wstrzymania produkcji.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie przyjechali tu z tobą i nie zrobili porządku z tymi sukinsynami.

- Poprosiłem ich, a oni odpowiedzieli, że w przyszłym tygodniu. To jest Iran. Nigdy nie przyjadą. - Obrzucił wzrokiem teren. - Tylko ten szyb dawał szesnaście tysięcy baryłek dziennie.

71

Usiadł z przodu przy Locharcie. Jego asystent, małomówny Bretończyk, usadowił się z tyłu i zamknął drzwiczki. Lochart włączył silnik, nastawiając ogrzewanie na maksimum.

- Teraz Wiercienia Maria, dobrze? Jesper zastanowił się.

- Lepiej zostawić to na koniec. Wiercienia Rosa są ważniejsze. - Stłumił kolejne ziewnięcie. -

Mamy tam dwa szyby do zakorkowania i jeden jeszcze działający. Biedne sukinsyny nie miały czasu i nie wyciągnęły jakichś dwóch tysięcy metrów rury; będziemy musieli zatykać z tym wszystkim w środku. Kurewskie marnotrawstwo.

Zapiął pas i przysunął się bliżej do dmuchawy tłoczącej gorące powietrze.

- Co z tym później zrobicie?

- Rutyna. - Młody mężczyzna roześmiał się. - Trzeba będzie odkorkować, a potem wydobywać rurę odcinek po odcinku. To długo trwa, jest żmudne i drogie.

Ziewnął, zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

157

W Wierceniach Rosa czekał na nich Mimmo Sera. Na lądowisku stał już 212 z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Przy sterach siedział Jean-Luc; mężczyźni ładowali bagaż i wsiadali na pokład.

- Buon 'giorno, Tom.

- Cześć, Mimmo. Jak leci? - Lochart pomachał do Jean-Luca.

- To już moi ostatni ludzie, poza robotnikami, którzy mają pomóc Jesperowi. - Mimmo Sera padał ze zmęczenia. - Nie zdążyliśmy wyciągnąć rury z trójki.

- Nie ma problemu, zakorkujemy tak jak jest.

- Si. - Zmęczony uśmiech. - Pomyślcie o wszystkich pieniądzach, które tu zakopujecie.

Jesper roześmiał się.

- Dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt metrów po... Może zastosujemy specjalną cenę?

Starszy mężczyzna w naturalny sposób wykonał wymowny, włoski gest.

- Zostawię was tutaj. Kiedy mam wrócić? - zapytał Lochart.

Jesper spojrzął na zegarek. Dochodziło południe.

- O szesnastej trzydzieści, dobra?

- Punktualnie szesnasta trzydzieści. Słońce zachodzi o osiemnastej trzydzieści siedem.

Lochart ruszył do 212.

Jean-Luc zawinął się w ciepłe ubrania, mimo to nadal wyglądał elegancko.

- Zabieram tę partię bezpośrednio do Szirazu. Oni są ostatni, poza Mimmo i twoją załogą.

- Dobra. Jak jest na dole?

- Chaos. Śmierdzi jakimś nieszczęściem. Następnym.

- Ty zawsze przewidujesz nieszczęście, chyba że śpisz. Nie przejmuj się, Jean-Luc.

- Jasne, nie ma się czym przejmować. - Jean-Luc obserwował przez chwilę ładowanie, które było już na ukończeniu: plecaki, walizki, dwa psy, dwa koty i wielu czekających niecierpliwie mężczyzn. Odwrócił się i ści-158

szonym głosem powiedział poważnie: - Tom, im szybciej wyjedziemy z Iranu, tym lepiej.

- Nie. Zagros to wyjątkowy przypadek. Tak" czy inaczej, mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

- Lochartowi przemknęła myśl o HBC, Szahrazad i Operacji Whirlwind. Nikomu tutaj nie powiedział o planie i swojej rozmowie ze Starke'em.

- Zostawiam to tobie, Duke - oświadczył przed odlotem. - Załatwisz to lepiej ode mnie. Ja jestem zdecydowanie przeciwny.

- Jasne, to twój przywilej. Mac zatwierdził poniedziałkowy lot do Teheranu.

- Dzięki. Widział się już z Szahrazad?

- Nie, Tom, jeszcze nie.

72

Gdzie ona, u diabła, jest? - pomyślał, czując szarpiący ból.

- Zobaczymy się w bazie, Jean-Luc. Bezpiecznej podróży.

- Dopilnuj, żeby Scot i Rodrigues byli gotowi, gdy wrócę. Muszę się spieszyć, jeśli mam dzisiaj dotrzeć do Asz Szargaz. - Drzwi kabiny zatrzęsły się. Jean-Luc rozejrzał się i zobaczył uniesiony kciuk. Potwierdził i znów się odwrócił. - Już lecę. Dopilnuj, żeby Scot wszedł na pokład po cichu, dobra? Nie chcę, żeby ktoś mnie zestrzelił. Nadal twierdzę, że chodzi im o Scot'a, a nie o kogoś innego.

Lochart ponuro skinął głową i ruszył w stronę swego 206.

Nieszczęście nastąpiło wczoraj o świcie, gdy wracał z Kowissu. Jean-Luc właśnie wstawał z łóżka i przypadkiem wyjrzał przez okno.

- Oni dwaj, Jordon i Scot, byli bardzo blisko siebie. Nieśli razem jakąś część, żeby załadować ją do HIW

- opowiadał Lochartowi zaraz po jego wylądowaniu.

- Nie widziałem pierwszych strzałów, tylko je usłyszałem. Jordon krzyknął i zatoczył się; dostał w głowę. Scot spojrzał w kierunku drzew za hangarem, potem pochylił się i próbował

pomóc Jordonowi. Ja widziałem tyłu

zastrzelonych, że wiedziałem, iż biedny Effer był martwy, jeszcze zanim upadł w śnieg.

Potem rozległy się kolejne trzy czy cztery strzały, ale nie z broni maszynowej. Raczej coś podobnego do pistoletu automatycznego. Tym razem Scot dostał w ramię; to nim zakreśliło i upadł tak, że Jordon leżał między nim a drzewami. Potem ktoś strzelał dalej... do Scot'a, Tom.

Jestem tego pewien.

- Jak możesz być pewien, Jean-Luc?

- Jestem. Effer był dokładnie na linii ognia, dokładnie. Przejął na siebie wszystkie pociski.

Atakujący nie strzelali po całej bazie, tylko celowali w Scot'a. Złapałem swój pistolet sygnalizacyjny i wyskoczyłem w kierunku drzew. Gdy dotarłem do Scot'a, miał drgawki, a Jordon leżał bezwładnie. Dostał chyba z osiem razy. Zabraliśmy Scot'a do felczera. Czuje się dobrze, Tom, to tylko postrzał w ramię. Patrzyłem, jak zakładali mu opatrunek. Rana czysta, a pocisk wyszedł z drugiej strony.

Lochart natychmiast poszedł do kontenera, który nazywali izbą chorych. Felczer, Kevin O'Sweeney, po-wiedział:

- Z nim wszystko w porządku, kapitanie.

- Tak - potwierdził Scot. Miał białą twarz i nadal był w szoku. - Naprawdę w porządku, Tom.

- Kevin, pozwól mi porozmawiać przez chwilę ze Scot'em. - Gdy zostali sami, zapytał cicho:

- Scot, co się wydarzyło, gdy mnie nie było? Rozmawiałeś z Ni-czak-chanem? Z kimś z wioski?

- Nie, z nikim.

- I nie powiedziałeś nikomu, co się wydarzyło na placu?

- Nie, nie, wcale nie. Dlaczego pytasz? O co chodzi, Tom?

- Jean-Luc uważa, że ty byłeś celem ataku. Nie Jordon, nie baza, tylko ty.

- Jezu! Stary Effer dostał przeze mnie?

Lochart pamiętał, jak wstrząśnięty był Scot. W bazie panował nastrój grozy. Wszyscy gorączkowo pakowali

części zamiennie do dwóch 212, 206 i alouette. Ostatni dzień w Zagrosie. Jedyne jaśniejszym punktem wczorajszego dnia była kolacja: upieczony na świeżym powietrzu udziec młodej dzikiej

kozy, przygotowany następnie przez Jean-Luca z pysznym irańskim ryżem, i choreszt.

- Wspaniała pieczeń, Jean-Luc - pochwalił.

73

- Bez francuskiego czosnku i moich umiejętności smakowałaby jak angielska pieczeń ze starego barana, tfu!

- Kucharz kupił to w wiosce?

- Nie, to prezent. Młody Darius, ten, który zna angielski, przyniósł w piątek oprawione mięso jako podarunek od żony Niczaka.

Lochart poczuł nagle, że kawałek mięsa rośnie mu w ustach.

- Od jego żony?

- Oui. Darius powiedział, że rano upolowała kozę. Mon Dieu, nie wiedziałem, że ona poluje, a ty? O co chodzi, Tom?

- Dla kogo był ten prezent? Jean-Luc zmarszczył brwi.

- Dla mnie i w ogóle bazy... Darius powiedział: „To od kalandara dla bazy i żeby podziękować za pomoc, jakiej Francja udzieliła imamowi, niech Bóg go strzeże”. Dlaczego pytasz?

- Nieważne - odpowiedział Lochart, ale później odciągnął Scot'a na stronę. - Czy byłeś tutaj, kiedy Darius przyniósł kozę?

- Tak, tak, byłem. Akurat siedziałem w biurze i podziękowałem mu za... - Scot pobrał. -

Teraz, kiedy o tym myślę... Darius powiedział, odchodząc: „To dobrze, że żona kalandara świetnie strzela, prawda?” Odpowiedziałem chyba tak: „Tak, fantastycznie”. Może w ten sposób się wygadałem, prawda?

- Tak, a jeśli połączyć to z tym, co ja chlapnąłem... Teraz uważam, że to była pułapka. Ja też w nią wpadłem. Niczak-chan wie, że my obaj możemy świadczyć przeciwko wiosce.

161

Zeszłej nocy i przez cały dzień Lochart zastanawiał się, co zrobić, w jaki sposób wydostać stąd siebie i Sco-t'a. Dotychczas nie znalazł rozwiązania.

' Pograżony w myślach, wsiadł do 206, poczekał, aż Jean-Luc będzie gotowy i wystartował.

Teraz przelatywał nad Wąwozem Upadłych Wielbłądów. Droga prowadząca do wioski nadal ginęła pod tonami śniegu który zszedł z lawiną. Nigdy jej nie odkopią, pomyślał. Na pofalowanym

wzniesieniu widział stada kóz i owiec, pilnowane przez pasterzy. Z przodu wyrastała wioska Jaz-dek. Minął ją. Budynek szkoły był jak blizna na powierzchni ziemi: czarny wśród bieli. Przez placyk przechodziło kilku wieśniaków; spojrzeli w górę i powrócili do swoich spraw. Nie żałuję, że wyjeżdżamy, pomyślał. Na pewno nie teraz, gdy Jordon został zamordowany. Zagros Trzy już nigdy nie będzie tym, co przedtem.

W bazie panowało zamieszanie; kłębili się tam ludzie, ostatni z tych, których przywieziono z innych wierceń i którzy mieli polecieć do Szirazu, a stamtąd za granicę. Zmęczeni mechanicy klnąc pakowali części zamienne, ustawiali stopy pak i skrzyń do zabrania do Kowissu. Zanim jeszcze wyszedł z kokpitu, nadjechała cysterna z paliwem. Na masce siedział zawiadacz Fred-dy Ayre. Wczoraj, na skutek sugestii Starke'a, Lochart przywiózł Ayre'a i innego pilota, Clausa Schwarteneg-gera, by zastępowali Scota. r

- Teraz ja polecę, Tom - oświadczył Ayre. - Ty idź i coś zjedz.

- Dzięki, Freddy. Jak leci?

- Marnie. Claus zabrał następny ładunek części do 'Kowissu; wróci tak, żeby jeszcze zdążyć zabrać ostatni. Przed zachodem słońca zabieram alouette. Jest wyładowana po brzegi i jeszcze trochę. Czym chcesz odlecieć?

- 212. Będę miał na pokładzie Jordona. Claus może zabrać 206. Lecisz do Szirazu?

- Tak. Musimy tam zawieźć jeszcze dziesięciu chłopów. Myślałem, czy nie zabrać teraz po pięciu pasażerów zamiast czterech, co?

162

- Jeśli są mali i bez bagażu, i ja o tym nie wiem, dobra?

Ayre roześmiał się. Zimno sprawiło, że jego sińce były wyraźnie widoczne.

74

- Oni wszyscy są tak zaniepokojeni, że chyba nie przejmują się za bardzo bagażami. Jeden z chłopaków z Wierceń Maria powiedział, że w okolicy słychać było strzały.

- Pewnie jakiś mieszkaniec wioski polował. - Pomyślał z przerażeniem o łowczyni z potężnym karabinem i o tym, że wszyscy członkowie szczepu Kaszkajów słyną jako wyborowi strzelcy. Jesteśmy tak cholernie bezradni, pomyślał, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Szczęśliwej drogi, Freddy. - Poszedł do kuchni i wziął porcję gorącego choresztu.

- Agha - rzucił nerwowo kucharz. Jego czterej pomocnicy przybliżyli się. - Należy się nam wypłata za dwa miesiące. Co będzie z naszą wypłatą i w ogóle z nami?

- Już ci mówiłem, Ali. Odwieziemy was do domu, do Szirazu. Dziś po południu. Tam dokonamy

wypłaty, a gdy tylko będę mógł, wyślę wam miesięczną odprawę. Będziemy się kontaktować przez IranOil, jak zwykle. Zatrudnimy was znowu, kiedy wrócimy.

- Dziękuję, agha. - Kucharz pracował u nich od roku. Był chudy i blady; cierpiał na wrzód żołądka.
- Nie chcę zostać wśród tych barbarzyńców - dodał nerwowo. - Kiedy po południu?
- Przed zachodem słońca. O czwartej zaczniacie sprzątać i uporządkujecie wszystko.
- Ale, agha, po co to robić? Gdy tylko wyjedziemy, ci zawszeni mieszkańcy Jazdek przyjdą i wszystko roz-kradną.
- Wiem - zgodził się Lochart. - A jednak sprzątnijcie i zróbcie porządek. Zamknę drzwi.

Może nie przyjdą.

- Wedle woli Boga, agha, ale na pewno przyjdą. Lochart skończył posiłek i poszedł do biura.

Był tam

Scot Gavallan. Miał ściągniętą bólem twarz i rękę na

163

temblaku. Otworzyły się drzwi i wszedł Rod Rodrigues. Miał ziemistą cerę i podkrążone oczy.

- Cześć, Tom, chyba nie zapomniałeś, co? - zapytał niespokojnie. - Nie ma mnie na liście przewozowej.
- Nie ma problemu. Scot, Rod leci HJX. Zabierze się z tobą i Jean-Lukiem do Asz Szargaz.
- Świetnie, ale ja się dobrze czuję. Chyba raczej polecę do Kowissu.
- Jezus Maria! Lecisz do Asz Szargaz i kropka! Scot zaczerwienił się.
- Tak, w porządku, Tom. Wyszedł.

Ciszę przerwał Rodrigues.

- Tom, co pošlemy HJX?
- A skąd, do jasnej cholery, mam wiedzieć... - Lochart urwał. - Przepraszam, jestem zmęczony. Przepraszam.
- Nie przejmuj się, Tom, wszyscy jesteśmy przemęczeni. Ma polecieć pusty czy co?

Lochart z wysiłkiem odegnał od siebie falę znużenia. Nie, załaduj zapasowy silnik i dodaj tyle części do 212, ile wlezie.

- Jasne, tak będzie dobrze. Może... Otworzyły się drzwi i wbiegł Scot.

- Niczak-chan! Wyrzycie przez okno!

Drogą od wioski nadchodziło dwudziestu paru ludzi. Wszyscy uzbrojeni. Inni rozbiegli się już po terenie bazy. Niczak-chan szedł prosto do kontenera biurowego. Lochart podszedł do okienka z tyłu i otworzył je jednym szarpnięciem. - Scot, leć do mnie. Unikaj okien, nie pozwól, żeby cię zobaczyli, i nie ruszaj się stamtąd, dopóki po ciebie nie przyjdę. Szybko!

Scot wygramolił się na zewnątrz i pobiegł. Lochart zatrzasnął okno.

Drzwi stanęły otworem. Lochart wstał.

- Salam, kalandarze.

- Salam. W lesie pojawili się obcy. To muszą być terroryści, więc przyszlismy, żeby was ochraniać.

- Niczak-chan rzucił twarde spojrzenie. - Wedle woli Boga, 75

164

ale nie chciałbym, żeby ktoś jeszcze zginął, zanim odejdziecie. Będziemy tu do zachodu słońca. Wyszedł.

- Co on powiedział? - zapytał nie znający farsi Rodrigues.

Lochart przetłumaczył i zobaczył, że mechanik drgnął.

- Nie ma problemu, Rod - powiedział, skrywając strach. Nie można wystartować ani wylądować, nie lecąc nad lasem; nisko, powoli, stanowiąc łatwy cel. Terroryści? Gówno!

Niczak wie o Scocie, wie o mnie. Założę się, że rozmieścił wszędzie strzelców. Jeśli zostanie do zachodu słońca, nie wymkniemy się; będzie wiedział, którym śmigłowcem lecimy. In sza a Allah. Tak, ale co, do cholery, można teraz zrobić? - Niczak-chan zna te okolice - rzucił

lekko, nie chcąc straszyć Roda. Już i tak wystarczało strachu dla całej bazy. - Jeśli terroryści tam są, on nas obroni, Rod. Zapasowy silnik zapakowany?

- Co? Jasne, Tom, jasne.

- Zajmij się załadunkiem, zobaczymy się później. Nie ma strachu.

Lochart przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ścianę. Gdy nadszedł czas powrotu do Wierceń Rosa, udał się na poszukiwanie Niczak-chana.

- Czy chciałby pan, kalandarze, sprawdzić, czy odpowiednio zabezpieczono Wiercenia Rosa?

- zapytał, gdy go odnalazł.

Choć starzec odniósł się niechętnie do tego pomysłu, Lochart, uciekając się do pochlebstw, namówił go w końcu, aby mu towarzyszył. Wiedział, że mając na pokładzie chana jest chwilowo bezpieczny.

Na razie się udało, pomyślał z ulgą. Muszę wyjechać ostatni. Muszę być bardzo sprytny, dopóki nie będziemy daleko, Scot i ja. Zbyt wiele mam do stracenia: Scota, chłopaków, Szahrazad, wszystko.

WIERCENIA ROSA, 17:00. Jesper prowadził ciężarówkę z dużą prędkością po szlaku wśród sosen, wiodą-

165

cym do ostatniego odwiertu. Obok niego siedział Mimmo Sera, a robotnik i asystent zajęli miejsca z tyłu. Jesper nucił cicho, głównie po to, żeby nie zasnąć. Płaskowyz był rozległy, odwierty odległe od siebie prawie o pół kilometra, krajobraz piękny i dziki.

- Jesteśmy spóźnieni - zauważył ze zmęczeniem w głosie Mimmo Sera, patrząc na obniżające się nieubłagane słońce. - Stronzo!

- Damy radę - odparł Jesper. Wyjął z kieszeni ostatni energetyczny baton czekoladowy.

Zjedli go, dzieląc się nim po połowie. - Tu jest tak jak w Szwecji

- dodał, ścinając zakręt. Szybka jazda sprawiała mu przyjemność.

- Nigdy nie byłem w Szwecji. To już tutaj - powiedział Mimmo Sera. Odwiert wykonano na polanie; był już eksploatowany i dawał 12 tysięcy baryłek dziennie

- pole było niezwykle bogate. Nad odwiertem piętrzyła się płatanina rur i zaworów, zwana bożonarodzeniową choinką, która łączyła go z głównym rurociągiem. - Od tego zaczęliśmy -

rzucił obojętnie - kiedy ciebie jeszcze tu nie było.

Gdy Jesper wyłączył silnik, zapadła niesamowita cisza. W tym miejscu wydobywano ropę bez użycia pomp. Zastępował je stłoczony pod ogromnym ciśnieniem gaz, tysiące metrów pod powierzchnią ziemi. Wystarczyłoby go jeszcze na wiele lat.

- Mamy zbyt mało czasu, żeby zakorkować go prawidłowo, panie Sera, chyba że chce się pan tu zasiedzieć.

Starszy mężczyzna pokręcił głową i naciągnął na uszy wełnianą czapkę.

- Jak długo wytrzymają zawory? Jesper wzruszył ramionami.

- Powinny tyle, ile się chce. Ale bez konserwacji i sprawdzania od czasu do czasu? Nie wiem. Praktycznie w nieskończoność, jeśli nie będzie wybuchu gazu albo jeśli nie nawali któryś z zaworów lub czopów.

- Stronzo!

166

- Stronzo - zgodził się Jesper. Skinął na asystenta i robotnika. - Tylko zamykamy, bez czopowania. - Pod stopami skrzypiał śnieg. Wiatr poruszał wierzchołkami drzew. Usłyszeli odgłos silnika helikoptera zbliżającego się od strony bazy. - Do roboty.

Nie było ich widać z lądowiska i głównych zabudowań Rosy oddalonych o pół kilometra.

Zirytowany Mimmo zapalił papierosa, oparł się o maskę samochodu i spojrzał na trzech pracujących szybko mężczyzn. Szarpali się z niektórymi zapieczonymi zaworami, aż wreszcie przynieśli ogromny klucz, żeby je odblokować. Pocisk odbił się rykoszetem od „choinki”, aż echo kuli uderzającej w stal rozeszło się po lesie. Znieruchomieli. Nic.

- Widzieliście, skąd strzelano? - mruknął Jesper. Nie padła żadna odpowiedź. Czekali. Nic się nie wydarzyło. - Skończmy z tym - powiedział.

Nacisnął ciężarem całego ciała na klucz. Inni ruszyli, żeby mu pomóc. Natychmiast padł następny strzał. Kula przebiła przednią szybę ciężarówki i wyrwała dziurę w burcie kabiny.

Po drodze stłukła ekran komputera i zniszczyła część aparatury elektrycznej. Znow cisza.

Wokół żadnego ruchu. Tylko wiatr i trochę padającego śniegu. Odgłos silnika helikoptera dochodził teraz od oświetlonego lądowiska.

Mimmo Sera krzyknął w farsi:

- Zamykamy szyb, ekscelencje, żeby był bezpieczny. Zamkniemy go i odjedziemy. - Postali chwilę, lecz nie doczekali się odpowiedzi. Krzyknął powtórnie: - Tylko zabezpieczamy odwiert! Dla Iranu, a nie dla siebie! Dla Iranu i imama! To wasza ropa, a nie nasza!

Znow czekali i znow cisza zakłócana tylko zwykłymi odgłosami lasu. Skrzypiały gałęzie.

Gdzieś daleko głos jakiegoś zwierzęcia.

- Mamma mia - zachrypiał Mimmo. Podeszedł do klucza i podniósł go z ziemi; pocisk przeleciał tak blisko twarzy Sery, że poczuł podmuch powietrza. Teraz się przestraszył.

Trzymany przez rękawicę klucz wysliznął

167

się i znow upadł na ziemię. - Wszyscy do ciężarówki.

Odjeżdżamy.

Wycofał się i usiadł na przednim siedzeniu. Inni poszli jego śladem. Poza Jesperem, który podniósł klucz. Gdy zobaczył spustoszenie, jakie pocisk wyrządził w kabinie ciężarówka i w sprzęcie, nie wytrzymał. Z zaciętym spojrzeniem cisnął kluczem w kierunku lasu i głośno zaklął. Stał na lekko rozstawionych nogach. Wiedział, że jest łatwym celem, ale jakoś o to nie dbał.

- Fórbannades shitdjavlarr! - Wracaj do samochodu! - krzyknął Mimmo.

— Fórbannades shitdjavlarrrrr - mruknął ponownie Jesper; szwedzkie przekleństwo uspokajało go.

Wszedł do szoferki i usiadł za kierownicą. Ciężarówka ruszyła i wjechała na drogę, którą przybyła. Gdy zniknęła z zasięgu wzroku, na „choinkę” spadł z obu stron lasu grad pocisków.

Odlupywały kawałki metalu i świszcząc wpadały w śnieg albo ulatywały w niebo. Potem zapadła cisza. Ktoś roześmiał się i zawołał:

- Allahhu Akbarr...

Krzyk odbił się echem. Potem ucichł.

W ZAGROSIE TRZY, 18:38. Słońce dotknęło horyzontu. Ładowano części zamienne i ostatnie sztuki bagażu. Wszystkie cztery śmigłowce stały w rzędzie: dwa 212, jeden 206 i alouette. Piloci byli gotowi, Jean-Luc chodził tam i z powrotem. Start niektórych maszyn opóźnił się z powodu Niczak-chana, który wcześniej arbitralnie nakazał, aby wszystkie helikoptery wystartowały równocześnie, co uniemożliwiało Jean-Lucowi lot do Asz Szargaz.

Musiał poprzestać na Szirazie i tam przenocować, gdyż w Iranie nocne loty nie były dozwolone.

77

- Wyłumacz mu to jeszcze raz, Tom - poprosił

rozzłoszczony Jean-Luc.

- Odmówił już tobie i odmówił mnie, a więc na pewno odmówił. Zresztą, teraz i tak jest za późno! Wszystko gotowe, Freddy?

168

- Tak - zawołał zirytowany Ayre. - Czekamy już od godziny albo i dłużej!

Lochart z ponurym wyrazem twarzy podszedł do Niczak-chana, który zauważył gniew obcych i nie okazując tego, cieszył się, że pokrzyżował im plany. Obok kalandara stał

człowiek z zieloną opaską - Lochart zakładał, że to -członek komitetu - i kilku wieśniaków.

Podczas popołudnia reszta stopniowo się rozeszła. Poszli do lasu, pomyślał Lochart i poczuł, że ma wyschnięte usta.

- Kalendarze, jesteśmy już prawie gotowi.

- Wedle woli Boga.

- Freddy, teraz ostatni ładunek! - zawołał Lochart. Zdjął czapkę, inni zrobili to samo, gdy Ayre, Rodrigues i dwaj mechanicy wynieśli skleconą naprędce trumnę z hangaru, ponieśli ją przez śnieg i ostrożnie włożyli do 212 Jean-Luca. Gdy było już po wszystkim, Lochart odsunął się na bok. - Lecący do Szirazu na pokład! - Ucisnęła dłonie Mimmy, Jespera, robotnika i Szweda asystenta. Weszli na pokład i umościli się pomiędzy bagażami, częściami zamiennymi i trumną. Mimmo Sera i włoski robotnik przeżegnali się i zapięli pasy.

Jean-Luc zajął miejsce pilota, Rodrigues usiadł obok niego. Lochart zwrócił się do pozostałych mężczyzn:

- Wszyscy na pokład!

Wchodzili obrzucani baczными spojrzeniami Niczak-chana i człowieka z Zielonych Opasek.

Ayre prowadził alouette, Claus Schwartenegger.- 206. Wszystkie miejsca były zajęte, zbiorniki pełne paliwa, zapchane ładownie. Do zewnętrznych wsporników płóz umocowano zapasowe płyty rotorów. Obciążenie 212 Locharta wykraczało poza dopuszczalne maksimum.

- Po drodze do Kowissu spalimy dużo paliwa, co zmniejszy obciążenie do dozwolonej wielkości. Zresztą mamy przez cały czas z górki - powiedział pilotom podczas odprawy.

Teraz stał sam na śniegu w Zagrosie Trzy. Wszyscy pasażerowie zapięli pasy. Zamknięto już drzwi.

169

- Uruchomić silniki! - krzyknął, czując coraz większe napięcie. Powiedział chanowi, że sam pokieruje

odlotem.

Kalendar i człowiek z zieloną opaską podeszli do

Locharta.

- Młody pilot, ten ranny, gdzie on jest?

- Kto? Ach, Scot? Jeśli nie ma go tutaj, to musi być w Szirazie, kalendarze - odpowiedział

Lochart. Zorientował się, że Niczaka ogarnia gniew. Zielonej Opasce opadła szczęka. - A o co chodzi?

- To niemożliwe - oświadczył człowiek z zieloną

opaską.

- Nie widziałem, żeby wchodził na pokład, więc musiał polecieć wcześniej... - Lochart podniósł głos, żeby słyszano go poprzez ryk zwiększających obroty silników. - ...Kiedy byliśmy w Wierceniach Rosa i Maria, kalendarze. - A o co chodzi?

- To niemożliwe, kalendarze - powtórzył ze strachem w głosie Zielona Opaska, gdy starzec na niego spojrzał. - Bardzo starannie obserwowałem!

Lochart dał nurka pod wirujące śmigło i podszedł do okienka 212 Jean-Luca, wyciągając z kieszeni kopertę.

- Proszę, Jean-Luc, bonne chance - powiedział i wręczył kopertę pilotowi. - Startuj!

78

Dojrzał cień uśmiechu i wycofał się w bezpieczne miejsce. Jean-Luc włączył maksymalną moc, aby szybko oderwać się od ziemi; helikopter poderwał się w górę i odleciał. Młócone rotorem powietrze szarpało ubraniami Locharta i wieśniaków; słowa wykrzykiwane przez Niczak-chana tonęły w ryku silnika.

Jednocześnie - tak jak się umówili - Ayre i Schwar-tenegger odpalili silniki; oddalili się od siebie i zaczęli

powoli wznosić maszyny, kierując się ku linii drzew.

Lochart me tracił nadziei, gdy nagle rozwścieczony

człowiek z zieloną opaską szarpnął go za rękaw.

Młody niwSZ! ~ krzyknął ~ Skłamałeś kalendarowi!

że skłamałeś! dowiedz kalendarowi, 170

Lochart wyszarpnął gwałtownie rękaw; wiedział, że każda sekunda oznacza więcej centymetrów wysokości, więcej metrów do pokonania, zanim będzie bezpieczny.

- Dlaczego miałbym kłamać? Jeśli młodego pilota nie ma w Szirazie, to musi być tutaj!

Przeszukaj obóz, przeszukaj helikopter. No już! Sprawdźmy najpierw śmigłowiec! - Podszedł

do 212 i stanął w otwartych drzwiczkach; rzucił ukradkowe spojrzenie i upewnił się, że 212

Jean-Luca przekroczył już linię drzew. Przeciążona maszyna Ayre'a dopiero to robiła, a 206

jeszcze tam nie dotarł. - Na wszystkie imiona Boga, przeszukajmy.

- Starał się zwrócić na siebie ich uwagę, odciągnąć ją od uciekających helikopterów. Nie chciał, żeby szukali w helikopterze, tylko na terenie obozu. - Jak człowiek mógłby się tu ukryć? To niemożliwe. Co z biurem i kontenerami? Może tam się schował...

Zielona Opaska zerwał z ramienia karabin i wymierzył w Locharta.

- Powiedz kalandarowi, że skłamałeś albo zginiesz! Niczak-chan, niemal bez wysiłku, gniewnie wyrwał

karabin z rąk młodzieńca i rzucił go w śnieg.

- W Zagrosie ja jestem prawem, a nie ty! Wracaj do wioski!

Przestraszony młody człowiek natychmiast usłuchał.

Mieszkańcy wioski czekali i patrzyli. Ponure spojrzenie Niczak-chana wędrowało od helikoptera do helikoptera. Były już daleko, ale ciągle w zasięgu strzelców, których rozmieścił wokół bazy. Mieli otworzyć ogień tylko na jego sygnał, tylko na sygnał. Jeden z mniejszych helikopterów przechylił się, zataczając krąg i nabierając wysokości tak szybko, jak to było możliwe. Żeby nas obserwować, pomyślał Niczak-chan, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Wedle woli Boga.

- Zestrzelenie latających maszyn jest niebezpieczne

- powiedziała wcześniej jego żona. - Może sprowadzić na nas nowe nieszczęście.

- To zrobią terroryści, a nie my. Młody pilot nas widział i znający farski pilot-kalandar o tym wie. Oni nie mogą się wymknąć. Terroryści nie znają litości, nie 171

dbaj, o prawo i porządek, &LL\$%** „ie ma? Czji te W™J°*J%% gknic naszych największy wróg, ten> kt0^ 8° w Przynajmniej ten

- Tak, tak, widziałem. Rewolucyj-

._ To był Ust zaadresowany do KomUetu ^

nego w Szirazie i jego kopia dla ~przez młode-w Dubaju za Wielkim Morzem. P°dPf0ypf'e dokład- go pilota i poświęcony przez« °^ zrobił nie, co wydarzyło się na placu w wiosce ^

komu, kto został zastrzelony i du mc^ zanim Opasek związano i wrzu^^ C^ Także to, jak runęła do Wąwozu Padłych WielWąow.

zamordowano Nasiriego ^^ słowo: mor-- Kłamstwa, same kłamstwa! co to derstwo? Tak się mówi o ^f^m obecności woli Boga - mówił ponuro ****°>*Thafta mieszkańców wioski, którzy J^KańSe^o Szacha, - Był znanym poplecznikiem ^fwgiekle.

z którym na pewno -I^ffjJ^Sy służący,

- Może tak, a może me. Mozę moj jj zamordowany tutaj przez tchórzhwycpach syn^, stanął

już przed Jedynym Bogiem, a Bog wic, * prawdę!

- On nie był muzułmaninem; nie służył islamowi..

- Ale był chrześcijaninem. Chrześcijanie służą Jeay-nemu Bogu, a członek mojego szczepu został zdradziecko zamordowany przez tchórzy, synów psów, którzy nie mieli odwagi wystąpić otwarcie. To przekłęci zjada-172

cze gówna i ludzie Lewej Ręki! To prawda, że on został zamordowany, tak jak inny chrześcijanin na terenie wierceń. Na Boga i Jego proroka! Ich śmierć będzie pomszczona!

Niczak-chan wzruszył ramionami.

- Terroryci - huknął, bardzo zaniepokojony.

- Terroryci to zrobili, oczywiście, że oni! A co do listu, to zawiera same kłamstwa, kłamstwa, pilot jest kłamcą. Wszyscy wiemy, co się wydarzyło w wiosce. Mówił same kłamstwa.

- Więc może list nie powinien zostać doręczony.

- Lochart bardzo starannie dobierał słowa. - Obrońcie mnie przed „terrorystami”, gdy będę odlatywał. Tylko ja mogę zapobiec doręczeniu listu. - Z mocno bijącym sercem patrzył, jak starzec wyjmuje papierosa i ważąc wszystkie za i przeciw, zapala go zapalniczką Jordona.

Lochart zastanawiał się znów, jak wziąć odwet za zamordowanie Jordona; ta część planu była jeszcze nie dopracowana, ale wszystkie inne sprawdziły się doskonale: odciążenie na bok zbyt czujnego Niczak-chana, schowanie Scota Gavallana w trumnie, którą wnieśli potem do 212 Jean-Luca, a owinięte całunem ciało Jordona schowali już wcześniej do długiej skrzyni po rotorach ogonowych i wnieśli do 212 Locharta. Potem list i równoczesny start trzech śmigłowców - wszystko dokładnie według planu.

Teraz nadszedł czas ostatniego posunięcia. Ayre w alouette zataczał w górze kręgi, daleko poza zasięgiem strzału.

- Salam, kalendarze, Bóg osądzi cię sprawiedliwie

- powiedział i ruszył w kierunku kokpitu.

- Ja nie panuję nad terrorystami! - Ponieważ Lochart nie zatrzymał się, Niczak-chan krzyknął

jeszcze głośniej: - Dlaczego miałbyś zapobiec doręczeniu tych kłamstw, co?

Lochart wsiadł do kokpitu. Chciałby już być daleko stąd; nienawidził tego miejsca i tego starca.

- Ponieważ, w obliczu Boga, ubolewam nad kłamstwem.

173

- W obliczu Boga! Czy przeszkodzisz w doręczeniu tych kłamstw?

- W obliczu Boga, dopilnuję, żeby ten list został spalony. Bóg osądzi ciebie, kalandarze, i Jazdek.

Wcisnął starter. Pierwszy silnik zapalił, a śmigło rozpoczęło powolne obroty. Następne przełączniki. Teraz chwycił też drugi silnik. Lochart przez cały czas obserwował starca. Zgnij w piekle, staruszkule, pomyślał, jesteś splamiony krwią Jordona i Gianniego. Jestem tego pewien, choć nie mam dowodów. Może będziesz splamiony także moją.

Chwila oczekiwania. Wszystkie wskaźniki na zielonym. W górę.

Niczak-chan zobaczył, że helikopter drgnął i uniósł się w powietrze. Starzec zawahał się, a potem powoli odwrócił i zaczął odchodzić. Tak łatwo byłoby unieść rękę, pomyślał. Tak szybko niewierny i ten wyjący potwór zamieniliby się w zwłoki uwięzione w spadającym na ziemię grobowcu. A co do listu? Kłamstwa, same kłamstwa.

Dwaj ludzie nie żyją? Wszyscy wiedzą, że to ich wina. Zapraszaliśmy ich tutaj? Nie, przybyli, żeby wykorzystywać naszą ziemię. Gdyby się tu nie pchali, żyliby jeszcze i oczekiwali na piekło, które na pewno jest ich przeznaczeniem.

80

Nie spuszczał z oczu powietrznej maszyny. Jest jeszcze dużo czasu. Palił powoli, dym sprawiał mu wielką przyjemność. Cieszyła go myśl, że może unicestwić tak wielką maszynę, podnosząc po prostu rękę. Ale nie podnosił. Pamiętał radę swojej kobiety. Zapalił od niedopałka następnego papierosa i zaciągnął się dymem; czekał cierpliwie. Wkrótce nienawistny dźwięk silnika zaczął dochodzić z oddali, zamierać. Zobaczył, że mniejsza maszyna przestała krążyć i także skierował się na południe i zachód.

Gdy dźwięki maszyn niewiernych na dobre ucichły, osądził, że spokój znów powrócił do Zagrosu.

- Spalcie bazę - powiedział.

Wkrótce płomienie strzeliły wysoko. Bez żalu rzucił zapalniczkę w ogień i poszedł do domu.

174

OKOLICE BAZY LOTNICZEJ W BANDAR DEJLAMBE, 9:16. W strumieniach ulewnego deszczu furgonetka Subaru ze znakiem Iran-Tody na drzwiczkach mknęła po drodze pełnej dołów i kałuż. Wycieraczki pracowały na najwyższym biegu; kierowcą był Irańczyk. Obok niego siedział przypięty pasami nieco przestraszony Scragger, a z tyłu Japończyk, mechanik radiowy, trzymał się, czego mógł.

Poprzez strugi deszczu Scragger zobaczył autobus blokujący więcej niż połowę drogi, a nieco dalej nadjeżdżający z przeciwka samochód.

- Minoru, powiedz mu, żeby zwolnił. Powtórz to jeszcze raz. Jemu brakuje piątej klepki.

Młody Japończyk nachylił się i powiedział coś ostro w farsi. Kierowca uprzejmie skinął głową i nie zareagował. Położył dłoń na klaksonie i trzymał ją tam, gdy 177

wjeżdżał na lewy pas ruchu, żeby wyprzedzić autobus. Zamiast zahamować, przyspieszył, wpadł w poślizg, odzyskał panowanie nad samochodem i ledwie zmieścił się w luce między autobusem a nadjeżdżającym samochodem; wszystkie trzy pojazdy przeraźliwie trąbiły.

Scragger zaklął. Kierowca, rozpromieniony młody mężczyzna z brodą, przestał zwracać uwagę na drogę i powiedział coś w farsi, rozbryzgując kołami wodę nagromadzoną w ogromnej dziurze w jezdni. Minoru przetłumaczył:

- On mówi, że z pomocą Boga będziemy za kilka minut na lotnisku, kapitanie Scragger.

- Jeśli Bóg pomoże, to dostaniemy się tam w jednym kawałku, a nie w pięćdziesięciu. -

Scragger wolałby sam prowadzić, ale nie było to dozwolone. Nikt z personelu Iran-Tody nie mógł sam prowadzić.

- Doszliśmy do wniosku, że przy takich drogach, przepisach i Irańczykach, to dobry pomysł, kapitanie Scragger - wyjaśnił Watanabe, dyżurny inżynier. - Mohammad jest jednym z naszych najlepszych kierowców i można na nim polegać. Do zobaczenia wieczorem.

Scragger odczuł ulgę, gdy zobaczył lotnisko. Bramy strzegli ludzie z Zielonych Opasek.

Kierowca nie zwrócił na nich uwagi; przemknął przez bramę i rozbryzgując wodę podjechał do piętrowego budynku biurowego.

- Allahu Akbar - powiedział z dumą. Scragger odetchnął.

- Allahu Akbar to jest to - stwierdził i odpiął pas, przygotowując parasol i rozglądając się na wszystkie strony; był tu po raz pierwszy. Duże przedpole płyty lotniska i mała wieża; niektóre okna wybite, inne zabite deskami. Opuszczony jednopiętrowy biurowiec z powybijanymi oknami, kontenery S-G, dobre hangary, teraz zamknięte z powodu burzy, podziurawione kulami tak samo jak kontenery. Gwizdnął, przypominając sobie informacje o bitwie stoczonej tu przez Zielone Opaski i mudzaheddinów. Musiało być znacznie gorzej, niż mówił Duke, pomyślał.

178

Dwa bliźniacze odrzutowce pasażerskie Royal Iran Air stały zaparkowane w przypadkowych miejscach; słowo „Royal” zamazano byle jak czarną farbą. Opony kapciowate, bez powietrza, okna

kokpitów powybijane; maszyny niszczały.

- Cholerne świętokradztwo - mruknął, widząc, że deszcz zalewa kokpity.

81

- Minoru, powiedz, mój synu, Mohammadowi, żeby nawet nie drgnął do czasu, gdy będziemy gotowi do odjazdu, dobra?

Minoru zrobił to, o co go poproszono, a potem wyszedł za Scraggerem na deszcz. Scragger zatrzymał się przy samochodzie, nie wiedząc, dokąd iść. Otworzyły się drzwi jednego z kontenerów.

- Mein Gott, Scrag! Wiedziałem, że to ty! Co tu, u diabła, robisz?

W drzwiach stał rozpromieniony Rudi Lutz. Scragger zobaczył, że dołącza do niego Starke i poczuł, że robi mu się weselej na duszy.

- Cześć, synki! - Serdecznie uściskał im dłonie; wszyscy trzej przez chwilę mówili jednocześnie. - Miła niespodzianka, Duke!

- Co tu, u diabła, robisz, Scrag?

- Wszystko po kolei, synu. To jest Minoru Fuyama, mechanik radyjko z Iran-Tody. Mój nadajnik po drodze nawalał; załatwiam pilny czarter z Lengeh. Minoru wymontował pudełko, jest w samochodzie. Możecie je wymienić?

- Bez problemu. Proszę za mną, panie Fuyama. Rudi wszedł do sąsiedniego kontenera, żeby poprosić o to Fowlera Joinesa.

- Cholernie się cieszę, że jesteś, Scrag. Jest masa rzeczy do omówienia - powiedział Starke.

- Problemy z pogodą i „wichrami”?

- Tak, tak. Powiedziałbym, że dużo myślałem o pogodzie.

Starke wyglądał staro, przebiegał wzrokiem bazę. Deszcz lał jeszcze bardziej niż przedtem; gorąca, lepka pogoda.

179

- Spotkałem w Asz Szargaz Manueleę, piękna jak obrazek. Niepokoi się, ale czuje się dobrze.

Rozchlapując nogami wodę z kałuż, powrócił Rudi. Zaprowadził ich do swego biura.

- Nie polecisz w tym całym bałaganie, Scrag. Piwo?

- Dzięki, stary, ale marzę o herbatce - odpowiedział odruchowo Scragger, choć jego marzenie o

piwie przybrało już monumentalne rozmiary. Od czasu pierwszego badania lekarskiego po sprzedaniu Gavallanowi Sheik Aviation był bardzo ostrożny. Doktor Nutt powiedział wtedy:

„Scrag, jeśli nie rzucisz palenia i nie ograniczysz piwa, za parę lat będziesz przykuty do ziemi”. Cholerna, aż zbyt prawdziwa prawda, pomyślał. Żadnych fajek, żadnej gorzały, żadnego jedzenia i żadnych dziewczynek. - Masz jeszcze dostawy, Rudi? W Lengeh robi się kiepsko, jeśli nie liczyć de Plesseya i jego wina.

- Dostałem trochę z tankowca, który cumuje w porcie - krzyknął Rudi z maleńkiej kuchni, gdzie stawał na gazie czajnik. - CASEVAC, marynarz z poharataną twarzą i głową. Kapitan powiedział, że on upadł, ale to wyglądało bardziej na niezłą bijatykę. Właściwie nie ma się czemu dziwić; przez trzy miesiące stali na kotwicy. Mein Gott, Scrag, widziałeś po drodze korek w porcie? Chyba ze sto statków czeka na rozładowanie albo załadowanie ropy.

- To samo na Chargu i całym wybrzeżu, Rudi. Wszędzie zapchane. Na nabrzeżach skrzynie, bele i Bóg wie co jeszcze pod samo niebo. Wszystko gnije na słońcu i deszczu. Ale nie mówmy już o tym. Co tu robisz, Duke?

- Przyproważyłem wczoraj 212 z Kowissu. A co do pogody, to musiałem wylecieć o świcie.

Dobrze, że nie widziałem.

Scragger wyczuł napięcie Rudiego i rozejrzał się wokoło. Nie zobaczył nikogo, kto mógłby podsłuchiwać. Starke Pokiwał głową - Rudi Co'esJ? C' 8ner' Scragger™™° & Wagnera.

180

- To tylko ostrożność, te cholerne ściany są za cienkie; złapałem już kogoś z personelu na podsłuchiwaniu. Chyba większość z nich szpieguje. Poza tym mamy nowego kierownika bazy, Numira. Nazywamy go „Brzydki Numi”. Dzisiaj go nie ma. Gdyby był, trzeba by było 82

się tłumaczyć, dlaczego jest nas trzech. - Rudi zniżył głos. - Musimy porozmawiać o Operacji. Ale co tu robisz, Scrag? Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Przyleciałem wczoraj do Iran-Tody. Czarter faceta nazwiskiem Kasigi, który jest wielkim kupcem ropy i szychą w Iran-Todzie. Imprezę załatwił stary Georges de Plessey. Dziś jestem, wracam jutro rano. Andy poprosił, żebym się z tobą zobaczył i wysondował. Wpadłem najszybciej, jak mogłem, w drodze tutaj nie udało mi się wywołać cię przez radio, może przez tę burzę. I tak dobrze, że doleciałem na czas. Nie dostałem zezwolenia na wpadnięcie tutaj, więc na wszelki wypadek wyrwałem drucik z urządzenia i potrzebowałem „pilnej naprawy”.

Andy powiedział ci, o czym gadaliśmy w Asz Szargaz?

- Tak, tak, powiedział. A ty pewnie nie wiesz, że nastąpiła drobna zmiana planów? Ktoś powiedział An-dy'emu, że nie będziemy mogli latać do czasu nacjonalizacji i że mamy tylko pięć dni, pięć pewnych dni. Jeśli mamy to zrobić, to najpóźniej w piątek.

- Jezu Chryste! - Scragger poczuł ucisk w piersiach. - Duke, nie dam rady przygotować się do piątku.

- Andy powiedział, że zabieramy tylko 212.

- Aha?

Starke wyjaśnił, co wydarzyło się w Kowissie i co powinno się wydarzyć - jeśli Andy naciśnie guzik.

- Zejdz już z tego. Nie „jeśli”, ale „kiedy”. Andy musi to zrobić. Chodzi o to, czy zaryzykujemy własnymi tyłkami?

Starke roześmiał się.

- Ty już to zrobiłeś. Ja powiedziałem, że wchodzę, jeśli wejdą wszyscy inni. Mam tylko dwa 212, więc mogę to zrobić, zwłaszcza teraz, kiedy dostaliśmy brytyjską rejestrację. Za granicą będziemy już legalni!

181

- Gównu będziemy - zauważył Rudi. - To nie jest legalne, tłumaczyłem ci już wczoraj, a Pop Kelly się z tym zgodził. Scrag, jak ty...

- Pop jest tutaj?

- Jasne - odparł Starke - przyleciał ze mną. - Wyjaśnił dlaczego i dodał: - Ważniak zatwierdził „pożyczkę”. Wysłaliśmy dwóch facetów na 125, a pozostali mają polecieć w czwartek, ale co do tego nie ma pewności. Pułkownik Czangiz powiedział, że w przyszłości wszystkie przesunięcia personelu będą zatwierdzane przez niego, a nie tylko przez Ważniaka.

- Jak wrócisz?

- Wezmę 206. - Starke wyjrzał przez okno, za którym szalała ulewa. - Cholerny front!

- Do wieczora przejdzie, Duke - oświadczył z pewnością siebie Scragger.

- Jak chcesz wywieźć swoich ludzi, Scrag? Hein?

- zapytał Rudi.

- Jeśli chodzi tylko o moje dwa 212, to pójdzie znacznie łatwiej. Znacznie. - Scragger zobaczył, jak Rudi pociągnął łyk zimnego piwa z cudnie oszronionej puszki i jego pragnienie wzrosło. - Piątek to dobry dzień na ten numer, bo Irańczycy będą na jakichś modlitwach czy gdzieś tam.

- Nie jestem tego pewien, Scrag - zauważył Rudi.

- Radar i tak zostanie obsadzony. Będą wiedzieli, że coś się dzieje, jak zobaczą moje cztery ptaszki pędzące nad zatoką, nie mówiąc o trzech twoich i dwóch Duke'a. Abadan cholernie uważa na helikoptery, zwłaszcza po tej aferze z HBC.

- Prowadzili jeszcze w tej sprawie jakieś dochodzenie, Rudi?

- Tak. W zeszłym tygodniu przyjechał Abbasi, ten pilot, który go zestrzelił. Te same pytania; nic nowego.

- Już wie, że pilotem HBC był jego brat?

- Jeszcze nie, Scrag.

83

- Tom Lochart miał cholerne szczęście. Cholerne. -My wszyscy mamy „cholerne szczęście”. Jak dotąd - powiedział Starke. - Poza Erikkim. - Zako-

182

munikował Scraggerowi skąpe najnowsze wiadomości.

- Jezu, kto następny? Jak możemy przeprowadzić

Operację, kiedy Erikki zostaje w Iranie?

- Nie możemy, Scrag, tak uważam - oświadczył Rudi. - Nie możemy go zostawić.

- Racja, ale może... - Starke pociągnął łyk kawy; niepokój sprawiał, że zrobił się odrobinę zgorzkniały. - Może Andy nie naciśnie guzika. Na razie miejmy nadzieję, że przed piątkiem Erikki się wyrwie albo go puszczą. Wtedy Andy może naciskać. Gówno. Gdyby to zależało tylko ode mnie, prędzej by mnie szlag trafił, niż zaryzykowałbym Whirlwind.

- Mnie też. - Rudi również się denerwował.

- Założę się, że zrobiłbyś to, gdyby chodziło o twoje maszyny, twoją firmę i twoją przyszłość. Wiem, że tak. - Scragger uśmiechnął się promiennie. - Ja jestem za Operacją.

Muszę być, staruszk, bo żadna cholerna spółka nie zatrudni mnie z powodu wieku. Muszę cholernie mocno trzymać się „Brudnego” Duncana i An-dy'ego Gavallanów, jeśli mam latać. -

Pokrywka czajnika zaklekotała. - Ja to zrobię, Rudi. Co z tobą?

Wchodzisz, czy nie?

- Wchodzę, jeśli wy dwaj wchodzicie i jeśli to wszystko jest w ogóle możliwe, ale wcale mi się to

nie podoba. Mówię jasno: wyprowadzę swoje cztery maszyny tylko wtedy, kiedy naprawdę uwierzę, że mamy szansę. Wczoraj rozmawialiśmy z innymi pilotami, Scrag.

Marc Dubois i Pop Kelly powiedzieli, że lecą, a Błock i Forsyth, że dziękują. To znaczy dziękują, ale nie. Mamy więc trzech pilotów do czterech 212. Poprosiłem Andy'ego, żeby mi przysłał jakiegoś ochotnika. - Twarz Rudiego zdradzała jego niepokój. - Ale reissen mii scheissen. Mam cztery maszyny, które muszą znaleźć się jednocześnie w powietrzu, a potrzebujemy zezwoleń na starty, w bazie pełno Zielonych Opasek, nasz operator radiowy Dżahan nie jest idiotą i jeszcze „Brzydki Numi” na karku... - Uniósł brwi.

183

- Co za problem, stary palancie - rzucił lekkim tonem Scragger. - Powiedz im, że chcesz uczcić zwycięstwo Chomeiniego, przelatując nad Abadanem!

- Pocałuj się w dupę, Scrag! - Muzyka ucichła. Rudi odwrócił kasetę. Jego twarz przybrała wyraz zaciętości. - Ale masz rację. Andy naciśnie guzik, a odpowiedź na pytanie „kiedy”

brzmi: w piątek. Co do mnie, jeśli jeden z nas się wycofa, wycofujemy się wszyscy. Zgoda?

Ciszę przerwał Scragger.

- Jeśli Andy powie: ruszać, to ja ruszam. Muszę.

PORT BANDAR DEJLAM, 15:17. Furgonetka Scraggera skręciła z głównej ulicy rozrzuconego szeroko, hałaśliwego miasteczka w mniejszą uliczkę, przejechała kawałek, wjechała na plac przed meczetem. Mohammad prowadził, jak zwykle, nie zdejmując ręki z klaksonu. Deszcz zelżał, lecz pogoda nadal była podła. Minoru drzemał na tylnym siedzeniu, tuląc w objęciach wymieniony aparat radiowy. Scragger wyglądał przez okno, zatopiony w myślach o planach, kodach i... co z Erikkim? Biedny stary skurczybyk! Ale jeśli komukolwiek by się udało, to właśnie jemu. Na Boga, stary Erikki jakoś to zrobi. A jeśli nie albo jeśli Andy zrezygnuje, jaką robotę będę mógł sobie załatwić? Pomartwię się o to w przyszłym tygodniu.

Nie zauważył samochodu policyjnego, który wypadł zza zakrętu, wpadł w poślizg na oblodzonej nawierzchni i rąbnął w bok ich furgonetki. Mohammad nie miał najmniejszej szansy uniknięcia wypadku, a szybkość wozu policyjnego dodana do ich własnej rzuciła pojazd w poprzek drogi, potem na uliczny stragan i w tłum. Furgonetka zabiła jakąś staruszkę, 84

innej oberwała głowę i poraniła wielu dalszych przechodniów, gdy koła zatrzymały się w rowie, a samochód okręcił się i z trzaskiem rąbnął w mur.

ostatn\8uderzemenkt°Wnie °sł°nił tWafZ dł°ńmi' ale ściankę, tracąc na ^wile*0' ^ fąbnął gł

°Wą W boczną

pas zapobiegł prawdaw^0^."?0010 zapięty

przebił głową przednią szybę; ciężko ranny wystawał do połowy ciała na zewnątrz. Z tyłu pasy ochroniły Minoru, który pierwszy doszedł do siebie, trzymając nadal na kolanach radio.

Wśród krzyków i w zamieszaniu, jakie zapanowało, udało mu się otworzyć drzwi i wyczołgać na zewnątrz. Przechodnie i ranni nie zorientowali się, że był pasażerem; Japończycy z Iran-Tody byli tu na ulicach zwykłym widokiem.

Po chwili załoga radiowozu, który obrócił się i stanął niemal w poprzek drogi, prezentując strzaskaną maskę, wyskoczyła na ulicę. Policjanci utorowali sobie drogę do furgonetki, obrzucili wzrokiem kierowcę, a potem otworzyli drzwiczki i wyciągnęli Scaggera.

Rozległy się gniewne okrzyki:

- Amerykanin!

Nadal na wpół ogłuszony Scagger wyjąkał:

- Dzię... dziękuję, nic... nic mi nie jest...

Ale wciąż trzymali go mocno i krzyczeli na niego.

- Na rany Chrystusa... - wydyszał. - Ja nie prowadziłem... co się, do cholery, dzieje...

Wokół niego powstał tumult, rozległy się gniewne okrzyki w farsi. Jeden z policjantów założył Scaggerowi kajdanki. Zaciągnęli go do radiowozu, rzucili na tylne siedzenie i wsiedli, obrzucając go wyzwiskami. Kierowca

włączył silnik.

Minoru bezskutecznie próbował przepchnąć się przez tłum, żeby pomóc Scaggerowi.

Wreszcie zaprzestał jałowych wysiłków. Samochód odjechał.

NIEDALEKO DOSZAN TAPPEH, 15:30. NcIver

prowadził samochód po pustej obwodnicy, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, chroniącego lotnisko wojskowe. Samochód miał powyginane zderzaki i liczne wgniecenia w karoserii. Zbite szkło reflektora posklejał jakoś taśmą, brakowało klosza tylnego światła pozycyjnego, ale silnik pracował równo, a opony smezne trzymały się dobrze nawierzchni. Po obu stronach drogi piętrzyły się zasy. Żaden promyk-słońca nie przedostawał się przez pokrywę chmur, które zawisły zaledwie trzysta sześćdziesiąt metrów nad ziemią i zasłaniały góry na północy. Było zimno, a on był już bardzo spóźniony.

Po wewnętrznej stronie przedniej szyby zatknął dużą zieloną przepustkę; widząc ją, pstra grupa Zielonych Opasek i wartowników bazy przepuściła samochód 186

przez bramę i powróciła do ogniska, przy którym się grzała. NcIver ruszył w kierunku hangaru S-G. Zanim dojechał, przez boczne drzwi hangaru wyszedł mu na spotkanie Tom Lochart.

- Cześć, Mac - rzucił i szybko wsiadł do samochodu. Miał na sobie lotniczy kombinezon, a w ręku lotniczą torbę; właśnie przyleciał z Kowissu. - Co z Szahrazad?

- Przepraszam, że tak późno; straszny ruch na ulicach.

- Widziałeś się z nią?

- Nie, jeszcze nie. Przepraszam. - Spostrzegł napięcie Locharta. - Dziś rano znowu tam byłem. Drzwi otworzył służący, ale wyglądało na to, że nie zna angielskiego. Zawiozę cię tam, gdy tylko będę mógł. - Zwolnił sprzęgło i ruszył w stronę bramy. - Jak było w Zagrosie?

85

- Parszywie, zaraz ci opowiem - rzucił pośpiesznie Lochart. - Zanim odjedziemy, musimy się zgłosić do

komendanta bazy.

- Co? Dlaczego? - NcIver wcisnął pedał hamulca.

- Nie powiedzieli. Zostawili urzędnikowi wiadomość, że jak tylko przyjedziesz, masz się zgłosić do komendanta. Jakież problemy?

- W każdym razie nic o nich nie wiem. - Zawrócił. Co teraz? - pomyślał, skrywając niepokój.

- Może chodzi o HBC?

- Miejmy nadzieję, że nie.

- Co się stało z Lulu? - Zrzucili na nią bombę?

- Nie, to tylko jacyś wandalie - odparł NcIver, zaprzątnięty myślami o HBC.

- Jest gorzej z każdym dniem. Masz jakieś wieści

o Erikkim?

- Nic. Po prostu zniknął. Azadeh siedzi ciągle w biurze przy telefonie.

- Nadal mieszka u ciebie?

- Nie, w sobotę wróciła do siebie. - NcIver zmierzał do budynków po drugiej stronie pasa

startowego.

- Opowiedz mi o Zagrosie. - Słuchał, nie komentując, 187

dopóki Lochart nie skończył. - To straszne, po prostu straszne!

- Tak, ale Niczak-chan w końcu nie dał sygnału i nie kazał nas zestrzelić. Gdyby to zrobił, uszłoby mu to na sucho. Byłoby cholernie trudno zakwestionować opowieść o „terrorystach”.

W każdym razie, kiedy dotarliśmy do Kowissu, Duke i Andy mieli awanturę z Ważniakiem. -

Lochart opowiedział o tym wydarzeniu. - Ale podstęp chyba się udał; wczoraj Duke i Pop odstawili 212 do Rudiego, a dziś rano Echo Tango Lima Lima przyleciał po ciało Jordona.

- Straszne. Czuję się bardzo odpowiedzialny za starego Effera.

- Chyba wszyscy się czujemy. - Przed nimi wyłonił się budynek dowództwa, strzeżony przez wartowników. - Wszyscy odprowadziliśmy trumnę na pokład, a młody Freddy zagrał coś żałobnego na kobzie. Niewiele więcej mogliśmy zrobić. O dziwo, pułkownik Czangiz wysłał

honorowy oddział lotników i dał nam odpowiednią trumnę. Irańczycy są tacy dziwni.

Wyglądało na to, że są szczerze zmartwieni.

Lochart mówił automatycznie, denerwując się z powodu opóźnienia. Najpierw oczekiwanie w Kowissie, potem lot i szykany kontroli ruchu, potem brak środka transportu i długie oczekiwanie na NcIvera, a teraz kolejna przeszkoda. Co się stało z Szahrazad?

Dotarli do biurowca, w którym mieściły się pokoje komendanta i kasyno oficerskie. Spędzili tu kiedyś wiele miłych chwil. Doszan Tappeh było bazą elitarną. Nawet Szach trzymał tu część swojej prywatnej floty odrzutowców i swój fokker friendship. Teraz ściany piętrowego budynku nosiły wszędzie ślady kul, a gdzieś tam naruszyły je pociski artyleryjskie; większość szyb wybita, niektóre okna zabite deskami. Na zewnątrz kilku ludzi z Zielonych Opasek i niechlujnych żołnierzy z bazy opierało się niedbale o ściany obok wartowników.

- Pokój z wami! Ekscelencje NcIver i Lochart do komendanta bazy - powiedział NcIver w farsy. Jeden

188

Wk*"-^

z Zielonych Opasek wskazał gestem wejście. - Przepraszam, gdzie jest biuro?

- W środku.

Weszli po kilku stopniach do głównych drzwi. W powietrzu unosił się ciężki zapach spalenizny,

kordytu i zawartości rur kanalizacyjnych. Gdy stanęli na ostatnim stopniu, gwałtownie otworzyły się drzwi, przez które wyszli jakiś mułła i kilku ludzi z zielonymi 86

opaskami. Prowadzili dwóch młodych oficerów lotnictwa, którzy mieli związane ręce, brudne i podarte mundury. Lochart rozpoznał jednego z nich i wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Karim! - krzyknął.

Teraz NcIver też go rozpoznał. Karim Peszadi, ukochany kuzyn Szahrazad, człowiek, którego poprosił, żeby wydobył z wieży zezwolenie HBC.

- Tom! W imieniu Boga, powiedz im, że nie jestem szpiegiem ani zdrajcą - krzyknął Karim po angielsku.

- Tom, powiedz im!

- Ekscelencjo - Lochart zwrócił się w farsi do mułły.

- To na pewno jakaś pomyłka. Ten człowiek to kapitan pilot Peszadi, lojalny sługa Ajatollaha...

- Kim pan jest, ekscelencjo? - zapytał niski i gruby mułła o czarnych oczach. - Amerykanin?

- Nazywam się Lochart, ekscelencjo. Jestem Kanadyjczykiem, pilotem IranOil, a to jest kapitan NcIver, który kieruje pracami naszej firmy...

- Skąd pan zna tego zdrajcę?

- Ekscelencjo, jestem pewien, że to pomyłka, on nie może być zdrajcą. Znam go, gdyż jest kuzynem mojej żony i...

- Pańska żona jest Iranką?

- Tak, ekscel...

- Czy jest pan muzułmaninem?

- Nie, ekscel...

- Lepiej więc będzie, jeśli się rozwiedzie i w ten sposób uchroni swą duszę przed brudem.

Wedle woli Boga. Z tymi zdrajcami to nie pomyłka. Niech pan lepiej pilnuje swoich spraw, ekscelencjo.

189

Mułła skinął na swoich ludzi. Natychmiast ruszyli w dół po schodach, na wpół podtrzymując, na wpół wlokąc dwóch młodych oficerów, którzy protestowali i krzyczeli, że są niewinni.

Potem odwrócił się w kierunku drzwi.

- Ekscelencjo - krzyknął nagle Lochart, łapiąc go za rękaw. - Proszę, w imieniu jedyne Boga. Wiem, że ten młody człowiek jest lojalny wobec imama, jest dobrym muzułmaninem i patriotą irańskim. Jest jednym z tych, którzy tu, w Doszan Tappeh walczyli z nieśmiertelnymi i pomogli rewolucji...

- Dość! - Mułła rzucił jeszcze twardsze niż dotąd spojrzenie. - To nie twoja sprawa, cudzoziemcze. Już nie rządzą nami cudzoziemcy ani cudzoziemskie prawa, ani podporządkowany zagranicy Szach. Nie jesteś ani Irańczykiem, ani sędzią, ani prawodawcą.

Ci ludzie zostali już osądzeni.

- Błagam o pańską cierpliwość, ekscelencjo. To musi być jakaś pomyłka, to musi...

Lochart okręcił się na pięcie, słysząc huk salwy karabinowej. Wartownicy patrzyli w stronę baraków i zabudowań, których Lochart ze szczytu schodów nie mógł zobaczyć. Potem zza baraków wyłonił się ludzie z Zielonych Opasek. Idąc, zarzucali na plecy broń. Podeszli do schodów, a mułła kazał im wejść do środka.

- Prawo jest prawem - powiedział mułła, patrząc na Locharta. - Trzeba usunąć herezję.

Ponieważ znasz jego rodzinę, możesz im powiedzieć, żeby błagali Boga o przebaczenie za wychowanie takiego syna.

- Co on rzekomo zrobił?

- Nie „rzekomo”, ekscelencjo - odparł mułła z nutą gniewu w głosie. - Karim Peszadi przyznał się otwarcie do tego, że ukradł ciężarówkę i wyjechał bez zezwolenia z bazy, przyznał się, że dołączył do zakazanej demonstracji, otwarcie sprzeciwiał się ustanowieniu państwa absolutnie islamskiego, otwarcie sprzeciwiał się uchynieniu antyislamskiego prawa małżeńskiego, otwarcie bronił czynów sprzecznych z prawem islamu, jest podejrzany-87

190

ny o akt sabotażu, otwarcie zakwestionował aboslut-ność Koranu, otwarcie sprzeciwiał się prawu imama do bycia fakihem, to znaczy tym, który stoi ponad prawem i jest ostatecznym autorytetem prawnym. - Owinął się ciasniej burnusem, szukając ochrony przed zimnem.

- Pokój z tobą.

Zniknął za drzwiami budynku. Lochartowi na chwilę odebrało głos. Potem wyjaśnił

McIverowi, co usłyszał.

- „Podejrzany o akt sabotażu”, Tom? Nakryli go w wieży?

- Co za różnica? - rzucił gorzko Lochart. - Karim jest martwy. Za zbrodnie przeciwko Bogu.

- Nie, chłopcze - powiedział łagodnie NcIver. - Nie przeciwko Bogu, tylko przeciwko ich wersji prawdy przedstawianej w imieniu Boga, którego nigdy nie poznają.

Wyprostował się i wszedł pierwszy do budynku. Znaleźli biuro komendanta bazy i zostali wprowadzeni do środka.

Za biurkiem siedział major, obok niego mułła. Na ścianie za nimi wisiała duża fotografia Chomeiniego, która stanowiła jedyną dekorację małego, nie sprzątanego pokoju.

- Jestem major Betami, panie NcIver - rozpoczął energicznie wojskowy w języku angielskim.

- A to mułła Tehrani. - Spojrzał na Locharta i przeszedł na farsi.

- Ponieważ Jego Ekscelencja Tehrani nie zna angielskiego, będzie pan tłumaczył. Jak się pan nazywa?

- Lochart, kapitan Lochart.

- Proszę usiąść. Jego Ekscelencja mówi, że ma pan żonę Iranck. Jak brzmi jej panięskie nazwisko?

Lochart rzucił twarde spojrzenie.

- To są moje prywatne sprawy, ekscelencjo.

- Nie w wypadku cudzoziemskiego pilota helikopterowego, w samym środku islamskiej rewolucji, skierowanej przeciwko zagranicznej dominacji - wyrzucił z siebie ze złością major

- ani nie w wypadku kogoś, kto zna zdrajców. Czy ma pan coś do ukrycia, kapitanie?

191

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Czy jest pan policjantem? Jakim prawem...

- Ja jestem członkiem komitetu Doszan Tappeh. Woli pan, żebyśmy wezwali pana oficjalnie?

Teraz? W tej chwili? - wtrącił się mułła.

- Wolę nie być przesłuchiwany w kwestiach mojego życia prywatnego.

- Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, może pan odpowiedzieć na pytanie. Wybór należy do pana.

- Bakrawan.

Lochart zobaczył, że przed oboma przedstawicielami władz leży lista nazwisk. Zwiększyło to jego niepokój.

- Dzared Bakrawan, lichwiarz z bazaru? To jedna z jego córek?

- Tak.

- Jak ma na imię?

Lochart powściągnął zaślepiający go gniew, który rozjątrzała jeszcze myśl o morderstwie dokonanym na Kadmie. To morderstwo, miał ochotę krzyknąć, niezależnie od tego, co o tym mówicie.

- Jej Ekscelencja Szahrazad. NcIver spojrzał z uwagą.

- O co tu chodzi, Tom?

- Nieważne, powiem ci później. Major zapisał coś na kartce.

- W jaki sposób jest pan związany ze zdrajcą Kari-mem Peszadim?

88

- Znałem go mniej więcej od dwóch lat; był jednym z pilotów, których szkoliłem. Jest... był

kuzynem mojej żony. Mogę tylko powtórzyć, że to wprost nie do wiary, żeby miał zdradzić Iran czy islam.

Major znów coś zanotował; pióro głośno skrzypiało.

- Gdzie pan mieszka, kapitanie?

- Ja... właściwie nie wiem. Mieszkałem w dornu Bakrawana koło bazaru. Nasze... nasze mieszkanie zostało zajęte.

192

W pokoju zapanowała cisza, potęgując wrażenie klaustrofobii. Major skończył pisać, znalazł coś w notatkach i spojrzał na NcIvera.

- Po pierwsze, żaden helikopter nie może przekroczyć przestrzeni powietrznej Teheranu bez zezwolenia dowództwa lotnictwa wojskowego.

Lochart przetłumaczył, a NcIver bez przekonania skinął głową. Nie było to właściwie nic nowego, choć komitet lotniska międzynarodowego w Teheranie wydał już pisemne instrukcje w imieniu potężnego Komitetu Rewolucyjnego. Według nich tylko komitet mógł wydawać tego rodzaju zezwolenia. NcIver uzyskał już takie zezwolenie na „czasowe” wysłanie pozostałych 212 i jednej

alouette do Kowissu. W samą porę, pomyślał ponuro, koncentrując uwagę na majorze i myśląc jednocześnie, o co chodziło w ostrej wymianie zdań prowadzonej w farsji.

- Po drugie, chcemy otrzymać kompletny spis wszystkich helikopterów, którymi obecnie dysponujecie, z zaznaczeniem, gdzie stacjonują, z podaniem numerów silników oraz ilości i typów części zamiennych do każdego z nich.

Lochart zobaczył, że oczy NcIvera otwierają się coraz szerzej. Jego własne myśli zajęte były Szahrazad i tym, dlaczego oni chcą wiedzieć, gdzie mieszka i co ma wspólnego z Karimem.

Nie zwracał uwagi na słowa, które tłumaczył.

- Kapitan NcIver powiedział: „Doskonale. To zajmie trochę czasu z powodu kłopotów z łącznością, ale dostarczę listę, gdy tylko ją skompletuję”.

- Chciałbym dostać ją jutro.

- Może pan być pewien, ekscelencjo, że jeśli uda mi się do jutra, będzie ją pan miał. Dostanie ją pan, gdy tylko będzie to możliwe.

- Po trzecie, wszystkie wasze śmigłowce z Teheranu zostaną zgromadzone tutaj i od jutra będą startowały tylko stąd.

- Niezwłocznie przedstawię moim zwierzchnikom z IranOil pańską prośbę, majorze.

193

Major rzucił twarde spojrzenie.

- Zdecydują o tym siły powietrzne.

- Oczywiście. Natychmiast powiadomię zwierzchników. Czy to wszystko, panie majorze?

- Jeszcze sprawa helikoptera. - Zajrzał do notatek leżących przed nim na biurku. - HBC.

Chcemy... - odezwał się muła.

- HBC! - NcIver pozwolił, aby jego strach przekształcił się w wybuch świętego oburzenia, które Lochart z trudem podzielał. -- Za bezpieczeństwo w bazie odpowiada lotnictwo wojskowe i nie wiem, jak można było być tak niedbałym, żeby dopuścić do porwania HBC!

Już sto razy skarżyłem się na niedbalstwo wartowników. Patrole nie chodzą, w nocy żadnych posterunków! Skradziono maszynę kosztującą milion dolarów! To niepowetowana strata!

Wniosę powództwo przeciwko lotnictwu wojskowemu, zarzucając niedba-

łość...

- To nie była nasza wina - zaczął ze złością major, lecz NcIver nie zwrócił na to uwagi i kontynuował swój atak, nie dopuszczając majora do słowa. Pomagał mu Lochart, który tłumaczył tyradę NcIvera, dobierając irańskie słowa i wyrażenia, które jeszcze bardziej oskarżały wiarołomne lotnictwo.

89

- ...nieprawdopodobne zaniedbanie, powiedziałbym nawet, że rozmyślna zdrada i zmowa innych oficerów. Jakiś obcy Amerykanin wszedł do naszego hangaru, pod samym nosem rzekomych wartowników, dostał zezwolenie na start od tych, którzy mają nas niby chronić, a potem wyrządził szkodę wielkiemu państwu Iran! Niewybaczalne! To musiała być zmowa

„nieznanych osób w stopniu oficerów"! Muszę natychmiast...

- Jak pan śmie sugerować, że...

- To musiała być zmowa oficerów lotnictwa! Kto kontroluje bazę? Kto ma kontrolę w eterze, kto siedzi w wieży? Twierdzimy, że to lotnictwo wojskowe ponosi odpowiedzialność!

Wniosę skargę do najwyższych czynników w IranOil i będę domagał się odszkodowania i...

194

i w przyszłym tygodniu zwrócę się o odszkodowanie do samego Komitetu Rewolucyjnego i do samego imama, niech Bóg ma go w swojej opiece! A teraz, ekscelencjo, za pańskim pozwoleniem pójdziemy już, żeby zająć się własnymi sprawami. Pokój z panem!

NcIver ruszył do drzwi, za nim szedł Lochart; ich organizmy wydzielały bardzo dużo adrenaliny. NcIver czuł się bardzo źle, kłuło go w piersi.

- Chwileczkę! - powiedział mułła.

- Tak, ekscelencjo?

- Jak możecie wyjaśnić to, że zdrajca Walik, który „przypadkiem” jest członkiem waszej spółki oraz krewnym lichwiarza i zwolennika Szacha, Bakrawana, przyleciał do Isfahanu tym helikopterem, żeby zabrać innych zdrajców, z których jednym był generał Seladi, inny krewny Dżareda Bakrawana, teścia jednego z waszych starszych pilotów?

Lochart słuchał tych ponurych słów z wyschniętymi ustami, ale NcIver nie zawahał się i znów zaatakował:

- To nie ja wprowadziłem generała Walika do naszego zarządu; zrobili to wysoko postawieni Irańczycy, zgodnie z obowiązującym wówczas prawem. My nie chcieliśmy wchodzić w spółkę z Irańczykami; zmusiło nas do tego irańskie prawo. To zostało na nas wymuszone i nie ma nic wspólnego ze mną. A co do reszty: In sza'a Allah, wola Boga! - Z bijącym sercem otworzył drzwi i wyszedł. Lochart zakończył tłumaczenie. - Sa-lam. - Wszedł za nim.

- Jeszcze o tej sprawie usłyszycie! - krzyknął za nim major.

OKOLICE UNIWERSYTETU, 18:07. Leżeli obok siebie na miękkich dywanach przed kominkiem, na którym wesoło płonęły drwa, ogrzewając przytulny pokój. Szahrazad i Ibrahim Kijabi. Nie dotykali się; patrzyli tylko w ogień, słuchali dobrej, nowoczesnej muzyki z magnetofonu kasetowego, zatopieni w myślach, aż za bardzo wzajemnie świadomi siebie samych.

195

- O ty, która jesteś podarunkiem wszechświata - wyszeptał. - O ty, o rubinowych ustach i oddechu kwiatów. O ty, języku niebios...

- Och, Ibrahimie - roześmiała się. - Co to jest

Język niebios"?

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry, błogosławiąc los, który pozwolił mu ocalić ją przed oszalałym fanatykiem podczas demonstracji kobiet, ten sam dobry los, który zaprowadzi go wkrótce do Kowissu, żeby mógł pomścić śmierć ojca.

- Cytowałem Rubajaty - wyjaśnił, uśmiechając się

do niej.

- Nie wierzę w ani jedno słowo! Po prostu chcesz mi

zrobić przyjemność!

Odwzajemniła uśmiech, a potem zasłoniła oczy przed żarem jego miłości, zwracając spojrzenie na dogasające drwa.

Po pierwszym marszu protestacyjnym, który odbył się sześć dni wcześniej, do późnej nocy rozmawiali ze sobą o rewolucji i odkryli wspólnotę losu: ojcowie obojga zostali 90

zamordowani. Oboje byli teraz dziećmi samotności, dziećmi nie rozumiejących ich matek, które tylko łkały, powtarzały In sza'a Allah i nie pragnęły zemsty. Życie obojga odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, tak jak dzieje ich kraju. Ibrahim nie był już wiernym; wierzył tylko w siłę i mądrość ludu. Jej wiara doznała wstrząsu; po raz pierwszy ją kwestionowała, zastanawiając się, jak Bóg mógł dopuścić do takiego zła i wszelkiego innego zła, które nadeszło - znieprawienia

kraju i jego ducha.

- Zgoda, Ibrahimie, masz rację. Nie po to uwolniliśmy się od jednego despoty, żeby poddać się drugiemu! Masz rację, despotyzm mułłów staje się z każdym dniem coraz wyraźniejszy -

powiedziała wtedy. - Ale dlaczego ^homeuu sprzeciwia się prawom, które nadał nam fczach, rozsądnym prawom'

samo jak z twoim ciałem, które jest twoje i nie jest „polem do zaorania”.

- Ale dlaczego imam jest temu przeciwny?

- On nie jest imamem, Szahrazad. Jest tylko ajatollahem, człowiekiem i fanatykiem. Robi to, co zawsze w historii robili kapłani: wykorzystuje swoją wersję religii, żeby wprowadzać ludzi w nieświadomość, żeby trzymać ich w stanie zależności, w ciemnocie, żeby zapewnić mułom władzę. Czyż nie chce, żeby tylko mułowie zajmowali się nauką? Czyż nie twierdzi, że tylko mułowie rozumieją „prawo”, studiują „prawo”, znają „prawo”? Tak jakby oni byli właścicielami całej wiedzy!

- Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. Tak bardzo mu wierzyłam, tak bardzo. Ale masz rację, Ibrahimie, bardzo wiele mi wyjaśniłeś. Masz rację, mułowie wierzą tylko w to, co jest w Koranie, tak jakby to, co było prawdą w czasach proroka, niech odpoczywa w pokoju, musiało pozostać prawdą do dziś! Nie chcę być tylko składnikiem majątku mężczyzny, bez prawa głosu i prawa dokonywania wyboru...

Odnajdywali w sobie tak wiele łączących ich przemyśleń: on, nowoczesny człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, ona, która chciała być nowoczesna, nie była jednak pewna obranej przez siebie drogi. Dzielili ze sobą tajemnice i tęsknoty, rozumieli się świetnie, gdyż posługiwali się tymi samymi odcieniami znaczeń, należącymi do ich wspólnego dziedzictwa.

Tak bardzo przypominał Karima wyglądem i sposobem mówienia, że mogliby być braćmi.

Tamtej nocy zasnęła błogim snem, a następnego ranka wcześniej wymknęła się z domu, żeby znów go spotkać. Pili kawę w maleńkiej kawiarence, ona w cza-dorze, który zapewniał

bezpieczeństwo i anonimowość. Ciągle wybuchali śmiechem, bez powodu albo z błahych powodów, od czasu do czasu poważnieli. Oboje rozumieli wszystkie ukryte znaczenia; nie było potrzeby ich artykułowania. Potem drugi marsz protestacyj-197

ny, większy niż pierwszy, lepszy i napotykaający mniej oponentów.

- Kiedy musisz wrócić, Szahrazad?

- Ja... Powiedziałam matce, że wrócę późno, że odwiedzę przyjaciółkę, która mieszka na drugim końcu

miasta.

- Zawiozę cię tam teraz, szybko, a ty możesz wyjść szybko, i potem, jeśli chcesz, możemy jeszcze porozmawiać. Albo jeszcze lepiej: mam przyjaciela, który ma mieszkanie i świetne nagrania...

Tak było pięć dni wcześniej. Czasami przyjaciel, także przywódca studencki Tude, był w domu, czasem inni studenci, młodzi mężczyźni i kobiety, nie tylko komuniści. Nowe pomysły,

nieskrępowana wymiana myśli, radykalne idee życia, miłości i wolności. Niekiedy zostawali w mieszkaniu sami. Niebiańskie dni: udział w demonstracjach, rozmowy, śmiech, słuchanie płyt i przepojone spokojem noce w domu koło bazaru.

91

Wczoraj zwycięstwo. Chomeini zmiękł i oświadczył publicznie, że nie można zmuszać kobiet do noszenia czadorów, pod warunkiem, że zasłaniają włosy i ubierają się skromnie.

Wieczorem uczcili zwycięstwo, tańcząc w mieszkaniu i obejmując się, sami młodzi ludzie.

Potem rozeszli się. Lecz w nocy śniło się jej, że są razem, ona i on. Sen był erotyczny.

Rankiem czuła, że się boi, ale jest podniecona.

Kaseta dobiegła końca. Nagranie Carpenters, wolne, romantyczne. Odwrócił ją, a druga strona była jeszcze lepsza. Czy się ośmielę? - pomyślała z rozmarzeniem, czując na sobie jego wzrok. Przez szczelinę zasłony widziała, że niebo robi się ciemne.

- Niedługo trzeba będzie pójść - powiedziała z napięciem w głosie, nie ruszając się z miejsca.

- Dżari może poczekać - odparł głosem przepelnionym czułością. Dżari, jej pokojówka, była wtajemniczona w te sekretne spotkania. - Lepiej, żeby nikt nie wiedział - zauważył drugiego dnia. - Nawet ona.

- Ona musi wiedzieć, Ibrahimie. Inaczej nie będę mogła nigdy wyjść sama, nie będę mogła się z tobą

198

spotkać. Nie mam nic do ukrycia, jestem jednak zamężna, a to jest... - Nie trzeba było dopowiadać: niebezpieczne.

Każda chwila spędzana przez nich sam na sam zwiększała niebezpieczeństwo.

Tak więc wzruszyła tylko ramionami i oddała się losowi w opiekę.

- Dżari może poczekać.

- Tak, może, ale musimy jeszcze coś przygotować, a mój kochany brat, Meszang, nie...

muszę dziś zjeść kolację z nim i Zarah.

Ibrahim zaniepokoił się.

- Czego on chce? Chyba cię nie podejrzewa?

- Och, nie, to tylko sprawy rodzinne, tylko to.

- Obrzuciła go leniwym, rozmarzonym spojrzeniem.

- Co z twoimi sprawami w Kowissie? Zostaniesz tu jeszcze, czy jedziesz jutro?

- To nie takie pilne - rzucił niedbale.

Ciągle odwlekał wyjazd, choć jego kontroler z Tude powiedział, że każdy kolejny dzień w Teheranie zwiększa niebezpieczeństwo. „Zapomniałeś, co się przytrafiło towarzyszowi Jazernowowi? Dowiedzieliśmy się, że miał z tym coś wspólnego Wywiad Wewnętrzny!

Musieli cię widzieć, gdy wchodziłeś z nim do budynku albo kiedy uciekaliście”.

„Zgoliłem brodę, nie wróciłem do domu i unikam uniwersytetu. Przy okazji, towarzyszu, lepiej nie spotykajmy się przez jeden dzień czy dwa dni. Chyba ktoś mnie śledzi”.

Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie skwap-liwości, z jaką ten człowiek, od dawna związany z Tude, zniknął za rogiem ulicy.

- Dlaczego się uśmiechasz, kochanie?

- Nieważne. Kocham cię, Szahrazad - powiedział po prostu, całując ją i dotykając jej piersi.

Poddała się pocałunkowi, lecz nie do końca. Jego podniecenie wzrosło, jej też, choć próbowała to powstrzymać; pieścił ją dłońmi, rozpalając tym pożądanie w niej i w sobie.

199

- Kocham cię, Szahrazad... Kochaj mnie.

Nie chciała odsuwać się od jego żaru, od jego rąk, od dotyku jego nóg, od rytmu własnego serca, ale zrobiła to.

- Nie teraz, kochanie - szepnęła i uspokoiła oddech, a potem, gdy napięcie trochę ustąpiło, poszukała wzrokiem jego oczu. Zobaczyła rozczarowanie, ale ani śladu gniewu. - Ja... nie jestem gotowa, nie do miłości, nie

teraz...

92

- Miłość przychodzi sama. Pokochałem cię od pierwszej chwili. Jesteś bezpieczna, Szahrazad, twoja miłość będzie u mnie bezpieczna.

- Wiem, och tak, wiem, że ja... - Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc siebie samej; wiedziała tylko, że coś jest nie tak. - Muszę być pewna tego, co robię. Teraz jeszcze nie jestem.

Przez chwilę pasował się z myślami. Potem pochylił się i pocałował ją; nie wymuszał

pocałunku. Był pewien, że wkrótce zostaną kochankami. Jutro, może pojutrze.

- Jesteś mądra, jak zawsze - powiedział. - Jutro będziemy mieć mieszkanie tylko dla siebie.

Obiecuję. Spotkajmy się na kawie, w tym samym miejscu.

Wstał i pomógł wstać jej. Oparła się na nim, podziękowała mu i pocałowała go. Otworzył

drzwi wejściowe. W milczeniu owinęła się czadorem, pocałowała go jeszcze raz i wyszła, pozostawiając za sobą zapach perfum. Potem zapach także się ulotnił.

Zamknął za nią drzwi i włożył buty; ból nie znikał. Z namysłem podniósł automat stojący w rogu pokoju, sprawdził działanie bezpiecznika i magazynek. Gdy jej urok nie roztaczał już nad nim magicznej mocy, nie miał złudzeń co do niebezpieczeństw realnego życia - i przedwczesnej śmierci. Serce zabiło mu żywiej.

Śmierć, pomyślał. Męczeństwo. Poddać swe życie tylko jednemu celowi, rzucić się w objęcia śmierci, powitać ją. Och, zrobię to. Nie mogę stanąć na czele armii, jak Król Męczenników, ale mogę zbuntować się przeciwko czcicielom szatana, którzy nazywają siebie 200

mułami. Mogę się zemścić na mulle Hosejnie z Kowissu za zamordowanie mojego ojca w imię fałszywych bożków i za odarcie z czci ludowej rewolucji!

Poczuł się jak w ekstazie. Jak inni. Silniejszy niż inni.

Kocham ją z całej duszy, ale jutro muszę wyruszyć. Nie potrzebuję całego zespołu; sam będę bezpieczniejszy. Mogę łatwo złapać autobus. Powinienem wyruszyć jutro. Powinienem, ale nie mogę, nie mogę, jeszcze nie. Najpierw musimy się kochać...

LOTNISKO W ASZ SZARGAZ, 18:17. Prawie tysiąc trzysta kilometrów dalej na południowy wschód, po drugiej stronie zatoki, Gavallan patrzył na podchodzący do lądowania 212. Wieczór był balsamicznie czysty, słońce dotykało horyzontu. Gavallan widział już Je-an-Luca siedzącego za sterami maszyny i jednego z innych pilotów obok. Nie było Scota, o którym najpierw pomyślał i którego się spodziewał. Jego niepokój wzrósł. Pomachał ręką, a gdy płozy dotknęły ziemi, niecierpliwie podbiegł do drzwiczek kabiny, które w tym momencie otworzyły się. Zobaczył Scota, który jedną ręką odpinał pas. Druga spoczywała na temblaku. Scot miał wychudłą, bladą twarz, ale na szczęście był cały i w dobrej formie.

- Och, synu - powiedział Gavallan. Odczuł w głębi serca ogromną ulgę, chciał podbiec i objąć syna, ale powstrzymał się i poczekał, aż Scot zejdzie po schodkach i stanie obok niego.

- Och, chłopcze, tak się martwiłem...

- Nie ma powodu, ojcze, czuję się świetnie, po prostu doskonale. - Scot otoczył zdrową ręką ramiona ojca; ten uspokajający kontakt był im obu potrzebny. Zapomnieli o obecności innych ludzi. - Chryste,

tak się cieszę, że cię widzę. Myślałem, że dzisiaj lecisz do Londynu.

- Bo lecę. Za godzinę. - Teraz polecę, myślał Gaval-lan, teraz, gdy już widzę, że tu dotarłeś i jesteś bezpieczny. - Muszę tam być, to bardzo ważne. - Otarł łzę, 201

udając, że chodzi o kurz, i wskazał zaparkowany w pobliżu samochód. Za kierownicą siedziała Genny. - Nie chcę ci zawracać głowy, ale Genny zabierze cię od razu do szpitala. To tylko prześwietlenie, Scot, już wszystko załatwione. Bez lipy, daję słowo: masz zarezerwowany pokój w hotelu, obok mojego. W porządku?

- Dobrze, tato, ja... eee, wziąłbym aspirynę. Przyznaję, że kiepsko się czuję, rzucało nami po drodze jak cholera. Ja... lecisz? Kiedy wracasz?

- Gdy tylko będę mógł. Dzień, najwyżej dwa. Zatelefonuję jutro, dobrze?

93

Scot zawahał się.

- Czy mógłbyś... może... może mógłbyś ze mną pojechać. Opowiedziałbym ci o Zagrosie.

Masz trochę czasu?

- Oczywiście. Było aż tak źle?

- I tak, i nie. Wszyscy się wydostaliśmy, poza Jor-donem. Jego zastrzelili przeze mnie, tato, on był... - Do oczu Scota napłynęły łzy, choć panował nad głosem. - Nie mogłem temu zapobiec... nie mogłem. - Otarł łzy, wymruczał jakieś przekleństwo i przytrzymał się schodków zdrową ręką. - Nie mogłem nic zrobić, nie, nie wiedziałem, nie mogłem...

- To nie twoja wina, Scot - powiedział Gavallan, wstrząśnięty rozpaczą syna. Bał się o niego.

- Chodź, lepiej już jedźmy. - Zawołał do Jean-Luca: - Zabieram Scota na prześwietlenie, niedługo wracam.

TEHERAN, MIESZKANIE McIVERA, 18:35. Płonęły świece. Charlie Pettikin i Paula siedzieli przy zastawionym do kolacji stole; stuknęli się z Sajadą Ber-tolin kieliszkami napelnionymi winem. Na stole stała duża otwarta butelka chianti, dwa półmiski salami, z których jeden był już dobrze naruszony, nie tknięty pozostał na razie ogromny krąg sera dolce latte i bagietka przyniesiona przez Sajadę z Klubu Francuskiego. Drugiej już prawie nie było.

- Może toczyć się wojna - powiedziała z wymuszoną wesołością, gdy przyszła nie zaproszona pół godziny

202

wcześniej - ale cokolwiek się dzieje, Francuzi muszą mieć odpowiednie pieczywo.

- Vive la France i viva l'Italia - odpowiedział Pettikin, niechętnie zapraszając ją do środka; nie chciał z nikim dzielić Pauli. Odkąd Włoszka straciła definitywnie zainteresowanie Noggerem Lane'em, rzucił się, aby wypełnić tę lukę, żywiąc nadzieję na przekór beznadziejności. - Paula przyleciała dziś Alitalia i przywiozła tę kontrabandę z narażeniem życia i... czyż nie wygląda superisssssima!

Paula roześmiała się.

- Dolce latte, Sajado. Charlie powiedział, że to jego ulubiony.

- Czyż to nie najlepszy ser pod słońcem? Czyż wszystko, co włoskie, nie jest najlepsze pod słońcem?

Paula wyjęła korkociąg i wręczyła go Pettikinowi. Jej usiane cętkami zielone oczy sprawiły, że poczuł mrowienie w kręgosłupie.

- Dla ciebie, caro\

- Magnificol Czy wszystkie młode damy w Alitalii są tak mądre, odważne, piękne, sprawne, czułe, słodko pachnące, kochające i, no, filmowe?

- Oczywiście.

- Przyłącz się do tej festy, Sajado - powiedział. Gdy * podeszła bliżej do światła, zobaczył ją dokładniej

i uznał, że wygląda jakoś dziwnie. - Dobrze się czujesz?

- Och, tak, to... to nic. — Sajada cieszyła się, że światło świec nie wydobywa jej dokładniej z cienia.

- Ja... dziękuję, ale nie zostanę, ja... trochę tęsknię za Jean-Lukiem, myślałam, że dowiem się, kiedy wraca. Myślę, że bagietki się wam przydadzą.

- Świetnie, że przyszedłeś. Nie jedliśmy od tygodni porządnego pieczywa, dziękujemy. Zostań.

Mac pojechał do Doszan Tappeh, żeby przywieźć Toma, a Tom będzie coś wiedział o Jean-Lucu. Powinni lada chwila wrócić.

- Co słyszeć w Zagrosie?

- Musieliśmy wszystko zamknąć. - Przecierał szklanki i nakrywał stół, choć tak naprawdę to Paula

203

wykonywała tę pracę. Opowiedział kobietom o ataku terrorystów na Bellissime, o śmierci Gianniego, a potem Jordona i o zranieniu Scota. - Cholerna sprawa, no, ale 94

teraz już wiecie.

- Straszne - zauważyła Paula. - To wyjaśnia, dlaczego mamy wracać przez Sziraz i zostawić pięćdziesiąt wolnych miejsc; na pewno dla Włochów z Zagrosu.

- Co za parszywe szczęście - powiedziała Sajada, zastanawiając się, czy powinna przekazać tę informację. Im i jemu. Głos zatelefonował wczoraj, wczesnym rankiem. Zapytał, o której zostawiła w sobotę Tejmura. - Koło piątej, może piętnaście po. A o co chodzi?

- Ten cholerny budynek stanął w płomieniach zaraz po zmroku. Ogień ogarnął drugie piętro, odcinając trzecie i czwarte. Cały dom wypalony, wiele ofiar i ani śladu Tejmura czy innych.

Oczywiście straż pożarna przyjechała za późno...

Nie musiała udawać, że płacze. Głos zatelefonował

też później tego samego dnia.

- Dałaś Tejmurowi dokumenty?

- Tak... tak, dałam.

W słuchawce zabrzmiało stłumione przekleństwo.

- Jutro po południu bądź w Klubie Francuskim. Zostawię instrukcje w twojej skrytce.

Skrytka była jednak pusta. Sajada wyblagała od ' obsługi kuchni bagietki i nadal bardzo się bała.

- To takie smutne - powiedziała Paula.

- Tak, ale nie mówmy już o tym - poprosił Pettikin, klnąc się w duchu za to, że im powiedział. To nie ich problem, pomyślał. - Jedźmy, pijmy i weselmy się.

- Bo jutro umrzemy? - zapytała Sajada.

- Nie. - Pettikin uniósł szklankę i uśmiechnął się promiennie do Pauli. - Jutro będziemy żyć.

Zdrowie!

Stuknął się z nią kieliszkiem, potem z Sajada. Niezła par|^ . Pomyślał, ale tamta nie umywa się do Pauli...

hcJ?^?- myśl,ala: Charlie zakochał się w tej syreniej rmX talTtSChmpie g° na śniada*ie, gdy tylko będzie

Set oni moiT | Wypluje mizerne ™*kL Ale dlaczego oni, moi nowi szefowle, kimkolwiek są, dlaczego

oni chcą wiedzieć o Jean-Lucu i Tomie, dlaczego chcą, żebym została kochanką Armstronga?

Skąd wiedzą o moim synku? Oby Bóg ich przeklął.

Paula myślała: nie znoszę tego gównianego miasta, w którym wszyscy są ponurzy i zachowują się tak, jakby byli skazani na śmierć. Albo przygnębieni jak ta biedna kobieta, która pewnie przeżywa jakiś zawód miłosny. Jest przecież Rzym, słońce i Włochy, i słodycz życia pijanego winem, śmiechem i miłością. Są dzieci, które można tulić razem z mężem, choć tylko wtedy, gdy te diabły jakoś się zachowują... Dlaczego wszyscy mężczyźni są tacy beznadziejni i dlaczego lubię tego Char-liego, który jest zbyt stary, choć może nie, zbyt ubogi, choć może nie, zbyt męski, choć...

- Alora - powiedziała; wino sprawiło, że jej usta wyglądały jeszcze bardziej soczyście. -

Charlie, amore, musimy spotkać się w Rzymie. Teheran jest taki... taki przygnębiony, scusa, przygnębiający.

- Nie wtedy, gdy ty tu jesteś - odparł.

Sajada zobaczyła, że uśmiechają się do siebie i pozazdrościła im.

- Chyba wpadnę kiedy indziej - powiedziała i wstała. Zanim Pettikin zdążył odpowiedzieć, w zamku przekręcił się klucz i wszedł NcIver.

- Cześć - rzucił, próbując odegnać uczucie zmęczenia. - Witaj, Paula, witaj, Sajada, co za miła niespodzianka. - Zauważył stół. - Co to jest, Boże Narodzenie? - Zdjął grube palto i rękawice.

95

- Paula to przywiozła, a Sajada przyniosła bagietki. Gdzie jest Tom? - zapytał Pettikin, wyczuwając natychmiast, że coś poszło nie tak.

- Zostawiłem go koło domu Bakrawanów przy bazarze.

- Co słyszeć u Szahrazad? - zapytała Sajada. - Nie widziałam jej od... od dnia pochodu, pierwszego pochodu.

- Nie wiem, skarbie. Tylko go podrzuciłem, a potem przyjechałem tutaj. - NcIver wziął

kieliszek wina i spojrzał na Pettikina. - Był piekielny ruch; jechałem tu 205

chyba z godzinę. Zdrowie! Paula, wyglądasz jak marzenie. Zostaniesz na noc?

- Jeśli można? Wylatuję wcześniej rano. Nie trzeba mnie zawozić, caro; podrzucił mnie ktoś z naszej załogi i jutro po mnie wpadnie. Genny powiedziała, że mogę skorzystać z wolnego pokoju. Ona uważa, że pokój prosi się o wiosenne porządki, ale wygląda dobrze.

Paula wstała, a wzrok obu mężczyzn przyciągnęła zmysłowość jej ruchów. Sajada zaklęła w duchu.

Zazdrościła jej, zastanawiając się, o co tu chodzi. Na pewno nie o uniform stewardesy, choć był świetnie dopasowany. Wiedziała, że jest znacznie piękniejsza i lepiej ubrana - ale nie tej samej rasy. Krowa!

Paula sięgnęła do torebki, wyjęła dwa listy i wręczyła je McIverowi.

- Jeden od Genny, drugi od Andy'ego.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedział gorąco McIver.

- Właśnie wychodziłam, Mac - powiedziała Sajada.

- Chciałam tylko spytać, kiedy wraca Jean-Luc.

- Prawdopodobnie w środę; odstawia 212 do Asz Szargaz. Powinien tam dotrzeć dzisiaj i wrócić w środę.

- McIver zerknął na listy. - Nie idź jeszcze, Sajado... Przepraszam na chwilę.

Usiadł w fotelu koło elektrycznego kominka włączonego na pół mocy i zapalił lampę. Światło odebrało pokojowi wiele z romantycznej aury. List Gavalla-na brzmiał: Cześć, Mac, spieszę się, pozdrowienia. Czekam na Scota, a wieczorem lecę do Londynu, jeśli z nim będzie wszystko w porządku. Wracam za dwa dni, najwyżej trzy. Wymanewrowałem Duke a z Kowissu do Rudiego, na wypadek opóźnienia Scraga; powinien wrócić we wtorek.

Kowiss jest bardzo ryzykowny - miałem ciężką przeprawę z Waźniakiem - to samo z Zagrosem. Porozumiałem się właśnie stąd z Massonem; to stało się faktem. Naciskam więc guzik uruchamiający planowanie Już naciśnięty. Do zobaczenia w środę. Uściskaj ode mnie Paulę. Lepiej nie! Genny mówi, żebyś się nie ważył!

206

Wpatrywał się w list, słuchając jednym uchem opowieści Pauli o locie do Teheranu. A więc guzik naciśnięty. Nie oszukuj się, Andy, wiem, że naciśnąłeś go już dawno. Właśnie dlatego się zgodziłem; pod warunkiem, że będę mógł przerwać Operację Whirlwind, jeśli uznam, że to zbyt ryzykowne, i że od mojej decyzji nie będzie odwołania. Ty chyba musisz przez cały czas trzymać palec na guziku; nie masz wyboru, jeśli chcesz przetrwać.

Wino smakowało wspaniale. Dopił to, co zostało w kieliszku, i otworzył list od Genny.

Zawierał tylko wiadomości o domu i dzieciach, wszystkie zdrowe i na miejscu. McIver znał

jednak żonę zbyt dobrze; dostrzegał między wierszami jej niepokój: Nie martw się, Dun-can, nie przejmuj się wiatrem, żadnym wiatrem. I nie myśl, że chcę osiąść w obrośniętej różami chatce w Anglii. Dla nas jest Kazba, a dla mnie jaszmak. Ćwiczę taniec brzucha, więc lepiej się pospiesz. Kocham, Gen.

Nelver uśmiechnął się do siebie, wstał i nalał sobie trochę wina. Był już spokojniejszy.

- Za kobiety! - Trącił się kieliszkiem z Pettikinem.

- Bombowe wino, Paula. Andy przesyła ci uściski...

- Natychmiast uśmiechnęła się i dotknęła go, a on poczuł się tak, jakby przez rękę przepływał prąd. Jak ona to, u diabła, robi? - zadał sobie niespokojnie pytanie i powiedział szybko do 96

Sajady: - Tobie też by przesłał, gdyby wiedział, że tu jesteś. - Świeca stojąca na gzymsie kominka zamigotała. - Zajmę się tym. Są jakieś wiadomości?

- Jedna od Talbota. Robi, co może, żeby znaleźć Erikkiego. Duke'a zatrzymała w Bandar Dejlami burza, ale jutro powinien już być w Kowissie.

- A Azadeh?

- Dzisiaj już czuje się lepiej. Paula i ja odprowadziliśmy ją do domu. Z nią wszystko w porządku, Mac. Lepiej coś zjedz; cholernie najwyższy czas na kolację.

- A może zjemy w Klubie Francuskim? Jedzenie jest tam jeszcze znośne - odezwała się Sajada.

207

- Świetnie! - wykrzyknęła Paula, a Pettikin zmełł w ustach przekleństwo. - To świetny pomysł, Sajado!

Charlie?

- Doskonale. Mac?

- Jasne, pod warunkiem, że ja stawiam i że nie zasiedzimy się długo. - Nelver obejrzał

kieliszek pod światło, podziwiając kolor wina. - Charlie, chcę, żebyś jutro rano, rzeński i świeży, zaprowadził 212 do Kowissu; Nogger weźmie alouette. Możesz pomagać Duke'owi przez parę dni. Wyślę Shoemitha 206, żeby cię przywiózł w sobotę. Dobrze?

- Jasne - odparł Pettikin, zastanawiając się, dlaczego nastąpiła zmiana planów. On, Nelver i Nogger mieli polecieć w środę, a dwaj inni piloci jutro do Kowissu. Dlaczego? Na pewno chodzi o list od An-dy'ego. WhirlwincP. Czy Mac rezygnuje?

W SLUMSACH ŻALEH, 18:50. Stary samochód zatrzymał się w wąskiej uliczce biegnącej wzdłuż tylnych ścian domów. Mężczyzna, zajmujący miejsce obok kierowcy, wysiadł i rozejrzał się. Uliczka była wyludniona, wysokie ściany, z jednej strony rów, od dawna wypełniony odpadkami i śniegiem. Z miejsca, w którym zatrzymał się samochód, widać było majaczący w świetle reflektorów zapuszczony skwerek. Mężczyzna zastukał w dach.

Reflektory zgasły. Teraz wysiadł kierowca i ruszył w kierunku swego kompana, który otwierał bagażnik. Razem ponieśli przez skwerek zawinięte w ciemny koc ciało.

- Poczekaj chwilkę - powiedział kierowca po rosyjsku.

Wyjął latarkę i na moment zapalił. Krąg światła wydobył prześwit w murze, którego szukali.

- Dobra - rzekł drugi mężczyzna. Przeszli przez otwór i stanęli, żeby zorientować się w terenie. Byli na cmentarzu, zaniebanym i prawie opuszczonym. Światło wędrowało od nagrobka do nagrobka - niektóre z napisami po rosyjsku, niektóre alfabetem łacińskim 208

- aby zatrzymać się na świeżo wykopanym otwartym grobie. W stercie ziemi tkwiła łopata.

Podeszli i zatrzymali się na krawędzi. Wyższy z mężczyzn, kierowca, zapytał:

- Gotowe?

- Tak. - Zepchnęli ciało do dołu. Kierowca skierował światło latarki do grobu. -

Wyprostujmy go.

- Przecież się nie zesra - odparł drugi mężczyzna i wziął w ręce łopatę. Miał szerokie i silne ramiona. Zaczął zasypywać grób. Kierowca zapalił papierosa i ze złością wrzucił do dołu zapalnik. - Może powinieneś zmówić za niego modlitwę.

Mężczyzna roześmiał się.

- Marks-Lenin nie zatwierdził ani stary Stalin.

- Ten pierdoleniec? Niech zgnije!

- Pomyśl, co zrobił dla mateczki Rosji! Zrobił z niej imperium, największe na świecie.

Pieprzył Brytyjczyków, przechytrzył Amerykanów, stworzył największą i najlepszą armię, marynarkę i lotnictwo. Poza tym zbudował potęgę KGB.

- Za, kurwa, wszystkie ruble, jakie mieliśmy, i za dwadzieścia milionów istnień ludzkich.

Rosjan.

97

- Do zastąpienia! Szumowiny, idioci, męty. Jest ich jeszcze od groma. - Mężczyzna spocił się i przekazał łopatę koledze. - Co się w ogóle z tobą dzieje? Przez cały dzień jesteś jakiś zdechły.

- Zmęczony, jestem tylko zmęczony. Przepraszam.

- Wszyscy są zmęczeni. Potrzebujesz paru dni urlopu. Poproś o Asz Szargaz, spędziłem tam trzy dni i

nie chciało mi się wracać. Poprosiłem o przeniesienie tutaj. Nieźle tu działamy, coraz lepiej. Izraelczycy też zwiększyli liczbę swoich operacyjnych. I CIA. Co się działo, kiedy mnie nie było?

- Azerbejdżan miło się rozkręca. Krążą pogłoski, że stary Abdollah-chan umiera albo już umarł.

- Paragraf 16/a?

- Nie, atak serca. Poza tym normalka. Naprawdę dobrze się bawiłeś?

209

Drugi roześmiał się.

- Była tam bardzo chętna do współpracy sekretarka Intouristu. - Na to wspomnienie podrapał się po jądrach. - A kim był ten biedny sukinynek?

- Na liście nie było nazwiska - odparł kierowca.

- Nigdy nie ma. Kto to?

- Agent zwany Jazernowem. Dimitri Jazernow.

- Nic mi to nie mówi. A tobie?

- Był agentem z wydziału dezinformacji. Specjalne zadania na uniwersytecie. Rok temu pracowałem z nim przez jakiś czas. Przemądrzałek, typ uniwersytecki; pełen ideologicznego gówna. Wygląda na to, że złapał go Wywiad Wewnętrzny i całkiem poważnie przesłuchiwał.

- Skurwysyny! Zabili go, co?

- Nie. - Wyższy mężczyzna przerwał na chwilę pracę i rozejrzał się. Nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy, a jednak, choć nie wierzył w duchy ani Boga, w nic oprócz partii i KGB - siły uderzeniowej partii - czuł się w tym miejscu trochę nieswojo. Zniżył głos: - Kiedy go wyciągnęli, prawie tydzień temu, był w kiepskim stanie, nieprzytomny. Nie powinno się go ruszać z miejsca, nie w jego stanie. SAVAMA wydosłała go od Wywiadu Wewnętrznego.

Dyrektor uważa, że oni go też obrabiali przed oddaniem. - Oparł się na łopacie. - SAVAMA przekazała go nam z informacją, że został wyczyszczony trzecim stopniem. Dyrektor powiedział, żeby sprawdzić, kim on naprawdę jest, czy miał jakieś inne zlecenia, czy nie był

szpiegiem wewnętrznym albo podstawionym przez górę, no i co, do cholery, im powiedział, i kim w ogóle jest. W naszych kartotekach figuruje tylko jako agent do specjalnych zadań na uniwersytecie. - Otarł pot z czoła i wrócił do pracy. - Słyszałem, że cały zespół czekał, aż odzyska świadomość; dziś dali sobie spokój z czekaniem i próbowali go obudzić.

- Jakiś błąd? Ktoś przedawkował?

- Kto to może wiedzieć; biedny sukinsyn jest martwy i tyle.

- Tego się właśnie boję - powiedział drugi mężczyzna; przeszedł go dreszcz. -

Przedawkowanie. Nie można

210

na to nic poradzić. Nie obudził się? Niczego nie powiedział?

- Nie. Ani słowa. Gównu nam z niego przyszło. To była jego wina. Ta mamuśka pracowała na własną rękę.

Drugi mężczyzna zaklął.

- Jak chciał się z tym wymigać?

- Niech mnie pierdolą w dupę, jeżeli wiem! Pamiętam, że był jednym z tych, którzy myślą, że zjedli wszystkie rozumy i olewają Księgę. Cwany? Gówno! Te skurwysyny robią więcej kłopotu, niż są warci.

Wyższy mężczyzna pracował mocno i miarowo. Gdy się zmęczył, zmienił go drugi.

98

. Wkrótce grób był zakopany. Mężczyzna sapiąc ubijał ziemię.

- Po cholere tak harujemy, skoro ta mamuśka sama dała się złapać, co?

- Jeśli nie można sprowadzić zwłok do kraju, towarzysz musi być prawidłowo pochowany.

Tak jest w Księdze. To rosyjski cmentarz, prawda?

- Jasne, pewnie, ale niech mnie szlag trafi, gdybym miał być tu pochowany.

Mężczyzna otarł ręce, odwrócił się i oddał mocz na najbliższy nagrobek.

Wyższy mężczyzna próbował obruszać inny.

- Pomóż mi. - Razem podnieśli kamień i postawili go w głowach grobu, który właśnie zasypali.

Dlaczego ten pierdoleniec umarł, pomyślał. To nie moja wina. Powiniem wytrzymać dawkę.

Pierdoleni doktorzy! Oni powinni to przewidzieć! Nie mieliśmy wyboru, sukinsyn i tak już odpływał, a mieliśmy do niego tyle pytań, chociażby to, co było w nim takiego ważnego, że ten arcyskurwysyn Haszemi Fazir osobiście go przesłuchiwał, razem z tym wiceskurwysynem Armstrongiem? Ci nadęci zawodowcy nie traciliby czasu na jakąś płotkę. A dlaczego Jazernow powiedział: „Fedor...”, zanim pierdolnął w kalendarz? Co to miało znaczyć?

- Jedziemy do domu - powiedział drugi mężczyzna. - To parszywe miejsce i śmierdzi.

Śmierdzi bardziej niż zwykle.

211

- Wziął łopatę i zniknął w ciemnościach.

Wtedy właśnie kierowca spojrzał na napis na nagrobku, lecz było zbyt ciemno, żeby go odczytać. Zapalił na chwilę latarkę. Zobaczył słowa: „Hrabia Aleksy Pokenow, Ambasador przy Szachu Nasir ad-Dinie, 1830-1862”.

Jazernowowi by się to podobało, pomyślał z krzywym uśmiechem na ustach.

W DOMU BAKRAWANA KOŁO BAZARU, 19:15. Drzwi osadzone w murze stały otworem.

- Salam, Wasza Wysokość. - Służący obserwował Szahrazad, gdy ta weszła w towarzystwie Dżari na podwórze, zdjęła czador i potrząsając głową, rozczesywała włosy palcami. - Pani...

pani mąż wrócił, Wasza Wysokość; wrócił zaraz po zachodzie słońca.

Szahrazad znieruchomiała na chwilę w świetle lampki oliwnej, która rzucała migotliwe światło na pokryty śniegiem chodnik, prowadzący do drzwi frontowych.

Więc to już koniec, pomyślała. Skończyło się, zanim jeszcze się zaczęło. Dzisiaj prawie się zaczęło. Byłam gotowa, a jednocześnie nie byłam... a teraz, teraz jestem ocalona przed...

przed moim pożądaniem. Ale co to było, pożądanie czy miłość? Czy właśnie to próbowałam rozstrzygnąć? Nie wiem, nie wiem, ale... ale jutro, jutro spotkam się z nim po raz ostatni.

Muszę go jeszcze zobaczyć, muszę, tylko... jeszcze tylko raz... tylko po to, żeby się pożegnać.

Do oczu napłynęły jej łzy. Pobiegła do domu, przebiegła przez pokoje i salony, po schodach, do swojego mieszkania i w jego ramiona.

- Och, Tommyyyyyy, tak długo cię nie było!

- Tęskniłem za tobą. Gdzie... Nie płacz, kochanie, nie ma powodu do płaczu...

Otoczył ją ramionami. Poczula ulotny, znajomy zapach benzyny, jaki wydzielał jego lotniczy kombinezon, wiszący na wieszaku. Dostrzegła jego poważne spojrzenie. Przez głowę przemknęła jej myśl o HBC, lecz odsunęła ją od siebie i, nie dopuszczając męża do głosu, 212

wspięła się na palce, pocałowała go i powiedziała pospiesznie:

- Mam taką cudowną nowinę, noszę w sobie dziecko, och, tak, to prawda, byłam u lekarza, a jutro odbieram wyniki testu, ale ja już wiem! - Uśmiechnęła się szczerze i szeroko. - Och, Tommy -

ciągnęła równie szybko, czując, że obejmuje ją mocniej niż zwykle - ożenisz się ze mną? Proszę, proszę, proszę?

- Ale my już jesteśmy...

- Powiedz to, och proszę, powiedz!

99

Uniosła głowę. Zobaczyła, że nadal jest blady i uśmiecha się tylko trochę, ale na razie to wystarczało. Usłyszała, że mówi:

- Oczywiście, ożenię się z tobą.

- Nie tak. Powiedz to prawidłowo: ożenię się z tobą, Szahrazad Bakrawan, ożenię się z tobą, ożenię się z tobą. - Usłyszała, że powtarza te słowa i to sprawiło, że wszystko było już dobrze.

- Dobrze! - wykrzyknęła i przytuliła się do niego, a potem odsunęła i podbiegła do lustra, żeby poprawić makijaż. Dostrzegła w lustrze twarz Locharta, twarz pochmurną, niespokojną.

- O co chodzi?

- Jesteś pewna, pewna co do dziecka?

- Och tak, jestem pewna. Tylko lekarz potrzebuje dowodu. No i mąż. Czyż to nie wspaniałe?

- Roześmiała się.

- Tak... tak, wspaniałe. - Położył dłonie na jej ramionach. - Kocham cię!

Te słowa obudziły echo innego „kocham cię”, wypowiedzianego z taką pasją i tęsknotą.

Pomyślała sobie, że to dziwne: choć miłość męża była pewna i udowodniona, a Ibrahima nie, to jednak ta Ibrahima nie znała granic ani zastrzeżeń, a jej mąż, nawet po usłyszeniu tak wspaniałej wiadomości, krzywił się na nią.

- Minął rok i dzień, Tommy, czas, którego pragnąłeś - powiedziała łagodnie. Odeszła od lustra i zarzuciła mu ręce na szyję. Uśmiechnęła się do niego, wiedząc, że od niej tylko zależy, czy mu pomoże. „Cudzoziemcy nie są tacy jak my, księżniczko”, powiedziała 213

kiedyś Dżari. „Reagują inaczej, zachowują się inaczej, ale nie martw się, bądź tylko sobą

-jesteś taka rozkoszna - a on będzie w twoich rękach miękki jak glina...” Tommy musi być najlepszym ojcem wszechczasów, przyrzekła sobie, ciesząc się ogromnie, że nie przegapiła tego wieczoru, że wreszcie mu powiedziała i że odtąd będą już zawsze szczęśliwi. -

Będziemy, prawda?

- Co?

- Będziemy zawsze szczęśliwi.

Jej radość sprawiła, że zapomniał na chwilę o Kadmie Peszadim i o tym, co ma zrobić i w jaki sposób. Chwytał ją w ramiona, usiadł na fotelu i przytulił.

- Och, tak, tak, będziemy. Jest tyle spraw, o których...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

- Wejź, Dżari.

- Proszę wybaczyć, ekscelencjo, ale przybyli Jego Ekscelencja Meszang i Jej Wysokość.

Chcieliby mieć przyjemność spotkania się z państwem w dogodnej dla państwa chwili.

- Powiedz Jego Ekscelencji, że przyjdziemy, jak tylko się przebierzemy.

Lochart nie zauważył wyrazu ulgi na twarzy Dżari, gdy Szahrazad skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Przygotuję kąpiel, Wasza Wysokość - powiedziała Dżari i weszła do łazienki. - Czyż to nie wspaniała wiadomość o Jej Wysokości, ekscelencjo? Gratuluję, ekscelencji, bardzo gratuluję...

- Dziękuję, Dżari - odparł Lochart.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa, myślał o dziecku i o Szahrazad; był zatroskany, a jednocześnie szczęśliwy. Wszystko zrobiło się takie skomplikowane, takie boleśnie trudne.

- To nic trudnego - powiedział po kolacji Meszang.

Rozmowa była raczej nudna, mówił głównie Meszang. Zachowywał się tak, odkąd został

głową rodziny. Szahrazad i Zarah prawie się nie odzywały. Lochart także niewiele mówił; opowiadanie o Zagrosie nie miało sensu, gdyż Meszanga nigdy nie interesowały opinie 214

100

pilota ani jego praca. Dwukrotnie w ciągu wieczoru Lochart o mało nie wyrzucił z siebie wiadomości o Kadmie. Na razie nie ma po co im o tym mówić, pomyślał, skrywając rozpacz.

Dlaczego to ja mam być zwiastunem złych wieści?

- Czy nie uważasz, że życie w Teheranie stało się teraz trudne? - zapytał.

Meszang narzekał na nowe przepisy narzucone bazarowi.

- Życie zawsze jest trudne - odparł Meszang - ale jeśli jest się Irańczykiem i dobrze wyszkolonym

kupcem, który zna się na rzeczy i dba o interesy, postępuje logicznie i ciężko pracuje, można sobie poradzić nawet z Komitetem Rewolucyjnym. Zawsze radziłyśmy sobie z poborcami podatkowymi i nakładanymi na nas nadmiernymi ciężarami, z szachami, komisarzami czy jan-keskimi i brytyjskimi tuzami.

- Cieszę się, mogąc to usłyszeć. Bardzo się cieszę.

- A ja się cieszę, że wróciłeś. Chciałem z tobą porozmawiać - stwierdził Meszang. - Czy moja siostra powiedziała ci już, że spodziewa się dziecka?

- Tak, tak, powiedziała. Czyż to nie jest wspaniała nowina?

- Tak, tak, jest. Bogu niech będzie chwała. Jakie macie plany?

- Co masz na myśli?

- Gdzie zamierzacie mieszkać? Z czego będziecie teraz pokrywać koszty utrzymania?

Zapadła wymowna cisza.

- Damy sobie radę - zaczął Lochart. - Zamierzam...

- Nie bardzo widzę, jak, logicznie rzecz biorąc, jest to możliwe. Przeglądałem zeszłoroczne rachunki i... - urwał, gdyż Zarah wstała.

- To chyba nie jest właściwa pora na rozmowę o rachunkach - powiedziała z pobladłą nagle twarzą. Szahrazad też zbladła.

- A ja uważam, że właściwa - rzucił szorstko Meszang. - Z czego ma żyć moja siostra?

Siadaj, Zarah, i słuchaj. Usiądź! A jeśli mówię, że nie pójdziesz na 215

żadną demonstrację czy coś takiego, to musisz być posłuszna albo cię wychłostam! Siadaj! -

Zarah usłuchała, wstrząśnięta z powodu takiego braku dobrych manier i takiej gwałtowności.

Szahrazad osłupiała; jej świat legł w gruzach. Zobaczyła, że brat zwraca się do Lo-charta. -

Tak więc, kapitanie, twoje rachunki za zeszły rok, rachunki zapłacone przez mojego ojca, nie licząc tych, które jeszcze trzeba pokryć, opiewają na kwotę znacznie wyższą niż twoja pensja.

Prawda?

Szahrazad zaczerwieniła się ze wstydu i gniewu. Zanim Lochart zdążył odpowiedzieć, rzuciła szybko swym najbardziej słodkim głosem:

- Kochany Meszangu, twoja troska o nas jest całkowicie uzasadniona, ale mieszkanie...

- Bądź łaskawa się nie wtrącać! Muszę zapytać twojego męża, a nie ciebie. To nie jest wasz problem, lecz jego. A więc, kapitanie...

- Ale kochany Miesz...

- Nie wtrącaj się! No cóż, kapitanie, prawda czy

nie?

- Tak, to prawda - odpowiedział Lochart, zastanawiając się gorączkowo nad sposobem wyjścia z matni. - Musisz jednak pamiętać, że Jego Ekscelencja dał mi to mieszkanie, a w rzeczywistości również cały budynek; czynsze pokrywają nasze rachunki, a nadwyżka stanowi prezent dla Szahrazad, za który jestem niezmiernie wdzięczny. Co do przyszłości, zadbam o Szahrazad, oczywiście, że zadbam.

- Jakimi środkami? Czytałem twoje dokumenty rozwodowe. Wynika z nich jasno, że po zapłaceniu alimentów na rzecz byłej żony i dziecka masz niewielkie szanse uchronienia mojej siostry przed nędzą.

Locharta aż zatkało z gniewu. Szahrazad poruszyła się na krześle; dostrzegł jej strach i pokonał pragnienie walnięcia głową Mieszanga o stół.

101

- Wszystko w porządku, Szahrazad. Twój brat ma prawo o to zapytać. To jest fair. Ma prawo.

- Dostrzegł błysk zadowolenia w oczach Mieszanga i wiedział już, że ten podejmie walkę. -

Damy sobie radę. Nasze mieszka-

216

nie nie będzie wiecznie zajęte, możemy też zamieszkać w innym. Damy sobie...

- Nie ma już mieszkania ani budynku. Spalił się w sobotę. Wszystko poszło z dymem, wszystko.

Wlepili w Mieszanga zdumione spojrzenia; najbardziej wstrząśnięta była Szahrazad.

- Och, Mieszangu, jesteś pewien? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dla...

- Czy macie tak wielki majątek, że nie chce się wam obejrzeć go od czasu do czasu?

Wszystko poszło z dymem, wszystko!

- Och, Chryste! - mruknął Lochart.

- Lepiej nie bluźnij - rzucił Mieszang, z trudem maskując triumf. - A więc nie ma mieszkania, nie ma

domu, nie ma niczego. In szaa Allah. A zatem, jak zamierzasz spłacić swoje rachunki?

- Ubezpieczenie! - wykrzyknął Lochart. - Musi... Zmroził go wybuch śmiechu. Szahrazad przewróciła szklankę z wodą, czego nikt nawet nie zauważył.

- Myślisz, że zostanie wypłacone ubezpieczenie?

- drwił Mieszang. - Teraz? Nawet gdyby jakieś było? Chyba postradałeś zmysły. Nie ma żadnego ubezpieczenia i nigdy nie było. A więc, kapitanie, dużo długów, żadnych pieniędzy czy kapitału, żadnego domu, który zresztą i tak nie był prawnie twoją własnością; był tylko obmyślonym przez mojego ojca sposobem dawania ci pieniędzy na utrzymanie Szahrazad.

- Wziął kawałek chałwy i włożył go do ust. - A zatem, co proponujesz?

- Dam sobie radę.

- Jak? Powiedz mi, proszę, jak? Szahrazad szepnęła:

- Mam biżuterię, Tommy, mogę ją sprzedać. Mieszang pozwolił okrutnie, aby te słowa zawisły

w powietrzu. Napawał się tym, że Lochart znalazł się w ślepych zaułku, był poniżony, nagi i bezbronny. Brudny niewierny! Gdyby na tym świecie nie było takich Lochartów, drapieżnych cudzoziemców, eksploatatorów Iranu, nie mielibyśmy Chomeiniego i jego mułłów, a oj-217

ciec nadal by żył, Szahrazad miałaby odpowiedniego męża...

- A więc?

- Co proponujesz? - zapytał Lochart, nie znajdując wyjścia z pułapki.

- A co ty proponujesz?

- Nie wiem.

- Na razie nie macie domu, rachunki opiewają na bardzo poważne sumy, a ty będziesz wkrótce bezrobotny; wątpię, by twoja spółka mogła tu jeszcze długo działać. Całkiem słusznie uznano zagraniczne firmy za persona non grata. - Mieszang z rozkoszą przypomniał

sobie łacińskie słowa. - Nie są już potrzebne, chciane czy niezbędne.

- Jeśli tak się stanie, złożę wypowiedzenie i podanie o pracę w jakiejś irańskiej firmie helikopterowej. Piloci są im potrzebni. Znam farsi, jestem doświadczonym pilotem i instruktorem. Chomeini... Imam chce, żeby produkcja ropy wróciła niezwłocznie do normy, więc na pewno będą potrzebowali wyszkolonych pilotów.

Mieszang roześmiał się w duchu. Wczoraj wicepremier Ali Kia przyszedł na bazar. Był

odpowiednio uniżony i niespokojny. Przeprowadził wspaniały pisz-kesz - czyż nie przyszła pora na doroczne „honorarium konsultanta”? Kia opowiedział o planach nabycia wszystkich maszyn spółki i zamrożenia rachunków bankowych. „Nie będziemy mieli problemów z pozyskaniem tylu najemników, ilu potrzebujemy do pilotowania naszych helikopterów, 102

ekscelencjo Meszang”, powiedział Kia. „Będą dla nas latać za połowę swych zwykłych pensji”. Tak, będą, ale to nie dotyczy ciebie, chwilowy mężu mojej siostry. Nawet gdybyś się zgodził na jedną dziesiątą pensji.

- Uważam, że powinieneś być bardziej praktyczny. - Meszang spojrział na starannie wypielęgnowane paznokcie swych dłoni. Dłoni, które po południu pieściły czternastolatkę, podarowaną mu przez Alego Kia. „To pierwsza z wielu, ekscelencjo!” Cudna, śnieżnobiała skó-

218

ra Czerkiesów, chwilowe małżeństwo na popołudnie, które z zadowoleniem i bez trudu przedłużył na cały tydzień. - Obecni władcy Iranu cierpią na ksenofobię, zwłaszcza w przypadku Amerykanów.

- Ja jestem Kanadyjczykiem.

- Wątpię, żeby to miało jakieś znaczenie. Założenie, że nie dostaniesz zezwolenia na dalszy pobyt, jest logiczne. - Spojrzał ostro na Szahrazad. - Albo na powrót.

- Zaczynam rozumieć - wycedził Lochart, dostrzegając wyraz twarzy żony.

- Kapitanie, nie mogę kontynuować charytatywnej działalności mojego ojca. Czasy są ciężkie. Chcę wiedzieć, jak zamierzasz utrzymać moją siostrę i jej dziecko. Gdzie zamierzasz żyć i jak.

Lochart nagle wstał.

- Jasno przedstawiłeś swoje stanowisko, ekscelencjo Meszang. Jutro udzielę ci odpowiedzi.

- Chcę, żebyś odpowiedział teraz. Lochart spojrział twardziej.

- Najpierw porozmawiam z żoną. Z tobą jutro. Chodź, Szahrazad.

Wyszedł. Płacząc ruszyła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

Meszang uśmiechnął się sardonicznie, wziął następny kawałek chałwy i zaczął go jeść.

Wyczerpana Zarah wybuchnęła gniewem:

- Co ty w imię Boga...

Zamachnął się i uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

- Zamknij się! - wrzasnął. Już wiele razy ją bił, ale nigdy tak mocno. - Zamknij się albo się z tobą

rozwiode! Rozwiode się, słyszysz? Zresztą i tak zamierzam wziąć sobie inną żonę, jakąś młodą, a nie taką starą czarownicę i sekutnicę jak ty. Czy nie rozumiesz, że Szahrazad jest w niebezpieczeństwie, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie przez tego człowieka? Idź i błagaj Boga o przebaczenie za swoje fatalne maniery! Jazda stąd!

Wybiegła z pokoju, a on rzucił za nią filiżanką.

219

NA PÓLNOCNYCH PRZEDMIEŚCIACH, 21:14.

Azadeh prowadziła mały, pokierszowany samochód. Jechała szybko ulicą, wzdłuż której stały eleganckie domy i kamienice; większość nie oświetlona, niektóre zdemolowane. Prawie nie zdejmowała ręki z klaksonu, nie dbała o to, że światła jej samochodu oślepiły nadjeżdżających z przeciwka. Zahamowała i wpadła w poślizg, skręcając z piskiem opon do czyjegoś garażu. Wszystko o krok od spowodowania wypadku.

W garażu panowały ciemności. Wyjęła latarkę, zapaliła, wysiadła z samochodu i zamknęła drzwiczki. Miała na sobie dobrze skrojone ciepłe palto, spódnicę i długie buty, futrzane rękawiczki i czapkę. Pdeszła do wyłącznika przy schodach; gdy go nacisnęła, żarówka błysnęła i zgasła. Azadeh z wysiłkiem pokonywała schody. Z każdego podestu wchodziło się do czterech mieszkań. Mieszkanie, które Abdollah-chan udostępnił jej i Erikkiemu, znajdowało się na trzecim podeście, z oknami wychodzącymi na ulicę. Był poniedziałek; mieszkała tu od soboty.

- To nie jest ryzykowne, Mac - powiedziała, gdy odchodziła, a on próbował przekonać ją, żeby pozostała w jego mieszkaniu. - Skoro ojciec chce, żebym przyjechała do Tebrizu, mieszkanie u ciebie w niczym mi nie pomoże. Mam w domu telefon, a to tylko pół kilometra 103

dalej i można w razie czego z łatwością dojść pieszo. Mam tam ubranie i służącego. Będę codziennie przychodzić do biura i czekać. To wszystko, co mogę zrobić.

Nie powiedziała, że woli nie mieszkać z nim i Char-liem Pettikinem. Bardzo ich lubię, pomyślała, ale są starzy i zbyt pedantyczni. Nie to, co Erikki. Albo Johnny. Och, Johnny, co mam z tobą zrobić? Czy ośmielę się znów z tobą spotkać?

Trzeci podest był ciemny, ale mając latarkę, znalazła klucz i włożyła go do zamka. Nagle poczuła na sobie czyjeś spojrzenie i odwróciła się przerażona. Jakiś smagły, nie ogolony typ rozpiął rozporek i wymachiwał penisem.

220

- Czekałem na ciebie, księżniczko wszystkich kurew. Bóg mnie przeklnie, jeśli nie wsadzę ci go od przodu, od tyłu albo jeszcze inaczej...

Ruszył za nią z dalszymi sprośnościami na ustach, a ona oparła się o drzwi, chwilowo sparaliżowana strachem. Złapała klucz, przekręciła go i gwałtownie otworzyła drzwi.

Za drzwiami czekał doberman. Mężczyzna zamarł. Usłyszał złowieszczy pomruk, a potem pies zaatakował. Mężczyzna wrzasnął, próbując odepchnąć zwierzę, i rzucił się po schodach do ucieczki. Pies, warcząc, gryzł go w nogi i szarpał ubranie. Azadeh krzyknęła za napastnikiem:

- Teraz mi go pokaż!

- Och, Wasza Wysokość, nie słyszałem pukania, co się stało? - zawołał służący, starszy mężczyzna, wybiegając z kuchni.

Ze złością otarła pot z czoła i powiedziała:

- Niech Bóg cię przeklnie, Ali. Mówiłam ci już ze dwadzieścia razy, żebyś zawsze czekał na mnie na dole z psem. Przecież wracam punktualnie. Czy nie masz mózgu?

Staruszek zaczął przeproszać, ale nagle dał się słyszeć szorstki głos:

- Idź i przyprowadź psa! Rozejrzała się, zdjęta nagłym strachem.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość.

W drzwiach salonu ukazał się Ahmed Dursa, wysoki, brodaty, nieprzyjemny. In sza'a Allah, pomyślała, czekanie się skończyło; teraz wszystko zacznie się od nowa.

- Dobry wieczór, Ahmedzie.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, nie wiedziałem, że teherańczycy tak się zachowują.

Gdybym wiedział, sam czekałbym na dole. Ali, idź po psa!

Przestraszony i powtarzający jeszcze słowa przeprosin, służący ruszył szybko schodami w dół. Ahmed zamknął drzwi i patrzył, jak Azadeh ściąga buty i wsuwa swe małe stopy w tureckie kapcie o zadartych

221

noskach. Minęła go i weszła do wygodnego salonu urządzonego w stylu zachodnim. Usiadła, czując łomotanie serca. Na kominku migotał ogień, podłogę wyściełały bezcenne dywany, inne wisiały na ścianach. Azadeh usiadła koło stolica, na którym leżał kukri zostawiony dla niej przez Rossa.

- Czy masz jakieś wieści o moim ojcu i o moim mężu?

- Jego Wysokość chan jest chory, bardzo chory.

- Co to za choroba? - zapytała, szczerze zaniepokojona.

- Atak serca.

- Oby Bóg go ochronił. Kiedy to się stało?

- W czwartek. - Odgadł jej myśli. - Tego dnia, gdy pani i... i sabotażysta byliście w wiosce Abu Mard, prawda?

- Chyba tak. Trochę mi się pomieszały te dni - odparła chłodno. - Jak się czuje mój ojciec?

- Czwartkowy atak był łagodny, dzięki Bogu. W sobotę, przed północą, miał następny.

Znacznie ostrzejszy. - Obserwował ją.

104

- Czy poważny? Proszę, nie baw się ze mną w kotka i myszkę! Powiedz wszystko od razu!

- Ach, przepraszam, Wasza Wysokość, nie chciałem się z panią bawić. - Powiedział to bardzo grzecznie, z trudem odrywając wzrok od jej nóg. Podziwiał jej ognistość i dumę i bardzo chciał się z nią bawić. - Doktor nazwał to porażeniem. Jego Wysokość jest z lewej strony sparaliżowany; może mówić, choć z trudem. Jego umysł jest tak sprawny jak zawsze.

Lekarz powiedział, że wyzdrowiałby o wiele szybciej w Teheranie, ale podróż nie jest jeszcze możliwa.

- On wyzdrowieje? - zapytała.

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Wedle woli Boga. Według mnie wygląda na bardzo chorego.

Lekarz, nie przeceniałbym jego zdania, lekarz powiedział tylko, że Jego Wysokość miałby o wiele większe szanse tutaj, w Teheranie.

- Więc przywieź go tu jak najszybciej.

222

- Zrobię to, Wasza Wysokość, proszę się nie obawiać. Na razie mam dla pani wiadomość.

Chan, pani ojciec, kazał przekazać jego słowa: „Chcę cię tu widzieć. Natychmiast. Nie wiem, jak długo jeszcze będę żył, a trzeba podjąć i potwierdzić pewne decyzje. Twój brat jest teraz ze mną i...”

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła Azadeh. - Czy mój ojciec pogodził się z Hakimem?

- Jego Wysokość uczynił go swym dziedzicem, ale...

- Och, to wspaniale, wspaniale. Bogu niech będą dzięki. Ale on...

- Proszę o cierpliwość; niech pani wysłucha wiadomości do końca: „Twój brat Hakim jest teraz ze

mną, a ja uczyniłem go mym dziedzicem. Pod pewnymi warunkami dotyczącymi ciebie i jego".

Ahmed zawahał się, a Azadeh chciała wcisnąć w tę lukę jakieś słowa; przepelniała ją radość i... ostrożność. Duma nie pozwoliła jej się odezwać.

- „Jest więc konieczne, abyś powróciła natychmiast z Ahmedem". To koniec wiadomości, Wasza Wysokość.

Drzwi wejściowe stanęły otworem. Ali zamknął je za sobą i odpiął smycz. Pies wbiegł natychmiast do salonu i położył głowę na kolanach Azadeh.

- Dobra robota, Reza - pochwaliła zwierzę. Głaskała go i starała się zebrać myśli. - Siad! No już, siadaj! - Rozochociony pies usłuchał; przypadł do jej stóp, obrzucając czujnym spojrzeniem drzwi i Ahmeda, który stał obok innej kanapy. Azadeh odruchowo bawiła się rękojeścią kukri; dotykane go dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Ahmed obserwował to ukradkiem, świadom ewentualnych konsekwencji. - W imię Boga, czy powiedziałaś mi prawdę?

- Tak, Wasza Wysokość. W imię Boga.

Zatem wyruszamy od razu. - Wstała. - Przyjechałeś samochodem?

- Tak, Wasza Wysokość. Jest tu limuzyna i szofer. Mam też inne wieści, dobre i złe. Jego Wysokość otrzymał prośbę o wypłacenie okupu. Jego Ekscelencja, pani mąż, jest w rękach bandytów, ludzi z gór... - Próbowała

223

zachować spokój, choć kolana zaczęły jej lekko drżeć. - ... gdzieś przy granicy z Sowiecami.

On i jego helikopter. Wygląda na to, że ci... ci bandyci twierdzą, że są Kurdami, ale chan w to powątpiewa. Zaskoczyli Sowie-ta Cimtargę i jego ludzi. Pozabijali ich, schwytali Jego Ekscelencję i helikopter, jak twierdzą, w czwartek rano. Potem polecieeli do Rezaije, gdzie go widziano w dobrym zdrowiu, zanim znów odleciał.

Dzięki Bogu. - To było wszystko, na co pozwoliła jej duma. - Czy wykupiono mojego męża?

- Żądanie okupu dotarło w sobotę wieczorem przez pośredników. Jego Ekscelencja, gdy tylko odzyskał wczoraj świadomość, wysłał mnie po panią razem z wiadomością. - Usłyszała to 105

„wysłał po" i zrozumiała, że nie ma żartów, lecz Ahmed zdawał się nie przywiązywać wagi do tych słów. Sięgnął do kieszeni. - Jego Wysokość Hakim dał mi to dla pani.

Wręczył jej zapieczętowaną kopertę. Rozerwała ją tak gwałtownie, że aż przestraszony pies poderwał się na nogi. Hakim napisał list własnoręcznie: Kochana siostrzo, Jego Wysokość uczynił mnie swym dziedzicem i przywrócił nas oboje do łask, wprawdzie pod pewnymi warunkami, ale to wspaniałe warunki, na które łatwo się zgodzić. Wracaj prędko; on jest bardzo chory i nie zajmie się

okupem, dopóki ciebie nie zobaczy. Salam.

Ogarnięta radością, błyskawicznie spakowała torbę i napisała kartkę do NeIvera, prosząc Alego, żeby doręczył ją następnego dnia. Wychodząc, pod wpływem nagłej myśli, wzięła ze sobą kukri. Ahmed nic nie powiedział; ruszył za nią w milczeniu.

BANDAR DEJLAM, 8:15. Kasigi szedł szybkim krokiem za policjantem o ponurym spojrzeniu. Przeciskali się przez zapuszczone, zatłoczone korytarze szpitala. Mechanik radiowy, Minoru, postępował o kilka kroków z tyłu. Chorzy i ranni, mężczyźni, kobiety i dzieci, leżeli na noszach, siedzieli na krzesłach, stali lub leżeli na podłodze, czekając na kogoś, kto udzieli im pomocy. Ciężko chorzy wśród chorych lżej. Niektórzy oddawali mocz, inni jedli i pili to, co przynieśli im niezliczeni odwiedzający i krewni. Ci, którzy mogli, uskarżali się głośno na swój los. Wszyscy starali się zagadnąć pielęgniarki i lekarzy, wchodzących i wychodzących z sal. Wszystkie pielęgniarki w czadorach, poza kilku Brytyjkami z Queen Alexandra, których surowe czepki niemal zastępowały czadory i były akceptowane.

227

Policjant odnalazł w końcu właściwe drzwi i wepchnął się do zatłoczonej sali. Łóżka stały pod ścianami i na środku; wszystkie zajęte przez mężczyzn. Odwiedzający członkowie rodzin gawędzili lub narzekali, dzieci bawiły się, a w jednym z kątów jakaś staruszka gotowała coś na przenośnej kuchence.

Scragger leżał przykuty do łóżka kajdankami, które obejmowały jeden nadgarstek i nogę w kostce. Leżał na sienniku, w ubraniu i w butach, z zabandażowaną głową, nie ogolony i brudny. Ożywił się, dostrzegając za plecami policjanta Kasigiego i Minoru.

- Cześć, chłopaki - rzucił ochryple.

- Jak pan się czuje, kapitanie? - zapytał Kasigi, który niemal osłupiał, widząc kajdanki.

- Czułbym się świetnie, gdybym mógł się uwolnić. Policjant przerwał mu z irytacją w głosie.

Mówił

głośno w farsi na użytek gapiów:

- To tego człowieka chcieliście zobaczyć?

- Tak, ekscelencjo - odpowiedział Minoru.

- Więc już go widzieliście. Możecie zameldować swojemu rządowi, czy komu tam chcecie, że jest leczony. Będzie sądzony przez komitet ruchu drogowego.

Odwrócił się, nadęty i pompatyczny, i ruszył do

wyjścia.

- Ale kapitan pilot nie był kierowcą - cierpliwie

wyjaśniał Kasigi po angielsku. > Minoru przetłumaczył. Tłumaczył te słowa przez całą noc, prawie do świtu, różnym policjantom różnych stopni. Odpowiedzi były różnymi wariantami jednej i tej samej.

- Gdyby tego cudzoziemca nie było w Iranie, wypadek by się nie zdarzył. Oczywiście on jest za to odpowiedzialny.

- To nieważne, że nie był kierowcą! I tak jest odpowiedzialny! - rzucił ze złością policjant, a jego głos odbił się echem od ścian. - Ile razy trzeba to panu powtarzać? On odpowiadał za samochód, on wydawał polecenia. Gdyby nie wydawał, nie wydarzyłby się wy-228

wypadek, w którym zginęli i zostali zranieni ludzie. Oczywiście on jest za to odpowiedzialny!

106

- Ale, powtarzam, mój asystent jest naocznym świadkiem; może zaświadczyć, że wypadek spowodował inny samochód.

- Krzywoprzysięstwo to bardzo poważna sprawa

- powiedział groźnym tonem policjant; był jednym z tych, którzy jechali radiowozem.

- Ale to prawda, agha. Są jeszcze inni świadkowie

- zauważył Kasigi, choć żadnego z nich nie mógł wskazać. Dodał ostrzejszym głosem: -

Nalegam, aby ten człowiek został zwolniony. Jest zatrudniony przez mój rząd, który zainwestował miliardy dolarów w zakłady petrochemiczne Iran-Toda, z których skorzysta Iran, a zwłaszcza mieszkańcy Bandar Dejlamu. Jeśli nie zostanie natychmiast zwolniony, odwołam wszystkich Japończyków i przerwę prace! - Rozzłościł się jeszcze bardziej, gdyż oczywiście nie miał uprawnień i nie mógł wydać takiego polecenia. - Wszystko się skończy!

- Na proroka, cudzoziemcy nie będą już nas szantażować - wysyczał mężczyzna i odwrócił się. - Może pan to omówić z komitetem!

- Jeśli nie zostanie zwolniony od razu, wszystkie prace ustaną i nie będzie już żadnego zatrudnienia. Żadnego!

Gdy Minoru przetłumaczył, Kasigi dostrzegł zmianę nastawienia obecnych w sali Irańczyków. Nawet policjanta, który wyczuł, że wszyscy na niego patrzą; wyczuł nagłą wrogość. Jakiś młodzieniec z zieloną opaską na rękawie brudnej piżamy rzucił oschle:

- Chcesz nas pozbawić pracy, co? Kim ty jesteś? Skąd możemy wiedzieć, czy nie jesteś człowiekiem Szacha? Byłeś już sprawdzany przez komitet?

- Oczywiście, że byłem! Na jedynego Boga! Popieram imama od lat! - oburzył się mężczyzna, choć przeszły go ciarki ze strachu. Pomagałem rewolucji; wszyscy o tym wiedzą.

Ty. - Wskazał Kasigiego, klnąc go w duchu za to, że sprawił mu tyle kłopotu. - Ty 229

chodź ze mną! - Zaczął się przeciskać przez tłoczących się w drzwiach gapiów. - Wróć tu, kapitanie Scragger, proszę się nie niepokoić.

Kasigi i Minoru ruszyli za policjantem.

Policjant zszedł po schodach, przemierzył kawałek korytarza, potem następne schody, przez cały czas torując sobie drogę wśród tłumu. Kasigi denerwował się coraz bardziej. Wreszcie mężczyzna otworzył drzwi opatrzone jakimś napisem w farsi.

Kasigi oblał się zimnym potem. Znajdowali się w kostnicy. Marmurowe płyty, na których leżały zwłoki okryte brudnymi prześcieradłami. Dużo zwłok. Smród chemikaliów, zakrzepłej krwi, wnętrzności i ekskrementów.

- Patrz pan! - rzucił policjant i zdarł prześcieradło. Ukazało się ciało kobiety. Głowa leżała obok, otwarte oczy. - To wasz samochód ją zabił. Co będzie z jej rodziną? - Kasigi zadygotał

na dźwięk słowa „wasz”. - I na to pan patrz! - Zerwał inne prześcieradło. Ukazało się ciało zmiażdżonej kobiety. - No i co?

- My... oczywiście jest nam bardzo przykro... oczywiście żałujemy, że zginęli ludzie, bardzo żałujemy, ale to Karma. In szaa Allah. To nie nasza wina, a zwłaszcza nie wina tego pilota. -

Kasigi z trudem przezwyciężał mdłości. - Jest nam bardzo przykro.

Minoru tłumaczył, policjant opierał się niedbale o płytę. Potem odpowiedział, a młody Japończyk otworzył szeroko oczy.

- On mówi, on mówi, że kaucja, że grzywna, że żeby uwolnić natychmiast pana Scraggera, trzeba wpłacić milion riali. Natychmiast. Komitet nie będzie tu miał nic do powiedzenia.

Milion riali to było około dwunastu tysięcy dolarów.

- To niemożliwe, ale na pewno moglibyśmy w ciągu godziny zapłacić sto tysięcy riali.

- Milion - krzyknął mężczyzna. Chwycił za włosy głowę kobiety i podsunął ją Kasigiemu pod nos. Kasigi z trudem utrzymał się na nogach; zmusił się, żeby się nie cofnąć. - Co będzie z jej dziećmi, które już nigdy

230

107

nie będą miały matki? Czy nie należy się im odszkodowanie, co?

- Nie ma tyle gotówki w... w całej fabryce. Bardzo mi przykro.

Policjant zaklął i chciał się dalej targować, ale wtedy otworzyły się drzwi. Sanitariusze wtoczyli wózek z kolejnymi zwłokami i wybałuszyli oczy na ich widok. Policjant nagle powiedział:

- Doskonale. Wobec tego pojedziemy od razu do pańskiego biura.

Pojechali i wzięli z kasy sumę, jaką Kasigi ostatecznie zaoferował: dwieście pięćdziesiąt tysięcy riali - jakieś trzy tysiące dolarów. Żadnego pokwitowania, tylko ustna obietnica zwolnienia Scraggera. Nie ufając kontrahentowi, Kasigi wręczył mu w biurze połowę sumy, wkładając resztę do koperty i chowając ją do kieszeni. Wrócili do szpitala. Kasigi czekał w samochodzie, a Minoru i policjant zniknęli w środku. Oczekiwanie dłużyło się w nieskończoność, ale w końcu na schodach ukazali się Minoru, Scragger i policjant. Kasigi wysiadł i wręczył policjantowi kopertę. Mężczyzna rzucił przekleństwo pod adresem wszystkich cudzoziemców i odszedł.

- A więc - powiedział Kasigi i uśmiechnął się do Scraggera.

Uścisnęli sobie dłonie. Scragger wylewnie dziękował i przeproszał za wszystkie kłopoty. Obaj to klęli na los, to go błogosławili. Prędko wsiedli do samochodu. Irański szofer włączył się do ruchu, skłął głośno samochód, który miał pierwszeństwo przejazdu i omal na niego nie wjechał, trzymając rękę na klaksonie.

- Powiedz mu, żeby zwolnił, Minoru - poprosił Kasigi. Minoru przetłumaczył, a kierowca skinął głową, uśmiechnął się i... usłuchał. Zwalnianie trwało kilka sekund.

- Czy dobrze się pan czuje, kapitanie?

- Tak. Łeb mnie boli, ale poza tym w porządku. Najgorzej było, kiedy chciałem się odlać.

- Co?

231

- Skurczybyki trzymali mnie przykutego i nie pozwalali chodzić do kibla. Nie chciałem po prostu narobić w spodnie, a pielęgniarka przyniosła mi butelkę niezbyt szybko. Jezu, myślałem, że rozsadzi mi pęcherz.

- Scragger przetarł zmęczone oczy. - Co było, to było, chłopie. Jestem ci coś winien. Plus okup. Ile?

- Nie, nic. Mamy na takie okazje specjalny fundusz.

- To nie jest problem. Andy Gavallan zapłaci. Aha, to mi przypomniało, że on powiedział, iż znał parę lat temu pańskiego szefa, Todę, Hiro Todę.

- Ah so desu ka? - Kasigi był szczerze zdumiony.

- Gavallan ma śmigłowce w Japonii?

- Och, nie. To było wtedy, gdy był chińskim kupcem w Hongkongu, gdy pracował dla Struana. - Ta nazwa włączyła w mózgu Kasigiego dzwonek alarmowy; postarał się, żeby dzwonek nie dźwięczał głośno. - Słyszałeś o nich?

- Tak, to dobra spółka. Toda robi albo robił z nimi interesy - odpowiedział gładko Kasigi, ale zapamiętał tę informację i postanowił zastanowić się nad nią później. Czy to Linbar Struan jednostronnie unieważnił pięć kontraktów najmu statków dwa lata temu? To nas prawie złamało... Może uda się to naprawić przez Ga-vallana w taki czy inny sposób. - Przykro mi, że miałeś takie przejścia.

- Nie twoja wina, staruszk. Ale Andy będzie chciał zwrócić okup. Na ile nas stuknęli?

- Naprawdę na niewiele. Proszę, niech to będzie prezent. Zresztą ty uratowałeś nasz statek.

- Więc jestem ci winien dwa, staruszk - odpowiedział po chwili Scragger.

- To my wybraliśmy kierowcę; to była nasza wina.

- Gdzie on jest? Gdzie jest Mohammad?

- Niestety nie żyje. Scragger zaklął.

- To nie była jego wina. Wcale.

108

- Tak, tak, wiem. Wypłaciliśmy jego rodzinie odszkodowanie. Wypłacimy też ofiarom wypadku. - Kasigi próbował się zorientować, jak bardzo to wszystko 232

wstrząsnęło Scraggerem i kiedy będzie mógł latać. Złościło go bardzo to jednodniowe opóźnienie. Musiał jak najszybciej dostać się do Asz Szargaz, a potem do kraju, do Japonii.

Tutaj nie miał już nic do roboty. Główny inżynier, Watanabe, był już całkowicie po jego stronie; kopie jego prywatnych sprawozdań umocniłyby jego pozycję w spółce i ogromnie mu pomogły. Pomogłyby też Hiro Todzie przy ponownym nakłanianiu rządu do uznania Iran-Tody za przedsięwzięcie o znaczeniu narodowym.

To nie możliwość, ale pewność! - pomyślał; był bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek.

Będziemy ocaleni przed bankructwem, pogrzebiemy naszych wrogów, Mitsuwari i Gyokotomo. Będziemy mieć zyski, ogromne zyski! Och, tak. I jeszcze dodatkowy uśmiech fortuny - Kasigi pozwolił sobie na cyniczny uśmieszek - prawdziwa bomba, kopia prywatnego sprawozdania nieżyjącego już głównego inżyniera Kasusaka dla Gyokotomo, z datą i podpisem, którą Watanabe w czarodziejski sposób „znalazł” w zapomnianej kartotece, gdy ja byłem w Asz Szargaz! Muszę być bardzo ostrożny, naprawdę ostrożny z wykorzystaniem tego materiału, ale to tylko jeszcze jeden

powód, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Jezdnia była bardzo zatłoczona. Na niebie nadal kłębiły się chmury, burza jednak już przeszła i można było latać. Och, chciałbym mieć własny samolot, pomyślał. Powiedzmy, odrzutowiec lear. Nagroda za moją pracę tutaj powinna być duża. Dał się ponieść wesołym myślom o osiągnięciach i władzy.

- Wygląda na to, że wkrótce będziemy mogli rozpocząć budowę, kapitanie.

- Co takiego?

- Tak. Szef nowego komitetu zapewnił nas o ich chęci współpracy. On chyba zna jednego z waszych pilotów, kapitana Starke'a. Nazywa się Zataki.

Scragger obrzucił rozmówcę ostrym spojrzeniem.

- Tak, to Duke. Duke Starke ocalił go przed lewakami i wywiózł do Kowissu. Na twoim miejscu, starusz-233

ku, ja bym, no... uważał na niego. - Opowiedział Kasi-giemu o zmiennych nastrojach Zatakiego. - To regularny czubas.

- Nie robił takiego wrażenia, wcale nie. To zadziwiające, Irańczycy są bardzo... bardzo dziwni. Ale to nieważne. Jak się teraz czujesz?

- Jak nowo narodzony.

Scragger beztrąsko przesadzał. Poprzedniego dnia i przez całą noc potwornie bolała go głowa, wszystkie te przekleństwa, krzyki, skucie kajdankami, brak możliwości porozumienia się, wrogie spojrzenia... Wszystko to sprawiało, że czuł się zagubiony. I zaniepokojony.

Wzmagający się ból. Czas upływał powoli, coraz mniej nadziei. Był pewien, że Minoru był

ranny albo zginął razem z kierowcą, tak że nikt nie wiedział, gdzie po-dziewał się pilot ani co się wydarzyło.

- Filiżanka dobrej herbaty postawi mnie od razu na nogi. Gdybyś chciał wyjechać już teraz, to ja mogę. Tylko szybka kąpiel, herbata, coś na ząb i już możemy radośnie lecieć.

- Świetnie. Zatem wystartujemy, gdy tylko będziesz gotowy. Minoru zainstalował radio i sprawdził je.

Przez całą drogę do rafinerii i podczas lotu do Lengeh Kasigi był w świetnym humorze. Gdy przelatywali obok Chargu, wydawało im się, że dostrzegli olbrzymią rybę młot, o której Scragger kiedyś wspomniał. Trzymali się nisko i blisko wybrzeża; chmury nadal ciemne, o niskim pułapie, nimbusy, czasem przebłysk światła, trochę dziur powietrznych. Kontrola radarowa działała bardzo sprawnie i szybko, co napełniło Scraggera złymi przecuciami; dwa 109

dni do Operacji, nie licząc dzisiejszego. O tym przede wszystkim myślał. Jednodniowe opóźnienie pogorszyło sytuację, myślał niespokojnie. Co się tu działo, kiedy mnie nie było?

Spory kawał drogi od Chargu wylądował, żeby uzupełnić paliwo i odpocząć. Nadal bolał go brzuch, zauważył krew w swoim moczu. Nie ma się czym przejmować, powiedział sobie. Po takim wypadku musi być

234

trochę krwawienia. Do dupy z tym wszystkim, a jednak miałem szczęście!

Byli na wydmie, kończyli obiad: ryż na zimno, ryby i ogórki. Scragger miał kawał irańskiego chleba, który zwędził z kuchni, kurczaka yakatori i ulubiony sos sojowy. Kasigi pił japońskie piwo. Scragger odmówił:

- Dzięki, ale picie kłóci się z lataniem. Japończyk jadł powoli, Scragger - łapczywie i szybko.

Był wygłodzony.

- Niezła wyżerka - powiedział. - Lepiej zbierajmy się stąd, gdy tylko skończysz.

- Już skończyłem. - Po chwili wznieśli się w powietrze. - Zdasz odwiedzić mnie dzisiaj do Asz Szargaz albo Dubaju?

- Nie, jeśli mamy lecieć do Lengeh. - Scragger poprawił hełmofon. - Wiesz co? Kiedy będziemy w zasięgu kontroli radarowej Kiszu, zapytam, czy mogę skrócić do Bahrajnu.

Mógłbyś tam złapać lot międzynarodowy albo krajowy. Musielibyśmy uzupełnić paliwo na Lawanie, ale zgodzą się na to, jeżeli zatwierdzą zmianę trasy. Jak już mówiłem, jestem ci coś winien.

- Nic nie jesteś winien. - Kasigi uśmiechnął się do siebie. - Wczoraj, na zebraniu komitetu, ten Zataki zapytał, jak szybko wzmocnimy naszą flotę helikopterową. Obiecałem niezwłoczne działanie. Jak wiesz, Guerney już nas nie obsługuje. Chciałbym dostać trzy wasze 212 i dwa 206 na najbliższe trzy miesiące. Potem możemy negocjować roczny kontrakt, w zależności od naszych potrzeb, odnawiany corocznie. Ty byś tym rządził. Czy to możliwe?

Scragger zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Kiedy indziej taka oferta wywołałaby zachwyt nawet w Aberdeen. Gavallan odebrałby osobiście telefon, a wszyscy cieszyliby się na myśl o ogromnej premii. Lecz wobec planowanej Operacji, bez Guerneya i innych, nie było sposobu, żeby pomóc Kasigiemu.

- Kiedy... kiedy chciałbyś mieć te ptaszki? - zapytał, żeby zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi.

235

- Od razu - rzucił wesoło Kasigi, obserwując jakiś tankowiec. - Zagwarantowałem Zatakiemu, że jeśli będą współpracować, zaczniemy od razu. Jutro, najpóźniej pojutrze. Może mógłbyś poprosić

swoich szefów, żeby na razie przysłali kilka 212 z Bandar Dejlamu, tych, które nie są tam teraz potrzebne? Dobrze?

- Jasne. Poproszę, gdy tylko wylądujemy.

- Przez jakiś tydzień musimy mieć połączenie z Kuwejtem, żeby przerzucić i wymienić załogi japońskie, Zataki powiedział, że ich komitet załatwi z komitetem lotniska w Abadanie otwarcie tego lotniska dla nas może pod koniec tygodnia...

Scragger słuchał nieuważnie ufnych słów człowieka, z którym się zaprzyjaźnił, bez którego pomocy byłby nadal przykuty kajdankami do łóżka. Wybór był prosty: powiedzieć mu o Whirlwindzie albo zostawić po uszy w gównie. Ale jeśli powiem, zawiodę ogromne zaufanie, jakie się we mnie pokłada. Kasigi może to wszystko storpedować; powinien powiedzieć de Ples-seyowi. Pytanie brzmi: jak dalece mogę mu ufać? I de Plesseyowi?

Niespokojny i zdenerwowany, wyjrzał przez okno i sprawdził położenie maszyny.

- Przepraszam, ale muszę się teraz zgłosić. - Nacisnął guzik nadawania. - Radar Kiszu, tu Hotel Sierra Tango, czy mnie słyszysz?

- HST, tu radar Kiszu, słyszę pięć na pięć, mów.

110

- HST na czarterze Iran-Tody. Zbliżam się do macierzystej bazy w Lengeh, podchodzę do Lawanu na trzystu, jeden pasażer na pokładzie. Proszę o zezwolenie na tankowanie na Lawanie i skręcenie do Bahrajnu. Chcę podrzucić pasażera, który musi załatwić pilną sprawę dla Iranu.

- Odmawiam. Utrzymaj trzysta i obecny kierunek.

- Mój pasażer jest Japończykiem, szefem Iran-Tody. Musi pilnie porozumieć się z rządem japońskim w imieniu rządu irańskiego, który chce natychmiast podjąć eksploatację. Proszę o szczególne potraktowanie tego wypadku.

236

- Odmawiam. Loty przez zatokę trzeba zgłaszać 24 godziny wcześniej. Zmień kierunek na 095, prosto do Lengeh, na trawersie zgłoś się do Kiszu, nie przekraczaj linii Kiszu. Przyjąłeś?

Scragger zerknął na Kasigiego, który słuchał tej wymiany zdań.

- Przykro mi, stary. - Zmienił kierunek zgodnie z poleceniem. - HST przyjął. Proszę o zezwolenie na Asz Szargaz, jutro o świcie z jednym pasażerem.

- Zostań na nasłuchu. - W słuchawkach rozległy się trzaski. Po prawej ciągnęły niezliczone tankowce, wypływające z zatoki lub wpływające do portów w Arabii Saudyjskiej, Emiratach, Abu Żabi, Bahrajnie, Kuwejcie i Iraku. Żaden zbiornikowiec nie zabierał ropy z Chargu ani Abadanu, choć

dawniej obsługiwano tam z tuzin statków naraz, a drugi tuzin oczekiwał na redzie. Teraz były tylko te oczekujące, niektóre dłużej niż dwa miesiące. Niebo było nadal zachmurzone. - HST, tu Kisz. Tym razem zgoda na prośbę w sprawie lotu z Lengeh do Asz Szargaz, jutro, środa, 28, start w południe. Niezależnie od tego, wszystkie, powtarzam: wszystkie loty przez zatokę muszą być uzgadniane na 24 godziny naprzód. Zezwolenia wymagają wszystkie, powtarzam: wszystkie wypadki uruchomienia silników. Odebrałeś?

Scragger zaklął i potwierdził.

- O co chodzi? - zapytał Kasigi.

- Jeszcze nigdy nie było tak, żeby uruchomienie silników wymagało zezwolenia. Te sukinsyny robią się naprawdę nachalne. - Scragger myślał o piątku i swoich dwóch 212, i o radarze na Kisz, zbyt natrętnym i zbyt sprawnym. - Parszywa sprawa!

- Tak. Czy będziesz mógł spełnić nasze wymagania co do śmigłowców?

- Jest cała masa facetów lepszych ode mnie.

- Ach, przykro mi, że muszę pytać, ale to dla mnie bardzo ważne. Muszę wiedzieć, że całe to przedsięwzięcie znajdzie się w dobrych rękach.

Scragger znów się zawahał.

- Dzięki, jeśli będę mógł, to tak, jasne, że tak.

237

- Więc postanowione. Zwrócę się oficjalnie do pana Gavallana. - Kasigi spojrzał na Scraggera. Coś się zmieniło, pomyślał. Co? Teraz, gdy o tym pomyśleć, pilot nie zareagował

tak entuzjastycznie, jak przewidywałem. Co on ukrywa? - Czy mógłbyś skontaktować się z Bandar Dejamem przez waszą bazę w Kowissie i poprosić o przysłanie nam jutro przynajmniej jednego 212? - zapytał, żeby sprawdzić reakcję.

- Tak, oczywiście... gdy tylko dolecimy.

Ach, pomyślał Kasigi, który patrzył i słuchał bardzo uważnie. Miałem rację, coś się odmieniło, zniknęła bezpośredniość Scraggera. Dlaczego? Na pewno nie powiedziałem niczego, co mogłoby go urazić. Nie może chodzić o ten interes - byłby aż za dobry dla każdej firmy helikopterowej. Może stan zdrowia?

.- Czy dobrze się czujesz?

- Och, jasne, stary. Doskonale.

Tym razem szczery uśmiech i głos taki jak zwykle. Więc musi chodzić o coś, co ma związek ze

śmigłowcami.

- Byłoby mi bardzo trudno poradzić sobie bez twojej pomocy.

111

- Tak, wiem. Słuchaj, chciałbym ci pomóc i zrobić wszystko, co mogę.

Aha, uśmiech zniknął, a głos znów stał się poważny. Dlaczego? I dlaczego „chciałby”

pomóc? To zabrzmiało tak, jakby chciał, ale ktoś inny mu nie pozwalał? Gaval-lan? Czy to możliwe, żeby Scragger wiedział, że Gaval-lan nie chce nam pomóc z powodu Struana?

Kasigi długo rozważał wszystkie możliwości, ale nie mógł znaleźć żadnego sensownego wyjaśnienia. Potem uciekł się do jedyne go fortelu, który mógł się powieść w wypadku cudzoziemca takiego jak ten.

- Przyjacielu - powiedział, nadając głosowi najbardziej szczeremu brzmieniu - wiem, że coś jest nie tak. Powiedz mi, proszę, o co chodzi? - Zobaczył, że wyraz twarzy Scraggera zrobił się jeszcze bardziej uroczysty, i poszedł za ciosem. - Możesz mi powiedzieć, możesz mi zaufać.

Naprawdę jestem twoim przyjacielem.

238

- Tak... tak, wiem, stary.

Kasigi obserwował twarz Scraggera i czekał. Widział rybę rzucającą się na haku przymocowanym do linki tak cienkiej, a jednocześnie tak mocnej, że sięgała wstecz do złamanego śmigła rotora, do uścisku ręki, do niebezpieczeństwa, jakie obaj przeżyli na Rikumaru, do udziału w tej samej wojnie i szacunku dla poległych towarzyszy. Tak wielu z nas zginęło tak młodo. Tak, pomyślał z nagłym gniewem, gdybyśmy mieli jedną dziesiątą ich samolotów, ich uzbrojenia, ich okrętów i jedną dwudziestą ich ropy i surowców, bylibyśmy niezwyciężeni, a cesarz nie musiałby zakończyć wojny w taki sposób, w jaki to zrobił.

Bylibyśmy niezwyciężeni, gdyby nie bomba, dwie bomby. Oby wszyscy bogowie skazali na wieczne męki wynalazców bomby, która złamała wolę cesarza, a ta wola przeważała nad naszą.

- O co chodzi?

- Ja... nie mogę ci powiedzieć. Jeszcze nie teraz, przepraszam.

Kasigi zwietrzył niebezpieczeństwo.

- Dlaczego, przyjacielu? Zapewniam cię, że możesz mi zaufać - dodał kojącym głosem.

- Tak... tak, ale to po prostu nie zależy ode mnie. Jutro w Asz Szargaz. Wybacz mi, proszę.

- Skoro to takie ważne, powinienem wiedzieć już teraz, prawda?

Kasigi znów czekał. Znał wartość milczenia i oczekiwania w takich chwilach jak ta. Nie trzeba przypominać temu drugiemu, że Jest mi coś winien". Jeszcze nie teraz.

Scragger pamiętał. W Bandar Dejamie Kasigi ocalił moją cholerną głowę; nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Na pokładzie swego statku, na Siri, udowodnił, że jest facetem z jajami, a dziś dowiódł, że jest też dobrym przyjacielem. Nie musiał tak bardzo się starać. Mógł

równie dobrze zrobić to jutro czy pojutrze.

Zbadał wzrokiem instrumenty pokładowe i horyzont; nie dostrzegł niczego niebezpiecznego w środku i na zewnątrz. Kisz zbliżała się szybko po sterburcie.

239

Zerknął na Kasigiego. Kasigi patrzył przed siebie, lekko zmarszczył brwi, jego twarz wyrażająca siłę była niepo-ruszona. Co za gównu, stary, jeśli się nie wywiążesz z obietnicy, Zataki dostanie amoku! A nie możesz się wywiązać. Nie możesz, staruszk. Tak trudno na ciebie patrzeć. Siedzisz tu tylko i nie przypominasz mi, co ci jestem winien.

- Kisz, tu HST. Jestem na trawersie, wysokość trzysta.

- Tu Kisz. Utrzymaj trzysta. Masz samoloty ze wschodu na trzech tysiącach.

- Mam je w zasięgu wzroku. - Były to dwa myśliwce. Wskazał je Kasigiemu ręką. - To F14, prawdopodobnie z Bandar Abbasu - wyjaśnił.

Kasigi nie odpowiedział; skinął tylko głową, a Scragger poczuł się jeszcze gorzej. Mijały minuty, maszyna posuwała się do przodu.

Potem Scragger podjął decyzję, choć poczuł się jeszcze podlej.

112

- Bardzo mi przykro - rzucił ochryple - ale musisz poczekać do Asz Szargaz. Andy Gavallan może ci pomóc, ja nie.

- On może pomóc? W jaki sposób? Na czym polega kłopot?

- Jeśli w ogóle ktoś może pomóc, to tylko on - odpowiedział Scragger po chwili. -

Poprzestańmy na tym, staruszk.

Kasigi dosłyszał nutę zdecydowania, ale nie dopuścił do siebie myśli o przegranej. Pozwolił, żeby przez chwilę ciążyło milczenie; w głowie rozdzwoniły się nowe dzwonki alarmowe. To, że Scragger nie dał się schwytać w pułapkę i nie zdradził tajemnicy, sprawiło, że zaczął

szanować go jeszcze bardziej. Ale to go nie usprawiedliwia, pomyślał z rosnącą furią.

Powiedział mi dość, żeby mnie ostrzec, a ja muszę sam odkryć resztę. A więc Gavallan jest kluczem? Do czego?

Kasigi poczuł, że za chwilę pęknie mu głowa. Czyż nie przyrzekłem temu wariatowi Zatakiemu, że zaczniemy od razu? Jak ci ludzie śmiały wystawiać na niebez-240

pieczeństwo całe nasze przedsięwzięcie, całe przedsięwzięcie narodowe? Nie możemy zacząć bez helikopterów! To zdrada stanu skierowana przeciwko Japonii! Co oni planują?

Z ogromnym wysiłkiem zapanował nad wyrazem twarzy.

- Na pewno spotkam się z Gavallanem, gdy tylko będzie to możliwe. Miejmy nadzieję, że staniesz na czele naszej nowej operacji, co?

- Jeśli tak postanowi Andy Gavallan. To zależy od niego.

Nie bądź tego taki pewny, myślał Kasigi. Cokolwiek się stanie, będę miał helikoptery, natychmiast. Wasze, Guerneya, nieważne czyje. Ale, na mych przodków samurajów, Iran-Toda nie może być zagrożona! Nie będzie! Ani ja sam!

TEBRIZ, W PAŁACU CHANA, 10:50. Azadeh weszła za Ahmedem do umeblowanego w zachodnim stylu pokoju i zbliżyła się do łóżka. Była znów w murach, które napawały ją strachem. Przy łóżku siedziała pielęgniarka w białym wykrochmalonym fartuchu, z otwartą książką na kolanach. Spojrzała na nich ze zdziwieniem przez szkła okularów. Zatechłe brokatowe zasłony zakrywały okna, chroniąc przed przeciągami. Przysłonięte lampy, w powietrzu zapach starości.

Chan miał zamknięte oczy i ziemistą cerę; oddychał z trudem. W ramieniu tkwiła igła kroplówki stojącej obok łóżka. Na ustawionym nie opodal krzesle kulila się mała i drobna Aisza. Prawie zasypiała, włosy miała w nieładzie, na twarzy ślady łez. Azadeh uśmiechnęła się zdawkowo, czując dla niej współczucie, a potem odezwała się nieswoim głosem do pielęgniarki:

242

- Przepraszam, jaki jest stan Jego Wysokości?

- Dobry, ale musi unikać wzruszeń; nie wolno mu zakłócać spokoju - odparła łagodnie pielęgniarka kulawym tureckim.

Azadeh spojrzała na nią uważniej i stwierdziła, że to Europejka; pięćdziesięcioletnia, włosy ufarbowane na brązowo, na rękawie czerwony krzyż.

- Och, jest pani Angielką czy Francuzką?

- Szkotką - odpowiedziała z ulgą po angielsku, z lekkim akcentem. Patrząc na chana, zniżyła głos.

- Jestem siostrą Bain ze szpitala w Tebrizie, a pacjent czuje się tak dobrze, jak tylko można się czuć w jego stanie, jeśli wziąć pod uwagę, że nie robi tego, co się mu zaleca. Przepraszam, kim pani jest?

- Jestem jego córką, Azadeh. Właśnie przyjechałam z Teheranu. Przysłał po mnie służącego.

My... jechaliśmy przez całą noc.

- Ach, tak - odparła, dziwiąc się, jak taka piękność mogła być spłodzona przez tak brzydkiego mężczyznę.

113

- Gdybym mogła coś zasugerować, panienko, lepiej dać mu się wyspać. Gdy się obudzi, powiem mu, że pani tu była, i zawiadomię panią. Lepiej niech śpi.

- A gdzie jest strażnik Jego Wysokości? - zapytał poirytowany Ahmed.

- W pokoju chorego nie potrzeba uzbrojonych ludzi. Odesłałam go.

- Strażnik będzie tu przez cały czas, chyba że odeśle go chan albo ja.

Ahmed odwrócił się ze złością i wyszedł.

- To taki zwyczaj, siostró - odezwała się Azadeh.

- Ajajaj, dobrze. Ale to jeszcze jeden zwyczaj, bez którego można się obejść.

Azadeh spojrzała na ojca. Z trudem go poznawała, próbowała opanować przerażenie, jakie zaczęło ją ogarniać. Nawet w tym stanie, myślała, nawet w tym stanie może nas zniszczyć, Hakima i mnie. Nadal ma tego psa łańcuchowego, Ahmeda.

- Proszę mi powiedzieć prawdę. Co jest? Zmarszczki na twarzy pielęgniarki pogłębiły się.

243

- Robimy, co w naszej mocy.

- Czy byłoby lepiej, gdyby był w Teheranie?

- Tak, tak, gdyby miał następny atak, tak, byłoby lepiej. - Siostra Bain mówiąc mierzyła tętno pacjentowi.

- Ale niedobrze go ruszać, wcale, jeszcze nie teraz.

- Wpisała wynik do karty i spojrzała na Aiszę. - Mogłabyś powiedzieć pani, że nie trzeba tu zostawać. Jej też należy się dobry odpoczynek, biedne dziecko.

- Przepraszam, ale nie mogę się wtrącać. To też taki zwyczaj. Czy... czy następny atak jest

prawdopodobny?

- Nigdy nie wiadomo, panienko, to zależy od Boga. Mamy nadzieję, że będzie dobrze.

Obejrzały się na dźwięk otwieranych drzwi. Stał w nich rozpromieniony Hakim. Oczy Azadeh rozbliły; powiedziała do pielęgniarki:

- Proszę mnie zawołać natychmiast, gdy Jego Wysokość się obudzi. - Wypadła z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i uściskała brata. - Och, Hakimie, kochanie, tak długo cię nie widziałam - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Och, czy to może być prawdą?

- Tak, tak, to prawda, ale jak... - Hakim urwał, słysząc odgłos zbliżających się kroków. W

korytarzu pojawił się Ahmed ze strażnikiem. - Cieszę się, że wróciłeś, Ahmedzie - powiedział uprzejmie. - Jego Wysokość także się ucieszy.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Czy wydarzyło się coś podczas mojej nieobecności?

- Nie, poza tym, że dziś rano pułkownik Fazir chciał się zobaczyć z ojcem.

Ahmed zeszywniał.

- Czy wpuszczono go do Jego Wysokości?

- Nie, wydałeś przecież polecenie, żeby nie dopuszczać nikogo do Jego Wysokości bez jego zgody, a on wtedy spał. Spał zresztą prawie przez cały dzień. Sprawdzałem co godzina, a pielęgniarka mówiła, że nie zaszły żadne zmiany.

- To dobrze. Dziękuję. Czy pułkownik zostawił jakąś wiadomość?

244

- Tylko to, że jedzie dziś do Dżolfy, zgodnie z tym, co załatwił jego „współpracownik”. Czy wiesz, o co chodzi?

- Nie, Wasza Wysokość - skłamał gładko Ahmed. Obrzucił rodzeństwo uważnym spojrzeniem, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się Hakim:

- Będziemy w Błękitnym Salonie. Proszę nas zawiadomić, gdy tylko ojciec się obudzi.

Ahmed patrzył, jak odchodzili ramię w ramię korytarzem: wysoki i przystojny młodzieniec, i jego smukła i wzbudzająca pożądanie siostra. Zdrajcy? Niewiele czasu zostało na zdobycie dowodu, pomyślał. Wszedł do pokoju chorego. Dostrzegł śmiertelną bladość chana; jego nozdrza zadrgały, wyczuwając woń śmierci. Przykucnął i rozpoczął czuwanie.

114

Czego chciał ten pis syn, Fazir? W sobotę wieczorem, gdy Haszemi Fazir i Armstrong wrócili z Dżolfy bez Mzytryka, Fazir domagał się ze złością widzenia z Abdollahem. Ahmed był przy tej rozmowie. Chan powiedział wtedy, że jest równie jak oni zdumiony tym, że Mzytryk nie przyleciał helikopterem.

- Wróćcie jutro - rzekł. - Jeśli dostanę ten list, będziecie mogli go zobaczyć.

- Dziękuję, ale poczekamy. Chevy nie mógł zostać daleko w tyle.

Tak więc czekali. Chan kipiał ze złości, ale nie mógł nic na to poradzić. Ludzie Haszemiego zajęli stanowiska wokół pałacu. Po godzinie nadjechał chevy. Ahmed sam wpuścił szofera, a Fazir i znający farsi niewierny ukryli się za drzwiami przyległego pokoju.

- Mam prywatną wiadomość dla Jego Wysokości - powiedział Sowiet. W pokoju chorego oznajmił: - Wasza Wysokość, mam to panu wręczyć, gdy będzie pan sam.

- Daj mi to teraz. Ahmed jest moim najbardziej zaufanym doradcą. Daj!

Mężczyzna niechętnie usłuchał, a Ahmed pamiętał nagły skurcz twarzy chana w chwili, gdy ten rozpoczął lekturę listu.

245

- Czy będzie odpowiedź? - zapytał brutalnie Sowiet.

Oniemiały z gniewu Abdollah pokręcił przecząco głową, odprawił obcego i wręczył

Ahmedowi list. List zawierał następujące słowa: Mój przyjacielu, jestem wstrząśnięty wiadomością o twojej chorobie i byłbym teraz z tobą, gdyby nie to, że muszę tu zostać i załatwić bardzo pilne sprawy. Mam dla ciebie złe wieści: być może ty i twoja siatka szpiegowska zostaliście wydani Wywiadowi Wewnętrznemu lub SAVAMA. Czy wiesz, że ten odszczepieniec Pahmudi kieruje teraz nowym wcieleniem SA VAK-u? Jeśli wydano cię Pahmudiemu, bądź gotów do szybkiego odejścia albo niebawem obejrzysz izbę tortur od środka. Postawiłem na nogi naszych ludzi, żeby pomogli ci w razie potrzeby. Jeśli okaże się, że jest bezpiecznie, przybędę we wtorek o zmroku. Powodzenia.

Chan nie miał wyboru; musiał pokazać list obu mężczyznom.

- Czy to prawda? To o Pahmudim?

- Tak, to twój stary przyjaciel, prawda? - odparł Fazir, znęcając się nad rozmówcą.

- Nie... to nie jest przyjaciel. Wynocha!

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Na razie pałac jest pilnowany. Proszę nie robić niczego, co mogłoby przeszkodzić w przybyciu Mzytryka we wtorek, ani niczego, co zwiększyłoby nastroje wywrotowe w Azerbejdżanie. Co do Pahmudiego i SAVAMA, to nie mogą niczego zrobić bez mojej zgody. Teraz ja jestem prawem w Teb-rizie. Będzie pan posłuszny, ochronię pana; nie będzie pan,

wydam pana jako piszkesz!

Obaj mężczyźni wyszli, a chan wybuchnął gniewem. Tak rozżłoszczonego jeszcze go Ahmed nie widział. Paroksyzm gniewu wznagał się coraz bardziej, aż nagle ustąpił. Ahmed wpatrywał się w Abdollaha, który upadł na podłogę. Spodziewał się, że jego chlebodawca nie żyje. Ale żył. Woskowa bladość, skurcze mięśni twarzy, chrapliwy oddech.

- Wedle woli Boga - mruknął Ahmed. Tej nocy pozostał przy łożu chorego.

246

W BŁĘKITNYM SALONIE, 11:15. Gdy zostali sami, Hakim porwał Azadeh w ramiona i zakręcił nią.

- Och, to wspaniale, wspaniale, wspaniale, że znów cię widzę - zaczęła, ale on szepnął:

- Mów ciszej, Azadeh. Tutaj wszystkie ściany mają uszy, a ktoś może coś źle zrozumieć albo znów skłamać.

- Nadzud? Niech będzie przeklęta na wieki...

- Cicho sza, kochanie, ona nie może już nam zaszkodzić. Jestem dziedzicem. Oficjalnie. ,

- Och, powiedz mi, co się wydarzyło, powiedz wszystko!

Usiedli na długiej, wyłożonej poduszkami sofie; Hakim z trudem wydobywał z siebie słowa.

- Najpierw o Erikkim: okup wynosi milion riali za niego, a 212...

115

- Ojciec może trochę wytargować, na pewno zapłaci. Potem znajdziemy ich i rozerwiemy na kawałki.

- Tak, tak, oczywiście, może. Powiedział mi w obecności Ahmeda, że zaczniesz, gdy tylko przyjedziesz. Poza tym to prawda, że ustanowił mnie swym dziedzicem, ale tylko wtedy gdy przysięgnę na Boga, iż będę miłował małego Hasana, tak jak miłuję ciebie. Oczywiście z radością złożyłem to przyrzeczenie. Powiedział, że ty także musisz to przyrzec. Oboje mamy też przysięć, że pozostaniemy w Tebrizie; ja po to, żeby uczyć się od niego prowadzenia spraw, a ty po to, żeby mi pomóc i, och, będziemy tacy szczęśliwi!

- Czy to wszystko, co mamy zrobić? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak, tak, to wszystko; ustanowił mnie dziedzicem w obecności całej rodziny. Wyglądali tak, jakby mieli umrzeć, ale to nie ma znaczenia. Ojciec powiedział przy nich o swoich warunkach, a ja się od razu zgodziłem, tak jak i ty się zgodzisz. Dlaczego nie mielibyśmy się na to zgodzić?

- Oczywiście, nie ma żadnego powodu! Bóg nas strzeże! - Objęła go i wtuliła twarz w jego ramię,

- droga kiepska, a Ahmed mało komunikatywny - bała się na samą myśl o tych „warunkach”.

Ale teraz? - To nie do wiary, Hakimie, to jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki! Oczywiście, że będziemy kochać małego Hasa-na, a ty przekażesz chanat jemu albo jego następcom, skoro taka jest wola ojca. Bóg chroni nas i jego, a Eriki... Eriki może sobie latać, ile tylko chce, dlaczego by nie? Och, będzie cudownie! - Otarła łzy.

- Och, muszę strasznie wyglądać.

- Wyglądasz wspaniale. Powiedz mi teraz, co przydarzyło się tobie. Wiem tylko, że zostałam złapana w wiosce z... z brytyjskim sabotażystą, a potem jakoś uciekłam.

- To był kolejny cud, to tylko pomoc Boga, Hakimie, ale wszystko było straszne, ten okropny mułła... Nie pamiętam nawet, jak się wydostaliśmy, wiem tylko to, co Johnny... co Johnny mi powiedział. Mój Johnny, „Jasne Oczy”, Hakimie.

- Johnny ze Szwajcarii? - zdumiał się.

- Tak, tak, ten sam. To on jest tym brytyjskim oficerem.

- Ale jak... To wydaje się niemożliwe.

- Ocalił mi życie, Hakimie i... och, tak wiele jest do opowiadania.

- Gdy ojciec dowiedział się o wiosce... Wiesz, że mułła został zastrzelony przez Zielone Opaski? Nie wiesz?

- Niczego nie pamiętam; wiem tylko to, co powiedział mi Johnny.

- Gdy ojciec dowiedział się o tej wiosce, kazał Ahmedowi przywlec tu kalandara. Przesłuchał go, a potem odesłał. Kalandara ukamienowano, rzeźnikowi obcięto ręce, a wioskę spalono.

Spalenie wioski to był mój pomysł. Przeklęte psy!

Azadeh była wstrząśnięta. Cała wioska to zbyt straszna zemsta. Hakim nie dopuścił jednak do tego, żeby coś przerwało jego euforię.

a r^u**' ?jCieC odwołał strażnika i mogę chodzić, dokąd tylko chcę. Dzisiaj wziąłem nawet samochód

i pojechałem do Tebrizu. Wszyscy traktują mnie jak dziedzica, cała rodzina, nawet Nadzud, choć wiem, że zgrzyta zębami i trzeba się przed nią pilnować. Nie tego... nie tego się spodziewałem. - Opowiedział jej, jak niemal wywleczono go z Choju. Myślał, że go zabiją 116

albo okaleczą. - Pamiętasz, jak mnie wypędzał? Przeklął mnie i mówił, że Szach Abbas wiedział, jak postępować ze zdraździeckimi synami.

Zadygotała na wspomnienie tego koszmaru, klątw, gniewu i niesprawiedliwości; przecież oboje byli niewinni.

- Dlaczego on zmienił zdanie? Co się zmieniło?

- Wola Boga. Bóg otworzył mu oczy. Wie, że zbliża się śmierć i że musi podjąć decyzję.

On... on jest chanem. Może się boi i chce naprawić krzywdy, jakie nam wyrządził? Przecież jesteśmy niewinni. Zresztą, co za różnica? Nie dbam o to. Wreszcie spadło z nas jarzmo i jesteśmy wolni. Wolni.

W POKOJU CHOREGO, 11:16. Chan otworzył oczy. Nie poruszając głową, spojrzał tam, gdzie sięgał wzrokiem. Ahmed, Aisza i strażnik. Brak pielęgniarki. Zogniskował spojrzenie na siedzącym na podłodze Ah-medzie.

- Przywiozłeś ją? - Mówił z trudem, jękając się.

- Tak, Wasza Wysokość. Kilka minut temu. W polu widzenia pojawiła się pielęgniarka.

- Jak pan się czuje, ekscelencjo? - Mówiła po angielsku, jak jej polecił, gdyż uważał, że jej turecki jest bardzo zły.

- Tak samo.

- Proszę mi pozwolić. - Z ogromną łagodnością, ale i siłą, uniosła go i poprawiła poduszki. -

Czy potrzebuje pan butelkę, ekscelencjo?

Chan zastanowił się.

- Tak.

Podawała mu ją, a on poczuł się splugawiony, przyjmując taką usługę z rąk niewiernej.

Przekonał się już jednak wcześniej, że była nadzwyczaj sprawna, mądra 249

i dobra. Najlepsza w Tebrizie, o co zadbał Ahmed. Tak górowała nad Aiszą, która okazała się zupełnie bezużyteczna. Zobaczył, że Aisza uśmiecha się do niego nieśmiało. Duże, przestraszone oczy. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś wepchnę go w nią aż do końca, twardego niczym kość, jak za pierwszym razem, gdy płakała i wiała się z bólu, co zwiększało jeszcze jego przyjemność. Chwilowo.

- Ekscelencjo? Wziął tabletkę i popił wodą; podobał mu się chłód dłoni pielęgniarki. Potem uśmiechnął się do Ahmeda; cieszył się, że jego zausznik już wrócił.

- Dobra podróż?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Chętnie? Czy siłą? ^ Ahmed uśmiechnął się.

- Było tak, jak pan zaplanował, Wasza Wysokość. Chętnie. Dokładnie tak, jak pan zaplanował.

- Nie powinien pan tyle mówić, ekscelencjo - skarciła go pielęgniarka.

- Odejdź.

Poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

- Chciałby pan coś zjeść? Może trochę choresztu?

- Chałwa.

- Doktor powiedział, że słodyczne panu szkodzą.

- Chałwa!

Siostra Bain westchnęła. Lekarz zakazał słodczy, ale potem dodał: „Gdyby nalegał, proszę mu dać. Teraz to już bez znaczenia. In sza'a Allah. Znalazła chałwę, włożyła mu kawałek do ust i otarła ślinę. Żuł chałwę ze smakiem. Ciągająca się, ale łagodna i och, jaka słodka.

- Pańska córka przyjechała z Teheranu, Ekscelencjo !; - powiedziała pielęgniarka. - Prosiła mnie, żeby ją zawiadomić, gdy tylko się pan obudzi.

117

Abdollah-chan zauważył dziwne zjawisko. Próbował wypowiadać zdania, ale usta nie otwierały się wtedy, kiedy powinny, a słowa pozostawały długo w umyśle. Potem, gdy wypowiadał je w uproszczonej formie, nie

250

były dobrze formułowane, tak jak powinny być. Ale dlaczego? Robię wszystko tak samo jak przedtem. Przed czym? Nie pamiętam; tylko ciemność i walenie tętna, i gorące czerwone igielki, i niemożność zaczerpnięcia oddechu. Mogę już oddychać, słyszę dobrze i dobrze widzę, umysł pracuje i jest pełen planów, tak dobrych jak zwykle. Tylko trzeba to wypowiedzieć.

- Jook?

- Co takiego, ekscelencjo?

- Jook mowa lepiej?

- Ach - powiedziała, orientując się od razu w sytuacji; była bardzo doświadczona, jeśli chodzi o atak serca. - Proszę się nie martwić, tylko na początku będzie trochę trudniej. Potem odzyska pan panowanie nad głosem. Musi pan jak najwięcej odpoczywać, to bardzo ważne.

Wypoczynek, lekarstwa i cierpliwość, a będzie się pan czuł tak dobrze jak dawniej. Dobrze?

- Tak.

- Czy chce pan, żebym posłała po pańską córkę? Była taka niespokojna, to taka piękna dziewczyna.

Chwila ciszy.

- Później. Zobacc później. Wszyscy wyjijjś... nie Ahmd.

Siostra Bain zawahała się, a potem delikatnie poklepała dłoń chorego.

- Daję panu dziesięć minut, ale musi pan przyrzec, że potem odpocznie. Dobrze?

- Teek.

Gdy zostali sami, Ahmed zbliżył się do łóżka.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Godzina?

Ahmed spojrział na zegarek, złoty, ozdobny; bardzo go lubił.

- Prawie jedenasta trzydzieści. Wtorek.

- Petr?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. - Ahmed powtórzył relację Hakima. - Jeśli Petr przyjedzie dziś do Dżolfy, Fazir będzie na niego czekał.

- In sza'a Allah, Azadeh?

251

- Szczerze martwiła się o pana zdrowie i natychmiast zgodziła się tu przyjechać. Przed chwilą widziałem ją z pańskim synem; jestem pewien, że przystanie na wszystko, byle go chronić, a on też na wszystko, żeby ochraniać ją. - Ahmed próbował mówić zwięźle i jasno; nie chciał przemęczać chorego. - Co mam

zrobić?

- FFFsystko. - Wszystko, o czym mówiliśmy i jeszcze coś, myślał z ulgą chan. Odczuwał

rosnące podniecenie. Teraz, gdy Azadeh wróciła, wystarczy poderżnąć gardło posłańcowi żądającemu okupu, żeby górale się wściekli i zrobili to samo z pilotem. Ahmed musi sprawdzić, jakimkolwiek sposobem, czy te szczeniaki rzeczywiście zdradziły, a jeśli tak, to wyłupić Hakimowi oczy, a Azadeh odesłać na północ do Petra. Jeśli są niewinni, musi powoli pokroić Nadzud na kawałki, ich trzymać tutaj aż do śmierci pilota, a potem odesłać ją na północ. I Pahmudi! Nałożyłem na jego głowę taką cenę, że skusiłaby szatana. Ahmed, zaoferuj ją najpierw Faziro-wi i powiedz mu, że pragnę zemsty. Chcę, żeby Pah-mudiego łamano kołem, żeby go otruto, posiekano, okaleczono, wykastrowano...

118

Odczuł palpitację serca i chciał podnieść rękę, żeby rozmasować pierś; ręka nie drgnęła. Ani o centymetr. Nawet gdy na nią spojrział, nie dostrzegł żadnego ruchu. Nic. Niczego nie poczuł; ani w dłoni, ani w ramieniu. Ogarnął go strach.

Pielęgniarka powiedziała, żeby się nie obawiać, przypominał sobie desperacko, słysząc szum fal. Miałem atak, to wszystko, lekarz mówił, że nie najgorszy, i dodał, że wielu ludzi to ma.

Stary Komargi miał zawał wiele lat temu, a żyje, jest aktywny-i twierdzi, że ciągle sypia ze swą młodą żoną. Przy nowoczesnym leczeniu... jesteś dobrym muzułmaninem i pójdiesz do rajy, więc nie ma się czego obawiać, nie ma się czego obawiać, nie ma... Jeśli umrę, trafię do rajy...

Nie chcę umierać, wrzasnął i powtórzył ten okrzyk, który rozbrzmiał tylko w jego myślach.

- O co chodzi, Wasza Wysokość?

252

Zobaczył niepokój Ahemda i to go trochę uspokoiło. Dzięki Bogu, jest tu Ahmed. Jemu mogę zaufać, pomyślał, oblewając się potem. Co on ma zrobić?

- Rodzina cała potem. Teraz Azadeh, Hakim, Na...dźdźdźud...

- Tak, Wasza Wysokość. Żeby potwierdzić sukcesję?

- Ttak.

- Czy mam pańskie pozwolenie na przesłuchanie Jej Wysokości?

Potwierdził, opuszczając ołowiane powieki; czekał, aż ból w piersi zelżeje. Poruszył nogami, poczuł szpileczki w stopach. Nogi nie drgnęły, nie za pierwszym razem, potem wysiłek.

Znów ogarnęło go przerażenie. Owładnięty paniką zmienił zdanie:

- Ppłać okup szszybko, pilot tu, Erikki tu, mnie do Tehher. Zroz-um-iałeś? - Dostrzegł

skinienie Ahmeda. - Szybko - poruszył ustami i chciał poprzeć to słowo gestem, alejewa ręka nie drgnęła. Przerażony spróbował poruszyć prawą. Udało się. Z trudem, ale poruszył. Panika częściowo minęła. - Płać okkup teraz. Tttajem-nicca. Pielęgggniarkka.

SKRZYŻOWANIE W DŻOLFIE, 18:25. Haszemi Fazir i Armstrong ponownie oczekiwali w ukryciu pod drzewami obsypanymi śniegiem. Niżej stał chevy z wyłączonymi światłami i otwartymi oknami, na przednim siedzeniu dwóch mężczyzn; wszystko tak jak poprzednio. Na zboczach wzgórza za nimi i po obu stronach szosy Dżolfa-Tebriz czekało pięćdziesięciu gotowych do akcji ludzi. Słońce schowało się już za górami, a niebo w widoczny sposób pociemniało.

- Nie ma zbyt wiele czasu - mruknął Haszemi po raz któryś z rzędu.

- Poprzednio przyleciał o zmroku. Zmroku jeszcze nie ma.

- Naszczać na niego i jego przodków. Zmarzłem na kość.

- To już niedługo, Haszemi, stary byku!

253

Gdyby to zależało od niego, Armstrong czekałby nie wiedzieć jak długo, żeby schwytać Mzytryka alias Sus-łowa alias Brodnina. Po sobotnim niepowodzeniu zaofiarował się, że będzie czekał w Tebrizie: „Zostaw mi ludzi, Haszemi. Zorganizuję we wtorek zasadzkę, a ty możesz wrócić do Teheranu. Poczekam tu, wezmę go i przywiozę do ciebie.

- Nie, ja wyjeżdżam od razu i wracam we wtorek. Ty możesz tu zostać.

„Tu” to była kryjówka, mieszkanie z oknami wychodzącymi na Błękitny Meczet, ciepłe i zaopatrzone w whisky.

- Czy to prawda, Haszemi, co powiedziałeś chanowi? Rzeczywiście jesteś tu prawem, a Pahmudi i SAVA-MA są bez ciebie bezsilni?

- Tak, och, tak.

- Pahmudi musiał naprawdę zależeć Abdollahowi za skórę. O co w tym wszystkim chodzi?

- Pahmudi wypędził Abdollaha z Teheranu.

- Chryste! Dlaczego?

119

- Zadawniona wrogość, jeszcze sprzed wielu lat. Abdollah, od czasu gdy został chanem w 1953, zawsze doradzał kolejnym premierom i przedstawicielom sądownictwa, żeby podchodzili z rezerwą

do reform politycznych i tak zwanej modernizacji. Pahmudi, wyedukowany w Europie intelektualista, pogardzał nim. Zawsze występował przeciwko niemu, zawsze blokował mu dostęp do Szacha. Szach chętnie wysłuchiwał Pahmudiego, na swą zgubę.

- On go w końcu zdradził?

- Och tak, Robercie, może nawet od samego początku. Abdollah-chan i Pahmudi po raz pierwszy starli się ze sobą otwarcie w 1963 roku. Chodziło o reformy proponowane przez Szacha, o danie kobietom prawa głosu, o prawa wyborcze grup niemuzułmańskich i o danie im biernego prawa wyborczego do Medżlesu. Oczywiście Abdollah wiedział, jak każdy myślący Irańczyk, że wywoła to wściekłość wszystkich przywódców religij-254

nych, a zwłaszcza Chomeiniego, który zaczynał się już wtedy rozpędzać.

- To prawie nie do uwierzenia, że nikt nie mógł dostać się do Szacha, żeby go ostrzec - zauważył Armstrong.

- Wielu dotarło, ale nikt nie był dostatecznie wpływowy. Większość z nas zgadzała się z Chomeinim, otwarcie lub skrycie. Ja też. Abdollah przegrywał z Pah-mudim rundę za rundą.

Wbrew naszym radom Szach zmienił święty dla muzułmanów kalendarz islamski na obliczanie czasu od narodzin Chrystusa, a potem próbował wymusić liczenie od Cyrusa Wielkiego... To oczywiście wzburzyło wszystkich muzułmanów i przed samą rewolucją zostało zniesione... - Haszemi dopił drinka i nalał sobie następnego. - Potem, publicznie, Pahmudi powiedział Abdollahowi, żeby się odpierdolił. Dosłownie. Mam to udokumentowane. Obrażał go, mówił, że jest głupi, przestarzały, że nadaje się do Wieków Ciemności. „Zresztą, co w tym dziwnego, jeśli pochodzi się z Azerbejdżanu”, powiedział i nakazał chanowi trzymać się z dala od Teheranu i nie pojawiać tam, jeśli nie zostanie wezwany lub aresztowany. Co gorsza, drwił z niego i umieszczał w prasie czytelnie zawoalowane karykatury Abdollaha.

- Nie wiedziałem, że Pahmudi jest taki głupi - rzucił Armstrong, żeby zachęcić Fazira do mówienia; zastanawiał się, jak przy okazji zdobyć jakąś wartościową informację.

- Jest, dzięki Bogu. Dlatego jego dni są policzone.

Armstrong pamiętał dziwną pewność, jaka przepełniała Fazira, i to, jaki był zaniepokojony.

To uczucie nie opuszczało go, gdy czekał, aż Haszemi wróci do Teb-rizu. Nie było rozsądnie włączyć się po ulicach, na których toczyły się walki rywalizujących ze sobą grup. W ciągu dnia policja i lojalne oddziały wojska utrzymywały jaki taki spokój w imieniu Ajatollaha.

Nocą jednak trudno było powstrzymać rzesze fanatyków od terroryzowania poszczególnych części miasta.

- Moglibyśmy ich łatwo zlikwidować, gdyby ten stary diabeł Abdollah nam pomógł - rzucił

ze złością

Haszemi.

- Abdollah-chan nadal rządzi? Nawet teraz, gdy jest już jedną nogą na tamtym świecie?

- Och, tak, nadal jest dziedzicznym przywódcą ogromnego szczepu. Co do bogactwa, ukrytego i realnego, mógłby rywalizować z Szachem. Może nie z Mohammadem Rezą, ale na pewno z jego ojcem.

- Wkrótce umrze. Co będzie potem?

- Jego następcą będzie równie potężny, jeśli założymy, że ten biedny sukinsyn Hakim przeżyje i będzie mógł z tego skorzystać. Powiedziałem ci już, że został spadkobiercą?

- Nie. Co w tym dziwnego?

120

- Hakim jest najstarszym synem. Przez wiele lat był w niełasce, na wygnaniu w Choju. Chan sprowadził go z powrotem i przywrócił do łask.

- Dlaczego? Dlaczego został wygnany?

- To, co zwykle. Przyłapano go na spiskowaniu. Chciał wysłać ojca tam, gdzie ten wysłał przedtem swojego.

- Jesteś pewien?

- Nie, ale o dziwo, ojciec Abdollaha zmarł w daczynie, Mzytryka w Tbilisi. - Fazir uśmiechnął się, widząc

wrażenie, jakie wywołały jego słowa. - Na apopleksję.

- Od jak dawna o tym wiesz?

- Wystarczająco. Kiedy złapiemy tego twojego Mzytryka, możemy go zapytać, czy to prawda. Na pewno go złapiemy, choć oczywiście byłoby łatwiej, gdyby Abdollah wyżył. -

Haszemi spochmurniał. - Mam nadzieję, że zdąży jeszcze pomóc nam w zakończeniu tej wojny tutaj. Potem może zgnieć. Nienawidzę tego występnego starca za grę do dwóch bramek i wykorzystywanie nas wszystkich do własnych celów. Właśnie dlatego dopiekłem mu Pahmudim. Jasne, że go nie znoszę, ale mimo to nigdy nie oddałbym go Pahmudie-mu. Na swój własny, parszywy sposób jest

jednak wielkim patriotą. No dobra, jadę do Teheranu, Rober-256

cie. Wiesz, gdzie mnie szukać. Chciałbyś dostać jakieś towarzystwo do łóżka?

- Tylko wodę bieżącą. Gorącą i zimną.

- Powinieneś trochę poeksperymentować. Spróbuj na przykład dla odmiany z chłopcem. Och, na miłość boską, nie krzyw się tak. Już tyle razy mnie rozczarowałeś, że nie wiem, skąd mam dla ciebie tyle cierpliwości.

- Dzięki.

- Wy, Anglicy, jesteście tacy zdeprawowani i pokręceni w sprawach seksu. Tylu jest u was jawnych i ukrytych homoseksualistów. Pozostali uważają ich za odrażających grzeszników, co nie jest prawdą. A co dopiero w świecie Arabów, gdzie związki między mężczyznami są od pradawnych wieków czymś zwykłym, gdyż prawo zabraniało zawsze spania z kobietami innymi niż żony. Homoseksualizm, taki jak wy to rozumiecie, jest tu właściwie nieznany.

Jeśli mężczyzna woli stosunki analne, to co z tego? Tutaj to nie odejmuje mu męskości.

Doświadczyć czegoś nowego, Robercie. Życie jest krótkie. A na razie ona tu będzie. Możesz z niej korzystać. I nie obrażaj mnie, proponując jej pieniądze.

„Ona” była białą, atrakcyjną chrześcijanką. Przespał się z nią, nie czując takiej potrzeby, raczej z grzeczności. Potem podziękował i pozwolił jej zostać do rana w łóżku, żeby następnego dnia posprzątała, ugotowała coś i zapewniła mu rozrywkę. Dziś rano, gdy się obudził, już jej nie było.

Teraz Armstrong spojrział na zachodni wycinek nieba. Było już znacznie ciemniej, resztki światła prędko znikwały. Czekali następne pół godziny.

- Jest już za ciemno, żeby pilot mógł wylądować, Robercie. Zabierajmy się stąd.

- Chevy jeszcze nie odjechał. - Armstrong wyjął pistolet i sprawdził jego działanie. - Wrócę, gdy chevy odjedzie, dobra?

Zwalisty Irańczyk wlepił w niego twarde spojrzenie.

- Niżej będzie czekał samochód, zaparkowany przodem do Tebrizu. Zabierze cię do mieszkania. Czeka tam na mnie. Wracam teraz do Teheranu. Muszę 257

załatwić pewne ważne sprawy, które nie mogą czekać. Ważniejsze od tego psa. On chyba wie, że na niego

czekamy

- Kiedy tu wrócisz?

- Jutro. Zostaje jeszcze sprawa chana. - Klnąc zniknął w ciemnościach.

Armstrong patrzył, jak Haszemi odchodził. Był zadowolony, że został sam. Coraz trudniej było współpracować z Fazirem, robił się coraz niebezpieczniejszy, bardziej wybuchowy, nerwy napięte, zbyt napięte jak na szefa Wywiadu Wewnętrznego, dysponującego tak ogromną władzą, a poza tym tajną, prywatną armią wyszkolonych zabójców. Robercie, czas wysiąść z tego wózka. Nie mogę, jeszcze nie teraz. No dalej, Mzytryk, księżyc świeci, możesz, na Boga, lądować.

Po dziesiątej zapłonęły reflektory chevy. Mężczyźni zamknęli okienka i odjechali. Armstrong ostrożnie zapalił papierosa, osłaniając ogień rękawiczką. Dym sprawił mu wielką przyjemność. Gdy skończył palić, rzucił niedopałek w śnieg i rozgniół go butem. Potem odszedł.

NAD GRANICĄ IRAŃSKO-SOWIECKĄ, 23:05.

Erikki udawał, że śpi. Leżał w małej, prymitywnej chatce; na brodzie pojawiła się szczecina zarostu. Knot pływający w oleju, nalany do obtłuczonej glinianej miseczki, skwierczał i rzucał dziwne cienie. Na prymitywnym kamiennym palenisku żarzyły się węgle. Erikki otworzył oczy i rozejrzał się. W chacie nie było nikogo. Bezszelestnie wysliznął się spod koców i skór. Był ubrany. Włożył buty, upewnił się, że za pasem tkwi nóż, podszedł do drzwi i ostrożnie je otworzył.

Przez chwilę nasłuchiwał z lekko przechyloną na bok głową. Pokrywa chmur zamglila księżyc, a wiatr poruszał cieńszymi gałęziami drzew. Wioska była cicha pod pierzyną śniegu.

Nie zobaczył żadnych wartowników. Żadnego ruchu koło wiaty, pod którą stał 212.

Poruszając się jak myśliwy, obszedł łukiem chaty i skierował się do wiaty.

258

212 był starannie okryty, skóry i koce w miejscach, które najbardziej tego potrzebowały, wszystkie drzwi zamknięte. Przez boczne okienko Erikki widział dwóch mieszkańców wioski, owiniętych kocami i wyciągniętych na siedzeniach. Spali. Obok leżały karabiny.

Posunął się nieco do przodu. Wartownik w kokpicie trzymał karabin; miał szeroko otwarte oczy. Nie zauważył jeszcze Erikkiego. Rozległ się cichy odgłos kroków. Smród owiec, kóz i zastarzałego tytoniu poprzedził zjawienie się człowieka.

- Co to jest, pilocie? - zapytał cicho młody Bajazid.

- Nie wiem.

Teraz wartownik usłyszał ich głosy, wyjrzał przez okienko, pozdrowił wodza i zapytał, o co chodzi.

- O nic - odpowiedział szejk. Odprawił gestem strażnika i zaczął wpatrywać się z namysłem w ciemności nocy. W ciągu kilku dni, jakie obcy spędził w wiosce, polubił go i zaczął

poważać jako człowieka i myśliwego. Dziś zabrał go do lasu, żeby go sprawdzić. Potem, na próbę i dla własnej przyjemności, dał mu karabin. Pierwsza kula Erikkiego trafiła z dużej odległości kozicę tak dokładnie, jakby to Bajazid strzelał. Wręczenie karabinu było ekscytujące. Zastanawiał się, co obcy by zrobił, gdyby był na tyle głupi, żeby coś zrobić.

Spróbuj w niego wycelować? Albo jeszcze głupiej, zniknie za drzewami i dostarczy im rozrywki polowania na siebie? Ale Czerwonowłosa z Nożem po prostu polował, zachowując swe pomysły dla siebie, choć wszyscy widzieli, że myśl o jakimś gwałtowniejszym działaniu nie daje mu spokoju. ,

- Wyczułeś jakieś niebezpieczeństwo? - zapytał.

- Nie wiem. - Erikki spojrzał na niego, a potem rozejrzał się wokół. Żadnego dźwięku oprócz odgłosów wiatru, jakichś nocnych zwierząt, nic niezwykłego. Mimo wszystko nie uspokoił

się. - Nadal żadnych wieści?

- Nie, nic. - Po południu powrócił jeden z posłańców. - Chan jest bardzo chory, bliski śmierci

- powiedział. - Lecz obiecał prędką odpowiedź.

259

122

Bajazid ufnie opowiedział wszystko Erikkiemu.

- Pilocie, bądź cierpliwy - powiedział. - Nie chcemy kłopotów.

- Na co choruje chan?

- Jest chory. Posłaniec powiedział, że powiedziano im, że jest chory, bardzo chory. Chory!

- Co będzie, jeśli umrze?

- Zapłaci jego następcę. Albo nie zapłaci. In sza a Allah. - Szejk poprawił na ramieniu bojowy karabin. - Schowajmy się, jest zimno.

Z progu chaty mogli patrzeć w dół, w dolinę. Cisza i spokój, nieliczne odbłaski reflektorów na szosie, daleko w dole.

To tylko trzydzieści minut od pałacu i Azadeh,

myślał Erikki. I nie ma jak uciec.

Za każdym razem, gdy włączał silniki, żeby naładować akumulatory i rozgrzać olej, mierzyło w niego pięć karabinów. W innych warunkach mógłby spróbować ubrać się i uciekać pieszo.

Teraz nie mogło się udać; wartownicy byli zbyt czujni. Dziś, podczas polowania, kusilo go, żeby się wyrwać. Oczywiście beznadziejnie; po prostu się nim bawili.

- To nic nie było, pilocie, wracajmy spać - powiedział Bajazid. - Może jutro dotrą jakieś dobre wiadomości. Wedle woli Boga.

Erikki nie odpowiedział. Badał wzrokiem ciemności, nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

Może Azadeh jest w niebezpieczeństwie, a może... może po prostu wariuję od tego czekania, martwienia się i zastanawiania, co się stało. Czy Ross i ten żołnierz uciekli? Co z tym Petrem Mzytrykiem i Abdollahem? Wedle woli Boga, tak, zgoda, a jednak chciałbym stąd odejść.

Czas nadszedł.

Młodszy mężczyzna ukazał w uśmiechu złamany

ząb.

- Potem będę musiał cię związać.

Erikki odwzajemnił uśmiech, równie bezlitosny. - Zostanę jeszcze dobrą. Potem odejdę o świcie.

- Nie.

260

- Tak będzie lepiej i dla was, i dla mnie. Możemy pójść do pałacu z twoimi ludźmi. Mogę...

- Nie. Poczekamy.

- Mogę polecieć helikopterem i wylądować na dziedzińcu. Porozmawiam z nim, wy zabierzecie okup i...

- Nie. Poczekamy. Poczekamy tutaj. Tam nie jest bezpiecznie.

- Jeśli nie odejdziemy razem, odejdę sam. Szejk wzruszył ramionami.

- Ostrzegłem cię, pilocie.

W PAŁACU CHANA, 23:38. Ahmed pędził przed sobą korytarzem Nadzud i jej męża Mahmuda, traktując ich jak bydło. Byli w nocnych strojach, rozczochrani i przerażeni.

Nadzud we łzach, za nimi dwóch strażników. Ahmed trzymał w ręku nóż. Pół godziny wcześniej wpadł ze strażnikami do ich sypialni, wyciągnął z pościeli i oznajmił, że chan dowiedział się wreszcie o ich kłamstwie na temat spisku Hakima i Azadeh. Powiedział, że jeden ze służących podsłuchał rozmowę rodzeństwa, z której wynikało, iż oboje są niewinni.

- To kłamstwo - wykrztusiła Nadzud. Jeden ze strażników przyciskał ją do posłania z dywanów i oślepił światłem latarki skierowanej prosto w twarz. Drugi przykładął lufę do głowy Mahmuda. - Same kłamstwa...

Ahmed wyciągnął ostry jak brzytwa nóż i przysunął ostrze do jej twarzy, pod lewym okiem.

- To nie są kłamstwa, Wasza Wysokość! Popełniłaś krzywoprzysięstwo wobec ojca i wobec Boga. Z rozkazu chana przybyłem tu, żeby pozbawić cię wzroku.

Przyłożył czubek noża do jej skóry. ,

123

- Nie! - wrzasnęła. - Proszę, błagam, proszę, nie... poczekaj...

- Przyznajesz, że skłamałaś?

- Nie, ja nigdy nie kłamię. Pozwól mi zobaczyć się z ojcem, on by nie wydał takiego polecenia bez wysłuchania mnie najp...

- Już nigdy go nie zobaczysz! Dlaczego miałby z tobą rozmawiać? Skłamałaś wtedy i teraz też kłamiesz!

261

- Ja... ja nigdy nie skłamałam, nigdy... Uśmiechnął się. Już od lat wiedział, że kłamała. Nie miało to dotychczas dla niego znaczenia, ale teraz sytuacja się zmieniła.

- Skłamałaś w imię Boga. - Ostrze przecięło skórę. Przerażona Nadzud próbowała krzyknąć, ale na jej ustach zacisnęła się dłoń Ahmeda. Kusiło go, żeby pchnąć nóż jeszcze o milimetry, potem cofnąć, powtórzyć to z drugiej strony i już po wszystkim, skończone na zawsze. -

Kłamczucha!

- Litości - wykrztusiła - litości, w imię Boga... Rozluźnił chwyt, ale nie cofnął noża.

- Ja nie mogę ci przebaczyć. Błagaj o przebaczenie Boga; to chan cię skazał!

- Czekaj... poczekaj - rzuciła gorączkowo, czując, że mięśnie napastnika się napinają. -

Proszę... pozwól mi pójść do ojca... pozwól błagać go o litość, jestem jego córką...

- Przyznajesz, że skłamałaś?

Zawahała się; ogarnięta strachem, trzepotała powiekami w rytm kołatania serca. Nóż poruszył się i wtedy

krzyknęła:

- Przyznaję, przyznaję, że przesadza...

- W imię Boga, skłamałaś czy nie? - warknął Ahmed.

- Tak... tak... skłamałam... proszę, pozwól mi pójść do ojca... proszę.

Wylewała strumieniami łzy, a on udał, że się waha, że nie wie, co zrobić. Spojrzał na jej męża, który leżał obok na dywanach i dygotał ze strachu.

- Ty też jesteś winny!

- Nic o tym nie wiedziałem, nic. - Mahmud cały się trząsał. - W ogóle nic. Ja nigdy nie skłamałem chanowi, nigdy, nic nie wiem...

Ahmed popchnął ich brutalnie. Strażnik otworzył drzwi pokoju chorego. Byli tam Azadeh, Hakim i Aisza. Wezwano ich przed chwilą, wrywając ze snu. Byli przestraszeni, pielęgniarka też. Chan nie spał; rozmyślał ponuro, oczy nabiegły mu krwią. Nadzud padła na 262

kolana i zawołała, że przesadziła, oskarżając Hakima i Azadeh; gdy zbliżył się Ahmed, załamała się ostatecznie.

- Skłamałam, skłamałam, proszę o wybaczenie, ojcze, proszę, przebacz mi... Łaski, łaski...
łaski...

Mahmud, bełkocząc nieskładnie, zawodził i płakał, mówił, że o niczym nie wiedział, a gdyby wiedział, to by na pewno wyznał prawdę, w obliczu Boga, oczywiście by wyznał, w obliczu Boga, oczywiście... Oboje błagali o łaskę. Wszyscy wiedzieli, że łaski nie będzie.

Chan hałaśliwie odchrząknął. Cisza. Wszyscy zawiśli wzrokiem na jego twarzy. Poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pielęgniarka i Ahmed podeszli bliżej.

- Ahhmd i Hkim i Adeh zstać... inny iść stttrażzą.

- Wasza Wysokość - odezwała się łagodnie pielęgniarka. - Czy to nie może poczekać do jutra? Jest pan bardzo zmęczony. Proszę, proszę załatwić to jutro.

Abdollah przecząco pokręcił głową.

- Teeaz.

Pielęgniarka była już bardzo zmęczona.

- Nie mogę przyjąć na siebie żadnej odpowiedzialności. Ekscelencjo Ahmed, proszę to załatwić jak najszybciej.

Rozgoryczona wyszła. Strażnicy wywlekli Nadżud i Mahmuda. Wyszła też roztrzęsiona Aisza. Chan zamknął na chwilę oczy, zbierając siły. Tylko jego chrapliwy oddech zakłócał

ciszę. Ahmed. Hakim i Azadeh czekali. Minęło dwadzieścia minut. Chan otworzył oczy; wydawało mu się, że minęło zaledwie kilka sekund.

- Ssyn uffaj Ahmed pierrwszy zzzauffan.

- Tak, ojczcie.

- Przys... Boga... obboje.

Słuchał uważnie, gdy mówili zgodnie:

- Przysięgamy na Boga ufać Ahmedowi jako pierwszemu zaufanemu.

Już wcześniej złożyli to przyrzeczenie przed całą rodziną. Przysięgali też w innych sprawach.

Przyrzekli, że będą kochać małego Hasana i opiekować się nim.

263

Hakim przyrzekł, że uczyni Hasana swym spadkobiercą. Oboje obiecali, że pozostaną w Tebrizie, a Azadeh, że przynajmniej przez dwa lata nie wyjedzie z Iranu. „W ten sposób, Wasza Wysokość”, tłumaczył wcześniej Ah-med, „żadne cudzoziemskie wpływy, na przykład jej męża, nie skłonią Azadeh do ucieczki przed odesłaniem na północ, niezależnie od tego, czy jest winna, czy nie”. To mądre, myślał Abdollah, czując wstręt do Haki-ma i Azadeh, którzy pozwolili, aby krzywoprzysięstwo Nadżud przez tyle lat nie wyszło na jaw i przez tyle lat nie zostało ukarane. Czuł też wstręt do Nadżud i Mah-muda. Za ich słabość. Żadnej odwagi, żadnej siły. No cóż. Hakim będzie się uczył i ona będzie się uczyła. Gdybym tylko miał więcej czasu...

- Az...eh.

- Tak, ojczcie?

- Nadż...ud jak kara?

Zawahała się, znów przestraszona; wiedziała, jak działa jego umysł, czuła zamykającą się wokół niej pułapkę.

- Wypnanie. Wypnaj ją, jej męża i rodzinę. Głupia, nigdy nie zrodzisz chanów z rodu Gorgonów, pomyślał, ale był zbyt zmęczony, żeby to powiedzieć, więc tylko skinął głową i odprawił ją gestem.

Azadeh, zanim odeszła, pochyliła się i pocałowała ojca w rękę.

- Okaż łaskę, ojczy, proszę. - Z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech, dotknęła jego dłoni i odeszła.

Widział, jak zamyka za sobą drzwi.

- Hakim?

Hakim też przeczuwał pułapkę; bał się, że nie zadowolili ojca. Pragnął zemsty, ale nie tak okrutnego wyroku, jakiego spodziewał się po ojcu.

- Wewnętrzne wygnanie, na zawsze i bez grosza - powiedział. - Niech sami zarabiają na swe utrzymanie. Wygnaj ich też ze szczepu.

Trochę lepiej, pomyślał Abdollah. W normalnych warunkach taka kara byłaby straszliwa. Ale nie wtedy, gdy jest się chanem, a oni zawsze stanowiąc będą za-

grożenie. Odprawił syna ręką. Hakim także pocałował ojca w rękę i życzył mu dobrej nocy.

Gdy zostali sami, Abdollah powiedział:

- Ahm...ed?

- Wygnaj ich jutro na pustkowie na północ od Meszhedu, bez grosza, pod strażą. Za rok i dzień, gdy będą już pewni, że uszli z życiem, gdy będą mieć jakiś dom czy chatę, będą się czymś zajmować, spal ten dom, a ich zabij. I ich troje dzieci.

Chan uśmiechał się.

125

- Dooobrz, zrób to.

- Tak, Wasza Wysokość. - Zadowolony Ahmed odwzajemnił uśmiech.

- Teraz ssspać.

- Dobranoc, Wasza Wysokość.

Ahmed patrzył, jak powieki choremu opadają i zapada on w niezdrowy sen.

Wiedział, że musi być bardzo ostrożny. Po cichu otworzył drzwi. Hakim i Azadeh czekali na korytarzu razem z pielęgniarką. Zaniepokojona pielęgniarka minęła Ahmeda, zbadła choremu puls i przyjrzała się mu uważnie.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała Azadeh, stojąc w drzwiach.

- Któż to może wiedzieć, panienko? Zmęczył się, bardzo się zmęczył. Lepiej niech wszyscy teraz odejdą.

Hakim zwrócił się nerwowo do Ahmeda.

- Co postanowił?

- Wygnać ich bez pieniędzy na północ od Meszhedu jutro o świcie i wykluczyć ze szczepu.

On sam powie panu o tym jutro, Wasza Wysokość.

- Wedle woli Boga. - Azadeh odczuła ulgę, gdyż obawiała się czegoś gorszego. Hakim promieniał, gdyż stało się tak, jak on doradzał. - Moja siostra i ja, my, eee, nie wiemy, jak podziękować ci za pomoc, Ahme-dzie, i za... za wydobycie wreszcie prawdy na światło dzienne.

- Dziękuję, Wasza Wysokość, ale wykonywałem tylko polecenia chana. Gdy nadejdzie czas, będę panu

265

służył tak jak Jego Wysokości. Kazał mi to poprzysiąc. Dobranoc. - Ahmed uśmiechnął się do siebie, zamknął drzwi i wrócił do łóżka chorego. - Jak on się miewa?

- Nie za dobrze, agha. - Bolały ją plecy i padała ze zmęczenia. - Jutro ktoś musi mnie zmienić. Powinniśmy mieć dwie pielęgniarki i siostrę. Przepraszam, ale sama nie dam już rady.

- Dostanie pani wszystko, czego zechce, ale proszę zostać. Jego Wysokość bardzo sobie ceni pani opiekę. Jeśli trzeba, popilnuję go przez jakiś czas. W pokoju obok jest kanapa; mogę panią zawołać, gdyby coś się

wydarzyło.

- Och, to bardzo miło z pana strony, dziękuję. Trochę się zdrzemnę, ale proszę mnie zawołać, gdyby się obudził, a tak czy inaczej, za dwie godziny.

Zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju, odprawił strażnika i powiedział mu, żeby wrócił za trzy godziny. Potem rozpoczął czuwanie. Po półgodzinie zajrzał po cichu do bocznego pokoju. Pielęgniarka mocno spała. Wrócił do pokoju chorego, zamknął drzwi, wziął głęboki oddech, przejechał dłonią po włosach i podszedł do łóżka. Mocno potrząsnął chanem.

- Wasza Wysokość - syknął, udając zdenerwowanie. - Proszę się obudzić! Obudzić!

Chan, wyrwany z głębokiego snu, nie wiedział, gdzie jest, czy coś się stało, czy to znowu koszmar senny.

- Cc..o, cc...o? - Zogniskował spojrzenie i zobaczył Ahmeda, który wyglądał na przerażonego, co było niebywałe. Zadrzał. - Cc.oo...

- Prędko, musi pan wstać. Na dole jest Pahmudi, Abrim Pahmudi z katami z SAVAMA, przyszli po pana. - Ahmed z trudem chwycił oddech. - Ktoś otworzył im drzwi, zdrada, zdrajca pana wydał, Hasze-mi Fazir dał pana Pahmudiemu i SAVAMA jako pisz-kesz.

Prędko, wstawać, oni pokonali strażników i idą po pana... - Zobaczył przerażone, wytrzeszczone oczy. Mówił dalej: - Jest ich zbyt wielu, nie zatrzymam ich! Szybko, musi pan uciekać... - Zręcznie odłączył kroplówkę i zdarł z chorego kołdrę. Zaczął pomagać Abdol-266

126

lahowi we wstawaniu, ale nagle przerwał i cisnął go z powrotem na łóżko. Wlepił spojrzenie w drzwi. - Za późno - wydyszał. - Proszę posłuchać, oni nadchodzą, nadchodzą, Pahmudi na czele, nadchodzą!

Chan ciężko oddychał, zdawało mu się, że słyszy kroki, że widzi Pahmudiego, jego pociągłą twarz i uśmiech zadowolenia, widzi narzędzia tortur w korytarzu. Wiedział, że nie będzie litości, że utrzymają go przy życiu po to, by je po kawałku i boleśnie odejmować. Stracił

głowę i krzyknął do Ahmeda: „Prędko, pomóż mi, jeśli mi pomożesz, wyjdę przez okno! Na Boga, Ahmedddddd...” Słowa nie wydobywały się jednak z krtani. Spróbował po raz drugi, ale usta straciły połączenie z mózgiem; mięśnie szyi napięły się z wysiłku, żyły omal nie pękły.

Wydawało mu się, że nieskończenie długo krzyczał na Ahmeda, który tylko stał i patrzył na drzwi. Odgłos zbliżających się kroków, coraz bliżej.

- Pmcy - udało mu się wykrztusić.

Walczył, żeby wydostać się z łóżka; kołdra przyciskała go, krępowała, dławiła, coraz większy ból w piersi, ogromny...

- Nie ma ucieczki, są tutaj. Muszę ich wypuścić!! Przeważenie chana sięgnęło zenitu, gdy zobaczył, że

Ahmed rusza do drzwi. Chciał go zatrzymać resztką sił, ale tylko zaskrzeczał. Poczł, że coś przekręca mu się w głowie, że przez mózg przebiegła iskra; ból zelżał, hałas przycichł.

Zobaczył uśmiech Ahmeda. Zdał sobie sprawę z ciszy na korytarzu, ciszy panującej w całym pałacu i wiedział już, że naprawdę został zdradzony. Najostatniejszym wysiłkiem rzucił się na Ahmeda, ogniki w głowie oświetlały drogę w dół głębokiej studni, czerwonej, cieplej i płynnej. Tam, w nadirze, zdmuchnął ogień i zapadły ciemności.

Ahmed upewnił się, że chan nie żyje; był zadowolony, iż nie musiał posłużyć się poduszką, aby go udusić. Prędko podłączył kroplówkę, sprawdził, czy nie ma zacieków, które mogłyby go zdradzić, uporządkował trochę pościel, a potem, bardzo starannie, zbadał pokój.

267

Nie znalazł niczego, co mogłoby go wydać. Oddychał ciężko, czuł pulsowanie w skroniach, ale był

bardzo wesoły. Jeszcze jeden rzut oka dla pewności. Po cichu otworzył drzwi z zamka, bezszelestnie podszedł do łóżka. Chan leżał na poduszkach, z nosa i ust ciekła mu krew.

- Wasza Wysokość! - ryknął. - Wasza... - Pochylił się, chwycił na chwilę Abdollaha, puścił go i przebiegł przez pokój. - Pielęgniarka! - krzyknął i wpadł do bocznego pokoju, chwycił kobietę, wrywając ją z głębokiego snu, i na wpół zaniósł, na wpół zaciągnął do łóża chana.

- Och, mój Boże - mruknęła, odczuwając ulgę, że nie stało się to wtedy, gdy była sama. Na pewno ten wymachujący nożem goryl oskarżyłby ją o spowodowanie śmierci. Już obudzona, przetarła oczy i zebrała włosy, czując się naga bez czepka. Zrobiła prędko to, co musiała, i zamknęła mu oczy, słysząc przez cały czas żalącego się i rozpaczającego Ahmeda.

- Nikt nie mógł tu pomóc, agha - powiedziała. - To mogło nastąpić w każdej chwili. On bardzo cierpiał, jego czas nadszedł i... tak jest lepiej, to lepsze niż żyć jak warzywo.

- Tak... tak, chyba tak. - Łzy Ahmeda były prawdziwe. Łzy ulgi. - In sza'a Allah, In sza'a Allah.

- Jak to się stało?

- Ja... ja drzemałem, a on tylko, tylko sapnął i zaczął krwawić. Z nosa i ust. - Ahmed otarł łzy i powiedział łamiącym się głosem: - Chwyciłem go, bo wypadał z łóżka... potem nie wiem...

po prostu opadł i... i pobiegłem po panią.

- Niech się pan nie martwi, agha, tu nikt by nie mógł pomóc. Czasem to jest nagłe i szybkie, czasem nie. Lepiej, że to się stało szybko, to błogosławieństwo. - Westchnęła i wygładziła fartuch; cieszyła się, że jest już po wszystkim i że może stąd wyjechać. - Jego, eee, jego trzeba umyć, zanim zawoła się innych.

127

- Tak. Proszę pozwolić mi pomóc. Chcę pomóc. Ahmed pomógł obmywać krew i przygotowywać ciało chana do prezentacji. Przez cały czas planował: 268

trzeba wypędzić Nadzud i Mahmuda przed południem, rok i dzień liczą się od teraz; sprawdzić, czy Fazir schwytał Petra Olega; upewnić się, że po południu podcięto gardło posłańcowi żądającemu okupu, zgodnie z poleceniem, jakie sam wydał w imieniu Abdollaha.

Głupcze, powiedział w myślach do zwłok, myślałeś, głupcze, że wypłacę okup, żeby sprowadzić tu pilota, który odwiezie cię do Teheranu i ocali życie. Po co ratować życie, które potrwa kilka dni, najwyżej miesiąc? Niebezpiecznie jest chorować i być bezradnym, chorować tak, że działanie umysłu jest zakłócone, och tak, lekarz powiedział mi, czego się spodziewać. Coraz bardziej traciłeś rozum, coraz bardziej chciałeś usprawiedliwić swoje postęпки, robiłeś się niebezpieczny, tak, może nawet dla mnie! Ale teraz, teraz sukcesja jest zapewniona. Zapanuję nad szczeniakiem, a z pomocą Boga

ożenie się z Azadeh. Albo wyślę ją na północ; w końcu ma taką samą dziurę jak inne.

Pielęgniarka spoglądała od czasu do czasu na Ahmeda, patrzyła na jego zręczne, silne dłonie, na delikatność, z jaką nimi operował. Po raz pierwszy cieszyła się z jego obecności i nie bała się go, gdy tak rozczesywał zmarłemu brodę. Ludzie są tacy dziwni, pomyślała. Musiał

bardzo kochać tego złego starucha.

Środa

28 lutego 1979

TEHERAN, 6:55. NcIver wertował akta i papiery, które zabrał z dużego sejfu w biurze.

Wkładał do teczek tylko najniezbędniejsze. Robił to już od wpół do szóstej; bolała go głowa, bolały plecy, a teczka była już niemal pełna. Powiniennem zabrać o wiele więcej, myślał, pracując tak szybko, jak mógł. Za godzinę, może prędzej, stawi się irański personel i to zakończy moją działalność.

Co za cholerni ludzie, zżymał się w myślach. Nie ma ich nigdy wtedy, gdy są potrzebni, a za to teraz, przez kilka ostatnich dni, nie można się ich pozbyć, czepiają się jak rzepy. „Och file, ekscelencjo, proszę pozwolić, że ja zamknę. Błagam o ten zaszczyt...” Albo: „Och nie, ekscelencjo, ja otworzę biuro. Nalegam, to nie jest praca dla ekscelencji”. Może mam manię prześladowczą, ale to wygląda tak, jakby byli szpiegami, jakby dostali rozkaz obserwowania nas. I współpracownicy zrobili się bar-273

dziej wścibscy niż kiedykolwiek przedtem. Prawie tak, jakby ktoś już coś wywęszył.

A jednak, odpukać, wszystko działa na razie jak dobrze wyregulowany silnik: my wynosimy się dziś w południe albo trochę później. Rudi zaplanowany na piątek, jego ludzie i wszystkie części są już poza Bandar Dejamem, w drodze do Abadanu, a tam - wśliznięcie się do BA Trident za zezwoleniem przyjaciela Duke'a, Zatakiego, ewakuacja brytyjskich nafciarzy; w Kowissie Duke zamelinował już pewnie dodatkowe paliwo, a wszystkie jego chłopaki nadal mają zezwolenie na jutrzejszy lot 212 -jeszcze raz odpukać - trzy ciężarówki części zamiennych wyjechały do Buszehr i tranzytem do Asz Szargaz. Ważniak, pułkownik Czangiz i ten choler-ay mułła Hosejn nadal się jakoś zachowują - odpukać pięćdziesiąt razy; w Lengeh Scrag nie będzie miał problemów, cała masa statków, na które można ładować części i właściwie nic do roboty, tylko czekać na D - nie, nie dzień D, ale dzień W.

Tylko jeden słaby punkt: Azadeh i Erikki. Dlaczego, u diabła, nie powiedziała mi przed wyjazdem o polowaniu na biednego, starego Erikkiego? Mój Boże, ledwie ocaliła życie, uchodząc z Tebrizu, a już znowu pakuje tam swoją ładną główkę. Kobiety! Wszystkie są zwariowane. Okup? Gównno! Założę się, że to kolejna pułapka zastawiona przez jej ojca, tego zbutwiałego sukinsyna. Ale zresztą jest tak, jak powiedział Tom Lochart: „Ona i tak by odeszła, Mac. Powiedziałeś jej o Operacji?”

128

Poczuł skurcz w żołądku. Nawet jeśli wszyscy inni się wydostaną, pozostanie problem Azadeh i Erikkiego. I jeszcze biednego starego Toma, i Szahrazad. Jak, u diabła, mamy przenieść tę czwórkę w jakieś bezpieczne miejsce? Trzeba będzie coś wykombinować. Mamy jeszcze dwa dni, może...

Odwrócił się szybko; nie usłyszał otwieranych drzwi. W progu stał Gorani, szef biura, wysoki i łysiejący, szczerzy szyta, dobry człowiek, który pracował u nich już od wielu lat. - Salam, Ag ha.

274

- Salam, wcześniej przyszedłeś.

NcIver zobaczył, że mężczyzna z nieskrywanym osłupieniem patrzy na panujący wszędzie bałagan; zwykle NcIver był aż do przesady pedantyczny. Teraz poczuł się jak dziecko przyłapanie na podkradaniu czekoladek.

- Wedle woli Boga, agha. Imam nakazał żyć normalnie i żeby wszyscy pracowali dla rewolucji. Czy mogę pomóc?

- No cóż, eee, nie, nie, dziękuję, ja, eee, spieszę się, mam dzisiaj całą masę roboty.

Wyjeżdżam do ambasady. - NcIver zdawał sobie sprawę, że mówi nienaturalnie, lecz nie mógł nad tym zapanować. - Ja... eee, mam spotkania przez cały dzień i muszę być w.

południe na lotnisku. Muszę też popracować w domu nad czymś dla komitetu w Doszan Tappeh. Nie wrócę z lotniska do biura, więc może pan je wcześniej zamknąć i mieć wolne popołudnie. Właściwie może pan mieć wolny cały dzień.

- Och, dziękuję, agha, ale biuro powinno być otwarte do...

- Nie, zamykamy biuro na jeden dzień, na czas, kiedy mnie nie będzie. Pojadę prosto do domu; gdybym był potrzebny, można mnie tam łapać. Proszę wrócić za dziesięć minut.

Muszę wysłać kilka teleksów.

- Tak, agha, oczywiście, agha. - Mężczyzna wyszedł.

NcIver nie znosił kręactw. Co się stanie z Goranim? - zadał sobie po raz kolejny pytanie. Co z resztą naszych ludzi w całym Iranie? Jest wielu bardzo porządnych, co się stanie z nimi i ich rodzinami?

Niespokojnie zakończył pracę, najlepiej, jak mógł. W kasetce spoczywało sto tysięcy riali.

Zostawił banknoty, zamknął sejf i nadał kilka mało istotnych teleksów. Ważny wysłał o wpół

do szóstej do Asz Szargaz, z kopią do Aberdeen, na wypadek, gdyby Gavallana coś zatrzymało: Wysłałam do Asz Szargaz frachtem lotniczym pięć skrzyń części do naprawy, zgodnie z planem. Szyfr oznaczał, że Nogger, Pettikin i on oraz dwóch ostatnich mechaników, których nie mógł wcześniej wy-

275
wieźć z Teheranu, wszyscy szykowali się dziś do wejścia na pokład 125, według planu, a także, że wszystko jak dotąd idzie zgodnie z planem.

- Które to skrzynie, agha? - Gorani znalazł jakoś kopię teleksu.

- Z Kowissu. Polecą w przyszłym tygodniu 125.

- Och, bardzo dobrze, sprawdzę to za pana. Przepraszam, czy mógłby pan powiedzieć, zanim pan pójdzie, kiedy wróci 212? Ten, który wypożyczyliśmy do Kowissu?

- W przyszłym tygodniu, a o co chodzi?

- Ekscelencja wicepremier i członek zarządu Ali Kia chciał to wiedzieć, agha.

NcIver zeszywniał.

- Tak? Dlaczego?

- Ma chyba na niego czarter, agha. Wczoraj wieczorem, gdy pan wyszedł, wpadł tu jego asystent i wypytywał mnie. Premier Kia chciał także dostać sprawozdanie o naszych trzech 212 wysłanych do remontu. Ja, eee, powiedziałem, że będę to miał dzisiaj. On ma przyjść dziś rano, więc nie mogę zamknąć biura.

129

Nie omawiali przedtem sprawy tych trzech śmigłowców, nie rozmawiali też o ogromnych ilościach części zamiennych, które wysłali samochodami lub jako bagaż osobisty drogą powietrzną. Było bardziej niż możliwe, że Gorani wie, iż te 212 nie potrzebowały remontu.

Wzruszył ramionami, mając nadzieję, że do najgorszego nie dojdzie.

- Będą gotowe według planu. Zostaw na drzwiach wiadomość.

- Och, ale to by było bardzo niegrzeczne. Przekażę tę wiadomość. On powiedział, że przyjdzie przed południową modlitwą; prosił o spotkanie z panem. Ma bardzo prywatną wiadomość od pana premiera Kia.

- No cóż, ja jadę do ambasady. - NcIver zastanawiał się chwilę. - Wrócę, gdy tylko będę mógł.

Ze złością podniósł teczkę i zbiegł po schodach, klnąc Alego Kia. Potem dorzucił też przekleństwo pod adresem Ali Baby.

276

Ali Baba, nazywany tak, gdyż przypominał McIve-rowi Czterdziestu Rozbójników, był

połową małżeństwa, które pracowało u nich, mieszkając na miejscu, a które zniknęło od razu, gdy zaczęły się kłopoty. Poprzedniego dnia o świcie Ali Baba wrócił. Uśmiechał się i zachowywał tak, jakby nie było go tylko przez weekend, a nie przez prawie pięć miesięcy.

Beztróska upominał się o ich stary pokój.

- Och, naprawdę, agha, dom musi być sprzątnięty i przygotowany na powrót Jej Wysokości; w przyszłym tygodniu przyjdzie moją żoną i to zrobi, a na razie przygotuję panu herbatę i grzankę tak błyskawicznie, jak pan lubi. Niech mnie, agha, za pana, ale targowałem się mocno dzisiaj o świeży chleb i mleko z rynku za, och, rozsądną cenę, tylko dla mnie, ale ci rozbójnicy chcieli pięć razy tyle niż w zeszłym roku, więc to smutne, ale proszę dać mi pieniądze teraz, jak tylko otworzą bank, może

mi pan wypłacić moją mikroskopijną pensję...

Cholerny Ali Baba, rewolucja ani trochę go nie zmieniła. Mikroskopijną? Gdy my zjadaliśmy bochenek chleba, on zjadał pięć, ale nie szkodzi, miło było dostawać do łóżka herbatę i grzanekę. Ale nie teraz, nie w przeddzień naszej ucieczki. Jak, do cholery, wyniesiemy z Charliem nasze bagaże, żeby on nie uśmiechał się jak przysłowiowy szczur?

W garażu otworzył swój samochód.

- Lulu, stara babo - powiedział - to cholerna sprawa, ale stanęliśmy na rozstaju dróg. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale nie zostawię cię do spalenia albo zgwałcenia przez jakiegoś cholernego Irańczyka.

Talbot czekał na niego w dużym, eleganckim pokoju biurowym.

- Mój drogi ranny ptaszek NcIver! Słyszałem o przygodach młodego Rossa. Daję słowo; wszyscy mieliśmy cholerne szczęście, nieprawdaż?

- Tak, tak, mieliśmy. Co u niego słyhać?

- Zbiera się do kupy. Wspaniały chłopak, wykonał cholernie dobrą robotę. Zjem z nim obiad, a potem

277

wyprawiamy go dzisiejszym lotem BA, po prostu na wszelki wypadek, nie można być zbyt ostrożnym. Są jakieś wiadomości o Erikkim? Pytała o niego fińska ambasada; prosili nas o pomoc.

NcIver powiedział o kartce zostawionej przez Aza-deh.

- Cholernie śmieszne. Talbot złączył palce obu dłoni.

- Słowo „okup” nie brzmi zbyt dobrze. Chodzą... plotki, że chan jest naprawdę bardzo chory.

Zawał.

NcIver uniósł brwi.

- Czy to może pomóc albo zaszkodzić Azadeh i Erikkiemu?

130

- Nie wiem. Jeśli on wykorkuje, no cóż, to na pewno zmieni układ sił w Azerbejdżanie, co zachęci z pewnością naszych błędzących przyjaciół z za północnej granicy do nasilenia agitacji, a mroczne i tajemne siły Cartera narobią jeszcze trochę smrodu.

- Co on, u diabła, teraz wyczynia?

- Nic, stary chłopcze; dokładnie gównu. I w tym cały kłopot. Wieje, gubiąc po drodze orzeszki.

- Wiesz coś nowego o sprawie naszej nacjonalizacji? Armstrong powiedział, że nam ona grozi.

- No cóż, może się tak zdarzyć, że straciecie kontrolę nad swoimi maszynami - powiedział

Talbot z wystudiowaną starannością, a NeIver skoncentrował uwagę. - To, eee, może być bardziej osobiste nabycie przez zainteresowane strony.

- Masz na myśli Alego Kia i współników? Talbot wzruszył ramionami.

- My tam nie jesteśmy od myślenia, co?

- Czy to oficjalna wiadomość?

- Mój drogi staruszk, dobry Boże, nie! - Talbot był wstrząśnięty. - To tylko osobista uwaga, poza protokołem. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Tak poza protokołem: działaj według wskazówek Andy'ego Gavallana. Dobrze?

- Wciągnijmy to do protokołu.

278

NeIver zobaczył nieco zaróżowioną, poważną twarz. Odczuł ulgę i wstał.

- Nie ma mowy, panie Talbot. To Andy wymyślił, żeby cię w to wprowadzić, nie ja.

Talbot westchnął i skorzystał z wyćwiczonej elokwencji.

- Doskonale, poza protokołem. NeIver usiadł.

- My, eee, przenosimy dzisiaj nasze główne biuro do Asz Szargaz.

- Bardzo rozsądnie. A więc?

- Jedziemy dzisiaj. Cały pozostały jeszcze personel zagraniczny. Naszym 125.

- Bardzo rozsądnie. A więc?

- My, eee, zatrzymujemy wszystkie operacje w Iranie. W piątek.

Talbot westchnął.

- Powiedziałbym, że bez personelu nie można postąpić inaczej. A więc?

NeIver stwierdził, że jest mu bardzo trudno powiedzieć to, co ma powiedzieć.

- My... my zabieramy w piątek wszystkie nasze helikoptery. W ten piątek.

- Na mą duszę - powiedział Talbot z nieskrywanym podziwem w głosie. - Gratulacje! Jak, u diabła, udało ci się wykołować tego typu, Kia, i dostać zezwolenia? Chyba obiecaliście mu dożywotnie miejsce w Łoży Królewskiej na wyścigach w Ascot?

- No, eee, no nie zrobiliśmy tego. Postanowiliśmy nie ubiegać się o wizy wyjazdowe. To strata czasu. - NcIver wstał. - Do zobaczenia...

Szczęka Talbota opadła tak, że niemal uderzyła o biurko.

- Bez zezwolenia?

- Tak. Sam wiesz, że nasze ptaszki mają być schwyte, znacjonalizowane, przejęte, czy jak tam chcesz to nazwać. Nie ma mowy o wizach wyjazdowych, więc postanowiliśmy po prostu wyjechać. - NcIver dodał lekko: - W piątek wyfruwamy z klatki.

279

- Och, daję słowo! - Talbot energicznie kręcił głową; jego palce mięły jakieś papiery leżące na biurku. - Na moją duszę, to bardzo, bardzo cholernie nierozsądne.

- Nie mamy wyboru. No cóż, panie Talbot, to wszystko, życzę miłego dnia. Andy chciał cię uprzedzić, żebyś mógł... żebyś mógł zrobić, co zechcesz.

- Co to znaczy, do cholery? - wybuchnął Talbot.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? - NcIver był równie rozgoryczony. - Masz przecież chronić swoich obywateli.

131

- Ale wy...

- Po prostu nie chcę wypaść z tego interesu i na tym koniec!

Talbot bębnił nerwowo palcami.

- Sądzę, że muszę wypić filiżankę herbaty. - Nacisnął guzik interkomu. - Celia, dwie filiżanki najlepszej; uważam, że powinna pani dodać umiarkowaną ilość Krwi Nelsona.

- Tak, panie Talbot - rozległ się wyniosły głos, a potem kichnięcie.

- A niech cię - powiedział odruchowo Talbot. Przestał bębnić palcami i uśmiechnął się słodko do NcIvera. - Strasznie się cieszę, że nie powiedziałaś mi niczego o niczym, stary.

- Ja także.

- Możesz być spokojny; jeśli usłyszysz kiedykolwiek, że cienko przędziesz... Jak to się nazywa? Ach tak, „garowanie”. Będę zadowolony, mogąc cię odwiedzić w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości i spróbować wyprostować ścieżki twojego życia. - Talbot bardzo wysoko uniósł brwi. - Wielki skok, napad stulecia! Niech mnie kule biją, powodzenia, chłopcze.

W MIESZKANIU AZADEH, 8:10. Stara służąca szła korytarzem, niosąc ciężką srebrną tacę ze śniadaniem: cztery jajka na miękko, grzanki, masło i dżem, dwie wykwintne filiżanki herbaty, parujący dzbanek

280

z kawą, a także piękne egipskie serwetki z bawełny. Postawiła tacę i zapukała.

- Proszę wejść.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość. Salam.

- Salam - odparła ponuro Szahrazad. Leżała na łożu z dywanów, oparta o stos poduszek; miała zapach-niętą od płaczu twarz. Drzwi od łazienki były uchylone; dobiegał stamtąd odgłos leżącej się wody. - Postaw to tu, na łóżku.

- Tak, Wasza Wysokość.

Staruszka wykonała polecenie. Rzuciła ukradkiem spojrzenie na drzwi łazienki i w milczeniu wyszła.

- Śniadanie, Tommy - zawołała Szahrazad, próbując nadać głosowi wesołe brzmienie. Żadnej odpowiedzi. Wzruszyła ramionami, pociągnęła nosem, znowu na granicy płaczu. Zobaczyła, że Lochart wychodzi z łazienki. Był ogolony i ubrany w zimowy strój lotniczy: buty, spodnie, koszula i gruby sweter. - Kawy? - zapytała ze sztucznym uśmiechem, ledwie znosząc widok jego naburmuszonej twarzy i aureę niechęci, jaką wokół siebie roztaczał.

- Za chwilę - odparł bez entuzjazmu. - Dziękuję.

- Ja... ja zamówiłam wszystko takie, jak lubisz.

- Dobrze wygląda; nie czekaj na mnie. Podeszedł do komody i zaczął wiązać krawat.

- To naprawdę cudownie, że Azadeh oddała nam mieszkanie na czas swojego wyjazdu, prawda? Tu jest o wiele przyjemniej niż w domu.

Lochart spojrzał na jej odbicie w lustrze.

- Wtedy tego nie mówiłaś.

- Och, Tommy, masz oczywiście rację, ale proszę, nie kłóćmy się.

- Ja się nie kłócę. Po prostu powiedziałem wszystko i ty też powiedziałaś.

Musiałem, pomyślał z udręką, wiedząc, że ona jest tak samo godna pożałowania jak on sam, ale że on nie może nic na to poradzić. Gdy Mieszang rzucił mu wyzwanie w obecności jej i Zarah, rozpoczął się kosz-281

mar, który trwał, który odrywał ich od siebie i sprowadzał go na krawędź szaleństwa. Dwa dni i dwie noce płaczu. Musiał powtarzać w kółko: „Nie martw się, jakoś sobie poradzimy, Szahrazad”. Potem rozmowy o przyszłości. Jakiej przyszłości? - zapytał po raz nie wiadomo który, patrząc na swe odbicie w lustrze.

- Twoja kawa, kochany Tommy.

132

Wziął filiżankę ze skwaszoną miną i usiadł naprzeciw Szahrazad na krześle. Nie patrzył na nią. Kawa była gorąca i wspaniała, ale nie usunęła cierpkiego posmaku w ustach. Zostawił ją niemal nie tkniętą, wstał i poszedł po swą lotniczą kurtkę. Dzięki Bogu lecę dziś do Kowis-su, pomyślał. Chrzanić to wszystko!

- Kiedy wrócisz, kochanie?

Złapał się na wzruszeniu ramionami. Nienawidził siebie samego. Chciał porwać ją w ramiona i powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale przeszedł już przez to cztery razy w ciągu ostatnich dwóch dni, a ona nadal była tak nieprzejednana i nieelastyczna jak jej brat.

- Porzucić Iran? Na zawsze zostawić dom? - krzyczała. - Och, nie mogę, nie mogę!

- Nie na zawsze, Szahrazad. Pomieszkamy trochę w Asz Szargaz, a potem pojedziemy do Anglii. Na pewno polubisz Anglię i Szkocję, i Aberdeen...

- Ale Mieszang mówi, że...

- Pieprzyć Mieszanga! - krzyknął i dostrzegł jej strach, a to tylko zamieniło jego gniew w dziką wściekłość. - Mieszang nie jest Panem Bogiem, do cholery! Co on, u diabła, wie? - Ona łkała jak przestraszone dziecko i odsuwała się od niego. - Och, Szahrazad, tak mi przykro...

Objął ją ramionami, niemal wyśpiewywał jej swą miłość, ona bezpieczna w jego ramionach.

- Tommy, posłuchaj, kochanie, to ty masz rację, a nie ja, to moja wina, ale już wiem, co zrobić. Jutro pójdę do Mieszanga i namówię go, żeby dał nam utrzymanie i... o co chodzi?

- Nie dotarło do ciebie ani jedno moje słowo.

282

- Och, dotarło, tak, naprawdę, ja bardzo uważnie słuchałam, proszę, nie złość się znów.

Oczywiście masz rację, że się złościę, ale ja słuchałam...

Ponownie wybuchnął gniewem.

- Nie słyszałaś, co powiedział Meszang? Nie mamy pieniędzy. Pieniądze się skończyły, dom się skończył, a on trzyma w garści wszystkie pieniądze rodziny, wszystkie, i jeśli nie będziesz posłuszna jemu, tylko mnie, to nie dostaniesz ani grosza. Ale to nie ma znaczenia; mogę zarobić na nasze utrzymanie! Mogę! Chodzi tylko o to, że musimy wyjechać z Teheranu.

Wyjechać na... na pewien czas.

- Ale ja nie mam dokumentów. Nie mam, Tommy, i jeszcze żadnych nie dostałam, a Meszang ma rację, gdy mówi, że jeśli wyjadę bez dokumentów, nie będę mogła nigdy wrócić.

Nigdy!

Znów płacz i znów kłótnia; nie mógł do niej dotrzeć, nie mógł się przebić przez jakiś niewidoczny pancierz. Potem poszli do łóżka, ale żadne z nich nie zasnęło.

- Możesz tu zostać, Tommy. Dlaczego mówisz, że nie, Tommy?

- Och, rany boskie, Szahrazad, Meszang powiedział to bardzo wyraźnie. Jestem niepożądany, a cudzoziemcy powinni się wynieść. Pojedziemy gdzie indziej. Do Nigerii, Aberdeen, jeszcze gdzieś. Pakuj walizkę. Polecisz 125 i spotkamy się w Asz Szargaz. Masz kanadyjski paszport.

Jesteś Kanadyjką!

- Ale nie mogę wyjechać bez dokumentów - za-łkała.

Potem znów w kółko te same argumenty i płacz.

Wreszcie wczoraj rano, czując do siebie wstręt, odłożył dumę na bok i poszedł na bazar, by przekonać Meszanga, by go zmiękczyć. Z bólem w sercu zaplanował wszystko, co miał powiedzieć. Natrafił jednak na mur wysoki pod samo niebo. I jeszcze trudniejszy do pokonania.

- Mój ojciec miał kontrolny udział w spółce IHC; oczywiście ja to dziedziczę.

283

- O, to świetnie. To wszystko zmienia, Meszangu.

- To niczego nie zmienia. Chodzi o to, w jaki sposób zamierzasz uregulować swoje długi, płacić alimenty i utrzymać żonę i dziecko bez korzystania z dobroczynności.

133

- Chodzi o pracę, a nie dobroczynność, Meszangu. To nie jest dobroczynność. To może być bardzo korzystne dla nas obu. Nie proponuję spółki, nic z tych rzeczy; po prostu pracowałbym dla ciebie.

Nie znasz się na helikopterach, ale ja tak, i to bardzo dobrze.

Mógłbym prowadzić za ciebie spółkę i sprawić, że ciągle przynosiłaby zyski. Znam pilotów i wiem, jak działać. Znam cały Iran, prawie wszystkie pola naftowe. To mogłoby rozwiązać wszystkie problemy nas obu. Pracowałbym jak diabli, żeby chronić interesy rodziny.

Zostalibyśmy w Teheranie. Szahrazad mogłaby urodzić tu dziecko i...

- Państwo islamskie potrzebuje tylko islamskich pilotów, w stu procentach. Zapewnił mnie o tym minister Kia.

Nagle zrozumiał. Jego świat rozleciał się na kawałki.

- Aha, teraz już kapuję: żadnych wyjątków, a zwłaszcza dla mnie?

Zobaczył, że Meszang pogardliwie wzruszył ramionami.

- Jestem bardzo zajęty. Mówiąc bez ogródek: nie możesz zostać w Iranie. W Iranie nie masz przyszłości, a poza Iranem Szahrazad nie ma żadnej wartościowej przyszłości i skazuje się na wieczne wygnanie, które nastąpi, jeśli wyjedzie bez mojego pozwolenia i bez odpowiednich dokumentów. Zatem musicie się rozwieść.

- Nie.

- Przyślij dziś po południu Szahrazad z powrotem z mieszkania chana - to kolejna dobroczynność - i natychmiast wyjedź z Teheranu. Wasze małżeństwo nie jest muzułmańskie, więc jest nieważne; kanadyjska ceremonia cywilna zostanie anulowana.

- Szahrazad nigdy się na to nie zgodzi.

284

- Tak? Przyjdź do mnie o osiemnastej i zakończymy tę sprawę. Gdy wyjedziesz, spłacę wszystkie twoje irańskie długi; nie mogę pozwolić, żeby te nieściągalne należności rzucały cię na nasze dobre imię. Dokładnie o osiemnastej. Dobrego dnia.

Nie pamiętał już, jak wrócił do mieszkania. Opowiedział Szahrazad o rozmowie z Meszangiem. Znowu jej płacz, a potem do domu Bakrawana. Usłyszał dokładnie to samo co wcześniej. Meszang rozłościł się, gdy Szahrazad błagała go uniżenie, aby zmienił decyzję.

- Nie bądź śmieszna, Szahrazad! Przestań skamleć! To dla twego własnego dobra, dla dobra twojego syna i dla dobra rodziny! Jeśli wyjedziesz na paszporcie kanadyjskim, bez odpowiednich dokumentów irańskich, nigdy nie będziesz mogła wrócić. Mieszkać w Aberdeen? Niech Bóg cię strzeże! Po miesiącu umarłabyś z zimna i twój syn także... Niania Dżari by z tobą nie pojechała, nawet gdyby on mógł jej płacić; ona nie jest wariatką, nie zostawi na zawsze Iranu i swojej rodziny. Nigdy już nas nie zobaczysz, pomyśl o... pomyśl o swoim synu... - Mówił tak, aż starł Locharta na proch, a z niej zrobił osobę co najmniej niezrównoważoną.

- Tommy.

Wyrwało go to z zadumy.

- Tak? - zapytał, słysząc w jej głosie dawną nutę.

- O ty, czyz zostawiasz mnie na wieczność? - powiedziała w farsy.

- Nie mogę zostać w Iranie - odparł już spokojnie. „O ty” bardzo w tym pomogło. - Po zamknięciu firmy nie będzie tu dla mnie pracy. Nie mam pieniędzy i nawet, gdyby mieszkanie się nie spaliło... no cóż, nigdy nie wyciągałem ręki po pieniądze. - W jego oczach nie było kłamstwa. - Mieszang w wielu sprawach ma rację; ze mną naprawdę nie czeka cię świetlana przyszłość. Masz prawo tu zostać. Wyjazd bez dokumentów na pewno jest niebezpieczny, a ty musisz myśleć o dziecku. Jest jeszcze... nie, daj mi dokończyć -

powstrzymał ją łagodnie. - Jest jeszcze sprawa HBC. - To przypomniało mu 285

o jej kuzynie, Kadmie. Następna okrutna wiadomość. Biedna Szahrazad...

134

- O ty, czyz zostawiasz mnie na wieczność?

- Dziś lecę do Kowissu. Spędzę tam kilka dni, a potem wyruszam do Asz Szargaz. Tam poczekam. Miesiąc. W tym czasie będziesz mogła wszystko przemyśleć, co tylko chcesz.

Jeśli wyślesz list lub teleks pod adresem portu lotniczego Asz Szargaz, dostanę go. Gdybyś chciała do mnie dołączyć, ambasada kanadyjska załatwi to od ręki, już się upewniłem...

Oczywiście będziemy w kontakcie.

- Przez Maca?

- Przez niego albo jakoś inaczej.

- O ty, czyz się ze mną rozwodzisz?

- Nie, nigdy, chyba że chcesz albo uważasz, że to konieczne dla dobra naszego dziecka czy z jakiegoś innego powodu. Zrobię to, co zechcesz.

Cisza narastała. Szahrazad patrzyła na niego, dziwne spojrzenie ogromnych, czarnych oczu, w jakiś sposób starszych niż przedtem, a jednak tak młodych i wrażliwych. Na wpół

przezroczysta koszula nocna uwypuklała blask jej złotej skóry; włosy wiły się wokół ramion i piersi.

Locharta ogarnęło poczucie beznadziejności; chciał zostać, a wiedział, że nie ma już żadnego ku temu powodu. Wszystko zostało powiedziane, wszystko zależy tylko od niej. Na jej miejscu nie miałbym

wątpliwości: rozwiódłbym się, a przede wszystkim w ogóle bym nie wychodził za męż.

- O ty - powiedział w farsi - żegnaj, ukochana.

- I ty, ukochany.

Zabrał kurtkę i wyszedł. Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Długo wpatrywała się w miejsce, w którym stał. Potem, z namysłem, naląła trochę kawy do filiżanki i pociągnęła łyk. Kawa była gorąca, mocna i ożywcza.

Wedle woli Boga, powiedziała sobie. Była już spokojna. On albo wróci, albo nie wróci.

Meszang zmieni zdanie albo nie zmieni. Tak czy inaczej, muszę być silna 286

i jeść za dwoje, i mieć pogodne myśli, gdy noszę w sobie syna.

Odcięła wierzchołek jajka. Było znakomicie ugotowane i wspaniale smakowało.

W MIESZKANIU McIVERA, 11:50. Pettikin wszedł do salonu, niosąc walizkę. Zdziwił się na widok służącego. Ali Baba niedbale polerował kredens.

- Nie słyszałem, jak wróciłeś. Myślałem, że dałem ci wolny dzień - rzucił zirytowany, stawiając walizkę.

- Och, tak, agha, ale jest tyle do zrobienia, mieszkanie jest brudne, a kuchnia... - Uniósł

wysoko bujne brązowe brwi.

- Tak, tak, to prawda, ale możesz zacząć jutro. - Pettikin zobaczył, że Irańczyk wpatruje się w walizkę i zaklął. Od razu po śniadaniu dał Ali Babie wychodne, mówiąc, żeby wrócił o północy. Zwykle oznaczałoby to, że nie wróci do rana. - Teraz już idź.

- Tak, agha. Jedzie pan na urlop?

- Nie. Zamierzam zatrzymać się na kilka dni u jednego z pilotów. Dopilnuj, żeby pokój został

jutro posprzątany. A, tak, lepiej daj mi swój klucz; gdzieś swój zapodziałem. - Pettikin wyciągnął rękę, przeklinając się za to, że wcześniej o tym nie pomyślał. Ali Baba wręczył mu klucz zadziwiająco niechętnie. - Kapitan McIver chce mieć mieszkanie dla siebie. Musi popracować i nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano. Do zobaczenia wkrótce, do widzenia!

- Ale, agha...

- Do widzenia!

Upewnił się, że Ali Baba zabrał palto, otworzył drzwi, prawie wypchnął go na zewnątrz i zamknął je. Nerwowo spojrzął na zegarek. Już prawie południe, a McIvera jeszcze nie ma.

Powinni być na lotnisku. Poszedł do sypialni, wziął drugą walizkę, także wypakowaną, wrócił do salonu i postawił ją obok pierwszej, blisko drzwi wyjściowych.

135

Dwie walizeczki i torba, pomyślał. Nie za wiele jak na te wszystkie lata w Iranie. Nie szkodzi, wolę po-287

dróżować z lekkim bagażem, a może następnym razem będę miał więcej szczęścia i zarobię więcej pieniędzy albo założę własny interes. Poza tym jest Paula. Jak, u diabła, będzie mnie stać na powtórny ożenek? Ożenić się? Zwariowałeś? Możesz sobie poradzić najwyżej z przelotnym romanssem. Tak, ale, do cholery, chciałbym się z nią ożenić i...

Zadzwonił telefon, a on prawie podskoczył, tak odwykł od tego dźwięku. Z bijącym sercem podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Charlie? To ja, Mac. Dzięki Bogu to cholerne urządzenie działa; spróbowałem tylko tak, na wszelki wypadek. Mam opóźnienie.

- Jakies kłopoty?

- Nie wiem, Charlie, ale muszę spotkać się z Alim Kia; ten sukinsyn wysłał po mnie swojego cholernego asystenta i jakąś Zieloną Opaskę.

- Czego, do cholery, chce ten Kia?

Na zewnątrz, w całym mieście, muezzini zaczęli wzywać wiernych do południowej modlitwy; zbiło go to z tropu.

- Nie wiem. Mam tam być za pół godziny. Lepiej pojedź na lotnisko, a ja dołączę, jak tylko będę mógł. Załatw z Johnnym Hoggiem jakies opóźnienie.

- W porządku, Mac. Co z twoim ekwipunkiem? Jest w biurze?

- Wyniosłem wszystko rano, gdy Ali Baba chrapał. Jest w bagażniku Lulu. Charlie, w kuchni jest koronkowa serwetka Genny, „Na dole, koło placka z kukurydzy”. Włóż ją do swojej walizki, dobrze? Ona chce ogołocić mieszkanie. Jeśli zdążę, wrócę i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Czy mam zamknąć dopływ gazu i prądu?

- Chryste, nie wiem. Zostaw to, dobra?

- W porządku. Jesteś pewien, że nie chcesz, bym poczekał? - zapytał. Dochodzący przez głośniki metaliczny głos muezzinów zwiększał jego niepokój. - Mogę poczekać, może tak będzie lepiej, Mac.

- Nie, wyjdź już. Niedługo tam będę, cześć.

- Cześć.

Pettikin zmarszczył brwi; korzystając z tego, że w słuchawce dzwięczał sygnał, wykręcił numer biura na lotnisku. O dziwo, uzyskał połączenie.

- Iran Helicopters, halo?

Poznał głos kierownika do spraw frachtów.

- Dzień dobry, Adwani, tu kapitan Pettikin. Czy 125 już przyleciał?

- Ach, kapitanie, tak, już nadlatuje. Wylądjuje za chwilę.

- Czy jest tam kapitan Lane?

- Tak, chwileczkę...

Pettikin czekał, zastanawiając się nad Kia.

- Witaj, Charlie, tu Nogger. Masz wysoko postawionych przyjaciół?

- Nie, telefon po prostu nagle zaczął działać. Czy możesz mówić swobodnie?

- Nie, niemożliwe. Co się szykuje?

- Jestem jeszcze w mieszkaniu. NcIver ma opóźnienie. Musi pojechać do Alego Kia. Ja już jadę na lotnisko, a on przyjedzie prosto z biura Kia. Jesteś gotów do załadunku?

- Tak, Charlie. Wysyłamy silniki do remontu i renowacji, zgodnie z poleceniem kapitana NcIvera. Wszystko tak jak polecił.

- Dobrze. Czy są tam obaj mechanicy?

136

- Tak. Części też są gotowe do wysyłki.

- Świetnie. Nie ma żadnych problemów, o których mógłbyś wiedzieć?

- Na razie nie, stary.

- Do zobaczenia.

Pettikin odłożył słuchawkę. Zapakował serwetę i po raz ostatni rozejrzał się po mieszkaniu. O

dziwo, odczuwał smutek. Dobre i złe chwile, ale najlepsze wtedy, gdy mieszkała tu Paula.

Wyjrzał przez okno i zobaczył odległy dym nad Żaleh. Teraz, gdy ucichły głosy muezzinów, słychać było pojedyncze strzały. Do diabła z tym

289

wszystkim, mruknął. Wstał i wyszedł, niosąc swoje bagaże. Starannie zamknął drzwi. Gdy wyjeżdżał z garażu, zobaczył Ali Babę, który chował się właśnie za drzwiami przeciwległej kamienicy. Byli z nim dwaj mężczyźni, których Pettikin nie znał. Co, do cholery, robi ten sukinsyn? - pomyślał zaniepokojony.

W MINISTERSTWIE TRANSPORTU, 13:07. Mimo płonących drewn w ogromnej sali panowało przenikliwe zimno. Wicepremier Ali Kia miał na sobie drogie futro astrachańskie i odpowiednią futrzaną czapkę. Był zły.

- Powtarzam: potrzebny mi jest na jutro środek transportu do Kowissu. Wymagam, aby pan mi towarzyszył.

- Jutro nie mogę. Przepraszam - powiedział NcIver z trudem, nie dając po sobie poznać zdenerwowania. - Z przyjemnością dołączę do pana w przyszłym tygodniu, powiedzmy w poniedziałek...

- Jestem zdumiony, że po tym, jak panu pomogłem, muszę się jeszcze wyklócać! Jutro, kapitanie, albo... albo unieważnię wszystkie zezwolenia na nasz 125. W gruncie rzeczy zatrzymam go dzisiaj na ziemi; zasekwestruję go do czasu przeprowadzenia dochodzenia!

NcIver stał przed ogromnym biurkiem. Kia siedział w wielkim rzeźbionym fotelu, co sprawiało, że wyglądał jak karzeł.

- A może moglibyśmy zrobić to dziś, ekscelencjo? Musimy odstawić do Kowissu alouette.

Kapitan Lo-chart wyrusza...

- Jutro. Nie dzisiaj. - Kia jeszcze bardziej poczerwieniał. - Otrzymuje pan polecenie jako członek zarządu. Polecą pan ze mną. Wyruszamy o dziesiątej. Zrozumiał pan?

NcIver skinął nieznacznie głową, próbując znaleźć wyjście z pułapki. Wreszcie kawałki wymyślonego naprędce planu ułożyły się w całość.

- Gdzie mamy się spotkać?

- A gdzie jest helikopter?

290

- W Doszan Tappeh. Będziemy potrzebowali zezwolenia. Niestety, jest tam major Delami i mułła, z obydwojoma trochę trudno się dogadać, więc nie wiem, jak możemy to zrobić.

Twarz Kia stała się purpurowa.

- Premier wydał nowe zarządzenie o mułłach i o wtrącaniu się do działań legalnego rządu, a imam zgadza się z tym z całego serca. Niech oni lepiej nie podskakują. Spotkamy się jutro o dziesiątej...

W tym momencie na zewnątrz nastąpił silny wybuch. Podbiegli do okna, ale ujrzeli tylko kłęb dymu, bijący w zimne niebo zza zakrętu ulicy.

- To chyba bomba samochodowa - zauważył niespokojnie McIver.

W ciągu paru ostatnich dni zdarzyło się kilka zamachów. Lewicowi ekstremiści posłużyli się też kilkakrotnie bombami samochodowymi, głównie przeciwko ajatollahom zajmującym wysokie stanowiska rządowe.

- Wszawi terroryści, oby Bóg spalił ich i ich ojców! - Kia najwyraźniej przeraził się, co ucieszyło McIvera.

137

- Cena sławy, panie premierze - powiedział nabrzmiałym troską głosem. - Ludzie wysoko postawieni, ważni, tacy jak pan, są oczywistymi celami.

- Tak... tak... wiemy, wiemy. Wszawi terroryści...

McIver uśmiechał się przez całą drogę do samochodu. A więc Kia chce lecieć do Kowissu.

Dopilnuję, żeby cholernik dostał się do Kowissu, a Whirlwind przebiegał według planu.

Ulicę za rogiem częściowo tarasowały gruzy; samochód stał jeszcze w ogniu, inne się tliły. W

jezdni widniała dziura; wybuch zgruchotał front restauracji i wstrząsnął zagranicznym bankiem obok. Wszędzie leżały odłamki szkła z potłuczonych szyb. Wielu rannych, zabitych i konających. Agonia, panika i smród spalonej gumy.

Z obu stron na jezdni zrobiły się korki. Można było tylko czekać. Po trzydziestu minutach przyjechał ambulans; kilku ludzi z Zielonych Opasek i jakiś mułła zaczęli kierować ruchem.

Po chwili, machając rękami

291

i przeklinając, kazali McIverowi jechać. Gdy przejeżdżał obok wraku samochodu - wszyscy kierowcy trąbili jak wariaci - nie zauważył pozbawionego głowy ciała Tal-bota, na wpół

zasypanego gruzami restauracji. Nie poznał też Rossa ubranego po cywilnemu i nieprzytomnego, który leżał oparty o ścianę, w rozdartym palcie. Z jego nosa i ust sączyła się krew.

W HOLU DWORCA LOTNICZEGO W ASZ SZARGAZ - Z DRUGIEJ STRONY ZATOKI, 14:05. Scot Gavallan, z prawą ręką na temblaku, stał w tłumie oczekujących przy kontroli celnej i paszportowej. Z głośników dobiegały komunikaty, klekotała tablica, na której ukazywały się godziny lądowań i odlotów, numery stanowisk. Cały terminal tętnił życiem.

Zobaczył ojca, wychodzącego przez zielone drzwi. Uśmiechnął się i ruszył mu na spotkanie.

- Cześć, tato!

- Och, Scot, chłopcze! - krzyknął radośnie Gavallan i uściskał syna, starając się nie urazić go w rękę.

- Jak się masz?

- Świetnie, tato, naprawdę. Już ci mówiłem: teraz czuję się dobrze.

- Tak, widzę. - Gavallan, odkąd odleciał w poniedziałek, kilkakrotnie rozmawiał z synem przez telefon. Ale telefon to nie to samo, pomyślał. - Ja... tak się martwiłem...

Gavallan nie chciał w ogóle wyjeżdżać, ale angielski lekarz w szpitalu zapewnił go, że Scot jest w dobrym stanie, a w Anglii czekały ważne sprawy i odłożone zebranie zarządu, którym trzeba było się zająć.

- Prześwietlenie nie wykazuje uszkodzenia kości, panie Gavallan. Kula przeszła przez mięsień; rana jest brzydka, ale da się to załatać. Do Scota lekarz powiedział: - To będzie bardzo bolało. Nie może pan latać przez dwa miesiące albo nawet dłużej. A co do łez... nie ma powodu do obaw. To normalna reakcja na ranę postrzałową. Lot z Zagrosu też nie poprawił sytuacji; mówi pan, że uciekał w trumnie? Samo to już wystarczy, 292

nie mówiąc o ranie. Też bym się tak zachowywał. Zatrzymamy pana na noc.

- Czy to konieczne, panie doktorze? Ja... czuję się znacznie lepiej...

Scot wstał. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Byłby upadł, gdyby Gavallan go nie podtrzymał.

- Najpierw trochę pana podreperujemy. Wyśpi się, panie Gavallan i będzie jak nowo narodzony, przyrzekam.

Lekarz dał Scotowi mocny środek uspokajający, a Gavallan został przy synu i wyjaśniał sprawę śmierci Jordona.

- Jeśli już ktoś jest za to odpowiedzialny, to ja, Scot. Gdybym zarządził ewakuację przed ucieczką Szacha, Jordon by żył.

- Nie, ojczu, nieprawda... kule były przeznaczone dla mnie...

Gavallan poczekał, aż syn usnął. Przepuścił w ten sposób swój samolot, ale zdążył na następny o północy i dotarł do Londynu na czas.

- Co, do cholery, ma się stać w Iranie? - zapytał Linbar, nie bawiąc się w żadne wstępy.

- Gdzie są inni? - zwięźle zapytał Gavallan. W sali obecny był tylko jeden z pozostałych członków zarządu, Paul Choy, zwany „Zyskowością”, który przyleciał z Hongkongu. Gavallan bardzo go szanował za przenikliwość, jaką objawiał w interesach. Jediną ciemniejszą stroną ich wzajemnego stosunku był bezpośredni udział Choya w wydarzeniach związanych ze śmiercią Davida MacStruana i w zajęciu jego miejsca przez Linbara. - Chyba powinniśmy na nich poczekać?

- Nikogo więcej nie będzie - wypalił Linbar. - Odwołałem ich i nie potrzebuję nikogo. Jestem tajpanem i mogę zrobić, co zechcę. Dlaczego...

- Nie z S-G Helicopters. - Gavallan spojrzał na Choya. - Proponuję, żebyśmy odłożyli...

- Możemy, jasne - rzucił lekkim tonem „Zyskowość” Choy - ale, u diabła, Andy, specjalnie tu przyje-293

chałem, a we trzech stanowimy kworum; możemy to przegłosować.

- Ja za tym głosuję - powiedział Linbar. - Czego,

u diabła, się boisz?

- Niczego, ale...

- Dobrze. Zatem mamy kworum. Co z tym Iranem? Gavallan zapanował nad sobą.

- Dzień D wypada w piątek, jeśli pozwoli pogoda. Operacja została zaplanowana najlepiej, jak można.

- Jestem tego pewien, Andy. - Uśmiech „Zyskow-ności” Choya był bardzo przyjacielski. -

Linbar mówi, że chcesz spróbować wydostać tylko 212? - Był dobrze wyglądającym, niesamowicie bogatym mężczyzną pod czterdziestkę, wieloletnim członkiem zarządu Struana i zarządów wielu podporządkowanych mu spółek. Miał duże udziały poza Struanem, w shippingu i zakładach farmaceutycznych w Hongkongu i Japonii oraz w Chińskiej Giełdzie. -

Co z naszymi 206 i alouette?

- Musimy je zostawić. Nie ma sposobu, żeby je

wydostać.

Po tym wyjaśnieniu zapanowała cisza. Przerwał ją

Paul Choy.

- Jak się ostatecznie przedstawia Whirlwind?

- W piątek o 7:00, jeśli pozwoli na to pogoda, nadaję przez radio hasło: zaczynać. Wtedy startują wszystkie maszyny. Mamy cztery 212 w Bandar Dej-lamie, pod komendą Rudiego.

Polecą do Bahrajnu, uzupełnią paliwo, a potem do Asz Szargaz. Nasze dwa 212 z Kowissu muszą uzupełnić paliwo na wybrzeżu; potem lecą do Kuwejtu, tam znów tankują, a potem na Dżellet - to mała wysepka u wybrzeża Arabii Saudyjskiej, gdzie mogliśmy zamelinować paliwo - w końcu do Bahrajnu i Asz Szargaz. Trzy maszyny Scraggera z Len-geh nie powinny mieć żadnych problemów; lecą prosto do Asz Szargaz. Erikki wydostaje się przez Turcję. Gdy tylko tu dotrą, zaczynamy je rozbierać i pakować do 747, które już wy czarterowałem. Wynosimy się tak szybko, jak się da.

294

- Jakie są według ciebie szanse, że nie stracimy ani człowieka, ani helikoptera? - zapytał

„Zyskowość” Choy, którego oczy rzuciły nagle twarde spojrzenie. Był słynnym hazardzistą, właścicielem konia wyścigowego i zarządcą Jockey Club w Hongkongu. Mówiło się, że należy też do syndykatu hazardowego w Makau.

- Nie lubię zakładów, ale szanse są duże; w przeciwnym razie nawet bym się nad tym nie zastanawiał. McIverowi udało się już wydostać trzy 212, a to daje ponad trzy miliony 139

dolarów. Jeśli wydostaniemy wszystkie 212 i większość części, S-G będzie w całkiem dobrym stanie.

- W zasranym - rzucił cierpko Linbar.

- W lepszym niż Struan w tym roku. Linbar poczerwieniał.

- Powinniście być przygotowani na tę katastrofę, ty i ten cholerny McIver. Każdy idiota widział, że Szach się chwieje.

- Dość tego, Linbar - warknął Gavallan. - Nie przyjechałem tu po to, żeby się kłócić, tylko żeby zdać sprawozdanie, więc daj mi skończyć, żebym mógł już wrócić. Jeszcze coś,

„Zyskowość”?

- Andy, nawet jeśli je wydostaniesz, to co będzie z Imperialem, który zabiera ci jakieś dwadzieścia kontraktów na Morzu Północnym? A twoje zamówienie na sześć X63?

- Cholernie głupia i podjęta w nieodpowiednim czasie decyzja - stwierdził Linbar.

Gavallan oderwał wzrok od Linbara i skupił myśli. Choy miał rację, pytając, a ja nie mam nic do ukrycia.

- Dopóki będę miał swoje 212, mogę wszystko odrobić; dla tych maszyn jest bardzo dużo pracy. W przyszłym tygodniu zacznę się układać z Imperialem; wiem, że odzyskam kilka kontraktów. Cała reszta świata aż wariuje na punkcie ropy, a więc ExTex zaoferuje nowe kontrakty w Arabii Saudyjskiej, Nigerii i na Malajach. Gdy dostaną nasze sprawozdanie o X63, będą handlować z nami podwójnie. Inne wielkie koncerny też. Będziemy w stanie obsługiwać ich lepiej niż kiedykolwiek-295

wiek przedtem, bezpieczniej, w każdych warunkach pogodowych i po niższej stawce od pasażera za kilometr. Rynek jest wielki, wkrótce otworzą się Chiny...

- Marzenia - powiedział Linbar. - Ty i ten cholerny Dunross zawsze chodziliście z głową w chmurach.

-Z Chin nigdy nam nic nie przyjdzie - powiedział „Zyskowność” Choy, rzucając zdumione spojrzenie.

- Zgadzam się z Linbarem.

- A ja nie. - Gavallan zauważył w Choyu coś dziwnego, ale poniósł go gniew. - Poczekamy na tę okazję. Gdzieś w Chinach musi być dużo ropy. Aby już skończyć: stan firmy jest dobry, bardzo dobry. Zeszłoroczne zyski wyniosły pięćdziesiąt procent, a w tym roku mamy takie same albo jeszcze lepsze. W przyszłym tygodniu...

- W przyszłym tygodniu wypadniesz z branży

- przerwał mu Linbar.

- Tak czy inaczej, okaże się podczas najbliższego weekendu. - Gavallan wysunął podbródek.

- Proponuję, żebyśmy zebrali się ponownie w przyszły poniedziałek. To da mi czas na powrót.

- Paul i ja wracamy w niedzielę do Hongkongu. Spotkamy się tam.

- To niemożliwe. Ja...

- Więc będziemy musieli obradować bez ciebie.

- Linbar wpadł w złość. - Jeśli Whirlwind zawiedzie, jesteś skończony. S-G Helicopters zostanie zlikwidowana, a nowa spółka, North Sea Helicopters, zresztą już utworzona, przejmie aktywa. Wątpię, czy zapłacimy pół centa za dolara.

Gavallan poczerwieniał.

- To jest cholerny rozbój!

- Po prostu cena niepowodzenia! Na Boga, jeśli S-G pójdzie na dno, jesteś skończony, a ja jeszcze

nie. Jeśli nie będzie cię stać na bilet lotniczy, żeby dolecieć na zebranie zarządu, to nawet nie będziesz mógł się spóźnić.

Gavallana rozsadzał gniew, ale utrzymał go jakoś na wodzy. Potem, tknięty nagłą myślą, spojrzął na „Zyskowność” Choya.

140

296

- Jeśli Whirlwind się powiedzie, pomożesz mi sfinansować wykupienie Struana?

Zanim Choy zdążył odpowiedzieć, Linbar ryknął:

- Nasze kontrolne udziały nie są na sprzedaż!

- Może powinny być, Linbar. - Powiedział z namysłem „Zyskowność” Choy. - W ten sposób może wylazłbyś z dołka. Dlaczego nie usunąć przyczyny tych kłótni? O co wy się właściwie szarpiecie? Dlaczego nie zamknąć interesu, co?

- Sfinansowałbyś wykup? - zapytał Linbar twardym tonem.

- Może, aha, może, ale tylko za twoją zgodą, Linbar, tylko wtedy. To sprawa rodzinna.

- Nigdy się nie zgodzę, „Zyskowność”. - Linbar wykrzywił twarz i wlepił wzrok w Gavallana

- Chcę, żebyś zgnił. Ty i ten cholerny Dunross!

Gavallan wstał.

- Spotkamy się na następnym zebraniu w Zarządzie Wewnętrznym. Zobaczymy, co oni powiedzą.

- Oni zrobią to, co ja im każę. Ja jestem tajpanem. A, przy okazji, wciągam „Zyskowność”.

- Nie możesz, to jest sprzeczne z regułami Dirka.

- Dirk Struan, założyciel spółki, postanowił, że w Zarządzie Wewnętrznym może zasiadać tylko rodeina, choćby nawet luźno ze sobą powiązana, i Christian.

- Przysięgałeś na Boga, że. będziesz ich przestrzegał.

- Do diabła z regułami Dirka - wrzasnął Linbar.

- Nie należysz do tego wszystkiego ani do spuścizny po Dirku. Od tego jest tajpan, a przysięgłem dbać o interesy spółki. Wydaje ci się, że jesteś cholernie sprytny, a nie jesteś!

„Zyskowność” został członkiem kościoła episkopalnego; w zeszłym roku się rozwiódł, a wkrótce wejdzie do rodziny, poślubiając jedną z moich siostrzenic, z moim błogosławieństwem. Będzie

bardziej w rodzinie niż ty! - Wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

Gavallan się nie śmiał. Ani „Zyskowność” Choy. Spojrzeli po sobie.

297

- Nie wiedziałem, że się rozwiodłeś - powiedział Gavallan. - Powinienem ci pogratulować.

Nowego życia i nowej posady.

- Aha, dziękuję. - Tylko tyle powiedział jego wróg.

Na lotnisku w Asz Szargaz Scot pochylił się, aby podnieść walizkę ojca. Wokół uwijali się inni pasażerowie. Gavallan powiedział:

- Dziękuję, Scot, poradzę sobie. - Podniósł walizkę. - Mam ochotę na prysznic i parę godzin snu. Nie znoszę nocnych lotów.

- Genny czeka w samochodzie. - Scot już w pierwszej chwili dostrzegł zmęczenie ojca. -

Miałeś ciężką podróż?

- Nie, wcale nie. Cieszę się, że dobrze się czujesz. Co nowego słyszeć?

- Wszystko idzie wspaniale, tato, zgodnie z planem. Jak w zegarku.

PÓLNOCNE PRZEDMIEŚCIA TEHERANU, 14:35. Jean-Luc, jowialny jak zwykle, w świetnie skrojonym kombinezonie lotniczym i butach zrobionych na zamówienie, wysiadł z taksówki. Tak jak obiecał, wyjął studolarowy banknot i starannie rozdarł go na pół.

- Voila!

Kierowca zbadał starannie swoją połowę banknotu.

- Tylko godzina, agha? W imieniu Boga, agha, nie dłużej?

- Półtorej godziny, tak uzgodniliśmy. Potem prosto na lotnisko. Będę miał trochę bagażu.

- In sza'a Allah. - Kierowca rozejrzał się nerwowo. - Nie mogę czekać tutaj, zbyt wiele oczu.

Godzina i pół. Ja za rogiem, tam! - Wskazał ręką miejsce oczekiwania i odjechał.

Jean-Luc wszedł po schodach i otworzył drzwi mieszkania 4a, którego okna wychodziły na południe, na drogę ze szpalerem drzew. Była to jego kawalerka, choć mieszkanie znalazła i wynajęła żona, Marie-Christine; mieszkała tu podczas swych rzadkich wizyt. Sypialnia 141

298

z dużym, niskim łóżkiem, dobrze wyposażona kuchnia, salon z miękką kanapą, dobre radio stereofoniczne i gramofon.

- Żebyś oczarowywał swoje przyjaciółki, cheri, tylko nie sprowadź którejś do Francji!

- Ja, cherie! Jestem kochankiem, a nie importerem! Uśmiechnął się do siebie. Cieszył się z powrotu do

domu; złościło go tylko trochę, że tak wiele musi zostawić: najlepszy sprzęt stereo, wspaniałe płyty, uwodzicielską kanapę, łóżko, och, tak elastyczne, wino prze-szmuglowane z ogromnym trudem, no i sprzęt kuchenny. - Espece de eon - powiedział na głos, wszedł do sypialni i sprawdził telefon. Nie działał.

Wyjął walizkę z ładnej komody i zaczął się pakować, prędko i sprawnie, gdyż przemyślał

wszystko już wcześniej. Najpierw ulubione noże i patelnia, potem sześć butelek najlepszych win; pozostałe czterdzieści musi zostać dla nowego lokatora, tymczasowego, gdyby Jean-Luc kiedykolwiek tu powrócił. Facet wynajął od niego mieszkanie, płacąc w dobrych frankach francuskich co miesiąc z góry do banku w Szwajcarii i złożył pokaźny depozyt gotówkowy na wypadek opóźnień.

Transakcja zaczęła dojrzewać już przed jego bożonarodzeniowym urlopem. Podczas gdy wszyscy inni chodzili z klapkami na oczach, zachichotał, ja wysunąłem się w tej grze na czoło. Muszę jednak przyznać, że miałem ogromną przewagę: jestem Francuzem.

Wesoło kontynuował pakowanie. Nowy najemca także był Francuzem, starszym przyjacielem z ambasady, od kilku tygodni poszukującym desperacko dobrze wyposażonej garconniere dla swej nastoletniej gruzińsko-czerkieskiej kochanki, która przysięgała, że jeśli nie będzie mieszkania, porzuci go. „Jean-Luc, najdroższy przyjacielu, wynajmij mi na rok, sześć miesięcy, trzy. Mówię ci z całym naciskiem: wkrótce z Europejczyków pozostaną tu już tylko dyplomaci. Nie mów nikomu, ale wiem to z najlepszego źródła; chodzi o nasz wewnętrzny kontakt z Chomeinim w Neauphle-le-Chateau! Mówiąc szczerze, wiemy o wszystkim, co się dzieje; czyż wielu

299

jego najbliższych współpracowników nie mówi po francusku i nie studiowało na francuskich uniwersytetach? Proszę, błagam cię. Muszę po prostu zadowolić światło mojego życia!"

Mój biedny stary przyjacielu, pomyślał ze smutkiem Jean-Luc. Dzięki Bogu ja nie będę nigdy musiał padać plackiem przed żadną kobietą. Co za szczęściara z Ma-rie-Christine! Wyszła za mnie, a ja mogę mądrze strzec jej fortuny!

Na końcu zapakował instrumenty lotnicze i pół tuzina par okularów przeciwsłonecznych.

Wszystkie ubrania zamknął w jednej z szaf. Oczywiście, firma pokryje te straty i kupię sobie nowe. Kto by tam dbał o stare ubrania.

Skończył. Wszystko było już schludnie poukładane. Spojrzał na zegar. Pakowanie zajęło mu tylko dwadzieścia dwie minuty. Świetnie. La Doucette było wspaniale schłodzone; mimo przerw w dostawie elektryczności lodówka działała. Otworzył butelkę i spróbował.

Doskonale. Trzy minuty później usłyszał stukot kołatki. Znakomicie.

- Sajado, chérie, jak pięknie wyglądasz - powiedział i pocałował ją, choć jednocześnie myślał: wcale nie wyglądasz dobrze, widać, że jesteś zmęczona. - Jak się masz, chérie!

- Miałam dreszcze, nic, czym trzeba by się przejmować - odparła. Tego ranka zobaczyła w lustrze zmarszczki i ciemne pierścienie wokół oczu; wiedziała, że Jean-Luc to zauważy. - Nic poważnego, a poza tym już po wszystkim. A ty, cherP.

- Dziś doskonale, a jutro?

Wzruszył ramionami, pomógł jej zdjąć płaszcz, bez wysiłku uniósł i, obejmując, położył na kanapie. Była bardzo piękna; martwił się, że musi ją opuścić. I Iran. Tak jak Algierię, pomyślał.

- O czym myślisz, Jean-Luc?

142

- O sześćdziesiątym trzecim, o wyrzuceniu nas z Algierii. Tak jak z Iranu, zupełnie tak samo.

- Poczuł, że poruszyła się w jego objęciach. - O co chodzi?

300

- Świat jest czasem okropny. - Sajada nie powiedziała mu nigdy niczego o swym prawdziwym życiu. - Taki niesprawiedliwy - dodała, myśląc o wojnie 1967 roku w strefie Gazy, o śmierci rodziców i o ucieczce. To było podobne do jego myśli. Bardziej myślała jednak o katastrofie związanej ze śmiercią Tejmura i o nich. Gdy wyobrażała sobie, co mogą zrobić malutkiemu Jassarowi, jeśli nie będzie posłuszna, ogarniały ją mdłości. Gdybym tylko wiedziała, kim oni są...

Jean-Luc nalewał wino, które postawił przedtem na stoliku przed nimi.

- Nie jest dobrze być zbyt poważnym, cheri; nie mamy zbyt wiele czasu. Santel Wino było delikatne i wiosenne.

- Ile czasu? Nie zostajesz tu?

- Za godzinę muszę wyjechać.

- Do Zagrosu?

- Nie, cheri na lotnisko, a potem do Kowissu.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wrócę - powiedział i poczuł, że zeszywniała. Obejmował ją mocno; gdy po chwili rozluźniła się, mówił dalej. Nie nastąpiło nigdy nic, co byłoby powodem, żeby jej nie ufać. -

Tak między nami: Kowiss to tylko przystanek po drodze. Wyjeżdżamy z Iranu. Cała firma.

Jest oczywiste, że nas tu nie chcą, że nie możemy już normalnie działać i że spółka nie dostanie pieniędzy. Wyrzucono nas z Zagrosu, a kilkanaście dni temu terroryści zabili jednego z mechaników. Brakowało milimetrów, żeby zginął Scot Gavallan. Więc się wynosimy.

Cestflni.

- Kiedy?

- Wkrótce. Nie wiem dokładnie.

- Ja... ja będę tęskniła... tęskniła za tobą, Jean-Luc - powiedziała i przytuliła się mocniej.

- A ja za tobą, chérie - odpowiedział grzecznie, widząc na jej policzkach łzy. - Jak długo zostaniesz w Teheranie?

- Nie wiem. - Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał normalnie. - Dam ci adres w Bejrucie; oni będą wiedzieć, gdzie mnie znaleźć.

301

- Ty możesz mnie znaleźć przez Aberdeen. Siedzieli na kanapie, ona w jego ramionach; zegar

na kominku tykał jak zwykle cicho, choć teraz wydawało się, że głośno. Oboje mieli świadomość upływu czasu i tego, że coś się kończy nie z ich własnej woli.

- Kochajmy się - mruknęła.

Nie chciała tego, lecz wiedziała, że tego od niej oczekuje.

- Nie - powiedział rycersko, udając, że jest silny za oboje, wiedząc, że oczekuje się od niego pójścia do łóżka. Potem będą mogli się ubrać i jak Francuzi zakończyć rozsądnie ten romans.

Spojrzał na zegar. Zostały jeszcze czterdzieści trzy minuty.

- Nie chcesz mnie?

- Bardziej niż kiedykolwiek.

Zaczął pieścić jej piersi i przebiegać ustami po szyi. Wdychał lekki, miły zapach jej perfum.

Był gotów zacząć.

- Cieszę się - odparła równie słodkim głosem - i cieszę się, że powiedziałaś: nie. Chciałabym mieć cię przez całe godziny, a nie przez kilka minut. Nie teraz. Pośpiech wszystko by zepsuł.

Przez chwilę był zakłopotany; w grze, w którą grali, nie spodziewał się tego gambitu. Ale teraz, gdy zostało to powiedziane, był zadowolony. Jak odważnie odmówiła sobie takiej rozkoszy, pomyślał, czując, że bardzo ją kocha. O wiele lepiej pamiętać wspaniałe chwile, niż 143

miotać się w pośpiechu. Na pewno zaoszczędzi mi to dużo potu i wysiłku, a nie sprawdziłem, czy jest ciepła woda. Możemy posiedzieć i pogawędzić, radować się winem, trochę popłakać i być szczęśliwi.

- Tak, masz rację, mnie też by zepsuł.

Błądził ustami po jej szyi. Poczł drżenie i przez chwilę chciał ją rozpalić. Postanowił jednak tego nie robić. Biedne maleństwo, po co ją męczyć?

- W jaki sposób wszyscy wyjedziecie?

- Odlecimy razem. Wina?

- Tak, tak, proszę, jest takie dobre.

302

Pociągnęła łyk wina, osuszyła policzki i zaczęła z nim rozmawiać, próbując coś z niego wyciągnąć. Zarówno oni, jak i Głos bardzo się tym wszystkim interesowali. Może dzięki temu dowiem się nawet, kim oni są. Dopóki nie wiem, nie mogę chronić synka. Och, Boże, pomóż mi zagnać ich w ślepy zaułek.

- Bardzo cię Kocham, cheri - powiedziała.

LOTNISKO W TEHERANIE, 18:05. Johnny Hogg, Pettikin i Nogger wpatrywali się w NcIvera.

- Zostajesz? Nie lecisz z nami? - wyjąkał Pettikin.

- Nie. Już wam mówiłem - odparł żywo NcIver. - Muszę jutro polecieć z Kia do Kowissu.

Stali koło jego samochodu na parkingu, daleko od obcych uszu. Nie opodal robotnicy ładowali do 125 ostatnie skrzynie. Jak zwykle pilnowały ich Zielone Opaski. I muła.

- To jakiś nowy muła, nigdy go przedtem nie widzieliśmy - rzucił Nogger. Był

zdenerwowany jak wszyscy i jak wszyscy starał się to ukryć.

- Dobra. Czy wszyscy gotowi do wejścia na pokład?

- Tak, Mac, poza Jean-Lukiem. - Pettikin był bardzo zaniepokojony. - Nie sądzisz, że powinieneś

zaryzykować i zostawić Kia?

- Dopiero to byłoby wariactwo, Charlie. Nie ma się czym martwić. Możesz ustalić wszystko z Andym na lotnisku w Asz Szargaz. Ja dotrę tam jutro z Kowissu razem z resztą chłopaków.

- Ale, na Boga, oni wszyscy mają zezwolenia, a ty nie - zauważył Nogger.

- Na Boga, Nogger, żaden z nas nie ma zezwolenia na dzisiejszy wyjazd stąd, na Boga. -

NcIver dodał śmiejąc się: - Jak, u diabła, możemy być pewni co do chłopaków z Kowissu, dopóki nie będą w powietrzu i poza terytorium Iranu? Nie ma się czym przejmować.

Najpierw najważniejsze: musimy rozpocząć tę część przedstawienia. - Spojrzał na zajeżdżającą taksówkę. Jean-Luc wysiadł, wręczył kierowcy banknot, podniósł walizkę i podszedł do nich.

303

- Alors, mes amis - powiedział z radosnym uśmiechem. - Ca marchel NcIver westchnął.

- Zabawiasz się wesoło, Jean-Luc, ogłaszając wszem i wobec, że wyjeżdżasz na wakacje.

- Co takiego?

- Już nieważne. - NcIver lubił Jean-Luca za jego zdolności, w tym kulinarne, i za niezależność myślenia. Gdy Gavallan powiedział Jean-Lucowi o Operacji, Jean-Luc odpowiedział od razu:

- Jasne, na pewno polecę jednym z 212 z Kowissu pod warunkiem, że będę mógł polecieć w środę na parę godzin do Teheranu.

- Po co?

- Mon Dieu, wy, Anglicy! Może po to, żeby powiedzieć imamowi adieu!

NcIver uśmiechnął się do Francuza.

- Jak było w Teheranie?

144

- Magnifique! - Jean-Luc odwzajemnił uśmiech i pomyślał: od lat Mac nie wyglądał tak młodo. Kim jest ta pani? - Et toi, mon vieux?

- Dobrze. - NcIver zobaczył Jonesa, drugiego pilota, który zbiegł po schodni, przeskakując po dwa stopnie naraz, i ruszył w ich stronę. Na płycie lotniska nie było już skrzyń, a pracownicy irańscy odchodzili w kierunku biura. - Wszyscy jesteście na pokładzie?

- Tak, kapitanie, oprócz pasażerów - odparł rzeczowo Jones. - Kontrola lotów zaczyna się

denerwować; mówią, że jesteśmy spóźnieni. Wsiadajcie jak najszybciej, dobrze?

- Nie cofnęli zezwolenia na lądowanie w Kowissie?

- Nie, nie ma problemu. NcIver wziął głęboki oddech.

- Dobrze, ruszamy. Tak jak planowaliśmy, z tym, że ja wezmę dokumenty, Johnny. - Johnny Hogg wręczył mu je. NcIver, Hogg i Jones ruszyli w stronę mułły, mając nadzieję, że zbiją go z tropu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dwaj mechanicy byli już na pokładzie i udawali, że zajmują się ładunkiem. - Dzień dobry,

304

agha - powiedział NcIver i ostentacyjnie wręczył mulle listę przewozową.

Stali tak, że zasłaniali mulle schodnię. Nogger, Pet-tikin i Jean-Luc szybko weszli po schodach i zniknęli w środku.

Mułła obrzucił wzrokiem listę; było oczywiste, że nie zna się na takich dokumentach.

- Dobrze. Teraz inspekcja - powiedział z silnym irańskim akcentem.

- Nie ma potrzeby, agha... - NcIver urwał. Mułła i dwaj strażnicy wchodzili już po schodkach. - Od razu włączaj silniki, Johnny - powiedział po cichu NcIver i podążył za nimi.

W kabinie piętrzyły się skrzynie; pasażerowie już siedzieli z zapiętymi pasami. Wszyscy starannie unikali wzroku mułły. Mułła wlepił w nich spojrzenie.

- Kto ci ludzie?

NcIver odpowiedział lekkim tonem:

- Zmiany załóg, agha. - Jego zdenerwowanie wzrosło, gdy usłyszał pomruk silników.

Wskazał niedbale Jean-Luca. - Pilot do pracy w Kowissie, agha. - Dorzucił bardziej nagłym tonem: - Komitet z wieży chce, żeby samolot już startował. Pospieszmy się, dobrze?

- Co w skrzyniach? - Mułła spojrzał na kokpit, gdyż Johnny Hogg zawołał w doskonałym farsii: - Przepraszam, że przeszkadzam, ekscelencjo, wedle woli Boga, ale wieża każe natychmiast startować. Za pańskim pozwoleniem, proszę?

- Tak, tak, oczywiście, ekscelencjo pilocie. - Mułła uśmiechnął się. - Pański farsii jest bardzo dobry, ekscelencjo.

- Dziękuję, ekscelencjo. Niech Bóg pana chroni i błogosławi imama.

- Dziękuję, ekscelencjo pilocie. Niech Bóg chroni pana. - Mułła wyszedł.

NcIver, po drodze do wyjścia, nachylił się w głąb kokpitu.

- O czym mówiliście, Johnny? Nie wiedziałem, że znasz farsi.

305

- Nie znam - odparł Hogg i wyjaśnił, co powiedział mulle. - Nauczyłem się tylko tego zdania; pomyślałem, że może się przydać.

NcIver uśmiechnął się.

- Świetnie ci wyszło. - Ściszył głos. - Gdy doleciecie do Kowissu, powiedz Duke'owi, żeby załatwił to jakoś z Waźniakiem i wysłał chłopaków przodem, jak najwcześniej rano. Nie chcę, żeby startowali przy Kia. Niech ich wyśle jak najwcześniej, dobra?

- Tak, oczywiście, zapomniałem o tym. Bardzo rozsądnie.

- Bezpiecznego lotu, do zobaczenia w Asz Szargaz. Stojąc na płycie, uniósł kciuk, gdy samolot rozpoczął

kołowanie.

Po chwili byli już w powietrzu. Nogger wrzasnął:

- Udało się!

145

Wszyscy zaczęli wiwatować, oprócz Jean-Luca, który przeżegnał się zabobonnie. Pettikin postukał w nie malowane drewno.

- Merde! - zawołał Jean-Luc. - Poczekaj z tymi wiwatami, Nogger, mogą cię jeszcze przyskrzynić w Ko-wissie. Zachowaj te wiwaty na piątek. Do tego czasu jeszcze mocno zawiruje nad zatoką!

- Święte słowa, Jean-Luc - zauważył Pettikin. Siedział obok niego przy oknie, obserwując malejące lotnisko. - Mac był w dobrym humorze. Już od miesiący nie widziałem, żeby był

taki zadowolony, a rano był wyjątkowo oklapnięty. To dziwne, jak ludzie się zmieniają.

- Tak, dziwne. Ja też byłbym oklapnięty po takiej zmianie planów. - Jean-Luc usadowił się wygodnie i opuścił oparcie fotela; myślał o Sajadzie i rozstaniu, które było tak słodkie i smutne. Spojrzał na Pettikina i zauważył, że ten zmarszczył brwi. - Co jest?

- Zacząłem się nagle zastanawiać, jak Mac dostanie się do Kowissu.

- Helikopterem, oczywiście. Zostały dwie maszyny 206 i alouette.

- Tom odstawił dziś alouette do Kowissu; nie został żaden pilot.
- Więc oczywiście pojedzie samochodem. O co chodzi?
- Chyby nie będzie tak szalony, żeby samemu poprowadzić helikopter, co?
- Zwariowałeś? Oczywiście, że nie, on nie jest wariatem... - Jean-Luc urwał. - Merde, właściwie to jest.

SIEDZIBA WYWIADU WEWNĘTRZNEGO,

18:30. Haszemi Fazir stał w oknie swego ogromnego biura. Patrzył na dachy domów i minarety, wielkie kopuły meczetów, wyrastające wśród nowoczesnych wieżowców.

Nawoływania muezzinów do modlitwy o zachodzie słońca właśnie zamierały. Trochę więcej świateł niż zwykle. Odległe strzały.

- Psie syny - mruknął. Potem, nie odwracając się, dodał ostro: - To wszystko, co powiedziała?
- Tak, ekscelencjo. „Za kilka dni”. Powiedziała, iż jest „właściwie pewna”, że Francuz nie wie dokładnie, kiedy odjeżdżają.
- Powinna się upewnić. Jest lekkomyślna. Lekkomyślni agenci są niebezpieczni. Tylko 212, tak?
- Tak, to wiedziała na pewno. Rzeczywiście jest lekkomyślna i powinna być ukarana.

Haszemi usłyszał w głosie rozmówcy nutę okrutnego zadowolenia, ale nie pozwolił, żeby zakłóciło mu to dobry humor. Błądził myślami, zastanawiając się jednocześnie, co zrobić z Sajadą Bertolin i jej informacjami. Był bardzo z siebie zadowolony.

Dzisiejszy dzień był wspaniały. Jeden z jego tajnych współpracowników został mianowany człowiekiem numer dwa po Pahnudim w SAVAMA. W południe teleks z Tebrizu potwierdził śmierć Abdollah-chana. Niezwłocznie wysłał teleks, żądając zorganizowania prywatnego spotkania z Hakimem i zamówił na następny dzień jeden z małych dwusilnikowych samolotów SAYAMA. Wysłanie Talbota do piekła poszło 307

gładko, a ludzie, którzy to zrobili, zespół Grupy Cztery, nie zostawili śladów, o czym przekonał się, badając miejsce wypadku, gdyż, oczywiście, od razu go wezwano. Nikt nie widział, jak parkowano samochód.

- W jednej chwili panował boży pokój, a w następnej gniew szatana.

Godzinę wcześniej Abrim Pahnudi osobiście zatelefonował, żeby mu pogratulować. Fazir nie dał się jednak podejść i kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z wybuchem; lepiej nie prowokować skojarzeń z pierwszą bombą samochodową, która rozerwała na kawałki generała

Dżanana, lepiej, żeby Pahmudi pozostał przy własnych domysłach.

Powstrzymał śmiech i powiedział z grobową powagą:

146

- Wedle woli Boga, ekscelencjo, ale to musiał być znowu atak tych przeklętych lewaków.

Talbot nie był celem, choć jego odejście na pewno zlikwiduje problem. Przykro mi to mówić, lecz atak był skierowany przeciwko ludziom wiernym imamowi.

Obwinianie terrorystów i utrzymywanie, że atakowano ajatollahów i mułłów, którzy bywali w tej restauracji, mogło ich przestraszyć, a jednocześnie odciągało uwagę od Talbota i zmniejszało prawdopodobieństwo ewentualnego odwetu ze strony Brytyjczyków, a w szczególności Roberta Armstronga, gdyby ten kiedykolwiek odkrył prawdę. Jednym kamieniem udało się rozgnieść kilka skorpionów naraz.

Haszemi odwrócił się i spojrzał na mężczyznę o ostrych rysach, Sulejmana al Wiali, szefa Grupy Cztery, który podłożył dziś bombę. To on schwytał Sajadę Bertolin w sypialni Tejmura.

- Za parę minut wyjeżdżam do Tebrizu. Wrócę jutro lub pojutrze. Będzie ze mną wysoki Anglik, Robert Armstrong. Wyznacz jednego ze swoich ludzi, żeby go śledził, upewnij się, że ten człowiek wie, gdzie Armstrong mieszka, a potem niech z nim skończy gdzieś na ulicy, po zmroku. Nie rób tego sam.

- Tak, ekscelencjo. Kiedy?

Haszemi powtórzył w myślach swój plan i nie znalazł w nim luk.

- W piątek.

- To ten sam człowiek, z którym Sajada miała cudzołożyć?

- Tak, ale teraz zmieniłem zdanie.

Robert nie ma już żadnej wartości, pomyślał. Nawet więcej: jego czas się skończył.

- Czy ma pan dla niej jakieś inne zadanie, ekscelencjo?

- Nie. Złamaliśmy już pierścień Tejmura.

- Wedle woli Boga. Czy mogę coś zaproponować? Haszemi przyjrzał się mu uważnie.

Sulejman był

najbardziej sprawnym, godnym zaufania i groźnym szefem Grupy Cztery. Jego przykrywką była praca drobnego agenta Wywiadu Wewnętrznego, podległego bezpośrednio Fazirowi.

Sulejman twierdził, że pochodzi z gór na północ od Bejrutu. Cała rodzina została wymordowana, a jego wyprowadzili członkowie milicji chrześcijańskiej. Haszemi wciągnął

Sulejmana do pracy pięć lat temu, po wydobyciu go za pomocą łapówki z syryjskiego więzienia, gdzie oczekiwał na wykonanie wyroku śmierci za morderstwo i bandytyzm po obu stronach granicy. Bronił się tak: „Zabijałem tylko żydów i niewiernych, wedle rozkazu Boga, a więc wykonywałem bożą pracę. Jestem mścicielem”.

- Co proponujesz? - zapytał.

- Ona jest zwykłym kurierem OWP, niezbyt dobrym. W obecnym stanie jest niebezpieczna i stanowi ewentualne zagrożenie: może być łatwo przechwycona przez Żydów albo CIA i użyta przeciwko nam. Jak dobrzy rolnicy, powinniśmy siał tam, skąd będziemy mogli zebrać plony. - Sulejman uśmiechnął się. - Jest pan mądrym rolnikiem, ekscelencjo. Proponuję powiedzieć jej, że nadszedł czas powrotu do Bejrutu, że my, którzy złapaliśmy ją na nierządzie, chcemy, żeby teraz tam dla nas pracowała. Pozwolimy, by podsłuchiwała naszą rozmowę; będziemy udawać, że jesteście częścią komórki milicji chrześcijańskiej z południowego Libanu

309

i że działamy w myśl rozkazów izraelskich, pochodzących od ich panów z CIA.

Mężczyzna roześmiał się cicho, widząc zdumienie swego pracodawcy.

- A potem?

- Co może zmienić łagodną, antyizraelsko nastawioną palestyńską Koptyjkę w fanatycznego diabła opętanego żądzą zemsty?

Haszemi spojrzał na niego.

- Co?

147

- Powiedzmy, że pewni członkowie milicji chrześcijańskiej, działający według rozkazów Izraelczyków i ich panów z CIA, zranią jej dziecko, zranią okrutnie na dzień przed jej powrotem, a potem znikną. Czyż nie zrobi to z niej szatańskiego wroga naszych wrogów?

Haszemi zapalił papierosa, żeby ukryć swój niesmak.

- Zgadzam się tylko z tym, że nie jest już nam potrzebna - powiedział i zobaczył przebłysk gniewu.

- Jaką wartość ma jej dziecko i jaką przyszłość?

- rzucił pogardliwie Sulejman. - Z taką matką i w otoczeniu chrześcijan pozostanie chrześcijaninem i pójdzie do piekła.

- Izrael jest naszym sprzymierzeńcem. Trzymaj się z dala od spraw Środkowego Wschodu, bo cię pożą. To jest zakazane!

- Skoro mówi pan, że zakazane, to zakazane. - Sulejman skłonił się i skinął potakująco głową. - Na głowę moich dzieci.

- Dobrze. Świetnie się dziś spisałeś. Dziękuję ci.

- Podeszedł do sejfu i wyjął plik używanych dolarów. Zobaczył, że twarz Sulejmana pojaśniała. - To premia dla ciebie i twoich ludzi.

- Dziękuję, ekscelencjo, dziękuję, niech Bóg pana strzeże! Ten Armstrong jest już właściwie martwy.

Sulejman skłonił się z wdzięcznością i wyszedł.

Teraz, gdy został sam, Haszemi otworzył szufladę i wyjął butelkę. Nalał sobie whisky. Tysiąc dolarów to fortuna dla Sulejmana i jego trzech ludzi, ale to dobra 310

inwestycja, pomyślał z zadowoleniem. Och, tak. To dobrze, że podjąłem już decyzję w sprawie Roberta. Robert zbyt wiele wie, zbyt wiele podejrzewa; czyż to nie on wymyślił

nazwę moich zespołów? „Zespoły Grupy Cztery muszą być używane do dobrych celów, a nie złych, Haszemi”, powiedział wtedy tym swoim przemądrzałym tonem. „Po prostu ostrzegam cię: ich siła może się obrócić przeciwko tobie. Pamiętaj o Starcu z Gór, dobra?”

Haszemi roześmiał się, żeby ukryć zdziwienie tym, iż Armstrong czytał w jego najskrytszych myślach.

- Co ma ze mną wspólnego As-Sabbah i jego zabójcy? Żyjemy w dwudziestym wieku, a ja nie jestem religijnym fanatykiem. A co ważniejsze, Robercie, ja nie mam twierdzy Alamut!

- Jest jeszcze haszysz - i lepiej.

- Nie chcę narkomanów i skrytobójców, tylko ludzi, którym mogę ufać.

Słowo assassin, skrytobójca, pochodziło od słowa haszaszizjuna, co znaczy ten, który zażywa haszysz. Legenda mówiła, że w jedenastowiecznym Alamut - nie zdobytej fortecy Hasana ibn as-Sabbaha w górach koło Kazwinu - znajdowały się tajne ogrody przypominające Ogrody Raju opisane w Koranie, gdzie fontanny tryskały winem oraz miodem i gdzie leżały piękne, uległe panny. Prowadzono tam oszołomionych haszyszem wiernych, aby dać im przedsmak raj, jaki czekał na nich po śmierci. Potem, po dwóch lub trzech dniach, „błogosławionego” sprowadzano „z powrotem na ziemię”, gwarantując szybki powrót do raj w zamian za absolutne posłuszeństwo.

Z twierdzy Alamut fanatyczna banda oszołomionych haszyszem ludzi - skrytobójców -

terroryzowała Persję, docierając wkrótce do wszystkich zakątków Środkowego Wschodu.

Proceder ten trwał przez niemal dwa stulecia. Do roku 1256. Potem wnuk Dżyn-gis-chana, Hulagu-

chan, wkroczył do Persji i wysłał swe hordy do Alamu, rozebrał twierdzę kamień po kamieniu i wdeptał skrytobójców w kurz.

311

Usta Faizra utworzyły cienką linię. Ach, Robercie, jak ci się udało przejrzeć mój tajny plan: inowocześnie idei As-Sabbaha, tak łatwe teraz, gdy Szach wyjechał, a w kraju wrze. Tak łatwo to osiągnąć psychodelicznymi narkotykami i halucynogenami, jeśli dysponuje się 148

nieskończoną rezerwą prostych fanatyków opętanych żądzą męczeństwa! Trzeba tylko nimi pokierować i wskazać im właściwy kierunek. Teraz mogę usunąć, kogo tylko zechcę. Jak Dżanana i Talbota. Jak ciebie!

Z jakim ścierwem muszę jednak rozmawiać ku większej chwale mojego lenna. Jak ludzie mogą być aż tak okrutni? Jak mogą cieszyć się otwarcie tak bezsensownym okrucieństwem, jak obcinanie mężczyznom genitaliów, planowanie skrzywdzenia dziecka? To po prostu dlatego, że oni są ze Środkowego Wschodu, że żyją na Środkowym Wschodzie i do niczego innego nie należą. To straszne, że nie mogą uczyć się od nas, nie mogą korzystać z doświadczeń naszej starożytnej cywilizacji. Cesarstwo Cyrusa i Dariusza musi znów nadejść.

Na Boga, w tym punkcie Szach się na pewno nie mylił. Moi zabójcy utorują temu drogę; zaprowadzą nas nawet do Jerozolimy.

Pociągnął łyk whisky. Był bardzo zadowolony z wykonanej dziś pracy. Whisky miała świetny smak. Wolał ją bez lodu.

W WIOSCE PRZY PÓLNOCNEJ GRANICY,

5:30. W świetle fałszywego świtu Erikki wkładał buty. Miał już na sobie lotniczą kurtkę, miękkie, wygodne spodnie ze skóry; nóż wydobyl z pochwy i ukrył w rękawie. Otworzył

drzwi chaty. Wioska spała otulona śniegiem. Żadnych wartowników w zasięgu wzroku.

Wiata, pod którą stał helikopter, nie zdradzała śladów ruchu, ale wiedział, że jest nadal zbyt dobrze pilnowana, by to sprawdzać. Robił to już o różnych porach dnia i nocy. Za każdym razem wartownicy tylko uśmiechali się do niego z kabiny i kokpitu, zaalarmowani, ale grzeczni. Nie da rady pokonać ich i wystartować. Jediną szansę dawała ucieczka na piechotę; planował ją od przedwczoraj, od pełnej napięcia rozmowy z Bajazidem.

Badał ciemności wszystkimi zmysłami. Gwiazdy przesłaniała cienka pokrywa chmur.

Teraz! Zdecydowa-

315

nie wysliznął się na zewnątrz i ruszył wzdłuż rzędu chat, kierując się w stronę drzew.

Kiedy spadła na niego sieć, zaczął walczyć o życie. Czterej górale trzymali rogi sieci, służącej zwykle do łapania kozic. Zreźnie owinęli ją wokół niego, zaciskali coraz mocniej, a choć ryczał z gniewu i udało mu się przerwać kilka linek, wkrótce bezradnie leżał na śniegu. Przez chwilę oddychał ciężko, potem jeszcze raz spróbował uwolnić się z więzów; poczucie bezsilności sprawiło, że zawył. Im bardziej szarpał sznury, tym ciaśniej go oplątywały.

Wreszcie zaprzestał walki; spróbował złapać oddech i rozejrzał się wokół. Był otoczony.

Wszyscy mieszkańcy wioski byli już na nogach, ubrani i uzbrojeni. Było jasne, że czekali na niego. Nigdy jeszcze nie widział ani nie czuł takiej nienawiści.

Aż pięciu mężczyzn musiało go na wpół nieść, na wpół wlec do chaty, w której odbywały się zebrania. Rzucili go brutalnie na brudną podłogę u stóp szejka Bajazida, który siedział po turecku na skórach rozłożonych na honorowym miejscu obok paleniska. Chata była duża, zadymiona i pełna ludzi.

- A więc - powiedział szejk - ośmieliłeś się nie być mi posłuszny?

Erikki leżał nieruchomo, zbierając siły. Co zresztą miałby odpowiedzieć?

- W nocy jeden z moich ludzi wrócił od chana. - Bajazid aż dygotał ze złości. - Wczoraj po południu, z rozkazu Abdollaha i z pogwałceniem wszystkich zasad rycerskości, poderżnięto gardło mojemu wysłańcowi! Co na to powiesz? Poderżnęli mu gardło jak psu! Jak psu!

- Ja... nie mogę uwierzyć, że chan to zrobił - powiedział bezradnie Erikki. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Na wszystkie imiona Boga, poderżnięto mu gardło. Nie żyje, a my zostaliśmy obrażeni. My wszyscy i ja! Poniżeni z twojego powodu!

- Chan to prawdziwy diabeł. Przykro mi, ale ja nie...

- Układaliśmy się z Abdollahem honorowo, ciebie traktowaliśmy honorowo. To wypowiedzenie wojny.

149

316

Masz za żonę córkę Gorgona, a chan ma więcej worów złota niż koza włosów. Co to dla niego milion riali? Tyle co kozie gówno! Gorzej: on nam odmówił honoru. Niech Bóg ześle na niego śmierć!

Wśród zgromadzonych wieśniaków dał się słyszeć pomruk; nie rozumieli po angielsku, lecz słyszeli przebijające z wypowiedzi kolce gniewu.

I znów nabrzmiałe jadem słowa:

- In sza'a Allah! Uwolnimy cię teraz, tak jak chciałeś. Zapolujemy na ciebie. Nie zabijemy cię kulami, ale nie zobaczysz wschodu słońca. Twoja głowa będzie podarunkiem dla chana.

Szejk powtórzył wyrok we własnym języku i skinął dłonią. Mężczyźni ruszyli do przodu.

- Poczekajcie! - wrzasnął Erikki, gdyż strach podsunął mu pewną myśl.

- Chcesz błagać o litość? - zapytał obelżywie Bajazid. - Myślałem, że jesteś mężczyzną; właśnie dlatego nie kazałem poderżnąć ci gardła podczas snu.

- Nie o litość! O zemstę! - ryknął Yokkonen. - Zemstę! - Zapadła pełna zdumienia cisza. - Za ciebie i za mnie! Czyż taka obelga nie wymaga zemsty?

Mężczyzna zawahał się.

- Co to za sztuczka?

- Pomogę ci odzyskać honor. Ja sam. Napadnijmy na pałac chana i zemścimy się na Gorgonie. - Erikki modlił się do swych starożytnych bogów, żeby dali mu siłę wymowy.

- Zwariowałeś?

- Chan jest moim wrogiem bardziej niż waszym. Po cóż miałby was obrażać, jeśli nie po to, żeby nastawić was wrogo przeciw mnie? Znam pałac. Mogę w ułamku sekundy przerzucić ciebie i piętnastu uzbrojonych ludzi na dziedziniec...

- Szaleństwo - ocenił szejk. - Czyż mamy oddać nasze życie jak otumanieni haszyszem głupcy? Chan ma zbyt wielu strażników.

- Pięćdziesięciu trzech w obrębie murów, a tylko czterech czy pięciu na służbie. Czy twoi bojownicy są

317

tak słabi, że nie mogą walczyć z pięćdziesięcioma trzema ludźmi? Zaskoczmy ich.

Gwałtowny atak z nieba i bezlitosna walka w obronie twojego honoru. Mogę was przywieźć i zabrać z powrotem w ciągu kilku minut. Abdollah-chan jest chory, bardzo chory; strażnicy nie będą przygotowani ani nikt w domu. Znam drogę, wiem, gdzie kto śpi, wszystko...

Erikki stwierdził, że mówi z podnieceniem. Wiedzieli, że rzeczywiście to może się udać; szybki przelot nad murem i nagle lądowanie, wyskoczyć, poprowadzić ludzi po schodach i do środka, klatką schodową do podestu, korytarzem, zmieść z drogi Ahmeda i innych, wpaść do pokoju chana. Bajazid i jego ludzie niech robią, co chcą, a ja dostanę się jakoś do północnego skrzydła, ocalę Azadeh, a gdyby jej tam nie było albo była ranna, zabijać, zabijać i jeszcze raz zabijać: chana, strażników, tych ludzi, wszystkich.

Zapalił się do swego planu.

- Czyż twoja sława nie przetrwa tysiąca lat? Szejk Bajazid, który ośmielił się poniżyć, wyzwąć chana wszystkich Gorgonów w jego jaskini po to, by zadbać o honor? Czyż nie będzie się o tym śpiewać przy wszystkich obozowych ogniskach Kurdów? Czyż nie tak postąpiłby Saladyn?

Dostrzegł w świetle ognia inny wyraz oczu. Bajazid wahał się, cisza narastała; słyszał, jak szejk mówi coś cicho do swoich ludzi. Potem ktoś się zaśmiał i wzniósł okrzyk, który podjęli inni. Po chwili dał się słyszeć dziki ryk oznaczający zgodę.

Kilku mężczyzn skwapliwie rozcięło krępującą go sieć. Wszyscy kłócili się zażarcie o przywilej udziału w rajdzie.

Erikki drżącym palcem wcisnął guzik startera, zahuczał pierwszy silnik.

150

W PAŁACU CHANA, 6:35. Hakim nagle się obudził. Zaalarmowało to ochroniarza pilnującego drzwi. - Co, Wasza Wysokość?

- Nic, nic, Isztar. Ja... coś mi się śniło..- Teraz już na dobre rozbudzony, Hakim przeciągnął

się z zadowoleniem, witając radośnie nowy dzień. - Przynieś mi kawę. Po kąpieli zjem śniadanie tutaj. Poproś moją siostrę, żeby zjadła ze mną.

- Tak, Wasza Wysokość, natychmiast. Ochroniarz wyszedł. Hakim znów się przeciągnął.

Świt był mroczny. Ozdobny pokój, ogromny i zimny, ale przecież sypialnia chana. W

ogromnym kominku płonął ogień, podsycany przez całą noc przez wartownika. Nikomu innemu nie wolno było wchodzić, a wartownika wybrał sam Hakim spośród pięćdziesięciu trzech strażników pałacu, niepewny przyszłości. Gdzie znaleźć ludzi godnych zaufania, zadał

sobie pytanie. Wstał i owinał się szlafrokiem z brokatu - jednym z pięćdziesięciu, które znalazł w garderobie. Zwrócił się przodem do Mekki i otworzył Koran, spoczywający w zdobionej mozaiką niszy. Uklęknął i zmówił pierwszą modlitwę dnia. Gdy skończył, nie ruszył się z miejsca; patrzył na stary egzemplarz Koranu, ogromny, wysadzany klejnotami, wykaligrafowany ręcznie i bezcenny - Koran chanów z Gorgonów, jego Koran. Za tak wiele trzeba podziękować Bogu, pomyślał, tak wielu rzeczy się nauczyć, tak wiele zrobić. Ale wspomniały początek mam już za sobą.

Poprzedniego dnia, tuż po północy, w obliczu całej zgromadzonej rodziny zdjął złoty rzeźbiony pierścień ze szmaragdem - symbol starożytnego chanatu - z palca wskazującego prawej dłoni ojca i włożył go na własny. Musiał ściągać pierścień przez obwódkę tłuszczu i znieść odór śmierci, jaki zawisł w pokoju. Pokonał wstręt i teraz był już naprawdę chanem.

Potem wszyscy uklękli i całowali kolejno ozdobioną pierścieniem dłoń i ślubowali posłuszeństwo; Azadeh dumnie pierwsza, potem Aisza, drżąca i przestraszona, potem inni: Nadzud i Ma-hmud w

poniżeniu, skrycie dziękując Bogu za odroczenie wyroku.

318

319

Później na dole, w Wielkiej Sali, z Azadeh przy boku, przyjmował przyrzeczenie Ahmeda i strażników. Pozostali członkowie licznej rodziny mieli przybyć wkrótce, razem z innymi wodzami szczepów, personelem, domownikami i służbą. Od razu wydał polecenia co do pogrzebu, a potem spojrzał na Nadzud.

- A więc...

- Wasza Wysokość - powiedziała z namaszczeniem

- całym sercem, w obliczu Boga, gratulujemy ci i przyrzekamy służyć ze wszystkich sił.

- Dziękuję, Nadzud - odpowiedział. - Dziękuję. Ahmedzie, jaką karę nałożył chan na moją siostrę i jej rodzinę, zanim umarł? - Zapanowała pełna napięcia cisza.

- Wygnanie, bez pieniędzy, na pustynne tereny na północ od Meszhedu, Wasza Wysokość.

Pod strażą i natychmiast.

- Żałuję, Nadzud, ale ty i twoja rodzina wyjedziecie o świcie, zgodnie z wolą ojca.

Przypomniał sobie, jak twarze jej i Mahmuda przybrały barwę popiołu. Nadzud, zająkując się, zaczęła mówić:

- Ale, Wasza Wysokość, teraz ty jesteś chanem, twoje słowo jest naszym prawem. Nie myślałem... Ty jesteś teraz chanem.

- Ale chan, nasz ojciec, wydał rozkaz, a wtedy on stanowił prawo, Nadzud. Nie mogę zmieniać jego decyzji.

- Ty teraz stanowisz prawo - upierała się Nadzud z nieszczerym uśmiechem. - Zrób to, co jest słuszne.

- Z bożą pomocą, na pewno będę próbował. Nie mogę jednak zmieniać decyzji mego- ojca przy jego łożu śmierci.

- Ale, Wasza Wysokość... - Nadzud zbliżyła się.

- Proszę, czy... czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

151

- Lepiej tu, przy rodzinie, Nadżud. Co chciałaś powiedzieć?

Zawahala się i zbliżyła jeszcze bardziej. Poczuł, że Ahmed zeszywniał; zobaczył, że sięga po nóż.

320

- To Ahmed powiedział, że chan wydał taki rozkaz, a to nie znaczy... prawda? - Nadżud próbowała mówić szeptem, lecz jej głos odbijał się echem od ścian.

Ahmed ze świstem wciągnął powietrze.

- Niech Bóg skaże mnie na wieczne męki, jeśli skłamałem.

- Wiem, że nie skłamałeś, Ahmedzie - powiedział smutno Hakim. - Czyż nie byłem tu, gdy chan podejmował decyzję? Byłem, Nadżud, a także Jej Wysokość, moja siostra. Żałuję...

- Ale ty możesz okazać łaskę! - zawyła Nadżud. - Proszę, proszę, okaż łaskę!

- Ależ ja ci wybaczam, Nadżud. Lecz wyrok został wydany w imieniu Boga - stwierdził

poważnie. - Nie chodzi o karę za kłamanie w obliczu Boga, za kłamstwa o mnie i mojej siostrze, które przyniosły nam lata smutku, które sprawiły, że utraciliśmy miłość ojca.

Oczywiście to ci wybaczymy, prawda, Azadeh?

- Tak, tak, to jest wybaczone.

- Oświadczamy otwarcie, że to zostało wybaczone. Ale kłamstwo w obliczu Boga? Chan postanowił, a ja nie zmienię jego decyzji.

Poprzez płacz Nadżud dało się słyszeć wybuch Mahmuda:

- Ja nic o tym nie wiem, Wasza Wysokość, nic, przysięgam przed Bogiem, że wierzyłem w jej kłamstwa. Rozwiódę się z nią oficjalnie jako z kimś, kto cię zdradził. Nigdy nie wiedziałem o jej kłamstwach!

Wszyscy obecni w Wielkiej Sali widzieli ich poniżenie, niektórzy czuli do nich wstręt, inni pogardę. Już upadli, już nie mieli żadnej władzy.

- O świecie, Mahmudzie, jesteś wygnany. Ty i twoja rodzina - powiedział Hakim nabrzmiałym smutkiem głosem. - Bez pieniędzy, pod strażą... w zależności od mojej woli. Co do rozwodu, w moim domu jest zakazany. Jeśli chcesz się rozwieść na północ od Meszhedu...

In szaa Allah. Jesteś wygnany, zależny od mojej woli...

Och, byłeś wspaniały, pomyślał z zadowoleniem Hakim. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że to była pierwsza

próba. Wypadłeś świetnie! Nigdy nie rozkoszuj się niczym otwarcie, nigdy nie ujawniaj swoich prawdziwych zamierzeń, nigdy nie podnoś głosu. Bądź zawsze spokojny i uprzejmy, i tak smutny, jakby rzeczywiście martwił cię wyrok wydany przez ojca, którego jednak nie mogłeś zmienić. A łaskawa, słodka obietnica „zależnie od mojej woli”? Moją wolą jest to, żebyście pozostali zawsze wygnańcami, a jeśli usłyszę najmniejszą pogłoskę o spiskowaniu, zdmuchnę was jak świecę. Na Boga i proroka, niech jego imię będzie sławione, duch mego ojca będzie dumny z tego chana wszystkich Gorgonów, choć pewnie przebywa w piekle za słuchanie złośliwych kłamstw tej starej wiedźmy.

Za tyle dobrodziejstw trzeba podziękować Bogu, pomyślał, wpatrując się jak zahipnotyzowany w migocące w świetle ognia drogocenne kamienie Koranu. Czyż wszystkie te lata wygnania nie nauczyły cię skrytości, podstępnych działań i cierpliwości? Teraz musisz ugruntować swoją władzę, obronić Azerbejdżan, podbić świat, znaleźć żonę, spłodzić synów i zapoczątkować dynastię. Niech Nadzud zgnije razem ze swym pomiotem!

O świcie poszedł „zasmucony” z Ahmedem, żeby ich pożegnać. Melancholijnie nalegał, żeby poza tym nikt z rodziny nie był świadkiem ich odejścia.

- Dlaczego zwiększać smutek ich i mój?

Patrzył, jak zgodnie z jego rozkazem Ahmed i strażnicy przeszukiwali całe góry toreb i waliz, usuwając wszystko, co miało jakąś wartość, aż pozostało tylko po jednej walizce dla nich i trójki dzieci, które przyglądały się temu przerażone.

152

- Twoja biżuteria, kobieto - powiedział Ahmed.

- Zabraliście już wszystko, wszystko... proszę, Ha-kim... Wasza Wysokość, proszę... - łkała Nadzud.

Saszetka z biżuterią schowana w kieszeni walizki dołączyła już wcześniej do stosu rzeczy wartościowych. Ahmed gwałtownie wyciągnął rękę i rozerwał kołnierz jej sukienki; wyłonił się zawieszony na szyi tuzin naszyjników z diamentów, rubinów, szmaragdów i szafirów.

- Skąd to masz? - zapytał zdumiony Hakim.

322

- To... to moje... mojej matki i moje, kupowałam przez całe lata... - Nadzud urwała, gdyż Ahmed wyciągnął nóż. - Już dobrze, dobrze... - Gorączkowo ściągała naszyjniki przez głowę, rozpinając je i wręczała Hakimo-wi. - Teraz masz wszyst...

- Twoje pierścionki!

- Ale, Wasza Wysokość, proszę mi coś zost... - Zawyla, gdy Ahmed niecierpliwie chwycił

palec, aby obciąć go nożem razem z pierścieniem. Wyrwała rękę, zdjęła szybko pierścionki i bransoletki ukryte pod rękawem. Wyjął z żalości, rzuciła to wszystko na podłogę. - Teraz masz wszystko...

- Teraz je podnieś i podaj Jego Wysokości. Na kolanach! - syknął groźnie Ahmed, a gdy nie usłuchała od razu, chwycił ją za włosy i przycisnął twarz do podłogi. Czołgając się, zbierała biżuterię.

Ach, to była prawdziwa uczta, myślał Hakim, napawając się każdą sekundą ich poniżenia.

Potem będą martwi. Bóg ich spali.

Wykonał ostatni ukłon, pożegnał się z Bogiem do następnej, południowej modlitwy i rozpierany energią, zerwał się na nogi. Pokojówka klęcząc nalewała kawę; z zadowoleniem zobaczył w jej oczach strach. W chwili gdy został chanem, wiedział już, że musi szybko przejąć cugle władzy. Poprzedniego dnia rano przeprowadził inspekcję pałacu. Kuchnia nie była dla niego dostatecznie czysta; zbił kuchmistrza do nieprzytomności i wygnał za mury. Awansował na jego miejsce drugiego kucharza, udzielając mu surowego upomnienia.

Wyrzucił czterech strażników, którzy zaspali, a cztery pokojówki wychłostał, gdyż były zbyt powolne.

- Hakim, kochanie - powiedziała Azadeh, gdy zostali sami - nie musiałeś przecież ich bić.

- Przestanę za dzień czy dwa dni - odpowiedział. - W tym czasie pałac dostosuje się do mojej woli.

- Oczywiście, ty wiesz najlepiej, kochanie. Co z okupem?

- Ach, tak, natychmiast. - Wysłał po Ahmeda.

323

- Żałuję, Wasza Wysokość, ale chan, pański ojciec, kazał wczoraj po południu poderznąć gardło posłańcowi.

Oboje, Hakim i Azadeh, byli przerażeni.

- To straszne! Co teraz zrobimy? - krzyknęła.

- Spróbuję skontaktować się z ludźmi z gór - odpowiedział Ahmed. - Może teraz, gdy chan, wasz ojciec, nie żyje... Może teraz zechcą układać się od nowa. Spróbuję.

Siedząc tu, na miejscu chana, Hakim dostrzegł u Ah-meda uprzejmą pewność siebie i zorientował się, że wpadł w pułapkę. Ogarnął go strach aż do szpiku kości. Bawił się pierścieniem ze szmaragdem, który miał na palcu.

- Azadeh, wróć, proszę, za pół godziny.

- Oczywiście - odparła posłusznie.

Gdy został sam na sam z Ahmedem, zapytał:

- Jaką broń nosisz?

- Nóż i pistolet automatyczny, Wasza Wysokość.

153

- Daj mi to. - Pamiętał, jak waliło mu serce i jak zaschło w ustach, ale musiał to zrobić.

Zrobić samemu. Ahmed zawahał się, a potem usłuchał; było jasne, że nie jest zadowolony, pozostając bez broni. Hakim udał, że tego nie widzi; sprawdził działanie pistoletu i z namysłem odwiódł kurek.

- Teraz posłuchaj uważnie, doradco: nie próbuj kontaktować się z góralami na swój własny sposób. Załatw to tak, żeby mąż mojej siostry powrócił bezpiecznie do domu. Zrób to bardzo szybko; na twoją głowę, na Boga i Jego proroka!

- Ja... oczywiście, Wasza Wysokość. - Ahmed starał się nie ujawniać swego gniewu.

Hakim leniwie wycelował pistolet w jego głowę i spojrzał niżej.

- Przysięgłem na Boga, że będziesz moim pierwszym doradcą. I będziesz; dopóki żyjesz. -

Uśmiechnął się. - Nawet gdybyś został przypadkiem okaleczony, wykastrowany, oślepiony przez twoich wrogów. Czy masz wrogów, Ahmedzie Dursaku, Turkmenie?

324

Ahmed roześmiał się. Stwierdził z radością, że chanem został mężczyzna, a nie szczeniak, jak się spodziewał. O ileż łatwiej dogadać się z mężczyzną, pomyślał. Powróciła mu pewność siebie.

- Wielu, Wasza Wysokość, wielu. Czyż nie mierzy się wartości mężczyzny tym, jak ważnych ma wrogów? In sha'a Allah! Nie wiedziałem, że umie pan posługiwać się bronią.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, Ahmedzie

- powiedział z ponurą satysfakcją. Odniósł ważne zwycięstwo. Oddał Ahmedowi nóż, ale pistolet zatrzymał.

- Zachowam go jako pizkiesz. Nie przychodź do mnie z bronią przez rok i dzień.

- Więc jak mam pana ochraniać, Wasza Wysokość?

- Mądrością. - Pozwolił sobie na okazanie brutalności, którą tłumił od lat. - Musisz udowodnić, że

jesteś coś wart. Dla mnie. Tylko dla mnie. To, co podobało się mojemu ojcu, nie musi się koniecznie podobać mnie. Nastąpiła nowa epoka, pojawiły się nowe możliwości, nowe zagrożenia. Pamiętaj, na Boga, że płynie we mnie krew ojca.

Przez pozostałą część dnia i wieczorem przyjmował ważnych ludzi z Tebrizu i Azerbejdżanu.

Zadawał im pytania. Pytał o powstanie i lewaków, o mudzahed-dinów i fedainów, o inne ugrupowania. Przybyli kupcy z bazaru, mułlowie i dwóch ajatollahów, lokalni dowódcy wojskowi i jego kuzyn, szef policji, którego stanowisko zatwierdził. Wszyscy przynosili odpowiedni pizkesz.

Robią to, co powinni, pomyślał z zadowoleniem. Pamiętał, jak nim pogardzali, gdy nie miał władzy i gdy wiedziano już, że został wygnany do Choju. Ta pogarda będzie ich wszystkich wiele kosztować...

- Pańska kąpiel jest gotowa, Wasza Wysokość, a Ahmed czeka na zewnątrz.

- Wprowadź go, Isztar. Sam też zostań. Spojrzał na otwierające się drzwi. Ahmed był zmęczony, w wymiętym ubraniu.

- Salam, Wasza Wysokość.

325

- Co z okupem?

- Późnym wieczorem odnalazłem ludzi szczepu. Było ich dwóch. Wyjaśniłem im, że Abdollah-chan nie żyje, a nowy chan kazał mi dać od razu połowę okupu jako dowód dobrej woli i obiecał, że wypłaci drugie pół, gdy pilot wróci. Wysłałem ich na północ samochodem, z zaufanym kierowcą. Śledzi ich drugi samochód.

- Wiesz, kim oni są, z jakiej wioski?

- Powiedzieli mi, że są Kurdami; jeden nazywa się Iszmud, drugi Alilah. Ich wódz nazywa się Ad-Drah, a wioska - Złamane Drzewo, leży w górach, na północ od Choju. To na pewno same kłamstwa, Wasza Wysokość, a oni nie są Kurdami, choć tak twierdzą. Powiedziałbym, że to ludzie ze szczepu, bandyci.

154

- Dobrze. Skąd wzięłeś pieniądze, żeby im zapłacić?

- Chan, pański ojciec, dał mi na przechowanie dwadzieścia milionów riali. Na wszelki wypadek.

- Przynieś mi resztę przed zachodem słońca.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Jesteś uzbrojony? Ahmed zaniepokoił się.

- Mam tylko nóż, Wasza Wysokość.

- Daj mi go - powiedział Hakim, nie okazując zadowolenia z powodu faktu, że Ahmed wpadł

w zastawioną pułapkę. Wziął nóż podany rękojeścią do przodu. - Czyż nie powiedziałem, że przez rok i dzień, nie możesz być w mojej obecności uzbrojony?

- Ale... oddał mi pan wtedy nóż. Myślałem... myślałem, że nóż... - Ahmed urwał, widząc, że Hakim stanął przed nim z nożem w ręku. Trzymał go prawidłowo. Twarde spojrzenie ciemnych oczu, przypominające spojrzenie ojca. Stojący z tyłu strażnik, Isztar, otworzył ze zdziwienia usta. Ahmed poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, myślałem, że na to pan pozwala - rzekł, czując strach.

Hakim-chan przez chwilę wpatrywał się w Ahmeda; potem uderzył. Z ogromną zręcznością pokierował nożem tak, że ostrze przecięło ubranie, zadrasnęło skórę 326

i wyszło z powrotem w położeniu idealnym do zadania ostatecznego ciosu. Ale Hakim go nie zadał, choć chciał ujrzeć krew i czas był odpowiedni. Lecz nie najodpowiedniejszy. Nadal potrzebował Ahmeda.

- Zwracam ci twój... twoje ciało. - Świadomie użył tego słowa razem z wszystkimi jego implikacjami. - Nietknięte. Jeszcze ten jeden jedyny raz.

- Tak, Wasza Wysokość, dziękuję, Wasza Wysokość - wymruczał Ahmed. Był zdumiony tym, że nadal żyje. Opadł na kolana. - Ja... to się już nigdy nie powtórzy.

- Nie, nie powtórzy się. Zostań tutaj. Poczekaj na zewnątrz, Isztar. - Hakim-chan usiadł na poduszkach; bawił się nożem, czekając, aż opadnie mu poziom adrenaliny. Pamiętał, że zemsta smakuje najlepiej na zimno. - Powiedz mi wszystko, co wiesz o tym Sowiecie, o człowieku zwanym Mzytrykiem; co miał na mojego ojca, a co ojciec na niego.

Ahmed usłuchał. Powtórzył słowa, które Haszemi Fazir wypowiedział w 125. Powiedział, co Abdollah mówił mu w tajemnicy przez wszystkie te lata, powiedział o tajnej daczynie pod Tbilisi, wyznał, że też tam bywał. Powiedział, jak chan kontaktował się z Mzytrykiem, podał

hasła, wspomniał o groźbach Haszemiego Fazira, o tym, co było w liście Mzytryka, co podsłuchał i czego był świadkiem kilka dni temu.

Hakim ze świstem wciągnął powietrze.

- Mój ojciec chciał zabrać moją siostrę... chciał zabrać ją do daczynie i dać Mzytrykowi?

- Tak, Wasza Wysokość. Rozkazał mi nawet wysłać ją na północ, gdyby... gdyby wyjechał

do szpitala do Teheranu.

- Wezwij tu Mzytryka. Prędko, Ahmedzie, zrób to teraz, od razu.

- Tak, Wasza Wysokość - odparł Ahmed i zadrżał na dźwięk groźnej nuty w głosie chana. -

Najlepiej będzie, jeśli przypomni mu pan jednocześnie o obietnicach złożonych Abdollah-chanowi i powie, że oczekuję ich spełnienia.

327

- Dobrze, bardzo dobrze. Czy powiedziałeś mi wszystko?

- Wszystko, co mogłem sobie natychmiast przypomnieć - wyznał szczerze Ahmed. - Muszą być jeszcze inne sprawy. Z czasem ujawnię panu wszystkie tajemnice chana wszystkich Gorgonów. Jeszcze raz przysięgam w obliczu Boga, że będę panu wiernie służył. - Powiem wszystko, myślał żarliwie, poza tym, jak umarł chan, i tym, że teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnę, by Azadeh została moją żoną, jakoś skłonię pana do wyrażenia zgody. Ona będzie moją jedyną obroną przed tobą, ty nasienie szatana!

155

TUŻ ZA TEBRIZEM, 7:20. 212 Erikkiego wypadł na maksymalnych obrotach z za lesistego wzgórza. Przez całą drogę Eriki trzymał się tuż nad wierzchołkami drzew, unikając dróg, lotnisk, miasteczek i wiosek. Myślał tylko o Azadeh i zemście; zapomniał o wszystkim innym. Nagle wyłoniło się miasto; równie nagle ogarnął go niepokój.

- Gdzie jest pałac, pilocie? - krzyknął radośnie szejk Bajazid. - Gdzie on jest?

- Za granią, agha - rzucił do mikrofonu Eriki. Miał ochotę dodać: lepiej jeszcze to przemyślny, zastanówmy się, czy ten atak jest mądry. Inna część jego umysłu krzyczała: to twoja jedyna szansa, Eriki, nie możesz zmienić planu. Ale jak, do cholery, uciec z Azadeh z pałacu i przed tą bandą maniaków? - Powiedz swym ludziom, żeby zapięli mocniej pasy i czekali, aż płozy dotkną ziemi. Niech nie rozpinają wcześniej pasów, a potem niech się rozproszą. Dwaj niech pilnują helikoptera; będą za niego odpowiadać własnym życiem. Będę odliczał od dziesięciu przed wylądowaniem, a potem... potem poprowadzę.

- Gdzie jest pałac? Nie widzę go.

- Za granią, o minutę drogi stąd. Powiedz im! - Drzewa zlały się ze sobą, gdy zszedł jeszcze niżej. Wpatrywał się w przełęcz nad rozchybotanym horyzontem. - Chcę dostać broń -

powiedział.

328

Bajazid odsłonił w uśmiechu zęby.

- Żadnej broni, dopóki nie zdobędziemy pałacu.

- Wtedy nie będzie mi już potrzebna - zauważył, dodając przekleństwo. - Muszę mieć...

- Możesz mi zaufać, właściwie musisz. Gdzie jest ten pałac Gorgonów?

- Tam! - Erikki wskazał grań, wznoszącą się już dokładnie nad nimi. - Dziesięć... dziewięć...

osiem...

Postanowił nadlecieć od wschodu, częściowo pod osłoną lasu; miasto z prawej, przełęcz zapewni osłonę. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Napiął mięśnie.

Pędziły na nich skały. Bardziej poczuł, niż zobaczył, jak Bajazid krzyząc wyciąga przed siebie ręce w obronie przed nieuchronnym zderzeniem. Poderwał maszynę, przeleciał nad przełęczą i runął w dół, prosto na mury pałacu. Dosłownie w ostatniej chwili zmniejszył moc i przeciągnął śmigłowiec o centymetry nad wierzchołkiem muru, rozpoczynając procedurę lądowania awaryjnego, maszyna przechylona lekko w stronę dziedzińca. Precyzyjnie zamortyzował upadek, odbił się płozami od płyt dziedzińca, przeleciał kilka metrów dalej; maszyna zatrzymała się. Prawą ręką wyłączył obwody, lewą rozpiął pas i gwałtownie otworzył drzwi, pierwszy wyskoczył na ziemię i pobiegł w kierunku schodów. Bajazid już za nim biegł, przez drzwi kabiny wyskakiwali jego ludzie; w zamieszaniu wpadali na siebie, rotor jeszcze wirował, lecz praca silnika zamierała.

Gdy dotarł do drzwi frontowych i otworzył je, nadbiegała właśnie zdumiona służba i jeden strażnik. Erikki wyrwał mu z rąk pistolet maszynowy i uderzeniem pięści pozbawił

przytomności. Służący rozbiegli się i uciekli; niektórzy go poznali. Przez chwilę korytarz był

pusty.

- Dalej! - krzyknął.

Potem, gdy dotarli do niego Bajazid i kilku innych, pobiegł schodami na podest. Jakiś strażnik wysunął głowę nad balustradę i wycelował z karabinu, lecz jeden z górali zasypał go pociskami. Erikki przeskoczył przez ciało i pobiegł korytarzem. Z przodu otworzyły się 329

drzwi; wyskoczył inny strażnik; z lufy jego karabinu buchnął ogień. Erikki poczuł, że kule szarpią jego parę, lecz on sam nie dostał. Bajazid wprasował mężczyznę we framugę; razem ruszyli do ataku w kierunku pokoju chana. Erikki kopnięciem otworzył drzwi. Pociski minęły jego i szejka, trafiły jednak trzeciego z atakujących, okręcając go wokół własnej osi. Inni szukali ukrycia, a ciężko ranny góral ruszył do przodu, przyjmując na siebie dalsze pociski; strzelał jeszcze, gdy już był martwy. Nastąpiła jedno- lub dwusekundowa przerwa. Erikki 156

zdrętwiał, widząc, że szejk wyciąga z granatu zawleczkę i wrzuca go przez drzwi. Nastąpiła ogłuszająca eksplozja. Dym buchnął na korytarz. Bajazid natychmiast skoczył do środka z gotowym do strzału karabinem, za nim Erikki.

Pokój był zdemolowany, okna wypadły na zewnątrz; firanki rozdarte, poszarpany dywan. To, co zostało ze strażnika, leżało pod ścianą. W alkwie po przeciwległej stronie dużej sali tkwił

przewrócony do góry nogami stół i zawodziła głośno usługująca właśnie pokojówka. Pod resztkami stołu i nakrycia leżały bezwładnie dwa ciała. Serce Erikkiego zamarło, gdy rozpoznał Azadeh. Ogarnięty paniką, podbiegł i odgarnął pokrywające ją przedmioty.

Zauważył, że drugą osobą był Hakim. Porwał żonę w ramiona, włosy spływały w dół, i zaniósł ją do światła. Nie odetchnął, dopóki nie stwierdził, że nadal żyje, że jest nieprzytomna i Bóg wie, w jakim stanie, ale żyje. Miała na sobie długi kaszmirowy peniu-ar, który zasłaniał

wszystko, ale też wszystko obiecywał. Jej uroda oszołomiła wpadających do sali górali.

Erikki zerwał z siebie lotniczą kurtkę i owinął Azadeh, nie zwracając na nich uwagi.

- Azadeh... Azadeh...

- Kto to jest, pilocie?

Jak przez mgłę zobaczył Bajazida.

- To jest Hakim, brat mojej żony. Nie żyje?

- Żyje. - Szejk rozglądał się wokół z wściekłością. Chan nie miałby się gdzie ukryć. Ludzie szejka tłoczyli się w drzwiach. Sklął ich i kazał zająć pozycje obronne 330

na obu końcach korytarza. Innym kazał wyjść na szerokie patio i pilnować od tamtej strony.

Potem zbliżył się do Erikkiego i Azadeh. Spojrzał na twarz, z której odpłynęła cała krew, na piersi i nogi, które rysowały się pod kaszmirem. - Twoja żona?

- Tak.

- Nie jest martwa. To dobrze.

- Tak, ale Bóg jeden wie, czy nie jest ranna. Muszę znaleźć jakiegoś lekarza...

- Później. Musimy najpierw...

- Teraz! Ona może umrzeć!

- Wedle woli Boga, pilocie - powiedział Bajazid, a potem gniewnie krzyknął: - Mówiłeś, że wszystko wiesz, że wiesz, gdzie jest chan. W imię Boga, gdzie on jest?

- Nie wiem. To... to był jego pokój, agha, prywatny. Nigdy nie widziałem innego; nawet jego żona mogła tu wejść tylko wtedy, gdy została wezwana i... - Erikki urwał, słysząc strzały. -

Jeśli jest tu Azadeh i Hakim, on też musi być!

- Gdzie? Gdzie mógł się ukryć?

Zdezorientowany Erikki rozejrzał się po sali. Ułożył Azadeh najlepiej, jak mógł, i podszedł

do okien. Były zakratowane; chan nie mógł uciec tą drogą. Z tego miejsca, z obronnego rogu pałacu, nie było widać dziedzińca ani helikoptera; tylko widok na ogrody i sady w południowej części posiadłości, za murem, w kierunku miasta odległego o jakiś kilometr. Na razie inni strażnicy ich nie atakowali. Gdy odwrócili się w stronę sali, dojrzał kątem oka ruch w alkowie, zobaczył pistolet. Pchnął Bajazida, ratując go przed kulą, i rzucił się na Hakima, który leżał pośród szczątków stołu. Zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować, przycisnął

młodego człowieka do podłogi, wyrwał mu z ręki pistolet i krzyknął, usiłując wyjaśnić mu sytuację.

- Jesteś bezpieczny, Hakimie, to ja, Erikki, jesteśmy przyjaciółmi, przybyliśmy, żeby ocalić ciebie i Azadeh przed chanem... przybyliśmy na pomoc!

331

- Uratować mnie... przed czym? - Hakim wpatrywał się w pilota ogłupiałym wzrokiem, jeszcze oszołomiony; krew sączyła się z małej rany na czole. - Ocalić?

- Przed chanem... - Erikki dojrzał strach w oczach Hakima; błyskawicznie odwrócił się i w ostatniej chwili zatrzymał ręką kolbę karabinu. - Poczekaj, agha, poczekaj, to nie jego wina, 157

jest oszołomiony... czekaj, on był... on celował we mnie, a nie w ciebie. On nam pomoże, poczekaj!

- Gdzie jest Abdollah-chan? - ryknął Bajazid. Obok stali już jego ludzie; odwiedzone kurki, gotowi do zabijania. - Mów prędko albo obaj jesteście już martwi!

Ponieważ Hakim nie odpowiedział od razu, Erikki warknął:

- Na Boga, Hakimie, powiedz mu albo zginiemy! - Abdollah-chan nie żyje... umarł zeszłej nocy... nie,

przedwczoraj, koło północy... - powiedział słabym głosem Hakim, podczas gdy górale wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Hakimowi powoli powracała świadomość. Nie rozumiał jeszcze, dlaczego tu leży, dlaczego boli go głowa, a nogi są bezwładne. Trzymał go Erikki, a przecież porwali go ludzie ze szczepu. Jadł śniadanie z Azadeh, gdy usłyszał strzały i ukrył się w alkowie. Strażnicy strzelali, potem wybuch, a połowa okupu została już wypłacona. Nagle wszystko zrozumiał.

- W imię Boga - zawołał. Spróbował wstać i upadł. - Erikki, w imię Boga, dlaczego tu walczysz, zapłaciłem już połowę okupu. Dlaczego?

Erikki gniewnie zerwał się na nogi.

- Nie było okupu, a posłańcowi poderżnięto gardło. Na rozkaz Abdollah-chana!

- Ale okup... połowa została zapłacona. Ahmed zrobił to zeszłej nocy!

- Zapłacona? Komu? - krzyknął Bajazid. - Co to za kłamstwa?

- To nie kłamstwa; połowa zapłacona w nocy przez nowego chana jako... jako gest dobrej woli po... po błędzie z posłańcem. W obliczu Boga, przysięgam. Połowę zapłaciłem!

332

- To kłamstwo - wycedził Bajazid i podniósł broń.

- Gdzie jest chan?

- To nie kłamstwo. Czy skłamałbym w obliczu Boga? Boga, Boga! Poślijcie po Ahmeda, to on płacił.

Jeden z górali coś krzyknął. Hakim zbladł i powtórzył po turecku:

- W imieniu Boga, połowa okupu została już zapłacona! Abdollah-chan nie żyje! On nie żyje, a połowa jest zapłacona! - Przez salę przeszedł pomruk zdziwienia. - Wyślijcie po Ahmeda, on powie wam prawdę. Dlaczego walczyacie, skoro nie ma powodu do walki?

- Skoro Abdollah-chan nie żyje, a połowa jest zapłacona, agha, druga połowa obiecana...

Twój honor został przywrócony. Proszę, agha, zrób to, o co prosi Hakim. Wyślij po Ahmeda.

Powie ci, komu zapłacił i jak - odezwał się Erikki.

Wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Szejk i jego ludzie czuli się źle tutaj, w ograniczonej przestrzeni. Chcieliby już być w górach, daleko od tych występnych ludzi i tego miejsca; czuli się zdradzeni. Ale jeśli Abdol-lah nie żyje i połowa jest zapłacona...

- Pilocie, idź i przyprowadź tego Ahmeda - powiedział Bajazid. - Pamiętaj, jeśli mnie oszukasz, twoja żona straci nos. - Wyrwał karabin z ręki Erikkiego.

- Idź i przyprowadź go!

- Tak, tak oczywiście.

- Erikki... najpierw pomóż mi wstać - wychrypiał Hakim.

Erikki, bezradny, starał się zrozumieć sytuację. Podniósł Hakima bez trudu, przeprowadził

przez stłoczonych ludzi i usadowił na poduszkach sofy, obok Azadeh. Obaj zobaczyli jej pobladłą twarz, ale jednocześnie zauważyli, że oddycha regularnie.

- Bogu niech będą dzięki - mruknął Hakim.

Potem Yokkonen przeżył kolejny koszmar, wychodząc z sali bez broni. Stał na szczycie schodów i krzyknął:

- Ahmedzie, Ahmedzie, muszę z tobą porozmawiać. Jestem sam...

333

158

Zszedł na dół. Nadal był sam, nadal nikt nie strzelał. Znow krzyknął, lecz jego słowa odbiły się echem od ścian. Wchodził do pokojów; w żadnym nie było nikogo. W pewnej chwili jednak spojrzał w wylot lufy; druga wbijała się mu w plecy. Ahmed i jakiś strażnik. Obaj zdenerwowani.

- Prędko, Ahmedzie - krzyknął - czy to prawda, że Abdollah nie żyje, że jest nowy chan i że zapłacono połowę okupu?

Ahmed tylko gapił się na niego.

- Na rany Chrystusa, czy to prawda?

- Tak, tak, prawda, ale...

- Prędko, musisz im powiedzieć! - Poczł ulgę, gdyż przedtem nie uwierzył Hakimowi do końca. - Prędko. Oni zabiją jego i Azadeh, no dalej!

- Więc... więc oni żyją!

- Tak, oczywiście, prędzej!

- Poczekaj! Co dokładnie... co powiedział Jego Wysokość?

- Co za różnica, do cholery...

Lufa przycisnęła się mocniej do twarzy Erikkiego.

- Co dokładnie on powiedział?

Erikki spróbował przypomnieć sobie wszystko jak najlepiej i powtórzył słowa Hakima. Potem dodał:

- A teraz, na miłość boską, chodź już!

Dla Ahmeda czas stanął w miejscu. Jeśli pójdzie z niewiernym, prawdopodobnie zginie, zginie^{też} Hakim i jego siostra, a niewierny, który wywołał całą tę sytuację, ucieknie z tym diabłem z gór. A jednak, pomyślał, jeśli przekonam ich, żeby zostawili chana i jego siostrę przy życiu, jeśli namówię ich, żeby opuścili pałac, dowiodę ponad wszelką wątpliwość swej wartości. Hakimowi i jej. Pilota będę mógł zabić później. Albo mogę zabić go teraz, uciec i pozostać przy życiu; ale tylko jako zbieg,

wzgardzony, jak wszyscy, którzy zdradzili chana. In sha'a Allah.

Przywołał na twarz uśmiech.

- Wedle woli Boga!

334

Wyjął nóż i wręczył go razem z karabinem pobladłemu strażnikowi, a potem ruszył w kierunku schodów.

- Poczekaj - powiedział Erikki. - Powiedz strażnikowi, żeby przysłał lekarza. Prędko. Hakim i moja żona... mogą być ranni.

Ahmed spełnił tę prośbę i ruszył korytarzem, a następnie schodami. Na podeście górale przeszukali go pobieżnie i zaprowadzili do pokoju chana. Popchnęli Ahmeda na pusty środek sali, a Erikkiego zatrzymali przy drzwiach, przykładając mu do gardła nóż. Gdy Ahmed zobaczył, że jego chan naprawdę żyje i siedzi na sofie obok nadal nieprzytomnej Azadeh, mruknął:

- Bogu niech będzie chwała. - Uśmiechnął się.

- Wasza Wysokość - powiedział łagodnie - posłałem po lekarza. - Potem zwrócił się do Bajazida: - Jestem Ahmed Dursak, Turkmen - oznajmił dumnie i uroczyście po turecku. - W

imię Boga: to prawda, że Abdol-lah-chan nie żyje, i prawda, że wpłaciłem połowę okupu

- pięć milionów riali. Zrobiłem to w nocy w imieniu nowego chana. Dałem pieniądze dwóm posłańcom od wodza Ad-Draha z wioski Złamane Drzewo, jako akt dobrej woli z powodu nieuzasadnionego dyshonoru wyrządzonego waszemu posłańcowi z rozkazu nieżyjącego Abdollah-chana. Nazywają się Iszmud i Alilah. Wysłałem ich na północ dobrym samochodem. - Przez salę przeszedł pomruk zdziwienia. Nie mogło być mowy o pomyłce, gdyż wszyscy znali fałszywe imiona i nazwę nadaną po to, by ochraniać wioskę i szczep. -

159

Powiedziałem im, w imieniu nowego chana, że druga połowa zostanie wypłacona w chwili, gdy pilot zostanie zwolniony razem z maszyną.

- Gdzie jest ten nowy chan, jeśli w ogóle istnieje?

- zadrwił Bajazid. - Niech sam mówi za siebie.

- Ja jestem chanem wszystkich Gorgonów - powiedział Hakim. Zapadła nagła cisza. -

Hakim-chan, najstarszy syn Abdollah-chana.

335

Wszyscy spojrzeli na szejka, który zauważył zdziwienie na twarzy Erikkiego. Wykrzywił

twarz, nie miał pewności.

- To tylko ty tak mówisz, a to jeszcze nie znaczy...

- Nazywasz mnie kłamcą w moim własnym domu?

- Mówię tylko do tego człowieka. - Bajazid wskazał kciukiem Ahmeda. - Z tego, że powiedział, iż wypłacił połowę okupu, nie wynika jeszcze, że rzeczywiście zapłacił. Mógł

zabić dwóch posłańców, tak jak zabito pierwszego!

- Powiedziałem prawdę w obliczu Boga i powtarzam w obliczu Boga, że wysłałem ich z pieniędzmi na północ. Daj mi nóż i sam weź nóż, a pokażę ci, co robi Turkmen z człowiekiem, który zarzuca mu kłamstwo!.

- Górale przerazili się: ich przywódca znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. - Nazwałeś kłamcą mnie i mojego chana?

W ciszy, jaka zapanowała, Azadeh jęknęła i poruszyła się, co przyciągnęło uwagę wszystkich.

Erikki chciał natychmiast do niej podejść, ale nóż przy jego gardle nie drgnął. Następny słaby jęk, który prawie pozbawił go rozumu; zobaczył, że Hakim niezręcznie przysunął się do siostry i położył dłoń na jej dłoni; to go trochę uspokoiło.

Hakim czuł niepokój; wszystko go bolało i był bezbronny. Jego siostra potrzebowała lekarza.

Ahmed bezradny, Erikki bezradny, jego życie w niebezpieczeństwie, a chanat w ruinie.

Zebrał całą odwagę. Nie po to przechytryłem Abdollah-chana i Nadzud, i Ahmeda, żeby oddać zwycięstwo tym psom! Spojrzał twardo na szejka.

- No cóż. Nazwałeś Ahmeda kłamcą. Tak czy nie?

- rzucił oschle po turecku, aby wszyscy mogli zrozumieć. Ahmed pokochał go za jego odwagę. Wszystkie oczy zwróciły się na Bajazida. - Mężczyzna musi odpowiedzieć na takie pytanie. Czy nazywasz go kłamcą?

- Nie - mruknął Bajazid. - Powiedział prawdę. Przyjmuję to jako prawdę.

- In sza'a Allan - powiedział ktoś.

Palce na spustach rozluźniły się, ale niepokój nie opuścił sali.

- Wedle woli Boga - rzekł Hakim, skrywając ulgę, jaką odczuł. Z każdą chwilą zyskiwał

coraz więcej władzy. - Dalsza walka do niczego nie doprowadzi. A więc połowa okupu jest już wpłacona, a druga obiecana w chwili, gdy pilot będzie zwolniony... - Urwał, gdyż owładnęły nim mdłości, ale pokonał je, tym razem łatwiej niż poprzednio. - Pilot jest tu, cały i zdrowy; jest też jego maszyna. Zatem wypłacę resztę od razu! - Dojrzał chciwość i poprzysiągł zemstę na nich wszystkich. - Ahmed, koło stołu, gdzieś tam, jest saszetka Nadzud.

Ahmed precyzyjnie się bezceremonialnie pomiędzy góralami i zaczął szukać miękkiej, skórzanej sakiewki. Hakim pokazywał ją Azadeh przed atakiem. Wyjaśniał z zadowoleniem, że były to klejnoty rodzinne, które Nadzud ukradła, a przed odejściem oddała, wyrażając skruchę.

- Cieszę się, że nie zmiękłeś, Hakimie, bardzo się cieszę - powiedziała wtedy 'Azadeh. -

Nigdy nie byłbyś bezpieczny, gdyby ona tu była.

160

I tak już nigdy nie będę bezpieczny, pomyślał bez strachu, patrząc na Ahmeda. Cieszę się, że zostawiłem Ahmeda przy życiu, pomyślał, i cieszę się, że schowaliśmy się z Azadeh pod osłoną ścian w alkowie, na odgłos pierwszych strzałów. Gdybyśmy zostali tu, w pokoju...

In sza'a Allah. Trzymał siostrę za nadgarstek; jej ciepło sprawiało mu przyjemność. Nadal oddychała regularnie.

- Chwała Bogu - mruknął, a potem zwrócił uwagę na ludzi trzymających w szachu Erikkiego.

- Wy - powiedział do nich władczo - puście pilota!

Zdziwiony brodacz spojrział na Bajazida, który skinął głową. Erikki podbiegł natychmiast do Azadeh, podwinął sweter, by uzyskać szybszy dostęp do noża, który tkwił za paskiem, potem przyklęknął, przodem do szejka, wziął żonę za rękę, i osłonił rodzeństwo swym zwalistym ciałem.

- Wasza Wysokość!

337

Ahmed wręczył Hakim-chanowi sakiewkę. Hakim otworzył ją powoli i wysypał

kosztowności na rękę. Szmaragdy, diamenty i szafiry, naszyjniki, inkrustowane, złote bransolety, wisiorki. W sali dały się słyszeć westchnienia. Hakim uniósł naszyjnik z rubinów wartości od 10 do 15 milionów riali, udając, że nie dostrzega utkwionych w nim spojrzeń i niemal fizycznego zapachu pożądlivosti, która przepelniała zebranych. Nagle odrzucił

naszyjnik i wybrał wisiorek wart dwa-trzy razy tyle.

- Proszę - powiedział po turecku. - Oto pełna zapłata. - Uniósł brylantowy wisiorek i podał go

Bajazi-dowi, który wpatrywał się jak zahipnotyzowany w od-błyśki ognia igrające na wielkim brylancie, a teraz ruszył do przodu, wyciągając rękę. Zanim dotarł, Hakim zamknął dłoń. - W obliczu Boga, czy przyjmujesz to jako pełną zapłatę?

- Tak... tak, jako pełną zapłatę, w obliczu Boga - mruknął szejk. Nigdy nie myślał; że Bóg da mu tyle bogactwa; wystarczy na stada i karabiny, i granaty, i jedwabie, i ciepłe ubrania.

Wyciągnął rękę. - Przysięgam w obliczu Boga.

- I odejdiesz stąd natychmiast w pokoju? Bajazid z trudem oderwał myśli od bogactwa.

- Musimy przede wszystkim dostać się do naszej wioski, agha. Potrzebujemy helikoptera i pilota.

- Nie, na Boga. Okup jest za bezpieczny powrót śmigłowca i pilota. Za nic więcej. - Hakim otworzył dłoń, nie odrywając wzroku od Bajazida, który teraz widział już tylko kamień. - W obliczu Boga?

Szejk i jego ludzie wpatrywali się w płynny ogień, płonący na pewnej jak skała dłoni.

- Co... co mi przeszkodzi w zabranii wszystkiego, wszystkiego - powiedział posępnie. -

Dlaczego nie miałbym cię zabić. Co mi przeszkodzi w zabiciu ciebie i podpaleniu pałacu, i wzięciu jej jako zakładniczki, żeby zmusić pilota, co?

- Nic. Poza honorem. Czy Kurdowie nie mają honoru? - zapytał chrapliwym głosem Hakim.

Myślał

338

o tym, jakie to ekscytujące: życie w nagrodę, a śmierć w razie niepowodzenia. - To jest więcej niż pełna zapłata.

- Ja... ja przyjmuję to w obliczu Boga jako pełną zapłatę za pilota i... i maszynę. - Bajazid oderwał wzrok od klejnotu. - Za pilota i maszynę. Ale za ciebie, ciebie i kobietę... - Po twarzy spływały mu strużki potu. Tak wiele tu bogactwa, krzyczał jego umysł, tak dużo, tak łatwo to zabrać, tak łatwo, ale honor, o, tak, honor.

- Za ciebie i kobietę też należy się uczciwy okup.

Na zewnątrz ktoś uruchomił silnik samochodu. Mężczyźni podbiegli do powybijanych okien.

Widzieli, jak samochód przejeżdża pędem przez bramę i znika na drodze do miasta.

- Prędko - ponaglił Bajazid Hakima - decyduj się.

- Kobieta nie ma wartości - odparł Hakim; niepokoiło go to kłamstwo, ale obawiał się, że jeśli nie będzie się targować, przegra. Wybrał bransoletkę z rubinów i zaoferował ją. - Zgoda?
- Dla ciebie ta kobieta może być bez wartości, ale nie dla pilota. Bransoletka i naszyjnik, ten, razem z bransoletką z zielonymi kamieniami.
- W obliczu Boga, to za dużo - wybuchnął Hakim.
- Już sama bransoletka to więcej niż dość. Jest warta .więcej niż pilot razem z helikopterem!
- Synu przeklętego ojca! Ta, naszyjnik i ta druga, ta z zielonymi kamieniami!

Targowali się w ten sposób coraz gniewniej. Wszyscy słuchali z uwagą, poza Erikkim, który nadal przebywał w swym prywatnym piekle; myślał tylko o Azadeh, o tym, gdzie jest lekarz, i o tym, jak mógłby pomóc jej i Hakimowi. Gładził jej włosy, a nerwy niemal mu pękały, gdy gniewne głosy dwóch mężczyzn miotały coraz więcej obelg. Potem Hakim doszedł do wniosku, że nadszedł właściwy moment, i uderzył w żalony ton, co należało do przyjętej przez niego taktyki.

- Jesteś zbyt dobrym negocjatorem, na Boga! Zrobisz ze mnie żebraka! Oto moja ostateczna oferta! - Położył na dywanie diamentową bransoletkę, mniejszy ze 339

szmaragdowych naszyjników i ciężką złotą bransoletę. - Dojdziemy do porozumienia?

Cena była już całkiem wysoka: nie tyle, ile chciał Bajazid, ale dużo więcej, niż oczekiwał.

- Tak - przystał i zgarnął swój łup. Przez salę przeszedł pomruk zadowolenia. - Czy przysięgasz na Boga, że nie będziesz nas ścigał? Ani atakował?

- Tak, tak, na Boga.

- Dobrze. Pilocie, potrzebuję cię, żebyś nas zawiózł do domu - powiedział szejek po angielsku.

Zobaczył gniew w oczach Hakima i dodał pospiesznie: - Ja nie rozkazuję, tylko proszę, agha.

- Wyciągnął w stronę Erikkiego złotą bransoletę. - Chcę cię wynająć, a to jest zapł...

Urwał i odwrócił wzrok, gdy jeden z jego ludzi pilnujących patio zawołał:

- Od miasta nadjeżdża samochód! Poczul, że jeszcze bardziej się poci.

- Pilocie, przysięgam na Boga, że cię nie skrzywdzę.

- Nie mogę cię podrzucić - odparł Erikki. - Nie starczy benzyny.

- Więc nie całą drogę, pół, tylko pół...

- Nie starczy benzyny.

- Więc zabierz nas i zostaw w górach, tylko kawałek. Proszę cię. Proszę, a nie rozkazuję -

powiedział Bajazid i dodał ze zdziwieniem: - Na proroka, traktowałem cię uczciwie i jego potraktowałem uczciwie, i... nie napastowałem jej. Proszę cię.

Wszyscy słyszeli w jego głosie coś dziwnego, może groźbę, a może nie, ale Erikki wiedział

doskonale, że delikatna bańka „honoru” albo zaklęcia „w obliczu Boga” pęknie, gdy padnie pierwszy strzał. Wiedział też, że to on musi spróbować odwrócić nieszczęście, które ściągnął

atak przeprowadzony, gdy chan już nie żył, a okup został w połowie zapłacony. Azadeh leżała tu, Bóg wie, jak ciężko ranna, a Hakim omal nie zginął. Z kamienną twarzą dotknął jej ostatni raz, spojrzął na chana, skinął głową, trochę do swoich myśli. Wstał i wyszarpnął stena z rąk najbliższego górala.

- Przyjmuję twoje słowo dane w obliczu Boga. Zabiję cię, jeśli je złamiesz. Wysadzę was na północ od miasta, w górach. Wszyscy do helikoptera. Powiedz im!

Bajazidowi nie podobało się, że ten ponury i mściwy potwór ma broń. Żaden z nas nie zapomniał, że to ja rzuciłem granat, który być może zabił hurysę, pomyślał. In sza'a Allah.

Niezwłocznie nakazał odwrót. Górale usłuchali, zabierając ze sobą ciało poległego towarzysza.

- Pilocie, wyjdziemy razem. Dziękuję, agha Ha-kim-chan, Bóg z tobą - powiedział i ruszył do drzwi, trzymając broń luźno, lecz w pogotowiu. - Idziemy!

Erikki uniósł rękę, żegnając Hakima; żałował tego, że tak pochopnie wywołał te wydarzenia.

- Przepraszam...

162

- Bóg z tobą, Erikki. Wróc bezpiecznie - zawołał Hakim, a Fin poczuł się lepiej. - Ahmedzie, leć z nimi. On nie może jednocześnie prowadzić helikoptera i strzelać. Dopilnuj, żeby bezpiecznie wrócił.

- Tak, pomyślał zimno, muszę jeszcze wyrównać z nim rachunki.

Zaatakował mój pałac!

- Tak, Wasza Wysokość. Dziękuję, pilocie. - Ah-med wziął od Erikkiego broń, sprawdził jej działanie, a potem uśmiechnął się krzywo do Bajazida. - Na Boga i proroka, niech jego imię będzie błogosławione, nie oszukaj tego człowieka.

Grzecznie przepuścił Erikkiego przodem i ruszył za nim. Szejk wyszedł ostatni.

U PODNÓŻA PAŁACOWEGO WZGÓRZA,

11:05. Policijny samochód pędził krętą drogą w stronę bramy; inne samochody i ciężarówka pełna żołnierzy za nim. Haszemi Fazir i Armstrong siedzieli z tyłu w pierwszym wozie, który wpadł przez bramę na dziedziniec, gdzie stał już ambulans. Wyszli i poszli za strażnikiem do Wielkiej Sali. Hakim-chan czekał na nich na swym honorowym miejscu, blady, ale dostojny, otoczony strażnikami. Ta część pałacu nie uległa zniszczeniu.

340

H

341

- Wasza Wysokość, chwała Bogu nie jest pan ranny. Właśnie dowiedzieliśmy się o napadzie.

Czy mogę się przedstawić? Pułkownik Haszemi Fazir z Wywiadu Wewnętrznego, a to nadinspektor Armstrong, który pomaga nam od lat i jest ekspertem w pewnych dziedzinach, mogących pana zainteresować; poza tym zna farsi. Czy mógłby pan powiedzieć nam, co się stało?

Obaj mężczyźni słuchali z uwagą, gdy Hakim-chan przedstawiał swą wersję wydarzeń. Zнали już treść pogłosek o pewnych szczegółach zajścia. Zachowanie chana wywarło na nich duże wrażenie.

Haszemi przybył dobrze przygotowany. Zanim poprzedniego dnia wieczorem wyjechał z Teheranu, uważnie przejrzał akta Hakima. Od wielu lat on i SAVAK obserwowali go w Choju.

- Wiem, jak wiele zawdzięcza i komu, Robercie, komu wyświadczył przysługę i jaką, co lubi jeść i czytać, jak dobrze posługuje się bronią palną, fortepianem i nożem. Wiem o każdej kobiecie, którą miał w łóżku, i o każdym chłopcu.

Armstrong roześmiał się.

- A co z jego poglądami politycznymi?

- Nie ma żadnych. Nie do wiary, ale to prawda. Jest Irańczykiem z Azerbejdżanu. Nie przystąpił jeszcze do żadnej grupy, nie stanął po niczyjej stronie, nic. Nie powiedział niczego, choć trochę buntowniczego, nawet przeciwko Abdollah-chanowi, a Choj był zawsze gniazdem szerszeni.

- Religia?

- Szyita, ale spokojny, sumienny, ortodoksyjny, ani za bardzo na prawo, ani na lewo. Od czasu wygnania, nie, wcześniej, od czasu gdy miał siedem lat i gdy po śmierci matki on i jego siostra wprowadzili się do pałacu, był piórkiem wlatującym przy najłżejszym oddechu ojca; bał się i czekał na nieuchronne nieszczęście. Wedle woli Boga, ale to cud, że ten psi syn chan zmarł, zanim zdążył skrzywdzić jego i jego siostrę. Dziwne! Jego życie wisiało na włosku, a teraz nagle ma do

342

dyspozycji ogromne bogactwa i ogromną władzę i ja się muszę z nim układać.

- To powinno być łatwe, jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą.

- Zawsze jesteś taki podejrzliwy! Czy na tym polega siła Anglików?

- Po prostu wieloletnie doświadczenie starego gliniarza.

163

Haszemi uśmiechnął się wtedy do siebie, a teraz zrobił to ponownie, skupiając uwagę na młodym człowieku, chanie wszystkich Gorgonów, który przed nim siedział. Studiował

uważnie jego twarz; szukał w niej tajemnic, wskazówek. Gdzie są twoje tajemnice? Musisz mieć jakieś tajemnice!

- Wasza Wysokość, jak dawno odleciał pilot? - zapytał Armstrong.

Hakim spojrzał na zegarek.

- Mniej więcej dwie i pół godziny temu.

- Czy powiedział, ile ma paliwa?

- Nie. Powiedział jedynie, że może ich podrzucić tylko kawałek.

Haszemi i Robert Armstrong stali przed podestem, pokrytym bogatymi dywanami i poduszkami. Hakim-chan miał na sobie uroczysty strój z grubego brokatu, a na szyi sznur pereł z ogromnym brylantem, czterokrotnie większym od tego, którym okupił swoje życie.

- Być może - powiedział ostrożnie Fazir - być może, Wasza Wysokość, pilot był w zмовie z Kurdami i już nie wróci.

- Nie. Poza tym oni nie byli Kurdami, choć tak twierdzili. To po prostu bandyci, którzy porwali Erikiego i zmusili go, żeby poprowadził ich przeciwko chanowi, mojemu ojcu. -

Młody chan zmarszczył brwi, a potem powiedział twardo: - Abdollah, mój ojciec, nie powinien był zabić ich posłańca. Powinien wytargować niższy okup, zapłacić go, a potem pozabijać ich wszystkich za bezczelność.

Haszemi zrozumiał.

- Dopilnuję, żeby ich wytropiono.

343

- I odzyskano moją własność.

- Oczywiście. Czy jest jeszcze coś, cokolwiek, co ja lub moja komórka moglibyśmy dla pana zrobić?

- Obserwował uważnie młodego człowieka; zobaczył, albo wydawało się mu, że zobaczył, cień sardonicznego uśmiechu. To go zaalarmowało. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Azadeh. Nigdy jej nie poznał, choć widział ją wielokrotnie. Ona powinna należeć do Irańczyka, pomyślał, a nie do jakiegoś cholernego cudzoziemca. Jak ona może znieść tego potwora? Nie zauważył, że Hakim przygląda mu się z taką uwagą, z jaką Hakimowi przygląda się Armstrong.

Miała na sobie zachodnie ubranie: szarozielone, pasujące do jej zielonych oczu, pończochy i pantofle. Była blada, co nieco złagodziła makijażem. Szła powoli i jakby z trudem, ale uśmiechnęła się miło do brata.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Wysokość, ale lekarz prosił, żebym przypomniła ci o wypoczynku. On już wyjeżdża. Czy chcesz, żeby przedtem jeszcze cię zbadał?

- Nie, nie, dziękuję. A ty dobrze się czujesz?

- Och, tak - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Lekarz mówi, że nic mi nie jest.

- Czy mogę was sobie przedstawić? To jest pułkownik Haszemi Fazir i pan Armstrong, nadinspektor Armstrong, a to Jej Wysokość moja siostra Azadeh.

Pozdrowili ją, a ona ich.

- Nadinspektor Armstrong? - zapytała po angielsku, lekko unosząc brwi. - Nie przypominam sobie „nadinspektora”, ale spotkaliśmy się już wcześniej, nieprawdaż?

- Tak, Wasza Wysokość. W zeszłym roku w Klubie Francuskim. Byłem z panem Talbotem z ambasady brytyjskiej i z przyjacielem pani męża z ambasady fińskiej, Christianem Tollonenem. To było chyba przyjęcie urodzinowe pani męża?

- Ma pan świetną pamięć, nadinspektorze. Hakim-chan uśmiechnął się zagadkowo.

- To cecha ludzi z MI6, Azadeh.

344

- Tylko byłych policjantów, Wasza Wysokość

164

- rzucił lekko Armstrong. Jestem tylko konsultantem Wywiadu Wewnętrznego. - Zwrócił się do Azadeh:

- Pułkownik Fazir i ja odczuliśmy wielką ulgę, gdy dowiedzieliśmy się, że ani pani, ani chan nie jesteście ranni.

- Dziękuję - odparła.

Nadal bolały ją uszy i głowa, odczuwała też bóle w plecach. Lekarz powiedział: „Musimy poczekać kilka dni, Wasza Wysokość, choć prześwietlimy was oboje, gdy tylko to będzie możliwe. Najlepiej pojedźcie do -Teheranu; tam mają lepszy sprzęt. Przy takim wybuchu...

nigdy nic nie wiadomo, Wasza Wysokość, lepiej pojechać. Nie chciałbym ponosić odpowiedzialności..."

Azadeh westchnęła.

- Proszę wybaczyć, że przerwałam...

Urwała nagle i zaczęła nasłuchiwać z lekko pochyloną głową. Inni też nasłuchiwali, ale to był tylko wiatr i odległy warkot samochodu.

- Jeszcze nie - powiedział łagodnie Hakim. Spróbowała się uśmiechnąć i mruknęła:

- Wedle woli Boga. Potem wyszła.

Ciszę przerwał Haszemi.

- My także powinniśmy już odejść, Wasza Wysokość - rzekł z szacunkiem, znów w farsi. -

To bardzo miło, że zgodził się pan dziś nas przyjąć. Być może moglibyśmy wrócić jutro?

Zobaczył, że młody chan oderwał wzrok od drzwi i spojrzał na niego spod ciemnych brwi; przystojna, spokojna twarz, palce bawiące się ozdobnym sztyletem wiszącym u pasa. On musi być wykuty z lodu, pomyślał, czekając, aż chan pozwoli im odejść.

Hakim-chan odprawił zamiast tego strażników, zostawił tylko jednego przy drzwiach, poza zasięgiem słuchu. Skinął na obu mężczyzn, żeby podeszli bliżej.

- Mówmy teraz po angielsku. O co naprawdę chcieliście mnie zapytać? - powiedział ściszym głosem.

345

Haszemi westchnął. Był pewien, że Hakim już wie, i bardziej niż pewien, że ma przed sobą albo poważnego przeciwnika, albo sprzymierzeńca.

- Chodzi o dwie sprawy, Wasza Wysokość: pańskie wpływy w Azerbejdżanie mogą ogromnie nam pomóc w zwalczaniu wrogich, zbuntowanych przeciwko państwu elementów w Azerbejdżanie.

- A druga?

Usłyszał nutę niecierpliwości i to go rozbawiło.

- Druga sprawa jest nieco delikatna. Dotyczy So-wieta, zwanego Petr Oleg Mzytryk, znajomego pańskiego ojca, który od kilku lat składał tu od czasu do czasu wizyty. Abdollah-chan zaś odwiedzał go w daczynie pod Tbilisi. Choć Mzytryk udawał przyjaciela Abdol-laha i Azerbejdżanu, jest w rzeczywistości wrogiem, wysokim oficerem KGB.

- Na stu Sowietów w Azerbejdżanie przypada dziewięćdziesięciu ośmiu z KGB, a zatem wrogów. Pozostali dwaj są z GRU, zatem także wrogowie. Chan, mój ojciec, musiał

rozmawiać z najróżniejszymi wrogami - znów cień sardonicznego uśmiechu, który nie umknął uwagi Haszemiego - i z najprzeróżniejszymi przyjaciółmi, a także ludźmi obojętnymi.

A więc?

- Bardzo chcielibyśmy z nim porozmawiać. - Fazir czekał na jakąś reakcję, ale nie doczekał

się i jego podziw dla młodego człowieka wzrósł. - Abdollah-chan, zanim zmarł, zgodził się nam pomóc. Usłyszeliśmy od niego, że ten człowiek zamierzał przekroczyć nielegalnie granicę w zeszłą sobotę, potem we wtorek, ale nie pojawił się ani razu.

- Jak miał przekroczyć granicę?

Haszemi powiedział mu. Nie był pewien, co wie Hakim-chan; wypowiadał się więc bardzo ostrożnie.

165

- Uważamy, że ten człowiek może próbować się z panem skontaktować. Jeśli tak, czy mógłby pan nas o tym zawiadomić? Prywatnie.

Hakim uznał, że nadszedł czas, aby usadzić tego wroga z Teheranu i jego brytyjskiego lokaja na właś-

346

ciwym miejscu. Synu przeklętego ojca, czyż myślisz, że jestem naiwny i nie wiem, o co chodzi?

- W zamian za co? - zapytał bezceremonialnie. Fazir był równie szczery.

- A czego pan chce?

- Po pierwsze: wszyscy starsi oficerowie SAVAK-u i policji w Azerbejdżanie zostaną natychmiast zawieszani do czasu ich zweryfikowania. Przeze mnie. Przyszłe nominacje muszą być zatwierdzone przeze mnie z góry.

Haszemi poczerwieniał. Nawet Abdollah-chan nie miał nigdy takiego przywileju.

- A po drugie? - zapytał sucho. Hakim-chan roześmiał się.

- Dobrze, bardzo dobrze, agha. To drugie poczeka do jutra lub następnego dnia, a także trzecie i być może czwarte. Co do pierwszej sprawy: proszę przynieść mi jutro o dziesiątej szczegółowy wykaz czynności, które pomogą w zakończeniu walk w Azerbejdżanie. Proszę też o informację, jak pan, osobiście, jeśli ma pan takie uprawnienia, jak pan... - Zastanowił się i dodał: - Jak zapewni nam pan bezpieczeństwo przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. - Zwrócił uwagę na Armstronga.

Armstrong miał nadzieję, że targi będą trwały wiecznie. Z radością obserwował, jak nowy chan radzi sobie z tak twardym przeciwnikiem jak Haszemi. A niech to! Skoro ten mały skurczybyk działa z taką pewnością siebie w dwa dni po objęciu chanatu i w kilka godzin po tym, gdy jego królestwo omal się nie rozpadło, rząd Jej Królewskiej Mości powinien umieścić go na liście najniebezpieczniejszych. Powoli, powoli, catchee monkee! Zobaczył utkwione w siebie oczy. Z wysiłkiem zapanował nad twarzą i jęknął w myślach: teraz twoja kolej!

- W jakich dziedzinach, które mogą mnie interesować, jest pan ekspertem?

- No cóż, Wasza Wysokość, ja... byłem w Wydziale Specjalnym i znam się trochę na wywiadzie i...

347

kontrwywiadzie. Oczywiście, dobre informacje, prywatne informacje, mają zasadnicze znaczenie dla kogoś na pańskim stanowisku. Gdyby pan chciał, może mógłbym, wspólnie z pułkownikiem Fazirem, zaproponować panu sposoby ulepszenia takiej działalności.

- To dobra myśl, panie Armstrong. Niech pan przedstawi mi swoje poglądy na piśmie jak najszybciej.

- Z przyjemnością. - Armstrong zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. - Mzytryk mógłby od razu udzielić panu wielu cennych informacji, informacji „wewnętrznych” i

„zewnątrznych”, o których pan wspomniał, zwłaszcza gdyby agha Fazir mógł, eee, pogawędzić z nim na osobności.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Zobaczył, że Hasze-mi przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

Założyłbym się o własne życie, że wiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać, Hakim, chłopcze.

Postawiłbym też w zakład własne jaja, że nie spędziłeś tych lat jak jakieś cholerne „piórko”!

Chryste, muszę zapalić!

Oczy chana przewiercały go na wylot. Chciałby zapalić papierosa i rzucić lekkim tonem: Jezu, przestań pieprzyć i albo się zesraj, albo odstaw nocnik... Potem wyobraził sobie chana wszystkich Gorgonów, kucającego w ubikacji, i musiał kaszlnąć, żeby ukryć wesołość.

- Przepraszam - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to łagodnie.

Hakim-chan zmarszczył brwi.

- W jaki sposób miałbym dostęp do tych informacji? - zapytał, a obaj mężczyźni wiedzieli już, że połąknał haczyk.

166

- W taki, w jaki pan zechce, Wasza Wysokość - odparł Haszemi. - Wedle pana weli.

Znów cisza.

- Rozważę, co...

Hakim-chan urwał i zaczął nasłuchiwać. Teraz wszyscy usłyszeli odgłos zbliżającego się śmigłowca. Obaj mężczyźni podeszli do wysokich okien.

- Chwileczkę - powiedział Hakim. - Niech jeden z was pomoże mi, proszę.

348

Zdumieni, pomogli mu wstać.

- Dziękuję - powiedział, przewyciężając ból. - Już lepiej. To chyba kręgosłup. Musiał się trochę nadwerężyć od wybuchu.

Wspomagany przez Haszemiego, pokuśtykał do jednego z okien wychodzących na dziedziniec.

212 schodził wolno do lądowania. Gdy się zbliżył, poznali Erikkiego i Ahmeda na siedzeniach w kokpicie. Ahmed na wpół leżał; widać było, że jest ranny. Otwory po pociskach w osłonie, wydarty kawał plastiku z bocznego okienka. Zaniepokoiłi się. Maszyna precyzyjnie usiadła na ziemi. Pilot wyłączył silniki. Zobaczyli krew na kołnierzu i rękawie białej koszuli Erikkiego.

- Chryste... - mruknał Armstrong.

- Pułkownik - powiedział nagłym tonem Hakim-chan - niech pan sprawdzi, czy uda się jeszcze zatrzymać lekarza.

Haszemi natychmiast pobiegł.

Z miejsca, z którego patrzyli, widzieli schody frontowe. Otworzyły się ogromne drzwi; Azadeh wyszła utykając i zamarła bez ruchu; przy niej gromadziła się służba, strażnicy i niektórzy członkowie rodziny. Eriki otworzył drzwiczki i niezgrabnie wysiadł. Był

zmęczony, lecz ruszył do niej pewnym krokiem. Wpadła w jego ramiona.

W KOWISSIE, 12:10. Ibrahim Kijabi czekał niecierpliwie w zasadzce. Mułła Hosejn powinien zaraz wyjść z meczetu na zatłoczony plac. Kijabi siedział przy fontannie, naprzeciwko ogromnych drzwi. Trzymał na kolanach płócienną torbę maskującą automat z odwiedzionym kurkiem. Miał zaczerwienione ze zmęczenia oczy; po pięciuset sześćdziesięciokilometrowej podróży z Teheranu

bolało go całe ciało.

Zauważył w tłumie wysokiego Europejczyka, który szedł za mężczyzną z zieloną opaską.

Miał na sobie ciemne ubranie, parkę i spiczastą czapkę. Kijabi patrzył, jak ci dwaj mijają meczet i znikają w alei, biegnącej koło świątyni. W pobliżu widać było wejście na bazar; ciemność, ciepło i bezpieczeństwo kusiły go do porzucenia zimnego posterunku.

350

- In sza'a Allah - mruknął z przyzwyczajenia; potem napomniał się niemrawo, żeby nie używać tego wyrażenia, owinął się ciaśniej paltem i oparł wygodniej o fontannę, służącą przechodniom, gdy nie było mrozu, jako źródło wody pitnej i do rytualnego obmywania rąk i twarzy przed udaniem się na modlitwę.

- Jaki jest ten mułła Hosejn? - zapytał ulicznego handlarza, który nakładał mu chochlą porcję dymiącego choresztu z fasolą z kotła wiszącego nad płonącym węglem drzewnym. Był już ranek, gdy przybył do miasta, spóźniony o piętnaście godzin z powodu nie kończących się postojów. - Jaki on jest?

Stary, bezzębny mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mułła to mułła.

Inny klient zaklął i powiedział:

- Nie słuchaj go, cudzoziemcze! Mułła Hosejn jest prawdziwym przywódcą ludu, człowiekiem bożym, który nie ma niczego oprócz broni i amunicji, żeby zabijać nieprzyjaciół

Boga!

167

Inni klienci zawtórowali temu nie ogolonemu młodzieńcowi i opowiedzieli o przejęciu bazy lotniczej.

- Nasz mułła jest prawdziwym sługą imama; na Boga, on poprowadzi nas do raj!u!

Ibrahim z trudem powstrzymał gniewny okrzyk. Hosejn i wszyscy mułłowie zasługują na śmierć; opowiadają tym biednym ludziom takie bzdury. Raj? Piękne stroje, wino i czterdzieści wiecznych dziewic w jedwabnej pościeli?

Nie myśleć o miłości, nie myśleć o Szahrazad. Jeszcze nie.

Przesunął rękoma po karabinie, czując jego ukrytą siłę. Zmniejszyło to uczucie zmęczenia i głód, ale nie ogromną samotność.

Szahrazad. Teraz już tylko postać ze snu. Tak lepiej, znacznie lepiej. Czekał na nią w kawiarni, gdy zagadnęła go Dżari.

- W imię Boga, jej mąż wrócił. To, co nigdy się nie zaczęło, jest na zawsze skończone.

351

Potem zniknęła w tłumie. Od razu opuścił kawiarnię, poszedł po karabin, i wyruszył na piechotę na dworzec autobusowy. Teraz czekał. Wkrótce zostanie męczennikiem, mszcząc się w imieniu mas, walcząc ze ślepą tyranią. Już wkrótce. Wkrótce ciemność lub światło, niepamięć lub zrozumienie, samotnie lub z innymi: prorokami, imamami, diabłami, kim jeszcze?

Zamknął oczy w ekstazie. Niedługo będzie wiedział, co się dzieje po śmierci, Dokąd wtedy idziemy. Czy rozwiązujemy wreszcie wielką zagadkę: czy Mahomet był ostatnim prorokiem Boga, czy wariatem? Czy Koran mówi prawdę? Czy istnieje Bóg?

W alejce koło meczetu mężczyzna z Zielonych Opasek prowadzący Starke'a zatrzymał się i wskazał nędzne zabudowanie. Starke przeszedł przez brudny rów i zapukał. Drzwi stanęły otworem.

- Pokój z panem, ekscelencjo Hosejn! - powiedział w farsy. Był napięty i czujny. - Wysłał pan po mnie?

- Salam, kapitanie. Tak, tak, wysłałem - odpowiedział Hosejn po angielsku i gestem zaprosił pilota do środka.

Starke musiał się pochylić, żeby wejść do jedyne go pomieszczenia chaty. Na brudnej podłodze, na posłaniu ze słomy spało dwoje dzieci. Młody chłopak, obejmujący dłońmi stary karabin, wlepił w niego wzrok. Pilot poznał chłopca, którego widział podczas walki pomiędzy ludźmi Hosejna i Zatakiego. Dobrze utrzymany kałasznikow stał oparty o ścianę. Na koślawym krześle przy zlewie siedziała stara kobieta w czarnym, brudnym czadorze.

- To są moi synowie, a to moja żona - powiedział Hosejn.

- Salam. - Starke ukrył zdziwienie; nie spodziewał się, że żona mułły jest taka stara. Potem przyjrzał się jej lepiej i zauważył, że starość nie była wynikiem przeżytych lat.

- Wysłałem po pana z trzech powodów: po pierwsze, chciałem, żeby zobaczył pan, jak żyją mułło-
352

wie. Ubóstwo jest jedną z najważniejszych powinności mułły.

- A także uczenie się, przywództwo i stanowienie praw. Wiem, agha, że jest pan w stu procentach szczerzy w swych poglądach.

I schwyty w ich pułapkę, miał ochotę dodać; czuł wstręt do tego pomieszczenia i straszliwej, nie kończącej się nędzy, jaką symbolizował. Starke wiedział, że ta nędza nie jest nieuchronna, lecz mimo

to trwać będzie zawsze dla ludzi, którzy tu mieszkają, a także w niezliczonych innych domach, w religiach całego świata. Ale nie w mojej rodzinie, dzięki Bogu! Dzięki Bogu urodziłem się Teksańczykiem, dzięki Bogu ja wiem lepiej, a moje dzieci nie będą, nie będą, na Boga, żyły tak jak te biedne małe stworzonka. Z trudem powstrzymał

się, żeby nie odpędzić od nich much. Pragnął skłąć Hosejną za utrzymywanie tego, co nie musiało być utrzymane.

168

- Wspomniałeś o trzech powodach, agha?

- Drugim jest pytanie: dlaczego prawie wszyscy ludzie mają dzisiaj wyjechać?

- Od dawna należy się im urlop, agha. W bazie nie ma zbyt wiele pracy, a więc termin jest odpowiedni.

Starke denerwował się coraz bardziej. Rano, zanim został tu wezwany, przyszły już trzy teleksy i dwa wywołania radiowe z ich siedziby w Teheranie; w ostatnim Sijamaki, obecnie członek zarządu, domagał się informacji, gdzie są Pettikin, Nogger Lane i inni. Starke zbył

go, mówiąc, że McIver połączy się z nim przez radio, gdy tylko dotrze tu z premierem Kia.

Zauważył zdziwienie Wazariego.

Poprzedniego dnia pierwszy dowiedział się o wizycie Alego Kia. Charlie Pettikin, który zatrzymał się na krótko po drodze do Asz Szargaz, opowiedział, co się przydarzyło McIverowi, i podzielił się swymi obawami.

- Jezu... - To było wszystko, na co mógł się zdobyć. Poprzedniego dnia nie wszystko układało się źle.

John Hogg przywiózł tymczasowy terminarz Operacji, przygotowany przez Gavallana: hasła, godziny i koor-353

dynaty kolejnych punktów tankowania po drugiej stronie zatoki.

- Andy prosił, żeby ci powiedzieć, że wszystko przekazano też Scragowi w Lengeh i Rudiemu w Bandar Dejlamie i że wziął pod uwagę problemy wszystkich trzech baz - oznajmił Hogg. -

Dwa frachtowce 747 są zarezerwowane na piątek o świcie w Asz Szargaz. Andy mówi, że to nam daje masę czasu. Przywiozę wszystkie uaktualnienia, kiedy przylecę po chłopaków, Duke. Ostateczny sygnał rozpoczęcia akcji może być nadany w piątek o 7:00 albo w sobotę lub niedzielę o tej samej porze. Jeśli nie, akcji nie będzie.

W pobliżu nie było żadnego ze szpiegów Esfan-diariego, więc Starke'owi udało się zapakować na pokład 125 skrzynię cennych części do 212. Ich szczęście na tym się nie skończyło: wszystkie osobiste wizy wyjazdowe były nadal ważne, zamelinowali na wybrzeżu dostatecznie dużo

czterdziestogalonowych bębnow paliwa, a Tom Lochart przybył na czas do Zagrosu i okazało się, że można na niego liczyć.

- Skąd ta zmiana, Tom? Myślałem, że jesteś zaciekle wrogiem tego wszystkiego? - zapytał zdziwiony zachowaniem Locharta.

Jego przyjaciel tylko wzruszył ramionami, a on już się więcej nie dopytywał.

Niepokój Starke'a budziła sprawa techniki ucieczki ich 212. Właściwie nie mieli prawdziwego planu, tylko kilka wariantów. Z wysiłkiem skoncentrował się na rozmowie; pomieszczenie, w którym się znajdowali, wywoływało w nim uczucie klaustrofobii.

- Mają zaległe urlopy - powtórzył.

- Kiedy przybędą ich zmiennicy?

- W sobotę. Zaplanowano to na sobotę.

- Esfandiari mówi, że wysyłacie dużo części zamiennych.

- Części zamienne trzeba od czasu do czasu sprawdzić i wymienić, agha.

Hosejn przyjrzał się mu uważnie, a potem z namysłem skinął głową.

354

- Co spowodowało wypadek, w którym omal nie zginął Esfandiari?

- Przesunięcie ładunku. To był trudny manewr. Chwila ciszy.

- Kim jest ten Kia, Ali Kia?

Starke nie oczekiwał takich pytań; zastanawiał się, czy muła znów go sprawdza i jak wiele wie.

- Powiedziano mi, że jest ministrem w rządzie premiera Bazargana i przeprowadza inspekcję.

- Potem dodał: - Powiedziano mi też, że był, czy jest, konsultantem naszej spółki, IHC, może nawet członkiem zarządu, ale ja nic o tym nie wiem.

169

- Kiedy przybędzie?

- Nie jestem pewien. Nasz dyrektor, czyli kapitan NeIver, otrzymał polecenie, by towarzyszyć ministrowi.

- Polecenie?

- Polecenie. Tak to zrozumiałem.

- Dlaczego minister jest doradcą prywatnej spółki?

- Chyba powinien pan jego zapytać, agha.

- Tak, zgoda. - Hosejn rzucił twarde spojrzenie. - Imam przysięgał, że korupcja ustanie.

Pójdziemy do bazy razem. - Podniósł kałasznikowa i zarzucił broń na ramię. - Salom -

powiedział do swojej rodziny.

Starke i członek Zielonych Opasek ruszyli za Hosej-nem do bocznych drzwi meczetu. Tam muła zdjął buty, wziął je do ręki i wszedł do środka. Starke i Zielona Opaska zrobili to samo, a Starke zdjął też czapkę. Przeszli przez korytarzyk i następne drzwi; znaleźli się w meczecie.

Sala zwieńczona kopułą, pokryta dywanami, żadnych ozdób, oprócz dekoracyjnych kafelków, na których widniały cytaty z Koranu w sanskrycie. Pulpit z otwartym Koranem, obok nowoczesny magnetofon kasetowy i głośniki, splecione przewody i świecące blado żarówki, niczym nie osłonięte. Z głośników dochodził śpiewny głos mężczyzny, czytającego Koran.

Ludzie modlili się, plotkowali, niektórzy spali. Ci, którzy dostrzegli Hosejna, uśmiechali się do niego, a on odwzajemniał uśmiechy, idąc do kolumnowej alkowy.

355

Tam zatrzymał się, położył na podłodze buty i karabin; odprawił gestem człowieka z Zielonych Opasek.

- Kapitanie, czy myślał pan trochę o tym, o czym dyskutowaliśmy podczas przesłuchania?

- O czym dokładnie, agha? - Starke poczuł się

niepewnie.

- O islamie, imamie, niech towarzyszy mu boży spokój, o porozmawianiu z nim?

- Nie mógłbym z nim porozmawiać, nawet gdybym chciał.

- Może mógłbym to załatwić. Gdyby zobaczył pan imama, posłuchał tego, co mówi, znalazłby pan boży spokój, którego pan szuka. I prawdę.

Starke'a poruszyła oczywista szczerłość muły.

- Gdybym miał szansę, na pewno... na pewno bym z niej skorzystał, gdybym mógł.

Powiedział pan o trzech sprawach, agha?

- To właśnie była ta trzecia. Islam. Zostanie muzułmaninem. To chwila, której nie można przegapić. Trzeba poddać się Bogu, uznać, że jest tylko jeden Bóg i że Mahomet jest Jego prorokiem. Przyjąć to i trafić na wieczność do raju.

Ciemne oczy mułły spoglądały przenikliwie. Starke już dawniej uznał, że wywierają niemal hipnotyczny wpływ.

- Ja... ja już mówiłem, agha, może to zrobię w chwili... w chwili wyznaczonej przez Boga. -

Oderwał wzrok od mułły i poczuł, że jego dominująca siła osłabła. - Jeśli mamy wracać, lepiej już chodźmy. Nie chcę się spóźnić i nie pożegnać naszych ludzi.

Równie dobrze mógłby się nie odzywać.

- Czyż imam nie jest najświętszym spośród ludzi, największym bojownikiem, najbardziej nieugiętym wrogiem ucisku? Jest, kapitanie. Otwórz swe oczy i duszę.

Starke zauważył, jaki nacisk mułła kładzie na swe słowa i jeszcze raz poczuł, że popełnia coś w rodzaju świętokradztwa.

- Czekam cierpliwie. - Spojrzał w oczy, które zdawały się przewiercać go na wylot, przenikać ściany,

356

sięgać do nieskończoności. - Jeśli mamy iść, lepiej już ruszajmy - powiedział najłagodniej, jak umiał.

170

Hosejn westchnął. Natchniony blask zniknął z jego oczu. W drzwiach włożył buty i poczekał, aż Starke zrobi to samo. Dołączyło do nich czterech ludzi z Zielonych Opasek.

- Idziemy do bazy - poinformował go Hosejn.

- Zaparkowałem samochód zaraz za placem - oznajmił Starke; czuł ogromną ulgę, wychodząc na dwór i uwalniając się od uroku Hosejna. - To furgonetka, możemy nią pojechać.

- Dobrze. Gdzie ona jest?

Starke wskazał kierunek ręką i ruszył, klucząc między straganami. Był niemal o głowę wyższy od otaczających go ludzi. Myślał intensywnie o słowach mułły, i próbując jednocześnie sklecić jakiś plan Operacji.

- Cholera - mruknął, ogarnięty przecuciem niebezpieczeństwa. Mam nadzieję, że Rudi zrezygnuje, a wtedy zrezygnuję i ja, niezależnie od tego, co robi Scrag. Odruchowo rozglądał się, jakby siedział w kokpicie helikoptera; dostrzegł jakieś zamieszanie przy fontannie. Dzięki swemu wzrostowi pierwszy zobaczył młodzieńca z karabinem i uciekających ludzi. Zatrzymał się z niedowierzaniem. Z boku

nadchodził Hosejn. Nie mogło być jednak mowy o pomyłce: ogarnięty szałem bojowym człowiek pędził dokładnie na nich. -

Zabójca! - krzyk-

'nął Starke. Przestraszeni mężczyźni i kobiety uciekali, j prędko schodzili atakującemu z drogi; między młodzień-

cem a jego celem wytworzyła się pustka. Zobaczył, że mężczyzna zatrzymuje się i mierzy dokładnie w niego. - Uwaga!

Zanim jednak zdążył paść na ziemię albo schować się za straganem, zakręcił nim pierwszy pocisk i rzucił na najbliższego człowieka z Zielonych Opasek. Kolejne pociski, krzyk, potem ogłuszający huk innego karabinu. Strzelał Hosejn; miał bardzo szybki refleks. Od razu domyślił się, że kule przeznaczone były dla niego; wystarczyła chwila przerwy, wywołana trafieniem Starke'a. Jednym zręcznym ruchem zerwał karabin z ramienia, 357

wycelował i pociągnął za spust, podczas gdy jego myśli krzyczały: nie ma innego Boga...

Ogień mułły był chłodno dokładny; kule przebiły Ibrahima Kijabiego, zabrały mu życie, wyrwały broń z martwych rąk i rzuciły ją na brudną ziemię. Hosejn przerwał ogień i stwierdził, że nadal stoi. To nie do wiary! Zabójca nie mógł chybić! Dlaczego nie zostałem męczennikiem i nie jestem w drodze do raju? Niepewnie rozejrzał się wokół; jedni pomagali rannym, inni zawodzili i przeklinali. Mężczyzna z Zielonych Opasek leżał martwy na ziemi, wokół wielu rannych przechodniów. Starke, rozłożony bezwładnie na ziemi, częściowo wystawał spod straganu.

- Dzięki Bogu, ekscelencjo Hosejn, nie został pan ranny - zawołał mężczyzna z Zielonych Opasek.

- Wedle woli Boga... Bóg jest wielki... - Hosejn podszedł do Starke'a i przyklęknął. Zobaczył

krwawą krew sączącą się z lewego rękawa, twarz barwy kredy. - Gdzie cię trafił?

- Ja... ja nie jestem pewien. To moje... moje ramię albo klatka piersiowa. - Gdy pocisk rzucił

go na ziemię, nie czuł bólu, ale coś krzyczało w jego głowie: Jestem martwy, ten sukinsyn mnie zabił, nigdy nie zobaczę Manuela, nigdy nie będę w domu, nie zobaczę dzieci, jestem martwy... Potem ogarnęła go przemożna chęć ucieczki, ucieczki przed własną śmiercią.

Chciał wstać, lecz ból odebrał mu siły, a teraz Hosejn klęczał obok niego.

- Pomogę panu - powiedział Hosejn, a potem rzucił do Zielonej Opaski: - Weź go pod drugie ramię.

Krzyknął, gdy go odwrócili i spróbowali podnieść.

- Czekajcie... na rany boskie... - Gdy spazm bólu przeminął, stwierdził, że nie może w ogóle ruszać lewą ręką, natomiast prawa jest sprawna. Obmacał okolice rany zdrową ręką, poruszył

nogami. Tam nic nie bolało. Wydawało się, że poza lewą ręką i ramieniem oraz poza lekkim 171 szumem w głowie nie odczuwa żadnych dolegliwości. Zaciśnął zęby, rozpiął parkę i rozerwał koszulę. Krew sączyła się z otworu na środku ramienia, ale nie 358

tryskała; mógł bez bólu oddychać; ból nadszedł tylko wtedy, gdy wykonał nieostrożny ruch.

- Chyba... chyba nie mam kuli w płucu...

- Ech, ty, pilocie - rzucił ze śmiechem Zielona Opaska. - Patrz, z tyłu twojej kurtki też jest zakrwawiony otwór. Kula musiała przejść na wylot. - Przełożył przez otwór brudny palec, a Starke sklął go gwałtownie.

- Przeklnij lepiej siebie samego, niewierny - powiedział mężczyzna. - Przeklnij siebie, a nie mnie. Może Bóg zlitował się i zwrócił ci życie, choć nie wiem, dlaczego miałyby to robić...

Wzruszył ramionami i wstał, spojrzał na martwego towarzysza, na rannych, znów wzruszył ramionami i podszedł do Ibrahima Kijabiego, który leżał na brudnej ziemi jak ciśnięta kupa gałganów. Zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

Tłum parł do przodu tak, że prawie ich podeptał. Hosejn wstał, uniósł ręce i krzyknął:

- Bóg jest wielki, Bóg jest wielki! Cofnijcie się! Pomóżcie rannym! - Potem przyklęknął koło Starke'a.

- Czyż nie ostrzegałem cię, że twój czas jest policzony? Tym razem Bóg cię zachował, żeby dać ci jeszcze jedną szansę.

Starke jednak ledwie go słyszał. Znalazł chustkę i przyłożył ją do rany, próbując zatamować krew. Czuł spływający po plecach ciepły strumyczek. Mruczał i klął; nie bał się już, lecz wstydził tego, że chciał uciekać.

- Po cholere ten sukinsyn chciał mnie zabić? - mruknął. - Skurwysyn, cholerny czubek!

- On chciał zabić mnie, nie ciebie. Starke wlepił w niego spojrzenie.

- Fedain? Mudzaheddin?

- Albo Tude. Co za różnica? Był wrogiem Boga i Bóg go zabił.

Starke poczuł w piersiach kolejną falę bólu. Zmełł w ustach przekleństwo; nie znosił tego całego gadania o Bogu, nie chciał myśleć o Bogu, tylko o dzieciach i Manueli, o normalnym życiu i o wyniesieniu się stąd w cholere. Rzygać mi się chce na widok tych wariatów 359

zabijających w imię kretyńskich poglądów na temat Boga.

- Skurwysyny! - mruknął.

Słowo to utonęło w hałasie. Rwało go w ramieniu, ból promieniował. Umocował chusteczkę najlepiej, jak mógł; mrużąc przekleństwa, zapiął parkę.

Co mam teraz, do cholery, zrobić? Przeklęty zwariowany skurwysyn; jak mam, u diabła, latać? Zmienił ostrożnie pozycję. Ból wyrwał z niego kolejny jęk; zaklął, gdyż chciał zachować spokój.

Hosejn oderwał się od swych marzeń. Dlaczego Bóg postanowił zostawić mnie przy życiu?

Przecież powinienem już być męczennikiem? Dlaczego? Czy jestem przeklęty? A ten Amerykanin? Cała seria, a on żyje. Dlaczego on także został przy życiu?

- Pojedziemy do twojej bazy. Czy może pan wstać?

- Ja... jasne, za chwilę. - Starke przygotował się.

- Dobra, ostrożnie... och, słodki Jezu... - Wstał jednak. Chwiał się na nogach, ból przyprawiał go o mdłości.

- Czy któryś z pańskich ludzi może prowadzić samochód?

- Tak. - Hosejn zawołał do człowieka z Zielonych Opasek, klęczącego koło Kijabiego: -

Firuz, pospiesz się! - Mężczyzna posłusznie wstał.

- W kieszeni miał tylko te monety, ekscelencjo. I to. Co to jest?

Hosejn przyjrzał się dokumentowi.

172

- Legitymacja studencka z uniwersytetu w Teheranie. - Zdjęcie ukazywało przystojnego młodzieńca, uśmiechającego się do obiektywu. Ibrahim Kijabi, trzeci rok, wydział inżynierii, urodzony 12 marca 1955 roku. Hosejn odwrócił legitymację. - Jest teherański adres.

- Te śmierdzące uniwersytety - zauważył inny mężczyzna z zieloną opaską. - Siedlisko szatana i zachodniego zła.

- Gdy imam, niech Bóg ma nad nim opiekę, otworzy je, mułowie będą na miejscu.

Wykorzenimy na zawsze wszystkie zachodnie, antyislamskie idee. Przekaż legitymację do komitetu, Firuz. Oni prześlą ją do Teheranu. Komitet teherański przesłucha jego rodzinę i przyjaciół i zajmie się nimi. - Hosejn spostrzegł, że Starke na niego patrzy. -

Tak, kapitanie? Starke widział fotografię.

- Pomyślałem sobie, że za kilka dni skończyłby dwadzieścia cztery lata. Strata, prawda?

- Bóg ukarał jego zło. On teraz płonie w piekle.

NA PÓŁNOC OD KOWISSU, 16:10. 206 przelatywał nad wzgórzami Zagros; NcIver przy sterach, obok drzemał Kia. NcIver czuł się świetnie. Był radosny od chwili, gdy postanowił

sam przywieźć Kia. Wspaniałe rozwiązanie, jedyne. Co z tego, że nie mam aktualnych badań?

Jesteśmy na wojnie, musimy ryzykować, a ja jestem, do cholery, najlepszym pilotem firmy.

Spojrzał z ukosa na Kia. Gdybyś nie był taką dupą wołową, uściskałbym cię za danie mi pretekstu. Uśmiechnął się i wcisnął przycisk nadawania.

- Kowiss, tu Hotel Tango X na trzystu, kierunek 185 stopni, na pokładzie premier Ali Kia.

- HTX, utrzymuj kierunek, zgłoś się przy zmianie strefy.

Lot i tankowanie na lotnisku międzynarodowym w Isfahanie odbywały się bez problemów, poza tym, że w kilka minut po wylądowaniu maszynę otoczyli podekscytowani i pokrzykujący ludzie z Zielonych Opasek, mimo iż miał zezwolenie na lądowanie i uzupełnienie paliwa.

- Niech pan zażąda przez radio, żeby natychmiast stawił się tu kierownik - rzucił kipiąc gniewem Kia.

- Reprezentuję rząd.

NcIver to zrobił.

- Wieża mówi, że jeśli nie zatankujemy i nie odlecimy w ciągu godziny, komitet zatrzyma maszynę.

- Po czym dodał, delektując się brzmieniem tych słów:

- Mówią, że zagraniczne maszyny nie są mile widziane w Isfahanie ani też psy gończe zdominowanego przez cudzoziemców rządu Bazargana.

360

X

361

- Barbarzyńcy, wieśniacy, analfabeci - powiedział z niesmakiem Kia, ale dopiero wtedy, gdy znaleźli się już bezpiecznie w powietrzu.

NcIver cieszył się, że mógł zatankować na lotnisku cywilnym i nie musiał korzystać z bazy

wojskowej, w której uzupełniał paliwo Lochart.

Widział teraz całą bazę lotniczą Kowissu. Na przeciwległym końcu lotniska, przy kompleksie zabudowań IHC, zobaczył 125 i poczuł skurcz serca. Powiedziałem przecież Starke'owi, żeby odlecieli wcześniej, pomyślał poirytowany.

- Kontrola IHC, HTX z Teheranu z premierem Kia na pokładzie.

- Kontrola IHC. HTX, ląduj na stanowisku 2. Wiatr trzydzieści do trzydziestu pięciu węzłów z kierunku 135 stopni.

NcIver zobaczył ludzi z Zielonych Opasek przy głównej bramie, kilku koło lądowiska z Esfandiarim i członkami personelu irańskiego. Nie opodał gromadziła się też grupa mechaników i pilotów. Komitet powitalny, pomyślał, poznając Johna Hogga, Lochar-ta, Jean-Luca i Ayre'a. Starke'a nie było. A więc jestem nielegalny. Co oni mogą zrobić? Na razie 173

jestem górą, ale jeśli wykryje to ICAA, mogą się stać całkiem dokuczliwi. Przygotował na wszelki wypadek przemówienie: „Przepraszam, ale pan premier Kia nakazał coś, co wymagało natychmiastowej decyzji. To się już, oczywiście, nie powtórzy”. To by się w ogóle nie stało, gdyby nie Operacja Whirlwind. Pochylił się i potrząsnął Kia.

- Lądujemy za kilka minut, agha.

Kia przetarł oczy, spojrział na zegarek, poprawił krawat, przyczesał włosy i ostrożnie poprawił astrachańską czapkę. Patrzył na ludzi na dole, na schludne hangary i wszystkie helikoptery ustawione porządnie w jednej linii: dwa 212, trzy 206, dwa alouette. Moje helikoptery, pomyślał z zadowoleniem.

- Dlaczego lecieliśmy tak wolno? - zapytał cierpko Ali Kia.

362

- Jesteśmy punktualnie, panie ministrze. Leciliśmy pod wiatr.

NcIver skoncentrował się na lądowaniu; chciał, żeby wypadło bez zarzutu. Wypadło.

Esfandiarim otworzył drzwi od strony Kia.

- Ekszelencjo premierze, nazywam się Kuram Esfandiarim, jestem szefem IranOil na tym obszarze. Witamy w Kowissie, agha. Dyrektor Sijamaki telefonował, żeby się upewnić, czy jesteśmy przygotowani na pański przyjazd. Witamy!

- Dziękuję. - Kia zwrócił się ostentacyjnie wprost do NcIvera: - Pilocie, proszę być gotowym do startu jutro o 9:00. Być może przed powrotem będę chciał obejrzeć niektóre miejsca wierceń razem z ekszelencją Esfandiarim. Proszę nie zapominać, muszę być w Teheranie, żeby spotkać się o 10:00 z premierem.

Wstał i ruszył na inspekcję helikopterów. Ayre, Lochart i inni natychmiast pochylili się i przypadli do okienka McIvera, który zlekceważył ich spojrzenia i rozpromienił się.

- Cześć, jak leci?

- Daj mi to, Mac, dokończę za ciebie wyłączenie - powiedział Ayre. - Mamy...

- Dzięki, ale sam umiem to zrobić - zaprotestował energicznie McIver. Potem rzucił do mikrofonu: - HTX wyłącza silniki. - Dostrzegł wyraz twarzy Locharta i westchnął. - Chodzi o to, że jestem w nieco kiepskim stanie, Tom?

- Nie, nie, Mac - rzucił szybko Lochart. - Duke został postrzelony. - McIver wysłuchał z przerażeniem opowieści Locharta. - Jest teraz w ambulatorium, Mac. Doktor Nutt mówi, że może płuco jest przestrzelone.

- Jezu Chryste! Wsadź go do 125...

- Nie da rady, Mac - przerwał mu Lochart. - Waż-niak wstrzymał start do końca inspekcji Kia. Wczoraj Duke próbował załatwić, żeby samolot odleciał, zanim tu będziesz, ale Ważniak to kawał sukinsyna. To jeszcze nie wszystko. Chyba Teheran nas namierzył.

- Co takiego?

363

Lochart powiedział o teleksach i rozmowie radiowej.

- Sijamaki zaalarmował Ważniaka. Odebrałem ostatnie wezwanie Sijamackiego, bo Duke poszedł do mułły. Był wściekły jak cholera. Powiedziałem mu to samo, co Duke, i zbyłem go tym, że zadzwonisz do niego, gdy tylko przylecisz, ale, Jezu, Mac, on wie, że ty i Charlie zabraliście rzeczy z mieszkania.

- Ali Baba! Na pewno go na nas nasłali! McIverowi zakreśliło się w głowie. Spojrzał na małą złotą figurkę świętego Krzysztofa, którą zawieszał zawsze na kompasie. Prezent od Genny, pierwszy prezent, prezent wojenny. Dała mu go, gdy się poznali; on był wtedy w RAF-ie, a ona w WAAF-ie. „Żebyś się nie zgubił, chłopcze”, powiedziała wtedy. „Nie masz najlepszego wyczucia kierunku”. Teraz uśmiechnął się i pomyślał o niej z wdzięcznością. - Najpierw wpadnę do Duke'a. - Widział, jak Esfandiari i Kia idą wzdłuż rzędu helikopterów. - Tom, ty i Jean-Luc spróbujcie trochę pokiwać Kia, podliźcie się skurwysynowi i pozbawcie go jaj.

Dołączę do was, gdy tylko będę mógł. - Natychmiast odeszli. - Freddy, szepnij wszystkim, 174

żeby w chwili, gdy dostaniemy zezwolenie na start 125, weszli na pokład prędko i po cichu.

Czy cały bagaż jest już załadowany?

- Tak, ale co z Sijamakim?

- Ja się zajmę tym typem, ty już idź. - NcIver ruszył prędko przed siebie.

- Mac - zawołał do niego Johnny Hogg - powiem ci coś, gdy tylko...

NcIver usłyszał w głosie Hogga coś, co osadziło go w miejscu.

- O co chodzi, Johnny?

- Pilna i prywatna wiadomość od Andy'ego: jeśli pogoda się pogorszy, może przełoży Operację na sobotę. A wiatr się zmienia: będzie teraz wiał z przodu, a nie w ogon.

- Uważasz, że nie odróżniam południowego wschodu od północnego zachodu?

364

- Przepraszam. Andy powiedział też, że nie może jeszcze powiedzieć tak albo nie, jak ci obiecał.

- Jasne. Poproś go, żeby powiedział to Charliemu. Co jeszcze?

- Reszta może poczekać, nie powiedziałem innym.

Doktor Nutt był w ambulatorium ze Starkiem. Starke leżał na łóżku polowym, rękę miał na temblaku, ramię grubo zabandażowane.

- Cześć, Mac, miałeś dobry lot? - powiedział karcącym tonem.

- Teraz ty nie zaczynaj! Cześć, doktorze! Duke, wywieziemy cię 125.

- Nie. Jutro trzeba wiele załatwić.

- Jutro ja zajmę się jutrem, a na razie lecisz 125, na Boga! - rzucił z irytacją NcIver. Ulga z powodu udanego lotu i tego, że widział Starke'a żywego, pozbawiła go samokontroli. - Nie zachowuj się jak Dick Martwe Oko w Alamo!

- Jego nie było w pieprzonym Alamo - odgryzł się Starke. - I kim ty, do cholery, jesteś, żeby zachowywać się jak Chuck Yeager?

- Jeśli się nie uspokoiacie - odezwał się łagodnym tonem doktor Nutt - przepiszę dwie lewatywy.

Obaj roześmieli się, a Starke syknął, czując ból.

- Jezu, doktorku, niech mnie pan nie rozśmiesza... NcIver zaś powiedział:

- Duke, Kia nalegał, żebym mu towarzyszył. Nie mogłem powiedzieć, żeby się wypchał,

- Jasne. - Starke chrząknął. - Jak było?

- Wspaniale.

- Co z wiatrem?

- Nie będzie chyba jutro zbyt sprzyjający - rzekł ostrożnie McIver - ale może się zmienić równie szybko.

- Jeśli utrzyma się taki, jaki jest, to znaczy trzydzieści węzłów i w twarz, nie przelecimy przez zatokę. Nie możemy zabrać tyle paliw...

- Tak. Doktorze, co mu jest?

- Trzeba jak najprędzej zrobić prześwietlenie. Strzaskana łopatką, naruszone ścięgno i uszkodzony mięsień,

365

rana czysta. Może być jakiś odłamek czy dwa w lewym płucu. Stracił kwartę krwi, ale tak w ogóle to miał cholerne szczęście.

- Czuję się dobrze, doktorze, i prawie jestem na chodzie. Jeden dzień nie zrobić różnicy.

Mogę lecieć jutro.

- Przykro mi, stary, ale jesteś w szoku. Postrzały dają taki efekt. Możesz teraz tego nie czuć, ale za jakąś godzinę masz to zagwarantowane. - Doktor Nutt cieszył się, że odlatuje dziś 125.

Mam już tego dość, mówił sobie. Nie chcę już oglądać zdrowych, młodych ciał rozdartych kulami i okaleczonych, ale będę musiał jeszcze przez kilka dni. Trzeba będzie załatać paru 175

innych, bo ta Operacja po prostu się nie uda, czuję to w kościach. - Przykro mi, ale stanowiłbyś zagrożenie dla każdej operacji, nawet bardzo małej.

- Duke - powiedział McIver - najlepiej będzie, jeśli od razu wyjedziesz. Tom, ty weźmiesz jeden; Jean-Luc nie musi zostawać.

- A co ty zamierzasz robić? McIver uśmiechnął się.

- Ja? Ja będę pasażerem, a na razie jestem tylko bardzo cholernym, bardzo prywatnie cholernym pilotem Kia.

W WIEŻY, 16:50. - Powtarzam, panie Sijamaki - mówił McIver do mikrofonu - zwołano nadzwyczajną konferencję w Asz Szar...

- A ja powtarzam pytanie: dlaczego nie zostałem poinformowany od razu? - Głos dochodzący z głośnika był ostry i natarczywy.

McIverowi pobieleły palce, którymi trzymał uchwyt mikrofonu. Przyglądali mu się uważnie człowiek z Zielonych Opasek i Wazari, którego twarz nosiła jeszcze ślady razów Zatakiego.

- Powtarzam, agha Sijamaki - rzekł spokojnym głosem. - Kapitanowie Pettikin i Lane muszą się pilnie stawić na konferencję w Asz Szargaz. Nie było czasu, żeby pana poinformować.

366

- Jak to? Jestem przecież w Teheranie. Dlaczego w biurze nikt o tym nie wie? Gdzie są ich wizy wyjazdowe? Gdzie?

NcIver udał, że jest trochę rozgoryczony.

- Powiedziałem już panu, agha, że nie było czasu. Telefony w Teheranie nie działają.

Złatwiłem ich wizy z komitetem lotniska. Rozmawiałem osobiście z mułłą. - Mężczyzna z Zielonych Opasek ziewnął. Nudził się, nie znał angielskiego. Hałaśliwie odchrząknął. - Teraz, jeśli wykona...

- Ale pan i kapitan Pettikin zabraliście z mieszkania wartościowe przedmioty, czyż nie?

- To tylko środek ostrożności. Nie chcemy kusić mudzaheddinów, fedainów i innych włamywaczy - rzucił lekkim tonem NcIver. Wiedział, że Wazari uważnie słucha i był pewien, że wieża bazy podsłuchuje rozmowę. - A teraz, niech pan wybaczy, ale premier Kia czeka na mnie!

- Ach, premier Kia, ach tak! - Sijamaki trochę złagodniał. - O której... eee... o której wracacie jutro do Teheranu?

- To zależy od wiatru... - NcIver zdrętwiał, gdyż omal się nie zdradził. Chyba dostaje kręcka, pomyślał. Z trudem zebrał myśli. - To zależy od premiera Kia, od wiatru i od tankowania. W każdym razie po południu.

- Będę czekał, może nawet na lotnisku. Są czeki do podpisania i wiele spraw do omówienia.

Proszę przekazać panu premierowi Kia moje najlepsze życzenia miłego pobytu w Kowissie.

Salam.

Połączenie urwało się. NcIver westchnął i opuścił mikrofon.

- Sierzancie, skoro już tu jestem, chciałbym rozmawiać z Bandar Dejlamem i Lengeh.

- Muszę zapytać tych z bazy - odparł Wazari.

- Proszę zapytać.

NcIver wyjrzał przez okno. Pogoda jeszcze bardziej się popsowała. Wiatr z południowego wschodu szarpał rękawem i wantami masztu radiowego. Na liczniku trzydzieści węzłów, w porywach trzydzieści pięć. Zbyt

duzo, pomyślał. Zbiornik na glinę, który przebił dach, znajdował się kilka metrów dalej.

McIver widział Hogga i Jonesa, czekających cierpliwie w kokpicie 125; drzwi kabiny były zapraszająco otwarte. Przez inne okno zobaczył Kia i Esfandiariego, którzy zakończyli już przegląd i szli w kierunku biura, znajdującego się bezpośrednio pod wieżą. McIver zobaczył, że obłúził się łącznik anteny na głównym dachu, a potem zauważył, że przewód prawie się urwał.

- Sierzancie, lepiej niech pan to poprawi; możecie stracić łączność.

- Rety, jasne, dziękuję.

Wazari wstał, lecz zatrzymał się, bo w głośniku zabrzmiały słowa:

- Tu wieża Kowiss. Prośba o rozmowę z Bandar Dejlmem i Lengeh załatwiona pozytywnie.

Potwierdził odbiór, zmienił częstotliwość i wywołał Bandar Dejlam. McIverowi szybciej zabiło serce; rozpoznał głos Rudiego.

Wazari wręczył mu mikrofon, nie odrywając wzroku od anteny.

- Kurwa mać - mruknął.

Wziął narzędzia i wyszedł drzwiami prowadzącymi na dach. Nadal mógł słyszeć rozmowę.

Zielona Opaska ziewnął i przyglądał się temu wszystkiemu ze znużeniem.

- Dzień dobry, kapitanie Lutz, tu McIver. Będę nocował w Kowissie. - McIver mówił rzeczowo, bardzo starannie dobierając słowa. - Muszę eskortować premiera Kia z Teheranu.

Co słyszeć w Bandar Dejlamie?

- Jesteśmy pięć na pięć, ale jeśli... - urwał. McIver usłyszał szybki oddech; wiedział, co jego rozmówca chciał powiedzieć. - Jak długo... jak długo zostajesz, Mac? - zapytał Rudi.

- Lecę jutro, według planu, jeśli pogoda wytrzyma - dodał ostrożnie.

- Zrozumiałem, nie ma problemu.

- Nie ma problemu. Wszystko zapowiada ciężki, ale szczęśliwy rok. Jak u ciebie?

Kolejna pauza.

- Wszystko pięć na pięć. Wszystko zapowiada ciężki, ale szczęśliwy rok i niech żyje imam!

- Całkiem słusznie. Wywołałem cię, bo Aberdeen żąda pilnie informacji o twojej

„uaktualnionej kartotece”. - Oznaczało to rozpoczęcie przygotowań do Operacji. - Gotowa?

- Tak, tak, gotowa. Gdzie mam ją wysłać? - To oznaczało: czy nic się nie zmieniło i lecimy do Asz Szargaz.

- Gavallan jest tam na inspekcji, więc wyślij mu ją. Ważne, żebyś się pospieszył. Słyszałem, że są dwa loty British Airways. Wyślij jutro tym do Asz Szargaz, dobra?

- Zrozumiałem. Przez cały dzień pracowałem nad szczegółami.

- Świetnie. Co z załogami?

- Doskonale. Wyjechały, a zmiennicy będą tu w sobotę, najpóźniej w niedzielę. Wszystko przygotowane na ich przyjazd. Ja jadę przy następnej wymianie załóg.

- Dobrze. Gdybyś mnie potrzebował, będę tutaj. Jaka pogoda u ciebie?

Pauza.

- Kiepska. Deszcze, wiatr z południowego wschodu.

- Tutaj to samo, ale nie ma się czym przejmować.

- Przy okazji: Sijamaki rozmawiał kilkakrotnie przez radio z Numirem, naszym kierownikiem z IranOil.

- O czym? - zapytał NcIver.

- Numir powiedział, że tylko sprawdzał bazę.

- Dobrze - odparł ostrożnie NcIver. - Cieszę się, że interesuje się naszą działalnością.

Wywołałem cię jutro, rutynowo. Szczęśliwych lądowań.

- Nawzajem, dzięki za kontakt.

NcIver wyłączył się, klęcząc w duchu Sijamackiego. Co za cholerny sukinsyn! Wyjrzał przez drzwi. Wazari nadal klęczał przy podstawie masztu anteny, obok świetlika. Był całkowicie pochłonięty pracą, więc NcIver sam wywołał Lengeh.

Scragger odezwał się szybko.

- Cześć, stary. Tak, słyszeliśmy, że wozisz szybę, Andy dzwonił z Asz Szargaz. Co jest grane?

177

- Tylko rutyna, wszystko według planu. Aberdeen pyta o twoją „uaktualnioną kartotekę”.

Gotowa?

- Gotowa, jak zawsze. Gdzie mam ją wysłać?

- Najprościej do Asz Szargaz. Dasz radę jutro?

- Muszę, chłopie, już o tym myślałem. Jaka u was

pogoda?

- Południowo-wschodni, trzydzieści do trzydziestu pięciu węzłów. Johnny mówi, że do jutra może zelżeć. A u was?

- To samo. A przy okazji, jak się czuje Lulu? NcIver zaklął w duchu. Z powodu tej sprawy z Kia

zapomniał o swym przyrzeczeniu; miał ocalić samochód, a zapomniał o tym. Po prostu zostawił go w jednym z hangarów, co miało przekonać personel, że następnego dnia wróci.

- Świetnie - powiedział. - Jak twoje badania?

- Doskonale, a twoje, stary?

- Do zobaczenia Scrag. - NcIver skrzywił się i wyłączył nadawanie. Był już bardzo zmęczony. Przeciągnął się i wstał. Zauważył, że Zielona Opaska odszedł, a Wa-zari stoi w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy. - O co chodzi?

- Ja... nic, kapitanie. - Zziębnięty młody człowiek zamknął drzwi; stwierdził z podnieceniem, że w wieży oprócz nich nikogo nie ma. - Gdzie jest człowiek z Zielonych Opasek?

- Nie wiem.

Wazari wyjrzał szybko na schody. Potem zwrócił się do NcIvera zniżając głos:

- Co się dzieje, kapitanie? NcIvera opuściło zmęczenie.

- Nie rozumiem?

- Te wszystkie rozmowy z Sijamakim, teleksy, faceci wyjeżdżający z Teheranu bez wiz, ci wszyscy faceci, którzy stąd wyjeżdżają, wywożą części zamienne... - Wskazał kciukiem świetlik. - Niespodziewanie przyjeżdża premier.

370

- Ludzie jadą na urlop, części było za dużo. Dziękuję za pomoc.

NcIver chciał wyjść, ale Wazari stanął mu na drodze.

- Coś tu nie gra! Nie może pan powiedzieć mi... - Urwał, słysząc odgłos kroków na schodach.

- Proszę posłuchać, kapitanie - szepnął nagle - jestem po waszej stronie, zawarłem układ z kapitanem Ayre'em, on miał mi pomóc...

Zielona Opaska wszedł do pokoju i powiedział coś w farsi do Wazariego. Wazari ze zdumieniem otworzył szerzej oczy.

- Co on powiedział? - zapytał NcIver.

- Esfandiari prosi pana na dół.

Wazari uśmiechnął się sardonicznie; wyszedł z powrotem na dach, przykucnął przy antenie i zaczął przy niej dłubać.

W BIURZE ESFANDIAREEGO, 17:40. Tom Lochart nie mógł opanować złości. NcIver też.

- Ale nasze wizy wyjazdowe są ważne i mamy zezwolenie na wysłanie personelu już dziś, od razu!

- Za zgodą premiera Kia zezwolenia są wstrzymane do chwili przybycia zmienników - uciął

krótce Esfandiari. Siedział za biurkiem, Kia obok niego. Lochart i NcIver stali. Na biurku piętrzył się stos zezwoleń i paszportów. Słońce chyliło się ku zachodowi. - Agha Sijamaki też wyraził zgodę.

- Słusznie. - Kia bawiło pokrzyżowanie cudzoziemcom planów. Cholerni cudzoziemcy. - Nie ma powodów do pośpiechu, kapitanie; lepiej załatwić wszystko po kolei, o wiele lepiej.

- Ten lot jest właśnie „po kolei”, panie premierze Kia - wycedził przez zęby NcIver. - Mamy zezwolenia. Nalegam, żeby samolot odleciał zgodnie z rozkładem!

178

- Jesteśmy w Iranie, a nie w Anglii - zadrwił Esfandiari. - A nawet tam, wątpię, czy mógłby się pan tego domagać. - Był z siebie bardzo zadowolony. Ministrowi Kia bardzo podobał się piskiesz - dochód z przyszłego

371

szybu naftowego; natychmiast oferował mu miejsce w zarządzie IHC. Potem, ku jego rozbawieniu, Kia powiedział, że za zezwolenia na wyjazd też trzeba będzie płacić. Niech się cudzoziemcy trochę pomęczą, dodał. Do soboty zmiękną i sami będą chcieli panu zapłacić, powiedzmy trzysta dolarów w gotówce za głowę. - Jak już powiedział pan premier -

wyrecytował z ważną miną

- powinniśmy zachować porządek. Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty...

Drzwi otworzyły się i do małego biura wszedł Starke; lewa ręka na temblaku, prawa groźnie zaciśnięta.

- Co się, do cholery, z tobą dzieje, Esfandiari? Nie możesz unieważnić zezwoleń!

- Na Boga, Duke, nie powinieneś tu przychodzić!

- krzyknął NcIver.

- Zezwolenia są zawieszane, a nie unieważnione. Zawieszane! - Esfandiari wykrzywił twarz.

- I ile razy mam wam powtarzać, że dobrze wychowani ludzie pukają? Pukają! To nie pańskie biuro, lecz moje, i to nie pan kieruje bazą, lecz ja! Mamy tu właśnie naradę z panem premierem Kia, a wy wszyscy przeszkadzacie! Teraz wynocha, wszyscy! - Zwrócił się do Kia, jakby byli sami, i powiedział w farsji: - Panie premierze, przepraszam za to wszystko.

Widzi pan, z kim muszę tu pracować. Usilnie radzę znacjonalizować wszystkie zagraniczne helikoptery i zatrudnić naszych pil...

Starke zacisnął mocniej pięść.

- Posłuchaj, ty skurwysynu...

- Wynocha!

Esfandiari sięgnął do szuflady, w której trzymał pistolet, ale go nie wyciągnął. Do pokoju wszedł mułła Hosejn ze swoimi Zielonymi Opaskami. Nagle zapadła cisza.

- W imię Boga, co tu się dzieje? - powiedział Hosejn po angielsku, patrząc chłodno na Esfandiariego i Kia. Esfandiari natychmiast wstał i zaczął coś wyjaśniać w farsji. Przerwał mu Starke. Już wkrótce obaj mężczyźni zaczęli się przekrzykiwać. Hosejn niecierpliwie uniósł

rękę. - Najpierw pan, agha Esfandiari. Proszę

372

mówić w farsji, żeby mój komitet mógł zrozumieć. - Słuchał spokojnie długiej przemowy.

Czterej ludzie z zielonymi opaskami tłoczyli się w drzwiach. Potem skinął na Starke'a. -

Kapitanie?

Starke mówił krótko i szorstko.

Hosejn zwrócił się do Kia:

- Teraz pan, ekscelencjo premierze. Czy mógłbym zobaczyć pańskie upoważnienie do uchylecia decyzji władz Kowissu i nieważnienia zezwoleń?

- Uchylecia, ekscelencjo mułło? To nie ja - rzucił lekko Kia. - Jestem tylko sługą imama, niech Bóg go strzeże, mianowanego przez niego osobiście premiera i rządu.

- Ekscelencja Esfandiari powiedział, że zatwierdził pan zawieszenie wiz?

- Zgodziłem się z nim tylko, że wymiana zagranicznego personelu powinna przebiegać w sposób uporządkowany.

Hosejn spojrział na biurko.

- To są zezwolenia i paszporty? Esfandiariemu zaschło w ustach.

- Tak, ekscelencjo.

Hosejn zgarnął dokumenty i podał je Starke'owi.

- Samolot wystartuje od razu.

- Dziękuję, ekscelencjo - powiedział Starke, który już ledwie trzymał się na nogach.

179

- Pomogę ci. - NcIver wziął od niego paszporty. - Dziękuję, agha - powiedział do Hosejna, radując się zwycięstwem.

Oczy Hosejna pozostały tak zimne i Jwarde, jak zawsze.

- Imam powiedział: „Jeśli cudzoziemcy chcą wyjechać, niech wyjeżdżają, nie potrzebujemy ich”.

- No... tak, dziękuję - odparł NcIver, który nie czuł się dobrze w towarzystwie tego człowieka. Wyszedł, a Lochart za nim.

- Obawiam się, że ja też muszę pójść do samolotu, ekscelencjo. - Powtórzył słowa doktora Nutta i dodał po angielsku: - Nie chcę wyjeżdżać, ale cóż, In sza'a Allah.

373

Hosejn obojętnie skinął głową.

- Nie potrzebujesz wizy wyjazdowej. Idź na pokład. Wyjaśnię to komitetowi. Pójdę obejrzeć start samolotu.

Wyszedł i ruszył w kierunku wieży, żeby poinformować pułkownika Czangiza o swojej decyzji.

Wszyscy weszli błyskawicznie do samolotu. Starke dowlókl się ostatni na dygoczących nogach. Doktor Nutt dał mu tyle środków znieczulających, że mimo wszystko zdołał wejść.

- Dziękuję, ekscelencjo - stojąc przy schodkach, przekrzykiwał ryk silników. Nie wiedział dlaczego, ale lubił tego człowieka. - Niech towarzyszy panu boży spokój.

Nad Hosejnym zawisł dziwny całun.

- Korupcja, kłamstwa i oszukiwanie są sprzeczne z prawami Boga, prawda?

- Tak, tak.

Starke dostrzegł wahanie mułty. Potem chwila przeminęła.

- Niech towarzyszy panu boży spokój, kapitanie. Hosejn odwrócił się i odszedł. Wiatr nieco się wzmógł.

Starke ruszył po schodach, pomagając sobie zdrową ręką. Chciał być wysoki, wyprostowany.

U szczytu schodów chwycił poręcz i odwrócił się, czując łomot w skroniach i ból w piersi.

Tak dużo tu zostaje, tak dużo. Nie tylko helikoptery i inne przedmioty. Coś znacznie ważniejszego. Cholera, powinienem zostać, a nie wyjeżdżać. Niemrawo pomachał na pożegnanie tym, którzy zostawali, boleśnie świadom tego, że czuje ulgę, iż nie jest jednym z nich.

W biurze Esfandiari i Kia patrzyli na kołujący 125. Niech Bóg ich przeklnie za to wtrącanie się, myślał Esfandiari. Potem opanował gniew i zaczął myśleć o uczcie organizowanej przez wybranych przyjaciół, którzy pragnęli poznać Kia, jego przyjaciela i kolegę z zarządu. Po uczcie występy tancerek, potem tymczasowe małżeństwa...

Otworzyły się drzwi. Ze zdumieniem spojrzął pa kipiącego wściekłością Hosejna, za którym weszli ludzie z Zielonych Opasek. Esfandiari wstał.

- Tak, ekscelencjo? Co mogę...

Urwał, gdyż jeden z mężczyzn odepchnął go brutalnie, żeby zrobić za biurkiem miejsce dla Hosejna. Kia zamarł w miejscu, w którym siedział.

- Imam, niech towarzyszy mu boski spokój, nakazał komitetom wymieść korupcję, gdzie tylko się ona pojawia. To jest komitet bazy lotniczej Kowissu. Jesteście obaj oskarżeni o korupcję - powiedział Hosejn.

Kia i Esfandiari zbledli i jednocześnie zaczęli mówić. Zapewniali, że to śmieszne i że zostali fałszywie pomówieni. Hosejn wskazał złoty zegarek na nadgarstku Esfandiariego.

- Kiedy to kupiłeś i czym zapłaciłeś?

- Z... z moich oszczędności i...

180

- Kłamstwo. To piszkesz. Komitet wie. A co z twoim planem okradzenia państwa poprzez zaoferowanie wysokiemu urzędnikowi dochodów z szybu naftowego w zamian za przychyłość?

- To śmieszne, ekscelencjo, to oszczerstwo! - krzyknął przerażony Esfandiari.

Hosejn spojrział na Kia, którego twarz przybrała barwę popiołu.

- Jakiemu urzędnikowi, ekscelencjo? - zapytał Kia, starając się zachować spokój. Był pewien, że to jego wrogowie zastawili pułapkę, korzystając z tego, że tu nie sięgały jego wpływy.

Sijamaki! To na pewno Sijamaki!

Hosejn skinął na jednego z mężczyzn, a ten wyszedł i przyprowadził operatora radiowego Wazariego.

- Powtórz im, w obliczu Boga, to, co powiedziałeś mnie - polecił.

- Jak już mówiłem, byłem na dachu, ekscelencjo - wyjaśnił nerwowo Wazari. - Sprawdziłem antenę i usłyszałem przez świetlik, co mówią. Słyszałem, jak on składał ofertę. - Wskazał

palcem Esfandiariego, ciesząc się zemstą. Gdyby nie Esfandiari, nigdy nie wpadłbym w oko temu wariatowi Zatakemu, nie zostałbym pobi-374

i.

375

ty, prawie zabity. - Rozmawiali po angielsku, a on powiedział, że może załatwić dochód z nowych wierceń, że może ich nie rejestrować i przekazywać dochód jemu...

Esfandiari był przerażony. Starannie wysłał na wszelki wypadek cały personel irański z biura i do tego zachował ostrożność mówiąc po angielsku. To już koniec. Słyszał, jak Wazari skończył mówić, a zaczął Kia: cicho, spokojnie i rzeczowo. Powiedział, że chciał po prostu złapać tego człowieka na haczyk.

- Właśnie po to mnie tu przysłano, ekscelencjo. Rząd imama, niech Bóg go strzeże, wysłał

mnie tu w tym celu: wykorzenić korupcję wszędzie, gdzie istnieje. Gratuluję panu operatywności. Za pańskim pozwoleniem, gdy tylko dotrę do Teheranu, osobiście zarekomenduję pana Komitetowi Rewolucyjnemu i oczywiście premierowi.

Hosejn spojrział na Zielone Opaski.

- Czy Esfandiari jest winny, czy niewinny?

- Winny, ekscelencjo.

- A czy ten człowiek, Kia, jest winny, czy niewinny?

- Winny! - wrzasnął Esfandiari, zanim zdążyli odpowiedzieć.

Jeden z mężczyzn wzruszył ramionami.

- Wszyscy teherańczycy to kłamcy. Winny. Skinęli głowami i zawtórowali mu.

- Mułłowie i ajatollahowie z Teheranu nie są kłamcami, ekscelencje - powiedział grzecznie Kia. - Komitet Rewolucyjny też nie jest ani imam, niech Bóg go strzeże, a jego również można nazwać teherańczykiem, gdyż teraz tam mieszka. Ja też po prostu tam mieszkam, choć urodziłem się w świętym Komie, ekscelencje - dodał, błogosławiąc ten fakt po raz pierwszy w życiu.

Ciszę przerwał jeden z mężczyzn.

- To, co powiedział, jest prawdą, tak, ekscelencjo?

- Podrapał się w głowę. - To o wszystkich teherańczykach?

- To, że nie wszyscy teherańczycy są kłamcami?

- Tak, to prawda. - Hosejn spojrział na Kia. On także

376

stracił pewność siebie. - W imieniu Boga, jesteś winny czy nie?

- Oczywiście, że nie, ekscelencjo. W imieniu Boga!

181

- Oczy Kia spoglądały niewinnie. Głupcze, wydaje ci się, że mnie na to złapiesz? Taghija daje mi prawo obrony, skoro uważam, że mojemu życiu grozi niebezpieczeństwo ze strony fałszywego mułły!

- Jak możesz wyjaśnić to, że jesteś ministrem, a jednocześnie członkiem zarządu spółki helikopterowej?

- Minister... - Kia urwał, gdyż Esfandiari zaczął łkać i wykrzykiwać dalsze oskarżenia. -

Przepraszam, ekscelencje, wedle woli Boga, ale ten hałas... Trudno jest mówić, trzeba krzyć.

- Wyprowadzić go! - Mężczyźni wywlekli Esfan-diariego na zewnątrz. - No i?

- Minister lotnictwa cywilnego poprosił mnie, żebym wstąpił do zarządu IHC jako przedstawiciel rządu

- powiedział Kia, naginając prawdę do własnych celów, zachowywał się tak, jakby niechętnie zdradzał tajemnicę państwową. Pewnym siebie głosem dodawał inne przekręcone fakty. - Nie jesteśmy pewni lojalności członków zarządu. Mogę też powiedzieć prywatnie, ekscelencjo, że za kilka dni wszystkie zagraniczne spółki lotnicze zostaną znacjonalizowane... - Mówił

poufnym tonem, modulując głos tak, aby uzyskać jak najlepszy efekt. Gdy uznał, że nadszedł

właściwy moment, urwał i westchnął. - W obliczu Boga, jestem tak nie skorumpowany, jak pan, ekscelencjo, a choć nie mam pańskiego wielkiego powołania, ja także poświęciłem życie służbie ludowi.

- Niech Bóg pana strzeże, ekscelencjo - krzyknął jeden z mężczyzn, a inni mu zawtórowali.

Nawet Hosejn pozbył się wielu wątpliwości. Chciał zadać jeszcze kilka pytań, ale w tym momencie usłyszał z oddali głos muezzina, wzywającego do wieczornej modlitwy. Złazał się za to, że oderwał na chwilę myśli od Boga.

- Idź z Bogiem, ekscelencjo - powiedział, zamykając rozprawę trybunału. Wstał.

377

- Dziękuję, ekscelencjo, niech Bóg zachowa ciebie i wszystkich mułłów, aby uratowali nas i nasz wielki naród islamski od zakusów szatana!

Hosejn prowadził, gdy wychodzili na zewnątrz. Idąc jego śladem, dokonali rytualnych ablucji, zwrócili się do Mekki i modlili - Kia, Zielone Opaski, personel biura, robotnicy, pracownicy kuchni - wszyscy zadowoleni, gdyż mogli jeszcze raz okazać publicznie swą wierność Bogu i Jego prorokowi. Tylko Esfandiari gorzko łkał, wypowiadając zdawkowo słowa modlitwy.

Potem Kia wrócił do biura. W ciszy i spokoju usiadł za biurkiem i pozwolił sobie na westchnienie i ciche gratulacje pod własnym adresem. Jak ten psi syn Esfandiari śmiał mnie oskarżyć? Mnie, wicepremiera Kia! Niech Bóg obróci w popiół jego i wszystkich wrogów państwa. Usłyszał salwę. Spokojnie wyjął papierosa i zapalił. Im prędzej wyjadę z tej kupy gnoju, tym lepiej, pomyślał. W budynek uderzył szkwał. Szyby pokryły się kroplami deszczu.

LENGEH, 18:50. Zachód słońca nie wróżył pogody. Ciężkie, czarne chmury przesłaniały niemal całe niebo.

- Jutro pokryją do końca, Scrag - powiedział amerykański pilot, Ed Vossi. Jego czarne kręcone włosy szarpał wiatr wiejący znad cieśniny Ormuz i dalej, znad zatoki, w kierunku Abadanu. - Cholerny wiatr!

- Damy sobie radę, chłopie. Ale Rudi, Duke i inni? Jeśli wiatr się utrzyma albo co gorsza, będzie jeszcze silniejszy, popłyną jak gówno strumieniem bez wiosła.

- Cholerny wiatr! Dlaczego postanowił właśnie dziś zmienić kierunek? To prawie tak, jakby bogowie z nas zadrwili. - Mężczyźni stali na małym przylądku, z którego rozpościerał się widok na zatokę. Woda była szara, a poza cieśniną pojawiały się białe grzywy. Stali tyłem do bazy i lotniska, nadal mokrego po porannym deszczu. Poniżej, z prawej strony, widniała plaża i tratwa

379

182

kąpielowa. Od dnia spotkania z rekinem nikt nie odważył się tam pływać; wszyscy trzymali się blisko brzegu, na płyciznach, obawiając się tego, co mogło się kryć pod powierzchnią wody. Vossi mruknął: - Będę cholernie zadowolony, kiedy to wszystko już się skończy.

Scragger skinął obojętnie głową; jego myśli zaprzętała pogoda. Próbował przewidzieć, jaka będzie za dwanaście godzin. Nie było to łatwe o tej porze roku, gdyż łagodna zazwyczaj zatoka mogła się nagle rozszaleć. Przez 363 albo 364 dni przeważały wiatry z północnego zachodu. Dziś nie.

W bazie panowała cisza. Zostali już tylko Vossi, Neuchtreiter i dwaj mechanicy. Wszyscy inni piloci, mechanicy i brytyjski kierownik biura wyjechali dwa dni wcześniej, we wtorek, gdy Scragger wracał z Kasigim z Bandar Dejlamu.

Willi przerzucił ich do Asz Szargaz drogą morską.

- Nie mieliśmy kłopotów, Scrag - powiedział z zadowoleniem Willi, gdy Scragger wylądował. - Twój plan zadziałał. Wysłanie ich łodzią było sprytne, lepsze niż helikopterem.

I tańsze. Faceci z komitetu tylko wzruszyli ramionami i zajęli jeden z kontenerów.

- Teraz śpią w bazie?

- Niektórzy, Scrag. Trzech czy czterech. Załatwiłem, żeby dostawali całe masy ryżu i choresztu. Nie są złą grupą. Mas'ud też próbuje zachowywać się sensownie. - Mas'ud był

irańskim kierownikiem z ramienia IranOil.

- Dlaczego zostałeś, Willi? Wiem, co myślisz o tym skoku. Powiedziałem, że możesz popłynąć łodzią, że nie jesteś potrzebny.

- Jasne, Scrag, ale potrzebujesz odpowiedniego pilota, żeby z tobą poleciał. Sam mógłbyś się zgubić.

Pocziwy stary Willi, pomyślał Scragger. Cieszę się, że został. I jest mi przykro.

Od wtorkowego powrotu z Bandar Dejlamu Scragger był bardzo niespokojny. Nie wiedział

dokładnie dlaczego; czuł tylko, że elementy, nad którymi nie panował, mogą popsuć cały plan. Ból w dole brzucha

380

zelał, ale od czasu do czasu w moczu pojawiała się krew. To, że nie uprzedził Kasigiego o Operacji, jeszcze bardziej pogarszało jego samopoczucie. Cholera, myślał, nie mogłem przecież tak ryzykować powodzenia całej akcji. Zrobiłem, co mogłem, mówiąc Kasigiemu, żeby zwrócił się do Gavallana.

Poprzedniego dnia, w środę, Vossi przerzucił Kasigiego przez zatokę. Scragger dał Vossiemu prywatny list do Gavallana, w którym wyjaśnił, co się wydarzyło w Bandar Dejlami, i przedstawił swój dylemat w sprawie Kasigiego. Decyzję pozostawił Gavallanowi. Opisał też szczegółowo spotkanie z de Plesseyem, który przewidywał ponuro kolejną falę kłopotów w kompleksie Siri. Uszkodzenia na Siri są poważniejsze, niż wydawało się na początku; nie sądzę, żeby urządzenia mogły przepompowywać ropę już w tym miesiącu. Może się zdarzyć, iż Kasigi nie dostanie jej na czas; zamówił trzy tankowce, które mają przyplłynąć do Siri w ciągu najbliższych trzech tygodni, zgodnie z transakcją, jaką urobił z Plesseyem. Oczywiście, nie powiedziałem Georges'owi o niczym. Zrób dla Kasigiego, co możesz. Do zobaczenia wkrótce. Scrag.

Rano, podczas rutynowej rozmowy radiowej z Asz Szargaz, Gavallan powiedział tylko, że otrzymał sprawozdanie i że jest z niego zadowolony. Na temat innych spraw nie wypowiadał

się jasno.

Scragger nie wspomniał o NcIverze, Gavallan też. Rozpromienił się. Stawiam w zakład swoje życie, że „Bрудny” Dunc poleci 206! A kto by pomyślał, że robi to stary NcIver

„Przestrzegacz Regulaminów”! Na pewno cieszy się z tej okazji jak świnia z żarcia. Ja też bym tak zrobił...

- Scrag!

183

Rozejrzał się wokół. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Willego Neuchtreitera.

- Co jest?

- Właśnie odkryłem, że Mas'ud dał nasze paszporty żandarmom. Wszystkie, co do jednego!

Vossi i Scragger wlepili w niego wzrok.

- Po jaką cholere to zrobił? - zapytał Vossi. Scragger wyraził to samo mniej parlamentarnie.

- To było we wtorek, Scrag, gdy pozostali odpływali łodzią. Oczywiście żandarm tu był, żeby ich odprawić i policzyć. Potem, gdy poprosił o nasze paszporty, Mas'ud mu dał. Ja na jego miejscu zrobiłbym to samo.

- Po cholere były mu potrzebne?

- Żeby podpisać nasze zezwolenia na pobyt w imieniu Chomeiniego, Scrag - wyjaśnił

cierpliwie Willi. - Chciał w ten sposób zalegalizować nasz pobyt. Sam go o to prosiłeś, prawda?

Scragger przeklinał przez okrągłą minutę i ani razu się nie powtórzył.

- Na rany Chrystusa, Scrag, musimy je jakoś wydostać - powiedział roztrzęsionym głosem Vossi - albo z Operacji nici i Wicher nie powieje.

- Wiem, stary. - Scragger zaczął rozważać różne możliwości.

- Może moglibyśmy dostać nowe w Asz Szargaz albo Dubaju. Powiedzmy, że je zgubiliśmy -

odezwał się

Willi.

- Jezu, Willi - nie wytrzymał Vossi - wezmą nas w takie obroty, że nie będziemy pamiętać, jak się nazywamy! Pamiętasz Mastersona? - Jeden z ich mechaników, parę lat wcześniej, zapomniał przedłużyć swoją wizę w Asz Szargaz i próbował prześliznąć się przez kontrolę.

Choć wiza była nieważna dopiero od czterech dni, a paszport ważny, służba graniczna osadziła go natychmiast w areszcie, gdzie gnił przez sześć tygodni. Potem wyjechał, ale utracił prawo wjazdu na zawsze. „Cholera jasna”, powiedział miejscowy urzędnik brytyjski,

„Masz szczęście, że tak łatwo się wywinąłeś. Znasz prawo, sto razy o tym mówiliśmy...” -

Niech mnie szlag trafi, jeśli wyjadę bez paszportu - dodał Vossi. - Nie mogę. Mam tam te cholerne wize do wszystkich państw zatoki, Nigerii, Brytanii i czort wie gdzie jeszcze. Nowe dostałbym po całych miesiącach, jeśli w ogóle... A co z Asz Szargaz, co? To fajne miejsce, ale bez paszportu i ważnej wizey ląduje się w pierdlu!

- Masz rację, aż za bardzo, Ed. Do tego jutro jest piątek i wszystko pozamykane ciaśniej niż dupa komara. Willi, pamiętasz, który to był żandarm? Zwykły czy z Zielonych Opasek?

- Nie z Opasek, Scrag, zwykły. Starszy, siwy - odparł Willi po krótkim zastanowieniu.

- Keszemi? Sierżant?

- Tak, Scrag, tak, to on. Scragger znów zaklął.

- Jeśli stary Keszemi powie, że mamy czekać do tej soboty albo do przyszłej, to tak będzie.

W tej dziedzinie żandarmi działają teraz tak samo jak kiedyś. Są częścią armii, Zielone Opaski ich nie nękają. Tyle tylko że pozdejmowali odznaki Szacha, a pozakładali opaski z napisem „Chomeini”.

- Nie czekajcie na mnie z kolacją - rzucił Scragger i odszedł w świetle zapadającego zmierzchu.

POSTERUNEK POLICJI W LENGEH, 19:32, Kapral żandarmerii ziewnął i grzecznie pokiwał głową, przemawiając do operatora radiowego bazy, Alego Paszy, którego Scragger zabrał jako tłumacza. Scragger czekał cierpliwie; zbyt dobrze znał Irańczyków, żeby przerywać. Rozmawiali już trzydzieści minut.

- Och, chciał pan zapytać o paszporty cudzoziemców? Paszporty są w sejfie, tam gdzie powinny być - powiedział żandarm. - Paszporty trzeba trzymać w zamknięciu.

184

- Oczywiście, ekscelencjo, ale kapitan cudzoziemców chciałby je dostać z powrotem. Mówi, że potrzebuje ich do zmiany załóg.

- Oczywiście, może je dostać. Czyż nie są ich własnością? Czyż on i jego ludzie nie służyli przez całe lata naszemu ludowi? Oczywiście, ekscelencjo, gdy tylko sejf zostanie otwarty.

- Czy nie może być otwarty teraz? Cudzoziemiec byłby bardzo wdzięczny za tę grzeczność. -

Ali Pasz był tak grzeczny jak powolny; czekał, aż żandarm sam poda mu informację, o którą chodziło. Ali był przystoj-383

nym teherańczykiem dobiegającym trzydziestki, wyszkolonym w Amerykańskiej Szkole Radiowej w Isfaha-nie. Od lat pracował w Lengeh w IHC. - To byłaby prawdziwa grzeczność.

- Na pewno, ale on nie może wydostać paszportów, skoro nie ma klucza.

- Ach, czy mogę ośmielić się zapytać, gdzie jest klucz, ekscelencjo?

Kapral wskazał ręką duży staroświecki sejf, który dominował nad całym pokojem.

- Proszę spojrzeć, ekscelencjo. Sam może się pan przekonać, że nie wisi na kołku. Jest bardziej niż prawdopodobne, że sierżant zabrał go na przechowanie.

- To mądre i prawidłowe stwierdzenie, ekscelencjo. Prawdopodobnie Jego Ekscelencja sierżant jest

teraz w domu?

- Jego Ekscelencja będzie tutaj rano.

- W piątek? Czy mogę sformułować opinię, że nasza żandarmeria ma tak wspaniałe poczucie obowiązku, że pracuje nawet w piątek? Wyobrażam sobie, że on nie przyjdzie wcześniej.

- Sierżant to sierżant, ale biuro rozpoczyna pracę o siódmej trzydzięci, choć oczywiście posterunek pełni służbę przez całą dobę. - Żandarm zgasił papierosa. - Przyjdźcie rano.

- Ach, dziękuję, ekscelencjo. Czy zapali pan następnego papierosa, gdy będę to wyjaśniał kapitanowi?

- Dziękuję, ekscelencjo, zagraniczne papierosy są teraz rzadkością.

Papierosy były amerykańskie, ale żaden z nich tego nie skomentował.

- Czy mogę podać panu ogień, -ekscelencjo?

Ali Pasz sam też zapalił i powtórzył Scraggerowi słowa sierżanta.

- Zapytaj go, czy sierżant jest teraz w domu, Ali.

- Już pytałem, kapitanie. Odpowiedział, że Jego Ekscelencja będzie tu rano. - Ali Pasz starał

się nie okazać zmęczenia; był też zbyt grzeczny, żeby powiedzieć Scraggerowi, to, co wiedział już po kilku sekun-384

dach rozmowy, a wiedział, że ten człowiek niczego nie wie i niczego nie robi, a cała ta rozmowa jest tylko marnowaniem czasu. Poza tym żandarmi nie lubią, gdy w nocy zawraca im się głowę takimi nieistotnymi sprawami. Co za różnica? Czy oni zgubią paszport?

Oczywiście, że nie! Co za zmiana załóg? - Jeśli mogę coś doradzić, agha, przyjdźmy rano.

Scragger westchnął. „Rano” mogło oznaczać jutro albo pojutrze. Lecz dalsze próby nie mają sensu, pomyślał ze złością.

- Podziękuj mu w moim imieniu i powiedz, że będę jutro z samego rana.

Ali Pasz to zrobił. Wedle woli Boga, pomyślał ze znużeniem żandarm. Był głodny i zmartwiony, gdyż minął kolejny tydzień, a nadal nie było wypłaty, już od miesiący.

Jednocześnie lichwiarze z bazaru domagali się zwrotu pożyczek, a rodzina niemal głodowała.

- Szab be chejr, Agha - powiedział do Scraggera. - Dobranoc.

- Szab be chejr, Agha - odparł Scragger.

Czekał. Wiedział, że pożegnanie będzie tak kwieciste jak rozmowa.

Na dworze, na małej, choć głównej drodze portowego miasteczka, poczuł się lepiej.

Ciekawscy, sami mężczyźni, otaczali jego poobijaną furgonetkę z emblematem S-G na drzwiach,

185

- Salom - rzucił lekko, a niektórzy odpowiedzieli na pozdrowienie. Piloci byli lubiani. Bazą i platformy naftowe stanowiły źródło bardzo popłatnej pracy, dobrze wiedzano o lotach ratowniczych przy każdej pogodzie, no i znano Scraggera.

- To jest szef pilotów - szepnął jakiś staruszek do swego sąsiada. - To on pomógł młodemu Abdollahowi Turikowi dostać się do szpitala w Bandar Dejlami, gdzie zwykle leczą się tylko wysoko urodzeni. Odwiedził nawet jego wioskę za Lengeh, pojechał na pogrzeb.

- Turik?

- Abdollah Turik, syn syna mojej siostry! Spadł z platformy i zjadły go rekiny.

385

- Ach, tak pamiętam. Niektórzy mówili, że zamordowali go lewacy.

- Nie tak głośno, nigdy nie wiadomo, kto słucha. Pokój z tobą, pilocie, pozdrowienia, pilocie!

Scragger pomachał im ręką i odjechał.

- Ale baza jest w przeciwnym kierunku, kapitanie. Dokąd jedziemy? - zapytał Ali Pasz.

- Rzecz jasna, do sierżanta.

Scragger gwizdał przez zęby, nie zwracając uwagi na oczywistą dezaprobatę Alego Paszy.

Sierżant mieszkał w ciemnej, brudnej uliczce, pełnej kałuż po porannym deszczu; jedne z drzwi w ścianie ciągnęcej się wzdłuż niej. Było już ciemno, toteż Scragger zostawił włączone światła i wysiadł. Żadnego śladu życia na całej ulicy; tylko słabe światła w niektórych oknach.

- Zostań w samochodzie - powiedział, wyczuwając zdenerwowanie Alego Paszy. - Nie ma problemu, już tu byłem.

Zastukał energicznie żelazną kołatką, czując na sobie rzucane z mroku spojrzenia mieszkańców.

Po raz pierwszy był tu jakiś rok temu. Przyniósł wtedy ogromny kosz z żywnością; dwie oprawione owce, kilka woreczków ryżu i pudła owoców. Był to podarunek od bazy, która czczyła fakt, iż „jej” sierżant otrzymał Brązowy Medal Szacha za odwagę okazaną w akcji przeciwko piratom i przemytnikom, od których roiło się na tych wodach. Ostatnio, kilka tygodni temu, towarzyszył

zmarłemu żandarmowi, który chciał, żeby natychmiast zgłosił

tragiczny wypadek na Siri Jeden - wydobyć Abdollaha Turika z pełnej rekinów wody. Ani razu nie został zaproszony do domu; gospodarz przyjmował go na małym podwórku za wysokimi drewnianymi drzwiami. Odwiedziny te odbywały się w świetle dziennym.

Szczęknięty zamek. Scraggera oślepiło na moment mocne światło latarki. Światło drgnęło, powędrowało

386

do samochodu i znieruchomiało na Alim Paszy, który wychylając się, spróbował się uklonić i zawołał do sierżanta:

- Pozdrowienia, ekscelencjo główny oficerze, pokój z panem. Przepraszam, że cudzoziemiec zakłóca pańską prywatność i ośmiela się...

- Pozdrowienia - uciął krótko Keszemi. Zgasił latarkę i spojrzał na Scraggera.

- Salam, Agha Keszemi - powiedział Scragger, którego oczy przystosowały się już do mroku.

Zobaczył silnie zbudowanego mężczyznę w rozpiętej na piersiach bluzie mundurowej, z rewolwerem włożonym luźno do kabury.

- Salam, kapitan.

- Przepraszam, że przychodzę tu w nocy, agha.

- Scragger mówił powoli i wyraźnie, wiedząc, że angielski Keszemiego jest prawie równie słaby, jak jego farsi.

- Lotfan, gozar nameh. Lotfan. Proszę, potrzebuję paszporty. Proszę.

Sierżant żandarmerii mruknął ze zdziwienia i wskazał muskularną ręką miasteczko.

- Paszporty na posterunek, kapitan.

186

- Tak, ale, przepraszam, nie ma klucza. - Scragger pokazał na migi przekręcanie klucza w zamku. - Nie ma klucza - powtórzył.

- Ach, tak, rozumiem. - Tak, nie ma klucza. Jutro dostać.

- Czy możliwe dzisiaj? Proszę. Teraz? - Scragger czuł się jak na egzaminie.

- Dlaczego teraz?

- Do... do zmiany załóg. Ludzie do Szirazu, zmiana załogi.

- Kiedy?

Scragger wiedział, że ogromnie ryzykuje.

- Sobota. Gdybym miał klucz, idę na posterunek i zwracam zaraz.

Keszemi pokręcił głową.

- Jutro. Klucz dostać jutro. Przyjść rano.

387

Potem rzucił coś ostro do Alego Paszy, który natychmiast się uklonił i zaczął wylewnie dziękować, przepraszając jeszcze raz za sprawienie kłopotu.

- Jego Ekscelencja mówi, że może je pan dostać jutro. My... lepiej już jedźmy, kapitanie.

Scragger zmusił się do uśmiechu.

- Mamnunam, Agha. Dziękuję, ekscelencjo. Mam-nunam, Agha Keszemi. - Chciał poprosić Alego Pasza o zapytanie sierżanta, czy mógłby dostać paszporty od razu, gdy posterunek zostanie otwarty, ale wolał niepotrzebnie nie budzić podejrzeń sierżanta. - Przyjdę po pierwszej modlitwie.
Mamnunam, Agha.

Scragger wyciągnął rękę, a Keszemi ją uściśnął. Obaj poczuli wzajemnie swoją siłę. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Keszemi z namysłem zamknął drzwi.

W lecie małe patio z wysokimi murami, winoroślą i małą fontanną było chłodne i przyjemne.

Teraz było szare i nieprzytulne. Przeciął je, otworzył przeciwległe drzwi, prowadzące do saloniku, i zamknął je za sobą. Z góry dochodził kaszel dziecka. Płonące polana trochę grzały, lecz po domu hulał przeciąg, gdyż żadne drzwi ani okna nie były prawidłowo umocowane.

- Kto to był? - zawołała z góry jego żona.

- Nic, nic ważnego. Cudzoziemiec z bazy lotniczej, ten stary. Chciał odebrać paszporty.

- O tej porze? Niech Bóg nas strzeże! Zawsze gdy słyszę pukanie, spodziewam się nowych kłopotów: tych piekielników z zielonymi opaskami albo lewaków! - Keszemi skinął obojętnie głową i nie odpowiedział, ogrzewając ręce nad ogniem. Nie zwracał uwagi na jej traj-kotanie.

- Dlaczego on tu przyszedł? Cudzoziemcy są tak źle wychowani. Po co mu paszporty o tej porze?

Dałeś mu je?

- Są zamknięte w naszym sejfie. Zwykle zabieram ze sobą klucz, ale teraz zginął. - Dziecko znów kaszlnęło. - Jak się czuje mała Susan?

388

- Nadal ma gorączkę. Przynieś mi gorącej wody, to pomaga. Dołóż trochę miodu. - Postawił czajnik na ogniu i westchnął, słysząc jej utyskiwanie. - Paszporty o tej porze! Dlaczego nie mogą poczekać do soboty? Tacy źle wychowani i bezmyślni. Powiedziałaś, że klucz zginął?

- Tak. To chyba nie jest wyjaśnienie godne policjanta, ale ma go Lafti i zapomniał oddać.

Wedle woli Boga.

- Mohammad, dlaczego cudzoziemiec chciał odebrać paszporty o tej porze?

- Nie wiem. To rzeczywiście bardzo dziwne.

NA LOTNISKU W BANDAR DEJLAMIE, 19:49.

Rudi Lutz stał pod daszkiem na werandzie i patrzył, jak leje.

- Scheiss - mruknął. Drzwi za nim były otwarte; smuga światła wydobywała z mroku grube krople. Muzyka Mozarta sączyła się z głośników magnetofonu. Otworzyły się drzwi sąsiedniego kontenera biurowego. Ujrzał, jak Pop Kelly wychodzi pod parasolem i 187

przeskakując kałuże, zbliża się do niego. Żaden z nich nie zauważył ukrytego w cieniu Irańczyka. Gdzieś w bazie wydzierał się jakiś kocur.

- Cześć, Pop, wejdz. Masz to?

- Tak, bez kłopotu.

Kelly otrząsnął się z wilgoci. W pomieszczeniu było ciepło, wygodnie i schludnie, panował

porządek. Pokrywa wmontowanej na stałe radiostacji była otwarta, 390

dobiegała stamtąd muzyka przerywana trzaskami. Na piecyku parzyła się kawa.

- Kawy?

- Dzięki. Sam sobie naleję. - Kelly wręczył mu papier i podszedł do kącika kuchennego. Na kartce widniały kolumny cyfr oznaczających temperaturę, kierunek wiatru i jego prędkość mierzoną co kilkaset metrów, ciśnienie atmosferyczne i prognozę na jutro.

- Wieża Abadan mówi, że to jest aktualne; podobno uwzględnią wszystkie dzisiejsze dane British

Airways. Nie wygląda tak źle, co?

- Jeśli jest dokładne. - Prognoza mówiła o zmniejszeniu się opadów koło północy i o słabnącej sile wiatru. Nastawił głośniej muzykę, a Kelly usiadł obok niego. Rudi zniżył głos: -

Nam mogłoby to pasować, ale jest paskudne dla Kowissu. Żeby dolecieć do Bahrajnu, musimy uzupełnić paliwo w powietrzu.

Kelly z przyjemnością pociągnął łyk kawy; była gorąca, mocna, z łyżeczką skondensowanego mleka.

- Co byś zrobił na miejscu Andy'ego?

- Gdybym musiał się martwić o trzy bazy...

- Z zewnątrz dobiegł jakiś dźwięk. Rudi wstał i wyrztał przez okno. Nic. Potem znów miauczenie kota, tym razem bliżej. - Cholerne koty, aż ciarki mnie przechodzą.

- A ja lubię koty. - Kelly uśmiechnął się. - W domu mamy trzy: Matthew, Mark i Lukę. Dwa syjamskie i kotka. Betty mówi, że chłopcy doprowadzają ją do szału.

- Co u niej słyhać?

Dzisiejszym rejssem British Airways do Abadanu przyleciała poczta przesłana przez Gavallana, pierwsza od wielu tygodni, a razem z nią ostateczne wskazówki co do Operacji.

Przyleciał też Sandor Petrofi do czwartego 212.

- Świetnie, a nawet doskonale, jeszcze tylko trzy tygodnie; starsze dziewczyny są zwykle punktualne. Cieszę się, że będę wtedy w domu. Lekarz mówi, że to chyba będzie wreszcie dziewczynka.

391

- Gratulacje! Wspaniale! - Wszyscy wiedzieli, że Kelly zachowuje nadzieję w beznadziejnej sytuacji. - Siedmiu chłopaków i dziewczynka to sporo gęb do wyżywienia. - Rudi pomyślał, jak trudno jest poradzić sobie z rachunkami i chesnym, a przecież miał tylko trójkę i do tego dom nie obciążony hipoteką. Dom zostawił żonie jej ojciec, niech Bóg błogosławi starego sukinsyna. - Nie wiem, jak ty sobie z tym poradzisz?

- Och, damy sobie radę. - Kelly spojrział na prognozę i zmarszczył brwi. - Wiesz, gdybym był na miejscu Andy'ego, szedłbym do przodu i niczego nie odkładał na później.

- A gdyby to zależało ode mnie, zapomniałbym po prostu o tym zwariowanym pomysle. -

Rudi zniżył głos i przybliżył twarz do rozmówcy. - Wiem, że Andy'emu byłoby przykro, może firma by splajtowała, może. Ale my wszyscy dostalibyśmy pracę, może nawet lepiej płatną. Musimy myśleć o naszych rodzinach i nie znoszę takiego łamania przepisów. Jak, do cholery, mamy się stąd

wydostać? To niemożliwe. Jeśli...

Reflektory samochodu oświetliły okna; silnik wył na najwyższych obrotach, a potem ucichł.

Pierwszy dopadł do okna Rudi. Zobaczył Zatakiego, który wysiadał z samochodu z kilkoma mężczyznami z Zielonych Opasek. Numir, kierownik bazy, wyszedł z parasolem z biura i dołączył do nich.

188

- Scheiss - mruknął Rudi, ściszył muzykę, sprawdził, czy na wierzchu nie leży coś, co by ich zdradziło, i włożył kartkę z prognozą do kieszeni. - Salom, pułkowniku - powiedział, otwierając drzwi. - Szuka pan mnie?

- Salam, kapitanie. Tak, tak, szukałem pana. - Za-taki wszedł do pokoju z amerykańskim karabinkiem półautomatycznym na ramieniu. - Dobry wieczór - powiedział. - Ile helikopterów jest teraz tutaj, kapitanie?

- Cztery 212... - zaczął Numir.

- Pytałem kapitana - szczechnął Zataki - nie ciebie. Jeśli będę chciał, żebyś coś powiedział, to o to poproszę! Kapitanie?

392

- Cztery 212 i dwa 206, pułkowniku. Wysłuchali ze zdumieniem słów Zatakiego, który rzekł:

- Dobrze. Dwa 212 zgłoszą się jutro w Iran-Todzie' o ósmej rano do tamtejszego szefa, aghy Watanabe. Od jutra będzie się pan codziennie meldował. Zna go pan?

- Tak, ja... kiedyś miałem CASEVAC, pomogliśmy im. - Rudi próbował pozbierać się do kupy. - Czy... czy... czy maszyny będą pracować w piątek, pułkowniku?

- Tak i pan też.

- Ale Ajatollah powie... - odezwał się Numir.

- On nie jest prawem. Zamknij się. - Zataki spojrział na Rudiego. - Będzie pan tam jutro o ósmej.

Rudi skinął głową.

- Taaak. Czy napije się pan kawy, pułkowniku?

- Dziękuję. - Zataki oparł karabin o ścianę i usiadł przy przytwierdzonym do ściany stole.

Spojrział na Popa Kelly'ego. - Czy ja widziałem pana w Kowissie?

- Tak, widział pan - odparł wysoki mężczyzna. - To... moja zwykła baza. Ja, ja przyproważyłem 212. Nazywam się Ignatius Kelly. - Niepewnie opadł na swoje krzesło. Był

równie wstrząśnięty jak Rudi. Nie czuł się dobrze pod badawczym spojrzeniem pułkownika. -

Dobra noc na ryby, prawda?

- Co takiego?

- To... to znaczy deszcz.

- Ach, tak - odparł Zataki. Z chęcią mówił po angielsku, ćwicząc się w tym języku. Był

przekonany, że Irańczycy znający używane na świecie języki i wykształceni będą bardzo poszukiwani, mułowie czy nie muł-łowie. Od czasu, gdy doktor Nutt dał mu w Kowissie tabletki, czuł się znacznie lepiej; potworne uprzednio bóle głowy zelżały. - Czy deszcz przeszkodzi w jutrzejszych lotach?

- Nie, nie.

- To zależy - zawołał prędko Rudi z kuchni - od tego, czy przejście frontu pogorszy, czy poprawi pogodę.

393

- Wniósł tacę z dwiema filiżankami, zawierającymi cukier i mleko skondensowane. Nadal próbował zapobiec katastrofie. - Proszę sobie nalać, pułkowniku. A co do Iran-Tody -

powiedział ostrożnie - wszystkie nasze helikoptery są wynajęte, zakontraktowane przez IranOil, której przedstawicielem jest agha Numir. - Numir skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Mamy kontrakty z IranOil.

Cisza narastała. Wszyscy patrzyli na Zatakiego, który powoli wsypał do kawy trzy czubate łyżeczki cukru, zamieszał i pociągnął łyk.

- Bardzo dobra, kapitanie, bardzo dobra. Tak, wiem o IranOil, ale postanowiłem, że na razie Iran-Toda będzie mieć pierwszeństwo, a jutro dostarczy im pan dwa 212.

Rudi spojrział na kierownika bazy, który unikał jego spojrzenia.

189

- Ale... no cóż, zakładając, że z IranOil wszystko jest w porządku...

- Jest w porządku. - Zataki zwrócił się do Numira:

- Prawda, agha?

- Tak, tak, pułkowniku. - Numir potulnie skinął głową. - Oczywiście, poinformuję zarząd terenu o pańskiej... o pańskich istotnych poleceniach.

- Dobrze. Zatem wszystko załatwione. Dobrze. Wcale nie jest załatwione, chciał krzyknąć zrozpaczony Rudi.

- Czy mogę zapytać, jak... jak będzie się nam płacić za ten nowy kontrakt? - powiedział, czując się głupio.

Zataki zarzucił karabin na ramię i wstał.

- Załatwi to Iran-Toda. Dziękuję, kapitanie. Wrócę jutro po pierwszej modlitwie. Poleci pan helikopterem, a ja z panem.

- Świetna myśl, pułkowniku - krzyknął nagle rozpromieniony Pop Kelly, a Rudi miał ochotę go zabić.

- Nie ma potrzeby przychodzić przed wpół do ósmej, i tak będzie aż za wiele czasu, żeby dolecieć tam na ósmą. To świetny pomysł, ta praca dla Iran-Tody, 394

świetny. Zawsze chcieliśmy dostać ten kontrakt nie wiem, jak mamy panu dziękować, pułkowniku! Fantastyczne! Rudi, powinniśmy od razu zabrać' wszystkie nasze ptaszki i zainstalować chłopców jak najprędzej To oszczędzi czas, od razu, tak, zawiadomię ich' -

Pospiesznie wyszedł.

Rudi wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął kolega, niemal dygocząc z furii.

W POBLIŻU LOTNISKA W ASZ SZARGAZ, 20:01. Wieczór był piękny, powietrze balsamiczne, nasycone zapachem kwiatów. Gavallan i Pettikin siedzieli na tarasie Hotelu Oaza na skraju lotniska, niedaleko pustyni. Pili przed kolacją piwo. Gavallan palił cienkie cygaro, wpatrując się w horyzont, gdzie purpurowoczar-ne i usiane gwiazdami niebo stykało się z ciemną ziemią. Dym unosił się prosto do góry. Pettikin poruszył się w fotelu.

- Chciałbym móc zrobić coś więcej.

- A ja bym chciał, żeby stary Mac był tutaj; złamałbym mu ten cholerny kark - powiedział

Gavallan, a Pettikin się roześmiał. W sali jadalnej przebywało już kilkoro gości hotelowych.

Hotel Oaza był stary i zniszczony. Barokowa siedziba rezydenta brytyjskiego z czasów, gdy władza Brytyjczyków była jedyną władzą w za-396

toce i, do 1971 roku, zapewniała pokój. Muzyka tak stara, jak trzyosobowy zespół przy wysokich drzwiach

- fortepian, skrzypce i saksofon basowy, dwie starsze panie i siwowłosa dżentelmen przy fortepianie.

- Mój Boże, czy to nie Chu Chin Chow!

- Złapałeś mnie, Andy. - Pettikin obejrzał się. W sali jadalnej zobaczył Jean-Luca gawędzącego z Noggerem Lane'em, Rodriguesem i kilkoma innymi mechanikami. Pociągnął

łyk piwa. Zauważył, że szklanka Gavallana jest pusta. - Chcesz jeszcze jedno?

- Nie, dziękuję. - Gavallan obserwował dym.

- Chyba pójdę do meteorologów, a potem spojrzę na nasze dane.

- Pójdę z tobą.

- Dziękuję, Charlie, ale lepiej zostań na wypadek, gdyby zadzwonił telefon.

- Jasne. Jak chcesz.

- Nie czekajcie na mnie z kolacją, dołączę do was przy kawie. Wracając wpadnę do szpitala, odwiedzić Duke'a.

Gavallan wstał, przeszedł przez jadalnię, pozdrawiając znajomych, i wszedł do holu, który także pamiętał lepsze czasy.

190

- Panie Gavallan, przepraszam, efendi, ale jest do pana telefon.

Recepcjonista wskazał kabinę telefoniczną. Była wyłożona czerwonym pluszem, bez klimatyzacji i nie zapewniała prywatności.

- Halo? Tu Gavallan - powiedział.

- Witaj, szefie, Liz Chen. Chcę tylko zgłosić, że był telefon w sprawie dwóch przesyłek z Luksemburga. Dojdą później. - „Przesyłki z Luksemburga” oznaczały dwa frachtowce 747, które zaczarterował. - Nie mogą przybyć w piątek. Gwarantują tylko, że dotrą w sobotę o szesnastej.

Gavallan zatrwożył się. Ostrzegano go, że z powodu napiętego planu czarterów może nastąpić dwudziestoczworgodzinne opóźnienie. Miał ogromne trudności z załatwieniem samolotów; nie mógł, oczywiście, zwró-

397

cić się do żadnej z linii lotniczych, obsługujących zatokę czy Iran. Musiał też przedstawiać bardzo mgliście cel czarterów i ładunek.

- Zadzwoń do nich od razu i zmień datę na sobotnią. Tak będzie bezpieczniej, o wiele bezpieczniej.
Co

jeszcze?

- Imperial Air zaproponowała przejęcie naszych nowych X63.

- Powiedz im, żeby się powiesili. Co jeszcze?

- ExTex obniżył o dziesięć procent oferty nowych kontraktów w Arabii Saudyjskiej, Singapurze i Nigerii.

- Wyślij teleks i przyjmij ofertę. Umów mnie na obiad z ich szefami w Nowym Jorku we wtorek. Co jeszcze?

- Mam spis numerów części, których potrzebujesz.

- Dobrze. Poczekaj. - Gavallan wyjął notes, który zawsze nosił przy sobie, i otworzył go na odpowiedniej stronie. Strona zawierała listę obecnych rejestracji irańskich ich dwunastu 212.

Oznaczenia rozpoczynały się od EP, co oznaczało Iran, potem H, to znaczy helikopter, a potem dwie końcowe litery. - Dobrze, zaczynaj.

- AB, RV, KI...

Zapisywał litery w drugiej kolumnie. Na wszelki wypadek nie wpisywał pełnej nowej rejestracji, w której G oznaczało Wielką Brytanię, a H helikopter. Wpisywał tylko dwie nowe litery. Przeczytał listę; zgadzała się z rejestracjami wpisanymi już wcześniej.

- Dziękuję, mam je. Zatelefonuję jeszcze dzisiaj wieczorem, Liz. Zadzwoń do Maureen i powiedz jej, że wszystko w porządku.

- Dobrze, szefie. Sir Ian telefonował godzinę temu. Życzył panu powodzenia.

- Wspaniale! - Gavallanowi nie udało się złapać telefonicznie Iana podczas pobytu w Aberdeen i Londynie. - Gdzie on jest? Zostawił numer?

- Tak. Jest w Tokio. 73-73-84. Powiedział, że będzie tam przez jakiś czas, a jeśli go nie złapiesz, zatelefonuje jutro. Powiedział też, że wraca za parę tygodni i chciałby się z tobą spotkać.

398

- Jeszcze lepiej. Czy powiedział, o co mu chodzi?

- O oliwę do lampek chińskich - odpowiedziała tajemniczo sekretarka.

Zainteresowanie Gavallana sięgnęło zenitu.

- Wspaniale. Umów mnie z nim najwcześniej, jak będzie mógł. Zadzwoń później, Liz, teraz się spieszę.

- Dobrze. Przypominam tylko, że jutro są urodziny Scota.

- Boże święty, zapomniałem, dziękuję, Liz. Porozmawiamy później.

191

Odwiesił słuchawkę. Cieszył się bardzo z telefonu Iana Dunrossa, błogosławił sieć telefoniczną Asz Szar-gaz i połączenia międzynarodowe. Wykręcił numer. W Tokio było już po pierwszej w nocy.

- Hai? - rozległ się głos zaspanej Japonki.

- Dobry wieczór. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale mam wiadomość dla pana Iana Dunrossa. Andrew Gavallan.

- Ach, tak. Ian na razie nie ma, wróci rano, bardzo mi przykro. Być może o dziesiątej. Czy może pan podać swój numer, panie Gavallan?

Rozczarowany Gavallan podyktował numer.

- Czy wie pani, pod jakim numerem można go teraz zastać?

- Przykro mi, nie.

- Proszę mu przekazać, żeby do mnie zatelefonował, niezależnie od pory. -

Podziękował i z namysłem odwiesił, słuchawkę.

Na zewnątrz stał wynajęty samochód. Gavallan wsiadł i podjechał do głównego wejścia portu lotniczego. Jakiś 707 schodził właśnie do lądowania; włączone światła, migoczące lampki na ogonie.

- Dobry wieczór, panie Gavallan - powitał go Sib-bles, dyżurny meteorolog. Był

Brytyjczykiem. Niski, chudy, zasuszony człowiek, od dziesięciu lat nad zatoką. - Proszę. -

Wręczył Gavallanowi długą fotokopię prognozy meteorologicznej. - W najbliższych dniach pogoda będzie zmienna. - Wręczył mu pozostałe trzy strony. - Lengeh, Kowiss i Bandar Dejam.

399

- Bardzo się różni w tych wszystkich miejscach?

- Wszędzie mniej więcej to samo. Jakies dziesięć--piętnaście węzłów, pułap kilkaset stóp.

Przepraszam, nie mogę się przyzwyczaić do tych metrów. Jakieś sto metrów, pułap na stu metrach. Pogoda będzie się stopniowo poprawiać. W ciągu kilku dni wiatr powinien wrócić do normy, łagodny, z północnego zachodu. Przewidujemy od północy trochę deszczu, dużo niskich chmur i mgłę prawie nad całą zatoką. Wiatr południowo-wschodni, około dwudziestu węzłów podczas burz, trochę turbulencji. - Spojrzał w niebo i uśmiechnął się. - I wichrów.

Gavallan poczuł wiercenie w żołądku, choć słowo to zostało wypowiedziane rzeczowym tonem, a Sibbles nie był dopuszczony do tajemnicy. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem, pomyślał. To był już drugi tego dnia zbieg okoliczności. Amerykanin, jedzący obiad przy sąsiednim stole, rozmawiał z mieszkańcem Asz Szargaz, którego nazwiska nie dosłyszał. -

Powodzenia jutro - powiedział mężczyzna z miłym uśmiechem, gdy wstawał od stołu.

- Przepraszam?

- Glenn Wesson, Wesson Oil Marketing. Pan Andy Gavallan, prawda? Słyszeliśmy, że pan i pańscy chłopcy organizujecie jutro... wyścig wielbłądów przy oazie Ad-Dez prawda?

- To nie my, panie Wesson. Jakoś nie zajmujemy się wielbłądami.

- Tak? Powinien pan spróbować, tak, to świetna zabawa. Tak czy inaczej, powodzenia!

To mógł być zbieg okoliczności. Wyścigi wielbłądów stanowiły tu dla nudzących się cudzoziemców wesołą odmianę, a Ad-Dez było ulubionym miejscem spędzania weekendów.

- Dziękuję, panie Sibbles, do zobaczenia jutro.

Schował prognozy i zszedł po schodach do poczekalni dworca, kierując się do biura, do którego prowadziły boczne drzwi. Ani tak, ani nie, pomyślał. Sobota będzie bezpieczniejsza niż piątek. Wpłaca się pieniądze i ryzykuje. Nie mogę tego już dłużej odkładać.

400

- Jaką podejmiesz decyzję? - zapytała jego żona, Maureen, dwa dni wcześniej o świcie. W

Aberdeen padał deszcz.

- Nie wiem, dziewczyno. Mac ma dobrego nosa, on mi pomoże.

192

Ab teraz nie ma Maca! Mac zwariował i lata sobie bez badań lekarskich, został w Kowissie i teraz nie może już wydostać się inaczej, jak tylko z Whirlwindem. Erik-ki nadal Bóg wie gdzie, a biedny stary Duke wypadł z rozkładu jazdy. Dobrze, że już tu jest. Doktor Nutt miał

rację: prześwietlenie wykazało kilka odłamków kości, które przebiły lewe płuco, podczas gdy z pół tuzina innych zagrażało tętnicy. Spojrzał na zegar w holu: 20:27. Chyba nie jest już pod narkozą.

Trzeba niedługo podjąć decyzję. Muszę wkrótce ją podjąć, razem z Charliem Pettikinem.

Przeszedł przez drzwi z tabliczką: WEJŚCIE TYLKO DLA PRACOWNIKÓW I INTERESANTÓW, przemierzył oszklony po obu stronach korytarz. 707 posuwał się w kierunku rękawa za pilotującym go samochodem, oznaczonym napisami po angielsku i w sanskrycie. Obok stało w równym rzędzie kilka fokkerwolfów z miejscami dla czterdziestu pasażerów i jumbo PanAm, który ewakuował cudzoziemców z Teheranu. Poza tym pół tuzina prywatnych odrzutowców, w tym ich 125. Chciałbym, żeby już była sobota, pomyślał. Nie, chyba nie.

Na drzwiach ich pokoju biurowego widniał napis: S-G Helicopters, Sheik Aviation.

- Cześć, Scot.

- Cześć, tato. - Scot uśmiechnął się. Był sam. Dyżurował przy pozostającej na nasłuchu radiostacji. Miał na kolanach książkę, prawa ręka na temblaku. - Nic nowego poza prośbą, żeby zadzwonić do domu do Rogera Newbury'ego. Mam cię z nim połączyć?

- Za chwilę, dziękuję. - Gavallan wręczył synowi raporty meteorologiczne. Scot zaczął je czytać. Zadzwonił telefon; podniósł słuchawkę, nie przerywając czyta-

. nia. - S-G? - Przez chwilę słuchał. - Kto? Och tak. Nie, 401

niestety nie ma go tutaj. Tak, powtórzę. - Odłożył słuchawkę i westchnął. - Chodziło o nową zdobycz Johnny'ego Hogga, „Gorącą Tamiłkę”. Manuela chciała z nią rozmawiać, gdyż jest pewna, że on sobie sparzy kutasa. - Gavallan roześmiał się. Scot podniósł wzrok znad raportów. - Ani w tę, ani we w tę. Może być bardzo dobrze, pod osłoną z chmur. Ale jeśli wiatr się wzmoże, może być kiepsko. Lepiej w sobotę niż w piątek. - Patrzył na ojca, obserwującego przez okno pasażerów wysiadających z odrzutowca.

- Zgoda - powiedział ostrożnie Gavallan. - Jest coś... Urwał, gdyż radiostacja ożyła.

- Asz Szargaz, tu Teheran, słyszysz mnie?

- Tu Asz Szargaz, słyszę cztery na pięć, mów - odpowiedział Scot.

- Dyrektor Sijamaki chce natychmiast rozmawiać z panem Gavallanem.

Gavallan pokręcił głową.

- Nie ma mnie - szepnął.

- Czy mogę przekazać wiadomość? - zapytał Scot. - Jest trochę późno, ale przekażę jak najszybciej.

Cisza. Szumy. Potem arogancki głos, którego Gaval-lan nienawidził.

- Mówi dyrektor Sijamaki. Proszę powiedzieć Ga-vallanowi, żeby skontaktował się ze mną jeszcze dzisiaj. Będę tu do dziesiątej trzydzięci, a jutro od dziewiątej.

Zrozumiano?

- Pięć na pięć - odparł miłym głosem Scot. - Wyłączam się!

- Cholerny kretyn - mruknął Gavallan. Dodał ostrzej: - Co on, do cholery, robi o tej porze w biurze?

- Węszy. Poza tym chce „pracować” w piątek. To trochę podejrzane, prawda?

- Mac powiedział, że wyjmie z sejfu ważniejsze dokumenty i wyrzuci oba klucze do rowu, ale założy się, że te sukinsyny mają duplikaty - zauważył Gavallan. - Będę musiał poczekać do jutra na przyjemność odbycia z nim rozmowy. Scot, czy możemy jakoś mu przeszkodzić w podsłuchiowaniu naszych rozmów?

402

193

- Nie, nie, jeśli korzystamy z naszych częstotliwości. Jego ojciec skinął głową.

- Kiedy przyjdzie Johnny, przypomnij mu, że jutro mogą chcieć znaleźć się w powietrzu bez wcześniejszego uprzedzenia. - Należało to do Operacji Whirlwind. Silny aparat nadawczo-odbiorczy 125 miał zapewnić łączność pomiędzy helikopterami, wyposażonymi tylko w słabe krótkofalówki. - Począwszy od siódmej.

- Więc zaczynamy jutro?

- Jeszcze nie wiem.

Scot Gavallan podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Dobry wieczór, panie Newbury, oddaję słuchawkę panu Gavallanowi.

Roger Newbury był jednym z urzędników konsulatu brytyjskiego, który bardzo im ułatwił zdobycie zezwoleń.

- Cześć, Roger, chciałeś ze mną rozmawiać? Szkoda, że nie zobaczymy się na kolacji.

- Dobrze, że się odezwałeś. Jest kilka spraw, najpierw złe wiadomości: właśnie dowiedzieliśmy się, że George Talbot został zabity.

- Dobry Boże, co się stało?

- Niestety to wszystko jest dość parszywe. Był w restauracji, gdzie przebywało też kilku wysoko postawionych ajatollahów. Bomba umieszczona w samochodzie rozwaliła lokal na kawałki; jego też. To było wczoraj, w porze obiadu.

- Straszne!

- Tak. Był z nim kapitan Ross, on też ucierpiał. Ty go chyba znasz?

- Tak, tak, poznałem go. Pomógł żonie jednego z naszych pilotów wydostać się z Tebrizu.

Miły młody człowiek. Jest ciężko ranny?

- Nie wiemy zbyt wiele, ale nasza ambasada w Teheranie przewiozła go wczoraj do międzynarodowego szpitala w Kuwejcie. Jutro dostanę dokładne sprawozdanie i będę mógł powiedzieć coś więcej. Teraz posłuchaj: proszę, żebyśmy spróbowali się dowiedzieć

-czegoś o kapitanie Erikkim Yokkonenie. - Przerwa,

403

szelest papierów; Gavallan nabierał nadziei. - Dziś po południu dostaliśmy teleks z Tebrizu, właśnie gdy wychodziłem z biura: W odpowiedzi na zapytanie o kapitana Erikkiego Yokkonena informujemy, że podobno uciekł swym porywaczom i prawdopodobnie przebywa z żoną w domu Hakim-chana. Następną wiadomość prześlemy jutro po sprawdzeniu tych faktów.

- Chodzi o Abdollah-chana, Roger? - Gavallan zakrył ręką mikrofon słuchawki i szepnął do Scotta: - Erikki jest bezpieczny!

- Fantastycznie - odparł Scot, zastanawiając się, czego dotyczyła zła wiadomość.

- W teleksie stoi jak wół, że Hakim-chan - odparł Newbury.

- Nieważne, dzięki Bogu, uratował się! - I dzięki Bogu kolejna poważna przeszkoda na drodze Operacji usunięta. - Czy mógłbyś przekazać mu ode mnie wiadomość?

- Mogę spróbować. Powinna dotrzeć jutro, ale nie mogę tego zagwarantować, bo sytuacja w Azerbejdżanie ciągle się zmienia. Na pewno spróbujemy.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Roger. Nie wiesz nawet, jak bardzo potrzebowałem tej wiadomości. Strasznie mi przykro z powodu Talbota i Rossa. Zawiadom mnie, jeśli będę mógł coś dla niego zrobić.

- Tak, tak, zawiadomię. A przy okazji, pewne nowiny już się rozeszły. - Powiedział to obojętnym głosem.

- Przepraszam, co?

- Powiedzmy „turbulencje” - odpowiedział delikatnie Newbury.

Gavallan przez chwilę milczał, potem odzyskał głos.

- Och?

194

- Och. Wygląda na to, że pewien pan Kasigi chciał, żebyście od wczoraj obsługiwali Iran-Todę, a ty mu powiedziałaś, że nie możesz udzielić odpowiedzi wcześniej niż za miesiąc. No więc ja, eee, dodałem dwa do dwóch, poza tym te wszystkie pogłoski...

404

Gavallan usiłował zachować spokój.

- Z Iran-Todą to była decyzja handlowa, Roger, nic więcej. Wiesz, że działanie w Iranie jest teraz trudne. Nie dałbym rady zajmować się jeszcze dodatkowo Kasigim.

- Naprawdę? - rzucił Newbury. Potem dodał ostrzej: - No cóż, jeśli to, o czym słyszeliśmy, jest prawdą, bardzo, bardzo to odradzamy.

Gavallan uparcie trzymał się swojej wersji.

- Chyba nie radzisz mi, żebym wspierał Iran-Todę, gdy cały Iran rozlatuje się na kawałki, prawda?

Pauza. Westchnienie.

- No cóż, nie mogę cię powstrzymać, Andy. Może zjedlibyśmy razem obiad w sobotę?

- Tak, dziękuję, z przyjemnością. - Odłożył słuchawkę.

- Jaka była ta zła wiadomość? - zapytał Scot.

Gavallan powiedział mu o Talbocie i Rossie, a potem o „turbulencji”. To zbyt kojarzyło się z gwałtownymi wirami powietrznymi, po prostu z „Wichrem”, żeby było zabawne.

- A o co chodzi z Kasigim?

- Chce dostać od razu dwa 212 z Bandar Dejlamu do obsługi Iran-Tody. Musiałem kręcić, żeby zyskać na czasie. - Ich rozmowa była krótka i bezceremonialna:

- Przepraszam, panie Kasigi, ale nie możemy zacząć w tym tygodniu i chyba w przyszłym.

Mogę, eee, rozważyć to za miesiąc.

- Mój prezes byłby bardzo wdzięczny.

- Na pewno pomógłbym, gdybym tylko mógł. Przepraszam, ale to niemożliwe.

- Ale... czy może pan zaproponować jakąś alternatywę? Muszę mieć wsparcie helikopterowe.

- A co ze spółką japońską?

- Nie ma takiej. Czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby mi pomóc?

O ile wiem, to nie. Guerney już nie wróci, ale oni mogą kogoś znać.

405

Dał Kasigiemu numer telefonu biura Guerneya. Zbity z tropu Japończyk odszedł. Gavallan spojrzał na syna.

- Cholernie mi wstyd, ale w żaden sposób nie mogłem mu pomóc.

- Jeśli już wiadomo, to wiadomo... - powiedział Scot. Poprawił temblak. - Jeszcze jeden powód, żeby nacisnąć guzik.

- Albo odwołać akcję. Chyba wpadnę do Duke'a. Poszukaj mnie, gdyby ktoś jeszcze zadzwonił.
Zmienia

cię Nogger?

- Tak, o północy. Jean-Luc ma rezerwację. Leci o świcie do Bahrajnu, Pettikin do Kuwejtu.

Potwierdziłem rezerwacje. - Scot spojrzał na ojca.

Gavallan nie odpowiedział na nie wypowiedziane

pytanie.

- Na razie zostaw to tak. - Zobaczył uśmiech syna i poczuł nagle przyływ miłości i troski, dumy i strachu o niego, co mieszało się z jego nadziejami na przyszłość, przyszłość, która zależała od tego, czy wyrwie ich wszystkich z irańskiego bagna. Ze zdziwieniem usłyszał

własne słowa: - Czy myślałeś kiedyś o rzuceniu latania?

- Co?

Gavallan uśmiechnął się, widząc zdumienie syna. Skoro już zaczął, musiał mówić dalej.

- To część dalekosiężnego planu. Chodzi o ciebie i rodzinę. Tak między nami, w gruncie rzeczy mam dwa plany. Oczywiście, oba zależą od tego, czy zostaniemy w branży. Pierwszy 195

polega na tym, że rzucisz latanie i wyjedziesz na parę lat do Hongkongu, żeby poznać tamten koniec Struana. Potem wrócisz do Aberdeen, może na rok, a potem znów do Hongkongu, skąd będziesz działać. Według drugiego planu odbędziesz specjalistyczny kurs latania na X63, spędzisz jakieś sześć miesięcy w Stanach, a może rok, ucząc się tam. Potem powrót na Morze Północne na jeden sezon. Potem do Hongkongu.

- Zawsze do Hongkongu?

406

- Tak. Chiny otworzą się niedługo i będzie tam można wydobywać ropę. Ian i ja chcemy, żeby Struan miał już przygotowane plany, helikoptery, wieże, urządzenia wiertnicze, pełny zestaw, cały ten kram.
- Uśmiechnął się zagadkowo. „Oliwa do chińskich lampek” oznaczała tajny plan Dunrossa, do którego ważniejszej części Linbar Struan nie był dopuszczony. -

Powstanie nowa spółka, Air Struan. Będzie działać w Chinach, na Morzu Chińskim i w całym basenie Chin. Postanowiliśmy, że staniesz na jej czele.

- Nie ma tam zbyt wielkiego potencjału - powiedział Scot, udając brak wiary we własne siły.

- Czy uważasz, że Struan ma przyszłość? - Pozwolił, żeby uśmiech odpłynął z jego twarzy.

- Pamiętaj, że, tak tylko między nami, Linbar nie... nie zna jeszcze wszystkich faktów.

Scot zmarszczył brwi.

- Czy on się zgodzi na to, żebym tam pojechał, rozpoczął pracę w Struanie i to zrobił?

- On nienawidzi mnie, Scot, a nie ciebie. Nie sprzeciwia się przecież temu, że widzisz jego siostrzenicę.

- Na razie nie.

- Czas jest odpowiedni, a my musimy mieć plany na przyszłość. Chodzi o rodzinę. Jesteś we właściwym wieku i uważam, że poradysz sobie z tym. - Gavallanowi błysnęły oczy. - Jesteś w połowie Dunrossem, bezpośrednim zstępnym Dirka Struana. Spoczywają na tobie obowiązki przerastające twoje siły. Ty i twoja siostra odziedziczyliście akcje matki i możesz zasiadać w Zarządzie Wewnętrznym, jeśli tylko będziesz dostatecznie dobry. Ten idiota Linbar będzie musiał kiedyś przejść na emeryturę, a nawet on nie zdoła zniszczyć całkowicie Noble House.

- Mój drogi kuzyn sprawia ci nadal kłopoty? Gavallan pokręcił głową. To jego problem, a nie syna.

- Nie, nie bardziej niż zwykle. Nie zgadzam się, z jego polityką, ale jest tajpanem i na tym koniec. - Tak,

407

ale dlaczego nie ustawić Scota tak, żeby odniósł z tego w przyszłości korzyści, może nawet został następcą starego Dirka i lana, i Davida. Bóg da, że będzie do tego wystarczająco dobry.

- Co sądzisz o moim

planie?

- Chciałbym to przemyśleć, tato.

O czym tu myśleć, chłopcze, zapytał w myślach.

- Dobranoc, Scot, może później jeszcze wpadnę. Poklepał syna po zdrowym ramieniu i wyszedł. Scot mnie nie zawiedzie, pomyślał z dumą.

W dużej sali odpraw celnych i paszportowych pasażerowie wychodzili po odprawie, inni czekali na swoje bagaże. Ogłoszono lądowanie. Lot 52 Gulf Air z Mas-katu, stolicy Omanu.

Samolot przybył punktualnie; miał odlecieć za piętnaście minut do Abu Żabi w Bahrajnie i do Kuwejtu, Kiosk był jeszcze otwarty, więc Gavallan podszedł sprawdzić, jakie mają gazety.

Sięgnął po londyńskiego Timesa, gdy nagle zauważył tytuł: „Premier Callaghan mówi o sukcesie labourzystów”. Zmienił zdanie. Po co mi to? - pomyślał. Potem zobaczył Genny NcIver.

196

Siedziała sama niedaleko bramki, przez którą przechodziło się, wchodząc na pokład. Miała małą walizkę.

- Witaj, Genny, co tu, u diabła, robisz? Uśmiechnęła się słodko.

- Lecę do Kuwejtu. Odwzajemnił uśmiech.

- Po co, u diabła?

- Mam ochotę na krótki urlop.

- Nie bądź śmieszna. Guzik jeszcze nie naciśnięty, a tak czy inaczej, nie będziesz mogła nic zrobić, zupełnie nic. Lepiej poczekaj tu, Genny, na litość boską, bądź

rozsądna!

Ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać.

- Już skończyłeś?

- Tak.

- Jestem rozsądna. Jestem najrozsądniejszą osobą, jaką znasz. A Duncan NcIver nie jest. To najbardziej

408

zwariowany czubek, jakiego spotkałam od urodzenia aż do chwili wyjazdu do Kuwejtu. -

Wszystko to powiedziała z olimpijskim spokojem. Przebiegle zmienił taktykę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że wyjeżdżasz, tylko wymykasz się ukradkiem? Myślałbym, że gdzieś zginęłaś.

- Gdybym ci powiedziała, upiłbyś mnie albo ogłuszył i zatrzymał. Poprosiłam Manuelę, żeby powiedziała ci później. Miała podać godzinę odlotu, adres hotelu i numer telefonu. A jednak cieszę się, że tu jesteś, Andy. Możesz mnie wyprawić. Nie lubię sama wyjeżdżać, och, wiesz, co mam na myśli!

Właśnie wtedy dostrzegł, jaka jest krucha i wrażliwa.

- Dobrze się czujesz, Genny?

- Och, tak, to tylko... no cóż, po prostu muszę tam być, muszę. Nie mogę tu wysiedzieć.

Pomyślałam, że ja też ponoszę odpowiedzialność i nie chcę, żeby cokolwiek, cokolwiek poszło źle.

- Wszystko się uda - powiedział i objął ją ramieniem. - Wszystko będzie dobrze. Posłuchaj dobrej wiadomości. - Opowiedział jej o Erikkim.

- Och, to wspaniale! Hakim-chan? - Genny szukała czegoś w pamięci. - Czy to nie brat Azadeh, ten który mieszkał... no masz ci los, zapomniałam! Gdzieś koło Turcji. Czy on nie nazywa się Hakim?

- Może w teleksie nie było błędu i rzeczywiście Hakim jest teraz chanem. To by było dla nich bardzo dobre.

- Tak. Jej ojciec jest chyba okropnym staruszkiem. - Spojrzała na Gavallana. - Podjąłeś już decyzję? Czy to będzie jutro?

- Nie, jeszcze nie. Jeszcze nie na pewno.

- Co z pogodą? Wyjaśnił jej.

- Zatem pogoda niczego nie przesądza? - zauważyła.

- Chciałbym, żeby był tutaj Mac. To mądry facet i wiedziałby, co robić.

409

- Nie mądrzejszy niż ty, Andy. - Spojrzeli na tablicę lotów, gdyż wzywano pasażerów lotu 52. Wstali. - Wiesz, gdyby wszystko inne wyglądało tak jak pogoda, Mac zrobiłby to jutro.

- Tak? Skąd wiesz?

- Wiem. Do widzenia, kochany Andy. Pocałowała go szybko. Odchodząc nie obejrzała się.

Począł, aż zniknie. Zatopiony w myślach, wyszedł

na zewnątrz. Nie zauważył Wessona, który stojąc przy kiosku chował do kieszeni wieczne pióro.

(79

197

KSIEĆĆA CZWARTA

HAN

i

IRAK

x - Shatt-al-Arab

1 - | ^ KUWEJT

ARABIA SAUDYJSKA

Jell

OPERACJA WHIRLWIND

® Trasa czterech 212 z Sartdat Oejfam przez Bahrajn do Asz Szargaz

® Trasa dwóch 2t2, które wyleciały z Kowlsq do Kuwejtu. Jeilety, Bahrajnu t Asz Szargaz Tra3a trzech 212, która pccążyty bezpośrednio 2 Lengetuto Asz Szargaz

©

ASZ SZARGAZ, HOTEL OAZA, 5:37. Gavallan stał w oknie. Był już ubrany. Panowała jeszcze noc, tylko poblask na wschodzie zapowiadał świt. Od odległego o pół kilometra brzegu nadciągały strzępy mgły i znikaly prędko, gdy docierały nad pustynię. Niebo, na wschodzie bezchmurne, pokrywało się coraz grubsza powłoką chmur, kryjącą wszystko i rozciągającą się ku zachodowi. Z miejsca, w którym stał, Gavallan widział prawie całe lotnisko. Świeciły się światła pasa startowego; mały odrzutowiec już kołował; wiatr, który zmienił się na bardziej południowy, niósł zapach nafty. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! Ach, dzień dobry, Jean-Luc, dzień dobry, Charlie.

- Dzień dobry, Andy. Jeśli mamy zdążyć na sa-- molot, czas wyruszać - powiedział Pettikin.

Ze zde-

415

nerwowania zlewał głoski. Miał lecieć do Kuwejtu, a Jean-Luc do Bahrajnu.

- Gdzie jest Rodrigues?

- Czeka na dole.

- Dobrze, lepiej już jedźcie.

Gavallan stwierdził z zadowoleniem, że mówi spokojnym głosem. Pettikin uśmiechnął się promiennie, Jean-Luc mruknął:

- Merde.

- Jeśli się zgodzisz, Charlie, proponuję nacisnąć guzik o 7:00, według planu, chyba że któraś z baz zgłosi wcześniej, że nie da rady. Jeśli tak, spróbujemy jutro. Zgoda?

- Zgoda. Nie było na razie żadnych wywołań?

- Jeszcze nie.

Pettikin z trudem opanowywał podniecenie.

- No dobra, ruszamy w dziką dal! Chodź, Jean-Luc! Jean-Luc uniósł brwi.

- Mon Dieu, nadszedł czas Małych Skautów! - Ruszył do drzwi. - Wspaniałe wieści o Erikkim, Andy, ale jak on się wydostanie?

- Nie wiem. Chcę przede wszystkim, by Newbury z konsulatu spróbował przekazać mu wiadomość, żeby uciekał przez Turcję. Niech każdy z was zatelefonuje do mnie natychmiast po wylądowaniu. Będę w biurze od szóstej. Do zobaczenia.

Zamknął za nimi drzwi. Stało się. Chyba że któraś z baz odwoła akcję.

W LENGEH, 5:49. Blask fałszywego świtu ledwie przebijał się przez chmury. Scragger miał

na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Szedł przez mżawkę i kałuże w kierunku kuchni, która była jedynym oświetlonym budynkiem w bazie. Wiatr szarpał lotniczą czapkę, rzucał w twarz krople rzadkiego deszczu.

Ku jego zdziwieniu, Willi był już w kuchni. Siedział koło pieca na drewno i pił kawę.

- Dzień dobry, Scrag, kawy? Właśnie zrobiłem.

416

198

Wskazał ruchem głowy kąt kuchni. Na podłodze, w ciepłym miejscu, spał jeden z ludzi z Zielonych

Opasek. Scragger skinął głową i zdjął płaszcz.

- Dla mnie herbata, synu. Wcześniej wstałeś. Gdzie jest kucharz?

Willi wzruszył ramionami i odstawił czajnik na piec.

- Spóźnia się. Pomyślałem, że zjem wcześniej śniadanie. Zamierzam robić jajecnicę.

Usmażyć też dla ciebie?

Scragger poczuł nagle, że jest głodny.

- Ty to masz łeb! Dla mnie cztery jajka i dwie grzanki. W ten sposób wytrzymam do obiadu.

Mamy jakiś chleb, stary? - Patrzył, jak Willi otwiera lodówkę. Trzy bochenki, dużo jajek i masła. - Bomba! Nie mogę jeść jajek bez grzanki z masłem. Tylko wtedy mają właściwy smak. - Spojrzał na zegarek.

- Wiatr zmienił się prawie na południowy. Dochodzi do trzydziestu węzłów.

- Mój nos mówi, że osłabnie.

- Moja dupa też mówi, że osłabnie, ale na razie jest gówniany.

Scragger wybuchnął śmiechem.

- Patrz ufnie w przyszłość, stary.

- Byłbym znacznie ufniejszy, mając paszport.

- Święta racja, ja też, ale na razie wszystko idzie planowo.

. Gdy poprzedniego dnia wrócił od sierżanta, Vossi i Willi czekali na niego. Z dala od tych, którzy mogli ich podsłuchać, opowiedział im, co zaszło.

- Lepiej uprzedźmy Andy'ego, że może będziemy musieli zrezygnować - od razu powiedział

Willi, a Vossi z nim się zgodził.

- Nie - odparł Scragger. - Ja to widzę tak: jeśli Andy nie da sygnału, mam cały dzień na wydostanie paszportów, a jeśli da, zrobi to dokładnie o siódmej. Mam więc dużo czasu. Mogę być na posterunku o siódmej, trzydzieści i wrócić o ósmej. W tym czasie wy zrobicie co trzeba.

- Jezu, Scrag, lepiej...

- Ed, słuchasz mnie? Wyruszmy tak czy inaczej, ale w razie czego ominiemy Asz Szargaz, gdzie

moglibyśmy mieć kłopoty, i skoczmy do Bahrajnu. Znam tam urzędnika na lotnisku.

Zdamy się na jego łaskę, może nawet wykonamy lądowanie „awaryjne” na plaży. Po drodze połączymy się z Asz Szargaz, gdy tylko opuścimy przestrzeń powietrzną Iranu. Poprosimy, żeby ktoś złożył za nas kaucję. To chyba najlepsze rozwiązanie; przynajmniej będziemy kryci.

Tak, najlepsze, pomyślał teraz, patrząc na Willego przy kuchni. Masło na patelni zaczynało skwierczeć.

- Myślałem, że będziemy jedli jajecznicę?

- Właśnie ją robię. - Głos Willego zabrzmiał ostrzej.

- Gówno robisz, wiesz przecież - rzucił Scragger. - Musisz dodać wody albo mleka...

- Jezu! - warknął Willi. - Jeśli nie chcesz... Scheiss! Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny, Scrag. Przepraszam.

- Ja też jestem jakiś podminowany, stary. Nie ma problemu.

- To w ten sposób moja matka smaży jajka. Wybija się je w całości, ostrożnie, bez mieszania, białka się ścinają, a wtedy trzeba błyskawicznie dodać trochę mleka i wymieszać. W takiej jajecznicy białko jest białe, a żółtko żółte...

Willi stwierdził, że nie może przestać mówić. Miał złą noc, złe sny i złe przeczucia, a teraz, o świcie, nie poczuł się lepiej.

Mężczyzna z zieloną opaską poruszył się w kącie, czując zapach smażonego masła. Ziewnął, uniósł zaspaną głowę, a potem ułożył się wygodniej i znów zapadł w sen. Gdy zagotowała się 199

woda, Scragger zrobił sobie herbaty i spojrzął na zegarek: piąta pięćdziesiąt sześć. Otworzyły się drzwi i wszedł Vossi. Strzepnął z parasola krople deszczu.

- Cześć, Scrag! Hej, Willi, dla mnie kawa i dwa średnio przysmażone, z kruchym boczkem i przyrumienionymi skwarkami.

- Wypchaj się!

418

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem; niepokój zaostrzał ich reakcje. Scragger znów spojrzął na zegarek. Przestań! - nakazał sobie. Przestań! Musisz zachować spokój; wtedy oni też będą spokojni. Łatwo zauważyć, że są na krawędzi wybuchu.

W KOWISSIE, 6:24. NeIver i Lochart byli w wieży. Przyglądali się deszczowi i chmurom.

Obaj mieli na sobie lotnicze ubrania. NcIver siedział przy radiostacji, Lochart stał przy oknie.

Nie zapalili światła; migały tylko czerwone i niebieskie lampki działających przyrządów.

Żadnego dźwięku oprócz uspokajającego szumu aparatury i nie tak uspokajającego zawodzenia wiatru, dochodzącego przez wybite szyby okien i klekoczącego masztem antenowym.

Lochart spojrział na licznik wiatromierza. Dwadzieścia pięć węzłów, w porywach trzydzieści.

Południowo-wschodni. Przed hangarem dwaj mechanicy myli, czyste zresztą, helikoptery: dwa 212 i 206, który NcIver przyprowadził z Teheranu. W kuchni paliło się światło. NcIver dał całemu personelowi, poza nielicznymi pracownikami kuchni, wolny dzień. Nie trzeba było ich wyganiać: po wstrząsie, jaki stanowiła egzekucja Esfan-diariego, bardzo chętnie opuścili bazę.

Lochart spojrział na zegarek. Zdawało się, że wskazówki obracają się wolniej niż zwykle. Na dole przejechała ciężarówka. Potem druga. Była dokładnie szósta trzydzieści.

- Sierra Jeden, tu Lengeh. - To Scragger zgłaszał się zgodnie z planem.

NcIver poczuł ulgę. Lochart zrobił się jeszcze bardziej ponury.

- Lengeh, tu Sierra Jeden, słyszę pięć na pięć.

Głos Scota z Asz Szargaz dochodził głośno i wyraźnie. Sierra Jeden oznaczało biuro na lotnisku w Asz Szargaz; Gavallan nie chciał, żeby zwracano na ten szejkanat więcej uwagi, niż było to konieczne.

NcIver włączył nadawanie.

- Sierra Jeden, tu Kowiss.

419

- Kowiss, tu Sierra Jeden, słyszę cztery na pięć.

- Sierra Jeden, tu Bandar Dejlam. Obaj usłyszeli drzenie w głosie Rudiego.

- Bandar Dejlam, tu Sierra Jeden, słyszę dwa na pięć.

Teraz z głośnika dochodziły już tylko trzaski. NcIver wytarł dłonie z potu.

- Na razie dobrze.

Kawa w jego filiżance była zimna i smakowała okropnie, ale ją dopił.

- Rudi mówił tak, jakby był zdenerwowany, prawda? - zauważył Lochart.

- Jestem pewien, że ja też. I Scrag.

NcIver przyglądał się Tomowi. Niepokoił się o przyjaciela. Lochart unikał jego spojrzenia.

Podszedł do elektrycznego czajnika i włączył go. Na biurku stały cztery telefony: dwie linie wewnętrzne i dwie miejskie. Mimo że podjął już decyzję, Lochart sprawdził jeden z miejskich telefonów, potem drugi. Oba nadal nie działały. Były martwe. Tak jak ja - pomyślał. Nie mogę skontaktować się z Szahrazad.

- W Asz Szargaz jest kanadyjski konsul - rzucił szorstko NcIver. - Mogliby dodzwonić się stamtąd do Teheranu.

- Jasne.

Podmuch wiatru zaklekotał dyktą zasłaniającą stłuczone okno. Lochart nie zwracał uwagi na pogodę. Myślał o Szahrazad, modlił się, żeby do niego dołączyła. Dołączyć do mnie? Po co?

200

Czajnik zaczął szumieć. Spojrzał na niego. W chwili gdy wychodził z mieszkania, postanowił nie myśleć o przyszłości. Myśli te przychodziły jednak nocą; nie mógł się od nich uwolnić.

Z bazy dał się słyszeć głos muezzina.

- Chodźcie na modlitwę, chodźcie, modlitwa jest lepsza od snu...

W BANDAR DEJLAMIE, 6:38. Przepojony wilgocią świt, lekki deszcz, wiatr słabszy niż poprzedniego dnia. Rudi Lutz, Sandor Petrofi i Pop Kelly siedzieli w kon-420

tenerze Rudiego; nie zapalili światła, pili kawę. Na zewnątrz, na werandzie, Marc Dubois pilnował, czy nikt nie podsłuchuje. W bazie nie było widać żadnych świateł. Rudi spojrział na zegarek.

- Miejmy nadzieję, że to będzie dzisiaj - powiedział.

- Dziś lub nigdy. - Kelly miał ponury wyraz twarzy.

- Wywołuj Asz Szargaz, Rudi.

- Jeszcze minuta.

Rudi widział przez okno wrota hangaru i helikoptery 212. Żaden z nich nie miał zbiorników dalekiego zasięgu. Gdzieś w ciemnościach Fowler Joines i trzech mechanicy po cichu ładowali ostatnie kanistry paliwa, kończąc w ten sposób przygotowania, które rozpoczęły się poprzedniego wieczoru, gdy piloci odwracali uwagę strażników i Numira. Każdy z nich przed pójściem spać obliczył zasięg swojej maszyny. Wszyscy znajdowali się w promieniu dziesięciu mil morskich.

- Jeśli utrzyma się siła wiatru, wszyscy będziemy nad tym cholernym morzem - powiedział

cicho Sandor.

Muzyka przeszkadzała w rozmowie, ale bez niej nie było bezpiecznie. Wcześniej Fowler Joines dostrzegł Numira zaczajonego koło kontenera Rudiego.

- Tak - zgodził się Marc Dubois. - Około pięciu kilometrów od brzegu.

- Może powinniśmy zostawić Bahrajn i lecieć do Kuwejt, Rudi?

- Nie, Sandor. Musimy zostawić Kuwejt dla Kowis-su. Sześć irańskich helikopterów w jednym miejscu? Dostaliby hemoroidów.

- Gdzie są, do cholery, nowe numery rejestracyjne, które nam obiecano? - zapytał Kelly. Z

każdą chwilą jego zdenerwowanie rosło.

- Wyjadą nam na spotkanie. Charlie Pettikin leci do Kuwejt, a Jean-Luc do Bahrajnu.

- Mon Dieu, mamy pecha - powiedział Dubois.

- Jean-Luc zawsze się spóźnia, zawsze. Ci Pieds Noirs, oni rozumują jak Arabowie.

- Jeśli Jean-Luc spieprzy coś tym razem - powiedział Sandor - zmieni się w siekane mięso na hambur-421

gery. Posłuchajcie, co do benzyny, może moglibyśmy dostać trochę od Iran-Tody. To wygląda cholernie podejrzanie: zabieramy tyle rzekomo po to, żeby się tylko tam dostać.

- Rudi, wywołuj. Już czas.

- Dobrze, dobrze! - Rudi wziął głęboki oddech i podniósł mikrofon. - Sierra Jeden, tu Bandar Dejlam, słyszysz mnie? Tu...

W BIURZE W ASZ SZARGAZ, 6:40. ... Bandar Dejlam, słyszysz mnie?

Gavallan siedział przy krótkofalówce, Scot obok niego, Nogger Lane stał, opierając się o biurko. Manuela zajmowała jedyne wolne krzesło. Wszyscy, spięci, wpatrywali się w głośnik.

Byli pewni, że wezwanie oznacza kłopoty, gdyż Operacja Whirlwind zakładała ciszę radiową przed 7:00 i podczas samej ucieczki, z wyjątkiem nagłych wypadków.

- Bandar Dejlam, tu Sierra Jeden - powiedział chrapliwie Scot. - Słyszę dwa na pięć, mów.

- Nie wiemy, jak przedstawia się wasz dzień, ale my mamy zaplanowanych na rano kilka lotów i chcielibyśmy je trochę przesunąć. Zatwierdzacie to?

- Zostańcie na nasłuchu - polecił Scot.

- Szlag by to trafił - mruknął Gavallan. - Równoczesny start we wszystkich bazach ma zasadnicze znaczenie.

W głośniku znów rozległ się głos:

- Sierra Jeden, tu Lengeh. - Głos Scraggera zabrzmiał znacznie głośniej, wyraźniej i ostrzej. -

My też mamy loty, ale im później, tym lepiej. Jaka jest u was pogoda?

- Zostań na nasłuchu, Lengeh. Scot zerknął na Gavallana. Czekał.

- Wywołaj Kowiss - powiedział Gavallan, a pozostali nieco się rozluźnili. - Ich sprawdzimy najpierw.

- Kowiss, tu Sierra Jeden, słyszysz mnie? - Cisza. - Kowiss, tu Sierra Jeden, słyszysz mnie?

422

- Tu Kowiss, mów. - Głos NcIvera był napięty, przerywany.

- Jesteś przygotowany?

- Tak. Wolę twardą prognozę, według planu.

- To rozstrzyga sprawę. - Gavallan przejął mikrofon. - Sierra Jeden do wszystkich baz.

Pogoda jest u nas zmienna. Będziemy mieć waszą twardą prognozę na siódmą zero zero.

- Zrozumiałem - powiedział Scragger.

- Zrozumiałem. - Głos Rudiego łamał się.

- Zrozumiałem. - W głosie NcIvera zabrzmiała ulga.

W eterze zapanowała cisza. Gavallan rzekł, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Lepiej trzymać się planu. Nie chcę alarmować niepotrzebnie kontroli lotów albo czekać, aż ten skurczybyk Sijamaki zacznie robić jeszcze większe trudności. Rudi mógł zrezygnować, gdyby to było ważne. Nadal może.

Wstał i przeciągnął się; potem znów usiadł. W głośniku pojawiły się trzaski. Nasłuchiwali też na kanale awaryjnym: 121,5. Właśnie wystartował odrzutowiec Pan Am.

Manuela poruszyła się na krześle; czuła się jak intruz, choć Gavallan powiedział wcześniej:

- Manuela, ty też słuchaj. Tylko ty znasz farsi. Nie była bardzo spięta. Jej mąż był już bezpieczny,

trochę uszkodzony, ale bezpieczny. Serce śpiewało radosną pieśń; błogosławione szczęście wyrwało go z wiru wydarzeń.

- To właśnie szczęście, kochanie .- wyjaśniła mu poprzedniego wieczoru w szpitalu.

- Może, ale gdyby nie pomoc Hosejna, byłbym teraz w Kowissie.

Gdyby nie ten mułła, nie byłbyś ranny, pomyślała, ale nie powiedziała tego, żeby go nie denerwować.

- Czy mogę ci coś przynieść, kochanie?

- Nową głowę!

423

- Za minutę podadzą ci lekarstwo. Lekarz powiedział, że za sześć tygodni będziesz latał i że jesteś zbudowany jak łaciaty byk.

- Czuję się raczej jak zdechły kurczak. Roześmiała się.

Teraz siedziała spokojnie, oczekiwanie nie denerwowało jej tak jak innych, zwłaszcza Genny.

Jeszcze dwie minuty. Trzaski. Gavallan bębni palcami. Jakiś prywatny odrzutowiec wystartował. Widziała też inny lądujący samolot, jumbo, pomalowany we włoskie kolory.

Ciekawe, czy to Paula wraca z Teheranu?

Dłuższa wskazówka zegara dotknęła dwunastki. O 7:00 Gavallan podniósł mikrofon.

- Sierra Jeden do wszystkich baz: nasza prognoza potwierdziła się i oczekujemy poprawy pogody, ale uważajcie na małe podmuchy wichru. Odebraliście?

- Sierra Jeden, tu Lengeh - rzucił lekko Scragger.

- Odebraliśmy i będziemy uważać. Wyłączam się.

- Sierra Jeden, tu Bandar Dejlam. Odebraliśmy i będziemy uważać. Wyłączam się.

202

Cisza. Mijały sekundy. Gavallan przygryzł dolną wargę. Odczekał chwilę, potem przycisnął guzik nadawania.

- Kowiss, słyszycie mnie?

W KOWISSIE, 7:04. NcIver i Lochart wpatrywali się w aparat radiowy. Niemal jednocześnie spojrzeli na zegarki. Lochart mruknął:

- Na dziś odwołane.

Poczuł ulgę. Jeszcze dzień odroczenia, pomyślał. Może dziś telefony zaczną działać, może będę mógł z nią porozmawiać...

- I tak powinni się odezwać, tak się umówiliśmy. Mieli nas wywołać w obu wypadkach. -

NcIver kilkakrotnie nacisnął przełącznik. Światelka i wskaźniki zgasły. - Do diabła z tym - powiedział i włączył nadawanie.

- Sierra Jeden, tu Kowiss, słyszysz mnie? - Cisza. Powtórzył głośniej, bardziej niespokojnie:

- Sierra Jeden, tu Kowiss, słyszysz mnie? - Znow cisza. - Co się, 424

u diabła, z nimi dzieje? - wycedził przez zęby. - Lengeh, tu Kowiss, słyszysz mnie? - Żadnej odpowiedzi.

NcIver nagle sobie przypomniał. Zerwał się na równe nogi i szybko podbiegł do okna.

Główny przewód anteny nadawczo-odbiorczej zwisał luźno. Wiatr miotał nim na wszystkie strony. Przeklinając, NcIver otworzył drzwi prowadzące na dach i wyszedł. Poczuł

przenikliwie zimno. Miał silne palce, ale zardzewiałe nakrętki nie drgnęły. Zobaczył, że przeżarty rdzą drucziany pierścień po prostu odpadł.

- Jasna cholera...

- Trzymaj. - Lochart był już obok niego i podawał kombinerki.

- Dzięki. - NcIver zaczął zeskrobywać rdzę. Deszcz prawie ustał, ale żaden z nich tego nie zauważył. W oddali przetoczył się grzmot. Nad Zagrosem błyskawica przecięła niebo; widok gór przesłaniały chmury. Nie przerywając pracy, opowiedział Lochartowi, jak Wazari spędził

poprzedniego dnia dużo czasu na dachu, mocując kabel. - Dziś rano zgłosiłem się rutynowo.

Wszystko działało, w każdym razie o 6:30 i o 6:40. Na pewno potem wiatr wyrwał kabel...

Kombinerki ześliznęły się. Duncan skaleczył się w palec i zaklął.

- Może ja to zrobię?

- Nie, w porządku, zaraz skończę.

Lochart wrócił do pomieszczenia wieży: 7:07. W bazie nadal panowała cisza. Po płycie lotniska jeździły jakieś ciężarówki, ale samoloty trwały nieruchomo. Przy hangarze dwaj mechanicy nadal udawali, że coś robią przy helikopterach, zgodnie z planem. Był z nimi Freddy Ayre. Potem Lochart

zobaczył Wazarie-go, idącego wewnętrzną obwodnicą. Mocniej zabiło mu serce.

- Mac, Wazari nadchodzi od strony bazy.

- Zatrzymaj go. Powiedz mu, co chcesz, ale zatrzymaj. - Lochart pobiegł w dół po schodach.

Mclve-rowi mocno waliło serce. - Prędszej, na Boga - powie-

• dział i jeszcze raz skłął się za to, że nie sprawdził

425

wcześniejszej anteny. Trzeba sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać. Bezpieczeństwo nie wynika z przypadku; trzeba o nie dbać!

Kombinerki znów się ześliznęły. Zaciśnął je i teraz nakrętki zaczęły wędrować wzdłuż śruby.

Z jednej strony przewód trzymał się już mocno. NcIver przezwyciężył pokusę i nie spróbował

od razu się połączyć. Ostrożność zapanowała nad zdenerwowaniem: przykręcił drugą stronę.

Pociągnął kabel. Trzyma się. Oblany potem wbiegł do pomieszczenia: 7:16.

Przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

- Prędszej, NcIver, na litość boską! - Wziął głęboki oddech. Pomogło. - Sierra Jeden, tu Kowiss, słyszysz mnie?

203

Natychmiast rozległ się zdenerwowany głos Scotta.

- Kowiss, tu Sierra Jeden, mów.

- Czy masz dla nas jakieś informacje o pogodzie? Od razu usłyszał Gavallana, jeszcze bardziej zdenerwowanego.

- Kowiss, wysyłamy to dokładnie o 7:00; nasza prognoza jest już ustalona. Oczekujemy poprawy pogody, ale uważajcie na małe wichry. Odebrałeś?

- Odebraliśmy i będziemy uważać - ciężko wydyszał NcIver. - Czy... czy inni odebrali?

- Tak.

W BIURZE W ASZ SZARGAZ. - Powtarzam: tak - powiedział Gavallan do mikrofonu. - Co się stało?

- Nie ma żadnych problemów. - Głos NcIvera dobiegał jakby z daleka, sygnał był słaby. - Do

zobaczenia wkrótce.

W eterze zapanowała cisza. W pokoju rozległy się nagle wiwaty. Scot objął ojca i jęknął, czując w ramieniu szarpiący ból. W zamieszaniu nikt tego nie zauważył. Manuela ścisnęła Gavallana.

- Zatelefonuję do szpitala - oświadczyła. - Andy, zaraz wracam.

Wybiegła. Nogger podskakiwał z uciechy, a Gaval-lan rzekł radośnie: 426

- Uważam, że wszystkim, którzy nie prowadzą teraz maszyn, należy się po dużej butelce piwa!

W KOWISSIE. NcIver wyłączył radio i opadł na krzesło, próbując zebrać się w sobie. Czuł się dziwnie: miał lekką głowę i ciężkie ręce.

- Nieważne, grunt, że się zaczęło! - powiedział.

W wieży panowała cisza, jeśli nie liczyć skrzypienia poruszanych wiatrem drzwi, które w pośpiechu zostawił otwarte. Zamknął je teraz i zobaczył, że deszcz ustał, choć niebo pokrywały ponure chmury burzowe. Zauważył, że z palca leci mu krew. Oddał kawałek papierowego ręcznika, który wisiał koło radiostacji, i owinał nim ranę. Trzęsły mu się ręce.

Tknięty nagłą myślą, wyszedł na zewnątrz i przyklęknął nad kablem. Użył całej swej siły, żeby go wyrwać. Potem sprawdził starannie pomieszczenie wieży, otarł pot z czoła i zszedł na dół.

Locharta i Wazariego zastał w biurze Esfandiariego. Wazari był nie ogolony i brudny, miał dziwnie naelekt-ryzowane włosy. Nie pora na to, żeby się tym przejmować, pomyślał NcIver.

Scrag i Rudi znajdują się już w powietrzu.

- Dzień dobry, sierzancie - powitał go krótko, świadom spojrzenia Locharta. - Wydawało mi się, że dałem panu wolny dzień. Nie mamy dziś dużego ruchu.

- Tak, kapitanie, dał pan, ale ja... nie mogłem spać i... nie czuję się w bazie bezpiecznie. -

Wazari zauważył zaczerwienioną od wiatru twarz NcIvera i prowizoryczny opatrunek. -

Wszystko w porządku?

- Tak, skaleczyłem się tylko o pękniętą szybę. - NcIver zerknął na Locharta, który pocił się tak jak on sam. - Lepiej już chodźmy, Tom. Sierzancie, będziemy sprawdzać na ziemi 212. -

Dostrzegł szybkie spojrzenie Locharta.

- Tak jest, poinformuję bazę - odparł Wazari.

- Nie ma potrzeby. - Przez chwilę NcIver znajdował się na straconej pozycji. Potem odpowiedź przy-

- szła mu sama do głowy. - Tak między nami, jeśli chce 427

się pan tutaj plątać, niech pan lepiej przygotuje się na spotkanie z ministrem Kia. Mężczyzna zbladł.

- Co?

204

- Wkrótce tu będzie. Wraca do Teheranu. Pan był jedynym świadkiem zeznającym przeciwko niemu i temu cholernemu biedakowi Ważniakowi?

- Jasne, ale naprawdę słyszałem, co mówili. - Wa-zari poczerwieniał, czuł, że musi się usprawiedliwić. - Kia to skurwysyn i kłamca, a Esfandiari był taki sam. Ubijali interes.

Zapomniał pan, że to Ważniak kazał pobić Ayre'a? Zabiliby go, już pan zapomniał?

Wszystko, co powiedziałem o Esfandiarim i Kia, jest prawdą.

- Na pewno. Wierzę ci. Ale on i tak będzie niezłe wkurzony, kiedy cię zobaczy, co? To samo z personelem biurowym; oni wszyscy byli wściekli. Na pewno nie będą do ciebie zbyt dobrze nastawieni. Może mogę zagadać Kia - rzucił na przynętę NcIver, mając nadzieję, że to utrzyma go po ich stronie. - A może nie. Na twoim miejscu nie laźłbym tak w oczy i nie afiszował się tutaj. Chodź, Tom.

NcIver odwrócił się, żeby odejść, ale Wazari stał na jego drodze.

- Proszę nie zapominać, że to ja zapobiegłem masakrze, mówiąc, że Sandorowi oblużował się ładunek. Beze mnie byłby martwy; gdyby nie ja, wszyscy stanęlibyście przed komitetem...

musicie mi pomóc... - Po twarzy ściekały mu łzy. - Musicie mi pomóc...

- Zrobię, co będę mógł - powiedział NcIver. Żałował go. Odwrócił się i wyszedł. Na zewnątrz

musiał się hamować, żeby nie pobiec do innych; widział ich niepokój. Lochart go dogonił.

- Whirlwind? - zapytał, starając się dotrzymać koledze kroku.

- Tak. Andy nacisnął guzik dokładnie o 7:00. Scrag i Rudi odebrali wiadomość i prawdopodobnie są już w drodze. - NcIver nie dostrzegł nagłej desperacji Locharta. Doszli już do Ayre'a i mechaników.

- Whirl-428

wind! - wychrypiął Duncan, a dla wszystkich zabrzmiało to jak trąbka wzywająca na alarm.

- Fajnie. - Freddy Ayre mówił cicho, skrywając podniecenie. Inni nie. - Skąd to opóźnienie?

Co się stało?

- Później opowiem, teraz już zaczynamy! NcIver skierował się do pierwszego 212, Ayre do drugiego. Mechanicy już wskakiwali do środka. W tym momencie samochód wiozący pułkownika Czangiza i kilku lotników wjechał na teren bazy i zatrzymał się przed budynkiem biurowym. Wszyscy lotnicy mieli broń i zielone opaski.

- Ach, kapitanie, odwozi pan premiera Kia do Teheranu? - Czangiz wyglądał na zdenerwowanego.

- Tak, tak, o dziesiątej.

- Otrzymałem wiadomość, że on chce przesunąć start na ósmą, ale pan nie odleci przed dziesiątą, zgodnie z zezwoleniem na start. Jasne?

- Tak, ale dlaczego...

- Zatelefonowałem, ale wasze telefony znów nie działają. Poza tym coś się stało z waszym radiem. Nie przeglądacie sprzętu? Pracował i wyjechał? - NcIver spostrzegł, że pułkownik patrzy na trzy stojące w rzędzie helikoptery, jakby zamierzał do nich podejść. - Nie wiedziałem, że macie dziś loty zarobkowe?

- To tylko testowanie na ziemi przed jutrzejszą wymianą załóg w Abu Sal, pułkowniku -

wyjaśnił pospiesznie NcIver; żeby odwrócić uwagę wojskowego, zapytał: - Jakież problemy z premierem Kia?

- Nie ma żadnych problemów - odparł poirytowany pułkownik. Spojrzał na zegarek i zmienił

zdanie: nie będzie już inspekcji śmigłowców. - Niech pan poprosi kogoś, żeby naprawił radio i pójdzie ze mną. Mułła Hosejn chce się z panem spotkać. Wrócimy na czas.

- Z przyjemnością za chwilę podwiozę kapitana NcIvera - oznajmił Lochart. - Jest jeszcze kilka spraw, które powinien tu...

- Hosejn chce widzieć kapitana NcIvera, a nie pana. Teraz! Niech pan się zajmie radiem!

205

429

Czangiz powiedział swym ludziom, żeby zaczekali, usiadł za kierownicą i skinął na NcIvera.

NcIver niechętnie usłuchał. Czangiz ruszył, a jego kierowca poszedł w kierunku biura.

Lotnicy rozeszli się, spoglądając na helikoptery. Mechanicy próbowali zachowywać się spokojnie; zamknęli drzwi i zaczęli polerować kadłuby.

Ayre i Lochart patrzyli na odjeżdżający samochód.

- Co teraz? - zapytał Ayre.

- Nie wiem. Nie możemy bez niego wyjechać. - Lochart czuł mdłości.

W BANDAR DEJLAMIE, 7:26. Cztery 212 wytoczono przed hangar i zaparkowano na pozycjach startowych. Fowler Joines i trzech inni mechanicy czekali niecierpliwie w tylnych częściach kabin. Nieporęczne, czterdziestogalonowe bębny z zapasowym paliwem zostały starannie umocowane. Wiele skrzyń z częściami zamiennymi. Walizki ukryte pod plandekami.

- A nuże, kurczę blade - powiedział Fowler i otarł pot z czoła. W powietrzu wisiał intensywny zapach benzyny.

Przez otwarte drzwi kabiny widział Rudiego, Sandora i Popa Kelly'ego, którzy czekali w hangarze. Wszystko było gotowe, brakowało tylko ostatniego pi-lota. ^Dubois spóźnił się już o dziesięć minut. Nikt nie wiedział, czy nie zatrzymał go kierownik bazy, Numir, albo ktoś z Zielonych Opasek. Po chwili Fowler zobaczył Dubois. Ze zdenerwowania niemal się rozchorował. Francuz zachowywał galijską obojętność. Miał walizkę i przerzucony przez rękę płaszcz. Gdy przechodził koło biura, w oknie pojawił się Numir.

- Odjazd - wychrypiał Rudi i wszedł do kabiny najciszej, jak mógł. Zapiął pas i wcisnął

starter. Sandor zrobił to samo, Pop Kelly w chwilę po nim. Obroty rotorów zaczęły nabierać szybkości. Dubois podał niedbale walizkę Fowlerowi, starannie ułożył płaszcz na skrzyni i usiadł na miejscu pilota. Od razu włączył silnik, nie zwracając sobie głowy pasami czy procedurą sprawdzania przyrządów. Fowler z "rudem powstrzymy-430

wał się przed zasypaniem Dubois przekleństwami. Silniki gładko zwiększały moc. Dubois, nucąc jakąś melodię, włożył hełmofon. Teraz, gdy wszystko było przygotowane, zapiął pasy.

Nie zauważył, że z biura wybiegł Numir.

- Dokąd się wybieracie? - krzyknął Numir do Rudiego przez boczne okienko.

- Iran-Toda. Tak jest napisane w liście przewozowym. - Rudi nie przerwał procedury startu: włączenie krótkofalówki, wskaźniki na zielone.

- Ale nie poprosiliście Abadanu o zezwolenie na włączenie silników i...

- To piątek, agha. Może pan to zrobić za nas.

- To wasz obowiązek! - krzyknął ze złością Numir. - Macie czekać na Zatakiego. Musicie poczekać na pułk...

- Całkiem słusznie. Chcę się upewnić, że mój helikopter będzie gotowy w chwili, gdy pułkownik przybędzie. To bardzo ważne, żeby zrobić mu przyjemność, prawda?

- Tak, ale dlaczego Dubois niósł walizkę?

- Och, zna pan Francuzów - powiedział to, co przyszło mu do głowy. - Przywiązują taką wagę do ubrań. Jest pewien, że będzie stacjonował w Iran-To-dzie, więc zabrał zapasowy mundur.

Jego kciuk powędrował w kierunku przycisku radiotelefonu. Nie, rozkazał sobie, nie bądź niecierpliwy. Wszyscy wiedzą, co robić. Nie bądź niecierpliwy.

Potem, poprzez mgłę kłębiącą się za Numirem - widzialność spadła do kilkuset metrów - zobaczył ciężarówkę Zielonych Opasek, która wjechała przez główną bramę i zatrzymała się.

Jej hałas utonął w ryku silników śmigłowców. Ale to nie był Zataki, tylko zwykli strażnicy z Zielonych Opasek. Stali i patrzyli ze zdziwieniem na śmigłowce. Nigdy jeszcze cztery 212 nie startowały naraz.

206

Rudi usłyszał w słuchawkach głos Dubois.

- Gotów, mon vieux.

Potem Popa Kelly'ego, potem Sandora. Wcisnął guzik nadawania i powiedział do mikrofonu: 431

- Jazda! - Nachylił się do okienka i skinął na Numira. - Nie ma potrzeby, żeby wszyscy czekali. Zaczekam ja.

- Ale kazano wam lecieć razem, a wasze zezwolenia... - Głos kierownika bazy utonął w warkocie silników osiagających pełną moc przy zastosowaniu procedury startu w nagłych wypadkach, zgodnie z planem, jaki ułożyli piloci zeszłej nocy. Dubois miał lecieć w prawo, Sandor w lewo, a Kelly prosto przed siebie; maszyny miały przypominać stado bekasów, rozproszone strzałem myśliwego. W ciągu kilku sekund znaleźli się w powietrzu: popędzili, trzymając się nisko. Twarz Numira stała się purpurowa. - Powiedziano wam, że...

- To dla pańskiego bezpieczeństwa, agha. Próbujemy pana chronić - zawołał Rudi, przekrzykując ryk silników i nakazując Numirowi gestem dłoni, żeby się odsunął. Wszystkie wskaźniki znalazły się na zielonych polach. - Tak jest lepiej, agha; w ten sposób wykonamy pracę i nie będzie problemu. Musimy chronić pana i Iran-Oil.

Usłyszał w słuchawkach głos Dubois, który pogwałcił obowiązkową ciszę radiową.

- Samochód dojeżdża do bramy!

Rudi dojrzał pojazd natychmiast i rozpoznał na przednim siedzeniu Zatakiego. Maksymalna moc.

- Agha, poderwę go tylko na metr; skacze licznik momentu oporowego śmigła...

Cokolwiek krzyczał Numir, utonęło w hałasie. Za-taki był już w odległości zaledwie stu metrów. Rudi poczuł, że rotory wgrzyzają się w powietrze, i wystartował. Przez chwilę wyglądało na to, że Numir uczepli się płozy, ale odskoczył w ostatnim momencie, tak że otarł

się o nią i upadł, gdy Rudi ruszył do przodu i odleciał, niemal nieprzytomny z napięcia. Jego koledzy z przodu zawisli nad bagnami. Rudi pochylił kilkakrotnie maszynę w geście pozdrowienia, a gdy się z nimi zrównał, uniósł kciuk i poprowadził śmigłowce w kierunku odległej o sześć kilometrów zatoki.

432

Numir wstał, oniemiały z gniewu; samochód Zatakiego zatrzymał się obok z piskiem opon. ,

- Na Boga, co tu się dzieje? - ryknął Zata[^]i, wyskakując z wozu. Helikoptery zniknęły już we mgle, a odgłos ich silników powoli zamierał. - Mieli na mnie czekać!

- Wiem, wiem, pułkowniku. Mówiłem im, ale... po prostu wystartowali i...

Numir zawył, gdy pięść Zatakiego trafiła go w twarz i obaliła na ziemię. Ludzie z Zielonych Opasek patrzyli obojętnie; przywykli do wybuchów szefa. Jeden z nich postawił Numira na nogi i walnął go w twarz, tak że kierownik obrócił się wokół własnej osi.

Zataki rzucał klątwy, kierując je do nieba, a gdy trochę ochłonał, powiedział:

- Weźcie ze sobą to wielbłądzie gówno i za mną! - Przeszedł, ponury jak chmura gradowa, przez hangar i zobaczył dwa 206 schludnie zaparkowane z tyłu. Tu i tam leżały części zamienne, wentylator suszył jakiś świeżo pomalowany element. To arcydzieło kamuflażu wymyślonego przez Rudiego miało im dać kilka dodatkowych minut. - Te psy pożałują jeszcze, że nie zaczekały - mruknął. Odczuwał ból głowy.

Otworzył kopniakiem drzwi biura, dopadł do nadajnika i usiadł.

- Numir, łącz mnie z tymi ludźmi!

- Ale Dżahan, nasz radiooperator, jeszcze nie przy-, szedł, a ja...

- Zrób to!

Przerażony kierownik przesunął dźwigenkę nadawania. Z wargi leciała mu krew; ledwie mógł mówić.

- Baza wzywa kapitana Lutza! - Poczekał, a potem powtórzył te słowa, dodając: - Pilne!

207

W ŚMIGŁOWCACH. Lecieli zaledwie trzy metry nad bagnami. Zdążyli oddalić się tylko o kilkaset metrów, gdy usłyszeli wściekły głos Zatakiego:

- Wszystkie helikoptery są odwołane do bazy, wracać do bazy! Zgłosić się!

433

ZSRR

TURCJA

_____ - *v v-<

ir

• Khvoyi

1

M

Góra&ifen Banlar-cPahum.

SYRIA

TAHRIZ

•t GftyBu

TEHERAN

<

Bagdad

X,

IRAK

Dam / A •'•f«h"

BANDAR DEJLAM

ARABIA SAUDYJSKA

A"

-----~____iKUWE

V.

Stfzaw* Mnbcd

IRAN

KOWISS

ZAGROS

^"IVN

LENGEH

~v

AFGANISTAN

A

___/'

PAKISTAN

L

BAHR

I*I

\Hi '10CZONE ^

5 Asz Szargat

' ARABSKIE ,'

OMAN

i

' /

/

208

Rudi poprawił nieco moc i przechył maszyny. W sąsiednim helikopterze zobaczył Marca Dubois, który wskazał słuchawki i wykonał nieobyczajny gest. Uśmiechnął się i zrobił to samo. Dopiero potem zauważył, że po twarzy ściekają mu strużki potu.

- Wszystkie helikoptery zgłosić się! Wszystkie...

NA LOTNISKU. -... helikoptery zgłosić się - ryczał do mikrofonu Zataki. - Zgłosić się!

Odpowiedziały mu tylko trzaski. Nagle pułkownik walnął mikrofonem w stół.

- Dawaj wieżę w Abadanie! Szybko! - zawył. Przerażony Numir, któremu po brodzie ciekła krew, zmieniał trzęsącymi się rękoma kanały. Po sześciu próbach, tym razem w farsy, połączył się z wieżą.

- Tu wieża Abadan, agha. Proszę mówić. Zataki wydarł mikrofon z ręki kierownika.

- Tu pułkownik Zataki z Komitetu Rewolucyjnego Abadanu - powiedział w farsy. - Mówię z lotniska w Bandar Dejlamie.

- Pokój niech będzie z panem, pułkowniku - odpowiedział obojętny głos. - Czy możemy coś dla pana zrobić?

- Nasze cztery helikoptery wystartowały bez zezwolenia. Lecą do Iran-Tody. Proszę je zawrócić.

- Chwileczkę. - Stłumione głosy. Zataki czekał. Na twarzy wystąpiły mu plamy. Czekał, czekał, a potem usłyszał: - Czy jest pan pewien, agha? Nie widzimy ich na ekranie radaru.

- Oczywiście. Jestem pewien. Zawróćcie je!

Znów głosy, znów oczekiwanie. Zataki miał już wybuchnąć gniewem, gdy rozległ się głos w farsy:

- Cztery helikoptery z Bandar Dejlamu: wracać do bazy. Proszę o potwierdzenie. - Potem to powtórzono, a następnie wieża zwróciła się do Zatakiego: - Być może mają zepsute radiostacje,

agha. Niech boże błogosławieństwo będzie z panem.

- Wywołujcie ich! Lecą nisko i kierują się do Iran-Tody.

434-^444 błąd w numeracji stron

Jeszcze raz przytłumione głosy w farsy. Nagle ostry głos w amerykańskiej angielszczyźnie:

- Dobra, przejmuję to! Tu kontrola lotów w Abadanie. Śmigłowce na kierunku 090 stopni, słyszycie mnie?

W KOKPICIE DUBOIS. Kompas wskazywał kierunek 091. Znow ostry głos w słuchawkach:

- Tu kontrola Abadanu, śmigłowce na kierunku 090 stopni, kilometr od wybrzeża, słyszycie mnie? - Pauza.

- Tu kontrola Abadanu, śmigłowce na kierunku 090 stopni przejść na kanał 121.9...

Słyszycie? - Chodziło o kanał awaryjny, na którym wszystkie samoloty i śmigłowce powinny automatycznie prowadzić nasłuch.

- Śmigłowce na kierunku 090 stopni, kilometr od wybrzeża, wracać do bazy. Słyszycie?

Dubois zobaczył poprzez mgłę szybko zbliżające się morze. Jeszcze pół kilometra, a lecąc tak nisko, nie byli chyba widoczni na ekranie radaru? Spojrzał w lewo. Rudi wskazał słuchawki i przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Dubois uniósł kciuk i przekazał wiadomość Sandorowi, który leciał z jego prawej strony. Francuz zobaczył, że Fowler Joines przeczołguje się z tylnej kabiny do kokpitu i siada obok. Pilot wskazał drugi hełmofon, wiszący na przewodzie nad fotelem. Głos brzmiał teraz niepewnie:

- Wszystkie helikoptery lecące z Bandar Dejlamu do Iran-Tody mają wrócić do bazy.

Słyszycie mnie?

Fowler, już w hełmofonie, rzucił do interkomu:

- Mam nadzieję, że palanta szlag trafi!

Znow rozległ się głos; tym razem mężczyźni w helikopterze przestali się uśmiechać.

- Kontrola Abadanu do pułkownika Zatakiego. Słyszysz mnie?

- Tak, proszę mówić.

209

- Uchwyciliśmy chwilowy ślad radarowy. To mogło nie być nic albo helikopter lub helikoptery

lecające bardzo blisko siebie. Kierunek 090. - Odbiór lekko się pogorszył. - To by znaczyło, że lecą prosto do...

445

NA LOTNISKU. - ... Iran-Tody. Rozruch silników bez zezwolenia i nieutrzymywanie kontaktu radiowego to bardzo poważne wykroczenia. Proszę podać nam ich sygnały wywoławcze i nazwiska pilotów. Radiostacja Iran-Toda nadal nie działa; w przeciwnym razie skontaktowalibyśmy się z nimi. Sugeruję, aby wysłał pan kogoś, żeby aresztował pilotów za naruszenie przepisów lotniczych i natychmiast doprowadził ich do komitetu kontroli lotów Abadanu. Odebrano?

- Tak... tak, rozumiem, dziękuję. Chwileczkę. - Za-taki wepchnął mikrofon w rękę Numira. -

Jadę do Iran-Tody! Gdyby wrócili, zanim ich dostanę, trzeba ich aresztować! Podaj kontroli lotów dane, których chcą!

Wypadł na zewnątrz, zostawiając w bazie trzech mężczyzn z pistoletami maszynowymi.

Numir zaczął podawać:

- Kontrola Abadanu, tu Bandar Dejam: HVV, HGU, HKL, HXC, wszystkie 212.

Kapitanowie: Rudi Lutz, Marc Dubois...

W KOKPICIE POPA KELLY'EGO. ... Sandor Pet-rofi i Ignatius Kelly, wszyscy z Iran Oil, wysłani przez pułkownika Zatakiego do Iran-Tody.

- Dziękuję, Bandar Dejam. Informujcie nas na bieżąco.

Kelly spojrział w prawo i z entuzjazmem uniósł kciuk. Rudi potwierdził...

W KOKPICIE RUDIEGO. ... i pokazał uniesiony kciuk Dubios, który także potwierdził.

Niemiec wpatrywał się w mgłę.

Zabite w ciasną grupę helikoptery dolatywały już do linii brzegu. Iran-Toda była z lewej, w odległości około kilometra, ale Rudi nie widział rafinerii z powodu mgły. Przyspieszył lekko, żeby wysunąć maszynę naprzód, a potem zmienił kierunek z południowego na wschodni. W

ten sposób mogli zgodnie z planem przelecieć bezpośrednio nad zakładami Tody; Rudi zwiększył wysokość

446

tylko na tyle, żeby nie wpaść na budynki. Kompleks budowli i urządzeń przesunął się pod nimi w błyskawicznym tempie; pilot jednak wiedział, że nagły ryk silników zawiadomił ludzi na ziemi o ich obecności. Rudi znów zszedł jak najniżej, utrzymując ten sam kurs; kierował

się teraz w głąb lądu na odległość nieco ponad piętnastu kilometrów. Ziemia była tu bezludna, żadnych wiosek w pobliżu. Teraz, znów w myśl planu, obrał kierunek południowy i popędził w stronę morza.

Widoczność zaczęła się natychmiast pogarszać. Tu, na wysokości sześciu metrów, sięgała niespełna pół kilometra, przy czym w niektórych miejscach biała zasłona zacierała całkowicie różnicę między niebem a wodą. Z przodu, niemal dokładnie na drodze helikopterów, jakieś sto kilometrów dalej, leżała wyspa Chary, na której znajdował się radar ogromnej mocy, a potem jeszcze trzysta pięćdziesiąt kilometrów i już oczekiwane lądowisko: Bahrajn.

Przynajmniej dwie godziny lotu, a wobec przeciwnego południowo-wschodniego wiatru o sile dwudziestu węzłów - odpowiednio więcej.

Lot w mlecznej zupie na minimalnej wysokości był niebezpieczny, ale piloci uważali, że na wypadek, gdyby radar był obsługiwany, powinni się pod nim prześliznąć, unikając ewentualnego pościgu myśliwców.

Rudi przesunął drążek w prawo i w lewo. Zakołysał w ten sposób śmigłowcem i dotknął na chwilę przełącznika nadawania.

- Delta Cztery, Delta Cztery - powiedział wyraźnie.

Zawiadomił w ten sposób Asz Szargaz, że wszystkie cztery helikoptery z Bandar Dejlamu są bezpieczne i mijają linię brzegową. Zobaczył, że Dubois wskazuje ręką w górę, prosząc go o 210

zwiększenie wysokości. Pokręcił głową, po czym wskazał przed siebie i w dół, nakazując utrzymanie minimalnej wysokości i trzymanie się planu. Maszyny posłusznie zwiększyły odstęp i zagłębiły się w gęstniejącą mgłę.

447

W BIURZE W ASZ SZARGAZ. Gavallan połączył się ze szpitalem.

- Prędko, dajcie mi kapitana Starke'a... Cześć, Duke, tu Andy. Chciałem ci tylko powiedzieć, że przed chwilą odebraliśmy od Rudiego sygnał „Delta Cztery”. Cudownie, prawda?

- Wspaniale, świetnie! Fantastycznie! Cztery uciekły, zostało jeszcze pięć!

- Sześć. Nie zapominaj o Erikkim...

LENGEH, 8:04. Scragger nadal czekał na posterunku policji. Siedział posepny na drewnianej ławce przed kapralem żandarmerii, który spoglądał na niego zza wysokiego biurka, umieszczonego za niską ścianką działową.

Scragger znów zerknął na zegarek. Przyjechał o 7:20 na wypadek, gdyby dało się coś załatwić wcześniej, ale kapral pojawił się dopiero o 7:45, grzecznie wskazał ławkę i poprosił, żeby pilot

począł. To było najdłuższe oczekiwanie, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Rudi i chłopaki z Kowissu muszą już być w powietrzu, pomyślał markotnie. My też byśmy byli, gdyby nie te cholerne paszporty. Poczekam jeszcze minutę; dłużej nie można. I tak minie jeszcze godzina albo więcej, zanim się wydostaniemy, a poza tym na pewno nie wszystko pójdzie jak w zegarku i ktoś zacznie węszyć,

449

a potem narobi piekielnego hałasu na falach radiowych, niezależnie nawet od tego pacana Sijamskiego. W nocy Scragger podsłuchiwał jego opryskliwą rozmowę z Ga-vallanem w Asz Szargaz i drugą z NcIverem, któremu powiedział, że chce go zobaczyć dziś na lotnisku w Teheranie.

Cholerny palant! Ale nadal uważam, że dobrze zrobiłem, nie wywołując Andy'ego i nie rezygnując. Cholera! To my mamy najłatwiejsze zadanie, a gdybym spowodował przełożenie Operacji na jutro, na pewno wydarzyłoby się coś innego u nas albo u innych. Mac nie uniknąłby lotu do Teheranu z tym piekielnikiem Kia. Nie można tak ryzykować, po prostu nie można. Łatwo było poznać po głosie, że Mac jest tak zdenerwowany, jakby siedział na mrowisku.

Otworzyły się drzwi. Scragger uniósł wzrok. Dwóch młodych żandarmów wciągnęło do środka posiniaczonego chłopaka w podartym, brudnym ubraniu.

- Kto to jest? - zapytał kapral.

- Złodziej. Złapaliśmy go na kradzieży, panie kapralu. Ten biedny głupiec kradł ryż kupcowi Esmailowi. Złapaliśmy go podczas patrolowania, na krótko przed świtem.

- Wedle woli Boga. Dawajcie go do drugiej celi. - Potem kapral zaczął krzyczeć na młodzieńca; Scragger, który nie znał farsy, mógł się tylko przyglądać tej scenie. - Psi synu!

Jak mogłeś być tak głupi, żeby dać się złapać! Nie wiesz, że tym razem nie skończy się na biciu? Ile razy trzeba to wam wszystkim powtarzać? Teraz obowiązuje prawo islamu! Prawo islamu!

- Ja... byłem głodny... Moja...

Przerażony młodzieniec jęknął, gdy jeden z żandarmów potrząsnął nim gwałtownie.

- Głód nie jest wytłumaczeniem, na Boga. Ja jestem głodny, nasze rodziny są głodne, my wszyscy jesteśmy głodni!

Żandarmi wyprowadzili złodzieja z pokoju. Kapral jeszcze raz zaklął; było mu żal młodego człowieka. Potem spojrział na Scraggera i powrócił do

450

swojej pracy. Co za głupiec z tego cudzoziemca! Przychodzić tu w piątek! No, ale jeśli chce czekać na sierżanta cały dzień i całą noc, to niech czeka cały dzień i całą noc.

Głośne skrzypienie pióra doprowadzało Scraggera do szału. 8:11. Ponuro wstał i podziękował kapralowi, który grzecznie zachęcał go do pozostania. Ruszył do drzwi i niemal zderzył się z Keszemim.

- Och, przepraszam stary! Salam, Agha Keszemi, salam.

- Salam, Agha. - Keszemi dostrzegł ulgę i niecierpliwość rysujące się na twarzy Scraggera.

Złośliwie zaprosił go gestem do dalszego czekania, a sam wszedł za biurko i spojrzał na kaprała. - Pozdrowienia, Ahmedzie, pokój boży z tobą.

- I z tobą, ekscelencjo sierżancie Keszemi.

- Jakie kłopoty mamy tu dzisiaj? Wiem, czego chce cudzoziemiec.

- Islamscy marksiści znów mieli zebranie przy dokach o północy. Jeden mudżaheddin został

zabity, a siedmiu mamy pod kluczem. Dzięki Bogu to było łatwe, zasadzka była prosta, no i pomogli nam ci z Zielonych Opasek. Co z nimi zrobimy?

- Postąpimy według nowych przepisów - tłumaczył cierpliwie Keszemi. - Jutro rano trzeba postawić więźniów przed Komitetem Rewolucyjnym. Co jeszcze?

- Kapral opowiedział o młodzieńcu. - Z nim to samo, skoro psi syn dał się złapać!

Keszemi przeszedł przez drzwiczki w przepierzeniu, wyjął klucz i zaczął otwierać sejf.

- Dzięki Bogu, już myślałem, że klucz zginął - powiedział kapral.

- Zginął, ale Lafti go znalazł. Poszedłem dziś rano do niego do domu; miał go w kieszeni. -

Paszporty leżały na pudełkach z amunicją. Wyjął je, położył na biurku, starannie sprawdził i podpisał wizy w imieniu Chomeiniego. Potem jeszcze raz obejrzał dokumenty.

- Proszę, agha pilot - powiedział i wręczył je Scraggerowi.

- Mammunam Agha, choda hafez. Dziękuję, ekscelencjo, do widzenia.

- Choda hafez, Agha. - Sierżant Keszemi uściśnął wyciągniętą dłoń. Z namysłem spojrzał na wychodzącego pilota. Zobaczył przez okno, że Scragger szybko odjechał. Zbyt szybko. -

Ahmedzie, mamy w samochodzie benzynę?

- Wczoraj była, ekscelencjo.

NA LOTNISKU W BANDAR DEJLAMIE, 8:18.

Numir uwijał się jak w ukropie, zaglądając do kontenerów mechaników. Wszystkie były puste. Pobiegnął z powrotem do biura. Dżahan, radiooperator, spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Zniknęli! Wszyscy zniknęli: piloci, mechanicy... i większość ich rzeczy! - Numir jąkał się; jego twarz nosiła jeszcze ślad ciosu Zatakiego. - Psie syny!

- Ale... ale oni tylko polecili do Iran-Tody, ekscelencjo.

- Mówię ci, że uciekli. Uciekli z naszymi helikopterami!

- Ale nasze dwa 206 są w hangarze, widziałem je. Poza tym nawet wentylator jest włączony.

Ekscelencja Rudi nie zostawiłby wentylatora...

- Na Boga, mówię ci, że uciekli!

Dżahan, mężczyzna w średnim wieku, w okularach, włączył nadawanie.

- Kapitanie Rudi, tu baza, słyszy mnie pan?

W KOKPICIE RUDIEGO. Rudi i jego mechanik, Faganwitch, usłyszeli wyraźnie:

- Baza do kapitana Rudiego, słyszy mnie pan? Rudi poprawił trym maszyny i znów się zrelaksował, patrząc na prawo i lewo. Zobaczył, że Kelly wskazuje słuchawki. Potwierdził, że zrozumiał.

Potem opuściła go wesołość, gdy usłyszał:

- Teheran, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie? Piloci zamarli w oczekiwaniu. Żadnej odpowiedzi.

- Kowiss, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie? - Znów

452

bez odpowiedzi. - Lengeh, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie?

- Bandar Dejam, tu Lengeh, słyszę dwa na pięć.

212

Natychmiast popłynął potok w farsi, którego zupełnie Rudi nie rozumiał. Po chwili Dżahan powiedział po angielsku:

- Teheran, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie? - Trzaski. Ponowne wezwanie. Trzaski. Potem:

- Kowiss, słyszysz mnie? - Znów cisza.

- Na razie - mruknął Rudi.

- O co tu chodzi, kapitanie? - zapytał Faganwitch.

- Namierzili nas. Dopiero piętnaście minut od startu i już nas namierzili!

Wokół znajdowały się bazy myśliwców, a przed nimi bardzo duża i sprawna baza na Chargu.

Rudi nie miał wątpliwości, że jeśli ich dopadną, zestrzelą, tak jak HBC. Prawidłowo, pomyślał, czując ze strachu mdłości. Choć byli na razie bezpieczni tu, nad samymi falami i przy widoczności nie przekraczającej czterystu metrów, niedługo mgła ustąpi i staną się bezradni. Znów głos Dżahana:

- Teheran, tu Bandar Dejlam, słyszysz mnie? Żadnej odpowiedzi.

Rudi zaklął w duchu. Dżahan był dobrym radiowcem, systematycznym. Będzie wywoływał, aż zgłosi się Kowiss albo Teheran. A potem? To ich problem, nie mój. Ja muszę się martwić tylko o to, jak przeprowadzić bezpiecznie moje cztery maszyny.

Trzy czy cztery metry niżej kłębiły się fale, jeszcze bez białych grzyw, ale już szare i brzydkie, a wiatr nie słabł. Rudi spojrzał na Kelly'ego i machnął ręką od lewej do prawej, co oznaczało, że mają zwiększyć odstęp i zrezygnować z kontaktu wzrokowego, gdyby widoczność się pogorszyła. Kelly potwierdził. Dał znak Dubois, który przekazał wiadomość Sandorowi lecącemu na prawym skrzydle. Rudi zmniejszył nieco moc, żeby wycisnąć z paliwa maksymalny zasięg. Wpatrywał się w białą przestrzeń przed sobą. Wkrótce zaczną '

przecinać szlaki żeglugowe.

453

LENGEH, NA LOTNISKU, 8:31. - Jezu, Scrag, myśleliśmy, że cię aresztowali - krzyknął

Vossi. On i Willi podbiegli do samochodu, czując ogromną ulgę. Obok stali trzej mechanicy.

- Co się stało?

- Mam paszporty, później wam wszystko opowiem.

- Są problemy. - Vossi był kredowobiały. Scragger skrzywił się. Nie ochłonął jeszcze po napięciu oczekiwania i jeździe powrotnej.

- Co znowu?

- Jest tu Ali Pasz. Przy radiu. Zjawił się jak zwykle. Próbowaliśmy go odesłać, ale nie odszedł i...

Willi niecierpliwie wpadł mu w słowo:

- Od pięciu czy dziesięciu minut zachowuje się bardzo dziwnie...

- Jakby miał w dupie wibrator, Scrag, on nigdy się tak nie zachowywał... - Vossi urwał.

Ali Pasz wyszedł szybko na werandę przy pokoju radiowym i ponaglącym gestem skinął na Scraggera.

- Już idę, Ali - zawołał Scragger. Natomiast do Bensona, głównego mechanika, szepnął: -

Jesteście wszyscy gotowi?

- Tak jest. - Benson był niski, energiczny i nerwowy. - Zapakowałem graty, zanim jeszcze pojawił się Ali Pasz. Pryskamy?

- Poczekajcie, aż pójde do biura. Wszys...

- Odebraliśmy Delta Cztery, Scrag - przerwał mu Willi. - Od innych nic.

- Dobra. Wszyscy czekać na mój sygnał. - Scragger odetchnął głęboko i odszedł, pozdrawiając mijanych ludzi z Zielonych Opasek. - Salom, Ali Pasz, dzień-doberek - rzucił, widząc zdenerwowanie rozmówcy. - Wydawało mi się, że dałem ci wolne.

- Agha, jest coś...

213

- Sekundę, synu! - Scragger odwrócił się i udając gniew, zawołał: - Benson, mówiłem ci już, że jeśli ty i Drew chcecie sobie zrobić piknik, to wasza sprawa, ale dobrze radzę: wróćcie o drugiej! A wy na co, do cholery, czekacie? Zrobicie to sprawdzanie, czy nie?

- Jasne, Scrag, przepraszam!

Scragger z trudem opanował śmiech, widząc, jak Benson i Drew, amerykański mechanik, wpadając na siebie, wskakują do starej furgonetki i ruszają. Vossi i Willi skierowali się do swych kokpitów.

- Zostawia pan nas, agha - powiedział młody człowiek, szokując tymi słowami Scraggera.

- My nie wyjeżdżamy - zaprzeczył Scragger. - Przeprowadzamy tylko testowanie na ziemi.

- Och, ale pan wyjeżdża, pan! Nie ma... nie będzie jutro wymiany załóg, walizka nie jest potrzebna. Widziałem aghę Bensona z walizkami. A dlaczego wszystkie części zapasowe są wysłane, a wszyscy piloci i mechanicy... - Po twarzy zaczęły mu spływać łzy. - To prawda...

- Posłuchaj, synu, jesteś jakiś nie w sosie. Weź sobie wolny dzień.

- Ale wy wyjeżdżacie, jak ci z Bandar Dejlamu. Wyjeżdżacie dzisiaj, a co będzie z nami?

Z głośnika krótkofalówki popłynął potok farsy. Młodzieniec otarł łzy i włączył nadawanie.

Odpowiedział w farsy i dodał po angielsku:

- Zostaję na nasłuchu. - I wymamrotał żałośnie do Scraggera: - To agha Dżahan powtórzył wiadomość, którą podał już dziesięć minut temu. Cztery 212 zniknęły, agha. Odleciały.

Wystartowały o 7:32 do Iran-Tody, ale nie wylądowały tam, tylko poleciały w głąb lądu.

Scragger opadł na krzesło, próbując zachować spokój. Znów głos z radia, teraz po angielsku:

- Teheran, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie?

- Wywołuje Teheran co kilka minut. I Kowiss, ale nie dostaje odpowiedzi... - W oczach młodzieńca zabłyśły znów łzy. - Czy ci z Kowissu też wyjechali, agha? Czy nie ma już naszych ludzi w Teheranie? Co mamy zrobić, kiedy wyjedziecie? - Silniki pierwszego z 212

hałaśliwie rozpoczęły pracę, po chwili drugiego. - Agha - powiedział niespokojnie Ali Pasz - teraz musimy prosić Kisz

» o zgodę na uruchomienie silników.

454

455

- Nie ma sensu zawracać im głowy w piątek, to tylko próba - powiedział Scragger.

Włączył radiostację i potarł podbródek; czuł się jakoś nieświeżo i był niespokojny. Lubił

Alego Pasza, a to, co młodzieniec powiedział, było prawdą. Kiedy wyjadą, nie będzie pracy, a dla takich jak Ali Pasz pozostaje tylko Iran. Bóg jeden wie, co się tu jeszcze wydarzy. Z

głośnika popłynął głos Willego:

- Licznik momentu oporowego śmigła nawala, Scrag.

Scragger wziął do ręki mikrofon.

- Zabierz maszynę w kapustę i przetestuj. - Chodziło o teren położony o jakieś osiem kilometrów dalej w głąb lądu. Przeprowadzali tam próby silników i mogli ćwiczyć procedury awaryjne. - Zostań tam, Willi, a w razie czego mogę zawsze podrzucić ci Bensona, żeby coś wyregulował. Jak leci, Ed?

- Pierwsza klasa, naprawdę, Scrag. Jak skończę, chciałbym potrenować awarię silnika.

Przecież niedługo muszę odnowić swoją licencję. Willi może mnie asekurować, co?

- Dobra. Zgłoś się za godzinę. - Scragger podszedł do okna. Cieszył się, że może odwrócić się plecami do Alego Pasza i jego smutnego, oskarżycielskiego spojrzenia. Oba helikoptery wystartowały i skierowały się w głąb lądu. Wydawało się, że w biurze jest duszno. Otworzył okno. Ali Pasz siedział z ponurym wyrazem twarzy przy radiu. - Dlaczego nie weźmiesz wolnego dnia, chłopcze?

- Muszę odpowiedzieć Bandar Dejlamowi. Co mam powiedzieć, agha?

- A o co Dżahan cię pytał?

214

- Powiedział, że agha Numir chce wiedzieć, czy zauważyłem coś dziwnego, na przykład wywożenie części, znikanie helikopterów, pilotów i mechaników.

Scragger spojrzał na niego.

- Wygląda na to, że nic takiego się nie dzieje. Ja jestem tutaj, mechanicy na pikniku, Ed i Willi dokonują rutynowej kontroli. Rutynowej. Dobra? - Nie spuszczał

456

wzroku z rozmówcy; chciał, żeby przeszedł na ich stronę. Nie mógł mu niczego wytłumaczyć ani dać żadnego pizkeszu, oprócz... - Czy zgadzasz się na to, co się tu stanie, synu? - zapytał

ostrożnie. - Chodzi o to, jaką masz tu przyszłość?

- Przyszłość? Moja przyszłość jest w firmie, jeśli... jeśli wyjedziecie, to... to nie mam pracy, nie... nie będzie mnie stać... stać na nic... Jestem jedynym synem...

- Gdybyś chciał wyjechać, miałbyś przyszłość i pracę poza Iranem. Gwarantowaną.

Młodzieniec otworzył szerzej oczy; zrozumiał nagle, co oferuje mu Scragger.

- Ale... ale co jest gwarantowane, agha? Życ na waszym Zachodzie? Ja sam? Co z moją rodziną, z moją narzeczoną?

- Na te pytania nie mam odpowiedzi, Ali Pasz

- odparł Scragger, patrząc na zegar. Był świadom upływu czasu. Szykował się do obezwładnienia mężczyzny, który był wyższy niż on, silniej zbudowany i młodszy o trzydzieści pięć lat. Potem uszkodziłby radiostację. Trudno, synu, tak czy inaczej musisz z nami współpracować. Nieznacznie się przysunął, by przyjąć lepszą pozycję. - Wy mówicie w takich wypadkach In sza'a Allah - zauważył łagodnie i przygotował się do ataku.

Słyszając słowa starszego człowieka, którego bardzo szanował, Ali Pasz poczuł, że ogarnia go fala

ciepła.

- To mój dom, agha, mój kraj - powiedział po prostu. - Imam jest imamem i słucha tylko Boga. Przyszłość jest przyszłością i leży w rękach Boga. Także przeszłość jest przeszłością.

Zanim Scragger mógł go powstrzymać, wezwał Bandar Dejam. Teraz mówił w farsji do mikrofonu. Dwaj radiooperatorzy rozmawiali przez chwilę. Potem Ali przerwał nagle połączenie. Spojrzał na Scraggera.

- Nie winię was za to, że wyjeżdżacie - oświadczył.

- Dziękuję, agha za... za przeszłość. - Potem starannie wyłączył radiostację, wyjął przerywacz obwodu i schował go do kieszeni. - Powiedziałem mu, że... że dzisiaj nie działamy.

457

Scragger odetchnął.

- Dzięki, synu.

Otworzyły się drzwi; w progu stał Keszemi.

- Chcę przeprowadzić inspekcję bazy - powiedział.

BIURO W ASZ SZARGAZ. - ...a potem, Andy

- mówiła Manuela - operator radiowy z Lengeh, Ali Pasz, powiedział do Dżahana: „Nie, nie dzieje się nic dziwnego”. Nagle dodał: „Muszę już zamykać, idę na modlitwę”. Numir natychmiast poprosił, żeby jeszcze chwilę zaczekał. Odpowiedzi nie było.

- Nagle? - zapytał Gavallan. Scot i Nogger z uwagą przysłuchiwali się rozmowie. - Co to znaczy „nagle”?

- Tak jakby miał już dość albo ktoś mu przyłożył pistolet do głowy. Irańczycy nie kończą tak szybko rozmów. - Manuela dorzuciła niespokojnie: - Może to tylko moja wyobraźnia, Andy.

- Czy to znaczy, że Scragg tam jeszcze jest, czy nie? Scot i Nogger spojrzeli ponuro, przerażeni taką ewentualnością. Manuela nerwowo poruszyła się na krześle.

Gdyby był, chyba odpowiadałby sam, żeby dać nam o tym znać? Ja chyba tak bym zrobiła.

Może on...

- Zadzwoił telefon. Odebrał Scot.

215

- S-G? Och, cześć, Charlie, poczekaj. - Podał słuchawkę ojcu. - Z Kuwejtu...

- Witaj, Charlie. Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. Jestem na lotnisku, dzwonię z biura Patricka, od Guerneya. - Choć obie firmy rywalizowały ze sobą na całym świecie, utrzymywały bardzo przyjazne stosunki. - Co słychać?

- Delta Cztery, poza tym na razie nic nowego. Jean-Luc zameldował się z Bahrajnu. Jest z Delarne'em, w Gulf Air de France, gdybyś czegoś od niego chciał. Czy Genny jest z tobą?

- Nie, wróciła do hotelu. Ja przygotowuję wszystko na powrót Maca i innych.

- Powiedziałaś Patrickowi, Charlie? - zapytał po cichu Gavallan. Usłyszał sztuczny śmiech Pettikina.

- To zabawne, Andy. Jest tu facet z British Airways, paru innych i Patrick. Wymyślili jakiś absurd, że niby zabieramy z Iranu nasze ptaszki. Możesz sobie wyobrazić?

Gavallan westchnął.

- Nie spiesz się Charlie, trzymaj się planu. - Oznaczało to, że trzeba zachować tajemnicę, dopóki helikoptery z Kowissu nie znajdą się w Kuwejcie, a potem zaufać Patrickowi. -

Zadzwoń, gdy będę miał coś nowego, cześć. Och, poczekaj, byłbym zapomniiał. Pamiętasz Rossa, Johna Rossa?

- Jak mógłbym zapomnieć? A o co chodzi?

- Słyszałem, że jest w Kuwejcie, w Szpitalu Międzynarodowym. Sprawdź przy okazji, jak się czuje, dobrze?

- Oczywiście, od razu, Andy. Co mu jest?

- Nie wiem. Zadzwoń, gdy będziesz miał jakieś wiadomości. Do usłyszenia. - Odłożył

słuchawkę i westchnął. - W Kuwejcie już się o tym mówi.

- Jezu, jeśli to... - Scotowi przerwał dzwonek telefonu. - Tak? Chwileczkę. To pan Newbury, tato.

Gavallan wziął słuchawkę.

- Dzień dobry, Roger, jak leci?

- No cóż, sam chciałem cię o to zapytać. Jak przedstawiają się sprawy? Oczywiście, poza protokołem.

- Dobrze, nieźle - odparł niezobowiązująco Gavallan. - Czy będziesz przez cały dzień w biurze? Wpadnę do ciebie, ale przed wyjazdem zadzwonię.

- Tak, proszę. Będę tu do południa. Zaczyna się długi weekend, wiesz. Proszę, zatelefonuj do mnie od razu, gdy będziesz coś wiedział. Poza protokołem. Od razu. Trochę się martwimy.

Możemy o tym pomówić, kiedy przyjedziesz. Do zobaczenia.

- Zaczekaj, masz jakieś wiadomości o Rossie?

- Tak, rzeczywiście. Bardzo mi przykro, ale zrozumieliśmy, że jest bardzo ciężko ranny i chyba nie przeżyje. Cholernie smutne, ale cóż robić. Do zobaczenia przed południem.

Gavallan odłożył słuchawkę. Wszyscy patrzyli na ' niego w skupieniu.

458

459

- Co się stało? - zapytała Manuela.

- Niestety... wygląda na to, że Ross jest ciężko ranny i nie przeżyje.

- Co za podła sprawa! - mruknął Nogger. - Mój Boże, to niesprawiedliwe... - Opowiedział im o Rossie, o tym, jak kapitan uratował ich i Azadeh.

Manuela przeżegnała się. Zaczęła modlić się żarliwie do Madonny, żeby mu pomogła. Potem błagała ją, żeby wszyscy mężczyźni wrócili bezpiecznie, wszyscy bez różnicy, oraz Azadeh, i Szahrazad, i żeby był pokój, proszę, proszę, proszę...

- Tato, czy Newbury powiedział, co się stało?

Gavallan pokręcił przecząco głową. Myślał o Rossie. W tym samym wieku, co Scot, tylko twardszy i bardziej odporny, i niezniszczalny, a teraz... Biedny chłopak! Może się jakoś

wyliże? Och, Boże, mam nadzieję, że tak! Co robić? Kontynuować. To wszystko, co mogę zrobić. Azadeh będzie wstrząśnięta, biedna dziewczyna. Erikki też; zawdzięcza mu życie żony.

- Zaraz wracam - powiedział i wyszedł do innego pokoju, skąd mógł zadzwonić do Newbury'ego i rozmawiać bez świadków.

Nogger stał przy oknie wychodzącym na lotnisko, ale nie zwracał uwagi na widok. Widział

maniakalnego zabójcę o dzikim spojrzeniu, podnoszącego w górę odciętą głowę, wyjącego jak wilk do księżyca, anioła nagłej śmierci, który daje życie - jemu, Arberry'emu, Dib-ble'owi, a przede wszystkim Azadeh. Boże, jeśli jesteś Bogiem, ocal go tak, jak ocaliłeś nas...

- Teheran, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie? Ko-wiss, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie? Asz Szargaz, tu Bandar Dejam, słyszysz mnie?

- Równe pięć minut - mruknął Scot. - Dżahan nie traci ani jednej cholernej sekundy. Czy Sijamaki nie powiedział, że będzie w biurze od dziewiątej?

- Tak, tak powiedział.

Wszyscy spojrzeli na zegar. Była 8:45.

460

W LENGEH, 9:01. Keszemi stał w hangarze i przyglądał się dwóm zaparkowanym w środku 206. Za nim stali zdenerwowani Scragger i Ali Pasz. Promień słońca przedarł się na chwilę przez chmury i zamigotał na 212, stojącym na lądowisku helikopterowym pięćdziesiąt metrów dalej, na pokieroszonym samochodzie policyjnym i jego kierowcy, kapralu Ahmedzie, tkwiącym obok wozu.

- Czy latał pan jedną z tych maszyn, ekscelencjo Pasz? - zapytał Keszemi.

- 206? Tak, ekscelencjo sierżancie - odparł Ali, obdarzając żandarma swym najbardziej ujmującym uśmiechem. - Kapitan czasem zabiera mnie albo drugiego radiooperatora, gdy nie mamy służby. - Żałował teraz, że jakiś diabeł skierował tu dziś jego kroki. Bardziej, niż żałował, ponieważ nie miał już odwrotu: był zamieszany w liczne zbrodnie. Złamał przepisy, skłamał policji i nie zameldował o dziwnych zdarzeniach. - Kapitan na pewno zabrałby i pana zawsze, gdyby pan sobie tego życzył - powiedział uprzejmie, koncentrując się na tym, jak wydostać się z pułapki, w którą zapędzili go szatan i kapitan.

- Czy dzisiejszy dzień byłby dobry?

Ali Pasz niemal wił się, czując na sobie przenikliwe spojrzenie.

- Oczywiście, oczywiście, gdyby poprosił pan kapitana, agha. Chce pan, żebym ja zapytał?

Keszemi nie odpowiedział. Wyszedł z hangaru, nie zwracając uwagi na sześciu ludzi z Zielonych Opasek, którzy przyglądali się mu ze zdziwieniem. Zwrócił się w farsi bezpośrednio do Scraggera:

- Gdzie są teraz wszyscy, agha?

Ali Pasz tłumaczył, choć zmieniał słowa, sprawiając, że brzmiały lepiej i były do przyjęcia.

Wyjaśniał, że z powodu piątku nie ma zwykłych lotów, że personel irański ma wolne, a kapitan wysłał 212 na wyznaczony teren treningowy w celu sprawdzenia maszyny i pozwolił

pozostałym mechanikom pojechać na piknik. On sam

461

pójdzie do meczetu, gdy tylko Jego Ekscelencja sierżant skończy to, co pragnie skończyć.

Scragger był zły, że nie zna farsy. Nie lubił nie panować nad sytuacją, a nie panował. Życie jego i jego ludzi spoczywało w rękach Alego Pasza.

- Jego Ekscelencja pyta, co zaplanował pan na resztę dnia?

- Cholernie dobre pytanie - mruknął Scragger. Przyszło mu na myśl rodzinne powiedzonko przekazywane z pokolenia na pokolenie, pochodzące od przodka, którego zesłano dożywotnio do Australii w dziewiętnastym wieku: „Wisisz za owcę, wiesz za barana, mogłeś równie dobrze ukraść całe to cholerne stado”. - Powiedz mu, proszę, że gdy tylko skończy, jadę w kapustę, żeby sprawdzić Eda Vossiego. On musi przedłużyć licencję.

217

Scragger czekał i zastanawiał się, co zrobi, jeśli Keszemi powie: „Świetnie, jadę z panem”.

- Jego Ekscelencja pyta, czy byłby pan tak uprzejmy i pożyczył policji trochę benzyny?

- Co?

- Chce dostać trochę benzyny, kapitanie. Pożyczyć trochę benzyny.

- Och, oczywiście, agha. - Przez chwilę Scraggera przepelniała nadzieja. Spokojnie, synu, pomyślał. Teren szkoleniowy nie jest tak daleko. Keszemi może potrzebować paliwa, żeby tam pojechać. - Chodź, Ali Pasz, pomożesz mi - poprosił, nie chcąc zostawiać Irańczyka sam na sam z Keszemim. Ruszył w kierunku pompy i zaprosił gestem kierowcę policyjnego samochodu. Rękaw trzepotał. Scragger zobaczył, że chmury rozbudowują się i pędzą po niebie szarpane przeciwnym wiatrem. Tu, na dole, utrzymywał się jeszcze wiatr z południowego wschodu, choć kierunek zmienił się nieco ku południowemu. To dobre dla nas, ale cholerny, czołowy wiatr dla innych, pomyślał ponuro.

W HELIKOPTERACH ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ DO WYSPY KISZ, 9:07. Cztery helikoptery Rudiego le-462

ciały w zasięgu wzroku, w szyku bardziej zwartym niż poprzednio, ocierając się niemal o wierzchołki fal. Widoczność wahała się od dwustu metrów do pół kilometra. Wszyscy piloci oszczędzali benzynę w trosce o jak największy zasięg; Rudi znów pochylił się i spojrzął na wskaźnik paliwa. Igła przesuwiała się powoli, ale wskazywała już mniej niż połowę zbiorników.

- Nie ma problemu, Rudi, maszyna jest dobrze wyregulowana - powiedział Faganwitch przez interkom.

- Mamy dużo czasu na tankowanie, prawda? Lecimy według rozkładu?

- Och, tak. - Mimo to Rudi jeszcze raz obliczył zasięg. Przy takich obliczeniach zawsze dochodził do tego samego wyniku: wystarczy do Bahrajnu, ale nie będzie przewidzianej przepisami rezerwy.

- Teheran, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie?

Głos Dżahana rozbrzmiewał w słuchawkach z irytującą regularnością. Rudi przez chwilę miał ochotę wyłączyć radio, ale porzucił tę myśl jako zbyt niebezpieczną.

- Bandar Dejlam, tu Teheran. Słyszemy cię pięć na pięć, mów!

Teraz farsi. Rudi wyłowił z potoku wymowy tylko słowo „Sijamaki”, powtarzane wielokrotnie. Potem rozpoznał głos Sijamakiego - zwykle arogancki, a teraz przepełniony wściekłością.

- Zostań na nasłuchu Bandar Dejlam! Asz Szargaz, tu Teheran, słyszycie mnie? |— Potem jeszcze gniewniej:

- Asz Szargaz, tu dyrektor Sijamaki, słyszycie mnie?

Żadnej odpowiedzi. Wezwanie powtórzyło się jeszcze kilkakrotnie. Potem znów dało się słyszeć farsi. Faganwitch krzyknął:

- Z przodu! Uwaga!

Pędził na nich wyłaniający się z mgły supertanko-wiec, długi prawie na czterysta metrów, górujący nad nimi, przytłaczający swym ogromem. Płynął w kierunku Iraku, wydając przeciwmgielne sygnały dźwiękowe. Rudi wiedział, że jest w potrzasku; nie zdąży się wznieść, nie ma miejsca na zwrot w prawo lub lewo: zderzyłby się z kolegami. Zastosował

więc procedurę awaryjnego ha-

463

mowania. Z lewej strony Kelly, przechylając się niebezpiecznie, ledwie minął rufę. Sandor, lecący na prawym skrzydle, minął bezpiecznie dziób. Dubois włączył natychmiast maksymalną moc, pochylił maszynę w prawo i zaczął nabierać wysokości pod zbyt ostrym kątem 50 stopni, 60, 70, 80, dziób pędził na niego. Nie zdąży go ominąć.

- Espece de eon...

218

Nie da rady, drążek do tyłu, przeciążenie wcisnęło jego i Fowlera w fotele, okrężnica statku pędziła na nich. Przelecieli nad fordekiem, mijając go o milimetry; marynarze rozpierzchli się w panice. Dubois, gdy był już bezpieczny, zawrócił o 180 stopni.

Rudi ściągnął drążek na siebie, ustawiając śmigłowiec nosem do góry, wyłączył moc, wiedział, że prędkość gwałtownie maleje, nos jeszcze trochę wyżej, nie ma czasu na modlitwę, nos wyżej, burta tankowca coraz bliżej, nos nadal wysoko, brzęczyk wskazujący utratę równowagi, nie dam rady, brzęczyk niemal wyje, maszyna lada chwila runie do morza, tankowiec już tylko o metry, widać nity, luki cumownicze, rdzę, łuszczącą się farbę, bliżej, ale coraz wolniej, za późno, za późno, ale może to złagodzi zderzenie, teraz spadanie, drążek do przodu, pełna moc, żeby złagodzić siłę pędu i opaść.

Maszyna zawisła nagle półtora metra nad falami; końce śmigła tylko o centymetry od tankowca, który przesuwał się łagodnie wzdłuż helikoptera. Rudiemu udało się cofnąć o metr, potem drugi.

Gdy mógł skoncentrować wzrok, spojrzął do góry. Widział stojących na mostku oficerów, którzy się w nich wpatrywali; większość gniewnie wygrażała pięściami. Jakiś purpurowy na twarzy mężczyzna dopadł do głośnika i krzyczał:

- Cholerny idiota!

Nie słyszeli jednak jego słów. Minęła ich rufa, a śruba opryskała śmigłowiec kroplami wody.

Droga była wolna.

- Jjja iddę... się... wysrać - wyjąkał osłabły Fagan-witch i zaczął wczołgiwać się z powrotem do kabiny.

464

Możesz też zrobić to za mnie, pomyślał Rudi, ale nie miał już tyle energii, żeby to powiedzieć. Dygotały mu kolana i szczekał zębami. Tylko ostrożnie, mruknął. Otworzył

przepustnicę, nabrał wysokości i był już zupełnie bezpieczny. Ani śladu innych. Nagle dostrzegł Kelly'ego, który krążył i obserwował morze. Gdy Kelly zobaczył helikopter Rudiego, radośnie zakołysał maszyną, podleciał i uniósł kciuk. Żeby zaoszczędzić cennego paliwa innym pilotów, którzy zawracali właśnie, aby poszukiwać szczątków, Rudi zbliżył

usta do mikrofonu i syknął:

- Kropka, kropka, kropka, kreska, kropka, kropka, kropka, kreska, kropka, kropka, kropka, kreska.

Był to ich prywatny sygnał, oznaczający, że wszyscy mają lecieć do Bahrajnu oddzielnie; przy okazji dawał im znać, że żyje. Usłyszał, że Sandor potwierdził odbiór, posługując się tą samą imitacją alfabetu Morse'a, potem Dubois, który wyłonił się z mgły, dodając kilka trzasków charakterystycznych dla fal radiowych; obaj popędzili do przodu. Pop Kelly pokręcił głową, wskazując, że wolałby lecieć razem.

W słuchawkach rozległo się jeszcze raz:

- Asz Szargaz, tu agha Sijamaki z Teheranu, słyszycie mnie? - Potem znów farsi. - Asz Szargaz...

W BIURZE W ASZ SZARGAZ. - ...tu agha Sijamaki...

Potem znów potok farsi. Gavallan bębnił palcami w blat biurka. Udawał spokój, ale spokojny nie był. Nie udało mu się dodzwonić do Pettikina, gdyż Charlie wyszedł już do szpitala. Nie mógł zrobić niczego, żeby usunąć Sijamakiego i Numira z fal eteru. Scot przykręcił trochę głośność, dzięki czemu głos stał się trochę mniej denerwujący. Scot i Nogger udawali nonszalancję.

- On zupełnie zwariował, Andy - powiedziała chrapliwie Manuela.

W LENGEH, 9:26. Scragger wlewał benzynę do baku policyjnego samochodu. Pojawiła się piana; przelał, za-465

brudził się. Klnąc odwiesił końcówkę pompy. Przyglądało się temu uważnie dwóch ludzi z Zielonych Opasek. Kapral zamknął wlot baku. Keszemi powiedział coś do Alego Pasza.

219

- Jego Ekscelencja pyta, czy mógłby pan odstąpić mu kilka pięciogalonowych kanistrów, kapitanie. Oczywiście pełnych.

- Jasne, dlaczego nie? Ile chce?

- Mówi, że może zabrać trzy w bagażniku i dwa w kabinie. Pięć.

- Dobra. Pięć.

Scragger znalazł kanistry i napełnił je; razem zapakowali benzynę do samochodu. Zrobił się koktajl Moło-towa, pomyślał. Chmury burzowe budowały się szybko. W górach mignęła błyskawica.

- Powiedz mu, żeby lepiej nie palił w samochodzie.

- Jego Ekscelencja dziękuje panu.

- Do usług. - W górach rozległ się grzmot; tym razem błyskawica była jaśniejsza. Keszemi rozglądał się bez pośpiechu. Dwaj ludzie z Zielonych Opasek czekali. Kilku innych przykucnęło w miejscu osłoniętym od wiatru; wyglądali na znudzonych. Scragger nie mógł

już dłużej tego znieść. - No cóż, agha, lepiej już pójde

- powiedział, wskazując 212, a potem niebo. - W porządku?

Keszemi spojrzał na niego podejrzliwie.

- W porządku? Co w porządku, agha?

- Już startuję. - Scragger naśladował rękoma lot i nie przestawał się uśmiechać. - Mammunam choda hafez. Dziękuje, do widzenia. - Wyciągnął rękę.

Sierżant spojrzał na rękę, a potem na twarz pilota. Obrzucił go złośliwym spojrzeniem.

- W porządku - powiedział. - Do widzenia, agha.

- Uścisnął wyciągniętą dłoń.

Po twarzy Scraggera spływał pot; zmusił się, żeby go nie obetrzeć.

- Mammunam choda hafez, Agha. - Spojrzał na Alego Pasza. Chciał się z nim pożegnać, wymienić uścisk dłoni, postanowił jednak nie kusić złego losu. Prze-466

chodząc, poklepał go tylko po plecach. - Do zobaczenia, synu. Powodzenia.

- Dobrych lądowań, agha. - Ali Pasz patrzył, jak Scragger wchodzi do kokpitu i odlatuje, machając na pożegnanie ręką. Odwzajemnił ten gest. Zobaczył, że Keszemi na niego patrzy. -

Jeśli wolno, jeśli mi pan wybaczy, ekscelencjo sierżancie, zamknę biuro i pójdę do meczetu.

Keszemi skinął głową i spojrzał na oddalający się 212. Jak łatwo ich przejrzeć, myślał, starego pilota i tego młodego głupca. Tak łatwo czytać w myślach ludzi, jeśli jest się cierpliwym i uważnie obserwuje. Nielegalny odlot jest bardzo niebezpieczny, a jeszcze niebezpieczniejsze jest pomaganie w tym cudzoziemcom. Szaleństwo! Ludzie są bardzo dziwni. Wedle woli Boga.

Jeden z Zielonych Opasek, młodzieniec z zaczątkami zarostu i z AK47 w dłoni, podszedł

bliżej i spojrzał znacząco na kanistry z benzyną na tylnym siedzeniu samochodu. Keszemi nic"nie powiedział, pokiwał tylko głową. Młody człowiek też pokiwał głową, rzucił ostre spojrzenie i odszedł, aby dołączyć do kolegów.

Sierżant usiadł za kierownicą. Trędowate psie syny, pomyślał, dzięki Bogu jeszcze nie wy jesteście w Lengeh prawem.

- Czas na nas, Ahmedzie, czas.

Gdy kapral zajmował miejsce w samochodzie, Keszemi zobaczył, że helikopter znika za wzniesieniem. Nadal łatwo cię schwytać, stary człowieku, pomyślał. Tak łatwo można zaalarmować lotnictwo; nasze telefony działają i mamy bezpośrednie połączenie z bazą myśliwców na Kiszu. Czy kilkugalonowy pizkesz jest dostateczną zapłatą za twoją wolność?

Jeszcze nie wiem.

- Podrzucę cię do posterunku, Ahmedzie, a potem nie będzie mnie aż do jutra. Zatrzymam do tego czasu samochód.

220

Keszemi zwolnił sprzęgło. Może powinniśmy wyjechać z cudzoziemcami? Łatwo byłoby ich zmusić, żeby zabrali moją rodzinę i mnie, ale to by oznaczało życie po niewłaściwej stronie Zatoki Perskiej, życie wśród Ara-467

bów. Nigdy nie lubiłem Arabów, nie ufałem im. Nie, mój plan jest lepszy. Po cichu, starą drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża, całą dzień i całą noc, a potem statkiem mojego kuzyna do Pakistanu; zostanie jeszcze dużo benzyny na pizkesz. Tam jest już wielu naszych ludzi.

Zapewnię żonie, synowi i malutkiej Susan godziwe życie do czasu, gdy z bożą pomocą będziemy

mogli wrócić do domu. Tu jesteśmy teraz zniechęceni; zbyt wiele lat służyliśmy Szachowi. To były dobre lata: szachowie byli dla nas dobrzy. Dostawaliśmy pensję.

NA PÓŁNOC OD LENGEH, 9:23. „Kapusta” znajdowała się o dziesięć kilometrów na północny wschód od bazy. Była bezludnym, skalistym terenem u podnóża gór. Stały tam dwa helikoptery zaparkowane koło siebie; ich silniki pracowały na wolnych obrotach. Ed Vossi stał przy okienku kokpitu Willego.

- Chce mi się rzygać, Willi.

- Mnie też. - Willi poprawił słuchawki; krótkofalówka nastawiona była zgodnie z planem na nasłuch; żadnego nadawania z wyjątkiem nagłych wypadków.

- Złapałeś coś, Willi?

- Nic, tylko trzaski.

- Co za gówno! Scrag musi mieć cholerne kłopoty. Za minutę polecę tam i sprawdzę, Willi.

- Razem polecimy. - Willi patrzył na pasmo słońca; widoczność nie przekraczała kilometra, chmury były czarne, zwarte. - To nie jest pogoda na wesołą przejażdżkę, Ed.

- Fakt.

Nagle twarz Willego pojaśniała. Wskazał kierunek ręką.

- Jest!

212 Scraggera zbliżał się powoli na pułapie około dwustu metrów. Vossi wskoczył do swego kokpitu. Rzucił do mikrofonu:

- Jak twój licznik, Willi?

- Nie najlepiej, Scrag - odpowiedział radośnie Willi, wymieniając imię zgodnie z umową; ktoś mógł pod-468

słuchiwać. - Poprosiłem Eda, żeby go obejrzał; on też nie wie na pewno. Jego radio nie działa.

- Wyląduję i odbędziemy małą konferencję. Scrag-ger do bazy, słyszycie mnie? - Odpowiedź nie padła.

- Scragger do bazy. Będziemy jakiś czas na ziemi.

- Znów żadnej odpowiedzi.

Willi pokazał Vossiemu uniesiony kciuk. Obaj otworzyli przepustnice, koncentrując uwagę na

Scraggerze, który wykonywał powolne podejście do lądowania.

Nad samą ziemią Scragger wstrzymał schodzenie i ruszył pędem w kierunku wybrzeża. Teraz ogarnęła ich radość. Vossi krzyknął wesoło, nawet Willi się uśmiechnął.

Scragger pokonał wzniesienie terenu i pognał w dół. Widział już brzeg i furgonetkę zaparkowaną na skalistej plaży nad samym morzem. Na chwilę wstrzymał oddech; teren lądowania zajmowało stado kóz pilnowanych przez trzech pasterzy. Na plaży, pięćdziesiąt metrów dalej, stał samochód, byli jacyś ludzie, bawiły się dzieci. A przecież nigdy jeszcze w tym miejscu nikogo nie widział. Po morzu krążył mały ślizgacz. To mogła być łódź rybacka albo jedna z łodzi patrolujących zwykle wybrzeże, polujących na przemytników i uciekinierów. Tu, tak blisko Omanu i pirackiego wybrzeża, patrole przybrzeżne były tradycyjnie częste.

Za późno na zmianę planu, pomyślał z sercem bijącym szybciej niż zwykle. Zobaczył, że Benson i dwaj inni mechanicy wskoczyli na jego widok do furgonetki i ruszyli w stronę 221

umówionego lądowiska. Willi i Vossi zwolnili, żeby dać mu czas. Bez wahania rozpoczął prędkie lądowanie. Kozy rozpięzchły się, pasterze i ludzie z samochodu zamarli. - Szybko! - krzyknął w chwili, gdy płozy dotknęły ziemi.

Mechaników nie trzeba było przynaglać. Benson podbiegł do drzwi kabiny i otworzył je.

Popędził z powrotem, żeby pomóc kolegom, którzy otwierali już tylne drzwiczki furgonetki.

Razem wyciągnęli walizki, torby i resztę bagażu; zaczęli to wszystko upychać w kabinie, pomiędzy częściami zamiennymi. Scragger rozejrzał się.

469

Zobaczył, że maszyny Willego i Vossiego zawisły nieruchomo w powietrzu.

- Na razie jakoś leci - stwierdził, koncentrując uwagę na gapiach, którzy ochłonęli już trochę i podeszli bliżej.

Rozglądał się wokół; jak dotąd, żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa. Upewnił się jednak na wszelki wypadek, że nabita rakieta tkwi na swoim miejscu. Ponaglił

mechaników. Bał się, że w każdej chwili może pojawić się na drodze pędzący samochód policyjny. Druga tura ładunku, potem następna, wreszcie ostatnia. Spoceni mechanicy weszli do kabiny i zatrzasnęli drzwi. Benson opadł na fotel w kokpicie i zaklął.

- Muszę wyjść; nie wyłączyłem silnika w furgonetce.

- Do diabła z nią, jedziemy. - Scragger otworzył przepustnicę i wzniosł śmigłowiec w powietrze, podczas gdy Benson zatrzaskiwał drzwi i zapinał pasy. Znaleźli się nad falami zatoki i zaczęli

zagłębiać w mgłę. Scragger rozejrzał się na boki. Willi i Vossi lecieli blisko, po obu stronach. Miał wielką ochotę powiedzieć przez radio do Gavallana: Lima Trzy. Nie szkodzi, migiem tam dolecimy!

Odetchnął z ulgą, gdy minęli pierwszą z platform wiertniczych. Cholera, że też musiałem zostawić tak Alego Pasza, zostawić Georges'a de Plesseya i jego chłopaków, zostawić dwa 206, zostawić wszystko. No dobra, zrobiłem, co mogłem. W szufladzie biurka zostawiłem wszystkie pieniądze, jakie miałem, i rekomendacje oraz gwarancje zatrudnienia dla Alego Pasza i innych, kiedy wrócimy - jeśli w ogóle wrócimy...

Sprawdził kurs. Kierowali się na południowy zachód do Siri, jakby wykonywali swój normalny lot; to na wypadek, gdyby wykrył ich radar. Koło Siri skręcają na południowy wschód do Asz Szargaz. Wszystko poszło dobrze, pomyślał i dotknął łapki królika, którą dostał na szczęście od Nelly tak wiele lat temu. Minęli następną platformę, Siri Sześć. W

śluchawkach zabrzmiały wyładowania elektryczne, na tle których rozległ się wyraźnie głos:

- Hej, Scragger, ty i les gars, jesteście nisko, n'est-ce pas?

Głos należał do Francois Menange'a, kierownika platformy, którą właśnie minęli. Przeklinał

w duchu czujność tego człowieka. Żeby go uciszyć, włączył nadawanie:

- Cicho sza, Francois, dobra? Ćwiczenia. Będziesz cicho, co?

W słuchawkach zabrzmiał śmiech.

- Bień sur, ale chyba zwariowaliście. Ćwiczyć niskie latanie przy takiej pogodzie!... Adieu.

Scraggera znów oblał zimny pot. Na drodze do otwartego morza jeszcze cztery platformy.

Weszli w pierwszy szkwał. Uderzył w nich wiatr, deszcz zabębnił o szyby, błyskało. Willi i Vossi dokładnie trzymali szyk. Scragger cieszył się, że leci właśnie z nimi. Chyba ze czterdzieści razy myślałem, że Keszemi powie: „Ty pójść ze mną” i zabierze mnie na dołek.

Ale nie zrobił tego, i oto lecimy. Za godzinę i jakieś czterdzieści minut będziemy w domu, a Iran pozostanie tylko wspomnieniem.

470

W DOWÓDZTWIE BAZY LOTNICTWA W KO-WISSIE, 9:46. Mułła Hosejn cierpliwie powtórzył:

- Proszę powiedzieć mi coś więcej o wicepremierze Alim Kia, kapitanie.

Siedział za biurkiem w biurze komendanta bazy. Mężczyzna o brutalnej twarzy i z zieloną opaską na rękę pilnował drzwi.

222

- Powiedziałem już wszystko, co wiem - odparł wyczerpany NcIver.

- Więc proszę opowiedzieć mi o kapitanie Starke'u. - Był grzeczny, nalegający i tak spokojny, jakby mieli przed sobą cały dzień, całą noc i jeszcze następny dzień.

- O nim też już mówiłem, agha. Opowiadałem o nich obu prawie przez dwie godziny. Jestem zmęczony i nie mam już nic do dodania. - NcIver wstał, przeciągnął się i znów usiadł. Nie ma sensu próbować

wyść; już raz spróbował; strażnik z Zielonych Opasek nakazał mu gestem powrót. - Nie przychodzi mi do głowy nic więcej, chyba że ma pan na myśli coś szczególnego.

Nie dziwił się pytaniom dotyczącym Kia. Powtórzył wielokrotnie opowieść o tym, jak kilka tygodni wcześniej Kia pojawił się nagle znikąd i został członkiem zarządu, o swych nielicznych kontaktach z tym człowiekiem, choć nie o czekach banków szwajcarskich, które utorowały drogę 125 i wyrwały trzy 212 z kotła. Niech mnie szlag trafi, jeśli doniosę na Kia tak jak Wazari, powiedział sobie w duchu.

Kia, to rozumiem, ale dlaczego pyta o Starke'a? Kiedy Duke chodził do szkoły, co jada, jak długo jest żonaty, czy miał wcześniej inne żony, jak długo pracuje w spółce, czy jest katolikiem, czy protestantem... Wszystko, co tylko go dotyczy, a potem znów te same pytania.

Nie można go zadowolić. I zawsze spokojna, wymijająca odpowiedź na jego pytanie: dlaczego?

- Ponieważ on mnie interesuje, kapitanie.

NcIver wyrzwał przez okno. Krople deszczu, niskie chmury, odległy grzmot. W chmurach burzowych na wschodzie będą ciągi wznoszące i trochę prawdziwych zawirowań - wspaniała osłona do skoku przez zatokę. Jak idzie Scragowi i Rudiemu? - pomyślał nagle. Z wysiłkiem zostawił tę myśl na później. Odłożył też na potem zmęczenie i troskę, o to, co, do cholery, on jeszcze wymyśli, kiedy skończy to przesłuchanie? Jeśli w ogóle skończy. Uwaga! Skoncentruj się! Możesz popełnić jakiś błąd, a wtedy wszystko przepadnie!

Wiedział, że zapas jego sił jest już na wyczerpaniu. Zeszłej nocy źle spał; to też nie pomagało.

Ani przygnębienie Locharta z powodu Szahrazad. Tomowi trudno znieść prawdę; mnie trudno powiedzieć: „To musiało się tak skończyć, Tom, przyjacielu. Ona jest muzułmanką i jest bogata, a ty nigdy nie będziesz. Jej dziedzictwo jest ze stali, a twoje z babiego lata.

Rodzina jest dla niej krwiobiegem życia, dla ciebie - nie. ' Ona może zostać, ty nie możesz, nad tobą wisi miecz:

472

473

HBC". To smutne, pomyślał. Czy to w ogóle miało szansę? Może przy Szachu, ale nie przy twardych

regułach nowego.

Co ja bym zrobił na miejscu Toma? Z wysiłkiem oderwał się od tych myśli. Czuł, że mułła wpatruje się w niego uważnie; robił to zresztą przez cały czas, odkąd Czangiz przyprował pilot.

Ach, tak, cholerny pułkownik Czangiz. W samochodzie i podczas oczekiwania tutaj on też starał się go wysondować, z tym, że jemu chodziło o to, kiedy i jak często 125 miał latać do Kowissu, ilu ludzi z Zielonych Opasek stacjonuje z ich strony bazy, kiedy przybyli, ilu zostało w bazie i czy otaczają i pilnują 125 za każdym razem, kiedy ląduje. Pytania zadawał

obojętnym tonem; nie pytał o nic, czego nie można by wytłumaczyć zwykłym zainteresowaniem, ale NcIver był pewien, że chodzi mu o drogę ucieczki, gdyby okazała się konieczna. I wreszcie kropka nad „i”: oferta.

- Nawet rewolucja popełnia błędy, kapitanie. Wysoko postawieni przyjaciele są potrzebni bardziej niż kiedykolwiek. Smutne, ale prawdziwe.

Mułła wstał.

- Teraz zabiorę pana z powrotem.

- Och, świetnie, dziękuję.

223

NcIver uważnie przyglądał się Hosejnowi. Brązowo-czarne oczy pod grubymi brwiami niczego nie przegapia; skóra naciągnięta na wysokich kościach policzkowych. Dziwna, przystojna twarz, za którą krył się duch ogromnego zdecydowania. Na dobro czy zło? -

pomyślał NcIver.

W WIEŻY RADIOWEJ, 9:58. Wazari kulił się na dachu przy drzwiach prowadzących do pomieszczenia. Nadal czekał. Gdy NcIver i Lochart zostawili go w biurze, nie wiedział, czy uciec, czy zostać. Potem przyjechał Czangiz z lotnikami, a niemal jednocześnie z nim Pawud z pracownikami biura. Wazari wśliznął się tu i nie pokazywał nikomu na oczy. Przed ósmą zajechała taksówka, która przywiozła Kia.

474

Ze swej kryjówki Wazari widział, jak Kia szaleje z gniewu wywołanego tym, że NcIver nie czeka przy 206. Lotnik z zieloną opaską powtórzył mu rozkaz Czangiza. Kia głośno protestował. Lotnik przeprosił i wzruszył ramionami, a Kia wpadł jak burza do budynku, wykrzykując, że natychmiast zadzwoni do Czangiza i wywołała przez radio Teheran. Lochart zatrzymał go przy schodach i poinformował, że telefony nie działają, w radiostacji coś nawala, a mechanik radiowy będzie osiągalny dopiero następnego dnia.

- Przykro mi, panie ministrze, ale nie możemy niczego w tej sprawie zrobić, chyba że chciałby pan sam pojechać do dowództwa. - Wazari słyszał, jak Lochart dodał: - Jestem pewien, że kapitan NcIver nie zabawi tam długo; to muła Hosejn go wezwał.

Natychmiast Kia spuścił z tonu, co uradowało Wa-zarię, ale nie uspokoiło na tyle, żeby opuścił swe schronienie. Został tu, na wietrze i chłodzie, opuszczony, zagubiony i nieszczęśliwy.

Chwilowe bezpieczeństwo nie łagodziło niepokoju, strachu ani podejrzeń związanych z Kia i z jutrzejszym przesłuchaniem przez komitet. „Będzie pan jutro przesłuchany”. A dlaczego te sukinsyny, Lochart i NcIver, są tacy nerwowi? Dlaczego skłamali temu skurwysynowi Czangizowi, tej chorągiewce na wietrze, o zmianie załogi w wierceniach Abu Sal? Żadnej cholerycznej zmiany tam przecież nie będzie, chyba że polecenie nadeszło w nocy. Dlaczego zostało tylko trzech pilotów i dwóch mechaników, choć w poniedziałek czeka nas dużo pracy? Dlaczego wysłano tyle części zamiennych? Och, Boże, zabierz mnie stąd w cholere.

Było tak zimno i wietrznie, że wszedł do pomieszczenia wieży, zostawiając uchylone drzwi, by móc w razie czego wycofać się na dach. Ostrożnie wyjrzał przez szpary w dykcie zakrywającej rozbite okno. Przy zachowaniu ostrożności można było zobaczyć większą część bazy, samemu nie będąc widocznym. Ayre, Lochart i mechanicy stali przy 212. Główna brama była ' dobrze strzeżona przez żołnierzy z zielonymi opaskami.

475

Nie widział w bazie żadnego ruchu. Przeszedł go dreszcz. Słyszał plotki o kolejnej czystce przeprowadzonej przez komitet, a teraz z powodu świadectwa przeciwko Esfandiariemu i Alemu Kia znajdował się na początku listy. „Na proroka, słyszałem, że chcą cię jutro zobaczyć. Igrasz z własnym życiem. Nie wiesz, że od tysięcy lat pierwszą regułą przeżycia tutaj jest trzymanie języka za zębami i udawanie, że nie widzi się tego, co robią ci na górze?

Jasne, że ci na górze są skorumpowani. Czy kiedykolwiek było inaczej?”

Wazari jęknął; był bezradny wobec wciągającego go wiru. Od czasu, gdy Zataki złamał mu nos, tak że ledwie mógł oddychać, wybił cztery zęby i sprawił, że ciągle bolała go głowa, opuściło go dobre samopoczucie. Odwaga też. Nigdy przedtem nikt go nie bił. Co z tego, że Waźniak i Kia ponosili winę w równym stopniu? Co ja mam z tym wspólnego? Teraz jestem zgubiony przez własną głupotę.

Po policzkach spłynęły mu łzy. Jezu, Jezu, pomóż mi... Potem przypomniał sobie nagle słowa Locharta: „coś nawala”. Co, u diabła, nawala? Wczoraj radio działało bez zarzutu.

Otarł łzy. Podeszedł po cichu do stołu i włączył radio, przykręcając głośność do absolutnego minimum. Działało. Sprawdził wybieranie fali. Masa trzasków wywołanych burzą 224

elektryczną, żadnych rozmów. Niezwykłe było to, że na częstotliwości wykorzystywanej przez spółkę panowała cisza; przecież ktoś gdzieś powinien coś nadawać. Nie ośmielił się zwiększyć głośności. Wyjął z szuflady słuchawki i wyłączył głośnik. Teraz mógł słuchać tak głośno, jak tylko zapragnął. Dziwne, nadal nic. Ostrożnie przeszedł z kanału spółki na inne.

Nic. Przeszedł na fale ultrakrótkie. Nigdzie nic. Z powrotem na krótkie. Nie mógł nawet wysłuchać rutynowej, nagranej na taśmę prognozy pogody, którą nadawano z Teheranu.

Był dobrze wyszkolonym operatorem radiowym; wykrycie usterki nie zajęło mu dużo czasu.

Zobaczył przez szczelinę w drzwiach prowadzących na dach luźno 476

zwisający kabel. Psiakrew, pomyślał. Dlaczego nie zauważyłem tego, kiedy tam byłem?

Ostrożnie wyłączył aparat nadawczo-odbiorczy i wyszedł na dach. Zobaczył, że przewód jest wyrwany, choć jego końcówka świeżo oczyszczona z rdzy. Ogarnął go gniew. Potem podniecenie. To te skurwysyny, pomyślał. Hipokryci. NeIver i Lochart. Na pewno odbierali i nadawali, kiedy przyszedłem. Co oni, u diabła, kombinują?

Prędko naprawił uszkodzenie. Włączył krótkie. Na częstotliwości spółki popłynął potok farsi: Kwatery Główna w Teheranie rozmawiała z Bandar Dejlmem, potem wywołała Lengeh i Kowiss. Chodziło o jakieś cztery helikoptery, które nie poleciały tam, dokąd powinny. Iran-Toda? To nikt z naszych baz.

- Kowiss, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie? Rozpoznał głos Dżahana z Bandar Dejlamu.

Jego

palec sam powędrował do przełącznika, ale się zatrzymał. Nie ma sensu teraz im odpowiadać, pomyślał. Częstotliwość spółki trzeszczała w szwach od rozmów; Numir i Dżahan z Bandar Dejlamu, Gelani z Teheranu i piekłacy się Sijamaki. To ci dopiero sukinsyny, mruknął po chwili. Wszystkie elementy układanki ułożyły się na właściwych miejscach.

W HELIKOPTERACH PRZY SIRI, 10:05. Do wyspy Siri pozostawał jeszcze kilometr, ale Scragger i jego zespół mogli już skrócić na południowy wschód w kierunku granicy międzynarodowej; musieli jeszcze minąć trzy platformy. To niczym jakieś cholerne pole minowe, pomyślał Scragger. Jak dotąd, wszystko w porządku. Wszystkie igły na zielonym, silniki pracują równo. Siedzący obok pilota mechanik Benson gapił się na uciekające do tyłu fale. W słuchawkach trzaski. Od czasu do czasu przelatujące wyżej samoloty rejsowe zgłaszały pozycje radarowi na Kisz, który był na tym obszarze punktem kontrolnym.

Otrzymywały odpowiedź od razu.

- Ci na Kisz nie śpią, Scrag - powiedział Benson do interkomu.

477

- Jesteśmy pod ich radarem. Nie ma strachu.

- Ja tam się boję, a ty?

Scragger skinął głową. Kisz był teraz na trawersie, jakieś dwadzieścia kilometrów z prawej.

Rozejrzał się na boki. Vossi i Willi lecieli obok niego. Uniósł kciuk, a oni odpowiedzieli tym samym gestem. Vossi wręcz z entuzjazmem.

- Za dwadzieścia minut minjemy granicę - oznajmił Scragger. - Wtedy od razu wchodzimy na dwieście metrów.

- Fajnie. Pogoda się poprawia - rzucił Benson. Choć widoczność się nie polepszyła, wisząca nad śmigłowcami pokrywa chmur zmaląła. Obaj wystarczająco wcześnie zobaczyli tankowiec z pełnymi zbiornikami. Scragger i Willi minęli go szerokim łukiem za rufą, a Vossi wzbił się do góry, po czym łagodnie wytracając wysokość, dołączył do kolegów. W słuchawkach zabrzmiał głos:

- Tu kontrola radarowa na Kisz. Nisko lecący helikopter na kursie 225: zgłosić wysokość i miejsce przeznaczenia!

225

Scragger rozkołysał maszynę, żeby zwrócić uwagę Willego i Vossiego. Gestami nakazał im odłączenie się, skierowanie na południowy zachód i niski lot. Dostrzegł ich niezdecydowanie.

Wskazał palcem kierunek południowo-wschodni, pomachał ręką na pożegnanie i zaczął się wznosić, pozostawiając kolegów przy powierzchni morza.

- Uważaj na własne jaja, Benson - powiedział, starając się nie okazać zdenerwowania. Zaczął nadawać, odsuwając mikrofon od ust i przysuwając go, co miało symulować słaby odbiór.-

Kisz, tu helikopter HVX z Lengeh, lot na Siri Dziewięć, z częściami, kurs 225. Wydawało mi się, że widzę wywrócony statek, ale nie potwierdziło się. - Siri Dziewięć była najdalszą platformą, jaką obsługiwali, przy samej granicy z Emiratami. Była jeszcze w budowie i nie miała na razie własnej radiostacji. - Wracam na dwieście.

478

- Helikopter HVX, słychać cię dwa na pięć, transmisja pulsująca. Utrzymaj kurs i zgłoś się na dwustu metrach. Potwierdź, że zostałeś poinformowany o nowych przepisach, które nakazują zwracanie się do Lengeh o zezwolenie na włączenie silników.

Energiczny i profesjonalny głos operatora z amerykańskim akcentem słychać było pięć na pięć.

- Przykro mi, Kisz, ale dopiero wróciłem z urlopu.

- Scragger zobaczył, że Willi i Vossi zniknęli w mgle.

- Czy muszę po wylądowaniu na Siri Dziewięć prosić o zezwolenie na włączenie silników, żeby wrócić? Będę tam przynajmniej godzinę.

Scragger starł kropelkę potu. Kisz miał prawo kazać mu wylądować u siebie i obsztorcować za naruszenie przepisów.

- Potwierdzam. Zostań na nasłuchu.

Przez interkom dobiegł niespokojny głos Bensona:

- Co teraz, Scrag?

- Odbędą małą konferencję.

- A co my zrobimy? Scragger rozpromienił się.

- To zależy od tego, co zrobią oni. - Włączył nadawanie. - Kisz, HVX zgłasza się na dwustu.

- Tu Kisz. Utrzymaj kurs i wysokość. Nasłuch.

- HVX. - Cisza. Scragger rozważał swe możliwości; niebezpieczeństwo sprawiało mu przyjemność. - No, jak tam synu? To lepsze niż zwykłe kursy, co?

- Prawdę mówiąc, nie. Gdybym mógł, udusiłbym Vossiego.

Scragger wzruszył ramionami.

- Stało się. Radar mógł nas złapać już po samym starcie. A może Keszemi na nas doniósł? -

Zaczął bezgłośnie pogwizdywać. Wyspa Siri została już daleko z tyłu, a od platformy Siri Dziewięć dzieliło ich pięć kilometrów. - Kisz, tu HVX - powiedział, nadal manipulując mikrofonem. - Schodzę z dwustu, żeby podejść do Siri Dziewięć.

- Odmowa, HVX, utrzymuj dwieście. Twoje nadawanie słyhać dwa na pięć.

479

- HVX do Kisz, proszę o powtórzenie, kiepsko cię słyhać. Powtarzam: schodzę z dwustu, żeby podejść do Siri Dziewięć. - Scragger mówił wolno i wyraźnie, nie zaprzestając manipulowania mikrofonem. Znów uśmiechnął się promiennie do Bensona. - Stara sztuczka, mój synu. Nauczyłem się w RAF-ie.

- HVX, tu Kisz, powtarzam: utrzymaj dwieście.

- Kisz, trochę mną rzuca i zagęszcza się mgła. Schodzę na sto osiemdziesiąt. Zgłoszę lądowanie, a potem poproszę o zezwolenie na odpalenie maszyny. Dzięki i miłego dnia życzę! - dodał, modląc się, żeby odniosło to jakiś skutek.

- HVX, twoja transmisja jest przerwana. Nie ląduj na Siri Dziewięć. Zmień kurs o 310 stopni, utrzymaj dwieście i melduj się bezpośrednio u nas.

Benson zrobił się biały na twarzy. Scragger dmuchnął w mikrofon.

226

- Powtórz, Kisz, słysząc cię jeden na pięć.

- Powtarzam: nie ląduj na Siri Dziewięć. Zmień kurs o 310 stopni, utrzymaj dwieście i melduj się bezpośrednio u nas. - Operator mówił spokojnie i powoli.

- Zrozumiałem, Kisz. Mam wylądować na Siri Dziewięć i zgłosić się do Kiszu. Schodzę na sto dwadzieścia do niskiego podejścia. Dziękuję. Miłego dnia.

- Kisz, tu JAL. Rejs 664 z Delhi. - Rozległo się nagle. - Przelatuję nad wami na jedenastu tysiącach. Kierunek 300, do Kuwejt. Słyszycie mnie?

- JAL 664, tu Kisz. Utrzymaj kurs i wysokość. Wywołaj Kuwejt na 118,8. Miłego dnia.

Scragger przewiercał wzrokiem mgłę. Widział już na wpół wybudowaną platformę i barcę przycumowaną do jednego z jej filarów. Wskaźniki na zielonym i... hej, chwileczkę, w silniku numer jeden rośnie temperatura i spada ciśnienie oleju. Benson także to zauważył; pochylił

się, żeby lepiej widzieć wskaźnik. Igła wskazująca ciśnienie oleju wspięła się lekko do góry, a potem znów opadła. Temperatura przewyższała normalną o kilka stopni. Nie ma teraz czasu, żeby się tym przejmować. Szykuj się! Załoga platformy zobaczyła ich i przerwała 480

pracę; ludzie odsuwali się od dobrze oznaczonego lądowiska. Gdy byli już zaledwie piętnaście metrów od platformy, Scragger powiedział:

- Kisz, HVX ląduje. Miłego dnia.

- HVX, na drugi raz zgłaszaj się bezpośrednio do Kisz. Proś o zezwolenie na rozruch silników. Powtarzam: zgłaszaj się bezpośrednio do Kisz. - Wszystko było powiedziane wyraźnie. - Słyszysz mnie?

Scragger ani nie potwierdził, ani nie wylądował. Zawisł metr nad platformą i pomachał do załogi, która uznała, że chodzi o zwykłe w wypadku Scraggera zaznajamianie nowego pilota z trasą. Scragger ruszył do przodu, opadł łagodnie nad powierzchnię wody i ruszył z otwartą maksymalnie przepustnicą na południowy zachód.

W BAZIE LOTNICTWA W KOWISSIE, 10:21.

Muła Hosejn prowadził. Zatrzymał samochód przy budynku biurowym, NcIver wysiadł.

- Dziękuję - powiedział, nie wiedząc, czego się teraz spodziewać, gdyż Hosejn milczał przez całą drogę.

Lochart, Ayre i inni stali przy helikopterach. Z budynku wyszedł Kia, zatrzymał się na widok muły, a

potem zszedł po schodkach.

- Dzień dobry, ekscelencjo Hosejn, pozdrowienia, jak miło pana widzieć. - Przybrał ton, którym zwracał się w ministerstwie do ludzi mile widzianych i szanowanych. Potem rzucił

szorstko do NcIvera: - Natychmiast startujemy.

- Tak, agha, proszę tylko o parę minut, żebym mógł się przygotować. - Jak to dobrze, że nie jestem na miejscu Kia, powiedział sobie i odszedł, starając się panować nad zdenerwowaniem. Zwrócił się do Lochar-ta. - Cześć, Tom.

- W porządku, Mac?

- Tak. - Dodał cicho: - Przez najbliższe kilka minut musimy to rozgrywać ostrożnie. Nie wiem, o co chodzi mulle. Trzeba poczekać i zobaczyć, co on robi z Kia. Nie wiem, czy Kia ma kłopoty, czy nie. Możemy coś

481

zrobić, dopiero gdy się dowiemy. - Zniżył głos jeszcze bardziej. - Nie uniknę zabrania Kia; chyba że Hosejn położy na nim łapę. Zamierzam dolecieć z nim tylko poza zasięg nadajnika na ultrakrótkie, za wzgórza, powiedzieć, że mamy awarię i wylądować. Kiedy wysiądzie, żeby ochłonać po tych wrażeniach, wystartuję i dołączę do was w umówionym miejscu.

- To mi się bardzo nie podoba, Mac. Lepiej będzie, jeśli ja to zrobię. Nie znasz terenu, a te wydmy ciągną się kilometrami i trudno odróżnić jedną od drugiej. Ja go zabiorę.

227

- Myślałem już o tym, ale potem będę wiózł jednego z mechaników, którzy nie mają zezwolenia. Wolę raczej wystawić na ryzyko Kia niż ich. Poza tym ciebie może kusić, żeby wrócić do Teheranu. Przez całą drogę. Czyż nie mam racji?

- Będzie lepiej, jeśli ja go wysadzę i dołączę do was. Bezpieczniej.

NcIver pokręcił głową. Czuł się paskudnie, zapędzając przyjaciela w ślepy zaułek.

- Polecisz, prawda?

Po chwili milczenia Lochart powiedział:

- Teraz, kiedy na ciebie czekałem, gdybym mógł, wziąłbym go na pokład i odleciał. -

Uśmiechnął się krzywo. - Lotnicy powiedzieli, że nie ma rady, trzeba czekać; lepiej uważaj na nich, Mac, niektórzy znają angielski. Co się z tobą działo?

- Hosejn pytał mnie tylko o Kia. I o Duke'a. Lochart spojrział na rozmówcę z niedowierzaniem.

- O Duke'a? O co dokładnie?

- O wszystko, co go dotyczy. Gdy zapytałem, o co mu chodzi, odpowiedział tylko, że on go po prostu interesuje.

NcIver dostrzegł, że Lochart zadrżał.

- Mac, naprawdę będzie lepiej, jeśli ja zabiorę Kia. Możesz zabłądzić. Poleć razem z Freddym. Ja wystartuję wcześniej i będę tam już czekał.

- Przykro mi, Tom, ale nie mogę ryzykować. Mógłbyś polecieć do Teheranu. Na twoim miejscu też bym to

482

zrobił, niezależnie od ryzyka. Nie mogę ci na to pozwolić; to by była katastrofa. Katastrofa dla ciebie, jestem tego pewien, i dla nas. Taka jest prawda.

- Do diabła z tą prawdą - rzucił gorzko Lochart.

- Dobrze, ale, na Boga, w chwili gdy dotkniemy ziemi w Kuwejcie, zaczynam wykorzystywać zaległy miesiąc urlopu albo rezygnuję z S-G. Będziesz mógł wybrać.

- Dość ucziwie stawiasz sprawę, ale to musi być dotknięcie ziemi w Asz Szargaz. W

Kuwejcie mamy tylko zatankować i wynieść się stamtąd jak najszybciej. Rzecz jasna, jeśli w ogóle nas wypuszczą.

- Nie. Kuwejt to mój końcowy przystanek.

- Jak sobie życzysz - odparł twardo NcIver. - Ale sam się postaram, żebyś nie dostał miejsca w samolocie do Teheranu, Abadanu czy jakiegokolwiek innego miasta w Iranie.

- Straszny z ciebie sukinsyn - powiedział Lochart, wściekły, że NcIver tak dokładnie przejrzał jego zamiary. - Obyś zgnił w piekle!

- Aha, przykro mi. W Asz Szargaz. Pomogę ci wtedy na tyle, na ile będę... - NcIver urwał, słysząc przekleństwo Locharta. Odwrócił się. Kia i Hosejn nadal stali przy samochodzie zatopieni w rozmowie.

- O co chodzi?

- Wieża.

NcIver spojrział. Zobaczył, że Wazari przyzywa ich gestami, na wpół ukryty za kawałkiem dykty w oknie. Nie mogli udawać, że go nie zauważają, Wazari jeszcze raz na nich skinął i zniknął.

- Szlag by go trafił - powiedział Lochart. - Sprawdziłem wieżę od razu, gdy odjechałeś, żeby się upewnić, czy tam nie wlaźł. Nie było go, więc sądziłem, że uciekł.

- Spojrzał gniewnie. - Cholera, teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że nie poszedłem prosto do pokoju, więc on mógł się schować na dachu. Skurwysyn musiał tam siedzieć przez cały czas.

- Jezu Chryste! Mógł znaleźć wyrwany kabel! NcIver był wstrząśnięty.

Lochart sposepniał.

483

228

- Zostań tutaj. Jeśli spróbuje robić nam jakieś kłopoty, zabiję go.

Odszedł.

- Poczekaj, ja też pójde - zawołał NcIver. - Freddy, za chwilę wrócimy.

Gdy mijali Hosejna i Kia, NcIver powiedział:

- Idę tylko poprosić o zezwolenie, panie ministrze. Start za pięć minut?

Zanim Kia zdążył odpowiedzieć, mułła rzekł tajemniczo:

- In sza'a Allah.

Kia zwrócił się cierpkiem tonem do NcIvera:

- Kapitanie, nie zapomniał pan, że mam w Teheranie ważne spotkanie o dziewiętnastej?

Świetnie. - Odwrócił się do pilotów plecami i rzekł do Hosejna: - Co pan powiedział, ekscelencjo?

Obaj piloci weszli do biura. Rozzłościła ich nie-grzeczność Kia. Minęli Pawuda i innych pracowników, weszli po schodach. W pokoju nie było nikogo. Zobaczyli, że drzwi na dach są uchylone. Usłyszeli szept Wazariego:

- Tutaj. - Stał na zewnątrz, skulony przy ścianie. Nie poruszył się. - Wiem, co chcecie zrobić.

Radio działa dobrze - powiedział, z trudem opanowując podniecenie. - Cztery helikoptery wyleciały z Bandar Dej-lamu i zniknęły. Wasz dyrektor Sijamaki wyje jak zarzynana świnia, bo nie może wywołać Lengeh, nas ani Asz Szargaz i pana Gavallana. Ci w Asz Szargaz po prostu siedzą cicho, co?

- Co to wszystko ma wspólnego z nami? - zapytał Lochart z nieudaną nonszalancją.

- Bardzo wiele wspólnego, oczywiście, bo wszystko się zgadza. Numir z Bandar Dejlamu mówi, że

wszyscy cudzoziemcy zniknęli, żaden nie został. Sijamaki mówi to samo o Teheranie. Powiedział nawet Numirowi, że pański służący, kapitanie NcIver, pański służący doniósł, że z mieszkania zniknęły prawie wszystkie rzeczy osobiste pana i kapitana Pettikina.

484

NcIver wzruszył ramionami i podszedł do stołu, żeby włączyć nadajnik.

- Zwykła ostrożność. Pettikin na urlopie, ja tutaj, a w Teheranie pełno złodziei.

- Proszę jeszcze nie wywoływać. Proszę. Proszę posłuchać, na rany Chrystusa, posłuchać!

Błagam was... Nie możecie zaprzeczyć prawdzie. Wasze 212 i ludzie opuścili Bandar Dejlam; Lengeh milczy, więc tam to samo. Teheran zamknięty - to samo. Zostaliście tylko wy, ale i wy jesteście przygotowani. - Głos Wazariego brzmiał dziwnie; nie byli pewni, co się za tym kryje. - Nie zamierzam was wydać, chcę wam pomóc. Chcę pomóc, przysięgam, że chcę pomóc.

- Pomóc w czym?

- W ucieczce.

- Dlaczego miałbyś to robić, gdyby nawet to, co powiedziałaś, było prawdą? - zapytał ze złością Lochart.

- Miał pan rację, nie ufając mi przedtem, kapitanie, ale przysięgam na Boga, że można mi zaufać! Jestem teraz z wami. Przedtem nie byłem, ale teraz jestem, a wy jesteście moją jedyną nadzieją na wydostanie się stąd. Jutro mam się stawić przed komitetem i... spójrzcie na mnie, na rany Chrystusa! - wybuchnął. - Zobaczcie, w jakim jestem stanie! Jeśli nie trafię do odpowiedniego lekarza, będę taki już zawsze, a może nawet martwy. Czuję tu jakiś ucisk, boli jak cholera. - Wazari dotknął nasady swego zmasakrowanego nosa. - Od czasu, kiedy ten skurwysyn Zataki mnie pobił, boli mnie ciągle głowa. Jasne, zachowywałem się jak stuknięty, tak, wiem, ale jednak mogę wam pomóc. Mogę was stąd kryć, dopóki mnie nie zabierzecie do ostatniego helikoptera. Przysięgam, że pomogę. - Do oczu napłynęły mu łzy.

Dwaj piloci wpatrywali się w niego z uwagą. NcIver włączył nadajnik.

- Wieża w Kowissie, test IHC, test IHC.

Po dłuższej chwili rozległ się głos; po angielsku, z silnym akcentem:

- Tu wieża, IHC, ty pięć na pięć.

229

485

- Dziękuję. Naprawiliśmy usterkę. Za dziesięć minut 206 startuje do lotu czarterowego do Teheranu.

Poza tym nasz ranny lot z częściami zamiennymi do platform Forty, Abu Sal i Gordy.

- W porządku, zgłóście się z powietrza. Wasz Bandar Dejlam próbował się z wami skontaktować.

NcIver poczuł, że oblewa go pot.

- Dzięki, wieża. Miłego dnia. - Spojrzał na Lochar-ta i przeszedł na krótkie. Natychmiast usłyszeli farsi Dżahana. Lochart zaczął tłumaczyć:

- Dżahan mówi, że widziano ich ostatnio, jak lecieli na północny wschód, w głąb lądu... że Zataki... - zająknął się - ...że Zataki polecił, aby cztery helikoptery obsługiwały Iran-Todę.

Powinny już tam być i zatelefonować lub wysłać wiadomość... - Potem NcIver poznał głos Sijamakiego. Lochart się spocił. - Sijamaki mówi, że rozłącza się na pół godziny lub godzinę, ale połączy się, gdy wróci, i będzie próbował wywołać nas i Asz Szargaz... Dżahan mówi, że poczeka i da znać, jeśli będzie miał jakąś wiadomość.

Przez chwilę tylko trzaski. Potem Dżahan, po angielsku:

- Kowiss, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie?

- Jeżeli wieża odbiera to przez cały czas - mruknął Lochart - to dlaczego jeszcze nas wszystkich nie zapusz-kowali?

- Jest piątek. Oni nie mają powodu słuchać na częstotliwości firmy.

Wazari otarł łzy; już panował nad sobą.

- W piątek jest mało załogi, same szkolenia, nie ma lotów, nic się nie dzieje. Komitet zabrał

do obozu wszystkich oficerów radarowych i pięciu sierżantów. - Zadrżał i dodał: - Może któryś z chłopaków złapał Bandar Dejlam raz czy dwa razy, ale co z tego? Bandar stracił

kontakt ze swoimi śmigłowcami? Chodzi o cudzoziemców, a brak kontaktu zdarza się raz po raz. Ale kapitanie, jeśli nie uciszy pan Bandaru i Teheranu, oni... któryś z chłopaków może się nad tym wszystkim zastanowić. - Wyjął brudną chusteczkę i otarł strumyczek

krwi ciekącej z nosa. - Może pan przełączyć się na zapasowy kanał; wieża go nie zna.

NcIver wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Jesteś pewien?

- Tak, właściwie dlaczego pan nie... - Urwał na odgłos kroków. Bezszelestnie ukrył się na dachu.

W połowie schodów stał Kia.

- Co pana zatrzymuje, kapitanie?

- Ja... czekam na potwierdzenie zezwolenia, panie ministrze. Przykro mi, ale kazano mi czekać. Nie mogę tego przyspieszyć.

- Oczywiście, że możemy! Możemy wystartować! Już teraz! Jestem zmęczony tym czekaniem!

- Mnie to też męczy, ale nie chcę, żeby ktoś odstrzelił mi głowę - warknął NcIver. - Poczekaj pan! Poczekaj! Zrozumiano? Poczekaj pan, cholera, a jeśli nie zrobi się pan grzeczniejszy, odwołam lot i wspomnę mulle Hosejnowi o pizkeszu. Zapomniałem powiedzieć o tym na przesłuchaniu. A teraz jazda stąd!

Przez chwilę wydawało się, że Kia wybuchnie, ale widocznie przemyślał to, i odszedł. NcIver potarł pięścią klatkę piersiową, klnąc się w duchu za brak opanowania. Potem wskazał

kciukiem dach i zapytał:

- Tom, co z nim zrobimy?

- Nie możemy go zostawić; natychmiast nas wyda... Lochart rozejrzał się wokół. Wazari stał w drzwiach.

230

- Przysięgam, że pomogę - szepnął zdesperowanym tonem. - Proszę posłuchać: co pan chce zrobić, kiedy wystartuje pan z Kia? Wyrzucić go, co? - NcIver nie odpowiedział; jeszcze nie podjął decyzji. - Jezu, kapitanie, musi mi pan zaufać! Niech pan wywoła Bandar na zapasowej częstotliwości i wykiwa Numira tak jak tego sukinsyna tutaj. Niech pan powie, że wezwał pan tu wszystkie helikoptery. To wystarczy na godzinę czy dwie.

NcIver zerknął na Locharta.

- Dlaczego nie? - odezwał się Lochart podnieconym głosem. - Do diabła, to dobra myśl.

Potem wystartujesz z Kia i... i Freddy będzie mógł lecieć. Ja tu poczekam i... - Zabrakło mu słów.

487

- I co, Tom? - zapytał NcIver.

Wazari podszedł i wybrał zapasowy kanał. Rzucił szybko do Locharta:

- Pan będzie przez jakiś czas zwlekać, kapitanie, a kiedy kapitan NcIver odleci, a Ayre będzie już poza obszarem, powie pan Numirowi, że jest pan pewien, że te cztery helikoptery po prostu wyłączyły krótkofalówki, bo były im niepotrzebne, i że można ich złapać na ultrakrótkich. To daje panu powód do startu i krążenia. Potem ucieknie pan do zamelinowanego paliwa. - Zobaczył ich

spojrzenia. - Jezu, kapitanie, nie sztuka zgadnąć, że nie przeleci pan bez tankowania przez zatokę, nie da rady. Musieliście gdzieś schować zapas paliwa; na brzegu albo na jednej z platform.

NcIver głęboko odetchnął i mocno wcisnął guzik nadawania.

- Bandar Dejlam, tu kapitan NcIver z Kowissu, słyszycie mnie?

- Kowiss, tu Bandar Dejlam. Od kilku godzin próbujemy was wywołać i...

- Dżahan, daj aghę Numira - uciął NcIver. Już po chwili Numir dopadł do mikrofonu, ale zanim zdążył rozpocząć swą tyradę, NcIver szybko go zaatakował:

- Gdzie są moje cztery helikoptery? Dlaczego się nie zgłosiły? Co się tam u was dzieje? Co?

Nie wie pan nawet, że wezwałem tu swoje helikoptery i personel?

W BIURZE W ASZ SZARGAZ. - ...dlaczego nie pamięta pan o tym, że zaraz po weekendzie w Bandar Dejlamie mają być wymienione załogi?

Głos NcIvera dobiegał z głośnika cicho, lecz wyraźnie. Gavallan, Scot i Manuela wpatrywali się jak osłupiali w głośnik. NcIver był jeszcze w Kowissie! Czy to znaczy, że Lochart, Ayre i inni także?

- Wywoływalismy pana przez cały rano, kapitanie

- odpowiedział Numir. Jego głos słychać było jeszcze słabiej. - Wezwał pan nasze helikoptery do Kowissu? Ale po co? I dlaczego ja nie zostałem poinformowany? One miały dziś polecieć do Iran-Tody, ale nie wylądowały-488

wały, tylko gdzieś zniknęły! Agha Sijamaki też pana wywoływał.

- Mieliśmy zepsutą krótkofalówkę. Niech pan teraz posłucha, Numir. Wezwałem moje helikoptery do Kowissu. Nigdy nie zatwierdziłem żadnego kontraktu z Iran-Todą, nic nie wiem o żadnym kontrakcie z Iran-Todą i niech to zamknie tę sprawę. Teraz niech pan przestanie robić z igły widły!

- Ale to są nasze helikoptery, a poza tym nikt nie został, żaden pilot, żaden mechanik...

- Cholera, mają być tutaj do czasu przeprowadzenia dochodzenia. Powtarzam: jestem z pana bardzo niezadowolony. Zgłoszę to w IranOil! Proszę już przestać się wydierać w eterze!

W biurze nikt nie mógł ochłonać. To, że NcIver był jeszcze w Kowissie, stanowiło prawdziwe nieszczęście. Operacja została paskudnie zakłócona. Była 10:42; Rudi i jego trójka powinni już być w Bahrajnie.

- ...ale nie wiemy, jaką siłę ma ich przeciwny wiatr, tato - powiedział wcześniej Scot. - Ani ile czasu zabierze im tankowanie. Mogą się spóźnić o trzy kwadransy czy godzinę; to jeszcze nic nie znaczy. Założmy, że będą w Bahrajnie o jakiejś jedenastej, jedenastej piętnastej.

Wszyscy wiedzieli jednak, że latanie z taką ilością paliwa na pokładzie nie było bezpieczne.

Nie ma jeszcze wieści od Śragga i jego dwójki, ale tego można było się spodziewać: nie mają na pokładzie krótkofalówki, myślał Gavallan. Lot do Asz Szargaz powinien im zająć jakieś półtorej godziny. Gdyby wystartowali, powiedzmy, o siódmej trzydzieści, zabrali mechaników i wydostali się bez problemów o siódmej czterdzieści pięć, powinni dolecieć o dziewiętej piętnaście, jakkolwiek by liczyć.

- Nie ma powodu do zmartwienia, Manuelo. Wiesz przecież, że wiatr może ich hamować - powiedział. - Nie wiemy poza tym, o której dokładnie wystartowali.

Tak wiele mogło pójść nie po naszej myśli! Mój Boże, to czekanie jest straszne! Gavallan poczuł, że jest

489

bardzo stary. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer w Bahrajnie.

- Gulf Air de France? Jean-Luc Sessonne? No jak tam, Jean-Luc, nic?

- Nic, Andy. Właśnie telefonowałem do wieży; nie mają niczego na ekranie. Pas probleme.

Rudi będzie oszczędzał paliwo. Ci z wieży mówią, że zadzwonią do mnie natychmiast, gdy ich zobaczą. Wiesz już coś o innych?

- Właśnie odkryliśmy, że Mac jest jeszcze w Kowis-sie. - Gavallan usłyszał westchnienie i przekleństwa. - Zgadzam się z tobą. Zadzwonię jeszcze. - Wykręcił numer w Kuwejcie. -

Charlie, czy jest z tobą Genny?

- Nie, jest w hotelu. Andy, ja...

- Właśnie dowiedzieliśmy się, że Mac jest jeszcze w Kowissie i...

- Boże święty, co się stało?

- Nie wiem. Ciągle nadaje. Zadzwonię, gdy będę coś wiedział na pewno. Nie mów o tym jeszcze Genny. Do usłyszenia.

Znów przyprawiające o mdłości oczekiwanie. Potem krótkofalówka:

- Teheran, tu Kowiss, kapitan NcIver. Proszę mówić...

- Kowiss, tu Teheran, wywoływaliśmy was przez cały ranek. Agha Sijamaki próbował pana złapać.

Wróci mniej więcej za godzinę. Proszę potwierdzić, że ściągnął pan cztery 212 do Kowissu.

- Teheran, tu Kowiss. Bandar Dejam, wy też słuchajcie. - NcIver mówił powoli i wyraźnie, ale słycać było, że jest wściekły. - Potwierdzam. Kontroluję wszystkie, powtarzam: wszystkie moje 212. Wszystkie. Nie będę mógł rozmawiać z aghą Sijamakim, ponieważ za pięć minut lecę do Teheranu z ministrem Kia, ale mam nadzieję, że agha Sijamaki będzie czekał na 206 na międzynarodowym lotnisku w Teheranie. Za chwilę wyłączymy się w celu dokonania napraw - to polecenie władz - i będziemy działać tylko na falach ultrakrótko-490

kich. Dla waszej informacji: kapitan Ayre odlatuje za pięć minut z częściami do platformy Abu Sal, a kapitan Lochart pozostanie na nasłuchu, żeby przyjąć nasze 212 z Bandar Dejamu. Odebrałeś, Teheran?

- Potwierdzam, kapitanie NcIver, ale czy mógłby pan...

- Czy ty w ogóle słuchasz, Numir?! - przerwał radiooperatorowi NcIver. - Czy też jesteś jeszcze bardziej bezużyteczny niż zwykle?

- Muszę nalegać, abyśmy byli inf...

- Ta bzdura zaczyna mnie już męczyć. Ja prowadzę tę operację. Jak długo będziemy w Iranie, wszystko będzie tak prowadzone: prosto, bezpośrednio i bez zamieszania. Kowiss wyłącza się w celu dokonania napraw na rozkaz pułkownika Czangiza. Zgłosimy się, gdy tylko znów będziemy w eterze. Pozostań na tym kanale, ale nie zajmuj go, bo musimy przeprowadzić próby. Wszystko będzie postępować według planu. Kończę, wyłączam się!

232

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Starke, eskortowany przez zaniepokojoną młodą pielęgniarkę. Manuela oniemiała. Gavallan zerwał się i pomógł choremu dojść do krzesła. Starke'a spowijał grubo bandaż. Miał na sobie spodnie od pizamy i luźny szlafrok.

- W porządku, Andy - uspokoił go Starke. - Jak się masz, kochanie?

- Conroe, oszalałeś?

- Nie. Andy, powiedz mi, co się dzieje?

- My naprawdę nie możemy brać na siebie odpowiedzialności... - włączyła się pielęgniarka.

- Obiecuję, że to tylko na parę godzin, i że będę bardzo uważał - przyrzekł cierpliwie Starke.

- Manuelo, zaprowadź panią z powrotem do samochodu, dobrze, kochanie? - Posłał jej specjalne spojrzenie używane przez mężów i żony, gdy naprawdę nie czas na kłótnie.

Manuela wstała i wyprowadziła pielęgniarkę. Gdy zniknęły za drzwiami, dorzucił: -

Przepraszam, Andy, ale nie mogłem wytrzymać. Co się dzieje?

491

W KOWISSIE, 10:48. NcIver zszedł na dół. Czuł się źle; nie wiedział nawet, czy dojdzie do 206, nie mówiąc już o realizacji pozostałej części planu. Poradzi sobie, przekonywał się w duchu. Weź się w garść.

Muła Hosejn nadal rozmawiał z Kia, opierając się o samochód. Na jego ramieniu wisiał

AK47.

- Jesteśmy gotowi, panie ministrze - powiedział NcIver. - Oczywiście, jeśli wszystko w porządku, ekscelencjo Hosejn?

- Tak, wedle woli Boga - odparł Hosejn, uśmiechając się zagadkowo. Grzecznie wyciągnął rękę. - Do widzenia, panie ministrze Kia.

- Do widzenia, ekscelencjo.

Kia odwrócił się i rażno ruszył w kierunku 206. NcIver z niepokojem wyciągnął rękę do muły.

- Do widzenia, ekscelencjo.

Hosejn obserwował, jak Kia wchodzi do kokpitu. Znow dziwny uśmieszek.

- Jest napisane: „Młyny boże mielą powoli, ale dokładnie”. Prawda, kapitanie?

- Owszem, ale dlaczego pan to mówi?

- Podarunek na pożegnanie. Może pan to powtórzyć swemu przyjacielowi Kia, gdy wylądujecie w Teheranie.

- On nie jest moim przyjacielem. Ale dlaczego?...

- Mądrze pan postępuje, nie zaprzyjaźniając się z nim. Kiedy spotka się pan z kapitanem Starke'em?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że wkrótce. - NcIver zobaczył, że muła zerka na Kia i zaniepokoił się jeszcze bardziej. - Dlaczego pan pyta?

- Chciałbym wkrótce go zobaczyć.

Hosejn zdjął z ramienia karabin, wsiadł do samochodu i odjechał razem ze swoimi Zielonymi Opaskami.

- Kapitanie?

To był Pawud. Roztrzęsiony i zmartwiony.

- Tak, panie Pawud, chwileczkę. Freddy! - NcIver skinął na Ayre'a, który po tym geście puścił się biegiem. - Tak, panie Pawud?

492

- Przepraszam, ale dlaczego 212 są wyładowane częściami i bagażami, i tym wszystkim...

- Zmiana załogi - odpowiedział NcIver, udając, że nie widzi spojrzenia Ayre'a. - Niedługo będą tu cztery 212 z Bandar Dejamu. Niech pan przygotuje miejsca do spania. Czterech pilotów i czterech mechaników. Powinni się zjawić za jakieś dwie godziny.

- Ale przecież nie mamy listu przewozowego ani powodu, żeby...

233

- Proszę wykonać! - Napięcie NcIvera dało znów znać o sobie. - To ja wydaję polecenia. Ja!

Ja osobiście! Sprowadzam tu cztery moje 212! Freddy, na co, do diabła, czekasz? Zabieraj się stąd z tymi częściami!

- Tak jest! A ty?

- Ja zabieram Kia. Podczas mojej nieobecności dowodzi Tom Lochart. Idź już. Nie, poczekaj, pójdę z tobą. Pawud, na co, do cholery, jeszcze czekasz?! Kapitan Lochart będzie zły, że nie jesteś gotowy na czas.

NcIver odszedł z Ayre'em, modląc się o to, żeby Pawud mu uwierzył.

- Mac, co się, do cholery, dzieje?

- Poczekaj, aż dojdziemy do innych. - Gdy NcIver zbliżył się do 212, odwrócił się plecami do Pawuda, który nadal stał na schodkach biura, i opowiedział szybko kolegom, co zaszło. - Do zobaczenia na wybrzeżu!

- Dobrze się czujesz, Mac? - zapytał Ayre, któremu nie podobał się kolor twarzy NcIvera.

- Oczywiście. Startuj!

NIEDALEKO BAHRAJNU, 10:59. Rudi i Pop Kelly nadal lecieli razem, walcząc z przeciwnym wiatrem, ostrożnie dobierając obroty silników. Wskaźniki paliwa zbliżały się do zera, żarzyły się czerwone światelka ostrzegawcze. Pół godziny wcześniej obaj zawiśli w miejscu. Mechanicy otworzyli drzwi kabin i wychylili się, otwierając wlewy paliwa. Potem rozwinęli węże, włożyli końcówki do wlotów baków i wrócili do kabin. Po-493

sługując się ręcznymi pompami, pracownicy przepompowali zawartość pierwszych bębnow z

paliwem, potem drugich. Żaden z mechaników nigdy dotąd tego nie robił. Obaj byli wykończeni, ale operacja się udała.

Nadal utrzymywała się gęsta mgła, smagane wiatrem morze falowało. Od czasu przygody z tankowcem wszystko przebiegało rutynowo: oszczędne posuwanie się do przodu, tak by zyskać maksymalny zasięg, korygowanie, bez przerwy korygowanie, i modlitwa o to, by wystarczyło paliwa. Rudi nie widział ani razu Dubois czy Sandora. Jeden z silników maszyny Rudiego zakaszłał, ale niemal od razu złapał obroty.

Faganwitch drgnął.

- Jak daleko mamy jeszcze lecieć?

- Za daleko. - Rudi włączył nadajnik pracujący na ultrakrótkich, przerywając ciszę radiową. -

Pop, przejdź na krótkie i słuchaj - poleciał szybko i sam przełączył aparat. - Sierra Jeden, tu Delta Jeden, słyszycie mnie?

- Głośno i wyraźnie, Delta Jeden - odpowiedział natychmiast Scot.

- Dochodzę do Bostonu. - Tak oznaczyli Bahrajn. - Na dwustu, kierunek 185, mało paliwa.

Jest ze mną Delta Dwa. Trzy i Cztery lecą oddzielnie.

- Witamy od Brytanii do słonecznych krain, G-HTXX i G-HJZI, powtarzam: G-HTXX i G-HJZI! Jean-Luc czeka na was; jeszcze nie mamy wiadomości o Delta Trzy i Cztery.

- G-HTXX i G-HJZI! - Rudi potwierdził natychmiast ich nowe, brytyjskie sygnały wywoławcze. - Co z Lima Trzy i Kilo Dwa? - Lima oznaczała trójkę z Lengeh, Kilo dwójkę z Kowissu.

- Na razie żadnych wiadomości poza tym, że Kilo Dwa jest nadal na miejscu.

Rudi i Pop Kelly byli wstrząśnięci. Potem usłyszeli:

- Tu Teheran, Asz Szargaz, słyszycie mnie? Niemal natychmiast rozległ się głos Sijamackiego:

- Tu Teheran, kto mówi na tym kanale? Kto to jest Kilo Dwa i Lima Trzy? I Sierra Jeden?

Rozległ się wyraźnie głos Scota:

494

- Nie przejmuj się, HTXX! Jakiś czubek wszedł na nasz kanał. Zatelefonuj po wylądowaniu - dodał, żeby zapobiec dalszej niepotrzebnej rozmowie.

234

Włączył się podniecony Pop Kelly:

- HTXX, widzę wydmy!

- Ja też widzę. Sierra Jeden, HTXX, dochodzimy do wybrzeża...

Jeden z silników maszyny Rudiego znów się za-krztusił, głębiej niż przedtem, ale wszedł na obroty. Wskaźnik licznika obrotów tańczył jak pijany. W chwili gdy mgła nieco zrzędła, Rudi zobaczył brzeg: kawałek lądu, piaszczyste wydmy i plażę. Wiedział już dokładnie, gdzie jest.

- Pop, ty zajmij się wieżą. Sierra Jeden, powiedz Jean-Lucowi, że...

ASZ SZARGAZ. Gavallan wykręcał już numer w Bahrajnie. Z głośnika dobiegał nagłący głos Rudiego:

- ...jestem na północno-zachodnim krańcu plaży Abu Sab, na wschód... - Seria trzasków, a potem cisza.

Gavallan powiedział do słuchawki:

- Gulf Air de France? Proszę Jean-Luca. Jean-Luc, tu Andy. Rudi i Pop są... poczekaj.

W głośniku rozległy się słowa Kelly'ego:

- Sierra Jeden, schodzę za Delta Jeden; silnik mu wysiadł...

- Tu Teheran, komu wysiadł silnik i gdzie? Kto mówi na tym kanale? Tu Teheran, kto mówi...

BRZEG W BAHRAJNIE. Mimo pięknego, białego piasku, plaża była niemal wyludniona. Na morzu widać było łodzie żaglowe i jachty, między którymi przemykały windsurferzy. Piękny dzień, lekka bryza. Wyżej, na brzegu, widniały śnieżnobiałe ściany Hotelu Starbreak, palmy, ogrody, kolorowe plamy słońca na tarasach i plażach. 212 Rudiego wyleciał z dużą prędkością z mgły; rotor młócił powietrze, silnik krztusił się i nie na wiele już mógł się przydać. Linia schodzenia nie dawała • żadnego wyboru, lecz Rudi cieszył się, że będzie siadać

495

na ziemi, a nie na wodzie. Plaża pędziła na niego. Wybrał punkt lądowania za jakimś cieniem, nieco za plażą, w kierunku drogi. Zwolnił obroty, a potem pociągnął dźwignię, zmieniając kąt nachylenia śmigła, żeby uzyskać na chwilę ciąg, który złagodziłby uderzenie. Helikopter przesunął się o kilka metrów na nierównej powierzchni, przechylił, ale nie na tyle, żeby coś mogło się zniszczyć, i bezpiecznie znieruchomiał.

- Jasna cholera... - wyjąkał Faganwitch, gdy mógł już oddychać.

Rudi rozpoczął procedurę wyłączenia. Panowała niesamowita cisza. Dopiero teraz pilotowi zadrżały ręce i kolana. Plażowicze i ludzie wypoczywający na tarasach wstali i przyglądali się im.

Faganwitch nagle głęboko westchnął, co zaniepokoiło Rudiego. Rozejrzył się i westchnął

w taki sam sposób.

Leżała, podpierając się łokciem; miała na sobie ciemne okulary i nic więcej. Blondynka, piękna. Bez pośpiechu wstała i wciągnęła skąpy kostium kąpielowy.

- Jezu Chryste... - Faganwitchowi odebrało mowę. Rudi pomachał ręką i zawołał zduszonym głosem:

- Przepraszam, skończyło mi się paliwo. Roześmiała się, a wtedy pojawił się helikopter Kelly'ego i wszystko zepsuł. Podmuch mielonego rotorem powietrza rozwiał jej długie włosy, porwał ręcznik i sypnął piaskiem. Teraz Kelly też ją zobaczył, grzecznie cofnął maszynę w stronę drogi i, wytrącony z równowagi tak jak jego koledzy, usiadł na ziemi.

LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE W BAHRAJNIE, 11:13. Jean-Luc i mechanik Rod Rodrigues wybiegli z budynku i popędzili w kierunku małego samochodu cysterny, oznaczonego GAdeF - Gulf Air de France, który udało się im wypożyczyć. Na lotnisku panował duży ruch. Wspaniały nowoczesny terminal i inne budynki świeciły bielą. Ładowano i rozładowywano odrzutowce; jumbo JAL właśnie wylądował.

- On y va, jedziemy - zakomunikował Jean-Luc.

496

235

- Oczywiście, sajjid. - Kierowca włączył interkom i jednym płynnym ruchem zapalił silnik, wrzucił bieg i ruszył. Był młodym, szczupłym palestyńskim chrześcijaninem w ciemnych okularach i firmowym kombinezonie. - Dokąd jedziemy?

- Znasz plażę Abu Sab?

- O, tak, sajjid.

- Wylądowały tam dwa nasze helikoptery. Nie mają paliwa.

- Już właściwie tam jesteśmy! - Kierowca zmienił bieg ruchem rajdowca i zwiększył

szybkość. W głośniku interkomu zabrzmiały słowa: - Alfa Cztery? - Wziął do ręki mikrofon i zaczął pojazd prowadzić nonszalancko jedną ręką. - Tu Alfa Cztery.

- Daj mi kapitana Sessonne'a.

Jean-Luc rozpoznał głos Mathiasa Delarne'a, kierownika Gulf Air de France w Bahrajnie, starego przyjaciela z czasów, gdy służyli we Francuskich Siłach Powietrznych w Algierii.

- Tu Jean-Luc, przyjacielu - zgłosił się w języku francuskim.

- Dzwonili do mnie z wieży - mówił szybko Delar-ne. - Następny helikopter wchodzi właśnie w zasięg naszego systemu z oczekiwanego przez ciebie kierunku. To Dubois albo Petrofi, co?

Wieża go wywołuje, ale nie mają jeszcze kontaktu.

- Tylko jeden? - zaniepokoił się Jean-Luc.

- No właśnie. Jest na prawidłowym podejściu do lądowiska 16. Teraz ten problem, o którym rozmawialiśmy, co?

- Tak. - Jean-Luc powiedział już wcześniej przyjacielowi, co się naprawdę dzieje i o sprawie numerów rejestracyjnych. - Mathias, powiedz w moim imieniu wieży, że to jest G-HTTE, przelatujący tranzytem. - Podał trzeci z czterech numerów wywoławczych, jakimi dysponował. - Potem zatelefonuj do Andy'ego i powiedz mu, że wyślę Rodriguesa, żeby zajął

się Rudim i Kellym. My zajmiemy się Dubois albo Sandorem, ty i ja. Odbierzemy drugą przesyłkę. Gdzie się spotkamy?

497

- Mój Boże, Jean-Luc, po tym wszystkim będziemy musieli wstąpić do Legii Cudzoziemskiej. Spotkajmy się przed biurem.

Jean-Luc potwierdził i odwiesił mikrofon.

- Zatrzymaj się tutaj! - Ciężarówka zaryła w miejscu, tak że Rodrigues i Jean-Luc omal nie wylecieli przez przednią szybę. - Rod, wiesz co robić. - Kapitan wyskoczył. - Jedźcie!

- Posłuchaj, raczej podejść i...

Reszta zdania utonęła w pisku opon ruszającego pojazdu. Jean-Luc pobiegł z powrotem, a samochód wypadł przez bramę i wjechał na drogę prowadzącą do morza.

W KOWISSIE, W WIEŻY, 11:17. Lochart i Wazari spoglądali na odległy już 206 NcIvera, wspinający się nad góry Zagros.

- Kowiss, tu HCC - powiedział NcIver przez nadajnik pracujący na ultrakrótkich. -

Wychodzę z waszego systemu. Miłego dnia.

- HCC, tu Kowiss. Miłego dnia - odparł Wazari. W głośniku krótkofalówki zabrzmiały słowa w farsi:

- Bandar Dejlam, tu Teheran, macie już jakieś wiadomości z Kowissu?

- Nie. Asz Szargaz, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie?

Trzaski, potem powtórne wywołanie, potem znów cisza.

Wazari przetarł twarz.

- Myśli pan, że kapitan Ayre jest już na miejscu spotkania? - zapytał. Desperacko pragnął znów prosić, ale wyczuwał niechęć Locharta. - Co?

Lochart tylko wzruszył ramionami. Myślał o Teheranie i o tym, co zrobić. Powiedział wcześniej McIvero-wi, żeby wysłał obu mechaników z Ayre'em.

- Po prostu na wypadek, gdyby mnie nakryli, Mac, albo gdyby Wazari nas wydał.

- Nie rób żadnych głupstw, Tom. Nie leć na przykład do Teheranu, z Wazarim czy bez niego.

236

498

- Nie mógłbym dolecieć do Teheranu bez postawienia na nogi całego systemu kontroli radarowej i spiętrzenia Operacji. Musiałbym po drodze zatankować i wtedy by mnie zatrzymali.

Czy jest jakiś sposób? - zadał sobie w myślach pytanie. Spostrzegł, że Wazari na niego patrzy.

- Co?

- Czy kapitan McIver da panu znać, gdy pozbędzie się Kia? - Ponieważ Lochart tylko na niego spojrział, dodał ponuro: - Cholera, nie widzi pan, że to moja jedyna szansa na wydostanie się stąd?

Obaj mężczyźni odwrócili się na piętach, czując na sobie czyjś wzrok. Przez poręcz schodów patrzył na nich Pawud.

- A więc - powiedział cicho - wedle woli Boga. Obaj zostaliście przyłapani na zdradzie.

Lochart zbliżył się do niego o krok.

- Nie wiem, o co panu chodzi - zaczął, czując suchość w ustach. - Nic się...

- Zostaliście przyłapani. Pan i ten judasz! Wy wszyscy uciekacie! Uciekacie z naszymi helikopterami!

Wazari wykrzywił twarz i syknął:

- Judasz, co? Zabieraj ze schodów swoją komunistyczną dupę i chodź tutaj! Wiem wszystko o tobie i twoich towarzyszach z Tude!

Pawud zbladł.

- To nonsens! To ty wpadłeś! Jesteś...

- To ty jesteś judaszem, ty wszawy komuchowaty skurwysynu! A kapral Ali Fedagi mieszka ze mną w pokoju; jest komisarzem bazy i twoim szefem. Wiem o tobie wszystko, bo parę miesięcy temu on próbował namówić mnie do wstąpienia do partii. Zabieraj dupę ze schodów i wejdź! - Ponieważ Pawud wahał się, Wazari dodał z groźbą w głosie: - Jeśli nie, dzwonię zaraz do komitetu i załatwiam ciebie, Fedagiego i Mohammada Beraniego razem z wszystkimi innymi, i gówno wam... - Jego palec powędrował do przycisku nadawania, ale Pawud krzyknął:

- Nie!

499

Wszedł na podest i stał tam, dygocąc ze strachu. Przez chwilę nic się nie działo. Potem Wazari chwycił przerażonego człowieka, cisnął go w kąt i podniósł kombinerki, żeby uderzyć go w głowę. Lochart w ostatniej chwili złapał go za rękę.

- Dlaczego, u diabła, mi przeszkadzasz? - Wazari także dygotał ze strachu. - On nas wyda!

- Nie ma potrzeby... Nie ma. - Lochart miał przez chwilę trudności z formułowaniem słów. -

Cierpliwości. Posłuchaj, Pawud: jeśli ty będziesz cicho, to my też.

- Przysięgam na Boga, oczywiście będę...

- Tym sukinsynom nie można ufać - wysyczał Wazari.

- Nawet nie zamierzam - odparł Lochart. - Prędko. Wszystko napisz! Prędko! Wszystkie nazwiska, jakie pamiętasz. Prędko i w trzech egzemplarzach! - Lochart wcisnął długopis do ręki młodzieńca. Wazari zawahał się. Potem wziął bloczek i zaczął coś gryzmolić. Lochart zbliżył się do Pawuda, który skulił się i zaczął prosić o litość. - Zamknij się i posłuchaj, Pawud, zawrzemy umowę. Ty nie powiesz, my nie powiemy.

- Na Boga, oczywiście, że nic nie powiem, agha. Czyż nie służyłem lojalnie firmie, lojalnie przez te wszystkie lata, czyż nie...

- Kłamca - stwierdził Wazari i dodał, wywołując zdumienie Locharta: - Słyszałem, jak ty i inni opowiadaliście kłamstwa o Manueli Starke, widziałem, jak śliniliście się na jej widok i podglądaliście ją w nocy.

- To nieprawda, proszę mu nie wierzyć...

237

- Zamknij się, skurwysynu! - krzyknął Wazari. Pawud usłuchał, przestraszył się jadu w głosie Irańczyka; skulił się w swoim kącie.

Lochart oderwał wzrok od rozdygotanych mężczyzn, wziął jedną z list i schował do kieszeni.

- Niech pan weźmie jedną, sierzancie. Masz - dodał pod adresem Pawuda, ciskając mu trzecią w twarz. Pawud chciał cofnąć głowę, nie mógł, a gdy pilot wcisnął mu kartkę do ręki, odrzucił ją, jakby go oparzyła. - Przyrzekam ci w obliczu Boga, że jeśli ktoś nas 500

zatrzyma, ta lista trafi do pierwszego człowieka z Zielonych Opasek, jakiego zobaczę! Nie zapominaj też, że obaj mówimy w farsi, a ja znam Hosejna! Zrozumiałeś?

- Zdrętwiały ze strachu Pawud skinął głową. Lochart pochylił się, podniósł kartkę i włożył mu ją do kieszeni.

- Siadaj tam! - Wskazał krzesło w rogu. Wytrzeł spocone ręce o spodnie, włączył nadajnik na fale ultrakrótkie i wziął do ręki mikrofon.

- Kowiss wzywa helikoptery nadlatujące z Bandar Dejlamu. Słyszycie mnie? - Poczekał i powtórzył wywołanie. Potem: - Wieża, tu baza, słyszycie mnie?

Po chwili rozległ się zmęczony głos z silnym akcentem:

- Tak, słyszę.

- Oczekujemy przybycia z Bandar Dejlamu czterech helikopterów, które są wyposażone tylko w nadajniki pracujące na falach ultrakrótkich. Zamierzam wystartować i spróbować je wywołać. Nie będziemy prowadzić nasłuchu do mojego powrotu. W porządku?

- W porządku.

Lochart wyłączył nadajnik. Odezwała się krótkofalówka.

- Kowiss, tu Teheran, słyszycie mnie?

- Co z nim? - zapytał Lochart.

Obaj spojrzeli na Pawuda, który skurczył się na swoim krześle.

Ból głowy Wazariego osiągnął apogeum. Chyba muszę zabić Pawuda; tylko tak mogę udowodnić, że jestem po stronie Locharta.

- Zajmę się nim - powiedział i wstał.

- Nie - odparł Lochart. - Pawud, masz wolne przez resztę dnia. Zejdiesz na dół, powiesz, że jesteś chory i pójdziesz do domu. Nie wolno ci mówić nic więcej; masz od razu wyjść. Stąd będziemy cię widzieć i słyszeć. Jeśli nas wydasz, wszyscy ludzie z tej listy będą zgubieni.

- Czy pan przyrzeka, że... - Pawud zaczął powoli dobierać słowa. - ...Przyrzeka, że nikomu nie

powie?

- Wynoś się, i do domu! To zależy tylko od ciebie. • Wynocha!

501

Patrzyli, jak wychodzi zataczając się. Poczuli pewną ulgę, gdy zobaczyli, że odjeżdża powoli na rowerze w kierunku miasta.

- Powinniśmy go zabić, kapitanie... Powinniśmy. Ja bym to zrobił.

- Teraz jesteśmy równie bezpieczni, a... no cóż, zabicie go w niczym by nam nie pomogło.

Ani mnie w sprawie Szahrazad, dodał w myślach. Znów krótkofalówka.

- Kowiss, tu Bandar Dejlam, słyszycie mnie?

- To niedobrze, że te sukinsyny nadają, kapitanie. Ci na wieży może są źle wyszkoleni, ale przecież w końcu ich usłyszą.

Lochart skupił się całkowicie na tym problemie.

- Sierzancie, niech pan odbierze i udaje radiooperatora, który jest zły, że ma zepsute święto i wszystko olewa. Niech pan powie w farsi, żeby się zamknęli i zostawili w spokoju nasz kanał, dopóki nie naprawimy sprzętu. Powie pan, że ten wariat Lochart wystartował, żeby wywołać cztery helikoptery na ultrakrótkich, że może jeden z nich musiał awaryjnie lądować, a inne mu towarzyszą. Dobra?

238

- Jasne, rozumiem! - Wazari zrobił wszystko znakomicie. Gdy wyłączył nadawanie, chwycił się za szarpaną oślepiającym bólem głowę. Potem spojrzał na Locharta. - Teraz już mi pan wierzy?

- Tak.

- I mogę z panem polecieć, słowo?

- Tak. - Lochart wyciągnął rękę. - Dziękuję za pomoc. - Wyłączył aparat, wyjął przerywacz obwodu krótkofalówki i schował go do kieszeni.

- Idziemy. - Zatrzymał się na chwilę w biurze na dole. - Startuję - rzucił pod adresem trzech urzędników, którzy wpatrywali się w niego ze zdumieniem. - Spróbuję wywołać cztery helikoptery z Bandar na falach ultrakrótkich. Żaden z trzech mężczyzn nie odpowiedział, ale Lochart czuł, że oni także znają jego tajemnicę. Zwrócił się do Wazariego: - Do zobaczenia jutro, sierzancie.

- Mam nadzieję, że nie będę potrzebny; łeb mi po prostu pęka.

- Do jutra.

Lochart pokręcił się jeszcze trochę po biurze, świadom badawczych spojrzeń, jakimi go obrzucano. Chciał dać Wazariemu czas na odejście. Sierżant miał obejść hangar i wśliznąć się na pokład. „Gdy wyjdiesz z biura, będziesz już zdany na własne siły”, powiedział mu wcześniej Lochart. „Nie będę sprawdzał, czy dotarłeś. Od razu wystartuję”.

- Oby Bóg nam pomógł, kapitanie.

502

NA LOTNISKU W BAHRAJNIE, 11:28. Jean-Luc i Mathias Delarne stali przy furgonetce zaparkowanej obok lądowiska. Osłaniając oczy przed słońcem, patrzyli na zbliżającą się 212; jeszcze nie poznawali pilota. Mathias był niskim, krępy męczyzną z ciemnymi, falistymi włosami. Tylko połowa jego twarzy wyglądała normalnie; drugą znaczyły blizny po poparzeniach, jakich doznał niedaleko Algieru.

- To Dubois - orzekł.

- Nie, to Sandor.

Jean-Luc pomachał ręką, wskazując pilotowi miejsce lądowania. W chwili gdy płozy dotknęły ziemi, Mathias podbiegł do lewych drzwi kokpitu, nie zwracając uwagi na Sandora, który coś krzyczał. Mathias miał ze sobą duży pędzel i puszkę szybko schnącej farby lotniczej. Zaczął zamalowywać na białą irańską rejestrację, umie-504

szczoną pod okienkiem. Jean-Luc przyłożył przygotowany wcześniej szablon i namalował

czarne litery. Ostrożnie oderwał szablon. Teraz maszyna miała rejestrację G-HXXI i była legalna.

W tym czasie Mathias podszedł do ogona, zamalował litery IHC, przeszedł na drugą stronę i zrobił to samo. Ledwie Sandor zdążył odsunąć rękę, a już Jean-Luc malował na drugich drzwiczkach nowe litery.

- Voila!

Jean-Luc oddał farbę i przybory malarskie Mathia-sowi, który szybko ukrył wszystko pod plandeką furgonetki. Jean-Luc zmiażdżył w uścisku rękę Sandora i opowiedział mu o Rudim i Kellym. Potem zapytał o Dubois.

- Nie wiem, stary - odparł Sandor. Opowiedział, jak niemal doszło do zderzenia. - Po tej historii Rudi kazał nam się rozdzielić. Potem nie widziałem już żadnego z nich. Ustawiłem obroty tak, żeby spalać jak najmniej paliwa, trzymałem się przy powierzchni wody i modliłem. Przez ostatnie dziesięć pieprzonych minut wskaźnik był już na zerze. Co z innymi?

- Rudi i Kelly wylądowali na plaży Abu Sab; zajął się nimi Rod Rodrigues. Nie wiemy nic o Scragu, Willim i Vossim, ale wiemy, że Mac jest jeszcze w Kowissie.

- Jezu!

239

- Qui. Razem z Freddym i Tomem Lochartem. W każdym razie byli tam jeszcze piętnaście minut temu.

- Jean-Luc zwrócił się do Mathiasa, który do nich podszedł. - Nastawiłeś radio na częstotliwość wieży?

- Tak, nie ma problemu.

- Mathias Delarne, Sandor Petrofi, a to Johnson, nasz mechanik. - Wymienili uściski dłoni.

- Jak się leciało? Merde, właściwie lepiej mi nie mów

- dodał Mathias, a potem zobaczył nadjeżdżający samochód. - Kłopoty - ostrzegł.

- Zostań w kokpicie, Sandor - polecił Jean-Luc.

- Johnson, wracaj do kabiny.

Samochód z oznaczeniem: „Urzędowy” zatrzymał się dwadzieścia metrów od 212. Wysiedli z niego dwaj

505

Bahrajńczycy: umundurowany kapitan z urzędu imig-racyjnego i urzędnik z wieży; ten ostatni w białej, powiewnej szacie diszdasza i turbanie. Mathias wyszedł im na spotkanie.

- Dzień dobry, sajjid Jusuf, sajjid Ben Ahmed. To jest kapitan Sessonne.

- Dzień dobry - odpowiedzieli grzecznie i spojrzeli na 212. - A pilot?

- Kapitan Petrofi. Pan Johnson, mechanik, jest w kabinie. - Jean-Luc poczuł skurcz serca.

Słońce błyszczało na nowej farbie, ale stara była matowa, a u dołu każdej litery I widoczna była czarna kropka. Czekał na nieuchronne pytanie: „Skąd przyleciała ta maszyna?” Miał na to odpowiedzieć: „Z Basry, z Iraku”. Lecz tak łatwo to sprawdzić! Właściwie nie trzeba było tego robić; wystarczyło przejechać palcem po nowej farbie i stwierdzić, że pod spodem kryją się inne litery. Mathias był równie zaniepokojony. Dla Jean-Luca to proste: nie mieszka tutaj i nie musi tu pracować.

- Jak długo G-HXXI tu zostanie, kapitanie? - zapytał urzędnik imigracyjny o gładko ogolonej twarzy i smutnym spojrzeniu.

Jean-Luc i Mathias jęknęli w duchu, słysząc, że litery rejestracji zostały wymówione ze szczególnym naciskiem.

- Zaraz wylatuje do Asz Szargaz, sajjid - odpowiedział Mathias. - Od razu po uzupełnieniu paliwa. To samo dotyczy innych, którym skończyło się paliwo.

Ben Ahmed, urzędnik z wieży, westchnął.

- Bardzo złe planowanie, skoro paliwo tak niespodziewanie się kończy... Zastanawiam się, co z przepisową, trzydziestominutową rezerwą? -

- To... chyba przeciwny wiatr, sajjid.

- Rzeczywiście, dzisiaj mocno wieje. - Ben Ahmed spojrzał na zatokę; widoczność była ograniczona do mniej więcej kilometra. - Jeden 212 tutaj, a dwa na naszej plaży, a czwarty...

czwarty tam. - Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na Jean-Lucu. - Może zawrócił do punktu startu?

506

Jean-Luc obdarzył mężczyznę najbardziej czarującym uśmiechem.

- Nie wiem, sajjid Ben Ahmed - odparł ostrożnie. Chciał już zakończyć tę zabawę w kotka i myszkę, zatankować helikopter i wyruszyć na poszukiwania.

Obaj mężczyźni znów spojrzeli na śmigłowiec. Rotor już się zatrzymał. Śmigło drżało w podmuchach wiatru. Ben Ahmed niedbałym ruchem wyjął teleks.

- Właśnie otrzymaliśmy to z Teheranu, Mathias. Chodzi o jakieś zaginione helikoptery -

poinformował uprzejmym tonem. - Od irańskiej kontroli lotów. Teleks brzmi: Prosimy o zwrócenie uwagi na nasze helikoptery, które zostały nielegalnie wywiezione z Bandar Dejlamu. Prosimy o zasekwestrowanie ich, aresztowanie załogi i poinformowanie naszej ambasady, która załatwi natychmiastową deportację przestępców i zwrot naszego sprzętu.

240

- Uśmiechnął się i wręczył teleks Mathiasowi. - Dziwne, prawda?

- Bardzo dziwne - odparł Mathias. Przeczytał teleks, wygładził go i zwrócił.

- Kapitanie Sessonne, czy był pan w Iranie?

- Tak, byłem.

- To straszne: te wszystkie rozruchy, zabójstwa. Muzułmanie zabijają muzułmanów. Persja zawsze była dziwna; sprawiała kłopoty innym państwom zatoki. Oni podkreślają, że nasza zatoka jest Zatoką Perską, jakbyśmy my, z tej strony, nie istnieli - powiedział rzeczowym tonem Ben Ahmed. - Przecież Szach twierdził nawet, że nasza wyspa jest irańska tylko dlatego, że trzysta lat temu Persowie

zawojowali nas na dwa lata, nas, którzy zawsze byliśmy niepodlegli.

- Tak, ale potem to odwołał...

- To prawda, ale rozpoczął wtedy okupację naftowych wysepek Tums i Abu Musa. Władcy Persji są bardzo hegemonistyczni, bardzo dziwni, kimkolwiek są. To świętokradztwo umieszczać ajatollahów i mułłów między ludźmi a Bogiem, prawda?

- Oni mają swoje zwyczaje - łagodził Jean-Luc.

- A inni swoje.

507

Ben Ahmed spojrzał na tył furgonetki. Jean-Luc zauważył, że spod plandeki wystaje trzonek pędzla.

- Przeżywamy niebezpieczne czasy na zatokę, bardzo niebezpieczne. Od północy zbliżają się wrogowie Boga, Sowietci, na południu inni wrogowie Boga, marksiści, zbroją się w Jemenie; wszyscy patrzą na nas i nasze bogactwo. I na islam. Tylko islam powstrzymuje ich od panowania nad światem.

Mathias miał ochotę zapytać: „A co z Francją i, oczywiście, Ameryką?” Zamiast tego oświadczył:

- Islam nie zawiedzie. Ani państwa zatoki, jeśli będą czujne.

- Tak, z pomocą Boga. - Ben Ahmed skinął głową i uśmiechnął się do Jean-Luca. - Tu, na naszej wyspie, musimy być bardzo czujni; musimy pilnować, żeby nikt nie narobił nam kłopotów, prawda?

Jean-Luc skinął głową. Z trudem hamował się, żeby nie spojrzeć na teleks w ręku rozmówcy; skoro dostał go Bahrajn, mógł dotrzeć do wszystkich wież kontroli lotów po tej stronie zatoki.

- Z bożą pomocą się uda.

Urzędnik imigracyjny zgodził się z tym zdaniem.

- Kapitanie, chciałbym zobaczyć dokumenty pilota i mechanika. I ich samych.

- Oczywiście. - Jean-Luc podszedł do Sandora.

- Teheran poprosił ich, żeby zwracali uwagę na irańskie rejestracje - szepnął szybko, a Sandor zrobił się zielony.

- Nie ma powodu do paniki, mon vieux, po prostu pokażcie paszporty, odzywajcie się jak najmniej i pamiętajcie, że jesteśmy G-HXXI z Basry.

- Ale, Jezu - wychrypiał Sandor - powinniśmy mieć irackie stemple, a ja mam tylko irańskie i to prawie na każdej stronie.

- Byłeś też w Iranie. Co z tego? Zaczynj się modlić, mon braw. Chodź.

Urzędnik imigracyjny wziął amerykański paszport. Skrupulatnie badał wzrokiem fotografię, porównując ją z twarzą Sandora, który niepewnym ruchem zdjął okulary. Oddał dokument, nie przeglądając dalszych stron.

- Dziękuję - powiedział i wziął do ręki brytyjski paszport Johnsona. Znów uważne studiowanie. Tylko fotografii. Ben Ahmed zbliżył się o krok do helikoptera. Johnson zostawił

otwarte drzwiczki kabiny. - Co jest na pokładzie?

- Części zamienne - odpowiedzieli chórem Sandor, Johnson i Jean-Luc.

- Musicie przejść odprawę celną.

241

- To tylko tranzyt, sajjid Jusuf; start natychmiast po uzupełnieniu paliwa - odezwał się Mathias grzecznym tonem. - Może byłoby możliwe poprzestanie na podpisaniu formularza tranzytowego z oświadczeniem, że nie przewozi broni, narkotyków ani amunicji. - Zawahał

się. - Jeśli to ma jakieś znaczenie, ja także mogę to zagwarantować.

- Twoja obecność zawsze ma duże znaczenie, sajjid Mathias - powiedział Jusuf. Panował

upał, w powietrzu wznosił się kurz. Jusuf wyjął chusteczkę i wytarł nos. Potem z paszportem Johnsona w ręku podszedł do Ben Ahmeda. - Myślę, że w wypadku brytyjskiego statku powietrznego w tranzycie można to tak załatwić, i zrobić to samo z tymi dwoma na plaży, co?

Pracownik wieży odwrócił się tyłem do śmigłowca.

- Dlaczego nie? Te dwa następne też skierujemy tutaj, kapitanie Sessonne. Pan będzie na nie czekał z paliwem, a my damy zezwolenie na lot do Asz Szar-gaz, gdy tylko skończy się tankowanie. - Znów spojrzał w kierunku morza; w jego ciemnych oczach pojawił się wyraz zaniepokojenia. - A czwarty? Kiedy przyleci? Co będzie z nim? Zakładam, że także ma rejestrację brytyjską?

- Tak, tak, ma - odparł Jean-Luc, powtarzając w myślach nowy numer rejestracyjny. - Za... za pańskim pozwoleniem, te trzy polecą z powrotem kawałek swoją trasą, a za pół godziny skierują się do Asz Szargaz.

Warto spróbować, pomyślał, żegnając z galijskim wdziękiem odchodzących mężczyzn, ledwie wierząc w cud odroczenia wyroku.

508

509

Ciekawe, czy są ślepi, czy nie chcą widzieć? Nie wiem, nie wiem, ale Matka Boska znów nad nami czuwała.

- Jean-Luc, zadzwoń lepiej do Gavallana i powiedz mu o teleksie - poradził Mathias.

NIEDALEKO WYBRZEŻA ASZ SZARGAZ.

Scragger i Benson wpatrywali się we wskaźniki poziomu oleju i ciśnienia silnika numer jeden. Paliły się ostrzegawcze światełka; wskaźnik temperatury na maksimum, góra czerwonego pola, wskazówka ciśnienia prawie na zerze. Lecieli teraz na pułapie dwustu metrów. Pogoda dobra, choć nieco mgły. Granica międzynarodowa, Siri i Abu Musa zostały za nimi, a Asz Szargaz znajdowała się z przodu, dokładnie na kursie. Głosy kierujących ruchem ludzi z wieży rozbrzmiewały w hełmofonach trzy na pięć.

- Chcę go wyłączyć, Benson.

- Tak, lepiej, żeby nie wysiadł całkiem.

Hałas się zmniejszył, maszyna opadła o trzydzieści metrów, ale gdy Scragger zwiększył moc silnika numer dwa, zaczęła trzymać wysokość. Obaj mężczyźni niepokoiili się jednak brakiem rezerwy.

- Diabli wiedzą, co mu się stało, Scrag, sam sprawdzałem silniki kilka dni temu. Jak się sprawuje maszyna?

- Doskonale, zresztą mamy już nie daleko. Bersona to nie uspokoiło.

- Czy jest po drodze jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy awaryjnie lądować? Jakies wydmy, platforma?

- Jasne, od groma - skłamał Scragger, wypatrując niebezpieczeństwa. Na razie nie dostrzegął żadnego. - Słyszysz coś?

- Nie... nie, nic. Jasna cholera, mogę usłyszeć każdy cholerny trybik.

Scragger roześmiał się.

- Ja też.

- Czy nie powinniśmy wywołać Asz Szargaz?

- Mamy masę czasu, synu. Czekam na Vossiego i Willego.

Lecieli dalej, pocąc się ze strachu przy każdej najdrobniejszej turbulencji, zmianie tonu silnika czy drgnięciu igły wskaźnika.

- Ile mamy jeszcze przelecieć, Scrag?

Benson kochał silniki, ale nie znosił latania, zwłaszcza helikopterem. Koszula lepiała mu się do pleców.

- Asz Szargaz, tu EP-HBB. Nadlatuję razem z EP-HGF, wysokość dwieście, kurs 140 stopni.

- Usłyszeli nagle głos Willego. - Przybliżony czas lądowania za dwadzieścia minut.

Scragger jęknął i wstrzymał oddech, gdyż Willi automatycznie podał pełne brzmienie irańskich sygnałów wywoławczych, chociaż umówili się, że spróbują podać tylko trzy ostatnie litery. Kontroler odpowiedział bardzo dobrą angielszczyzną:

- Helikopter wywołujący Asz Szargaz, rozumiemy, że jesteś w tranzycie, nadlatujesz na kierunku 140 i coś kiepsko cię słysząc. Proszę o potwierdzenie: jesteś G-HYYR, a ten drugi to G-HFEE? Powtarzam: GOLF, HOTEL, YANKEE, YANKEE, ROMERO i GOLF, HOTEL, FOKSTROT, ECHO, ECHO?

Scragger wykrzyknął radośnie:

- Dobrze się przygotowali!

Willi zawahał się, a Scragger wręcz poczuł, że dostaje gorączki.

- Asz Szargaz, tu... tu G-HYYR...

- Asz Szargaz, tu Golf Hotel Fokstrot Echo Echo i Gold Hotel Yankee Yankee Romero -

przerwał mu zdecydowany głos Willego. - Słyszemy cię głośno i wyraźnie; będziemy za dziesięć minut i prosimy o zezwolenie na lądowanie na lądowisku północnym. Prosimy o poinformowanie S-G.

- Oczywiście, G-HFEE - odpowiedział kontroler, a Scragger wyczuł ulgę w jego głosie. -

Masz zezwolenie na siadanie na lądowisku północnym. Wywołuj S-G na 117, 7. Witamy w Asz Szargaz! Utrzymuj kurs i wysokość.

- Tak jest! Doprawdy tak jest! 117,7 - wykrzyknął Yossi. Scragger przełączył się natychmiast na ten sam

kanał. Znow usłyszał Vossiego. - Sierra Jeden, tu HFEE i HYRR, słyszycie mnie?

- Głośno i cudownie wyraźnie. Witamy, ale gdzie jest Golf Hotel Sierra Victor Tango?

W BIURZE W ASZ SZARGAZ. - Leci za nami, Sierra Jeden - powiedział Vossi.

Gavallan, Scot, Nogger i Starke nasłuchiwali na falach ultrakrótkich, na częstotliwości firmy, kontrolując też częstotliwość wieży. Zdawali sobie sprawę, że wszystkie rozmowy mogą być podsłuchiwane, zwłaszcza na falach krótkich, przez Sijamackiego w Teheranie i Nu-mira w Bandar Dejlamie.

- Jest o kilka minut za nami, on kazał nam lecieć oddzielnie. - Vossi starannie dobierał słowa.

- Nie wiemy, nie wiemy, co się stało.

Nagle włączył się Scragger. Wszyscy poznali po głosie, że promiennie się uśmiecha.

- Pilnujcie się, G-HSVT siedzi wam na ogonie...

W pokoju rozległy się głośnie wiwaty. Gavallan poruszył brwiami i mruknął:

- Dzięki Bogu. - Poczucie ulgi sprawiło, że niemal zasłabł. Wskazał kciukiem Noggera. -

Ruszaj, Nogger!

Młody człowiek ochoczo wybiegł i wpadł na Manue-lę, która wchodziła właśnie z tacą napojów chłodzących.

- Scrag, Willi i Ed zaraz wylądują - zawołał w biegu, odwracając się do niej.

- Wspaniale! - ucieszyła się i weszła do pokoju. - Czyż to nie... Urwała.

Scragger właśnie mówił: - ... lecę na jednym silniku, proszę o zezwolenie na najkrótsze podejście, przygotujcie na wszelki wypadek samochód strażacki.

- Ed, zawracaj o 180 i sprowadź Scraga. - Rozległ się natychmiast głos Willego. - Masz jeszcze benzynę?

- Dużo. Już zawracam.

243

- Scrag, tu Willi. Zajmę się zezwoleniem. Masz benzynę?

- Od groma. HSVT, co? To o wiele lepsze niż HASVD!

512

Usłyszeli jego śmiech; Manuela poczuła się nieco pokrzepiona.

Napięcie tego ranka, próby zapanowania nad strachem były dla niej ciężkie. Słyszała różne głosy, tak dalekie, a tak bliskie, wszystkie pochodzące od osób, które lubiła, kochała lub nienawidziła - głosy

wrogów.

- Oni są wrogami - powiedziała żarliwie kilka minut wcześniej. Była bliska łez, gdyż jej wspaniały przyjaciel, Marc Dubois, i stary Fowler zaginęli, zginęli, zginęli i och, Boże, to mógł być Conroe i mogą być inni. - Dżahan jest wrogiem! Sijamaki, Numir, oni wszyscy, wszyscy!

- Nie, nie są, Manuelo. Po prostu wykonują swoją pracę... - przerwał jej łagodnie Gavallan.

Lecz ta łagodność tylko ją rozdrażniła i wprawiła we wściekłość; nałożyło się na to zdenerwowanie faktem, że Starke był tu, a nie w szpitalnym łóżku, a przecież zeszłej nocy przeszedł operację. Wybuchnęła:

- Cała Operacja jest dla was tylko grą, tylko jakąś cholerną grą! Jesteście bandą lekkomyślnych chłopaczków i... i...

Wybiegła z pokoju, wpadła do toalety i rozpłakała

się. Gdy burza minęła, skarciła się za brak samokontroli i przypomniała sobie, że mężczyźni zawsze są głupi

i infantylni i nic tego nie zmieni. Wytarła nos, poprawiła

\ makijaż i fryzurę. Poszła po napoje.

Cicho postawiła tacę. Nikt jej nie zauważył.

Starke telefonował do kontroli naziemnej, wyjaśniając to, co trzeba było wyjaśnić. Scot mówił na ultrakrótkich.

- Zajmiemy się wszystkim, Scrag - obiecał.

- Sierra Jeden, jak tam ze sztuczkami? - zapytał Scragger. - Z waszymi Deltami i Kiloqramami?

Scot spojrział na ojca. Andy nachylił się i powiedział ponurym tonem:

- Delta Trzy świetnie, Kilo Dwa... Kilo Dwa jest - jeszcze mniej więcej na miejscu.

| 513

Cisza w głośniku. Słyszeli tylko angielszczyznę kontrolera na częstotliwości wieży. Trochę szumów.

- Potwierdzasz o Delcie Trzy? - rozległ się zmieniony teraz głos Scraggera.

- Potwierdzam - odparł Gavallan, który jeszcze nie otrząsnął się z szoku, jakim były wiadomości o Dubois i o teleksie, który przyszedł do Bahrajnu, przekazane kilka minut wcześniej telefonicznie przez Jean-Luca. Gavallan oczekiwał wybuchu bomby w ich wieży i w Kuwejcie. Mogło to nastąpić lada chwila. Podczas rozmowy powiedział do Jean-Luca: -

Lotnicze ratownictwo morskie? Lepiej nadajmy Mayday.

- To my jesteśmy lotniczym ratownictwem morskim, Andy. Nie ma żadnego innego. Sandor już wystartował i rozpoczął poszukiwania. Rudi i Pop polecą, gdy tylko skończą tankowanie.

Opracowałem dla nich schemat poszukiwań. Potem polecą prosto do Asz Szargaz; Sandor też.

Nie możemy tkwić tu w nieskończoność; mon Dieu, nie wyobrażasz sobie nawet, jak bliscy byliśmy katastrofy. Jeśli jest w powietrzu albo na powierzchni morza, znajdą go. Poza tym są tu tuziny wydm, na których można lądować.

- Czy to nie zmniejszy ich zasięgu, Jean-Luc?

- Poradzę sobie, Andy. Marc nie nadał Mayday, więc to nie mogło być nic nagłego. A może tylko wysiadło mu radio? Najprawdopodobniej gdzieś usiadł, mógł na przykład wylądować na jakiejś platformie, żeby zatankować. Jeśli usiadł na wodzie, ktoś mógł go zabrać. Jest 244

wiele możliwości, a pamiętaj, że cisza radiowa była jednym z głównych przykazań. Nie ma strachu, mon cher ami.

- Jest bardzo dużo strachu.

- Wiesz coś o innych?

- Nie, jeszcze nie.

Jeszcze nie, pomyślał po raz kolejny i przeszedł go dreszcz.

- Kto to jest Delta Cztery? - To pytał Willi.

- Nasz francuski przyjaciel i Fowler - odpowiedział

514

rzeczowo Gavallan, nie wiedząc, kto słucha tej rozmowy. - Proszę o pełne sprawozdanie, gdy wylądujesz.

- Zrozumiałem. - Trzaski, a potem: - Ed, jak leci?

- Pierwsza klasa, Willi. Wchodzę na trzysta. Hej, Scrag, podaj swój kierunek i wysokość.

- 142, dwieście. Gdybyś otworzył oczy i spojrzał w kierunku godziny drugiej, zobaczyłbyś mnie, bo ja ciebie widzę.

Chwila ciszy.

- Scrag, znów ci się udało!

Gavallan wstał, przeciągnął się i zauważył Manuelę.

- Cześć, kochanie. Uśmiechnęła się, trochę niepewnie.

- Proszę - powiedziała, podając mu butelkę. - Należy ci się piwo i słowo „przepraszam”.

- Nie ma za co przepraszać, naprawdę. Miałaś rację. - Uściskał ją, a potem pociągnął łyk piwa. - Świetne. Dziękuję, Manuelo.

- A co ze mną, kochanie? - zapytał Starke.

- Ode mnie, Conroe Starke, dostaniesz tylko wodę. Poza tym walnęłabym cię w ucho, gdybyś miał między uszami coś więcej niż mięso i kości.

Otworzyła butelkę wody mineralnej i podała mu bez słowa, choć jej oczy rozświeciła uśmiech, a ręka spoczęła na jego ramieniu w geście miłości.

- Dziękuję, kochanie - powiedział.

Czuł ulgę; ona tu była, byli inni, bezpieczni, choć Dubois i Fowler stanowili nadal wielkie znaki zapytania, nie mówiąc już o tych, którzy mieli dopiero lecieć. Bolało go ramię i klatka piersiowa, czuł wzrastające mdłości, pulsowanie w głowie. Doktor Nutt dał mu środek znieczulający i powiedział, że powinien działać przez parę godzin.

- To będzie cię podtrzymywać do południa, Duke, może trochę dłużej, może krócej. Potraktuj to południe jak północ Kopciuszka, bo inaczej naprawdę kiepsko się poczujesz... Kiepsko, to znaczy krwotok.

Spojrzał ponad ramieniem Manueli na zegar: 12:04.

515

- Conroe, kochanie, nie wróciłbyś już do łóżka? Zerknął na nią.

- Może za cztery minuty? - zapytał cicho.

Zaczerwieniła się na widok jego spojrzenia, roześmiała i wbiła mu lekko paznokcie w szyję, jak robią to kotki, gdy mruczą.

- A tak poważnie, kochanie, nie myśl...

- Mówię poważnie.

Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Nutt.

- Do łóżeczka, Duke! Powiedz „dobranoc” jak grzeczny chłopiec!

- Cześć, doktoru. - Starke posłusznie zaczął wstawać. Nie udało mu się za pierwszym razem. Ledwie ukrył tę klęskę i stanął prosto, klnąc w duchu. - Scot, mamy walkie-talkie albo radio z częstotliwością wieży?

- Mamy, jasne. - Scot sięgnął do szuflady i wyjął mały odbiornik. - Będziemy w kontakcie.

Masz telefon przy łóżku?

245

- Tak. Do zobaczenia, kochanie. Czuję się świetnie. Zostań tu na wypadek, gdyby trzeba było tłumaczyć farsi. Dziękuję. - Wyjrzał przez okno. - Hej, spójrzcie na to!

Na chwilę zapomnieli o swoich sprawach. Concorde, latający na trasie Londyn - Bahrajn, kołował właśnie do startu. Niezrównany, ostry jak igła, z opuszczonym przed startem nosem.

Prędkość przelotowa dwa tysiące dwieście kilometrów na godzinę na dwudziestu tysiąc-cych metrów; odległość siedmiu tysięcy dziewięciuset dwudziestu kilometrów pokonywał w trzy godziny i szesnaście minut.

- To chyba najpiękniejszy ptaszek na świecie - rzucił Starke, wychodząc z pokoju.

Manuela westchnęła.

- Marzę o tym, żeby raz nim polecieć, tylko raz.

- Ostatnia okazja - przypomniał Scot. - Słyszałem, że w przyszłym roku zamykają tę linię, prawda?

Skupił uwagę na rozmowach Willego, Scraggera i Vossiego. Na razie nie było problemów. Z

miejsca, w którym siedział, widział ciężarówkę z Noggerem, 516

mechanikami, farbą i pędzlami, pędzącą w kierunku lądowiska helikopterowego, położonego przy oddalonym końcu pasa startowego. Samochód strażacki już tam czekał.

- Cholerni idioci - rzekł Gavallan, który zaczął mówić, żeby stłumić nękający go niepokój.

Wypatrywał helikopterów. - Nasz cholerny rząd nie odróżnia własnej dupy od dziury w ziemi, a francuski jest taki sam. Powinni odpisać koszty badań i rozwoju; właściwie już są odpisane.

Ta maszyna jest bezcenna; to wspinała oferta na trasach z Los Angeles do Japonii, do Australii, także Bueons Aires... Czy ktoś już widzi nasze śmigłowce?

- Wieża ma nad nami przewagę, tato. - Scot nastawił głośniejszy odbiór na częstotliwości wieży.

- Concorde 001, startujesz jako następny. Bon voyage - mówił kontroler. - W powietrzu wywołaj Bagdad na 119,9.

- Dziękuję, 119,9.

Concorde sunął dumnie, pewien, że oczy wszystkich ludzi na lotnisku utkwione są w niego.

- Mój Boże, warto na niego popatrzeć.

- Wieża, tu concorde 001. Na co czekają strażacy?

- Trzy helikoptery nadlatują nad lądowisko północne, jeden na jednym silniku...

W WIEŻY KONTROLI LOTÓW. - ... Chcesz, byśmy je zawrócili, i żeby poczekały, aż wystartujesz?

- zapytał kontroler.

Nazywał się Sinclair i był Anglikiem, dawnym oficerem RAF-u, podobnie jak wielu kontrolerów pracujących w zatoce.

- Nie, dziękuję; po prostu mnie to zaciekawilo. Sinclair, niski, krępy mężczyzna z łysiną, siedział na

obrotowym krześle przy niewielkim biurku naprzeciw panoramicznej szyby. Na szyi zawiesił

silną lornetkę. Teraz przyłożył ją do oczu i wyregulował ostrość. Zobaczył trzy helikoptery lecące w szyku w kształcie litery V. Już wcześniej stwierdził, że maszyna z zepsutym silnikiem posuwa się na czele. Wiedział, że to Scragger, ale 517

udawał, iż nie wie. W wieży zainstalowano całe bogactwo najlepszego sprzętu radarowego i telekomunikacyjnego oraz teleksy. Przebywało tam oprócz Sinclaira trzech praktykantów z Asz Szargaz i jeden kontroler. Kontroler wpatrywał się w swój ekran radarowy, śledząc pozycje sześciu innych samolotów w obrębie systemu.

Sinclair, nie odrywając lornetki od oczu, włączył nadawanie.

- HSVT, tu wieża. Jak wam idzie?

- Wieża, tu HSVT. - Głos Scraggera brzmiał wyraźnie i rzeczowo. - Nie ma problemu.

Wszystko na zielonym. Widzę concorde'a kołującego do startu. Chcecie, żebym poczekał, czy się pospieszył?

246

- HSVT, utrzymuj bezpośrednie, najbezpieczniejsze podejście. Concorde, dojdź do pozycji startowej i czekaj. - Sinclair zawołał do jednego z praktykantów: - Mohammad, przekażę ci helikopter, gdy tylko wyląduje, dobrze?

- Tak, sajjid.

- Masz połączenie ze strażakami?

- Nie, sajjid.

- Połącz się szybko! Ty za to odpowiadasz! - Młodzieniec zaczął przepraszać. - Nie przejmuj się. Zrobiłeś błąd, to go po prostu napraw!

Sinclair poprawił minimalnie ostrość. Scragger podchodził precyzyjnie na wysokości piętnastu metrów.

- Mohammad, powiedz strażakom, żeby się ruszyli. Pospiesz się, na Boga, te skurczybyki powinny przygotować węże.

Usłyszał, że młody kontroler popędza przekleństwami brygadę ogniową. Zobaczył, że strażacy wysypują się z samochodu i rozwijają węże. Skierował lornetkę na czekającego cierpliwie concorde'a. Samolot stał na środku pasa startowego, w bezpiecznej odległości. Nie mogło mu się nic stać, nawet gdyby wszystkie trzy śmigłowce stanęły w płomieniach.

Przytrzymanie concorde'a przez trzydzieści sekund było niewielką ceną. W zamian uzyskiwał on gwarancję, że jego start nie wywoła turbulencji,

518

która mogłaby wytrącić z równowagi uszkodzony śmigłowiec, że nie będzie lokalnych zawirowań i wichrów. Wichrów! Boże wszechmogący!

Już od dwóch dni po lotnisku krążyła plotka, że S-G zamierza nielegalnie wyrwać swoje helikoptery z Iranu. Sinclair oderwał wzrok od concorde'a i skierował szkła na maszynę Scraggera. Płozy dotknęły ziemi. Strażacy zbliżyli się. Ognia nie było.

- Concorde 001, masz zezwolenie na start - powiedział spokojnie. - HFEE I HYYR, lądujcie, kiedy będzie wam wygodniej. Pan Am 116, zezwalam na lądowanie, pas 32, wiatr dwadzieścia węzłów, kierunek 160.

Za jego plecami zastukotał teleks. Przez chwilę obserwował start concorde'a, podziwiając jego moc i kąt, pod jakim nabierał wysokości. Potem znów spojrzął na Scraggera, udając, że nie zauważa małych figurek ludzi wbiegających pod rotor z pędzlami i kubeczkami farby.

Inny człowiek, Nogger Lane, który na polecenie Gavallana poinformował go poufnie, co się naprawdę dzieje - choć Sinclair i tak dowiedział się wcześniej - machał do strażaków, dając im znak, że mogą odjechać. Scragger zmagął się z wymiotami, a inny mężczyzna, prawdopodobnie drugi pilot, szerokim łukiem oddawał moc. Pozostałe dwa helikoptery usiadły na swych lądowiskach. Ekipa malarzy ruszyła do nich w pośpiechu. Co oni, u diabła, robią?

- Dobrze - mruknął. - Nie ma ognia, nie ma zamieszania, nie ma się do czego przypieprzyć.

- Sajjid Sinclair, chyba powinien pan przeczytać ten teleks.

- Co? - Spojrzał nieuważnie na młodzieńca, który niezręcznie próbował obejrzeć helikoptery przez drugą lornetkę. Wystarczył rzut oka na teleks. - Mohammad, czy próbowałeś już kiedyś patrzeć przez lornetkę odwrotnie? - zapytał.

- Sajjid?... - Młody człowiek był bardzo zmieszany. Sinclair wziął od niego lornetkę, rozregulował ' ostrość i oddał w odwrotnym położeniu.

519

- Nastaw na helikoptery i powiedz mi, co widzisz? Wyregulowanie ostrości zabrało praktykantowi sporo czasu.

- Są tak daleko, że z trudem je rozróżniam.

- Interesujące. Usiądź na chwilę na moim miejscu.

247

- Młodzieniec usiadł, rozpierany dumą. - Wywołaj teraz concorde'a i poproś o zgłoszenie pozycji.

Pozostałych praktykantów pożerała zazdrość; zapomnieli o wszystkim innym. Palec Mohammada, naciskający przycisk nadawania, drżał.

- Concorde, tu... tu wieża w Bahrajnie, proszę o podanie pozycji.

- Wieża, tu 001, przechodzę z dziesięciu tysięcy na osiemnaście tysięcy, z 1,3 Ma na 2, dwa tysiące dwieście kilometrów na godzinę. Kierunek 290, opuszczam właśnie wasz obszar.

- Dziękuję, concorde, dobrego dnia... Och, wywołaj Bagdad na 119,9, dobrego dnia! -

zakończył z promiennym uśmiechem.

We właściwym momencie Sinclair demonstracyjnie podniósł teleks i zmarszczył brwi.

- Irańskie helikoptery? - Wręczył młodzieńcowi lornetkę. - Widzisz tu jakieś irańskie helikoptery?

Po starannym zbadaniu wzrokiem trzech przybyłych przed chwilą maszyn, młody człowiek pokręcił głową.

- Nie, sajjid; te są brytyjskie, a wszystkie inne, o jakich wiemy, są stąd, z Asz Szargaz.

- Słusznie. - Sinclair nie uspokoił się jednak. Zobaczył, że Scragger leży na ziemi, a Lane i inni stoją wokół niego. To nie w stylu Scraggera, pomyślał. - Mohammad, wyślij ambulans do tych brytyjskich helikopterów.

- Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. - Panie Gavallan, pańskie ptaszki są na ziemi;

bezpiecznie i rozsądnie. Czy mógłby pan w wolnej chwili wpaść tu do mnie, do wieży?

Powiedział to obojętnym, bardzo angielskim tonem. Wiedział, że tylko inny Anglik zrozumie, iż „w wolnej chwili” oznacza: natychmiast.

520

W BIURZE S-G. - Zaraz będę, panie Sinclair. Dziękuję - powiedział Gavallan.

Scot dostrzegł wyraz twarzy ojca.

- Jakies kłopoty, tato?

- Nie wiem. Zatelefonuj, gdyby coś się tu wydarzyło. - Zatrzymał się w drzwiach. - Cholera, zapomniałem o Newburym. Zadzwoń do niego i zapytaj, czy mogę wpaść po południu.

Pojadę do niego do domu albo gdziekolwiek indziej. Spróbuj mnie jakoś umówić. Gdyby chciał wiedzieć, co się dzieje, powiedz: „jak dotąd, sześć z siedmiu, jeden w gotowości, i zostały jeszcze dwa”. - Wyszedł szybkim krokiem, mówiąc: - Cześć, Manuelo. Scot, spróbuj jeszcze raz złapać Charliego i dowiedz się, gdzie, u diabła, jest.

- Dobra. - Scot i Manuela zostali sami. Scota bolało ramię, coraz bardziej utrudniało mu pracę. Dostrzegł przygnębienie Manuela. - Dubois doleci, zobaczysz - zapewnił, pragnąc, żeby zabrzmiało to przekonująco i ukryło jego własne obawy. - A starego Fowlera lichy nie porwie.

- Och, mam nadzieję - odparła, bliska łez. Zauważyła przedtem, jak jej mąż się potknął, i była boleśnie świadoma jego cierpienia. Pojadę zaraz do szpitala i do diabła z farsi. - To czekanie...

- Jeszcze tylko kilka godzin: dwie maszyny i pięciu ludzi. Potem możemy świętować - rzekł

Scot, trzymając się kurczowo tej nadziei i myśląc: wtedy ze staruszka też spadnie ciężar, zacnie się uśmiechać i. będzie żył tysiąc lat.

Mój Boże, porzucić latanie? Kocham latanie i nie znoszę pracy przy biurku. Hongkong przez niecały rok może być w porządku, ale Linbar? Nie poradzę sobie z Linbarem! Staruszek musi się nim zająć, ja bym się w tym pogubił...

Powróciło stare, nękające go pytanie: Co bym zrobił, gdyby go zabrakło? Przeszedł go dreszcz. Nie „gdyby”. To musi nastąpić któregoś dnia... każdego dnia. A Jor-don, Talbot albo Duke i ja? Ułamek centymetra i - śmierć albo życie. Wola Boga? Karma? Joss? Nie 521

248

wiem i nie ma to znaczenia! Wiem tylko, że od czasu, gdy wpakowali we mnie kulkę, jestem już kimś innym. Zmieniło się całe moje życie; pewność, że nic nie może mi się stać wyparowała na zawsze i zmieniła w przeklętą, zimną i cuchnącą pewność, że jestem śmiertelny. Boże święty! Czy zawsze się tak dzieje? Ciekawe, czy Duke odczuł to tak samo?

Spojrzał na Manuelę. Wpatrywała się w niego.

- Przepraszam, nie słuchałem - powiedział i zaczął telefonować do Newbury'ego.

- Zapytałam, czy nie powinieneś powiedzieć: trzy maszyny i ośmioro ludzi? Zapomniałeś o Erikkim i Aza-deh. Dziewięcioro, jeśli doliczyć Szahrazad.

TEHERAN, W DOMU BAKRAWANA, 13:14.

Szahrazad stała nago przed dużym lustrem w łazience. Oglądała swój brzuch, starając się dostrzec zaczątki okrągłości. Tego ranka zauważyła, że brodawki piersiowe są bardziej wrażliwe, a same piersi twardsze.

- Nie przejmuj się tak - roześmiała się Zarah, żona Meszanga. - Niedługo będziesz gruba jak balon i będziesz rozpaczać, że nie mieścisz się w ubrania i okropnie wyglądasz.

Szahrazad była w dobrym humorze, próżnowała. Teraz zmarszczyła brwi i przysunęła się bliżej do lustra, sprawdzając, czy nie ma zmarszczek. Oglądała się pod różnymi kątami, z włosami rozpuszczonymi i zebranymi na głowie, zadowolona z tego, co widzi. Siniaki znikwały. Wyszła już całkiem po kąpieli. Zaczęła wkładać bieliznę.

Pojawiła się Dżari.

- Och, księżniczko, nie jesteś jeszcze gotowa? Jego eminencja twój brat za chwilę wróci do domu na obiad; wszyscy domownicy boją się, że znów będzie miał ten swój napad gniewu.

Och, pospiesz się, nie chcemy przecież go zdenerwować, prawda?

Wyciągnęła korek z wanny i zaczęła sprzątać. Narzekała, mruczała i jednocześnie przymilała się do Szahrazad. Po chwili Szahrazad była już ubrana. Włożyła pończochy - rajstop nie można było od dawna kupić nawet na czarnym rynku - stanik niepotrzebny. Niebieska kaszmirowa sukienka z Paryża, z pasującą do niej kamizelką. Szybko uczesała piękne, faliste włosy, dotknęła ust szminką, lekki cień wokół oczu.

- Ale, księżniczko, wiesz przecież, że twój brat nie lubi makijażu!

- Och, nie wychodzę z domu, a Meszang nie...

Chciała powiedzieć: nie jest moim ojcem, ale powstrzymała się, nie chcąc przywoływać wspomnienia tragedii. Ojciec jest w raju, powiedziała sobie zdecydowanie. Jego Dzień Żałoby, czterdziesty dzień od chwili śmierci, przypada dopiero za dwadzieścia pięć dni, a do tego czasu musimy jakoś poradzić sobie z życiem.

I z miłością?

Nie zapytała Dżari, co zaszło w kawiarni w dniu, w którym wysłała ją, żeby powiedziała jemu, że jej mąż wrócił i że to, co nigdy się nie zaczęło, jest skończone. Ciekawe, gdzie jest teraz? Ciekawe, czy

będzie jeszcze nawiedzał moje sny?

Na dole powstało jakieś zamieszanie, co oznaczało powrót Meszanga. Spojrzała po raz ostatni w lustro i wyszła mu na spotkanie.

Po starciu z Lochartem Meszang wprowadził się z powrotem do rodzinnego domu. Dom był ogromny, Szahrazad miała w nim nadal swoje pokoje; cieszyła się, że Zarah i jej dzieci wyгнаły precz ponurą ciszę, która go przepelniała. Matka tkwiła teraz w odosobnieniu w swym skrzydle budowli. Jadała tam nawet, obsługiwana przez własną pokojówkę. Całymi dniami modliła się tylko i łkała. Nie wychodziła, nikogo nie zapraszała. „Zostawcie mnie samą!” Tylko to można było od niej usłyszeć przez zamknięte drzwi.

Gdy Meszang był w domu, Szahrazad, Zarah i inni członkowie rodziny uważali, żeby go nie rozzłościć i wciąż mu schlebiali.

- Nie martw się - powiedziała pewnego razu Zarah. - On wkrótce trafi do piekła. Myśli, że zapomniałam,

• jak mnie obraził i uderzył, i zapomniałam, że ośmiela się 249

522

523

paradować z tą młodą kurwą, którą mu podsuwa ten psi syn Kia! Och, nie martw się, kochana Szahrazad: ja się zemszczę. Nie wybaczę mu też tego, jak ciebie traktuje... i jak potraktował

twojego męża. Wkrótce będziemy znów mogły podróżować... Paryż, Londyn, nawet Nowy Jork... Wątpię, czy będzie miał czas, żeby z nami pojechać, a potem, ach, potem będziemy próżnować, nosić ubrania, które wiele nie zakrywają i mieć po pięćdziesięciu zalotników!

- Do Nowego Jorku może nie... Tak bardzo zbliżyć się do szatana? - odparła Szahrazad, ale w głębi serca aż zadrżała z podniecenia na tę myśl. Pojadę do Nowego Jorku z moim synem, przyrzekła sobie. Tom-my tam będzie. Wkrótce sytuacja się unormuje; władza, jaką mułłowie mają nad Chomeinim, zostanie złamana, oby Bóg prędzej otworzył mu oczy. Mułłowie przestaną kierować Zielonymi Opaskami, Komitet Rewolucyjny zostanie rozwiązany i będziemy mieć prawdziwy, uczciwie wybrany islamski rząd rewolucyjny z premierem Bazarganem na czele. Prawa kobiet będą przestrzegane, a Tude będzie działać legalnie dla dobra ogółu. W kraju zapanuje spokój. Stanie się tak, jak powiedział On.

Cieszę się, że jestem tym, kim jestem, pomyślała.

- Dzień dobry, kochany Meszangu. Jak ładnie dziś wyglądasz, choć jesteś taki zmęczony.

Och, na pewno ciężko pracowałeś dla nas wszystkich. Przygotuję ci lemoniadę, taką, jaką lubisz.

- Dziękuję.

Mezang wylegiwał się na dywanach i poduszkach, bez butów, jadł. Mały kociołek był już przygotowany do podgrzania kebabu i niezliczonych dań, złożonych z cho-resztu, ryżu i jarzyn; słodycze i owoce piętrzyły się w zasięgu ręki. Nie opodal siedziała Zarah. Skinęła na Szahrazad, wskazując jej miejsce na dywanie obok siebie.

- Jak się dziś czujesz?

- Cudownie, nie jestem ani trochę chora. Mezang spojrział kwaśno.

524

- Zarah ciągle choruje i jest osowiała. Nie zachowuje się jak normalna kobieta. Miejmy nadzieję, że jesteś normalna, chociaż taka chuda... In sza a Allah.

Obie kobiety przywołały na twarze uśmiechy, skrywając odrazę; rozumiały się nawzajem.

- Biedna Zarah - powiedziała Szahrazad. - Jak minął ci ranek, Mezang? Musi ci być okropnie trudno: masz tyle do zrobienia i nas wszystkich, o których musisz zadbać.

- Jest mi trudno, gdyż jestem otoczony głupcami, droga siostrze. Wszystko szłoby gładko, gdybym miał personel tak dobrze wyszkolony jak ja. - I gdybyś nie omamiła mojego ojca, nie oszukała go, nie zawiodła oczekiwań pierwszego męża i nie poniżyła nas swym wyborem drugiego. Tyle mi przysparzasz zmartwień, droga siostrze, ty, ze swą pożądlivością w twarzy, namiętnością i swoją głupotą, mnie, który pracowałem godzinami, żeby uratować cię przed tobą samą. Bogu niech będzie chwała przynajmniej za to, że moje wysiłki przyniosły takie owoce!

- Musi ci być bardzo ciężko, Mezangu. Ja nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć -

powiedziała Zarah, a pomyślała: Łatwo prowadzić interes, jeśli tylko wie się, gdzie są klucze, rachunki bankowe i zobowiązania dłużników, i zna się wszystkie brudne tajemnice.

Mężczyźni nie chcą, żebyśmy miały równe prawa, bo po prostu powrzucałybyśmy ich do rowów i objęły najlepsze posady.

Bogaty choreszt z jagnięcia i chrupki, złoty tyż były pyszne, przyprawione tak, jak lubił. Jadł

ze smakiem. Nie mogę za dużo zjeść, powiedział sobie. Nie chcę być zbyt zmęczony przed popołudniowym spotkaniem z małą Jaśmin. Nie wiedziałem przedtem, jak soczyste mogą być piersi, jak spragnione usta. Jeśli zajdzie w ciążę, ożenie się z nią, a Zarah niech szejnie.

Spojrzął na żonę. Natychmiast przestała jeść, uśmiechnęła się do niego i podała mu serwetkę, żeby mógł otrzeć tłuszcz i kropelki zupy.

250

- Dziękuję - powiedział grzecznie i skierował wzrok na swój talerz.

Gdy posiadę Jaśmin, myślał, mogę się z godzinkę przespać i wrócić do pracy. Chciałbym, żeby ten pies Kia już wrócił; mamy dużo spraw do omówienia. A Sza-hrazad będzie musiała...

- Mszangu, najdroższy, czy słyszałeś plotkę o tym, że generałowie postanowili zrobić przewrót? - zapytała Zarah. - I że armia jest gotowa do przejęcia władzy?

- Oczywiście, byłem na bazarze. - Mszang zaniepokoił się. Zrobił, co mógł, żeby zabezpieczyć się na taką ewentualność. - Syn złotnika Mohammada przysięga, że jego kuzyn, który pracuje w centrali telefonicznej dowództwa armii, podsłuchiwał jednego z generałów, gdy mówił, że czekali, aby dać czas amerykańskim oddziałom interwencyjnym na zbliżenie się i że przewrót będzie korzystał ze wsparcia desantu lotniczego.

Kobiety były wstrząśnięte.

- Spadochroniarze! Powinniśmy natychmiast wyjechać - powiedziała Zarah. - W Teheranie nie będzie bezpiecznie. Powinniśmy wyjechać do naszego domu nad Morzem Kaspijskim i poczekać, aż ta wojna się skończy. Kiedy możesz wyjechać? Zaraz zacznę pakowanie...

- Jaki dom nad Morzem Kaspijskim?! Nie mamy tam już żadnego domu! - rzucił zirytowany Mszang.

- Czyż nie został skonfiskowany razem z innymi składnikami majątku gromadzonego w naszej rodzinie od pokoleń? Niech Bóg przeklnie tych złodziei! I to wszystko po tym, co od lat robiliśmy dla rewolucji i mułłów!

- Poczzerwieniał. Kropla sosu z choresztu spłynęła mu na brodę. - A teraz...

- Przebacz mi, masz rację, najdroższy Mszangu, masz rację jak zwykle. Wybacz mi, powiedziałam to bez zastanowienia. Jak zwykle, masz rację, ale gdyby ci to odpowiadało, moglibyśmy zatrzymać się u mojego wuja, aghy Madriego. Oni mają drugą willę na wybrzeżu; moglibyśmy tam jutro pojechać.

- Jutro? Nie bądź śmieszna! Czy myślisz, że nie będę wiedział o wszystkim z odpowiednim wyprzedzeniem? - Mszang wytarł brodę. Przeprosiny żony trochę go udobruchały.

Szahrazad pomyślała, że ma szczęście: żaden z jej mężów tak jej nie traktował ani na nią nie krzyczał. Ciekawe, jak idzie Tomowi w Kowissie, czy gdzie tam teraz jest. Biedny Tommy!

Zachowuje się tak, jakbym mogła zostawić dom i rodzinę i wyjechać na wieczne wygnanie. -

Oczywiście my, kupcy, będziemy wiedzieć - powtórzył Mszang. - Nie jesteśmy głupkami o pustych głowach.

- Tak, tak, oczywiście, kochany mężu - łagodziła Zarah. - Przepraszam. Martwiłam się tylko o twoje bezpieczeństwo. - Jesteś draniem, pomyślała, ale tylko ty możesz obronić nas przed mułłami i tymi

zbirami z Zielonych Opasek. - Czy uważasz, że rzeczywiście będzie przewrót?

- In sza'a Allah - odpowiedział i beknął.

Tak czy inaczej, ja będę, z bożą pomocą, przygotowany. Ktokolwiek zwycięży, będzie potrzebował nas, ludzi z bazaru; zawsze tak było i będzie. Możemy być tak nowocześni jak wszyscy cudzoziemcy. I sprytniejsi od nich, przynajmniej niektórzy, a ja na pewno. Ten psi syn Paknuri! Oby spłonął w piekle, on i jego przodkowie!

Morze Kaspijskie! Ten wujek Madri to dobry pomysł, doskonały. Muszę się nad tym zastanowić w wolnej chwili. Zarah może być zużyta, a jej piersi suche jak , letni kurz, ale jest dobrą matką i jej rady - jeśli zapomnieć o humorach -- zawsze były mądre.

- Krąży też pogłoska, że nasz słynny były premier Bachtiar ukrywa się nadal w Teheranie, korzystając z ochrony i schronienia u starego przyjaciela, premiera Bazargana.

Zarah westchnęła.

- Jeśli Zielone Opaski złapią go tam...

- Bazargan jest bezużyteczny. Szkoda. Nikt już go nie słucha. Komitet Rewolucyjny skazałby ich obu na

251

' śmierć!

526

527

Szahrazad dygotała.

- Dżari powiedziała, że mówiono na rynku, iż eksceleńcja Bazargan podał się już do dymisji.

- To nieprawda - uciął Mieszang i powtórzył inną plotkę tak, jakby tylko on dysponował tą wiadomością.

- Mój przyjaciel, który zna dobrze Bazargana, powiedział mi, że on zaproponował swoją dymisję, ale imam ją odrzucił, mówiąc, żeby pozostał tam, gdzie jest.

- Podniósł talerz i przesunął go w stronę Zarah, prosząc o dokładkę. - Choresztu wystarczy, trochę więcej ryżu.

Nałożyła mu dobrze przyrumieniony, a on znów jadł, wprost napychał się jedzeniem.

Najbardziej interesująca pogłoska, szeptana od ucha do ucha, mówiła, że imam był bliski śmierci.

Jedni twierdzili, że śmierci naturalnej, inni, że został otruty przez agitatorów komunistycznej Tude, mudzaheddinów albo CIA. Co gorsza, mówiono też, że oddziały sowieckie stoją nad granicą, gotowe do zajęcia Azerbejdżanu i marszu na Teheran, w chwili gdy Chomeini umrze.

Jeśli to prawda, to przyniesie to tylko śmierć i zniszczenia, pomyślał. Nie, to się nie zdarzy, nie może się zdarzyć. Amerykanie nigdy nie pozwolą Sowietom na podbój Iranu; nie mogą pozwolić im na zajęcie cieśniny Ormuz. Nawet Carter to zrozumie! Nie. Miejmy natomiast nadzieję, że pierwsza część pogłoski jest prawdziwa i imam prędko trafi do raju.

- Wedle woli Boga - powiedział pobożnie. Gestem odprawił służbę, a gdy zostali sami, skupił uwagę na siostrze. - Szahrazad, twój rozwód jest już załatwiony. Zostały tylko formalności.

- Och! - wykrzyknęła i zebrała myśli.

Brat burzył jej spokój, sprawiał, że nie mogła poradzić sobie ze swymi uczuciami. Nie chce rozwodu! Mieszang mógłby bez kłopotu dać nam pieniądze podjęte z banków szwajcarskich i nie być taki okropny dla mojego Tommy'ego. Potem moglibyśmy wyjechać. Nie bądź głupia, nie możesz wyjechać bez dokumentów, na wygnanie. Tommy już cię opuścił, to on tak postanowił. Tak, ale Tommy powiedział, że będzie czekał

528

przez miesiąc. W ciągu miesiąca tyle się jeszcze może wydarzyć...

- Z twoim rozwodem nie ma problemów. Ani z nowym małżeństwem.

Odebrało jej mowę.

- Tak, uzgodniłem już, jaki majątek wniesie twój przyszły mąż, znacznie większy, niż się spodziewałem za... - Chciał powiedzieć: za dwukrotną rozwódkę z dzieckiem niewiernego w brzuchu, ale chodziło jednak o siostrę, i wspaniałą partię, więc się rozmyślił. - Ślub odbędzie się w przyszłym tygodniu. On podziwia cię już od lat. To ekscelencja Farazan.

Kobiety nie wierzyły własnym uszom. Szahrazad czuła, że krew napływa jej do twarzy; była zdezorientowana. Kejwan Farazan pochodził z bogatej rodziny kupieckiej. Miał dwadzieścia osiem lat, był przystojny, powrócił niedawno ze studiów na Uniwersytecie Cambridge; przyjaźnili się od dzieciństwa.

- Ale... myślałam, że Kejwan ma się ożenić...

- Nie Kejwan - uciął Mieszang, zirytowany jej głupotą. - Wszyscy wiedzą, że Kejwan ma się właśnie zaręczyć. Daranusz! Ekscelencja Daranusz Farazan.

Szahrazad była jak porażona. Zarah głośno wciągnęła powietrze. Daranusz był ojcem Kejwana; właśnie owdowiał po raz drugi. Jego żona, podobnie jak pierwsza, zmarła przy porodzie. Był bardzo bogatym człowiekiem. Miał monopol na wywóz śmieci z terenu całego bazaru.

- To... to niemożliwe - mruknęła.

252

- O tak, możliwe - oświadczył z dumą Meszang, który źle ją zrozumiał. - Sam nie wierzyłem, gdy wysunął ten pomysł na wieść o twoim rozwodzie. Z jego bogactwem i koneksjami...

Razem będziemy najsilniejsi na bazarze, razem...

- Ale on jest obrzydliwy i mały, i stary, stary, i łysy, i brzydki, i lubi chłopców. Wszyscy wiedzą, że to pedał - protestowała Szahrazad.

- Wszyscy wiedzą też, że jesteś dwukrotnie rozwiedziona, używana i w ciąży z cudzoziemcem - ryknął

529

Meszang. - Że chodzisz na demonstracje i nie jesteś posłuszna, że masz głowę pełną zachodnich nonsensów i jesteś głupia! - Z wściekłością rąbnął talerzem o ziemię. - Czyż nie rozumiesz, co dla ciebie zrobiłem? To jeden z najbogatszych ludzi na bazarze! Namówiłem go na to małżeństwo, obiecałem mu, a teraz ty...

- Ale Meszangu, czy...

- Nie rozumiesz, ty niewdzięczna suko? - wrzeszczał. - Zgodził się nawet adoptować twoje dziecko! Na wszystkie imiona Boga, czego możesz jeszcze chcieć?

Był purpurowy, kipiał gniewem, wymachiwał zaciśniętą pięścią przed twarzą Szahrazad.

Zarah wpatrywała się w niego, oniemiała wobec takiej furii.

Szahrazad niczego nie słyszała ani nie widziała. Wiedziała tylko, co Meszang dla niej zaplanował: do końca życia z tym człowieczkiem, bohaterem tysięcy dowcipów krążących po bazarze, człowieczkiem, który śmierdział moczem i będzie ją zapładniał raz w roku, żeby nosiła dziecko i rodziła, nosiła i rodziła, aż do śmierci, podobnie jak jego dwie poprzednie żony; pierwsza urodziła dziewięcioro, druga siedmioro. Była w pułapce. Nie mogła niczego zrobić. Księżniczka w gnoju, aż do śmierci.

Niczego.

Mogę tylko umrzeć już teraz, ale nie samobójczo. Trafiłabym do piekła. Nie samobójstwo.

Nigdy. Nie samobójstwo, lecz śmierć podczas wykonywania bożej pracy, śmierć z imieniem Boga na ustach.

Co robić?

BAZA W KOWISSIE, 13:47. Pułkownik Czangiz, mułła Hosejn i kilku ludzi z Zielonych Opasek wyskoczyli z samochodu. Bojownicy Zielonych Opasek rozbiegli się po bazie i zaczęli ją przeszukiwać, a pułkownik i Hosejn weszli do budynku biurowego.

Dwaj urzędnicy drgnęli, przestraszeni nagłością ich wtargnięcia.

- Tak... tak, ekscelencjo?

- Gdzie są wszyscy? - krzyknął Czangiz. - Co?

- Bóg jeden wie. My niczego nie wiemy, ekscelencjo pułkownika, poza tym, że ekscelencja kapitan Ayre poleciał z częściami do Abu Sal, ekscelencja kapitan NcIver z ekscelencją ministrem Kia do Teheranu, a ekscelencja kapitan Lochart szuka nadlatujących 212 i...

- Jakich 212?!

531

- Czterech 212, które ekscelencja kapitan NcIver ściąga tu z Bandar Dejlamu razem z pilotami i pozostałym personelem, a my... my przygotowujemy się na ich przyjęcie. -

Urzędnik Esma'il wił się pod badawczym spojrzeniem mułły. - Bóg jeden wie. Kapitan poleciał sam, żeby ich szukać, bo nie mają krótkofalówek i może uda się ich wywołać z powietrza na falach ultrakrótkich.

Czangiz poczuł ulgę.

- Skoro wszystkie 212 lecą tutaj - powiedział do Hosejna - nie ma powodów do paniki. -

Otarł pot z czoła. - Kiedy mają tu być?

- Myślę, że wkrótce, ekscelencjo - odparł Esma'il.

- Ilu cudzoziemców jest teraz w bazie?

253

- Ja... ja nie wiem, ekscelencjo, my... my byliśmy zajęci, przygotowywaliśmy list przewozowy...

Do biura wbiegł mężczyzna z Zielonych Opasek.

- Nie możemy znaleźć żadnego cudzoziemca, ekscelencjo - poinformował Hosejna. - Jeden z kucharzy powiedział, że dwaj ostatni mechanicy polecili dziś tano dużymi helikopterami.

Irkańscy robotnicy mówią, że słyszeli, iż nowe załogi mają przybyć w niedzielę albo poniedziałek.

- W sobotę, ekscelencjo - wtrącił się Esma'il. - Powiedziano nam, że jutro. Poza tym ekscelencja

Nelver mówił, że tymi czterema 212 przylecą mechanicy, piloci i inni członkowie personelu. Czy potrzebuje pan mechaników?

- Niektóre pokoje wyglądają tak, jakby niewierni szybko się pakowali. Ale w hangarach są jeszcze trzy helikoptery - przerwał rozmowę człowiek z Zielonych Opasek.

- Które? - zwrócił się Czangiz do Esma'ila.

- Jeden... nie, dwa 206 i francuski, alouette.

- Gdzie jest naczelnik biura Pawud?

- Zachorował, ekscelencjo pułkownika, zachorował zaraz po południowej modlitwie i pojechał do domu, prawda, Ali? - zapytał drugiego urzędnika.

- Tak, tak, był chory. Powiedział, że wróci dopiero jutro...

- Kapitan Nelver ściąga tu cztery 212 z Bandar Dejlamu?

- Tak, tak, ekscelencjo. Powiedział to ekscelencji Pawudowi, sam słyszałem, powiedział dokładnie to. Z pilotami i innymi ludźmi, prawda, Ali?

- Tak, w imieniu Boga, tak właśnie było, ekscelencjo pułkownika.

- Dobrze, wystarczy. - Do Hosejna pułkownik powiedział: - Wywołamy Locharta przez radio.

- Urzędnika zapytał: - Czy sierżant Wazari jest w wieży?

- Nie, ekscelencjo pułkownika; wrócił do bazy przed samym startem kapitana Locharta, który polecał szukać czterech 212. Powinny przybyć...

- Wystarczy! - Pułkownik Czangiz zastanawiał się przez chwilę, potem rzucił szorstko do któregoś z Zielonych Opasek: - Ty! Leć i powiedz mojemu kapralowi, żeby przyszedł do wieży.

Młodzieniec poczerwieniał i spojrzał na Hosejna, który oznajmił chłodno:

- Pułkownik chce cię poprosić, żebyś łaskawie znalazł kaprala Borgalego i sprowadził go szybko do wieży.

- Oczywiście nie chciałem być niegrzeczny, ale...

- zaczął krzyczeć Czangiz.

- Oczywiście.

Hosejn ruszył korytarzem ku schodom prowadzącym na wieżę. Czangiz opanował się i poszedł za nim.

Pół godziny wcześniej do bazy przyszedł teleks z te-herańskiej kontroli lotów. Proszono o natychmiastowe sprawdzenie całego personelu zagranicznego IHC i helikopterów w Kowissie: ... cztery 212 zostały zgłoszone jako zaginione przez bazę IHC w Bandar Dejlami.

Członek zarządu IHC Sijamaki uważa, że mogą opuścić nielegalnie Iran i polecieć do jednego z państw zatoki.

Dyżurny z Zielonych Opasek natychmiast zawiadomił Czangiza, Hosejna i komitet. Komitet obradował

532

533

właśnie nad sprawami bazy, kontynuując nieubłagane sprawdzanie wierności oficerów wobec islamu i dochodzenia w sprawie zbrodni popełnionych przeciwko Bogu w imieniu Szacha. Czangiz czuł mdłości. Komitet był bezlitosny. Żadnemu zwolennikowi Szacha nie 254

udało się, jak dotąd, obronić. A choć on sam był komendantem mianowanym przez komitet za zgodą Hosejna, nie nadeszło jeszcze potwierdzenie od wszechmocnego Komitetu Rewolucyjnego. Czangiz wiedział, że do tego czasu przechodzi okres próbny. Czyż nie składał Szachowi przysięgi wierności jak wszyscy lotnicy wojskowi? W wieży Hosejn spojrzał bezradnie na sprzęt.

- Czy może pan włączyć radio, pułkowniku? - zapytał. Jego ubranie było stare, ale dokładnie uprane.

- Nie, ekscelencjo. Dlatego właśnie posłałem po Borgalego.

Kapral Borgali wbiegł po schodach i przyjął postawę pełną szacunku i gotowości.

- Ultrakrótkie i krótkie - rozkazał pułkownik.

- Tak jest. - Borgali wcisnął przełącznik. Nic. Po krótkim sprawdzeniu wykrył brak wyłącznika obwodu. - Przykro mi, proszę pana, sprzęt nie działa.

- To oznacza sabotaż - powiedział cicho Hosejn i spojrzał na Czangiza.

Czangiz zdrętwiał. Oby Bóg spalił wszystkich cudzoziemców, pomyślał zdesperowany. Jeśli to rozmyślny sabotaż... to znaczy, że uciekli, zbierając ze sobą nasze helikoptery. Ten pies Nclver musiał już o tym wiedzieć rano, kiedy pytałem o 125.

Poczuł ukłucia lodowatych igiełek. Nie ma już 125, nie ma prywatnej drogi ucieczki. Nie można już aresztować Locharta ani innego pilota pod lipnym zarzutem i umożliwić mu

„ucieczki” z aresztu w zamian za miejsce w helikopterze. Poczuł wiercenie w brzuchu. Co będzie, jeśli komitet się dowie, że żona i reszta rodziny są już w Bagdadzie, a nie w Abadanie, gdzie niby umiera moja biedna matka? Dręczące go w nocy diabły teraz ożyły i zaczęły drwić: „Jaka matka? Nie żyje od

siedmiu lat! Chciałeś uciec, popełniłeś zbrodnię przeciwko Bogu, rewolucji i imamowi..."

- Pułkownik - powiedział Hosejn tym samym chłodnym tonem. - Ten sabotaż oznacza, że kapitan Lochart nie szuka teraz innych helikopterów, tylko ucieka, a NcIver kłamał mówiąc o ściągnięciu tu innych maszyn?

- Tak... tak, ekscelencjo, tak...

- Oznacza też, że polecili nielegalnie i zabrali stąd, również nielegalnie, dwa helikoptery, tak jak ci z Ban-dar Dejlamu?

- To też może być prawdą.

- Wedle woli Boga, ale to pan jest za to odpowiedzialny.

- Ale, ekscelencjo, musi pan przecież wiedzieć, że nie można przewidzieć tak tajnej nielegalnej operacji jak... - Dostrzegł utkwione w sobie spojrzenie, odczytał jego znaczenie i przerwał.

- Zatem wystrychnięto pana na dudka?

- Cudzoziemcy to kłamliwe psie syny; ciągle, tylko kręcą i oszukują... - Czangiz urwał, tknięty nagłą myślą. Chwycił słuchawkę telefonu i klnąc stwierdził, że też nie działa. Dodał

szybko innym tonem: - Ekscelencjo, 212 nie może pokonać zatoki bez uzupełnienia paliwa, to niemożliwe. NcIver też musi zatankować, żeby dolecieć do Teheranu. Możemy ich jeszcze złapać. Zwrócił się do Borgalego: - Wracaj biegiem do naszej wieży i sprawdź, gdzie ma tankować 206 pilota NcIvera z ministrem Kia na pokładzie, w drodze do Teheranu. Powiedz oficerowi dyżurnemu, żeby ogłosił w bazie alarm, aresztował pilota, zatrzymał helikopter i wysłał ministra Kia do Teheranu... samochodem. - Spojrzał na Hosejną. - Zgadza się pan, ekscelencjo? - Hosejn skinął głową. - Dobrze. Idź już!

Kapral zbiegł po schodach.

W wieży było zimno, zawodził wiatr. Przez chwilę o okna bębniły drobne krople, potem deszcz przeszedł. Hosejn tego nie zauważył. Wpatrywał się w Czangiza.

535

255

- Złapiemy tego psa, ekscelencjo. Minister Kia nam podziękuje.

Hosejn się nie uśmiechnął. Zorganizował już komitet powitalny, który miał oczekiwać na Kia na lotnisku w Teheranie. Gdyby Kia nie mógł wyjaśnić zawichości swego postępowania, już wkrótce rząd zmniejszyłby się o jednego skorumpowanego ministra.

- A może Kia należy do spisku i ucieka z Iranu razem z NcIverem? Pomyślał pan o tym, pułkowniku?

Pułkownik ze świstem wciągnął powietrze.

- Minister Kia? Tak pan uważa?

- A pan?

- Na Boga, to jest... to możliwe, skoro pan tak myśli. - Czangiz odpowiadał ostrożnie, wystrzegając się możliwości popełnienia błędu jak nigdy przedtem.

- Nigdy tego człowieka nie spotkałem. Pan, ekscelencjo, zna go; przesłuchiwał go pan wraz z komitetem.

- I uniewinnił, pomyślał ze złośliwym zadowoleniem.

- Gdy schwytamy NcIvera, możemy posłużyć się nim jako zakładnikiem, żeby dostać innych.

Złapiemy go, ekscelencjo...

Hosejn dostrzegł strach pułkownika; zastanawiał się, co ten człowiek ukrywa. Czy pułkownik jest także wciągnięty w plan ucieczki, który był dla mułły oczywisty już od czasu wczorajszej rozmowy ze Starke'em, a także dzisiejszej z NcIverem?

„Skoro był oczywisty”, wyobraził sobie rozmowę z jakimś zwierzchnikiem religijnym,

„dlaczego trzymałeś to w tajemnicy i nie zapobiegłeś ucieczce?”

„Z powodu Starke'a, eminencjo. Dlatego, że naprawdę wierzę, iż ten człowiek, choć niewierny, jest w jakiś sposób narzędziem Boga i Bóg go ochrania. Trzykrotnie powstrzymał

siły zła, oferujące mi błogosławiony pokój raj. To dzięki niemu moje oczy ujrzały prawdę, życzenie Boga, żebym nie szukał męczeństwa, lecz pozostał ziemskim biczem Boga i imama, tropiącym nieustannie wrogów islamu i jego wrogów”.

„A inni? Dlaczego pozwoliłeś im uciec?”

„Islam nie potrzebuje ani cudzoziemców, ani ich helikopterów. A gdyby Iran ich potrzebował, w Isfaha-nie są tysiące innych”.

Hosejn był głęboko przekonany o swej racji, tak samo jak o tym, że ten popierający Szacha i Amerykanów zdrajca, pułkownik, jest w błędzie.

- Pułkowniku, co z dwoma 212? Też je pan złapie? W jaki sposób?

Czangiz podszedł do mapy ściiennej. Wiedział, że choć wykiwano ich obu, to on jest komendantem i jeśli mułła zechce, żeby za to wszystko odpowiedział, tak właśnie się stanie.

Lecz nie zapominajmy, że to ten właśnie mułła zawarł układ z pułkownikiem Peszadim w nocy, w której nastąpił pierwszy atak na bazę, ten sam, który przyjaźnił się z Amerykaninem Starke'em i z tym maniakiem Zatakim z Abadanu. A czyż ja nie popierałem imama i rewolucji? Czyż nie poddałem bazy żołnierzom Boga?

In sza a Allah. Skoncentruj się na cudzoziemcach. Jeśli złapiesz choć jednego, ten mułła i jego zbiry z Zielonych Opasek nic ci nie będą mogli zrobić.

Na mapie narysowano zwykłe trasy lotnicze z Kowis-su do różnych miejsc roponośnych i platform w zatoce.

- Ten pies, urzędnik, mówił coś o transporcie części do Abu Sal - mruknął Czangiz. - Gdzie ja bym tankował na ich miejscu? - Pokazał palcem grupę platform. - Na jednej z nich, ekscelencjo - dodał z podnieceniem w głosie. - Tam bym tankował.

- Czy na platformach przechowuje się zapasy paliwa?

- Och, tak, na wypadek sytuacji awaryjnych.

- Jak chce pan ich złapać?

- Myśliwce...

NA BRZEGU, W MIEJSCU SPOTKANIA, 14:07.

256

Dwa 212 stały na wyludnionej, pofalowanej plaży. Padał lekki deszcz. Przygnębieni Freddy Ayre i Lochart siedzieli w otwartych drzwiach jednej z kabin; dwaj 537

mechanicy i Wazari w drugiej, wszyscy zmęczeni po przenoszeniu ciężkich, czterdziestogalonowych bębnow z benzyną i po ręcznym pompowaniu paliwa do baków.

Nigdy jeszcze nie zatankowano tak szybko maszyn i nie umocowano tak prędko i mocno tyłu części zamiennych w ich wnętrzach. Freddy Ayre przybył tu koło jedenastej trzydzieści, Lochart tuż po dwunastej. Pół godziny tankowania, a potem już tylko oczekiwanie.

- Damy mu jeszcze pół godziny - powiedział Lochart.

- Chryste, zachowujesz się, jakbyśmy mieli nie wiem ile czasu.

- Mówiłem już ze sto razy, że nie ma sensu, byśmy wszyscy tu sterczeli. Zabierz pozostałych, a ja poczekam.

- Gdy zjawi się Mac, możemy wszyscy...

- Cholera jasna, zabieraj mechaników i Wazarię, a ja zostanę. Gdyby Mac tu był i czekał

na mnie, zrobiłby to samo. Przestań, na Boga, strugać bohatera i leć.

- Nie. Przykro mi, ale albo razem poczekamy, albo razem wyruszymy.

Lochart wzruszył ramionami, czując się tak ponuro, jak ponury był dzień. Gdy tylko przybył na miejsce, zaczął omawiać prowizoryczny plan NcIvera.

- Freddy, Mac wydostaje się z systemu kontroli Kowissu o jedenastej trzydzieści.

Powiedzmy, że od granicy zasięgu systemu leci jeszcze pół godziny, potem jeszcze najwyżej pół na symulację awarii i pozbycie się Kia. To znaczy, że powinien tu być w ciągu godziny; na wszelki wypadek przyjmijmy, że godziny i trzydziestu minut. Założę się, że on się pojawi między pierwszą a pierwszą piętnaście.

Minęła już jednak druga, a Maca jeszcze nie było. Może w ogóle go nie będzie? Coś mogło mu przeszkodzić. Lochart obserwował chmury, szukając odpowiedzi w pogodzie, rozważając różne plany, warianty, możliwości. Puste bębny ułożyli w schludny stos; zostało jeszcze pięć pełnych. Paliwo przywieźli przy okazji ruty-538

nowych lotów do platform wiertniczych: owinęli beczki w brezent, przysypali piaskiem i rzucili na wierzch trochę wodorostów. Daleko na morzu, na granicy widoczności, piętrzyły się wysokie filary platform.

Lochart przyleciał tu z Kowissu bez kłopotu. Gdy tylko helikopter znalazł się w powietrzu, Wazari prze-czołgał się z kabiny do kokpitu.

- Lepiej zostań w ukryciu, dopóki nie znajdziemy się nad zatoką - powiedział Lochart.

Ale gdy wylądowali, okazało się, że Wazari ma mdłości. Lochart zmienił zdanie i powiedział

innym, co zaszło. Teraz Wazari czuł się dobrze i został zaakceptowany; nadal jednak traktowano go trochę podejrzliwie.

W powietrzu unosił się zapach gnijących ryb i wodorostów. Stały wiatr o prędkości około trzydziestu węzłów wprawiał w drżenie śmigła rotorów. Na zaplanowanej trasie do Kuwejt będzie wiał z przeciwka. Pokrywa ciemnych chmur obniżyła się do sześćdziesięciu metrów.

Myśli Locharta zaprzętało jednak co innego: Teheran i Szahrazad. Naraz wydało się mu, że poprzez świst wiatru słyszy silnik odległego helikoptera. Dalej, Mac, modlił się. Dalej, nie zawieź mnie...

Potem naprawdę usłyszał. Odczekał kilka sekund, żeby się upewnić, i wyskoczył z kabiny.

Otworzył lekko usta, by zwiększyć zdolność słyszenia i wyczuwania kierunku. Ayre, wyrwany z zamyślenia, znalazł się obok niego; obaj utkwili wzrok w chmurach, nasłuchiwali.

Odgłos silnika narastał, nadchodził z właściwego kierunku. Potem maszyna przeleciała nad nimi i

skierowała się nad morze. Lochart zaklął.

- Przegapił!

- Radio? - zapytał Ayre.

257

- Cholernie niebezpieczne... jeszcze nie... On nadleci drugi raz; jest zbyt dobry, żeby tego nie zrobić.

Znów oczekiwanie. Dźwięk silników zamierał, zamierał, potem się ustalił i wreszcie zaczął narastać. Helikopter nadleciał i znów ich minął, dźwięk konał, ' potem jeszcze jeden nawrót.

Słyszeli go coraz głośniej,

539

aż wreszcie śmigłowiec wyłonił się z chmur nad plażą, o pół kilometra dalej. Pilot zobaczył ich i rozpoczął podejście. Nie było już żadnych wątpliwości: to NcIver. Sam. Zaczęli wiwatować.

W KOKPICIE 206. NcIver miał ogromne trudności z orientacją w terenie: bagna wszędzie takie same, linia brzegowa identyczna, zła widoczność. Potem przypomniał sobie, że naprzeciw miejsca spotkania stoi nieczynna jeszcze platforma. Odnalazł ją i pilnie bacząc na ten punkt orientacyjny, nadleciał nad stały ląd.

Gdy płozy śmigłowca stanęły już pewnie na ziemi, mruknął:

- Dzięki Bogu choć za to. - Odetchnął z ulgą. Bolał go brzuch i musiał oddać mocz.

Natychmiast otworzył drzwiczki kokpitu i nie bacząc na pytania kolegów, rzucił: -

Przepraszam, muszę się odlać. Freddy, wyłącz za mnie silniki, dobra?

Lochart, który był bliżej, powiedział:

- Ja to zrobię, Mac.

- Dzięki. - NcIver odpiął pas, wygramolił się na ziemię i pobiegł w kierunku najbliższej wydmy. Gdy już mógł mówić, rozejrzał się wokół siebie, zobaczył w pobliżu Ayre'a, ludzi stojących koło 212. Zapiął rozporek i w tym momencie dostrzegł Wazariego. - Co on tu, do cholery, robi?

- Tom uznał, że lepiej go zabrać. Tak jest bezpieczniej, a poza tym on bardzo nam pomógł.

Lepiej już chodźmy, Mac. My zatankowaliśmy. Co z 206?

- Musimy go zostawić. - 206 nie miał wbudowanych silników dalekiego zasięgu, a zamontowanie

pro wizorycznego urządzenia do tankowania w locie zajęłoby zbyt dużo czasu.

Gdyby nawet się na to zdecydowali, przeciwny wiatr mógłby uniemożliwić małemu śmigłowcowi osiągnięcie celu. NcIver wskazał ręką morze.

- Myślałem o pozostawieniu 206 na platformie, na wypadek, gdybyśmy mogli kiedyś wrócić i go zabrać, ale to marzenie ściętej głowy. Tam się nie zmieści jednocześnie-

540

nie 206 i 212, który musiałby mnie zabrać. Cholerna szkoda, ale co zrobić...

- Nie miałeś problemów z Kia?

- Nie. Był jak drzazga w dupie, ale... - Odwrócił się. Lochart odpalił 206. Teraz unosił się nad ziemią i cofał maszynę. - Na Boga, Tom... - ryknął NcIver i puścił się biegiem w kierunku helikoptera, Lochart jednak przyspieszył i wznosił maszynę na sześć metrów. - Tooom!

Lochart wychylił się przez okno kokpitu.

- Nie czekajcie na mnie, Mac! - krzyknął.

- Kończy ci się paliwo!

- Na razie wystarczy. Poczekam, aż odleciecie i doleję sobie. Do zobaczenia w Asz Szargaz!

- W co on się bawi, do cholery? - zapytał oniemiały Ayre.

- Szahrazad - odparł NcIver, przeklinając się w duchu za to, że o tym zapomniał. - Na pewno przygotował ze sto wariantów zabrania 206. - Przyłożył ręce do ust i krzyknął: - Tom, zepsujesz Operację, na Boga! Musisz lecieć z nami!

- Nie będą mieli ze mnie zakładnika, Mac! Nigdy! Ja się tym będę martwił, wy nie musicie...

Tak postanowiłem. Startujcie już!

NcIver zastanowił się, a potem ryknął:

- Wyląduj, pomożemy ci zatankować. Zobaczył, że Lochart kręci przecząco głową i wskazuje ręką 212.

258

- Wracam po Szahrazad. Nie próbujcie mnie zatrzymać. Ryzykuję tylko własną dupą, nie waszymi. Szczęśliwych lądowań!

Pomachał im ręką na pożegnanie i cofnął maszynę, żeby nie przeszkadzać w starcie 212.

Odleciał kawałek i usiadł, ale nie wyłączył silnika, gotów w każdej chwili do startu.

- Gówno możemy zrobić - mruknął NcIver. Był na siebie wściekły; dał się zaskoczyć.

- Możemy... możemy poczekać, aż skończy mu się * paliwo - powiedział Ayre.

541

- Tom jest zbyt sprytny. - NcIver spojrzał z rozpaczą na zegarek. - Cholerni idioci. Ja i Tom.

- Spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą.

- Co robimy, Mac? - zapytał Ayre.

NcIver opanował gniew i zaczął myśleć: Ty dowodzisz. Decyduj. Jesteśmy bardzo spóźnieni.

Tom nie zmienił zdania po wszystkim, co powiedziałem. Wolno mu. Trudno, teraz już sam za siebie odpowiada. Pomyśl o innych. Erikki powinien sobie poradzić. Rudi, Scragger i ich ludzie są już bezpieczni; przynajmniej sędzę, że są. Trzeba wskakiwać do 212 i rozpocząć następny etap.

Miał ochotę jęknąć. Myśl o tym, że musi teraz polecieć 212 do Kuwejtu, następne ponad dwie i pół godziny na niskim pułapie, przygnębiała go.

- Cholerne gówno - mruknął. Wszyscy nadal na niego patrzyli. I czekali. - Tom wraca po żonę. Dajmy mu to zrobić.

- A jeśli go złapią? Czy to nie zepsuje Operacji?

- zapytał Ayre.

- Nie. Tom sam odpowiada za siebie. Słyszałeś, co powiedział. Wyruszamy według planu do Kuwejtu. Wszyscy do 212 Freddy'ego. Ja wezmę maszynę Lochar-ta. Będziemy lecieć nisko i trzymać się razem. Cisza radiowa do chwili przekroczenia linii.

NcIver podszedł do 212. Jego towarzysze spojrzeli niespokojnie po sobie. Wszyscy zauważyli, że jest blady i wiedzieli, że nie przeszedł badań lekarskich.

Kyle, niski, gibki mechanik ruszył za nim.

- Mac, po co masz lecieć sam? Polecę z tobą.

- Dzięki, ale nie. Wszyscy do maszyny Freddy'ego! Dalej, pospieszcie się!

- Mac, pójdę i pogadam z Tomem. On chyba zwariował. Wy tłumaczę mu, że musi lecieć do Kuwejtu

- odezwał się Ayre.

- Nie wytłumaczysz. Gdyby chodziło o Genny, ja też bym tak zwariował. Wszyscy na pokład!

Do plaży doszedł nagle huk spowodowany przekroczeniem bariery dźwięku przez dwa myśliwce, lecące

na niskim pułapie. Pozostawiły po przelocie ogromną ciszę.

- Jezu. - Wazari zadygotał. - Kapitanie, gdyby nie robiło to panu różnicy, polecę z panem?...

- Nie. Wszyscy z Freddym. Wolę lecieć sam.

- Pański brak licencji nie ma dla mnie znaczenia.

- Wazari wzruszył ramionami. - In sza'a Allah! Będę pilnował radia. - Wskazał kciukiem niebios. - Te sukinsyny nie znają angielskiego. - Zajął miejsce w kokpicie 212.

- To dobry pomysł, Mac - powiedział Ayre.

- Dobrze. Lecimy nisko i blisko siebie. Freddy, gdyby jeden z nas wpadł w kłopoty, drugi leci dalej.

- Dostrzegając spojrzenie Ayre'a dodał: - Mam na myśli wszelkie kłopoty. - NcIver spojrzał

po raz ostatni na Locharta, pomachał ręką i wszedł do kokpitu. Cieszył się, że nie jest sam. -

Dziękuję - powiedział do Wazariego. - Nie wiem, co się wydarzy w Kuwejcie, sierzancie, ale zrobię, co będę mógł, żeby pomóc. - Zapiął pas i włączył rozrusznik silnika numer jeden.

259

- Jasne, dzięki. Cholera, nie mam nic do stracenia. Głowa pęka mi z bólu; połknąłem już całą aspirynę z apteczek... Jak poszło z Kia?

NcIver mówiąc dostosował głośność w słuchawkach, włączył starter silnika numer dwa, sprawdził wskaźniki paliwa i instrumenty.

- Musiałem lądować awaryjnie trochę później, niż zaplanowałem, wylądowałem o kilometr od wioski, ale wszystko poszło aż za dobrze. Skurczybyk zemdłał i nie mogłem wyciągnąć go z kokpitu. Zaplątał się w pasy tak, że nie mogłem go wyplątać; nie miałem noża, żeby go odciąć. Próbowałem na różne sposoby, pchałem i ciągnąłem, zaciął się zamek... Dałem spokój i postanowiłem poczekać, aż się obudzi. W tym czasie wystawiłem jego bagaż. Gdy odzyskał

świadomość, nie chciał wyleźć. - W końcu krzyknąłem, że maszyna się pali i wyskoczyłem, zostawiając go w środku. To poskutkowało. Udało mu się błyskawicznie rozpiąć i odplątać pasy. Wyskoczył. Zostawiłem włączone silniki;

542

543

cholernie niebezpieczne, ale musiałem zaryzykować. Wskoczyłem z powrotem i wystartowałem.

Walilo mu serce, miał sucho w ustach, gorączkowo wykonywał czynności konieczne, żeby oderwać się od ziemi. Kia trzymał się klamki, krzyczał i miotał przekleństwa, stojąc jedną nogą na płozie. NeIver obawiał się, że będzie musiał znów usiąść. Na szczęście nerwy zawiodły Kia; puścił klamkę i zeskoczył z wysokości metra. NeIver był wolny. Zatoczył krąg, by się upewnić, że Kia nic się nie stało. Widział jego purpurową z gniewu twarz i wygrażanie pięścią. Potem obrał kurs na wybrzeże, trzymając się nisko, równoległe do pofalowanych drzew i skał. Choć wszystko się udało, dudnienie w piersi nie ustąpiło. Zaczęły ogarniać go mdłości i fale gorąca.

To tylko napięcie ostatniego tygodnia, uspokajał się ponuro. Tylko napięcie i wysiłek, kiedy starałem się wyciągnąć drania z kokpitu, zdenerwowanie z powodu Operacji i pytań mułły.

Przez kilka minut po wysadzeniu Kia leciał prosto przed siebie. Miał trudności z koncentracją. Ból wzrastał. Przyrządy sterownicze zdawały się czymś wrogim. Poczuł

mdłości i mało nie stracił panowania nad maszyną; postanowił wylądować i odpocząć. Nadal leciał u podnóża gór; skały, kępy drzew, śnieg. Powłoka chmur niska i dość cienka. Przez mgłę, jaka przesłaniała mu oczy, wybrał najbliższe równe wzniesienie i posadził maszynę.

Lądowanie nie było dobre; przstraszyło go to bardziej niż wszystko inne. Obok płynął

strumień, częściowo zamrznięty; woda pienila się, napotykając kamienie. Ciągnęło go do niej. Czując ból, wyłączył silniki, podszedł do strumienia, położył się-i pociągnął głęboki łyk lodowatej wody. Zwymiotował, otarł usta i znów się napił. To i zimne powietrze orzeźwiło go. Natarł śniegiem kark i skronie. Poczuł się lepiej. Ból stopniowo ustępował, pulsowanie w lewym ramieniu słabło. Wstał i nieco się zataczając dotarł do kokpitu.

Kokpit był ciepły, przytulny i swojski. Odruchowo zapiął pas. Jego uszy i głowę wypełniała cisza. Słyszał

544

tylko wiatr i szemranie wody; żadnych silników czy trzasków w słuchawkach, nic, tylko kojący szum. Spokój. Powieki ciążyły bardziej nit kiedykolwiek przedtem. Zamknął oczy.

Zasnął.

Spał głębokim snem tylko przez pół godziny, ale gdy się obudził, czuł się jak nowo narodzony: żadnego bólu, żadnej niewygody, tylko jakby lekkie wspomnienie snu o bólu.

Przeciągnął się z zadowoleniem. Usłyszał cichutkie pobrzękiwanie, jakby metal uderzał o metal. Rozejrzał się. Zobaczył młodego górala, który siedział na górskim kucyku i wpatrywał

się w niego. W pochwie przytroczonej do siodła tkwił karabin, drugi przewieszony przez plecy, pas z nabojami.

Gapili się na siebie wzajemnie, aż wreszcie młodzieniec uśmiechnął się, a pilot odniósł wrażenie, że na całym wzniesieniu zrobiło się ładniej i weselej.

- Salam, Agha.

- Salam, Agha. - NcIver odwzajemnił uśmiech; dziwił się, że wcale nie odczuwa strachu.

Musiał go oczaro-

I wać dziki urok wojownika. - Lotfan befarma'id szomaki hastid? - Wykorzystał jedną ze znanych sobie fraz.

- Czy mogę zapytać, kim pan jest?

- Agha Mohammad Rud Kahani... - Potem kilka słów, których NcIver nie zrozumiał. Potem kolejny uśmiech. - Kaszkaj.

- Ach, Kaszkaj. - NcIver skinął głową. Wiedział już, że młody człowiek należy do jednego z koczowniczych szczepów rozsianych wokół gór Zagros. Wskazał na siebie. - Agha NcIver. -1

dodał inną znaną frazę:

- Mota asefam, man zaban szomora chub nemidonam. Przepraszam, nie znam twojego języka.

- In sha'a Allah. Ameryka?

- Anglia. Anglik. - Pomyślał o sobie i o tym człowieku. Helikopter i koń, pilot i koczownik, oddzieleni od siebie przepaściami, lecz nie wrodoży, nie zagrażający jeden drugiemu. -

Przepraszam, muszę już ruszać - powiedział po angielsku, pokazując na migi latanie. - Choda hafez, do widzenia, agha Mohammad

'Kaszkaj.

1 M5

Młodzieniec skinął głową i uniósł dłoń w geście pożegnania.

- Choda hafez, Agha.

Cofnął konia na bezpieczną odległość i patrzył na helikopter. Gdy silniki nabrały mocy.

NcIver pomachał ręką na pożegnanie i wystartował. Przez całą drogę do miejsca zbiórki myślał o napotkanym człowieku. On nie miał powodu, żeby do mnie nie strzelić. A może chodzi o to, że nie miał powodu, żeby strzelić? Czy on mi się przyśnił, czy majaczyłem? Nie, nie majaczyłem. Czy miałem atak serca?

Teraz, gdy można już było lecieć do Kuwejtu, zadał sobie to samo pytanie. Niespokojnie zerknął na Waza-riego, który obojętnie patrzył przez okienko na morze. Jak niebezpieczny jestem teraz? Jeśli miałem atak, nawet łagodny, mogę mieć następny. Ryzykuję życie jego i swoje? Chyba jednak nie. Miałem tylko podwyższone ciśnienie, panowałem nad tym. Wezmę dwie tabletki i z głowy. Nie zostawię 212 tylko dlatego, że Tom zwariował. Jestem zmęczony, ale zdrowy, a do Kuwejtu leci się tylko parę godzin. Choć wolałbym nie lecieć.

Mój Boże, nigdy nie myślałem, że mógłbym coś takiego czuć. Stary Scrag może jeszcze latać, a ja już na zawsze muszę to zostawić.

Jego uszy chwyciły ton silników. Gotowe do startu, nie ma potrzeby sprawdzać instrumentów. Poprzez krople deszczu na szybie zobaczył Ayre'a, który unosząc kciuk, meldował swą gotowość do drogi. Dalej na plaży widział Locharta w 206. Biedny, stary Tom.

Założyłbym się, że klnie i chce, żebyśmy się pospieszyli. Chce prędko zatankować i popędzić na północ, ku swemu przeznaczeniu. Mam nadzieję, że mu się powiedzie; w końcu jemu wiatr sprzyja.

- Przełączyć na ultrakrótkie? - zapytał Wazari, odwracając jego uwagę od Toma. - Nastawię na częstotliwość używaną przez wojsko.

- Dobrze. - NcIver uśmiechnął się do Wazariego, zadowolony z jego towarzystwa.

546

W słuchawkach rozległy się trzaski, potem rozmowy w farsy. Wazari przez chwilę słuchał; po czym wyjaśnił ochryplym głosem:

261

- Myśliwce rozmawiają z Kowissem. Jeden z nich powiedział: „Na wszystkie imiona Boga, jak mamy znaleźć dwa helikoptery w tej zasranej mgle?”

- Nie znajdą, już ja się o to postaram.

Nelver próbował mówić głosem sugerującym pewność siebie, choć ogarnęły go złe przeczucia. Gdy Ayre na niego spojrział, wskazał w górę, co oznaczało myśliwce, i przeciągnął ręką wzdłuż gardła. Potem po raz ostatni wskazał zatokę i uniósł kciuk. Spojrział

na zegarek: 14:21.

- Ruszamy, sierżancie - powiedział i otworzył maksymalnie przepustnicę. - Następny przystanek w Kuwejcie o 16:40 albo coś koło tego.

NA LOTNISKU W KUWEJCIE, 14:56. Genny i Charlie Pettikin siedzieli w restauracji pod gołym niebem, na najwyższym piętrze nowego, błyszczącego terminalu. Dzień był piękny, słoneczny, a oni zasłonięci od wiatru. Jaskrawożółte obrusy i parasole; wszyscy radośnie, jedli ze smakiem i pili. Oprócz nich. Genny ledwie tknęła sałatkę, Pettikin grzebał bez przekonania w ryżu i curry.

- Charlie - odezwała się nagle Genny. - Myślę, że jednak zamówię martini z wódką.

- Dobry pomysł. - Pettikin przywołał kelnera i złożył zamówienie. Chętnie wypiłby to samo, ale miał wymienić Locharta lub Ayre'a w następnym etapie: lot wzdłuż wybrzeża do wyspy Dżellet, na pewno jedno, a może dwa tankowania przed Asz Szargaz. Cholera by wzięła ten zaszary wiatr. - Już niedługo, Genny.

Och, Jezu, ile razy jeszcze to powtórzysz; miała ochotę zawyć. Czekanie przyprawiało ją o mdłości. Starła się udawać spokój.

- Rzeczywiście, Charlie, teraz mogą już być w każdej chwili.

547

Spojrzenia obojga powędrowały w stronę morza. Odległe fale pokrywała mgiełka, widoczność była kiepska, ale i tak, gdy tylko helikoptery wejdą w system kontroli radarowej, będą o tym wiedzieć. Facet z Imperial Air czekał na wieży.

Co to znaczy długo? - zadała sobie pytanie, próbując przebić wzrokiem mgłę. Opadała z niej energia; wypatrywała Duncana, modląc się, żeby starczyło mu sił. Wiadomość, którą Gavallan przekazał dziś rano, nie podniosła jej na duchu.

- Po diabła on wiezie tego Kia, Andy? Z powrotem do Teheranu? Co to oznacza?

- Nie wiem, Genny, powtarzam jego słowa. Domyślamy się tylko, że najpierw Freddy poleciał na miejsce spotkania i uzupełniania paliwa. Mac wystartował z Kia i albo przywiezie go na miejsce spotkania, albo pozbędzie się go po drodze. Tom czeka, żeby dać innym czas, a potem do nich dołączy. Odebraliśmy pierwszy sygnał wywoławczy Maca o dziesiątej czterdzieści dwie. Dajmy jemu i Freddy'emu czas do 11:00; wtedy powinni już wystartować.

Dajmy im następną godzinę na dotarcie do miejsca spotkania i tankowanie, dodajmy dwie i pół godziny lotu... Powinni dotrzeć do Kuwejtu najwcześniej koło drugiej trzydzieści.

Wszystko zależy od tego, jak długo będą musieli czekać. Mogą dolecieć w każdej chwili począwszy od drugiej trzydzieści...

Zobaczyła, że kelner niesie jej drinka. Na tacy leżał też przenośny telefon.

- Do pana, kapitanie Pettikin - powiedział kelner, stawiając przed Genny szklanę.

Pettikin wyciągnął antenę i przyłożył telefon do ucha.

- Halo? Och, cześć, Andy. - Patrzyła na jego twarz. - Nie... nie, jeszcze nie... Tak? - Przez długi czas uważnie słuchał, nie dając niczego po sobie poznać. Zastanawiała się, co takiego mówi Gavallan, czego ona miała nie słyszeć. - ...Tak, jasne... nie... tak, załatwiliśmy wszystko najlepiej, jak mogliśmy... Tak, tak, jest, poczekaj. - Podał telefon Genny. - Chce się przywitać.

548

- Witaj, Andy, co nowego?

262

- Zgłaszam się, jak było umówione, Genny. Nie martw się o Maca i innych. Nie wiadomo, jak długo czekali w miejscu zbiórki.

- Nie przejmuj się mną, Andy; czuję się dobrze. Co z innymi?

- Rudi, Pop Kelly i Sandor lecą już z Bahrajnu. Zatankowali w Abu Żabi. Jesteśmy z nimi w kontakcie. John Hogg jest naszą stacją przekaźnikową. Powinni tu być za jakieś dwadzieścia minut. Scrag czuje się dobrze, z Edem i Willim nie ma problemu, Duke śpi, a Manuela jest tutaj. Chce z tobą pogadać...

Chwila przerwy, a potem głos Manueli:

- Cześć, kochanie, jak się masz? Tylko nie mów, że świetnie!

Genny lekko się uśmiechnęła.

- Świetnie. Z Duke'em wszystko w porządku?

- Śpi jak niemowlę, choć niemowlaki nie są takie spokojne. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że nam też nie jest lekko. Oddaję słuchawkę Andy'emu.

Chwila ciszy.

- Genny, Johnny Hogg jest teraz niedaleko ciebie, i też słucha. Będziemy w kontakcie.

Mogłabyś dać znów Charliego?

- Oczywiście, ale co z Markiem Dubois i Fowlerem? Pauza.

- Na razie nic; mamy nadzieję, że ich znajdą. Rudi, Sandor i Pop zawrócili, i będą szukać tak długo, jak mogą. Na tamtych wodach jest wiele platform i statków. Wyciągniemy ich.

- Teraz mi powiedz, co takiego miał wiedzieć Char-lie, a ja nie.

Czekała z kwaśną miną, aż wreszcie w słuchawce rozległo się westchnienie Gavallana.

- No dobrze, Genny. Pytałem Charliego, czy nie przyszedł z Iranu taki teleks, jaki dotarł do nas, do Dubaju i Bahrajnu. Na wszelki wypadek próbuję pociągać za wszystkie sznurki, do jakich sięgam, przez New-bury'ego i naszą ambasadę w Kuwejcie, choć Newbury 549

mówi, żeby zbyt wiele nie oczekiwać, a Kuwejt leży bardzo blisko Iranu i nie chce urazić Chomeiniego. Boją się, że on może wysłać do nich paru eksportowych fundamentalistów, którzy będą podburzali kuwejckich szyitów. Powiedziałem Charliemu, że próbuję przekazać wiadomość rodzicom Rossa w Nepalu i zawiadomić jego regiment. To wszystko. - Dodał

łagodniej: - Nie chciałem cię martwić bardziej niż to konieczne. Nie masz mi tego za złe?

- Dobrze, dziękuję. Tak, czuję się dobrze, dzięki, Andy. - Oddała telefon Pettikinowi i spojrzała na swoją szklankę. Pojawiły się na niej krople wilgoci, niektóre błyszczały. Jak łzy na moich policzkach, pomyślała. Wstała. - Zaraz wracam.

Pettikin patrzył smutno, jak odchodzi. Wysłuchiwał najnowszych instrukcji Gavallana.

- Tak, tak, oczywiście - przytaknął. - Nie martw się, Andy, zajmę się... Zajmę się Rossem.

Zatelefonuję od razu, gdy tylko zobaczymy ich na ekranie. Cholerna tragedia z Dubois i Fowlerem; możemy tylko mieć nadzieję. Świetnie, że innym się udało. Do usłyszenia.

Odnalezienie Rossa wytrąciło go z równowagi. Rano, po telefonie Gavallana, pospieszył do szpitala. Był piątek, mało personelu, tylko jeden recepcjonista, w dodatku mówiący wyłącznie po arabsku. Mężczyzna uśmiechnął się, wzruszył ramionami i powiedział:

- Bukra, jutro.

Pettikin nalegał, aż wreszcie recepcjonista zrozumiał, o co chodzi, i zatelefonował. Po dłuższej chwili zjawił się pielęgniarz i skinął na pilota. Przemierzali razem długie korytarze.

Potem pielęgniarz otworzył drzwi i Pettikin zobaczył Rossa: nagiego na kamiennej płycie.

To nie sam fakt śmierci wytrącił Pettikina z równowagi, lecz ta cała nagość, zbezczeszczenie i brak choć cienia godności. Ten człowiek, tak wspaniałą za życia, leżał tu poharatany do żywego mięsa. Na sąsiedniej płycie leżały prześcieradła; Pettikin wziął jedno i nakrył zwłoki.

Teraz wydawało się, że wyglądają lepiej.

Odnalezienie oddziału, na którym leżał Ross, zlokalizowanie mówiącej po angielsku pielęgniarki i ustalenie, , który lekarz zajmował się pacjentem, zajęło Pettikinowi ponad godzinę.

- Tak bardzo mi przykro, proszę pana - mówił lekarz, Libańczyk, w kulawej angielszczyźnie.

- Młodego człowieka przywieziono wczoraj w stanie śpiączki. Miał rozbitą czaszkę i podejrzewaliśmy uszkodzenie mózgu. Powiedziano nam, że to bomba podłożona przez terrorystów. Miał pęknięte oba bębniaki uszne, dużo ran i zasinień. Oczywiście prześwietliliśmy go, ale właściwie, poza zabandażowaniem głowy, nie mogliśmy niczego zrobić. Tylko czekać. Nie miał obrażeń wewnętrznych ani krwotoku. Umarł dziś o świcie.

Świt był piękny, prawda? Podpisałem świadectwo zgonu; czy chce pan otrzymać kopię?

Przesłaliśmy jedną do ambasady brytyjskiej, razem z jego rzeczami.

- Czy on... czy odzyskał przed śmiercią świadomość?

- Nie wiem. Był na oddziale intensywnej opieki, a jego pielęgniarka... Zaraz sprawdzę. -

Lekarz przejrzał listy dyżurów i znalazł nazwisko. - Sivin Tahollah, Ach, tak, wyznaczyliśmy ją, bo był Anglikiem.

Pielęgniarka była starą kobietą, zlepkiem narodowości Środkowego Wschodu. Miała brzydką, poznaczoną śladami po ospie twarz, lecz jej głos brzmiał łagodnie i uspokajająco:

- Nie odzyskał przytomności, efendi - powiedziała po angielsku. - Nie tak naprawdę.

- Czy mówił coś zrozumiałego, w ogóle cokolwiek?

- Wiele i nic, efendi. - Stara kobieta zastanawiała się przez chwilę. - To było jakby błędzenie myśli, strach przed tym, czego nie ma powodu się bać, pragnienie tego, czego nie można mieć. Mruczał coś, jakby „aza-deh”; w farsji to znaczy „urodzony wolnym”, a także imię kobiece. Czasem wyrывało mu się coś, jakby „erri” czy „ekki” albo „kukri”, a potem znów

„Azadeh”. Jego duch był spokojny, choć nie całkiem; nie płakał ani nie krzyczał jak inni zbliżający się do progu.

550

551

- Może jeszcze coś mówił, coś jeszcze?! Bawiła się przypiętym do fartucha zegarkiem.

- Wydawało mi się, że od czasu do czasu dokuczają mu nadgarstki; uspokajał się, gdy po nich klepałam. W nocy mówił coś w języku, którego nigdy nie słyszałam. Znam angielski, francuski i

wiele dialektów arabskich, naprawdę wiele. Ale tego języka nigdy nie słyszałam.

Mówił tak jakoś melodyjnie, czasem przerywał tym „Azadeh” i... - Zastanawiała się przez chwilę. - Coś jak „pułk” i „góry” czy „górska kraina”, a poza tym, ach, tak, „gueng” i „tensg”.

I jeszcze „Ross” lub „góra Rossa”... Może to nie była nazwa, tylko po prostu jakieś miejsce...

Zdawało się, że to go martwi. - Jej stare oczy napełniły się łzami. - Widziałam wiele śmierci, efendi, bardzo wiele. Tak różnych od siebie, a tak jednakowych. Wiem, że on odszedł w pokoju i przekroczył próg bezboleśnie. W ostatniej chwili westchnął. Myślę, że poszedł do raju, jeśli chrześcijanie idą do raju, i że odnalazł swą Azadeh...

TEBRIZ - W PAŁACU CHANA, 15:40. Azadeh szła wolno korytarzem w kierunku Zielonej Sali, gdzie miała spotkać się z bratem. Po wczorajszej eksplozji granatu nadal dokuczały jej plecy. Boże w niebiosach! Nie dalej niż wczoraj koczownicy chcieli nas pozabijać? Wydaje się, że to było tysiąc dni wcześniej. A śmierć ojca? Już w całkiem innej epoce!

To było zupełnie inne życie. Nie było w nim nic dobrego oprócz mamy, Erikkiego i Hakima, Erikkiego i... i Johnny'ego. Życie pełne nienawiści i zabójstw, i strachu, i szaleństwa. Żyliśmy jak pariasi, Hakim i ja, otoczeni złem. Ta upiorna zaporą drogową w Kazwinie i ten zły mudzaheddin o nalanej twarzy, zmiażdżony przez samochód, krwawa miazga. Szaleńcza ucieczka z Charliem i tym człowiekiem z KGB, jak on się nazywał? Ach tak, Rakoczy -

niewiele brakowało, żeby

553

264

nas pozabijał. Szaleństwo w Abu Mard, które odmieniło na zawsze moje życie; szaleństwo w bazie, gdzie przeżyliśmy tyle pięknych chwil, Erikki i ja, i gdzie potem Johnny pozabijał tak wielu ludzi, tak szybko i tak okrutnie.

Poprzedniej nocy opowiedziała wszystko Erikkiemu. Prawie wszystko.

- W bazie on... zamienił się w dziką bestię. Nie pamiętam wiele, tylko jakieś migawki. To, jak dałam mu granat, jak zaatakował bazę... granaty i pistolety maszynowe, jeden z tamtych miał kukri; potem Johnny podniósł jego odciętą głowę i wył jak upiór... Wiem że to był kukri Guenga. Johnny powiedział mi o tym w Teheranie.

- Na razie przestań już o tym myśleć. Zostawmy to do jutra. Zostawmy wszystko do jutra, kochanie. Teraz śpij, jesteś już bezpieczna.

- Nie. Boję się snu, nawet teraz, w twoich ramionach; nawet teraz, gdy Hakim został chanem.

Gdy zasypiam, śni mi się, że jestem w wiosce, w Abu Mard, i że jest tam ten przeklęty mułła i kalandar, i że rzeźnik trzyma swój zakrzywiony nóż.

- Nie ma już wioski ani mułły; byłem tam. Nie ma kalandara ani rzeźnika. Ahmed opowiedział mi o wiosce i częściowo o tym, co tam zaszło.

- Byłeś w wiosce?

- Tak, po południu, gdy odpoczywałaś. Wziąłem samochód i pojechałem. To już tylko kupa wypalonych gruzów, tylko to - powiedział ponuro Erikki.

W korytarzu Azadeh stanęła na chwilę i przytrzymała się ręką ściany; ruszyła dalej, gdy przestała drżeć. Tyle śmierci, zabójstw i okropieństw. Poprzedniego dnia wyszła na schody pałacu i zobaczyła Erikkiego w kokpicie - z krwią ciekącą po twarzy, po znużonej brodzie i kapiącą z rękawa; obok niego Ahmed, bezwładny jak szmaciana lalka. Zdawało się jej, że umiera. Potem, gdy Erikki wysiadł, stanął na ziemi i zaczął do niej iść, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Erikki chwycił ją w ramiona, a ona znów przebudziła się

do życia: przerażenie ulatniało się wraz z płynącymi po twarzy łzami.

- Och, Erikki Erikki, tak się bałam, tak bardzo... Zaniósł ją do Wielkiej Sali, w której byli już lekarz,

Hakim, Robert Armstrong i pułkownik Haszemi Fazir. Kula oderwała Erikkiemu kawałek lewego ucha, druga trafiła w przedramię. Lekarz oczyścił i zabandażował rany, wstrzyknął

szczepionkę przeciwwężcowa i penicylinę; obawiał się bardziej zakażenia niż upływu krwi.

- In sza 'a Allah; niewiele mogę tu zrobić, kapitanie. Jest pan silny, ma pan miarowy puls.

Chirurg plastyczny może poprawić wygląd ucha. Dzięki Bogu, słuch nie ucierpiał. Trzeba tylko strzec się iniekcji...

- Co się stało, Erikki? - zapytał Hakim.

- Lecieliśmy na północ w stronę gór, a Ahmed nie uważał. To nie jego wina, po prostu miał

mdłości. Zanim zdążyliśmy się zorientować, Bajazid przyłożył lufę do głowy Ahmeda, a jeden z jego ludzi do mojej. Szejik powiedział: „Leć do wioski; potem będziesz wolny”.

„Złożyłeś świętą przysięgę, że nie zrobisz mi krzywdy”, odparłem. „Tak, rzeczywiście.

Dotrzymam słowa, ale to była moja przysięga, która nie dotyczy moich ludzi”, wyjaśnił

Bajazid, a człowiek, który do mnie mierzył, roześmiał się i krzyknął: „Bądź posłuszny naszemu szejkowi, bo, na Boga, będzie cię tak bolało, że będziesz błagał o śmierć!”

- Powinienem był o tym pomyśleć - powiedział Hakim i dodał przekleństwo. - Powinienem związać wszystkich przysięgą. To moja wina.

- Wątpię, czy to by coś dało. Tak czy inaczej, wina jest moja: to ja ich tu sprowadziłem i omal

wszystkiego nie zepsułem. Jest mi niewypowiedziane przykro, ale wtedy to był jedyny sposób, żeby się tu dostać. Myślałem, że zastanę Abdollah-chana, no i nie przypuszczałem, że Bajazid posłuży się granatem.

- Dzięki Bogu, Azadeh i mnie nic się nie stało. Skąd mogłeś wiedzieć, że Abdollah-chan nie żyje, albo że wplącono połowę okupu? Opowiadaj dalej - poprosił

265

' Hakim, a Azadeh usłyszała w jego głosie jakąś obcą nutę.

Hakim się zmienił, pomyślała. Kiedyś wiedziałam zawsze, co ma na myśli. Teraz już nie.

Wiedziała, zanim został chanem. Jest nadal moim ukochanym bratem, ale stał się jakiś obcy. Tak wiele się zmieniło, tak szybko. Ja też się zmieniłam. I Erikki. Mój Boże, jak bardzo! Ale Johnny się nie zmienił...

W Wielkiej Sali Erikki snuł opowieść:

- Wywiezienie było jedynym sposobem pozbycia się ich z pałacu bez dalszych kłopotów i rozlewu krwi. Gdyby Bajazid nie nalegał, sam bym to zaproponował. Tylko to zapewniało bezpieczeństwo tobie i Azadeh. Musiałem zaryzykować i liczyć na to, że dotrzymają słowa.

Cokolwiek zaszło, zaszło pomiędzy nimi a mną. Ja to wiedziałem i oni wiedzieli gdyż, oczywiście, ja jestem jedynym człowiekiem, który wie, kim są i gdzie mieszkają. A zemstę chana trzeba traktować serio. Nieważne, czy wysadziłbym ich w połowie drogi czy w wiosce.

Nie mogli pozwolić mi odejść. Chodziło o wybór: ja lub wioska, a ich jedyny Bóg na pewno wolałby, żeby bronili wioski, niezależnie od wszystkich przyrzeczeń!

- Na to tylko Bóg mógłby odpowiedzieć.

- Moi bogowie, starożytni bogowie, nie lubią, gdy używa się ich jako wymówki, i nie lubią przysięgania w ich imieniu. Właściwie nawet tego zakazują. - Azadeh usłyszała w głosie męża gorzką nutę i łagodnie go dotknęła. Przytrzymał jej rękę. - Nic mi nie jest, Azadeh.

- Co się wydarzyło potem? - pytał Hakim.

- Powiedziałem Bajazidowi, że mam za mało benzyny i próbowałem go o tym przekonać, ale odpowiedział tylko: „Wedle woli Boga”. Przyłożył karabin do ramienia Ahmeda i nacisnął

spust. „Leć do wioski! Następną kulę wpakuję mu w żołądek!” Ahmed stracił przytomność, a szejk wyciągnął rękę, żeby podnieść stena, który upadł na podłogę kokpitu i wystawał spod fotela. Nie dosięgnął. Ja byłem przypięty pasami. Ahmed też, a oni nie. Odkręciłem helikopter tak, jak nigdy nie myślałem, że da się to zrobić; potem pozwoliłem mu spadać, po 556

czym usiadłem. To było złe lądowanie. Myślałem, że złamałem płożę, ale później stwierdziłem, iż

tylko się wygięła. Gdy maszyna znieruchomiła, posłużyłem się stenem i moim nożem: pozabijałem tych, którzy nie stracili przytomności i chcieli mnie zaatakować, rozbroiłem nieprzytomnych a potem wyrzuciłem wszystkich z kabiny.

- Całkiem nieźle - pochwalił Armstrong. - Czternastu ludzi.

- Pięciu i Bajazid. Inni... - Azadeh, która trzymała rękę na ramieniu męża, poczuła, że drży. -

Innych zostawiłem żywych.

- Gdzie? - zapytał Haszemi Fazir. - Czy może pan opisać to miejsce, kapitanie?

Erikki opisał je dokładnie, a pułkownik wysłał tam od razu swoich ludzi.

Yokkonen włożył zdrową rękę do kieszeni. Wyciągnął drogie kamienie, które stanowiły okup i wręczył je Hakim-chanowi.

- Teraz, gdybyście panowie nie mieli nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z żoną.

Później opowiem wam resztę.

Erikki i Azadeh poszli do swych pokojów. Erikki niczego nie mówił; trzymał ją tylko w uścisku. Obecność żony złagodziła jego cierpienie. Wkrótce poszli spać. Azadeh nie mogła zasnąć; gdy zapadała w drzemkę, wydawało się jej, że jest w wiosce i budziła się z płaczem.

Leżała przez jakiś czas w ramionach męża. Gdy usnął, przeniosła się na fotel i tam na wpół drzemała, ciesząc się z jego obecności. On spał głęboko i spokojnie aż do zmroku. Potem obudził się.

- Najpierw kąpiel, golenie i trochę wódki. Później porozmawiamy - powiedział. - Jeszcze nigdy nie byłaś tak piękna i nie kochałem cię bardziej. Tak mi przykro, że byłem zazdrosny...

Nie, Azadeh, teraz jeszcze niczego nie mów. Potem będę chciał wszystkiego się dowiedzieć.

Do świtu opowiedziała mu to, co chciała opowiedzieć, a on zrewanżował się jej swoją opowieścią. Niczego nie ukrywał: ani zazdrości, ani gniewu, ani radości 266

557

walki, ani łez, które wylał za zbroczu góry na widok okaleczonych przez siebie koczowników.

- Oni... oni traktowali mnie w wiosce uczciwie... a okup to starodawny zwyczaj. Gdyby Abdollah nie zamordował posłańca... byłoby inaczej, a może i nie. To jednak nie usprawiedliwia zabijania. Czuję się jak potwór. Wyszłaś za szalonego człowieka, Azadeh, jestem niebezpieczny.

- Nie, nie jesteś, oczywiście, nie...

- Na wszystkich moich bogów! W krótkim czasie zabiłem ponad dwudziestu ludzi, a przedtem nikogo, poza tymi zabójcami, którzy wtargnęli do pałacu jeszcze przed naszym ślubem. Poza Iranem nigdy nikogo nie zabiłem ani nawet nie zraniłem. Stoczyłem wiele walk, z pukoh albo bez niego, ale to nigdy nie było takie poważne. Nigdy. Gdyby żył jeszcze ten kalandar i istniała wioska, spaliłbym ich wszystkich bez sekundy namysłu. Myślę, że rozumiem zachowanie twojego Johnny'ego w bazie. Dziękuję wszystkim bogom, że sprowadzili go tutaj, żeby cię obronił i przeklinam go za odebranie mi spokoju, gdyż wiem, że będę jego dłużnikiem aż do śmierci. Nie mogę sobie poradzić z tymi zabójstwami i nie mogę poradzić sobie z nim. Nie mogę, nie mogę. Jeszcze nie mogę.

- To teraz bez znaczenia, Erikki. Mamy czas. Jesteśmy już bezpieczni: ty jesteś, ja jestem i Hakim jest. Wszyscy jesteśmy bezpieczni, kochanie. Spójrz, jaki piękny świt! Patrz, Erikki, to nowy dzień, tak piękny. To nowe życie. Jesteśmy bezpieczni, Erikki.

W WIELKIEJ SALI, 15:45. Oprócz Hakim-chana w sali przebywał tylko Haszemi Fazir. Pół godziny wcześniej Haszemi przybył bez zaproszenia. Przeprosił za najście i wręczył Hakimowi teleks.

- Pomyślałem, że powinien pan to od razu zobaczyć, Wasza Wysokość.

Teleks był następującej treści: Pilne. Do pułkownika Fazira, Wywiad Wewnętrzny. Tebriz.

Aresztować Erik-kiego Yokkonena, męża Jej Wysokości Azadeh Gorgon, 558

za zbrodnie przeciwko państwu, za współudział w piractwie lotniczym, porwaniu i zdradzie stanu. Proszę natychmiast przysłać go skutego do mojej siedziby. Dyrektor SAVAMA, Teheran.

Hakim-chan odprawił strażników.

- Nie rozumiem, pułkowniku. Proszę mi to dokładnie wyjaśnić.

- Od razu, gdy to rozszyfrowałem, zatelefonowałem, żeby poznać szczegóły, Wasza Wysokość. Wygląda na to, że w zeszłym roku S-G Helicopters sprzedała pewną liczbę śmigłowców IHC i...

- Nie rozumiem.

- Przepraszam. Chodzi o Iran Helicopters Company, firmę irańską, w której kapitan Yokkonen jest obecnie zatrudniony. Wśród tych maszyn było, jest, dziesięć 212, w tym jedna jego. Dziś dziewięć pozostałych, o wartości chyba dziewięciu milionów dolarów, zostało skradzionych i nielegalnie wyprowadzonych z Iranu przez pilotów IHC. SAVAMA zakłada, że polecili do jednego z państw zatoki.

- Nawet jeśli tak, nie ma to nic wspólnego z Erik-kim. On nie zrobił nic złego - oświadczył

chłodno Hakim-chan.

- Nie wiemy tego na pewno, Wasza Wysokość. SAVAMA twierdzi, że on musiał należeć do spisku. Bez wątpienia zaplanowano tę. akcję wcześniej, gdyż trzeba było skoordynować ucieczkę z trzech baz: z Lengeh, Bandar Dejamu i Kowissu oraz z Kwatery Głównej

. w Teheranie. Ci z SAVAMA są bardzo poruszeni; oprócz helikopterów wywieziono wiele irańskich części zamiennych. Nie...

- Kto to zgłosił?

- Dyrektor IHC, Sijamaki. Co gorsza, cały personel zagraniczny IHC, piloci, mechanicy i pracownicy biurowi, także zniknął. Wszyscy. To oczywiście musiał być spisek. Wczoraj było 267

ich w Iranie około dwudziestu, w zeszłym tygodniu czterdziestu, dziś nie ma nikogo. W

całym Iranie nie ma żadnego cudzoziemca z S-G, albo dokładniej z IHC. Oprócz kapitana Yokkonena.

559

Hakim zrozumiał natychmiast, dlaczego Erikki jest tak ważny. Sklął się w duchu, że dał to po sobie poznać.

- Ach tak, oczywiście, pan także to rozumie! - powiedział beztrosko Haszemi. - Ludzie z SAVAMA powiedzieli mi, że jeśli nawet kapitan Yokkonen nie brał udziału w spisku, stanowi zasadniczy środek przekonania hersztów tych kryminalistów, Gavallana i NcIvera - a już z pewnością rządu brytyjskiego, który musiał maczać w tym palce - żeby zwrócili nam nasze maszyny, nasze części, wypłacili odszkodowanie i wrócili do Iranu, by stanąć przed sądem za zbrodnie przeciwko islamowi.

Hakim-chan poruszył się na poduszkach, żeby złagodzić ból w plecach. Miał ochotę wyć z gniewu. Czy będę kaleką? Zostawmy to na później, pomyślał ponuro. Teraz muszę się zająć tym niebezpiecznym psim synem, który siedzi tu cierpliwie jak sprzedawca cennych dywanów. Rozłożył towar i czeka, żebym się targował. Jeśli zechcę kupić.

Żeby wykupić Erikkiego z pułapki, będę musiał dać temu psu osobisty pizkiesz, coś, co ma wartość dla niego, a nie dla SAVAMA. Oby Bóg przeklął ich pod wszystkimi imionami. Co?

Przynajmniej Peter Oleg Mzytryk. Mogę go przekazać Haszemiemu bez mrugnięcia okiem, gdy przyjedzie - jeśli przyjedzie. Przyjedzie. Wczoraj Ahmed wysłał po niego w moim imieniu. Ciekawe, jak sprawuje się Ahmed? Mam nadzieję, że ten głupiec nie umrze; mógłbym jeszcze przez jakiś czas wykorzystywać jego wiedzę. Tak głupio dał się złapać!

Głupiec! Tak, on jest głupcem, ale ten pies tutaj nie. Chyba mogę wykupić Erikkiego za Mzytryka, trochę większą pomoc w Azerbejdżanie i obietnicę przyjaźni. Mogę wykupić Erikkiego z pułapki. Ale dlaczego miałbym to zrobić?

Dlatego, że Azadeh go kocha? Niestety, ona jest siostrą chana wszystkich Gorgonów, a to jest problem chana, nie brata.

Erikki jest niebezpieczny dla mnie i dla niej. Jest w ogóle niebezpiecznym człowiekiem o rękach splamio-nych krwią. Koczownicy, Kurdowie czy nie, będą szukać zemsty - prawdopodobnie. Nigdy nie był dobrą partią, choć dawał jej radość i szczęście. Ale nie mają dzieci, a on nie może już zostać w Iranie. To niemożliwe. Nie może zostać. Nie mógłbym kupić mu dwuletniego okresu ochronnego, a Azadeh przyrzekła na Boga, że zostanie tu przez dwa lata. Jak sprytny był mój ojciec, który dał mi nad nią taką władzę. Jeśli wykupię Erikkiego, nie będzie mogła z nim wyjechać. W ciągu dwóch lat ich uczucia mogą osłabnąć. A skoro nie jest dla niej odpowiedni, po co go wykupywać? Dlaczego nie pozwolić im zaszachować Fina zdradą stanu? Kradzież naszej własności jest przecież zbrodnią.

- To zbyt poważna sprawa, żebym mógł od razu odpowiedzieć - oświadczył.

- Nie musi pan przecież nic mówić, Wasza Wysokość. Chodzi tylko o kapitana Yokkonena.

Rozumiem, że nadal tu jest.

- Lekarz zalecił mu odpoczynek.

- Może mógłby pan po niego posłać, Wasza Wysokość?

- Oczywiście, ale człowiek tak ważny i o takiej wiedzy jak pan, powinien rozumieć, że w Azerbejdżanie obowiązują niezłomne reguły honoru i gościnności. Także w moim szczepie.

Kapitan jest moim szwagrem, a nawet SAVAMA wie, co to honor rodziny. - Obaj mężczyźni wiedzieli, że jest to tylko subtelne otwarcie delikatnych negocjacji. Delikatnych, gdyż żaden z nich nie chciał, żeby spadł na niego gniew SAVAMA, żaden jeszcze nie wiedział, jak daleko może się posunąć, a nawet tego, czy druga strona chce dojść do prywatnego porozumienia. -

Zakładam, że wiele osób wie o tej... tej zdradzie?

268

- Tu, w Tebrizie, tylko ja, Wasza Wysokość. Na razie - odparł od razu Haszemi, zapominając wygodnie o Armstrongu, któremu zasugerował rano pomysł z fałszywym teleksem.

- Ten pies, Hakim, nie może się pokapować, Robercie - powiedział, rozkoszując się własną błyskotliwością.

560

561

- Musi pójść na wymianę. Zamienimy Fina na Mzytry-ka i nie będzie to nas nic kosztowało.

Ten złakniony krwi maniak może sobie odlecieć o zachodzie słońca, gdy dostaniemy to, czego chcemy. Do tego czasu przytrzymamy go.

- Powiedzmy, że Hakim-chan nie zgodzi się, albo nie będzie mógł dostarczyć Mzytryka?

- Jeśli nie zgodzi się na wymianę, zatrzymamy Erik-kiego naprawdę. Whirlwind wkrótce przestanie być tajemnicą, a ja będę mógł wykorzystać Fina do uzyskania wszelkiego rodzaju ustępstw: on może być zakładnikiem za sprzęt wart piętnaście milionów dolarów. A może wydam go koczownikom w zamian za obietnicę pokoju? Dobrze, że jest Finem; mogę go łatwo powiązać z Rakoczym i KGB i trochę pokiwać Sowieców, a może CIA, ech! Nawet MI6, co?

- CIA nigdy cię nie skrzywdziło. Ani MI6.

- In sza a Allah! Nie mieszaj się do tego, Robercie. Erikki i chan są wewnętrzną sprawą Iranu. Na twą własną głowę, nie "mieszaj się; za Fina mogę uzyskać ważne ustępstwa. - Ale ważne tylko dla mnie, Robercie, nie dla SAVAMA, pomyślał Haszemi i uśmiechnął się do tej myśli. Jutro, pojutrze, wrócimy do Teheranu, a tam moi zabójcy pójdą za tobą w nocy i... puf!

Będziesz zdmuchnięty jak świeca. - Dostarczy go - powiedział spokojnie.

- Jeśli Hakim odda Erikkiego, ukochana siostra zamieni jego życie w piekło. Myślę, że ona poszłaby za nim na stos.

- Może będzie musiała.

Haszemi pamiętał miłe ciepło i radość, jakie go wtedy ogarnęły. Teraz widział to w jeszcze jaśniejszych barwach. Widział niepokój Hakim-chana i był pewien, że schwycił go w pułapkę.

- Muszę prędko odpowiedzieć na ten teleks. Jestem pewien, że pan to rozumie, Wasza Wysokość.

Hakim-chan zdecydował się.

- Zdrada stanu i spisek nigdzie nie powinny ujść karze. Posłałem po zdrajcę, którego chce pan mieć. Pilnie.

562

- Ach. Kiedy Mzytryk odpowie?

- Pan powinien lepiej wiedzieć, prawda?

Haszemi usłyszał, jak obojętnym tonem zostały wypowiedziane te słowa i skłął się w duchu za swoją niecierpliwość.

- Byłbym zdumiony, gdyby ktoś nie odpowiedział prędko Waszej Wysokości - rzekł z wyszukaną grzecznością. - Bardzo prędko.

- Kiedy?

- W ciągu dwudziestu czterech godzin, Wasza Wysokość. Osobiście lub przez posłańca.

Zobaczył, że młody chan zmienia pozycję z powodu bólu. Zastanawiał się, czy poczekać, czy pójść za

ciosem. Był pewien, że ból nie jest udawany. Lekarz przedstawił mu szczegółową diagnozę możliwych obrażeń chana i jego siostry. Aby przygotować się na każdą ewentualność, kazał lekarzowi zaaplikować Erikkiemu silny środek uspokajający, na wypadek, gdyby Fin próbował uciekać.

- Dwadzieścia cztery godziny upłyną dziś o siódmej, pułkowniku.

- W Tebrizie jest tak wiele do zrobienia. Wasza Wysokość, że wątpię, czy wcześniej mógłbym zająć się teleksem.

269

- Czy zniszczy pan siedziby lewicowych mudzahed-dinów dziś w nocy?

- Tak, Wasza Wysokość. - Teraz, gdy mamy twoją zgodę i gwarancję, że ze strony Tude nie będzie odwetu, chciał dodać Haszemi, ale się powstrzymał. Nie bądź głupi! Ten młody człowiek nie ma trzech twarzy jak ten pies, Abdollah, oby spłonął w piekle. Z tym pójdzie łatwiej, jeśli tylko będę miał w ręku dobre karty i kiedy pokażę kły. - Nie byłoby dobrze, gdybym nie mógł... porozmawiać z kapitanem już dziś.

Hakim-chan zmrużył oczy, słysząc tę zbyteczną groźbę. Tak, jakbym bez tego nie rozumiał, ty nieokrzesany psi synu.

- Zgoda. - Ktoś zapukał do drzwi. - Wejść. Zjawiała się Azadeh.

563

- Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Wysokość, ale poprosiłeś, żebym przypomniiała ci o wyjeździe do szpitala na prześwietlenie. Witam, pokój z panem, pułkowniku.

- Pokój boży z panią, Wasza Wysokość. - To dobrze, że ta piękność będzie wkrótce musiała zacząć nosić czador, pomyślał Haszemi. Skusiłaby szatana, nie mówiąc już o nie domytych analfabetach z Iranu. Spojrzał na chana. - Powinienem już odejść, Wasza Wysokość.

- Proszę wrócić o siódmej, pułkowniku. Gdybym miał wcześniej jakieś wiadomości, pošlę po pana.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Zamknęła za nim drzwi.

- Jak się czujesz, Hakimie, kochanie?

- Jestem zmęczony. Dużo bólu.

- Ja także. Czy zobaczysz się jeszcze później z pułkownikiem?

- Tak, ale to nie ma znaczenia. Co z Erikkim?

- Śpi. - Była w doskonałym humorze. - Jesteśmy tacy szczęśliwi, my troje.

W TEBRIZIE, 16:06. Robert Armstrong sprawdził działanie małego pistoletu automatycznego. Miał ponury wyraz twarzy.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Henley, także Anglik, o wiele niższy, z cienkim wąsikiem i w okularach. Nie lubił broni palnej. Siedział za biurkiem w odrapanym pokoju biurowym pod portretem królowej Elżbiety.

- Lepiej nie pytaj. Ale nie martw się. Jestem gliniarzem, pamiętasz? To tylko na wypadek, gdyby jakieś zbiry chciały mnie załatwić. Czy możesz przekazać wiadomość Yokkonenowi?

- Nie mogę pójść do pałacu bez zaproszenia; jak bym się, u diabła, wytłumaczył? - Henley uniósł brwi. - Czy mam powiedzieć Hakim-chanowi: „Przepraszam, stary, ale chcę pogadać z twoim szwagrem o zabraniu kumpla z Iranu prywatnym helikopterem”? - Spoważ-

564

niał. - Mylisz się co do pułkownika, Robercie. Nie ma żadnego dowodu, że to on załatwił

Talbota.

- Nawet gdybyś miał taki dowód i tak byś mi o tym nie powiedział - odparł Armstrong. Był

na siebie zły; żałował swego wybuchu, gdy Henley powiedział mu o „wypadku”. - Dlaczego, do cholery, czekałeś aż do dzisiaj, by mi powiedzieć, że Talbot wyleciał w powietrze? To się, na Boga, stało dwa dni temu!

- To nie ja podejmuję decyzje. Przekazuję tylko wiadomości, a zresztą dopiero teraz się o tym dowiedzieliśmy. Poza tym ciężko było cię wytropić. Wszyscy myśleli, że wyjechałeś.

Ostatnio widziano cię, gdy wchodziłeś na pokład brytyjskiego samolotu, który leciał do Asz Szargaz. Cholera, kazano ci wyjechać już tydzień temu, a jeszcze tu jesteś, i wiem, że nie masz żadnego oficjalnego zadania. Cokolwiek postanowiłeś, nie rób tego. Zechciej łaskawie zabrać dupę z Iranu, bo jeśli wpadniesz i wezmą cię na trzeci stopień, wielu ludzi będzie cholernie niezadowolonych.

- Spróbuję ich nie rozczarować. - Armstrong wstał i włożył swój stary płaszcz z futrzanym kołnierzem. - Do zobaczenia wkrótce.

- Kiedy?

270

- Kiedy będę chciał. - Armstrong rzucił Henleyowi twarde spojrzenie. - Nie podlegam tobie i nie powinno cię obchodzić to, co robię, kiedy przychodzę i odchodzę. Dopilnuj tylko, żeby moje raporty były przechowywane w sejfie, do chwili gdy będziesz mógł je wysłać pocztą dyplomatyczną do Londynu. I gęba na kłódkę.

- Zwykle jesteś grzeczniejszy. Co się, do cholery, dzieje, Robercie?

Armstrong wyszedł bez słowa. Było zimno, chmury zapowiadały śnieg. Szedł zatłoczoną ulicą. Przechodnie i uliczni kupcy udawali, że go nie widzą, zakładając, że jest Sowietem; woleli zajmować się swoimi sprawami. Armstrong starał się zorientować, czy nie jest śledzony, a jednocześnie roztrząsał w myślach sposoby i środki postępowania z Haszemim.

Nie było czasu na skonsultowanie się ze zwierzchnikami; zresztą wcale tego nie 565

pragnął. Zaczęliby kręcić głowami i powtarzać: „Dobry Boże, nasz stary przyjaciel Haszemi?

Podejrzewasz, że kropnął Talbota? Przede wszystkim potrzebujemy dowodów" ...

Żadnych dowodów nie będzie, a oni nie uwierzą w istnienie zespołów Grupy Cztery ani w to, że Haszemi uważa się za nowego Hasana ibn as-Sabbaha. Ale ja to wiem. Czyż Haszemi nie promieniał wprost wesołością po zabójstwie generała Dżanana? Teraz ma jeszcze grubszą rybę do nadziania na hak. Na przykład Pah-mudiego. Albo cały Komitet Rewolucyjny, kimkolwiek oni są. Ciekawe, czy już ich namierzył? A może sięgnie po samego imama?

Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, zapłaci za starego Talbota - gdy już dostaniemy Petra Olega Mzytryka. W tej sprawie nie poradzę sobie bez Haszemiego, a Mzytryk jest kluczem do tych pieprzonych zdrajców działających na szczycie struktury White-hall, szefów Philby'ego, czwartego, piątego i szóstego człowieka - w gabinecie MI5 lub MI6. Albo we wszystkich tych miejscach.

Poczuł gniew, od którego rozboleła go głowa. Tylu dobrych ludzi zostało zdradzonych.

Cieszył się, czując w kieszeni broń. Najpierw Mzytryk, pomyślał, potem Haszemi. Trzeba tylko postanowić, kiedy i gdzie.

BAHRAJN - LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE, 16:24. Jean-Luc rozmawiał przez telefon z biura Mathiasa.

- ...Nie, Andy, my też jeszcze niczego nie mamy. Zerknął na Mathiasa, który przysłuchiwał się rozmowie; ponuro pokazał mu kciuk skierowany w dół.

- Charlie wychodzi z siebie - mówił Gavallan. - Przed chwilą do niego telefonowałem.

Cholerna sytuacja; możemy tylko czekać. To samo z Dubois i Fowlerem.

Jean-Luc słyszał w głosie Gavallana wielkie zmęczenie.

- Dubois się pojawi, w końcu jest Francuzem. Przy okazji: powiedziałem Charliemu, że jeśli... kiedy - po-566

prawił się szybko - kiedy Tom Lochart i Freddy Ayre wylądują, niech zatankują na Dżellet i nie lecają tutaj, chyba że zdarzy się coś nagłego. Mathias sam zawiózł paliwo na Dżellet, więc wiemy, że tam jest. Andy, lepiej zadzwoń do Charliego i poprzyj to swoim autorytetem, bo w Bahrajnie może być ciężko. Nie chcę ryzykować kolejnej konfrontacji. Było jasne, że nas ostrzegają, niezależnie od tego,

czy mamy brytyjską rejestrację czy nie. Sam nie rozumiem, jak udało się nam załatwić z Rudim, Sandorem i Popem. Jestem pewien, że zatrzymają wszystkie maszyny z irańską rejestracją. I załogi. Następnym razem na pewno sprawdzą farbę i dokumenty.

- Dobrze, powiem mu od razu. Jean-Luc, nie masz po co wracać teraz do Asz Szargaz. Może polecisz jutro bezpośrednio do Londynu, a potem do Aberdeen? Zacznesz działać na Morzu Północnym, zanim jeszcze my tu wszystko załatwimy, dobrze?

- Dobry pomysł. Zgłoszę się w Aberdeen w poniedziałek - rzucił szybko Jean-Luc, kradnąc dla siebie wolny weekend. Mon Dieu, zasłużyłem sobie na to, pomyślał i zmienił temat, żeby nie dać Gavallanowi czasu na reakcję. - Czy Rudi przyleciał?

271

- Tak, wszystko w porządku. Cała trójka już się tu rozgościła. Także Vossi i Willi. Scrag czuje się dobrze, Erikkiemu już nic nie grozi, Duke dochodzi do siebie powoli, ale na pewno... Gdyby nie Dubois i Fowler, Mac, Tom i ich ludzie... Alleluja! Muszę już kończyć.

Cześć.

- Au revoir. - Zwrócił się do Mathiasa: - Merde, mam skierowanie na Morze Północne.

- Merde.

- Jest jakieś połączenie Alkalia?

- Jest. Lot 22134. A dlaczego?

- Skoro mam się powołać na samego papieża, łapię jutro pierwszy lot do Rzymu z połączeniem do Nicei. Stęskniłem się za Marie-Christene, dzieciakami i jakimś porządnym jedzeniem. Espece de eon z Morzem Północnym! - Spojrzał niespokojnie na zegar. - Espece 567

de eon z tym czekaniem! Gdzie są nasze ptaszki z Kowis-su, co?

KUWEJT - NAD MORZEM, 16:31. Zapaliła się czerwona lampka na wskaźniku paliwa.

NcIver i Waza-ri zobaczyli ją jednocześnie. Obaj zaklęli.

- Ile nam jeszcze zostało, kapitanie?

- Przy tym cholernym wietrze? Niewiele.

Lecieli zaledwie trzy metry nad powierzchnią morza.

- Jak daleko musimy jeszcze lecieć?

- Niedaleko.

NcIver był wyczerpany i czuł się bardzo źle. Wiatr osiągnął już prędkość niemal trzydziestu pięciu węzłów. Próbował oszczędzać paliwo, ale lecąc tak nisko, niewiele mógł zrobić.

Widoczność nie poprawiła się, choć pokrywa chmur stawała się coraz cieńsza, w miarę jak zbliżali się do brzegu. Spojrzał przez okienko na Ayre'a, wskazał instrumenty i skierował

kciuk w dół. Ayre skinął głową; właśnie w tej chwili u niego też rozbłysło czerwone światelko.

- Jasna cholera - powiedział Kyle, mechanik Ayre^ - Za parę minut pospadamy jak kaczk.

- Nie przejmuj się. Jeśli Mac nie wywoła zaraz Kuwejtu, ja to zrobię. - Ayre spojrzał w górę.

Zdawało mu się, że widzi dwa myśliwce, ale to były tylko jakieś morskie ptaki. - Chryste, przez chwilę...

- Przecież te sukinsyny nie ośmieliłyby się ścigać nas tak daleko, prawda?

- Nie wiem.

Od czasu, gdy opuścili wybrzeże, bawili się w chowanego z dwoma myśliwcami. Przelecieli obok Chargu w deszczu i mgle, nie zwiększając wysokości, lecz i tak zostali wykryci.

- Tu kontrola radarowa Chargu. Nielegalnie odlatujące helikoptery, kierunek 275: wejść na trzysta metrów i utrzymać wysokość. Powtarzam: wejść na trzysta i utrzymać wysokość!

Przez chwilę byli jak sparaliżowani; potem NcIver nakazał gestem Ayre'owi, żeby leciał za nim. Skręcili

o 90 stopni, kierując się na północ, jak najdalej od Chargu, i zeszli jeszcze niżej. Po kilku minutach usłyszeli w słuchawkach rozmowę prowadzoną w farsi pomiędzy myśliwcami a wojskową kontrolą lotów.

- Podają nasze położenie, kapitanie - wydyszał Wa-zari. - Teraz rozkaz uzbrojenia rakiet...

Teraz meldują, że uzbroili...

- Tu Charg! Nielegalnie odlatujące helikoptery na kursie 270: wejść na trzysta metrów i utrzymać wysokość. Jeśli nie usłuchacie, zostaniecie zestrzeleni. Powtarzam: zostaniecie zestrzeleni.

NcIver potarł pierś. Ból powrócił. Potem zawzięcie utrzymywał kurs, podczas idy Wazari relacjonował fragmenty podsłuchiwanym rozmów.

272

- ...Prowadzący mówi, żeby schodzić za nim... Skrzydłowy melduje, że wszystkie rakiety uzbrojone... jak mamy ich znaleźć w tym gównie... zwalniam... nie chcemy ich przegapić...

Kontroler mówi: „Potwierdzam rozkaz uzbrojenia rakiet, potwierdzam: zabić”... Jezu, potwierdzają, że rakiety są uzbrojone i że lecą kursem zbieżnym z naszym.

Potem dwa myśliwce wypadły z mgły, ale za bardzo z prawej i piętnaście metrów wyżej.

Przemknęły i znikły.

- Chryste, widzieli nas?

- Jezu, kapitanie, nie wiem, ale te sukinsyny mają aparaty naprowadzające na ciepło.

McIverowi waliło serce. Skinął na Ayre'a i zawisł w miejscu nad samymi falami. Chciał zmylić pogoń.

- Co oni mówią, Wazari? Tłumacz, na Boga!

- Piloci przeklinają... zgłaszają, że są na sześciuset metrach, dwieście węzłów... Jeden mówi, że w tej zupie nie ma dziur i że pułap około stu dwudziestu... trudno zobaczyć powierzchnię...

Kontroler mówi, żeby lecieli na linię międzynarodową, pomiędzy linię a piratów... Jezu, piratów?!
Pomiędzy nich a Kuwejt... sprawdzić, czy chmury się przerzedzają... Zaczaić się na sześciuset...

Co robić? - zadał sobie pytanie McIver. Moglibyśmy ominąć Kuwejt i lecieć prosto do Dżellet. Niedobrze. Przy tym wietrze nie dolecimy. Nie możemy zawrócić.

569

Pozostaje tylko Kuwejt i nadzieja, że jakoś się prześlizgniemy.

Na linii międzynarodowej chmury były wystarczająco gęste, żeby ich osłonić. Ale myśliwce gdzieś się czaiły, krążąc według ustalonego wzoru, czekając na przerwę w chmurach albo na to, że ścigani pomyślą, iż są już bezpieczni i zwiększą wysokość do przepisowej wysokości podejścia. Przez piętnaście minut na wojskowym kanale panowała cisza. Teraz słyszeli kontrolerów z Kuwejtu.

- Zamierzam wyłączyć jeden silnik, żeby oszczędzać paliwo - oświadczył McIver.

- Chce pan, żebym wywołał Kuwejt, szefie?

- Nie. Sam to zrobię. Za minutę. Lepiej wróć do kabiny i przygotuj sobie jakąś kryjówkę.

Sprawdź, czy nie ma jakichś sztormiaków; powinny być w skrytce. Wyrzuć mundur, włóż sztormiak i trzymaj pod ręką kamizelkę ratunkową.

Wazari zbladł.

- Siadamy na wodzie?

- Nie, chodzi tylko o kamuflaż, gdyby przeszukiwali helikopter.

NcIver kłamał. Nie łudził się, że dolecą do wybrzeża. Mówił spokojnym głosem i był spokojny, choć czuł, że ręce i nogi ma jak z ołowiu.

- Co robimy po wylądowaniu, szefie?

- To zależy od tego, co się wydarzy. Masz jakieś dokumenty?

- Tylko licencje kontrolera lotów: amerykańską i irańską. W obu jest napisane, że należę do Irańskiego Lotnictwa Wojskowego.

- Zostań w ukryciu. Nie wiem, co się wydarzy... nie możemy tracić nadziei.

- Szefie, powinniśmy się wznieść nad to gównu. Po co kusić los - powiedział Wazari. -

Jesteśmy już za linią, bezpieczni.

NcIver spojrzał w górę. Chmury i mgła przeredzały się szybko; właściwie już ich nie kryły.

Czerwone światelko ostrzegawcze zdawało się przesłaniać cały horyzont. Lepiej się wznieść? Wazari ma rację, po co kusić los, pomyślał.

- Będziemy bezpieczni dopiero na ziemi - oświadczył na głos. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

WIEŻA LOTNISKA W KUWEJCIE, 16:38. Duża sala była zapełniona personelem.

Niektórzy kontrolerzy byli Brytyjczykami, inni Kuwej tezy kami. Najlepszy, nowoczesny sprzęt, teleks, telefony, sprawność. Otworzyły się drzwi. Wszedł Charlie Pettikin.

273

- Pan chciał mnie widzieć? - zapytał niespokojnie dyżurnego kontrolera, okrągłego Irlandczyka o rumianej twarzy, noszącego na głowie zestaw z cienkim mikrofonem i małą słuchawką.

- Tak, tak, istotnie, kapitanie Pettikin - odparł szorstko mężczyzna, a niepokój Pettikina od razu wzrósł. - Nazywam się Sweeney. Proszę spojrzeć!

- Wskazał coś mazakiem. Przy krawędzi ekranu, na linii oznaczającej odległość trzydziestu dwóch kilometrów, widniał mały punkcik świetlny. - To helikopter, może dwa. On, albo oni, właśnie się pojawił, ale jeszcze się nie zgłosił. To pan oczekuje dwóch śmigłowców, tak mi powiedziano; tranzyt ze Zjednoczonego Królestwa. Czy to jest to?

- Tak - odparł Pettikin. Miał ochotę wiwatować. Nareszcie! Sądząc po kursie, na pewno z Kowissu. Radości towarzyszyła bolesna świadomość, że droga do bezpieczeństwa jest jeszcze długa. Zaczął modlić się w duchu o pomyślność.

• - Może to wcale nie są te oczekiwane, bo, święci pańscy, lecą dziwnym kursem. Podchodzą od wschodu, a przecież lecą z Anglii. - Pettikin nie odpowiedział.

- Zakładając, że to pańskie, jakie są ich sygnały wywoławcze?

Pettikin poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Jeśli poda nowe numery brytyjskie, a śmigłowce zgłoszą się według irańskich, do czego zobowiązywało pilotów prawo, wszyscy znajdą się w kłopotcie. Litery będą widoczne z wieży, gdy helikoptery zaczną schodzić do lądowa-570

571

nia. Kontrolerzy na pewno je zobaczą. Ale jeśli poda Sweeneyowi rejestracje irańskie... to może załatwić Whirlwind. Sukinsyn próbuje złapać mnie w pułapkę, pomyślał, czując pustkę w głowie.

- Bardzo mi przykro - powiedział bezradnie. - Nie wiem. Nasze rejestry nie należą do najbardziej uporządkowanych. Przepraszam.

Zaterkotał stojący na biurku telefon. Sweeney podniósł słuchawkę.

- Ach, tak, tak. Komendant?... Tak... nie, na razie nie... myślimy, że są dwa... Tak, tak, zgoda... nie, już jest dobrze. Wychodzi od czasu do czasu... Tak, doskonale.

Odłożył słuchawkę i znów spojrzał na ekran.

Pettikin niespokojnie poszedł w jego ślady. Wydawało się, że jasna plamka tkwi w miejscu.

Sweeney przełączył radar na maksymalny zasięg. Obraz na ekranie sięgnął głęboko w zatokę: na zachodzie do kilku kilometrów od granicy z Irakiem, na północnym zachodzie do granicy iracko-irańskiej; obie granice nie były daleko.

- Nasz daleki zasięg przez jakiś czas nie działał; zobaczylibyśmy ich już wcześniej. Teraz, chwała Bogu, już jest dobrze. Tam jest cała masa baz myśliwców - dodał obojętnym tonem, pokazując mazakiem irańską stronę granicznego szlaku wodnego Szatt el Arab w kierunku Abadanu. Potem mazak przeciął zatokę wzdłuż linii łączącej Kowiss i Kuwejt i zatrzymał się na świetlistym punkciku.
- To są pańskie helikoptery; jeśli są dwa i jeśli należą do pana. -

Końcówka mazaka przesunęła się trochę na północ do dwóch innych, szybko poruszających się punktów. - Myśliwce. Nie nasze, ale w naszym obszarze. - Podniósł wzrok, - a Pettikin poczuł chłód.
- Nie zaproszone i nie mające zezwolenia, a więc wrogie.

- Co one robią? - zapytał Pettikin, który wiedział już na pewno, że jego rozmówca zna prawdę i tylko się z nim bawi.

- Właśnie to chcielibyśmy wiedzieć, naprawdę byśmy chcieli. - Głos Sweeney'a brzmiał nieprzyjaźnie.

Wskazał mazakiem dwa inne punkty, wylatujące z ku-wejckiego pasa wojskowego. - Te są nasze. Lecą się rozejrzeć. - Podał Pettikinowi dodatkową słuchawkę i wcisnął guzik 274

nadawania. - Tu Kuwejt. Nadlatujący helikopter lub helikoptery, kierunek 274 stopnie, podać sygnały wywoławcze i wysokość.

Trzaski. Sweeney cierpliwie powtórzył wywołanie. Pettikin rozpoznał głos NcIvera.

- Kuwejt, tu helikopter Boston Tango i helikopter Hotel Echo w tranzycie do Asz Szargaz.

Wchodzimy ze stu osiemdziesięciu na dwieście.

NcIver podał tylko ostatnie litery irańskich rejestracji, zamiast wszystkich, co trzeba było zrobić przy pierwszym wywołaniu, łącznie z początkowymi EP, oznaczającymi Iran.

O dziwo, Sweeney nie zrobił z tego problemu.

- Helikoptery Boston Tango i Hotel Echo, zgłosić się przy zewnętrznych oznaczeniach -

poleciał, a Pettikin dostrzegł, co zaprzęta jego uwagę. Dwa wrogie punkty zbliżały się prędko do śmigłowców. Sweeney pokazywał je mazakiem. - Lecą z pełną prędkością - mruknął. -

Szesnaście kilometrów na wschód.

- Kuwejt, proszę o potwierdzenie zewnętrznych oznaczeń. Proszę o zezwolenie na proste podejście, mamy mało paliwa. - Zabrzmiało w słuchawkach głos NcIvera.

- Zezwalam na proste podejście, zgłoś się przy oznaczeniach zewnętrznych.

Pettikin stłumił lęk. Sweeney zaczął coś nucić. Starszy kontroler, Kuwejtczyk, spokojnie wstał zza biurka, podszedł i stanął za ich plecami.

Patrzyli na obracającą się linię, która wydobywała na swej drodze zarys lądu i świetliste punkciki, o których wiedzieli, że są wrogimi myśliwcami. Myśliwce kuwejckie poruszały się znacznie wolniej i były jeszcze daleko. Pomiędzy nimi znajdowały się dwa bezbronne helikoptery. Bliżej. Teraz napastnicy zlali się już niemal ze śmigłowcami. Potem samoloty zawróciły i skierowały się na wschód, nad zatokę. Trzej mężczyźni wstrzymali 573

na chwilę oddech. Rakiety nie osiągnęły celu natychmiast. Mijały sekundy. Punkciki helikopterów pozostały. Samoloty kuwejckie zbliżyły się do nich, a potem one też zawróciły do bazy. Sweeney przełączył na chwilę odbiornik na ich częstotliwość i słuchał prowadzonej po arabsku rozmowy. Spojrzał na starszego kontrolera i powiedział coś do niego po arabsku.

Mężczyzna odpowiedział: In sza'a Allah, skinął głową Pettikinowi i wyszedł z sali.

- Nasze myśliwce zameldowały, że nic nie widziały - spokojnie poinformował Sweeney Pettikina.

Wrócił na zwykłe pasmo, na którym samoloty zgłaszały się i otrzymywały korytarze startu oraz lądowania. Potem przełączył radar na bliski zasięg. Helikoptery rozbiły się na dwa odrębne punkciki; były jeszcze daleko od brzegu. W porównaniu z myśliwcami, wydawało się, że nadlatują w żółwym tempie.

Poprzez inne głosy przebił się głos Nclvera:

- Pan-pan-pan! Kuwejt, tu helikoptery BT i HE, kończy się nam paliwo, wskaźniki na pustym, pan-pan-pan.

Wezwanie awaryjne, jeden stopień poniżej Mayday.

- Zezwalam na siadanie na lądowisku Messali Beach, prosto przed wami, koło hotelu.

Zawiadomimy ich i wyślemy paliwo. Zrozumieliście? - rzekł Sweeney.

- Potwierdzam, Kuwejt, dziękuję. Znam ten hotel. Proszę poinformować kapitana Pettikina.

- Wilco, od razu. - Sweeney zatelefonował i zarządził gotowość do startu helikoptera ratownictwa morskiego, wysłał do hotelu samochód strażacki. Potem wyciągnął rękę po słuchawkę Pettikina, zerknął na drzwi i nakazał pilotowi gestem, żeby się zbliżył. - Teraz posłuchaj - szepnął. - Zatankuj ich, załatw odprawę celną i paszportową - jeśli ci się uda - i zabieraj ich do diabła z Kuwejtu w ciągu paru minut albo ty i oni, i twoi potężni „ważni”

przyjaciele znajdziecie się w więzieniu i będzie spokój! Święta Matko Boża, przez te wasze hocki ośmielacie się ściągać na Kuwejt tych fanatyków z Iranu, którzy lubią sobie postrzelać,

574

275

a uczciwi ludzie muszą ryzykować posadę dla takich jak wy. A gdyby zestrzelili choć jeden z waszych helikopterów? Chyba tylko sam diabeł mógłby zażegnać konflikt międzynarodowy. -

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął jakiś papier i wcisnął go oniemiałemu Pettikinowi do ręki. -

Przeczytaj to, a potem wrzuć do ubikacji i spuść wodę.

Sweeney odwrócił się i podniósł słuchawkę telefonu. Pettikin niepewnie skierował się do wyjścia. Na zewnątrz spojrzął na kartkę. To był teleks. Ten teleks. Z Teheranu. Nie fotokopia, ale oryginał.

Boże wszechmogący! Czy Sweeney to przejął i schował dla nas? Ale przecież powiedział:

„załatw odprawę celną i paszportową -jeśli ci się uda”?...

HOTEL MESSALI BEACH. Mały samochód cysterna z Genny i Pettikinem w kabinie wpadł

z drogi wiodącej wzdłuż wybrzeża do rozległych ogrodów otaczających hotel. Wszędzie działały automatyczne polewaczki. Lądowisko helikopterowe położone było kawał drogi na zachód od ogromnego parkingu. Wóz strażacki już tam był. Genny i Pettikin wyskoczyli, Pettikin z małą krótkofalówką. Oboje wlepili wzrok w mgłę nad morzem.

- Mac, słyszysz mnie?

Słyszeli silniki, ale jeszcze nie widzieli helikopterów. Potem rozległo się:

- Dwa na pięć, Charlie... - Dużo trzasków - ...ale ja... Freddy, lądowisko jest twoje, ja siadam obok.

- Znów trzaski.

- Tam są! - krzyknęła Genny. Maszyny wyłoniły się z mgły na wysokości około stu osiemdziesięciu metrów.

- Och, Boże, pomóż im w...

- Mamy was w zasięgu wzroku, Mac; są strażacy, nie ma problemu. - Pettikin wiedział

jednak, że znaleźli się w nie lada kłopotcie: nie można zmienić liter na oczach tyłu gapiów.

Jeden z silników zakaszłał; nie wiedzieli, w którym helikopterze. Następne kasznięcie.

575

- Uwaga, nadlatuję nad lądowisko. - Zbyt suchy głos Ayre'a.

Zobaczyli, że lewy 212 oderwał się trochę od prawego i zaczął wytracać wysokość, próbując wypracować odległość z dławiącymi się silnikami. Strażacy zajęli pozycje. NcIver uparcie utrzymywał kurs i wysokość, żeby dać sobie jak największe szanse w razie, gdyby jego silniki przestały pracować.

- Gówno! - Wyrwało się Pettikinowi na widok Ayre'a, podchodzącego szybko, zbyt szybko.

Ayre włączył jednak nagle maksymalne obroty i posadził bezpiecznie maszynę w samym środku koła. Teraz NcIver wykonywał awaryjne podejście. Na rany Chrystusa, dlaczego leci sam i gdzie, u diabła, jest Tom Lochart? Nie miał już wyboru; nie było miejsca na żaden manewr. Wszyscy wstrzymali oddech, a potem płozy dotknęły ziemi i w tym momencie silnik zgasł.

Strażacy zgłosili przez radio, że niebezpieczeństwo minęło i zaczęli pakować sprzęt. Pettikin ścisnął dłoń NcIvera, a potem ruszył do Ayre'a. Genny stała przy otwartych drzwiach kokpitu i uśmiechała się radośnie do męża.

- Cześć, Duncan - powiedziała, odgarniając włosy z czoła. - Miła przejażdżka?

- Najgorsza, jaką kiedykolwiek odbyłem, Gen - odparł, próbując się uśmiechnąć. Jeszcze całkiem do siebie nie doszedł. - W gruncie rzeczy nie chcę już nigdy sam pilotować.

Wprawdzie nadal chcę sprawdzać Scraga, ale tylko raz w roku!

Roześmiała się, uścisnęła go i chciała puścić, lecz on do niej przywarł, tak szczęśliwy, że jest z nią razem, na ziemi, pasażer bezpieczny, maszyna cała... Czuł, że może się rozplakać.

- Dobrze się czujesz, kochana?

To wyzwoliło jej łzy. Nie nazywał jej tak od miesiący, a może lat. Przycisnęła się do niego jeszcze mocniej.

276

- Popatrz, do czego mnie doprowadziłeś. - Znalazła chusteczkę, puściła męża, a potem lekko go pocałowała. - Należy ci się whisky z wodą sodową. Dwie, duże!

576

- Dopiero teraz dostrzegła jego bladość. - Dobrze się czujesz?

- Tak, tak, chyba tak. Jestem trochę przerażony tym wszystkim. - NeIver spojrział ponad jej ramieniem na Pettikina, który śmiał się; rozmawiając z Ayre'em. Kierowca cysterny przepompowywał już paliwo do zbiorników. Nadjeżdżał jakiś samochód, wyglądający na urzędowy. - Co z innymi? Co się wydarzyło?

- Wszyscy są już bezpieczni, z wyjątkiem Marca Dubois i Fowlera Joinesa. Jeszcze się nie znaleźli.

- Opowiedziała mu to, co wiedziała o Starke'u, Gavalla-nie, Scragrze, Rudim i jego ludziach.

- Jest jeszcze jedna fantastyczna wiadomość od Newbury'ego, to facet z konsulatu w Asz Szargaz. Otrzymał wieści z Tebrizu, że Erikki i Azadeh są już bezpieczni i przebywają w pałacu jej ojca. Ojciec zmarł, a chanem został brat Azadeh.

- Mój Boże, to wspaniale! A więc udało się, Gen!

- Tak, tak, ten piekielny wicher. - Odgarnęła włosy z oczu. - Andy, Charlie i inni uważają, że Dubois ma duże szanse... - Urwała. Nagle zdała sobie sprawę, że coś się nie zgadza.

Odwróciła się i spojrzała na 212.

- Tom! Gdzie jest Tom Lochart?

NA POŁUDNIE OD TEHERANU, 17:10. Lochart znalazł z dawnych czasów miejsce wierceń położone o sto sześćdziesiąt kilometrów od Teheranu, na wyludnionych wzgórzach. Ustawił

206 koło pompy i teraz nalewał ręcznie paliwo. Już prawie kończył.

W tym miejscu zatrzymywały się w drodze helikoptery obsługujące obszar przy wielkim rurociągu północnym. Dawniej mieszkała tu ekipa irańskich monterów. W prymitywnej szopie stało kilka zapasowych łóżek dla pilotów maszyn unieruchomionych z powodu burz, które w tych okolicach były bardzo częste. Pierwsi brytyjscy właściciele tego miejsca zwali je

„D'Arcy 1908”, aby upamiętnić Anglika o tym nazwisku, który jako pierwszy odkrył w 1908 roku w Iranie ropę naftową. Teraz baza należała do IranOil, która za-577

chowała starą nazwę, a także dbała, aby zbiorniki paliwa były zawsze pełne.

Dzięki niech będą Bogu choćby i za to, pomyślał Lochart. Praca przy pompie była męcząca.

W miejscu spotkania na wybrzeżu wrzucił do kabiny dwa puste czterdziestogalonowe bębny, na wypadek, gdyby baza D'Arcy 1908 była otwarta. Zamontował też prowizoryczną pompę.

Na brzegu pozostało jeszcze tyle paliwa, że starczyłoby na ucieczkę z Iranu. Szahrazad mogłaby pracować przy pompie podczas lotu.

- Teraz mamy szansę - powiedział na głos.

Wiedział, gdzie wylądować, jak zabezpieczyć helikopter i zakraść się do Teheranu.

Znów był pewny siebie. Przygotowywał w myślach różne wersje planu, rozważał, co powiedzieć Meszan-gowi, a czego nie powiedzieć, jakich użyć słów w rozmowie z Szahrazad, jak uciec. Musi być jakiś sposób, żeby dostała to, co się jej należy, przynajmniej tyle, żeby wystarczyło na jej potrzeby...

Benzyna przelała się przez wlot pełnego baku, a on sklął się za nieuwagę. Starannie zamknął wlot zbiornika i wytarł go. Teraz już skończył: bębny w kabinie pełne, pompa zamontowana.

W jednej z szop znalazł kilka puszek solonej wołowiny; jedną natychmiast pochłonał; nie mógł jeść w locie, nie posługując się lewą ręką, a był już zbyt długo w Iranie, żeby to zrobić.

Wypił łączywie butelkę piwa, którą włożył wcześniej w śnieg, żeby ją schłodzić. W baryłce była woda. Rozkruszył pokrywający ją cienki lód i zwilżył twarz, ale nie odważył się pić.

Przejechał ręką po szorstkim zaroście twarzy i zaklął; chciał wyglądać dla Szahrazad jak najlepiej. Przypomniał sobie o elektrycznej, akumulatorowej maszynie do golenia, którą woził w lotniczej torbie. Znalazł ją.

277

- Możesz się ogolić w Teheranie - powiedział do swego odbicia w szybie. Chciał już wreszcie

wyruszyć.

Ostatnie spojrzenie. Śnieg, skały i niewiele więcej. W dali biegła droga Kom - Teheran.

Chmury, ale na

wysokim pułapie. Jakieś ptaki krążące wysoko nad głową. Padlinożerne. Sępy, pomyślał, zapinając pasy.

TEHERAN, W DOMU BAKRAWANA, 17:15.

Drzwi w murze zewnętrznym otworzyły się. Dwie kobiety w czadorach i z zasłoniętymi twarzami wyszły. Szahrazad i Dżari były nie do poznania. Dżari zamknęła drzwi i pospieszenie podreptała za Szahrazad, która lawirowała już w tłumie, idąc bardzo szybkim krokiem.

- Księżniczko, poczekaj, nie trzeba się aż tak spieszyć...

Ale Szahrazad nie zwolniła aż do rogu. Tam zatrzymała się i niecierpliwie czekała.

- Dżari, teraz się rozłączymy - powiedziała, nie dając jej czasu na żadne protesty. - Nie wracaj do domu. Spotkamy się w kawiarni, wiesz, w której, o szóstej trzydzieści. Poczekaj na mnie, gdybym się spóźniła.

- Ale, księżniczko... - Dżari ledwie mogła mówić.

- Ale Jego Ekscelencja Mieszang... Powiedziałaś mu, że idziemy do doktora i...

- W kawiarni o szóstej trzydzieści, najpóźniej o siódmej, Dżari!

Szahrazad pospieszyła ulicą, a potem przebiegła przez jezdnię tuż przed maską jakiegoś samochodu, żeby uwolnić się od pokojówki, która szła jej tropem. Skręciła w boczną alejkę, w następną i wkrótce była już wolna. Nie wyjdę za tego straszego człowieka, nie, nie, nie!

- mruknęła pod nosem.

Decyzja zaczęła w niej dojrzewać już po południu, choć Mieszang oznajmił tę straszliwą wiadomość dopiero przy obiedzie. Najlepsza przyjaciółka przyszła, żeby zapytać, czy pogłoska o tym, że Szahrazad zamierza wejść w rodzinę Farazanów, jest prawdziwa.

- Cały bazar aż huczy, najdroższa Szahrazad. Przyszłam od razu, żeby ci pogratulować.

- Teraz, kiedy się rozwodzę, mój brat snuje różne plany - odparła obojętnym tonem. - Mam wielu starających się.

578

579

- Oczywiście, oczywiście, ale mówi się, że majątek wnoszony przez Farazana został już uzgodniony.

- Tak? Czego to ludzie nie mówią!

- Inni złośliwi plotkarze twierdzą, że małżeństwo ma być zawarte w przyszłym tygodniu, a twój... twój przyszły mąż śmieje się i mówi, że przechytrzył Me-szanga.

- _Ktoś przechytrzył Meszanga? To musi być kłamstwem!

- Wiem, że pogłoski mogą być fałszywe, wiem! Jak mogłabyś wyjść za Diaraha Daranusza, szacha nieczystości? Jak mogłabyś? - Przyjaciółka roześmiała się hałaśliwie. - Moje biedne kochanie, którą stronę musiałabyś się do niego odwracać?

- No i co z tego? - wtrącił się Meszang. - Oni wszyscy są po prostu zazdrośni! Ślub się odbędzie, a dziś wieczór ugościmy Farazana kolacją.

Może tak, a może nie, pomyślała Szahrazad, kipiąc gniewem. Może ugościmy go nie tak, jak się spodziewa.

Znów rozejrzała się, sprawdzając, czy idzie we właściwym kierunku. Nogi się pod nią uginały. Szła do mieszkania jego przyjaciela. Już niedaleko. Zabierze klucz ze skrytki, wejdzie do mieszkania i odwinie dywan w sypialni. Potem odsunie deskę, jak on to robił.

Wyjmie pistolet i granat. Bogu dzięki za czador, który mnie maskuje i pod którym łatwo ukryć takie przedmioty. Starannie wpasuje deskę i przykryje dywanem. Potem wróci do domu. Niemal dyszała z podniecenia. Ibrahim będzie ze mnie tak dumny! Pójdę walczyć o 278

Boga, ponieść męczeństwo dla Boga! Czyż on nie pojechał na południe, żeby zostać męczennikiem w takiej właśnie walce? Oczywiście, Bóg wybaczy mu tę lewicową naiwność.

Jak to dobrze, że pokazał mi, jak odbezpieczyć pistolet i wprowadzić nabój do lufy, jak trzymać granat, wyjąć zawleczkę i rzucić go we wrogów islamu z okrzykiem: „Bóg jest wielki!” Potem do nich strzelać i trafić do raj. Może już dziś, najpóźniej jutro. W całym mieście mówi się, że lewacy z uniwersytetu rozpoczęli od 580

dawna oczekiwane powstanie. Przepędzimy ich, mój syn i ja, my, żołnierze Boga i proroka, oby jego imię było chwalone! Zrobimy to!

Bóg jest wielki, Bóg jest wielki... Wystarczy wyjąć zawleczkę, policzyć do czterech i rzucić.

Pamiętam wszystko dokładnie.

KUWEJT, LĄDOWISKO HOTELU MESSALI,

17:35. NeIver i Pettikin patrzyli na dwóch przedstawicieli urzędu imigracyjnego i celnego.

Pierwszy przeglądał obojętnie dokumenty helikoptera, drugi myszkował w kabinie 212. Jak dotąd,

inspekcja wyglądała na powierzchowną, choć długotrwałą. Zabrali wszystkie paszporty i dokumenty helikopterów, ale tylko na nie zerknęli i zapytali NcIvera o obecną sytuację w Iranie. Nie zapytali jednak bezpośrednio, skąd przyleciały śmigłowce. Takie pytanie może paść w każdej chwili, myśleli niespokojnie NcIver i Pettikin.

NcIver zastanawiał się, czy nie zostawić Wazariego w ukryciu, ale uznał, że byłoby to zbyt ryzykowne.

- Przykro mi sierżancie, ale musi pan spróbować.

- Kto to jest? - zapytał od razu człowiek z urzędu imigracyjnego.

Wazariego zdradzała karnacja skóry i strach.

- Operator radiowy i radarowy - rzucił obojętnym tonem NcIver.

Urzędnik odwrócił się i zostawił w spokoju Wazariego, który pocił się w sztormiaku i na wpół zapiętej kamizelce ratunkowej.

- A więc, kapitanie, myśli pan, że w Teheranie będzie przewrót, przewrót wojskowy?

- Nie wiem - odparł NcIver. - Plotki są liczne jak szarańcza. W angielskich gazetach piszą, że to możliwe, bardzo możliwe, i że Iran opanowało jakieś szaleństwo, jak terror po rewolucji francuskiej czy rosyjskiej. Czy nasi mechanicy-mogą już zacząć wszystko sprawdzać?

- Oczywiście. - Mężczyzna poczekał, aż NcIver wyda odpowiednie polecenia. Potem powiedział: - Miejmy nadzieję, że to szaleństwo nie rozprzestrzeni się na 581

całą zatokę, co? Nikt nie chce kłopotów po tej stronie Zatoki Islamskiej. - Specjalnie użył

tego określenia; państwa zatoki nienawidziły nazwy Zatoka Perska. - To Zatoka Islamska, prawda?

- Oczywiście.

- Trzeba zmienić nazwę na wszystkich mapach. Zatoka to zatoka, a islam to islam; nie tylko sekta szyitów.

NcIver nie odpowiedział; zaniepokoił się i postanowił bardzo uważać. W Kuwejcie i w większości państw zatoki było wielu szyitów. Wielu. Przeważnie ubogich. Władcy, szejkwowie byli głównie sunnitami.

- Kapitanie! - Celnik przyzywał kolegę, stojąc w otwartych drzwiach 212. Ayre'a i Wazariego poproszono, żeby poczekali z dala od helikopterów, w cieniu, do końca kontroli celnej. Mechanicy sprawdzali maszyny. - Czy przewozicie jakąś broń?

- Nie. Tylko regulaminowe pistolety sygnalizacyjne.

- Jakaś kontrabanda?

- Nie, tylko części zamienne.

279

Zwykłe pytania w nieskończoność. Powtórzą się na lotnisku. Celnik podziękował. Urzędnik imigracyjny poszedł do samochodu, zabierając ze sobą paszporty. Radio w helikopterze było włączone; NcIver słyszał wyraźnie kontrolę naziemną. Zobaczył, że urzędnik z namysłem drapie się brodę, potem podnosi mikrofon i mówi coś po arabsku. To go zaniepokoiło. Genny siedziała obok, w cieniu. Podeszedł do niej.

- Trzymaj się - szepnęła. - Jak to wygląda?

- Mogliby już wreszcie dać nam spokój - westchnął poirytowany NcIver. - Na lotnisku zmarnujemy następną godzinę. Nie wiem, u diabła, co robić!

- Czy Charlie...

- Kapitanie! - Urzędnik imigracyjny przyzywał jego i Pettikina do samochodu. - A więc lecicie tranzytem?

- Tak, do Asz Szargaz. Gdyby pan pozwolił, chcielibyśmy już startować. Polecimy na lotnisko, załatwimy formalności i wyruszymy tak szybko, jak będziemy mogli. W porządku?

- Jak pan powiedział? Dokąd lecicie?

- Asz Szargaz, tankowanie w Bahrajnie.

NcIver czuł się coraz gorzej. Każdy pracownik lotniska wiedział, że muszą zatankować wcześniej, nawet gdyby nie było wiatru, a wszystkie lotniska przed Bahrajnem znajdowały się w Arabii Saudyjskiej. Tak więc było jasne, że muszą lądować w Arabii. Bahrajn, Abu Żabi, Asz Szargaz - wszędzie dotarł ten sam teleks. Także do Kuwejtu. Choć tutaj osoba dobrze im życząca schowała teleks, na pewno nie powtórzy się to na lotniskach Arabii Saudyjskiej. Tak, pomyślał NcIver, zerkając na mężczyznę, który przyglądał się teraz irańskim rejestracjom wymalowanym pod okienkami kok-pitów. Przybyli na rejestracji irańskiej. Trzeba będzie wpisać ją do planu lotów i kontynuować podróż z tymi samymi literami.

Ku ich zdziwieniu, urzędnik sięgnął do samochodowego schowka i wyjął bloczek formularzy.

- Natych... Zatwierdzę wasz plan lotu tutaj i dam wam zezwolenie na bezpośredni lot do Bahrajnu. Możecie od razu startować. Możecie też uiścić u mnie opłaty za lądowanie. Poza tym podstempluję wasze paszporty. Nie będziecie musieli lecieć na lotnisko.

- Co takiego?

- Zatwierdzę wasz plan lotu i dam zezwolenie na bezpośredni lot do Bahrajnu. Proszę to wypełnić. -

Wręczył bloczek McIverowi. Bloczek zawierał prawidłowe formularze. - Proszę wypełnić, podpisać i zwrócić.

Odpędził muchy, które wleciały do samochodu. Wziął do ręki mikrofon, i odczekawszy, aż McIver i Pettikin odejdą, zaczął coś po cichu mówić.

Piloci nie mogli uwierzyć we własne szczęście. Oparli się o cysterne.

- Jezu, Mac, czy oni wszystko wiedzą i po prostu nas puszczają?

- Nie wiem, co o tym myśleć. Nie marnujmy czasu, Charlie. - McIver wcisnął Pettikinowi do ręki bloczek i powiedział z większym zniecierpliwieniem w głosie, niż zamierzał: - Po prostu wypełnij plan lotu, zanim on zmieni zdanie. Wpisz Asz Szargaz; gdybyśmy lądowali 582

583

awaryjnie na Dżellet, to już nasz problem. Zrób to, na Boga, jak najszybciej i od razu lećmy.

- Jasne, już.

- Ty już nie pilotujesz, Duncan, prawda? - odezwała się Genny.

- Nie, zastąpi mnie Charlie.

Pettikin zastanawiał się przez chwilę, potem wyjął z kieszeni klucz i pieniądze.

- To jest klucz od mojego pokoju, Genny. Mogłabyś zabrać moje rzeczy? Zapłać rachunek i złap najbliższy samolot. Hughes, przedstawiciel Imperial Air, na pewno załatwi ci miejsce.

- Co z twoim paszportem i licencją? - zapytała.

- Zawsze noszę je przy sobie razem ze studolaro-wym banknotem. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie dać jakiś bakszysz.

280

- Załatwione. - Poprawiła ciemne okulary i uśmiechnęła się do męża. - A ty, Duncan?

McIver westchnął, nawet tego nie zauważając.

- Ja muszę lecieć z nimi, Gen. Nie mogę tutaj zostać; wątpię, czy potem by mnie wypuścili.

Oni nie chcą mieć żadnych kłopotów i pragną jak najprędzej się nas pozbyć. To chyba oczywiste. Widziałas kiedyś odprawę celno-paszportową na plaży? Sprawiamy kłopoty i stanowimy groźbę dla państwa. Naprawdę! Zrób to, o co poprosił cię Charlie, Gen.

Uzupelnimy paliwo na Dżellet i, mam nadzieję, zmienimy tam rejestrację. Masz farbę, Charlie?

- Farbę, pędzle, wszystko. - Pettikin przez cały czas wypełniał formularze. - Co z Wazarim?

- Na razie, dopóki nikt o to nie pyta, należy do załogi. Wpisz go jako operatora radiowego.

Właściwie to nie kłamstwo. Jeśli nie zakwestionują go w Bahrajnie, na pewno zrobią to w Asz Szargaz. Może Andy będzie mógł coś dla niego zrobić.

- Dobra, załoga. Już wypełniłem.

- W porządku. Gen, do Dżellet dolecimy bez problemu. Także do Bahrajnu i Asz Szargaz.

Pogoda dobra,

584

będzie księżyc, miła wycieczka. Zrób tak, jak powiedział Charlie. Zdasz wyjść nam na spotkanie.

- Skoro już lecicie, potrzebujecie jedzenia i wody - zauważyła. - Może ja się tym zajmę, Charlie. Chodź, Duncan, należy ci się szklaneczka.

- Przygotuj ją na powitanie w Asz Szargaz, Gen.

- Dobrze, nie zapomnę, ale dostaniesz też teraz. Nie będziesz prowadził helikoptera, a na pewno potrzebujesz drinka. Ja też.

Podeszła do urzędnika imigracyjnego i poprosiła o pozwolenie na kupno kanapek i zatelefonowanie.

- Za chwilę wracam, Charlie.

NcIver wszedł za żoną do holu hotelowego i poszedł prosto do toalety. Poczł się bardzo źle.

Po pewnym czasie odzyskał nieco siły i mógł wyjść. Genny odwieszała właśnie słuchawkę.

- Kanapki będą za chwilę, twój drink przygotowany. Zamówiłam dla ciebie rozmowę z Andym.

Zaprowadziła go na elegancki taras barowy. Trzy lodowate perriery z cytryną, podwójna whisky bez lodu, tak, jak lubił. Pierwszego perriera wypił duszkiem.

- Mój Boże, potrzebowałem tego... - Zerknął łakomie na whisky, ale jej nie tknął. Z

namysłem pił drugą szklanę perriera. Spojrzał na Genny. - Gen, chyba chciałbym, żebyś poleciała z nami.

Zaczęła mieć się na baczności.

- Dziękuję, Duncan - odpowiedziała. - Chciałabym. Tak, zrobię to.

Zmarszczki na jego twarzy wystąpiły wyraźniej.

- I tak byś to zrobiła, prawda?

Nieznacznie wzruszyła ramionami. Spojrzała na whisky.

- Przecież nie pilotujesz, Duncan; whisky dobrze by ci zrobiła, pomogła.

- Zauważyłaś, co?

- Tylko to, że jesteś zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek. Spisałeś się wspaniale, zrobiłeś coś pierwszo-585

rzędne i powinieneś odpocząć. Czy... czy brałeś swoje pastylki, i w ogóle to wszystko?

- Och, tak, myślę, że niedługo mi się skończą. Nie ma problemu, ale parę razy czułem się parszywie. - Widząc jej zaniepokojenie, dodał: - Teraz czuję się znakomicie, Gen. Świetnie.

Wiedziała, że dalsza indagacja nie ma sensu. Teraz, gdy została już zaproszona, mogła się trochę odprężyć. Obserwowała męża uważnie, od chwili gdy wylądował. Martwiła się coraz 281

bardziej. Oprócz kanapek zamówiła aspirynę. W torebce przyniosła pastylki kodeinowe, ve-ganin, i zestaw pierwszej pomocy, który dostała od doktora Nutta.

- Jak się czujesz, mogąc znowu latać? Ale tak naprawdę?

- Z Teheranu do Kowissu poszło świetnie, ale dalej już trochę gorzej. Ostatni etap był wręcz fatalny.

Wspomnienie myśliwców i tego, że tyle razy byli o włos od nieszczęścia, wytrąciło go z równowagi. Nie myśl o tym, nakazał sobie. To już minęło. Whirlwind też się kończy. Erikki i Azadeh są bezpieczni. Ale co z Dubois i Fowlerem, co się, do cholery, z nimi stało? A Tom?

Udusiłbym tego biednego sukinsyna.

- W porządku, Duncan?

- Och, tak, to tylko zmęczenie. Parotygodniowe.

- Co z Tomem? Co powiesz Andy'emu?

- Właśnie o nim myślałem. Andy'emu muszę powiedzieć prawdę.

- To jedyne, co nie wyszło w Operacji, prawda?

- On... on już sam za siebie odpowiada, Gen. Może uda mu się zabrać Szahrazad i uciec?

Jeśli go złapią... Musimy czekać i nie tracić nadziei.

Nie Jeśli", ale „kiedy", pomyślał. Dotknął ramienia żony. Cieszył się, że jest obok niej; nie chciał jej jeszcze bardziej martwić. To wszystko musi być dla niej okropne. Myśli, że umrę.

- Proszę wybaczyć, sahib. Memsahib, pani zamówienie zostało zanesione do helikoptera - powiedział kelner.

586

Nelver wręczył mu kartę kredytową. Kelner odszedł.

- O, właśnie, a co z twoim rachunkiem hotelowym? I Charliego? Musimy się tym zająć.

- Zatelefonowałam w tej sprawie do pana Hughes, kiedy byłeś w toalecie - poinformowała. -

Poprosiłam, żeby zajął się naszymi rachunkami i wysłał bagaże, gdybym nie zadzwoniła w ciągu godziny. Mam torebkę, paszport i... Dlaczego się śmiejesz?

- Nic, nic, Gen.

- Zrobiłam to na wypadek, gdybyś sam mnie poprosił. Myślałam... - Spojrzała na bąbelki w swojej szklance. Znów lekko wzruszyła ramionami, przeniosła wzrok na niego i uśmiechnęła się radośnie. - Tak się cieszę, Duncan, że o to poprosiłeś, dziękuję.

ASZ SZARGAZ - NA PRZEDMIEŚCIACH, 18:01. Gavallan wysiadł z samochodu i wbiegł żwawo po schodach prowadzących do otoczonej wysokim murem willi w stylu marokańskim.

- Pan Gavallan!

- Dzień dobry, pani Newbury! - Zmienił kierunek, żeby podejść do kobiety, która klęcząc sadziła koło podjazdu jakieś rośliny. - Ma pani wspaniały ogród.

- Dziękuję. To dobra zabawa i utrzymuje mnie w formie - odparła. Angela Newbury była wysoka, trzydziestoparoletnia. Mówiła z arystokratycznym akcentem. - Roger czeka na pana w naszym punkcie widokowym. - Wierzchem dłoni w rękawiczce otarła pot z czoła, zostawiając brudny ślad. - Jak idzie?

- Wspaniale. - Opowiedział jej, pomijając wiadomość o Locharcie. - Jak dotąd, dziewięć z dziesięciu.

- Och, super, co za ulga! Gratulacje; my wszyscy tak się martwiliśmy. Świetnie, ale, na Boga, niech pan nie mówi Rogerowi, że pytałam. On uważa, że to wielka tajemnica!

Odwzajemnił uśmiech i ruszył wzdłuż ściany domu przez piękny ogród. Punkt widokowy był kępą drzew ozdobioną kwietnikami. Stały tam krzesła, stoliczki, 587

przenośny barek i telefon. Gavallan dostrzegł ponure spojrzenie Newbury'ego.

- O co chodzi?

- O ciebie. O Whirlwind. Powiedziałem jasno, że to kiepski pomysł. Jaka jest teraz sytuacja?

282

- Właśnie dowiedziałem się, że dwie maszyny z Ko-wissu dotarły do Kuwejtu i dostały bez kłopotu zezwolenie na start do Bahrajnu. To daje już dziewięć z dziesięciu, jeśli liczyć helikopter Erikiego w Tebrizie. Dubois i Fowler jeszcze się nie zgłosili, ale nie tracimy nadziei. Na czym polega problem, Roger?

- W całej zatoce panuje piekło. Teheran wyje, żeby was wymordować, a wszystkie nasze biura ogłosiły gotowość bojową. Mój szef i szczerze pański mister Roger Newbury jesteście serdecznie zaproszeni na siódmą trzydziści, żeby wyjaśnić czcigodnemu ministrowi spraw zagranicznych, dlaczego przeżywamy tu zlot helikopterów na brytyjskich rejestracjach, i jak długo wzmiankowane helikoptery zamierzają tu pozostać. - Newbury, niski, szczupły mężczyzna o piaskowożółtych włosach, niebieskich oczach i imponującym nosie, był

najwyraźniej zirytowany. - Cieszę się, że już dziewięć. Chcesz drinka?

- Dzięki. Trochę szkockiej z wodą sodową. Newbury zaczął przyrządzać napój.

- Szef i ja bylibyśmy głęboko usatysfakcjonowani, gdybyś poradził nam, co mamy powiedzieć ministrowi.

Gavallan zastanawiał się przez chwilę.

- Helikoptery znikną, gdy będziemy mogli je załadować na samoloty frachtowe.

- Kiedy to nastąpi? - Newbury podał Gavallanowi szklanę.

- Dziękuję. Samoloty mają tu być do osiemnastej. W niedzielę. Będziemy pracować przez całą noc i wyprawimy je w poniedziałek rano.

Newbury był wstrząśnięty.

- Czy nie możesz ich zabrać wcześniej?

- Zamówiłem frachtowce na jutro, ale spotkało mnie rozczarowanie. Dlaczego pytasz?

588

- Dlatego, stary, że kilka minut temu dotarł do nas przyjacielski, bardzo poważny przeciek informacji: jeśli helikoptery znikną przed jutrzejszym zachodem słońca, to może nie zostaną zasekwestrowane.

Teraz wstrząśnięty był Gavallan.

- To niemożliwe. Nie możemy tego zrobić w takim czasie.

- Sugeruję, że postąpiłbyś mądrze, sprawiając, by było to możliwe. Wywieź je do Omanu, Dubaju czy gdziekolwiek indziej.

- Jeśli... jeśli to zrobimy, pogrążymy się głębiej w bagnie.

- Nie sędzę, żebyście mogli pogrążyć się bardziej, niż już jesteście, stary. Nasz przeciek ujął

to tak, że jutro po zachodzie słońca będziecie tkwić w bagnie po czubki głów. - Newbury bawił się swoją szklanką, zawierającą lemon presse. Szlag by to wszystko trafił, pomyślał.

Wprawdzie musimy chronić nasze interesy i pomagać w ratowaniu tego, co da się wydobyć z tej irańskiej katastrofy, ale jednak powinniśmy myśleć bardziej perspektywicznie. Nie możemy wystawiać na ryzyko rządu Jej Królewskiej Mości. Poza tym moje plany weekendowe legły w gruzach. Powinienem teraz popijać z An-gelą przyjemny koktajl, a proszę, siedzę tu i chłepczę te pomyje. - Musicie stąd zabrać te maszyny.

- Czy mógłbyś załatwić nam odroczenie o czterdzieści osiem godzin? Wyjaśnić) iż frachtowce są już zaczar-terowane, ale że to musi być niedziela?

- Nawet tego nie proponuj, Andy. To by było przyznaniem się do winy.

- A czy możesz załatwić czterdziestoosmiogodzinne zezwolenie tranzytowe do Omanu?

Newbury skrzywił się.

- Zapytam szefa, ale nie załatwimy tego do jutra; jest już zbyt późno. Poza tym normalnie taka prośba byłaby odrzucona. Iran cieszy się tu całkiem sporą życzliwością. W końcu to oni pomogli w zgnieceniu komunistycznego powstania, wspieranego przez Jemen. Wątpię, czy będą chcieli urazić swego bardzo dobrego

589

przyjaciela, nawet jeśli obecna linia fundamentalistów ich nie zachwyca.

283

Gavallan poczuł, że robi mu się słabo.

- Lepiej już pójde. Sprawdzę, czy nie da się przyspieszyć przybycia samolotów albo wynająć innych.

- Dopił drinka i wstał. - Przepraszam za to wszystko.

Newbury także wstał.

- A ja przepraszam, że nie mogę być bardziej pomocny - powiedział szczerze. - Informuj mnie, a ja

będę ciebie.

- Oczywiście. Powiedziałeś, że mógłbyś przekazać wiadomość kapitanowi Yokkonenowi w Tebrizie?

- Na pewno spróbuję. Jaka to wiadomość?

- Po prostu przekaż ode mnie, że powinien... powinien jak najszybciej opuścić Iran jak najkrótszą drogą. Podpisz to, proszę: GHPLX Gavallan.

Newbury bez komentarza zanotował.

- GHPLX? - upewnił się.

- Tak. - Gavallan był pewien, że Erikki zrozumie, iż to jego nowy, brytyjski numer rejestracyjny. - On nie wie o... pewnych aspektach rozwoju sytuacji. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby twój człowiek mógł także wyjaśnić mu powody pośpiechu. Dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

- Tak, ja też uważam, że będzie lepiej i dla ciebie, i dla niego, jeśli wyjedzie jak najszybciej z Iranu, z helikopterem albo bez. Nie możemy mu w żaden sposób pomóc. Przykro mi, ale taka jest prawda. - Newbury bawił się szklanką. - On jest teraz dla ciebie bardzo poważnym zagrożeniem, prawda?

- Nie sądzę. Teraz chroni go nowy chan, jego szwagier. Nie można już chyba być bardziej bezpiecznym

- zapewnił Gavallan. Co by powiedział Newbury, gdyby wiedział o Tomie Locharcie? -

Erikki sobie poradzi. Zrozumie. Jeszcze raz dziękuję.

TEBRIZ - W SZPITALU MIĘDZYNARODOWYM, 18:24. Hakim-chan, pokonując ból, przeszedł do separatki; za nim podążali lekarz i strażnik. Hakim posługiwał się teraz kulami, dzięki którym mógł jakoś chodzić; kiedy jednak pochylał się lub , próbował usiąść, ból się nasilał, złagodzić go mogły tylko środki przeciwbólowe. Azadeh czekała na dole; wynik jej prześwietlenia był lepszy niż jego, ból mniejszy niż jego.

Ahmed leżał na łóżku, nie spał. Klatkę piersiową i brzuch spowijały bandaże. Operacja, polegająca na usunięciu kuli z piersi, przebiegła pomyślnie. Więcej szkody wyrządził pocisk, który trafił w brzuch. Ahmed stracił dużo krwi, a krwotok wewnętrzny znów się rozpoczął.

Ranny, na widok Hakim-chana, próbował się podnieść.

591

- Nie ruszaj się, Ahmedzie - powiedział łagodnie chan. - Lekarz mówi, że twój stan się poprawia.

- Ten lekarz kłamie, Wasza Wysokość.

Lekarz zaczął mówić, lecz przestał, gdy Hakim powiedział:

- Kłamie, czy nie, dochodź do zdrowia, Ahmedzie.

- Tak, Wasza Wysokość, z pomocą Boga. A pan, czy pan dobrze się czuje?

- Jeśli rentgen nie kłamie, mam tylko przerwane wiązadła. - Wzruszył ramionami. - Z pomocą Boga.

- Dziękuję... dziękuję za tę separatkę, Wasza Wysokość. Jeszcze nigdy nie miałem... takiego luksusu.

- To tylko znak tego, że doceniam twoją lojalność. - Władczym gestem odprawił lekarza i strażnika. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, zbliżył się do łóżka.

- Chciałeś ze mną rozmawiać, Ahmedzie?

284

- Tak, Wasza Wysokość, proszę mi wybaczyć, że nie mogłem... nie mogłem sam do pana przyjść. - Ah-med dławiał się, mówił z trudem. - Człowiek z Tbilisi, którego pan chce...

Sowiet... wysłał do pana wiadomość. Jest... jest pod szufladą... on ją przykleił tam, pod szufladą. - Z wysiłkiem wskazał małe biurko.

Hakimowi mocniej zabiło serce. Niezręcznie badał ręką wskazane miejsce; bandaże utrudniały mu ruchy rąk. Znalazł mały kwadracik złożonego papieru i wydobył go już bez trudu.

- Kto to przyniósł i kiedy?

- Dzisiaj... nie wiem, o której... nie jestem pewien, chyba dziś po południu. Nie wiem. On miał fartuch lekarski i okulary, ale nie był lekarzem. Ktoś z Azerbejdżanu, może Turek; nigdy go przedtem nie widziałem. Mówił po turecku. Powiedział tylko: „Dla Ha-kim-chana od przyjaciela z Tbilisi. Rozumiesz?” Powiedziałem: „Tak”, a on wyszedł równie szybko, jak wszedł. Przez długi czas myślałem, że to był sen...

Hakim nie rozpoznał charakteru pisma: Wiele, wiele gratulacji z okazji twojego dziedzictwa; obyś był tak długo i był tak pracowity jak twój przodek. Tak, ja także chciałbym się pilnie spotkać. Ale tutaj, a nie tam.

592

Przepraszam. Gdy tylko będziesz gotów, będę miał zaszczyt cię przyjąć, uroczystie lub prywatnie, wedle twojej woli. Powinniśmy być przyjaciółmi, jest wiele spraw do dokończenia, a my mamy wiele wspólnych interesów. Powiedz, proszę, Robertowi Armstrongowi i Haszemie-mu Fazirowi, że Jazernow został pogrzebany na cmentarzu rosyjskim w Żaleh i że oczekuję z niecierpliwością na spotkanie z nimi. Podpisu nie było.

Ogromnie rozczarowany, podszedł do łóżka i podał kartkę Ahmedowi.

- Co o tym myślisz?

Ahmed nie miał siły, żeby wziąć kartkę do ręki.

- Przepraszam, Wasza Wysokość, proszę potrzymać tak, żebym mógł przeczytać. - Po przeczytaniu powiedział: - To nie jest pismo Mzytryka. Poz... poznałbym jego pismo, ale to...

wierzę, że jest... że jest od niego. Na pewno przekazał to ktoś mniej ważny.

- Co to za Jazernow i o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem. To kod. Kod, który oni rozumieją.

- Czy to jest zaproszenie na spotkanie, czy groźba?

- Nie wiem, Wasza Wysokość, chyba chodzi o spotkanie... - Przeniknął go ból. Zaklął w swym ojczywym języku.

- Czy Mzytryk wie, że oni zastawili na niego pułapkę? Czy wie, że Abdollah-chan go zdradził?

- Ja... ja nie wiem, Wasza Wysokość. Mówiłem już, że on jest przebiegły, a chan, pański ojciec, bardz... był bardzo ostrożny, kiedy się z nim kontaktował. - Mówienie i koncentracja myśli bardzo osłabiły Ah-meda. - To, że Mzytryk wie, iż oni się z panem kontaktują... że są teraz tutaj, jeszcze nie znaczy... on ma całe tabuny swoich szpiegów. Jest pan chanem i oczywiście... oczywiście szpiegują pana bardzo różni ludzie, źli ludzie, którzy składają raporty swoim zwierzchnikom... jeszcze gorszym ludziom. - Ahmed uśmiechnął się, a Hakim zastanowił się nad znaczeniem tego uśmiechu. - Ale pan wie, jak ukrywać swe prawdziwe zamierzenia, Wasza Wysokość. Nie od razu... nie

593

od razu Abdollah-chan domyślił się, co pan umie, nie od razu. Gdyby wiedział choć w jednej setnej, kim pan naprawdę jest... naprawdę, nigdy by pana nie wygnał, ale mianował...

mianował swoim dziedzicem i głównym doradcą.

- Raczej by mnie udusił. - Nawet przez ułamek sekundy nie kusilo Hakim-chana, żeby powiedzieć Ah-medowi, iż nasłał na Erikkiego zabójców, ale Fin ich zabił, albo o próbie 285

otrucia, która także zawiodła. - Tydzień temu kazałby mnie poćwiartować, a ty wykonałbyś ten rozkaz z przyjemnością.

Ahmed spojrzał na chana głęboko osadzonymi oczami, w których czaiła się śmierć.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Wola Boga.

Życie Ahmeda zaczęło odpływać. Obaj o tym wiedzieli.

- Pułkownik Fazir - powiedział Hakim - pokazał mi teleks dotyczący Erikkiego. - Przekazał

Ahmedowi jego treść. - Teraz nie mam już Mzytryka na wymianę; nie natychmiast. Mogę wydać Erikkiego Fazirowi albo pozwolić mu uciec. W obu wypadkach moja siostra musi tu zostać; nie może mu towarzyszyć. Co radzisz?

- Bezpieczniej dla pana byłoby wydać niewiernego pułkownikowi jako piszkesz, a przed nią udawać, że nie mógł pan zapobiec temu... aresztowaniu. Zresztą rzeczywiście nie może pan, jeśli pułkownik naprawdę tego chce. Olbrzym z Nożem... będzie stawiał opór i zostanie zabity. Potem może pan obiecać ją temu z Tbilisi... Ale nigdy jej nie dać i w ten sposób... w ten sposób panować nad nim... ale wątpię w to.

- A jeśli Olbrzymowi z Nożem „uda się” uciec?

- Jeśli pułkownik na to pozwoli... trzeba będzie zapłacić.

- Czym?

- Mzytryk. Teraz albo kiedyś... kiedyś w przyszłości. Dopóki Olbrzym żyje, Wasza Wysokość, ona się z nim nie rozwiedzie - zapomni o sabotażyście, to było w innym życiu - a kiedy miną dwa lata, ona do niego

594

pojedzie, to znaczy, jeśli... jeśli on jej w ogóle pozwoli tu zostać. Wątpię, czy nawet Wasza Wysokość... - Ahmed zamknął oczy i zadrżał.

- Co się stało z Bajazidem i bandytami? Ahmed... Ahmed nie słyszał. Widział teraz stepy, ogromne

równiny swej ojczyzny, swych przodków, morza traw, z którego wypadli jego przodkowie u boku Dżyn-gis-chana, a potem jego wnuka Kublaj-chana i jego brata Hulagu-chana, który wkroczył do Persji, żeby wznieść całe góry czaszek tych, którzy się mu sprzeciwiali. Tutaj, na tych złotych od pradawnych czasów ziemiach, myślał Ahmed, w krainie wina, ciepła, bogactwa i zmysłowych kobiet o sarnich oczach, cenionych od starożytnych czasów, jak Azadeh... ach, już nie wezmę jej tak, jak powinna być wzięta, wyciągnięta za włosy z brudów wojny, przerzucona przez siodło, potem poskromiona i wzięta na wilczych skórach... Jakby z oddali usłyszał własny głos:

- Proszę, Wasza Wysokość, błagam o łaskę, chciałbym być pogrzebany w mojej ziemi, według naszych obyczajów...

Potem będę żył wiecznie z duchami mych ojców, pomyślał; ukochana kraina go przyzywała.

- Ahmed, co się stało z Bajazidem i bandytami, gdy wylądowaliście?

Ahmed z wysiłkiem powrócił do rzeczywistości.

- Oni nie byli Kurdami, tylko koczownikami udającymi Kurdów. Olbrzym z nożem pozabijał ich wszystkich, Wasza Wysokość. Bardzo brutalnie - dodał dziwnie oficjalnym tonem. - W swym szaleństwie pozabijał ich wszystkich: nożem, pistoletem, rękami, stopami i zębami.

Wszystkich, z wyjątkiem szejka, który, z powodu przysięgi, nie wystąpił przeciwko niemu.

- Pozostawił go przy życiu? - zapytał z niedowierzaniem Hakim.

- Tak, Bóg mu wybaczy. On... włożył mi pistolet do ręki i trzymał Bajazida na muszce, a ja...

- Głos ucichł; przed oczami falujące trawy, aż po horyzont...

- Ty go zabiłeś?

595

- O, tak, patrząc... patrząc mu w oczy. - W głosie Ahmeda zabrzmiał gniew. - Ten syn psa strzelił mi w plecy, dwukrotnie... bez honoru, psi syn, bez honoru i... i nieludzko... syn psa. -

286

Pozbawione krwi wargi uśmiechnęły się; Ahmed zamknął oczy. Umierał szybko; słowa trudno było zrozumieć. - Zemściłem się.

- Ahmed, czego mi nie powiedziałaś, o czym powinienem wiedzieć? - rzucił szybko Hakim.

- Nic... - Na chwilę otworzył oczy, a Hakim spojrzał w ich otchłań. - Nie ma Boga... nie ma innego Boga... tylko Bóg i... - Z kącika ust pociekła krew. - To ja uczyniłem cię cha... -

Ostatnie słowo skonało razem z nim.

Hakim poczuł się niepewnie wobec szklistych oczu zmarłego.

- Doktorze! - zawołał.

Lekarz natychmiast wszedł. I strażnik. Doktor zamknął zmarłemu oczy.

- Wedle woli Boga. Co mamy zrobić z ciałem, Wasza Wysokość?

- A co robicie zwykle z ciałami?

Hakim wziął szczudła i wyszedł. Strażnik za nim. A więc, Ahmedzie, myślał, więc jesteś już martwy, a ja jestem sam, odcięty od przeszłości i bez zobowiązań wobec kogokolwiek.

Zrobiłeś mnie chanem? To chciałeś powiedzieć? Czy wiedziałeś, że w tym pokoju także nas podsłuchiwano?

Uśmiechnął się nieznacznie. Potem spoważniał. Teraz pułkownik Fazir i Erikki, Olbrzym z Nożem, jak go nazwałeś.

W PAŁACU, 18:48. W gasnącym świetle dnia Erikki starannie zaklejał przezroczystą taśmą jedną z dziur po kulach w plastikowej szybie 212. Temblak krępował ruchy, lecz dłoń była silna, a rana przedramienia płytka. Ani śladu infekcji. Ucho pokrywała gruba warstwa plastra; część włosów zgolono. Erikki szybko dochodził do zdrowia. Miał dobry apetyt.

Wielogodzinna rozmowa z Azadeh nieco go uspokoiła.

596

Tylko trochę, pomyślał. Nie wystarczy, żeby zapomnieć o zabójstwach i o tym, jak jestem niebezpieczny. Trudno. Takim stworzyli mnie bogowie i taki już jestem. Tak, ale co z Rossem i Azadeh? Dlaczego nie rozstaje się z kukri?

- To podarunek dla ciebie, Erikki, dla ciebie i dla mnie.

- Przynosi pecha, jeśli daje się mężczyźnie nóż, nie biorąc od razu w zamian pieniędzy, choćby" symbolicznych. Gdy go spotkam, dam pieniądze i przyjmę podarunek.

Znów spróbował włączyć starter i znów silnik kaszlnął, zadławił się i ucichł. Co z Rossem i Azadeh?

Usiadł na krawędzi kokpitu i spojrzał w niebo. Niebo nie udzieliło odpowiedzi. Na zachodzie zza chmur wyrzało słońce. Muezzini zaczęli wzywać wiernych do modlitwy. Strażnicy pilnujący bramy zwrócili się w kierunku Mekki i zgięli w pokłonie; podobnie ludzie w obrębie murów, pracujący na polach, w fabryce dywanów i w zagrodach dla owiec.

Erikki nieświadomie położył rękę na nożu. Odruchowo sprawdził, że sten tkwi za siedzeniem pilota i jest załadowany. W kabinie leżała w ukryciu inna broń, broń koczowników: kilka AK-47 i M-16. Nie pamiętał, żeby ją tam chował; odkrył karabiny rano, gdy szukał

uszkodzeń i czyścił wnętrze.

Z powodu plastra na uchu nie usłyszał zbliżającego się samochodu tak szybko, jak usłyszałby zwykle; zaskoczyło go pojawienie się pojazdu w bramie. Strażnicy chana, poznając kierowcę i pasażera, przepuścili samochód, który wjechał i zatrzymał się na wielkim dziedzińcu koło fontanny. Erikki znów włączył starter. Silnik przez chwilę pracował, a potem zaczął dygotać i zgasł.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedzieli Haszeni Fazir i Armstrong. - Jak się pan czuje? -

zapytał pułkownik.

- Dobry wieczór. Przy odrobinie szczęścia za jakiś tydzień będę w lepszym stanie niż kiedykolwiek przed-597

tern - odpowiedział uprzejmie Erikki, starając się skoncentrować uwagę.

287

- Strażnicy powiedzieli, że Ich Wysokości jeszcze nie powrócili; chan się nas spodziewa, jesteśmy tu na jego zaproszenie.

- Są w szpitalu, na prześwietleniu. Wyjechali, kiedy spałem. Niedługo powinni wrócić. -

Erikki spojrzał na przybyszów. - Może drinka? Jest wódka, whisky i herbata, no i oczywiście kawa.

- Dziękujemy - odparł Haszemi. - Co z helikopterem?

- Chory - odparł smętnie. - Od godziny próbuję włączyć silnik. Miał ciężki tydzień. - Erikki prowadził gości po marmurowych schodach. - Rozregulowała się elektronika. Bardzo mi potrzebny mechanik. Jak wiecie, nasze bazy są zamknięte. Chciałem zadzwonić do Teheranu, ale telefony znów nie działają.

- Może mógłbym załatwić mechanika z bazy lotniczej na jutro lub pojutrze.

- Naprawdę, pułkownika? - Uśmiechnął się z wdzięcznością. - To by bardzo pomogło.

Potrzebuję też paliwa; dałoby się załatwić?

- Doleciałby pan do lotniska?

- Nie mogę tak ryzykować, nawet gdyby silnik zapalił. Nie, to zbyt niebezpieczne. - Erikki pokręcił głową. - Mechanik musi przyjechać tutaj. - Poprowadził przybyłych korytarzem; otworzył drzwi do małego salonu na parterze, który Abdollah-chan rezerwował dla nieislamskich gości. Salonik zwano Pokojem Europejskim. Bar był dobrze zaopatrzony. W

lodówce dużo lodu, zrobionego z butelkowanej wody, woda sodowa i różne napoje bezalkoholowe. Poza tym czekolada i chałwa, którą chan uwielbiał. - Ja piję wódkę -

powiedział Erikki.

- Dla mnie to samo - rzekł Armstrong. Haszemi poprosił o coś bez alkoholu.

- Ja też napiję się wódki, ale po zachodzie słońca. Z oddali dobiegało jeszcze nawoływanie muezzinów.

598

- Prosit! - Erikki stuknął się szkłem z Armstron-giem i, z grzeczności, także z Haszemim.

Wypił cały kieliszek jednym haustem. Nalał sobie następnym. - Proszę się obsłużyć, panie nadinspektorze.

Na odgłos silnika samochodu wszyscy wyrzeli przez okno. To był rolls.

- Przepraszam na chwilę, powiem Hakimowi, że panowie tu jesteście. - Erikki wyszedł; powitał Azadeh i szwagra na schodach. - Jakie wyniki?

- Żadne z nas nie ma uszkodzonych kości. - Azadeh była szczęśliwa i beztraska. - Jak się czujesz, kochanie?

- Świetnie. To wspaniale, że wam też nie dolega nic poważnego, wspaniale! - Uśmiechnął się szczerze do Hakima. - Bardzo się cieszę. Masz gości: pułkownika i nadinspektora Armstronga. Zaprowadziłem ich do Pokoju Europejskiego. - Erikki dostrzegł zmęczenie Hakima. - Może powiem, żeby przyjechali jutro?

- Nie, flie, dziękuję. Azadeh, powiedz im, żeby czuli się jak u siebie w domu, i że będę za piętnaście minut. Zobaczymy się później, na kolacji. - Hakim patrzył, jak siostra dotyka Erikkiego, uśmiecha się i odchodzi. Jak bardzo są szczęśliwi; tak się kochają. I jakie to smutne. - Erikki, Ahmed zmarł. Nie chciałem mówić o tym Azadeh.

Erikki spoważniał.

- To moja wina. Ten Bajazid nawet nie dał mu szansy.

- Wola Boga. Chodźmy, musimy przez chwilę porozmawiać. - Hakim ruszył korytarzem w stronę Wielkiej Sali, opierając się coraz mocniej na kulach. Strażnicy stali przy drzwiach, poza zasięgiem głosu. Hakim wszedł do wnęki, odłożył kule, zwrócił się przodem do Mekki, syknął z bólu, gdy klękał. Spróbował się pokłonić. Nie udało się. Musiał poprzestać na zmówieniu szahady. - Erikki, pomóż mi, dobrze?

Erikki podniósł go z łatwością.

- Lepiej daj temu spokój przez kilka dni.

288

- Nie modlić się? - Hakim spojrzał zdumiony.

599

- Miałem na myśli... Chyba Jedyne Bóg zrozumie, jeśli powiesz to, co trzeba, bez klękania.

To może ci zaszkodzić. Czy lekarz powiedział, co ci właściwie dolega?

- On uważa, że to przerwanie wiązań. Gdy tylko będę mógł, pojedę do Teheranu razem z Azadeh. Pójdziemy do specjalisty. - Hakim przyjął kule. - Dziękuję.

Po chwili wahania zrezygnował ze zwykłych poduszek i usiadł na krześle. Usadowił się jak najwygodniej i zamówił herbatę.

Erikki myślał o Azadeh. Tak mało czasu!

- Najlepszym na świecie specjalistą od kręgosłupa jest Guy Beauchamp z Londynu. Postawił mnie na nogi w ciągu pięciu minut, podczas gdy inni lekarze mówili, że przez trzy miesiące muszę leżeć na wyciągu, żeby wyleczyć stawy. Nie wierz zwykłemu lekarzowi, Haki-mie.

Najwyżej da ci jakieś środki znieczulające.

Otworzyły się drzwi. Służący przyniósł herbatę. Hakim odprawił jego i strażników.

- Dopilnujcie, żeby nam nie przeszkadzano. - Herbata była gorąca, słodka, z miętą. Nalano ją do małych srebrnych filiżanek. - Teraz musimy ustalić, co powinieneś zrobić. Nie możesz tu zostać.

- Zgoda - odparł Erikki. Cieszył się, że czekanie ma już poza sobą. - Wiem, że... że jestem kłopotliwy dla ciebie jako chana.

- Jednym z warunków przywrócenia nas do łask i mianowania mnie chanem było złożenie przysięgi, że zostaniemy w Tebrizie, w Iranie, przez dwa lata. Tak więc, ty musisz wyjechać, a ona nie może.

- Powiedziała mi o przysiędze.

- Ty jesteś w niebezpieczeństwie, nawet tutaj. Nie mogę ochronić cię przed policją ani władzami. Powinieneś od razu wyjechać, uciec stąd. Po dwóch latach Azadeh będzie mogła do ciebie dołączyć.

- Nie mogę teraz lecieć. Fazir powiedział, że może dać mi mechanika jutro. Być może. I jeszcze paliwo. Gdybym złapał NcIvera w Teheranie, kogoś by mi przysłał.

600

- Próbowałeś?

- Tak, ale telefony nie działają. Mógłbym skorzystać z krótkofalówki w naszej bazie, ale tam wszystko jest zrujnowane. W drodze powrotnej przelatywałem nad bazą: żadnych środków transportu, żadnych beczek z paliwem. Gdy dostanę się do Teheranu, NcIver przyśle mechanika. Czy 212 może tu na razie zostać?

- Tak, oczywiście. - Hakim dolał sobie herbaty. Był już pewien, że Erikki nie wie nic o ucieczce, o innych pilotach i helikopterach. Ale to niczego nie zmienia, powiedział sobie w duchu. - Żadne linie lotnicze nie obsługują Tebrizu; może mógłbym załatwić jakiś lot. Nadal jednak uważam, że powinieneś wyjechać natychmiast. Zagraża ci poważne, bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Erikki zmrużył oczy.

- Wiesz na pewno?

- Tak.

- Co to jest?

- Nie mogę ci powiedzieć, ale ja nad tym nie panuję, to jest poważne i grozi już. Na razie nie dotyczy Azadeh, ale mogłoby, gdybyśmy nie byli ostrożni. Dla jej dobra to musi pozostać między nami. Dam ci samochód; weź z garażu, który chcesz. Tam jest chyba ze dwadzieścia.

Co się stało z twoim range roverem?

Erikki wzruszył ramionami.

- To kolejny problem: zabicie tego matierjebca, który zabrał dokumenty moje i Azadeh.

Potem jeszcze Rakoczy załatwił innych.

289

- Zapomniałbym raczej o Rakoczym - naciskał Hakim. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Erikki pokręcił głową, żeby usunąć napięcie mięśni karku i złagodzić ból.

- Jak szybko coś się może zdarzyć? Hakim patrzył w dół.

- Na tyle szybko, że radzę ci, abyś poczekał do zmroku, zabrał samochód i odjechał, a potem wydostał się jak najszybciej z Iranu. - Bardzo szybko, bo jeśli tego nie zrobisz, Azadeh będzie jeszcze bardziej cier-601

pięć. Tak szybko, byś nie zdążył jej tego powiedzieć przed wyjazdem.

- Przysięgasz?

- W obliczu Boga przysięgam, że tak właśnie uważam.

Dostrzegł wyraz twarzy Erikkiego i cierpliwie czekał.

- Czy możesz wyjechać, nie mówiąc jej o tym?

- Jeśli to nastąpi w nocy, bliżej świtu, gdy będzie mocno spała. Gdybym wyjechał

wieczorem, udając, że jadę, powiedzmy, do bazy, będzie na mnie czekać. Jeśli nie wrócę, będzie to trudne dla niej i dla ciebie. Prześladowają ją wspomnienia z wioski; wpadnie w histerię.

Mądrzej będzie odjechać potajemnie, najlepiej przed świtem. Będzie wtedy spała; lekarz dał

jej środki uspokajające. Ona będzie spała, a ja zostawię dla niej wiadomość.

Hakim, usatysfakcjonowany, skinął głową.

- Zatem postanowione. - Nie chciał ani ranić Aza-deh, ani narażać się na kłopoty z jej strony.

Erikki usłyszał w głosie chana twardą nutę. Wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że jeśli zostawi teraz Azadeh, straci ją na zawsze.

W ŁAŻNI, 19:15. Azadeh zanurzyła się po szyję w gorącej wodzie. Wanna o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych, wyłożona pięknymi kafelkami, z jednej strony była tak płytka, że można było się położyć. Gorąca woda dopływała z sąsiadującego z łazienką obszernego pomieszczenia z piecem. Ciepły, wesoły pokój ze stylowymi lustrami. Azadeh miała włosy owinięte ręcznikiem. Spoczywała, z wyciągniętymi nogami, na wygodnym, wyłożonym kafelkami oparciu. Woda działała na nią uspokajająco.

- Och, jak przyjemnie, Mino - mruknęła.

Mina była silną, przystojną kobietą, jedną z trzech służących Azadeh. Stała nad nią w wodzie, tylko w przepasce na biodrach; masowała jej ramiona i kark. Poza nimi w łaźni nie było nikogo: Hakim wysłał resztę rodziny do innego domu w Tebrizie, jak powiedział,

„w celu przygotowania Dnia Żałoby dla Abdollah-cha-na". Wszyscy wiedzieli jednak, że te czterdzieści dni miało dać mu czas na przegląd pałacu i dokonanie nowego przydziału pomieszczeń w taki sposób, jaki mu odpowiadał. Nie ruszono tylko starej Chanan, Aiszy i dwójki jej dzieci.

Mina łagodnie przesunęła Azadeh na płytszą wodę, w miejsce, w którym Azadeh mogła leżeć z głową opartą wygodnie o poduszkę. Teraz służąca zajęła się jej piersiami, biodrami, udami i łydkami, przygotowując panią do późniejszego prawdziwego masażu - z użyciem oliwy, gdy ciepło wody wniknie głębiej w ciało.

- Och, jak przyjemnie - powtórzyła Azadeh. O ileż to przyjemniejsze od naszej sauny, myślała, od nieznośnego gorąca, a potem szoku w zetknięciu ze śniegiem. Sauna odświeżała i wlewała w nią życie, ale nie mogła się równać ze zmysłowością perfumowanej wody, ze spokojem i wypoczynkiem bez żadnych wstrząsów i... och, jak dobrze... Ale dlaczego łaźienka zamieniła się w placyk w wiosce i jest tak zimno, i stoją rzeźnik i fałszywy mułła.

Krzyczą: „Najpierw jego prawa ręka... ukamienować nierządnicę!" Cicho jęknęła i odsunęła się gwałtownie.

- Och, zabołało panią, Wasza Wysokość, tak mi przykro!

- Nie, to nie ty, Mino, to nic, nic, proszę, rób tak dalej.

Znów kojący dotyk palców. Serce Azadeh zaczęło bić spokojnie. Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła spać bez... bez wioski. Poprzedniej nocy, z Erikkim, było już trochę lepiej; w jego 290 ramionach czuła się pewniej, wystarczała bliskość męża. Może dziś też nie będzie źle.

Ciekawe, co teraz robi Johnny? Chyba jedzie do domu, na urlop do Nepalu. Teraz, gdy Erikki wrócił, jestem znów bezpieczna, przynajmniej dopóty, dopóki jestem z nim, obok niego. Bez Erikkiego nie jestem... nie jestem bezpieczna, nawet z Hakimem. Wcale nie czuję się bezpiecznie. Po prostu wcale nie czuję się bezpiecznie.

602

603

Otworzyły się drzwi i weszła Aisza. Jej twarz była naznaczona smutkiem, w oczach czaił się strach. Czarny czador sprawiał, że wyglądała na jeszcze bardziej wymi-zerowaną.

- Witaj, Aiszo, kochanie. O co chodzi?

- Nie wiem. Świat jest taki dziwny, a ja nie mam... nie mam punktu oparcia.

- Chodź do wanny - zaprosiła ją Azadeh. Żałowała jej, tak wychudzonej, kruchej i bezbronnej. Aż trudno uwierzyć, że to wdowa po moim ojcu, że ma syna i córkę i tylko siedemnaście lat. - Wejdź do wody! Jest bardzo dobra!

- Nie, nie, dziękuję, ja... ja tylko chciałam z tobą porozmawiać.

Aisza spojrzała na Minę, która czekała ze spuszczonej oczami. Zaledwie dwa dni wcześniej mogłaby po prostu posłać po Azadeh, która musiałaby przyjść natychmiast, uklonić się i czekać na kolanach na polecenia. Teraz role się odwróciły. Wedle woli Boga, pomyślała.

Gdyby nie strach o przyszłość moich dzieci, krzyczałabym z radości. Koniec z tym ohydny zapachem, koniec z wrywającym ze snu odgłosem chrapania, koniec z jego gniotącym ciężarem, z jękami i gniewem, i biciem, i z desperackim pragnieniem osiągnięcia tego, co mógł osiągnąć, ale rzadko. „To twoja wina, twoja wina, twoja wina”... Jak to mogło być moją winą? Ileż razy błagałam go, żeby powiedział, jak mu pomóc. Próbowałam, próbowałam i próbowałam, a tak rzadko mu się udawało. Potem chrapanie, a ja leżałam spocona w tym smrodzie. Och, ileż razy chciałam umrzeć!

- Mino, zostaw nas same, aż cię- zawołam - poleciała Azadeh. Służąca natychmiast usłuchała.

- O co chodzi, Aiszo, kochanie?

Dziewczyna zadygotała.

- Boję się. Boję się o mojego syna. Przyszłam cię błagać, żebyś go chroniła.

- Nie masz się czego obawiać ze strony Ha-kim-chana i mnie - odpowiedziała łagodnym głosem

604

Azadeh. - Niczego. Przysięgliśmy przecież na Boga, że będziemy się opiekować tobą, twoim synem i córką. Słyszałaś przecież. Zrobiliśmy to przy... przy twoim mężu, naszym ojcu, a potem

powtórzyliśmy po jego śmierci. Nie masz się czego bać, naprawdę.

- Muszę się bać wszystkiego. - Dziewczyna jąkała się z przejęcia. - Nie jesteśmy już bezpieczni, ani ja, ani mój syn. Proszę, Azadeh, czy Hakim-chan nie mógłby... nie mógłby...

Mogę podpisać każdy dokument, że zrzekam się praw, każdy dokument. Chcę tylko żyć w spokoju i żeby mój syn rósł w spokoju.

- Będziesz żyć z nami, Aiszo. Wkrótce przekonasz się, jak szczęśliwi będziemy wszyscy razem - powiedziała Azadeh. Rzeczywiście, dziewczyna ma się czego obawiać, pomyślała.

Hakim na pewno nie odda chanatu, jeśli będzie miał własnych synów. Musi się teraz ożenić, a ja muszę pomóc mu znaleźć dobrą żonę. - Nie martw się, Aiszo.

- Nie martwić się? Ty jesteś już bezpieczna, Azadeh, ty, która jeszcze kilka dni temu żyłaś w strachu. Teraz ja jestem zagrożona, i ja się boję.

Azadeh patrzyła na nią. Nie było niczego, co mogłaby dla niej zrobić. Życie Aiszy było już określone. Zostanie w pałacu, pilnie strzeżona, będzie żyła najlepiej, jak potrafi. Hakim nie pozwoli jej na powtórne zamążpójście ani na formalne zrzeczenie się praw jej syna, przyznanych publicznie przez umierającego męża.

- Nie martw się - powtórzyła.

291

- Proszę. - Aisza wyjęła spod czadom grubą, brunatną kopertę. - To twoje.

- Co to jest?

Azadeh miała mokre ręce i nie chciała dotykać papieru. Dziewczyna otworzyła kopertę i pokazała jej zawartość. Azadeh otworzyła szerzej oczy. Jej paszport, dowód tożsamości, inne dokumenty, także Erikkiego. Wszystko, co zabrał im mudżaheddin przy zaporze drogowej.

To ci dopiero piszkesz!

- Skąd to masz?

605

Dziewczyna była pewna, że nikt nie podsłuchuje, lecz na wszelki wypadek zniżyła głos.

- Ten lewicowy mułła, ten z wioski, dał to Jego Wysokości Abdollah-chanowi dwa tygodnie temu, gdy byłaś w Teheranie... Ten sam mułła, co w wiosce.

Azadeh spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Skąd on to miał?

Dziewczyna nerwowo wzruszyła ramionami.

- Mułła wiedział wszystko o zaporze drogowej i o tym, co tam zaszło. Przyszedł tu, żeby spróbować dostać... twojego męża. Jego Wysokość... - Zawahała się, a potem ciągnęła urywanym szeptem: - Jego Wysokość powiedział mu, że nie, że nie, dopóki on tego nie zatwierdzi. Odesłał go, a papiery zatrzymał.

- Czy masz jakieś inne papiery, Aiszo? Prywatne?

- Żadnych twoich czy twojego męża. - Znów zadrżała. - Jego Wysokość tak bardzo cię nienawidził.... Chciał zniszczyć twojego męża, ciebie oddać Sowietowi, a twojego brata...

zneutralizować. Tyle tylko wiem z tego, co może ci pomóc; tak wielu spraw nie rozumiem.

Ahmed... strzeż się go, Azadeh.

- Taaak - powiedziała powoli Azadeh. - Czy to ojciec wysłał mułłę do wioski?

- Nie wiem, chyba tak. Słyszałam, jak prosił Sowie-ta, żeby wydał polecenia... ach tak, Mahmudowi, tak się nazywał ten fałszywy mułła. Być może Jego Wysokość wysłał go tam, żeby zamęczył ciebie i sabotażystę, a potem spotkał swą własną śmierć. Ale Bóg temu przeszkodził. Słyszałam, jak Sowiet zgadzał się wysłać człowieka za tym Mahmudem.

- W jaki sposób udało ci się to usłyszeć? - zapytała Azadeh obojętnym tonem.

Aisza nerwowym gestem owinęła się ciasniej czado-rem i uklękła na brzegu wanny.

- Cały pałac jest jak plaster miodu, Azadeh. Wszędzie otwory do podsłuchiwania i podglądania. On... Jego Wysokość nikomu nie wierzył. Szpiegował wszystkich, nawet mnie.

Myślę, że powinniśmy być przyjaciółkami, sprzymierzeńcami, ty i ja. Jesteśmy bezbronne, 606

nawet ty, a ty może nawet bardziej niż inni. Jeśli sobie nie pomożemy, wszyscy będziemy zgubieni. Mogę ci pomóc, ochraniać cię. - Na czole wystąpiły jej krople potu. - Proszę cię tylko, żebyś chroniła mojego syna. Proszę. Ja mogę chronić ciebie.

- Oczywiście, powinniśmy być przyjaciółkami - powiedziała Azadeh. Nie wierzyła, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, ale intrygowały ją tajemnice pałacu. - Pokażesz mi te tajne miejsca i podzielisz się swoją wiedzą?

- O tak, tak, oczywiście. - Twarz dziewczyny pojaśniała. - Pokażę ci wszystko, a dwa lata miną prędko. Och, tak, będziemy przyjaciółkami.

- Jakie dwa lata?

- Kiedy nie będzie twojego męża, Azadeh. Azadeh uniosła się na łokciach.

- On wyjeżdża?

Aisza wlepiła w nią zdumione spojrzenie.

- Oczywiście. Cóż innego mógłby zrobić?

W POKOJU EUROPEJSKIM. Haszemi wręczył Robertowi Armstrongowi nabazgraną wiadomość od Mzy-tryka, którą dał mu właśnie Hakim-chan. Armstrong spojrział na kartkę.

- Przykro mi, Haszemi, nie znam tureckiego.

292

- Ach, przepraszam, zapomniałem. - Przetłumaczył wiadomość na angielski. Obaj mężczyźni dostrzegli rozczarowanie Armstronga. - Dostaniemy go kiedy indziej, Robercie. In sza a Allah.

Nie ma zmartwienia, pomyślał Armstrong. I tak wiedziałem już, że nic z tego nie będzie.

Dostanę Mzyt-ryka kiedy indziej. Dostanę jego i ciebie, stary przyjacielu Haszemi. Paskudnie postąpiłeś, zabijając Talbota. Dlaczego to zrobiłeś? Zemsta? Znał zbyt wiele twoich tajemnic?

Nie wyrządził ci żadnej krzywdy. Przeciwnie, usunął z drogi wiele przeszkód i naprawił wiele twoich błędów. Paskudnie! Nie dałeś mu żadnej szansy, dlaczego ja miałbym dać szansę tobie? Doczekasz się, gdy tylko załatwię sobie przerzut z Iranu. Nie mam już na co 607

czekać teraz, kiedy Mzytryk wie, że go szukam i śmieje się po bezpiecznej stronie granicy.

Może szef wyśle do Tbilisi Oddział Specjalny albo zespół Specjalnego Lotnictwa, teraz, gdy już wiemy, gdzie się ukrywa. Ktoś dosięgnie sukinsyna, jeśli nie uda się mnie...

Słowa Hakim-chana wyrwały go z zamyślenia.

- Pułkowniku, o co chodzi z tym Jazernowem i cmentarzem w Żaleh?

- To zaproszenie, Wasza Wysokość. Jazernow jest pośrednikiem, którym Mzytryk czasami się posługuje, możliwym do przyjęcia dla obu stron; chodzi o sytuację, kiedy strony te muszą omówić coś ważnego - poinformował gładko Haszemi.

Armstrong z trudem opanował śmiech, gdyż Haszemi wiedział równie dobrze jak on sam, że chodzi o zapowiedź osobistej wendety i oczywiście o Paragraf 16/a. Mzytryk postąpił

sprytnie, nie używając nazwiska Rakoczy.

- Trzeba jak najszybciej spotkać się z Jazernowem! - oświadczył Fazir. - Sądzę, Wasza Wysokość, że powinniśmy wrócić jutro do Teheranu.

- Tak - odparł Hakim. W drodze powrotnej ze szpitala uznał, że jedynym sposobem zajęcia się wiadomością Mzytryka i tymi tu ludźmi jest zmierzanie prosto do celu. - Kiedy wrócicie do Tebrizu?

- W przyszłym tygodniu, jeśli to panu odpowiada. Możemy wtedy zastanowić się, jak ściągnąć tu Mzytryka. Z pańską pomocą, w Azerbejdżanie jest wiele do zrobienia. Właśnie otrzymaliśmy meldunek, że Kurdowie otwarcie rozpoczęli powstanie w okolicach Rezaije.

Dostali dużo pieniędzy i broni od Irakijczyków, oby Bóg ich pokarał. Chomeini polecił armii zgnieść ich raz na zawsze.

- Kurdów? - Hakim uśmiechnął się. - Nawet on, oby Bóg obdarzył go zdrowiem, nawet on tego nie dokona. Nie od razu i nie ostatecznie.

- Tym razem może się powieść, Wasza Wysokość. Przeciwno fanatykom może wysłać fanatyków.

608

- Zielone Opaski mogą polec zgodnie z rozkazem, ale nie opanują tych gór. Nie są tak wytrzymali jak Kurdowie, i na drodze do rajy nie pożądamy tak ziemskiej wolności.

- Za pańskim pozwoleniem, przekażę tę uwagę, Wasza Wysokość.

- Czy nie zostanie ona zlekceważona, tak jak rady mojego ojca i dziada, którzy mówili to samo? - spytał ostro Hakim.

- Mam nadzieję, że tak nie będzie, Wasza Wysokość. Mam nadzieję...

Dalsze słowa utonęły w hałasie silnika 212, który zapalił, pracował przez chwilę i zgasł.

Zobaczyli przez okno, że Erikki otwiera pokrywę i ogląda w świetle latarki mechanizm silnika. Fazir odwrócił się z powrotem do siedzącego sztywno na krześle chana. Cisza zaczęła ciążyć. Wszyscy trzej mężczyźni gorączkowo rozmyślali.

- On nie może być aresztowany w moim domu czy na moim terenie - powiedział ostrożnie Hakimchan.

- Choć nie wie o teleksie, zdaje sobie sprawę, że nie może zostać w Tebrizie ani w Iranie.

Wie też, że moja siostra nie może z nim pojechać ani też opuścić Iranu przez dwa lata. Wie, 293

że on sam musi wyjechać natychmiast. Jego maszyna nie lata. Mam nadzieję, że uniknie aresztowania.

- Mam związane ręce, Wasza Wysokość. - Haszemi mówił tak, jakby się usprawiedliwiał; starał się, by jego słowa brzmiały szczerze. - Muszę przestrzegać prawa.

- Dostrzegł na swym rękawie jakiś pyłek i go strzepnął. Armstrong od razu zrozumiał sygnał.

Pyłek na lewym rękawie oznaczał: „Muszę porozmawiać z tym człowiekiem na osobności; on nie będzie mówił przy tobie. Wymyśl jakąś wymówkę i poczekaj na zewnątrz”. Fazir powtórzył, starannie pozorując smutek: - Naszym obowiązkiem jest przestrzeganie prawa.

- Jestem pewien, zupełnie pewien, że on nie brał udziału w żadnym spisku, i że nie wie nic o innych pilotach. Chciałbym, żeby mógł spokojnie wyjechać.

609

- Z przyjemnością poinformuję SAVAMA o pańskim życzeniu.

- Byłbym zadowolony, gdyby zrobił pan to, co sugeruję.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale sprawa kapitana mnie nie dotyczy i nie chciałbym się do tego wtrącać... - odezwał się Armstrong.

- Tak, oczywiście, może pan odejść, panie nadinspektorze. Kiedy otrzymam pański raport na temat nowych rozwiązań w zakresie bezpieczeństwa?

- Doręczy go panu pułkownik, gdy wróci.

- Pokój z panem.

- I z panem, Wasza Wysokość.

Armstrong wyszedł i ruszył w kierunku schodów. Haszemi usmaży biednego sukinsyna, pomyślał.

Wieczór był bardzo przyjemny, powietrze rześkie, niebo przybrało czerwony odcień na zachodzie. Czerwień o zachodzie - pasterz wie o pogodzie; czerwień o wschodzie - trzyma owce w zagrodzie.

- Dobry wieczór, kapitanie. Mówiąc między nami: gdyby pański wehikuł działał, doradzałbym szybką wycieczkę do granicy.

Erikki spojrzał uważnie.

- Dlaczego? Armstrong wyjął papierosa.

- Klimat nie jest tu zbyt zdrowy... Osłonił zapalniczkę dłonią.

- Jeśli będzie pan palił przy tej całej benzynie, klimat pogorszy się jeszcze bardziej.

Erikki wcisnął guzik startera. Silnik pracował równomiernie przez dwadzieścia sekund, a potem znów zgasł. Fin zaklął.

Armstrong skinął grzecznie głową i wrócił do samochodu. Kierowca otworzył drzwiczki.

Armstrong usiadł, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Nie był pewny, czy Yokkonen rozumiał

wiadomość, którą właśnie otrzymał. Miejmy nadzieję. Nie mogę mu powiedzieć o lipnym teleksie ani o Operacji. Haszemi postawiłby mnie pod najbliższą ścianą za zdradę, a chan za wścibia-nie nosa w nie swoje sprawy. Nie mogę mówić, że mnie nie uprzedzono; chodzi o ich sprawy wewnętrzne.

Chryste, mam już tego wszystkiego potąd! Potrzebuję wakacji, długich. Gdzie? Mógłbym wpaść do Hongkongu na tydzień czy dwa, spotkać się ze starymi kumplami, tymi nielicznymi, którzy jeszcze zostali. A może pojechać do Pays d'Enhant, Górskiej Krainy, na narty? Nie jeździłem na nartach już od wielu lat. Mógłbym skorzystać z dobrej, szwajcarskiej kuchni, roesti i wurst, i dobra kawa z tłustą śmietanką. I dużo wina. Dużo! To właśnie zrobię.

Najpierw Teheran, potem zamknięcie sprawy Haszemi, a potem... hulaj dusza! Może spotkam jakąś miłą...

Ale tacy jak ja nie przychodzą ot tak sobie ani się nie zmieniają. Co, u diabła, zrobię teraz, kiedy moją irańską emeryturę szlag trafił, a ta z pracy policyjnej w Hongkongu traci wartość z dnia na dzień?

294

- O, Haszemi, jak poszło?

- Świetnie, Robercie. Kierowca, do kwatery. - Kierowca przyspieszył, przejeżdżając przez bramę, i popędził szosą w kierunku miasta. - Erikki wymknie się nad ranem. Pojedziemy za nim i zdejmujemy go już za Teb-rizem.

- Z błogosławieństwem Hakima?

- Prywatnym błogosławieństwem, publicznym oburzeniem. Dzięki. - Haszemi przyjął

papierosa; widać było, że jest z siebie zadowolony. - Do tego czasu biedny facio prawdopodobnie już nie będzie istniał.

Armstrong zastanawiał się, jaki interes ubił jego rozmówca.

- To był pomysł Hakima?

- Oczywiście.

- Interesujące...

To nie jest pomysł Hakima. Co Haszemi teraz kombinuje?

- Tak, interesujące. Dziś wieczorem załatwiamy mu-dżaheddinów i upewnimy się, że ten maniak Fin wpadł

, w sieć. Tak czy inaczej, wracamy potem do Teheranu.

- Doskonale.

610

611

TEHERAN, W DOMU BAKRAWANA, 20:06.

Szahrazad włożyła granat i pistolet do torebki, a torebkę schowała pod ubraniami w szufladzie. Już wcześniej wybrała strój, który włoży pod czador: kurtkę narciarską, gruby sweter, narciarskie spodnie. Teraz miała na sobie jasnozieloną jedwabną sukienkę z Paryża, która świetnie podkreślała jej nieskazitelną figurę i długie nogi. Makijaż też był doskonały.

Ostatnie spojrzenie na pokój i już schodziła na dół, aby powitać Daranusza Farazana, niedoszłego męża.

- Ach, Szahrazad!

Meszang już czekał przy drzwiach. Oddychał szybko i pokrywał zdenerwowanie wesołością; nie był pewien, jak siostra się zachowa. Wcześniej, gdy wróciła od lekarza, zaczął jej grozić, ale, ku jego zdziwieniu, tylko spuściła wzrok i powiedziała potulnie: „Nie musisz już nic mówić, Meszangu. Bóg tak chciał, wybacz mi, proszę. Pójdę się przebrać”. Teraz była tutaj, nadal potulna. Tak jak powinna, pomyślał.

- Jego Ekscelencja Farazan umiera z chęci ujrzenia ciebie.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do mniej więcej dwudziestu osób, które przebywały w salonie, głównie swych przyjaciół i ich żon. Była też Zarah i kilka jej przyjaciółek; żadnych znajomych Szahrazad. Uśmiechała się do tych gości, których знаła, a potem skupiła uwagę na Daranuszu Farazanie.

- Pozdrowienia, ekscelencjo - powiedziała grzecznie i wyciągnęła rękę na powitanie. Po raz pierwszy znajdowała się tak blisko niego. Był od niej niższy. Spojrzała na resztki włosów wokół łysiny, na zwiędłą skórę i pomarszczone dłonie. Czowała jego cuchnący oddech; małe czarne oczka błyszczały wesoło. - Pokój z tobą - dodała.

- Pozdrowienia, Szahrazad, i pokój z tobą, ale proszę, nie nazywaj mnie ekscelencją. Jak...

jaka jesteś piękna.

- Dziękuję - odparła.

Cofnęła rękę, uśmiechnęła się, stanęła obok niego, potem pobiegła, żeby zrobić mu coś do picia; sukienka

612

aż furkotała. Podawała napój najpiękniej, jak umiała. Uśmiechała się, słuchając jego krotocwilnych uwag, i pozdrawiała innych gości. Udawała, że nie widzi ich spojrzeń i nie dostrzega szyderstwa w ich oczach. Nie przerywając tego przedstawienia, myślała o tym, że 295

rozruchy na uniwersytecie już się zaczęły, i o marszu protestacyjnym, którego Chomeini zakazał, ale który się odbędzie.

Zarah obserwowała Szahrazad ze zdumieniem z przeciwległego rogu salonu. Dziwiła się, ale i cieszyła, że dziewczyna pogodziła się z losem, co ulży trochę jej doli. Cóż innego mogła zrobić? Nie! Ja także nie poradzę nic na to, że Meszang ma czternastoletnią kurewkę, która już pokazuje kły i chwali się, że wyjdzie za niego za mąż.

- Zarah!

- Tak, Meszangu, kochanie?

- Wieczór wypadł świetnie, doskonale. - Otarł czoło i wziął z tacy napój bezalkoholowy. Stał

tam też szampan dla tych, którzy mieliby na niego ochotę. - Cieszę się, że Szahrazad wzięła się w karby, gdyż, oczywiście, to jest dla niej świetna partia.

- Świetna - przyznała zgodnie Zarah. Chyba powinniśmy się cieszyć, że przyszedł sam i nie przyprowadził któregoś z tych swoich pięknych chłopaczków. Poza tym on chyba naprawdę lubi smród tych nieczystości, które wywozi. - Doskonale wszystko załatwiłeś, kochany Meszangu.

- Rzeczywiście. Wszystko poszło tak, jak zaplanowałem.

OKOLICE ŻALEH. Żeby dotrzeć do małego trawiastego lotniska, które służyło niegdyś aeroklubowi, Lo-chart ominął miasto, lecąc bardzo nisko, aby nie mogły go wykryć radary.

Przez całą drogę z D'Arcy trzymał radio nastawione na częstotliwość lotniska międzynarodowego, ale w eterze panowała cisza. Lotnisko było nieczynne z powodu święta i nie pozwalano na żadne loty. Lochart chciał przylecieć o zachodzie słońca. Kie-613

dy wyłączył silnik i usłyszał muezzinów, ucieszył się. Jak dotąd, wszystko poszło gładko.

Z wysiłkiem otworzył zardzewiałe wrota hangaru i wtoczył 206 do środka. Potem zamknął

wrota i rozpoczął długi marsz. Miał na sobie lotniczy kombinezon, więc gdyby go zatrzymano, powie, że jest pilotem z linii lotniczych, który chciał spędzić wieczór z przyjaciółmi, i któremu zepsuł się samochód.

Na przedmieściach Teheranu spotykał coraz więcej ludzi, którzy wychodzili z meczetów i podążali do domów. Żadnych kolorów, śmiechu, tylko strach i ponury nastrój.

Poza wojskowymi ciężarówkami, wypełnionymi ludźmi z Zielonych Opasek, nie było prawie ruchu kołowego. Nie było wojska ani umundurowanej policji. Ruchem kierowali młodzieńcy z Zielonych

Opasek. Do miasta powracał spokój i porządek. Żadnych kobiet w zachodnich ubraniach, wszędzie czadory.

Usłyszał kilka przekleństw, parę pozdrowień - strój pilota budził szacunek. Gdy zbliżył się do centrum, znalazł dobre miejsce, w którym mógł poczekać na taksówkę. Zatrzymał się koło rzędu ulicznych straganów. Czekać kupił butelkę oranżady i kawałek świeżego, ciepłego chleba. Zaczął go żuć. Wiatr nieco się wzmógł, lecz płonący w żelaznym koszu węgiel dawał

miłe ciepło.

- Pozdrowienia. Proszę pokazać dokumenty. Młodzieńcy z Zielonych Opasek zachowywali się grzecznie. Twarze niektórych znaczyły zaczątki zarostu. Lochart pokazał im dowód tożsamości, z pieczęcią i ważny. Po chwili dyskusji oddali mu dokument.

- Czy możemy zapytać, dokąd pan idzie? Odpowiedział, specjalnie w koszmarnym farsii:

- Przyjaciele, odwiedzić, koło bazar. Samochód zepsuć. In sha'a Allah.

Usłyszał, jak mówią do siebie, że pilot jest w porządku, ale jest Kanadyjczykiem.

- Czy to nie dzieło Wielkiego Szatana? Nie, chyba nie. Pokój z tobą - powiedzieli wreszcie i odeszli.

614

Podszedł do rogu; patrzył na ruch uliczny. W powietrzu unosiła się zwykła woń miasta: benzyna, korzenie, gnijące owoce, mocz, odór ciał, zapach śmierci. Lochart sokolim 296

wzrokiem lotnika dostrzegł taksówkę, którą jechało tylko dwóch mężczyzn z tyłu i jeden na przednim siedzeniu. Skrzyżowanie zablokowała właśnie skręcająca ciężarówka. Bez wahania rzucił się pomiędzy samochody, odtrącił jakiegoś konkurenta, otworzył drzwiczki i wgramolił

się do taksówki, przepaszając wylewnie w dobrym farsii. Poprosił pasażerów, żeby raczyli pozwolić mu pojechać z nimi. Kierowca trochę poprzeklinał, trochę się potargował, ale potem przypomniał sobie, że bazar leży dokładnie przy trasie, którą uzgodnił z pozostałymi pasażerami; zresztą wszyscy dostali się do taksówki tak jak Lochart.

- Z pomocą Boga, pan wysiądzie w drugiej kolejności, ekscelencjo.

Udało się, pomyślał Tom radośnie. Potem dopuścił do siebie drugą myśl: mam nadzieję, że innym też się udało. Duke'owi i Scragowi, Rudiemu i im wszystkim, Freddy'emu i staremu poczciwemu Macowi.

BAHRAJN, LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE,

20:50. Jean-Luc stał na lądowisku helikopterowym. Nastawił lornetkę na dwa 212, które nadlatywały nad płytę lotniska, migając światłkami nawigacyjnymi. Miały zezwolenie na bezpośrednie podejście

i zbliżały się szybko. Obok Jean-Luca stał Mathias, także z lornetką.

W pobliżu czekał ambulans z lekarzem i urzędnikiem imigracyjnym, Jusufem. Na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy; ładny wieczór, przyjemny, ciepły wiatr.

Prowadzący 212 zmienił nieznacznie kierunek. Teraz Jean-Luc mógł odczytać rejestrację: G-HUVX. Brytyjska, dzięki Bogu. Mieli czas na Dżellet, pomyślał. Rozpoznał Pettikina; potem skierował lornetkę na drugi 212, w którym zobaczył Ayre'a i Kyle'a, mechanika.

Punkt dla Pettikina. Mathias podszedł do Charliego, Jean-Luc do drzwi kabiny. Otworzył je.

- Witaj, Genny, jak on się czuje?

615

- Chyba nie może oddychać. - Jej twarz miała kolor kredy.

Jean-Luc zobaczył NcIvera, wyciągniętego na podłodze, z kamizelką ratunkową pod głową.

Dwadzieścia minut wcześniej Pettikin zgłosił wieży, że jeden z członków jego załogi, NcIver, przechodzi chyba atak serca, i że potrzebny jest lekarz oraz ambulans. Wieża natychmiast wydała odpowiednie polecenia.

Lekarz wskoczył do kabiny i przyklęknął przy NcIverze. Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

Zrobił użytek ze strzykawki, którą przygotował już wcześniej.

- To mu na razie pomoże. Za kilka minut będziemy w szpitalu. - Zawołał po arabsku sanitariuszy, którzy ruszyli biegiem. Pomógł Genny wysiąść. - Jestem doktor Lanoire, proszę powiedzieć, co się stało.

- Czy to atak serca? - zapytała.

- Tak, ale niegroźny - odpowiedział lekarz, pragnąc ją uspokoić. Był pół-Francuzem, pół-

Bahrajńczykiem, bardzo dobrym lekarzem. Szczęście, że akurat był osiągalny. Sanitariusze ułożyli już NcIvera na noszach i zaczęli wnosić je ostrożnie z helikoptera.

- On... mój mąż, nagle wychrypiał: „Nie mogę oddychać”. Potem zwinął się z bólu i zemdlał.

- Otarła pot znad górnej wargi i mówiła dalej takim samym przygaszonym głosem: -

Pomyślałam, że to na pewno atak serca. Nie wiedziałam, co robić. Potem przypomniałam sobie, co powiedział stary doktor Nutt, kiedy wygłaszał pogadankę dla żon pilotów.

Rozpięłam Duncanowi koszulę, położyliśmy go na ziemi... Potem znalazłam... kapsułki, które Nutt nam dał. Podsunęłam mu jedną pod nos i zgmiotłam...

- Azotyn amylu?

- Tak, tak, to było to. Doktor Nutt dał każdej z nas po dwie kapsułki, powiedział, jak ich używać i kazał dobrze schować. Miała okropny zapach, ale Duncan jęknął i był chyba bliski odzyskania przytomności. Potem znów opadł, ale oddychał... miałam wrażenie, że oddycha.

W kabinie było ciemno i panował hałas, ale

616

297

w pewnej chwili wydało mi się, że znów traci oddech. Wtedy zużyłam drugą kapsułkę. To chyba mu trochę pomogło.

Lekarz patrzył na nosze. Gdy tylko znalazły się w karetce, powiedział do Jean-Luca:

- Kapitanie, proszę przywieźć panią McIver do szpitala za pół godziny. Oto moja wizytówka; okaże ją pan, a ktoś wskaże drogę.

- Czy nie lepiej... - szybko wtrąciła Genny.

- Pomoże nam pani najlepiej, pozwalając, żebyśmy przez pół godziny robili to, co trzeba -

oświadczył lekarz zdecydowanie. - Pani już swoje zrobiła; chyba uratowała mu pani życie.

Odszedł szybkim krokiem.

TEHERAN, W DOMU BAKRAWANA, 20:59. Za-

rah po raz ostatni sprawdzała, czy stół został należycie nakryty do kolacji. Talerze i sztucce, serwetki z białego lnu, miski pełne różnych rodzajów choresztu, mięsa i jarzyn, świeże pieczywo i owoce, słodycze i przyprawy. Ryż miał być podany w ostatniej chwili.

- Dobrze - powiedziała służącym i przeszła do salonu.

Goście nadal prowadzili towarzyskie rozmowy. Zarab, zobaczyła, że Szahrazad stoi nieco z boku, nie opodal Daranusza, zagłębionego w rozmowie z Meszan-giem. Skrywając smutek, podeszła do niej.

- Kochanie, wyglądasz na bardzo zmęczoną. Czy dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że czuje się dobrze - zawołał głośno Meszang.

618

Szahrazad, bardzo blada, przywołała uśmiech na twarz.

- To tylko podniecenie, Zarah. - Zwróciła się do Farazana: - Gdyby nie miał pan nic przeciwko temu,

ekscelencjo Daranusz, nie wezmę dziś udziału w kolacji.

- Dlaczego?! Co się stało? - zapytał szorstko Meszang. - Jesteś chora?

- Och, nie, najdroższy bracie, to tylko nadmiar wrażeń. - Szahrazad ponownie zwróciła się do niskiego człowieka: - A może będzie mi wolno spotkać się z panem jutro? Na przykład zjeść kolację?

Zanim Meszang zdążył się wtrącić, Daranusz odpowiedział:

- Oczywiście, moja kochana. - Zbliżył się i pocałował ją w rękę. Z trudem opanowała mdłości. - Jutro zjemy razem kolację. Może i ty, ekscelencjo Meszang, i Zarah moglibyście zaszczyścić mnie wizytą w moim skromnym domu... - Zachichotał; jego twarz wyglądała przy tym jeszcze bardziej groteskowo. - W naszym skromnym domu.

- Dziękuję, to my będziemy zaszczyceni. Dobranoc, pokój z tobą.

- I z tobą.

Pożegnała się równie grzecznie z bratem i Zarah, potem odeszła. Daranusz patrzył za nią, gdy odchodziła; obserwował kołyszące się wdzięcznie chłopięco szczupłe biodra i pośladki* Na Boga, spójrz tylko na nią, powiedział sobie ze smakiem. Wyobraził ją sobie nagą, dokazującą specjalnie dla niego. Zrobiłem lepszy interes, niż przypuszczałem. Na Boga, gdy Meszang zaproponował to małżeństwo, myślałem tylko o pieniądzach i o obietnicy prowadzenia na bazarze wspólnej polityki. Jedno i drugie było nie do pogardzenia, co jest zrozumiałe w wypadku kobiety, która zaszła w ciążę z cudzoziemcem. Ale teraz, na Boga, widzę, że nie będzie trudno wziąć jej do łóżka i sprawić, by obsłużyła mnie tak, jak chcę, a od czasu do czasu zrobić jej moje własne dziecko. Kto wie, może będzie tak, jak powiedział Meszang:

„Może straci to

619

dziecko, które w sobie nosi". Miejmy nadzieję, miejmy nadzieję.

W zamyśleniu drapał się w brodę, dopóki Szahrazad nie wyszła z pokoju.

- Na czym skończyliśmy, Meszangu?

- Sugerowałem utworzenie nowego banku... Szahrazad zamknęła drzwi i lekko wbiegła po schodach. W jej pokoju, w dużym fotelu, drzemała Dżari.

298

- Och, księżniczko, jak...

- Idę spać, Dżari. Możesz już wyjść. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Porozmawiamy przy

śniadaniu.

- Ale, księżniczko, będę spała w fotelu i... Szahrazad tupnęła.

- Dobranoc! Niech nikt mi nie przeszkadza!

Z hukiem zatrzęsnęła drzwi, cisnęła pantofami, a potem przebrała się - po cichu i szybko.

Teraz cza-dor. Ostrożnie otworzyła drzwi balkonowe i wyszła. Schody prowadziły do ogrodu w patio, a stamtąd można było przejść do tylnych drzwi posiadłości. Odsunęła zasuwę.

Zawiasy skrzypnęły. Zatrzęsnęła za sobą drzwi i pobiegła. Czador powiewał za nią jak wielkie czarne skrzydło.

W salonie Zarah spojrzała na zegarek i podeszła do Meszanga.

- Kochanie, czy podawać już kolację?

- Za chwilę. Nie widzisz, że Jego Ekscelencja i ja jesteśmy zajęci?

Zarah westchnęła. Chciała podejść do jednej ze swych przyjaciółek, ale zatrzymała się, widząc, że do salonu wchodzi odźwierny. Rozejrzał się niespokojnie, podszedł do Meszanga i coś mu szepnął. Z twarzy Meszanga odpłynęła krew. Daranusz Farazan westchnął. Zarah podeszła do nich.

- Co się stało?

Meszang poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W ciszy, która nagle zapadła, przestraszony służący wybełkotał:

620

- Zielone Opaski są tutaj, Wasza Wysokość, Zielone Opaski z... z mułką. Chcą natychmiast rozmawiać z Waszą Ekscelencją.

Wszyscy przypomnieli sobie aresztowanie Paknurie-go, wezwanie Dżareda, a także wszystkie inne aresztowania, egzekucje, wieści o aktach terroru, komitetach, aresztach pełnych przyjaciół, klientów, krewnych... Daranusz aż skręcał się z gniewu. Dlaczego musiałem znaleźć się akurat w tym domu i w tym czasie! Miał ochotę drzeć szaty; tak lekkomyślnie zgodził się sprzymierzyć z rodziną Bakrawana, już napiętnowaną z powodu lichwy Dżareda.

Wszyscy kupcy z bazaru to robili, ale on dał się złapać! Syn przeklętego ojca! Publicznie zgodziłem się na małżeństwo, a prywatnie na udział w planach Meszanga, planach - och Boże, zmiłuj się nade mną - tak niebezpiecznie nowoczesnych, niebezpiecznie zachodnich i oczywiście sprzecznych z wolą imama! Chyba jest jakieś tylne wyjście z domu tego syna przeklętego ojca!

Czterej ludzie z Zielonych Opasek i mułka czekali w pokoju, do którego zaprowadził ich służący. Siedzieli po turecku, opierając się o jedwabne poduszki. Pozdejmowali buty i zostawili je przy

drzwiach. Młodzi ludzie oglądali szeroko otwartymi ze zdumienia oczami przepych domu. Karabiny położyli koło siebie na dywanie. Mułła miał na sobie strój w dobrym gatunku i biały turban. Wyglądał majestatycznie. Miał ponad sześćdziesiąt lat, białą brodę i grube, czarne brwi, silną, zdecydowaną twarz i czarne oczy.

Otworzyły się drzwi. Mieszang wszedł do pokoju, poruszając się jak automat. Miał poszarzałą twarz, z przerażenia rozbolała go głowa.

- Witam... witam ekszelencję.

- Witam. Ekszelencja Mieszang Bakrawan? - Mieszang skinął głową. - Ach, zatem jeszcze raz witam. Pokój z panem, ekszelencjo. Proszę wybaczyć, że przychodzę o tak późnej porze.

Jestem mułła Sajani; przybywam w imieniu komitetu. Właśnie dowiedzieliśmy się 621

o wypadku ekszelencji Dżareda Bakrawana. Przyszedłem powiedzieć, że choć taka była wola Boga, Jego Ekszelencja nie został skazany. Został rozstrzelany przez pomyłkę, przez pomyłkę też skonfiskowano jego mienie, ale wszystko zostanie zwrócone. Mieszang wybałuszył oczy; zatkało go.

299

- Rząd islamski przestrzega praw Boga - ciągnął mułła. - Bóg wie, że nie możemy zapanować nad wszystkimi nadgorliwcami ani prostymi, otumanionymi ludźmi. Bóg wie, że niektórzy, przez nadmierną gorliwość, popełniają błędy. Bóg wie także, że jest wielu ludzi, którzy wykorzystują rewolucję, aby czynić zło. Nazywają się „patriotami” i naginają islam do swoich brudnych celów. Jest wielu, którzy nie słuchają słowa bożego, wielu, których knowania mają nas okryć niesławą, a także wielu, którzy popełniają oszustwo, zakładając turbany, nawet niektórzy ajatollahowie, nawet oni. Z pomocą Boga zedrzemy z nich turbany, oczyścimy islam i wyplenimy zło, w kimkolwiek by się zagnieździło...

Do Mieszanga te słowa już nie docierały. Ogluszyła go nadzieja.

- On... mój ojciec... Dostanę naszą własność... z powrotem?

- Nasz islamski rząd jest rządem prawa. Suwerenność jest przynależna jedynie Bogu. Prawo islamu bezwzględnie obowiązuje wszystkich, także rząd islamski. Nawet Najczciodszy Posłaniec, niech będzie błogosławiony, podlega prawu Boga, wyrażonemu w języku Koranu.

- Mułła wstał. - Taka była wola Boga, a jednak ekszelencja Bakrawan nie został skazany.

- Czy... czy to prawda?

- Tak. Wola Boga, ekszelencjo. Wszystko zostanie panu zwrócone. Czyż pański ojciec nie wspierał nas hojnie? Jakże rządy islamskie mogłyby rozkwitać bez pomocy i wsparcia ludzi z bazaru, jak moglibyśmy bez kupców walczyć z wrogami islamu, wrogami Iranu i niewiernymi?

OKOLICE BAZARU. Taksówka zatrzymała się na zatłoczonym placu. Lochart wysiadł i zapłacił

kierowcy, podczas gdy jakiś mężczyzna i kobieta wygrali walkę o zwolnione miejsce.

Na placu kłębił się tłum, który wylewał się z pobliskiego meczetu i bazaru. Wszyscy zwracali uwagę na uliczne stragany, ignorując pilota. Wieczór był chłodny, niebo zachmurzone.

Wzmógł się wiatr; lampki oliwne ulicznych sprzedawców migotały. Lochart dotarł do wylotu uliczki, przy której stał dom Bakrawana. Minął róg, zszedł z drogi mulle Sajaniemu i jego ludziom, potem ruszył szybkim krokiem naprzód.

Zatrzymał się przy drzwiach w wysokim murze, głęboko odetchnął i zapukał mocno. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Wreszcie usłyszał odgłos kroków i zobaczył w judaszu oko.

- Odźwierny, to ja, ekscelencja kapitan Lochart

- zawołał wesoło.

Drzwi stanęły otworem.

- Witam, ekscelencjo - powiedział odźwierny, który nie ochłonął jeszcze po nagłym wtargnięciu mułły i ludzi z Zielonych Opasek. Przed chwilą, po zatrzaśnięciu drzwi, podskoczył z radości, a teraz znów ktoś się zjawia; tym razem niewierny, który był mężem narzeczonej ekscelencji Gówienka.

Wiatr poderwał opadłe liście, zalegające patio. Inny zdumiony służący pojawił się w otwartych drzwiach.

- Pozdrowienia, ekscelencjo - mruknął. - Ja... powiem ekscelencji Mieszangowi, że pan przyszedł.

- Poczekaj! - Lochart usłyszał odgłosy przyjęcia, dochodzące z sali jadalnej. - Czy moja żona tam jest?

- Żona? - Służący zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Jej... Jej Wysokość, ekscelencjo kapitanie, śpi.

Lochart zaniepokoił się.

- Czy jest chora?

- Nie wyglądała na chorą, ekscelencjo; wyszła z przyjęcia przed kolacją. Powiem ekscelencji Mieszan-

, gowi, że...

- Nie warto mu przeszkadzać, skoro ma gości
- przerwał Lochart, ciesząc się, że nadarza się sposobność do rozmowy z żoną w cztery oczy.
- Zobaczę się z nią, a potem zejść i sam się zapowiem.

Służący patrzył, jak Lochart przeskakuje po dwa stopnie naraz. Poczekał, aż pilot zniknie z pola widzenia, i pospieszył szukać Meszanga.

Lochart szedł korytarzem; powstrzymywał się, żeby nie biec. Cieszył się, że sprawi żonie miłą niespodziankę. Potem przedstawi Meszangowi swój plan. W końcu doszedł do właściwych drzwi i nacisnął klamkę. Stwierdził, że drzwi są zamknięte; zapukał i zawołał

cicho:

- Szahrazad, to ja, Tommy. - Gdy czekał, w duszy mu śpiewało. - Szahrazad? - Znow oczekiwanie. Zapukał. Czekanie. Potem zapukał trochę głośniej. - Szahrazad!

- Ekscelencja?

- Och, witaj, Dżari. - Tak się niecierpliwił, że nie zauważył, iż niania drży. - Szahrazad, kochanie, otwieraj! To ja, Tommy!

- Jej Wysokość prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

- Nie chodziło jej przecież o mnie! A może wzięła proszki nasenne?

- Och, nie, ekscelencjo. Skupił uwagę na służącej.

- Czego tak się boisz?

- Ja? Ja nie boję się, ekscelencjo; czego miałabym się bać?

Coś jest nie w porządku, pomyślał. Niecierpliwie krzyknął:

- Szahrazad! - I znow oczekiwanie. - To śmieszne

- mruknął. - Szahrazad! - Zaczął walić w drzwi. -Otwieraj, na miłość boską!

- Co ty tu robisz?!

To był Meszang. Kipiał gniewem. Lochart zobaczył, że w drugim końcu korytarza pojawiła się Zarah. Zatrzymała się.

- Dobry.... dobry wieczór, Meszangu - powiedział. Waliło mu serce. Chciał mówić rozsądnie i grzecznie.

Dlaczego, u diabła, ona nie otwiera, co się stało? - Przyszedłem zobaczyć się z żoną.

- Ona nie jest twoją żoną. Jest rozwódką. A teraz wynoś się!

Lochart wlepił w szwagra zdumione spojrzenie.

- Oczywiście, że jest moją żoną!

- Na Boga, czy jesteś aż tak głupi? Ona była twoją żoną. A teraz proszę opuścić mój dom!

- Chyba zwariowałeś! Nie mogłeś jej tak po prostu rozwieść!

- Wynocha!

- Wypchaj się! - Lochart znów załomotał do drzwi.

- Szahrazad!

- Idź i przyprowadź kogoś z Zielonych Opasek! Pospiesz się! Oni wyrzucą tego wariata! -

zwrócił się Mieszang do żony.

- Ale, Mieszangu, to wydaje się trochę niebezpieczne, wciągać ich...

- Zarah, przyprowadź ich!

Lochart nie wytrzymał napięcia. Walnął ramieniem w drzwi. Zadrżały, lecz nie ustąpiły.

Wyrzwał obcasem w zamek. Drzwi stanęły otworem.

- Pędź po Zielone Opaski! - zawył Mieszang. - Nie rozumiesz, że oni są teraz po naszej stronie? Wróciliśmy do łask! - Wbiegł za Lochartem do pokoju. Stwierdził z osłupieniem, że Szahrazad nie ma ani w pokoju, ani w łazience. Mieszang i Lochart spojrzeli pytająco na Dżari. Zarah wolała poczekać na zewnątrz. - Gdzie ona jest?! - ryknął Mieszang.

- Nie wiem, ekscelencjo, nie widziałam, jak wychodziła. Byłam w sąsiednim pokoju i trochę spałam...

Dżari zawyła, gdy Mieszang uderzył ją w twarz; cios sprawił, że osunęła się na dywan.

- Dokąd poszła?

- Nie wiem, ekscelencjo, myślałam, że jest w łóż...

- Zawyla, gdy Meszang kopnal ja w bok. - Na Boga, nie wiem, nie wiem, nie wiem!

Lochart podszedl do drzwi balkonowych; byly tylko przymkniete. Wyszedl na balkon, zszedl po schodach

625

i dotarl do tylnych drzwi. Wracal powoli; nie wiedzial, co o tym myslec. Meszang i Zarah obserwowali go z balkonu.

- Tylne drzwi sa otwarte. Musiala tamtedy wyjsc.

- Wyjsc? Dokad?! - Meszanga wprost dlawil gniew. Zarah krzyknela na Dzari, ktora nadal klęczala w sypialni, jęcząc i zawodząc z bólu i strachu. - Zamknij się, suko, albo każę cię wychłostać! Jeśli nie wiesz, dokąd poszła, to może się domyślasz?

- Nie... nie wiem, Wasza Wysokość - załkała staruszka.

- Pomyśl! - krzyknela Zarah i uderzyła służącą. Dzari zawyla.

- Nie wwziem! Przez cały dzień zachowywała się jakoś dziwnie, ekscelencjo, dziwnie. Po południu odesłała mnie, a sama dokądś poszła. Spotkałam ją koło siódmej i wróciłyśmy razem. Nic nie mówiła, nic...

- Na Boga, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - krzyknel Meszang.

- O czym miałam opowiadać, ekscelencjo? Proszę, niech mnie pan nie kopie, proszę!

Meszang opadł na krzesło. Najpierw był przerażony, gdy powiedziano mu o przybyciu mułły; strach przeszedł w euforię, gdy mułła obiecał mu zwrot majątku; potem wściekł się, gdy zobaczył Locharta, a teraz już sam nie wiedział, co robić. Poruszył ustami, ale nie wydobył

się z nich żaden dźwięk. Widział, że Lochart wypytuje o coś Dzari, lecz nie rozumiał wypowiedzianych przez nich słów.

Gdy przedtem wrócił do salonu i przyniósł wspaniałą nowinę, Zarah^załkała ze szczęścia i objęła go. Zapanowała radość, gratulowali mu mężczyźni i kobiety. Wszyscy oprócz Daranusza. Daranusza nie było. Uciekł. Tylnymi drzwiami.

- Poszedł? - zapytał wtedy.

- Jak pierdnięcie - zawołał ktoś.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Odczuwali ulgę; im samym nic nie groziło, a Meszang nieoczekiwanie powrócił do bogactwa i władzy. Ktoś krzyknel: 626

- Chyba nie zrobisz już Daranusza Śmiałego swoim szwagrem, Meszangu?

- Nie, na Boga, nie - odpowiedział wtedy i wypił kieliszek szampana.

- Jak mógłbyś ufać takiemu człowiekowi?

- Nie mógłbym, nawet w sprawie kubła szczyń! Na proroka, zawsze uważałem, że przepłacamy usługi Brudnego Daranusza. Bazar powinien zerwać ten kontrakt!

Rozległy się głosy aprobaty, a Meszang wypił drugi kieliszek szampana, napawając się myślą o wspaniałych nowych możliwościach, które się przed nim otwierały: kontrakt na wywóz śmieci z bazaru, który, oczywiście, należy mu się jako poszkodowanemu, nowy syndykat do finansowania rządu, oczywiście pod jego nadzorem i z korzyścią dla niego, nowe związki z ministrami, ważniejszymi niż Ali Kia - gdzie się podziewa ten psi syn? - nowe transakcje naftowe, nowa partia dla Szah-razad... Teraz to takie łatwe: któż nie chciałby wejść do jego rodziny, rodziny kupca z bazaru? Nie będę już musiał płacić lichwiarskiego posagu, na który zgodziłem się pod przymusem. Mam znów całą swoją własność, posiadłości nad Morzem Kaspijskim, całe ulice domów w Żaleh, mieszkania na północnych przedmieściach, grunty i sady, pola i wioski, wszystko.

Potem radość tę zakłócił służący, szepcząc, że wrócił Lochart, że jest już w domu, na piętrze.

Meszang wbiegł po schodach, a teraz patrzył bezradnie, jak człowiek, którego nienawidzi, wypytuje Dżari, a Zarah przysłuchuje się temu z uwagą.

302

Skoncentrował się z wysiłkiem. Dżari mówiła właśnie pomiędzy chlipnięciami:

- ...nie jestem pewna, ekscelencjo, ona... ona tylko... ona tylko powiedziała mi, że ten młody człowiek, który uratował jej życie podczas pierwszego marszu protestacyjnego kobiet, jest studentem uniwersytetu.

- Czy spotkała się z nim kiedyś sam na sam?

- Och, nie, ekscelencjo, nie. Jak już powiedziałam, poznałyśmy go na demonstracji, a on zaprosił nas na kawę, żebyśmy odpoczęły - wyjaśniła Dżari.

627

Bała się przyłapania na kłamstwie, lecz jeszcze bardziej zdradzenia tego, co naprawdę zaszło.

Boże, chroń nas, modliła się w myślach. Dokąd też ona poszła? Dokąd?

- Jak on się nazywa, Dżari?

- Nie wiem, ekscelencjo, może Ibrahim albo Es-ma'il, nie wiem. Już mówiłam, on nie ma znaczenia.

Lochart czuł pulsowanie w skroniach. Nic, żadnego punktu zaczepienia. Dokąd mogła pójść?

Do przyjaciółki? Na uniwersytet? Jakaś następna demonstracja? Na rynku mówiono o tym, że studenci znów rozrabiają, że dziś w nocy będą marsze i kontrmarsze, Zielone Opaski przeciwko lewakom, ale że komitet zakazał wszelkich demonstracji nie zatwierdzonych przez imama, i że cierpliwość komitetu już się skończyła.

- Dżari, musisz się czegoś domyślać, czegoś, co może nam pomóc!

- Trzeba ją wychłostać, ona na pewno wie! - odezwał się Mieszang gardłowym głosem.

- Nie wiem, naprawdę! - zawodziła Dżari.

- Zamknij się, Dżari!

Poblady Lochart zwrócił się gwałtownie do Me-szanga:

- Nie wiem, dokąd poszła, ale już wiem, dlaczego: zmusiłeś ją do rozwodu. Przysięgam na Boga: jeśli coś jej się stanie, cokolwiek, ty za to zapłacisz!

- To ty ją zostawiłeś, zostawiłeś bez grosza; porzuciłeś ją i jesteś rozwiedziony. Ty... -

Mieszang zaczął krzyczeć.

- Pamiętaj, ty za to zapłacisz! A jeśli nie wpuścisz mnie kiedykolwiek do tego domu, to i to także spadnie na twoją głowę.

Lochart, na granicy szaleństwa, podszedł do drzwi balkonowych.

- Dokąd idziesz? - spytała Zarah.

- Nie wiem. Może... Może na uniwersytet. Może ona poszła na jakąś demonstrację... Może dlatego wymknęła się z domu po cichu...

Lochart nie odważył się wypowiedzieć na głos swoich najgorszych obaw. Bał się, że jej bunt był tak silny, była tak poruszona, iż mogłaby targnąć się na własne życie. Nie, nie samobójstwo. Ileż razy powtarzała kiedyś: „O mnie się nie martw, Tommy. Jestem wierną kobietą, zawsze usiłowałam wykonywać bożą pracę. Jeśli zginę, wykonując taką pracę, z imieniem Boga na ustach, trafię do raju”.

Ale co z naszym przyszłym dzieckiem? Matka nie... nie może, nie powinna. A Szahrazad?

W pokoju panowała cisza. Zdawało się mu, że jest tu już całą wieczność. Potem wszystko wydarzyło się jednocześnie. Wpłynął na nowe wody. Dziwnie wyraźnym głosem powiedział:

- Bądźcie świadkami. Zaświadczam, że nie ma innego Boga poza Bogiem, a Mahomet jest prorokiem Boga... Zaświadczam, że nie ma innego Boga poza Bogiem, a Mahomet jest prorokiem Boga...

Powtórzył te słowa po raz trzeci i ostatni. Dokonał się. Pogodził się z sobą samym.

Dostrzegł, że wszyscy obecni wpatrują się w niego w osłupieniu.

Pierwszy odezwał się Meszang; nie był już zły.

- Allahu Akbar! Witamy. Ale samo wypowiedzenie szahady nie wystarczy, to za mało.

- Wiem. To jest początek.

303

Patrzyli w milczeniu, jak znika w ciemnościach. Byli świadkami ocalenia duszy, nieoczekiwanej zmiany niewierzącego w wyznawcę. Wszystkich przepęłniała radość.

- Bóg jest wielki!

- Meszangu, czyż to wszystkiego nie zmienia?

- mruknęła Zarah.

- Tak, i tak, i nie. Lecz teraz on pójdzie do raju. Wedle woli Boga. - Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Spojrzał na Dżari, a ona znów zadygotała. - Dżari

- powiedział spokojnie. - Będiesz chłostana, dopóki nie wyznasz mi całej prawdy albo nie trafisz do piekła. Chodź, Zarah, nie możemy zapomnieć o gościach.

- A Szahrazad?

- Wedle woli Boga.

628

629

OKOLICE UNIWERSYTETU, 21:48. Szahrazad skręciła na główną drogę, na której zebrali się ludzie z Zielonych Opasek i ich zwolennicy. Całe tysiące, w ogromnej większości mężczyźni, wszyscy uzbrojeni. Mułowie ustawiali ich, przypominali o konieczności zachowania dyscypliny.

- Nie strzelać do lewaków, dopóki oni nie otworzą ognia, próbować perswazji. Nie zapominajcie, że to też Irańczycy, a nie cudzoziemskie szatany. Bóg jest wielki... Bóg jest wielki...

- Witaj, dziecino - powiedział łagodnie stary muła. - Pokój z tobą.

- I z tobą - odparła. - Maszerujemy na wrogów Boga?

- Och, tak, za chwilę. Mamy jeszcze dużo czasu.

- Mam broń - powiedziała z dumą, pokazując mu pistolet. - Bóg jest wielki.

- Bóg jest wielki. Lepiej jednak nie zabijać. Lepiej, żeby ci otumanieni ludzie poznali prawdę, odwołali swe herezje, podporządkowali się imamowi i powrócili do islamu. - Starzec, widząc młodość i zdecydowanie Szahrazad, poczuł się podniesiony na duchu, lecz jednocześnie odczuł smutek. - Lepiej nie zabijać, ale gdyby ludzie Lewej Ręki nie przestali sprzeciwiać się imamowi, niech Bóg ześle na niego spokój, wtedy, z bożą pomocą, przegnamy ich do piekła...

TEBRIZ, W PAŁACU, 22:05. Cała trójka siedziała przed płonącymi na kominku drzwami. Pili kawę i patrzyli na płomienie. Pokój był mały, ciepły i przytulny; jeden ze strażników Hakima strzegł drzwi. Nie byli spokojni, choć udawali, że jest inaczej, teraz i podczas całego wieczoru. Ich uwagę przyciągały płomienie; każde widziało w nich co innego. Erikki rozstajne drogi; jedno odgałęzienie ognia wiodło do samotności, drugie do spełnienia, może tak, a może nie. Azadeh widziała przyszłość, choć starała się jej nie dostrzegać.

Hakim-chan oderwał wzrok od ognia; rzucił rękawicę.

- Przez cały wieczór jesteś jakaś dziwna, Azadeh - powiedział.

631

- Tak, zresztą chyba wszyscy jesteśmy. - Jej uśmiech nie był szczery. - Czy moglibyśmy porozmawiać, tylko my troje?

- Oczywiście. - Hakim skinął na strażnika. - Zawołam cię, jeśli będę cię potrzebował. -

Mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Nastrój panujący w pokoju uległ

natychmiastowej zmianie. Teraz wszyscy troje stali się przeciwnikami; byli tego świadomi.

Natężyli uwagę.

- Tak, Azadeh?

- Czy to prawda, że Erikki musi natychmiast wyjechać?

- Tak.

- Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie wytrzymam przez dwa lata bez męża.

- Z bożą pomocą ten czas szybko minie.

304

Chan siedział sztywno wyprostowany; kodeina łagodziła ból.

- Nie wytrzymam dwóch lat - powtórzyła.

- Nie możesz złamać przysięgi.

- On ma rację, Azadeh - odezwał się Erikki.

- Dałaś słowo dobrowolnie. Hakim jest chanem, a cena... była uczciwa. Przez całe to zabijanie muszę wyjechać. To moja wina, a nie twoja czy Hakima.

- Nie zrobiłeś nic złego, nic. Musiałeś bronić mnie i siebie, te ścierwa chciały nas wymordować, a co do ataku na pałac... zrobiłeś to, co uważałeś za najlepsze. Nie mogłeś wiedzieć o wpłaceniu części okupu ani o śmierci ojca... On nie powinien kazać zabić posłańca.

- To niczego nie zmienia. Muszę dziś odejść. Możemy jakoś się z tym pogodzić - powiedział

Erikki, patrząc na Hakima. - Dwa lata miną szybko.

- Jeśli będziesz żył, kochanie.

Azadeh spojrzała na brata, który odwzajemnił spojrzenie. Uśmiechał się tak samo, jego oczy nie zmieniły wyrazu.

Erikki patrzył na brata i siostrę, tak różnych, a tak do siebie podobnych. Na czym polega zmiana? Dlaczego ona chce przyspieszyć to, co nie powinno być przyspieszone?

- Oczywiście, jeśli będę żył - przytaknął, zachowując zewnętrzny spokój.

Z paleniska wypadł żarzący się węgielek. Odsunął go w bezpieczne miejsce. Dostrzegł, że Azadeh nie odrywa spojrzenia od Hakima ani on od niej. Nadal spokój, nadal grzeczne uśmiechy, nadal nieprzejednanie.

- Azadeh? - rzekł Hakim.

- Mułła mógłby zwolnić mnie z danego słowa.

- To niemożliwe. Tego nie może ani mułła, ani ja, ani nawet imam.

- Ja mogę sama się rozgrzeszyć. To sprawa pomiędzy mną a Bogiem. Mogę...

- Nie możesz, Azadeh. Nie możesz tego zrobić i pozostać w zgodzie z samą sobą.

- Mogę. Mogę i zachowam spokój ducha.

- Wtedy nie będziesz muzułmanką.

- Tak - powiedziała. - Zgoda. Hakim głęboko odetchnął.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Och, wiem. Brałam pod uwagę nawet taką możliwość. - Mówiła bezbarwnym głosem. -

Rozważałam takie rozwiązanie i uznałam, że nie mam innego wyjścia. Nie będę przez dwa lata żyć w separacji ani nie zniosę i nie wybaczę zamachu na życie mojego męża.

Nareszcie miała to za sobą. Cieszyła się, że te słowa już padły, a jednocześnie obawiała się ich skutku. Znów pomyślała ciepło o Aiszy, która ją ostrzegła.

- W żadnym wypadku nie pozwolę ci wyrzec się islamu - oświadczył Hakim.

Odwróciła wzrok i spojrzała w ogień.

Wokół nich rozciągało się pole minowe; wszystkie miny uzbrojone. Chan, choć koncentrował się na Azadeh, nie zapominał o Erikkim, Olbrzymie z Nożem. Wiedział, że Erikki też czeka, że gra w swą własną grę. Czy powinienem odprawiać strażnika, zadał sobie pyta-632

633

nie. Czuł się znieważony jej groźbą; jego nozdrza chwytały zapach niebezpieczeństwa.

- Cokolwiek powiesz, Azadeh, cokolwiek spróbujesz zrobić, chodzi o twoją duszę. Będę musiał zapobiec odszczepieństwu wszelkimi sposobami. To jest nie do pomyślenia.

- Proszę więc, pomóż mi. Jesteś bardzo mądry. Jesteś chanem, przecież bardzo się przyjaźnimy. Błagam cię, odwróć niebezpieczeństwo grożące mojej duszy i mojemu mężowi.

- Nie zagrażam ani twojej duszy, ani mężowi. - Hakim spojrzał na Erikkiego. - Nie zagrażam.

- Na czym polega niebezpieczeństwo, o którym mówiłeś? - odezwał się Erikki.

305

- Nie mogę ci tego powiedzieć, Erikki - odparł Hakim.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Musimy przygotować się do wyjazdu.

Azadeh wstała; Erikki poszedł w jej ślady.

- Zostań! - Hakim był wściekły. - Erikki, pozwolisz jej na wyrzeczenie się islamu, jej dziedzictwa, nieśmiertelności jej duszy?

- Nie, to nie jest częścią mojego planu - powiedział. Rodzeństwo patrzyło na niego w oszołomieniu. - Proszę cię, Hakimie, powiedz mi, na czym polega niebezpieczeństwo.

- Jaki plan? Co planujesz? Co chcesz zrobić?

- Niebezpieczeństwo. Najpierw powiedz mi, na czym polega. Islam Azadeh przy mnie nie ucierpi, przysięgam na moich własnych bogów. Jakie niebezpieczeństwo?

Hakim nie miał wcześniej zamiaru tego zdradzić, ale teraz przeraził się, że Azadeh mogłaby rzeczywiście dokonać aktu ostatecznej herezji; dezorientowała go też szczerść tego dziwnego człowieka. Po namyśle powiedział o teleksie, o ucieczce pilotów i maszyn, o swej rozmowie z Haszemim. Zauważył, że choć Azadeh była równie przerażona jak Erikki, to jednak jej zdumienie nie było szczere. Tak jakby ona już wiedziała, jakby była świadkiem obu rozmów brata. Ale skąd miałyby wiedzieć?

- Powiedziałem mu, że nie mogą cię zgarnąć w moim domu, na mojej ziemi czy w Tebrizie -
kontynuował.

- Powiedziałem, że dam ci samochód i będę miał nadzieję, że uciekniesz. Także to, że wyjedziesz nad ranem.

Erikki był wstrząśnięty. Ten teleks wszystko zmienia, pomyślał.

- A więc oni będą na mnie czekać?

- Tak. Ale nie powiedziałem Haszemiemu o tym, że już wysłałem samochód do Tebrizu, że w chwili gdy Azadeh uśnie...

- Zostawiłbyś mnie, Erikki? - Azadeh była przerażona. - Wyjechałbyś, nic nie mówiąc, nie pytając mnie o zdanie?

- Być może. Proszę, Hakimie, dokończ.

- Zaplanowałem, że w chwili gdy Azadeh uśnie, przesznuję cię do Tebrizu, gdzie czeka samochód. Stamtąd wysłałbym cię do granicy tureckiej. Mam przyjaciół w Choju; pomogliby ci przekroczyć granicę, z pomocą Boga - dodał automatycznie Hakim. Cieszył się, że był na tyle przezorny, by przygotować także taki wariant. Zrobił to tylko na wszelki wypadek. A teraz stało się, pomyślał. - A twój plan? Na czym polega?

- Co będzie, Hakim-chanie, jeśli ci się nie spodoba?

- Spróbuję ci przeszkodzić.

- Wolę więc nie ryzykować.

- Nie możesz wyjechać bez mojej pomocy.

- Przydałaby mi się twoja pomoc, to prawda.

- Erikki stracił całkowicie pewność siebie. Mac, Charlie i reszta, wszyscy wyjechali; jak, u diabła, udało im się zrobić to tak szybko? Szkoda, że nie stało się to wtedy, gdy byliśmy w Teheranie. Z drugiej strony, dzięki niech będą wszystkim bogom, że chanem jest teraz Hakim, i że może ochraniać Azadeh. Wiadomo, co SAVAK ze mną zrobi, jeśli mnie złapią, gdy mnie złapią. - Miałeś rację, mówiąc o dużym niebezpieczeństwie. Myślisz, że mógłbym uciec, tak jak ty to przedstawiłeś?

634

635

- Haszemi zostawił dwóch policjantów, którzy pilnują bramy. Myślę, że jakoś byśmy cię wywieźli. Nie wiem, czy ktoś pilnuje drogi do miasta, ale to prawdopodobne. Jeśli są czujni i cię złapią... wola Boga.

- Erikki, oni oczekują, że wyjedziesz samotnie, a pułkownik zgodził się nie ruszać cię w okręgu Tebriz

306

- powiedziała Azadeh. - Moglibyśmy się schować na skrzyni jakiejś starej ciężarówki; wtedy wystarczy odrobina szczęścia...

- Nie możesz wyjechać - rzucił niecierpliwie Hakim, lecz ona go nie słuchała. Pomyślała o Rossie i Guengu, o poprzedniej ucieczce. Oni uważali ją za bardzo trudną choć byli wyszkolonymi komandosami. Biedny Gueng. Przeszedł ją dreszcz. Droga na północ jest tak trudna jak na południe; tak łatwo zastawić pułapkę, tak łatwo zablokować szosę. Do Choju, a potem do granicy, nie jest daleko, ale to takie trudne... I jeszcze moje plecy... Wątpię, czy ujdę choć kilometr.

- Trudno - mruknęła. - Poradzimy sobie. Z pomocą Boga uciekniemy.

Hakim poczerwieniał.

- Na Boga i proroka, Azadeh, co z twoją przysięgą? Była blada, z trudem panowała nad drżeniem dłoni.

- Wybacz mi, proszę, Hakimie, już ci powiedziałam. Jeśli nie pozwolisz mi odejść z Erikkim albo jeśli Erikki nie zabierze mnie ze sobą, i tak jakoś ucieknę, przysięgam. - Zerknęła na Erikkiego. - Skoro Mac i inni uciekli, Irańczycy mogą cię wykorzystać jako zakładnika.

- Wiem. Muszę się jak najprędzej wydostać. Ale ty musisz zostać. Nie możesz zrezygnować ze swojej religii tylko z powodu dwóch lat. Mnie też jest ciężko, ale trudno.

- Czy Tom Lochart zostawiłby Szahrazad na dwa lata?

- To nie ma nic do rzeczy - odparł ostrożnie Erikki.

- Nie jesteś Szahrazad, jesteś siostrą chana i przysięgłaś, że zostaniesz.

636

- To sprawa pomiędzy mną a Bogiem. Tommy nie zostawiłby Szahrazad - powtórzyła uparcie. - A ona też nie zostawiłaby Tommy'ego, ona go ko...

- Muszę poznać twój plan - przerwał chłodno Hakim.

- Przepraszam, ale w tej sprawie nikomu nie ufam. Oczy chana przypominały teraz wąskie szparki; z wysiłkiem powstrzymał się, by nie zawołać strażnika.

- A więc znaleźliśmy się w impasie. Azadeh, nalej mi trochę kawy. - Zrobiła to. Hakim spojrzął na olbrzymiego mężczyznę odwróconego plecami do ognia.

- No i co?

- Proszę, rozwiąż jakoś ten problem, Hakim-chanie

- powiedział Erikki. - Wiem, że jesteś mądrym człowiekiem, a ja nie wyrządę krzywdy ani tobie, ani Azadeh.

Hakim wziął do ręki filiżankę i podziękował. Spoglądał w ogień, rozważając różne możliwości. Musi wiedzieć, co planuje Erikki. Chciałby, żeby Fina już tu nie było, żeby Azadeh została i była taka jak zawsze: mądra, łagodna, kochająca i posłuszna. I pozostała muzułmanką. Znał ją jednak zbyt dobrze, żeby mieć pewność, iż nie zrealizuje swej groźby; kochał ją zbyt mocno, żeby jej na to pozwolić.

- Może to cię zadowoli, Erikki: Przysięgam na Boga, że ci pomogę, jeśli tylko twój plan nie jest sprzeczny z przyrzeczeniem mojej siostry, nie zmusi jej do wyrzeczenia się religii ani nie wystawi jej na niebezpieczeństwo, duchowe lub polityczne... - Przez chwilę zastanawiał się.

- ...Nie zaszkodzi ani jej; ani mnie i... ma szansę powodzenia.

Azadeh ze złością pokręciła głową.

- To nie jest pomoc. Skąd Erikki może wiedzieć...

- Azadeh! - uciął Erikki. - Gdzie się podziało twoje dobre wychowanie? Chan mówi do mnie, nie do ciebie. Chce poznać mój plan, a nie twój.

- Przepraszam, wybac mi, proszę - powiedziała od razu. - Tak, masz rację. Przepraszam was obu; proszę o wybaczenie.

637

307

- Gdy zawieraliśmy małżeństwo, przyrzekłaś, że będziesz mi posłuszna. Pamiętasz jeszcze o tym? - zapytał szorstko, zły, że niemal zrujnowała jego plan. Dostrzegł wściekłość Hakima, a przecież potrzebował jego spokoju.

- Tak, Erikki - odpowiedziała natychmiast, wciąż wstrząśnięta tym, że Hakim odebrał jej wszystkie

możliwości oprócz tej, którą sama wybrała, a ten wybór ją przerażał. - Tak, bez zastrzeżeń, jeśli mnie nie opuścisz.

- Bez zastrzeżeń. Tak czy nie?

Przypomniała sobie łagodność Erikkiego, jego miłość i śmiech, i wszystko to, co dobre, razem z jego gwałtownością, która jej nigdy nie zagrażała, ale tylko tym, którzy jej zagrażali albo stali na jego drodze. Abdollahowi, Johnny'emu, nawet Hakimowi. Zwłaszcza Hakimowi.

Bez zastrzeżeń, chciała powiedzieć, z dwoma wyjątkami: nie wystąpię przeciwko Hakimowi i nie wtedy, gdy mnie porzucisz. Czuła na sobie twarde spojrzenie męża; po raz pierwszy trochę się go bała. Mruknęła:

- Tak, bez żadnych zastrzeżeń. Błagam, nie opuszczaj mnie.

Erikki zwrócił się do Hakima:

- Przyjmuję to, co powiedziałaś, dziękuję. Usiadł, Azadeh zawahała się, potem uklękła obok niego, opierając rękę na jego kolanach. Pragnęła fizycznego kontaktu. Miała nadzieję, że przepłoszy to jej strach i gniew; żałowała, że straciła panowanie nad sobą. Chyba zwariuję, pomyślała. Boże, pomóż mi...

- Przyjmuję reguły, które ustanowiłeś, Hakim-cha-nie - powiedział spokojnie Erikki. - Nadal jednak nie chcę ci zdradzić mojego... Chwileczkę, chwileczkę! Przrzekłeś, że mi pomożesz, jeśli nie wystawię cię na ryzyko. Nie zrobię tego. Za to - dorzucił ostrożnie - za to podam ci hipotetyczny plan, który może spełniać wszystkie twoje warunki. - Nieświadomie głaskał żonę po włosach i karku. Czuła, że opuszcza ją napięcie. Erikki patrzył na Hakima. Obaj mężczyźni byli na krawędzi wybuchu.

- Jak dotąd w porządku?

638

- Mów dalej.

- Załóżmy, że mój helikopter jest w świetnym stanie i że tylko udawałem, iż nie mogę go uruchomić i przyzwyczailem wszystkich do tego, że silnik zapala, a potem gaśnie.

Powiedzmy, że kłamałem w sprawie paliwa, i że wystarczy go na godzinę lotu, to znaczy tyle, by dostać się do granicy i...

- Naprawdę? - wyrwało się Hakimowi. Ta myśl otwierała nowe możliwości.

- Na użytek tego hipotetycznego przebiegu wydarzeń, tak. - Erikki poczuł, jak Azadeh zaciska rękę na jego kolanie, ale udał, że tego nie dostrzega. - Powiedzmy, że za minutę czy dwie, przed pójściem spać, mówię ci, iż chcę jeszcze raz spróbować uruchomić silnik.

Powiedzmy, że to robię; silniki pracują dostatecznie długo, żeby się rozgrzać, a potem gasną.

Nikt się tym nie przejmuję, wola Boga. Wszyscy myślą: dlaczego ten wariat nas budzi, przecież i tak nie polecą. Hipotetycznie mógłbym odlecieć w ciągu kilku sekund, gdyby tylko strażnicy do mnie nie strzelali i gdyby przy bramie czy za murem nie było ani policji, ani Zielonych Opasek.

Hakim głośno odetchnął. Azadeh poruszyła się niespokojnie; zaszeleścił jedwab jej sukienki.

- Modlę się o to, żeby coś takiego mogło się zdarzyć - powiedziała.

- To by było tysiąc razy lepiej niż samochodem. Tysiąc razy. Możesz latać w nocy? - spytał

Hakim.

- Tak, jeśli miałbym mapę, a większość pilotów, którzy tu latają, ma tę mapę w głowie.

Oczywiście, to tylko także założenie.

- Tak, tak. No cóż, ten hipotetyczny plan nie jest zły. W ten sposób mógłbyś uciec, gdybyś tylko zdołał zneutralizować wrogów na dziedzińcu. A teraz, hipotetycznie, co z moją siostrą?

308

- Moja żona nie weźmie udziału w żadnej ucieczce, prawdziwej czy hipotetycznej. Azadeh nie ma wyboru: musi tu zostać przez dwa lata. - Eriki dostrzegł zdziwienie Hakima i odczuł

sprzeciw Azadeh. Nie zmienił jednak rytmu głaskania jej włosów i karku, uspokajają-

639

cego ją. Mówił gładko dalej: - Ona musi dotrzymać swej przysięgi. Nie może wyjechać. Nikt, kto ją kocha, a przede wszystkim ja, nie pozwoli jej na porzucenie islamu z powodu dwóch lat. W gruncie rzeczy, Azadeh, czy to tylko hipoteza, czy prawda, to jest zakazane.

Zrozumiałaś?

- Słyszałam, co powiedziałaś, mężu - wycedziła przez zęby. Z gniewu prawie odebrało jej głos. Była wściekła, że dała się wciągnąć w zastawioną przez niego pułapkę.

- Przez dwa lata wiąże cię przysięga, potem możesz wyjechać. To zostało nakazane!

Spojrzała na niego i powiedziała ponuro:

- Może po dwóch latach nie będę chciała wyjechać. Eriki położył swą wielką dłoń na jej ramieniu; jego

palce obejmowały lekko szyję Azadeh.

- Wtedy, kobieto, wrócę i wywlokę cię za włosy. Powiedział to tak cicho i z takim jadem w głosie,

że

przeszedł ją mróz. Przez chwilę wpatrywała się w ogień, nadal opierając się o jego kolana.

Trzymał rękę na jej ramieniu. Nie zrobiła niczego, żeby się jej pozbyć. Erikki wiedział, że Azadeh jest wściekła, i że go nienawidzi. A jednak musiał powiedzieć to, co powiedział.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła lodowatym głosem i wyszła.

Obaj mężczyźni patrzyli, za nią. Gdy zostali sami, Hakim zapytał:

- Czy ona będzie posłuszna?

- Nie - odparł Erikki. - Chyba że ją zamkniesz, a nawet wtedy... Nie, ona już się zdecydowała.

- Nigdy nie pozwolę jej złamać przysięgi i wyrzec się islamu. Musisz to zrozumieć. Nawet...

nawet gdybym musiał ją zabić.

Erikki spojrzał na chana.

- Jeśli ją skrzywdzisz, będziesz martwy. Jeśli tylko ja będę żył.

SLUMSY W PÓŁNOCNEJ CZĘŚCI TEBRIZU,

22:36. Panowały ciemności. Pierwsi ludzie z Zielonych 640

Opasek podbiegli do drzwi w wysokim murze, wyłamali zamki i wpadli na dziedziniec, gęsto się ostrzeliwując. Haszemi i Robert Armstrong czekali po drugiej stronie placu, względnie bezpieczni pod osłoną zaparkowanej ciężarówki. Inni mężczyźni zniknęli w alejce na tyłach domu, żeby odciąć drogę ucieczki.

- Teraz! - rzucił Haszemi do walkie-talkie. Natychmiast tę stronę placu, po której znajdowali się ich wrogowie, zalało światło z reflektorów, zamontowanych na zamaskowanych ciężarówkach. Ludzie wybiegli innymi drzwiami, ale policja i bojownicy Zielonych Opasek otworzyli ogień. Rozgorzała bitwa. - Chodź, Robercie - powiedział Haszemi i podbiegł

ostrożnie bliżej.

Informatorzy twierdzili, że dziś wieczorem spotkają się tu wysocy przywódcy islamskich marksistów. Powiedzieli też, że ten budynek łączy z sąsiednimi sekretne przejścia. Z pomocą Hakim-chana Fazir przyspieszył pierwszą z wielu akcji, mających na celu rozbicie silnej lewicowej opozycji i aresztowanie jej przywódców. Chciał ukarać ich przykładnie, co mieściło się w zakresie jego zamierzeń.

Pierwsza grupa Zielonych Opasek opanowała już parter i atakowała schody, gardząc własnym bezpieczeństwem. Broniący się, gdy ochłonęli po szoku pierwszego uderzenia, walczyli równie

zażarcie; byli dobrze uzbrojeni i wyszkoleni.

309

Na zewnątrz, na placu, panował już względny spokój. Nikt z broniących się nie wybiegał, aby atakować lub dołączyć do nielicznych kolegów, bezradnych za samochodami, zwłaszcza że niektóre stały już w ogniu. W alei na tyłach domu panował złowieszczy spokój; policja i mężczyźni z Zielonych Opasek blokowali oba jej wyloty, dobrze ufortyfikowani za swymi samochodami.

- Dlaczego czekamy tutaj jak jacyś śmierdzący, tchórzliwi Irakijczycy? - krzyknął jeden z bojowników. - Dlaczego ich nie atakujemy?

- Czekacie, bo taki jest rozkaz pułkownika - odpowiedział mu sierżant policji. - Czekacie, bo stąd

641

możemy pozabijać wszystkie te psy bez narażania się na...

- Ja nie podlegam żadnemu psiemu pułkownikowi, tylko Bogu! Bóg jest wiellllki!

Młodzieniec odbezpieczył karabin, opuścił zasadzkę i pobiegł w kierunku tylnych drzwi. Inni ruszyli za nim. Sierżant klął i krzyczał, żeby wracali, jego słowa utonęły jednak w odgłosach strzałów, które padały z małych okienek i zabijały atakujących.

Haszemi usłyszał te strzały i pomyślał, że ludzie z atakowanego budynku usiłują się przebić.

- Te psy tamtędy nie uciekną. Robercie! - krzyknął radośnie. - Są w pułapce! - Z miejsca, w którym stał, widział, że atak na główny budynek przebiega dobrze. Wcisnął guzik nadawania.

- Drugi rzut do budynku kierownictwa.

Natychmiast mułła i kilku młodzieńców wydali bojowy okrzyk i ruszyli biegiem przez plac.

Robert Armstrong był przerażony; Fazir wysłał ich do czołowego ataku, stanowili więc łatwy cel.

- Nie wtrącaj się, Robercie! Na Boga, to twoje wtrącanie się już mnie męczy - powiedział

wcześniej Haszemi, gdy Armstrong próbował zasugerować inną taktykę. - Zatrzymaj swoje rady dla siebie. To sprawa wewnętrzna i nie ma z tobą nic wspólnego!

- Ale, Haszemi, nie we wszystkich budynkach są sami marksieści. Muszą tam mieszkać jakieś rodziny, być może setki niewinnych...

- Uspokój się albo, na Boga, będę uważał twoje zachowanie za zdradę!

- Nie wezmę w tym udziału. Wrócę i będę pilnował pałacu.

- Powiedziałem, że bierzesz udział w akcji! Myślisz, że tylko wy, Brytyjczycy, umiecie sobie poradzić z kilkoma rewolucjonistami? Zostaniesz przy mnie, żebym mógł cię pilnować.

Najpierw oddaj mi swój pistolet!

- Ale, Haszemi...

- Twój pistolet! Na proroka, ja już ci nie wierzę. Pistolet!

642

Armstrong oddał broń. Teraz Fazir przestał się złościć; śmiechem tuszował wydźwięk swoich wcześniejszych słów. Ale nie zwrócił pistoletu, bez którego Armstrong czuł się tu, jakby był

nagi, jakby w jakiś sposób został zdradzony. Spojrzał na pułkownika i dostrzegł coś dziwnego; Haszemi poruszał ustami, w kącikach widać było trochę śliny, a oczy błyszczały mu przerażająco.

Strzelanina nagle się wzmogła, co zwróciło jego uwagę znów na budynek. Strzelano z górnych okien do nowej fali atakujących. Serie z broni automatycznej dosłownie rozerwały na strzępy wielu napastników, niektórzy jednak, w tym mułła, dostali się do środka, żeby wspomóc tych atakujących, którzy jeszcze tam pozostali przy życiu. Wspólnie odciągnęli na bok ciała blokujące drogę i ruszyli zdobyć piętro.

Na placu Haszemi schował się za samochodem; ogarnęło go podniecenie i silne poczucie władzy.

- Wysłać więcej ludzi do budynku kierownictwa!

Nigdy dotąd nie dowodził bitwą ani nawet jej częścią. Zawsze pracował tajnie. W każdej operacji brało udział tylko kilku ludzi. Nawet zabójcom z Grupy Cztery wydawał rozkazy z 310

bezpiecznego miejsca, trzymając się z dala od samej akcji. Tylko raz osobiście odpalił bombę, która zabiła jego wroga z SAVAMA, generała Dżanana. Na Boga i proroka, po to właśnie się urodziłem! Dla bitwy i wojny!

- Atak generalny! - krzyknął do walkie-talkie. Potem wstał i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił: - Do ataku!

Mężczyźni wypadli z cienia. Na oślep przerzucali granaty przez mur, celowali w okna.

Wybuchy, kłęby dymu, strzały z broni zwykłej i automatycznej; potem potężna eksplozja, po trafieniu składu amunicji i paliwa, wysadziła w powietrze górne piętro i niemal całą fasadę budynku. Gorący podmuch szarpnął Haszemim, a Arm-stronga przewrócił. Mzytryk, który obserwował ich przez lornetkę z bezpiecznego miejsca, z górnego okna budynku po drugiej stronie placu, uznał, że nadszedł najważniejszy moment do działania.

643

- Teraz! - powiedział po rosyjsku.

Strzelec wyborowy już wcześniej widział cel w środku optycznego celownika karabinu, wspartego o parapet okna. Zsunął palec z języczka spustowego, wyczuł, że palec Mzytryka spoczywa na spuście i zaczął odliczać, tak jak uzgodnili wcześniej.

- Trzy... dwa... jeden... ognia!

Mzytryk ściągnął spust. Obaj mężczyźni zobaczyli, że kula dum-dum trafia Haszemiego w krzyż, rzuca go na maskę samochodu.

- Dobrze - mruknął ponuro Mzytryk. Żałował tylko tego, że jego własne oczy i dłonie nie były tak pewne, by zaufać im podczas rozprawy z mordercami syna.

- Trzy... dwa... jeden...

Karabin drgnął. Obaj zakłęli, widząc, że Armstrong odwraca się, patrzy w ich kierunku, a potem rzuca się pomiędzy samochody i ginie z pola widzenia.

- Jest za przednim kołem. Nie może uciec. Czekaj cierpliwie; strzelaj, gdy będziesz miał szansę! - Mzytryk wybiegł z pokoju i krzyknął po turecku do ludzi czekających na dole: -

Ruszajcie!

Potem wrócił do pokoju. Gdy mijał drzwi, jego strzelec wypalił.

- Dostał! - krzyknął mężczyzna, dodając przekleństwo.

Mzytryk spojrział przez lornetkę, ale nie dostrzegł Armstronga.

- Gdzie on jest?

- Za czarnym samochodem; trafiłem go, gdy wystawił głowę.

- Zabiłeś go?

- Nie, towarzyszu generale. Bardzo uważałem, tak jak pan kazał.

- Jesteś pewien?

- Tak, towarzyszu generale. Trafiłem go w ramię, może w klatkę piersiową.

Budynek Kwatery Głównej płonął; strzały z przyległych domów padały tylko sporadycznie. Atakujący

znacznie przewyższali liczbę obrońców, i wpadli już w dziki, brutalny szal bojowy.

Barbarzyńcy, pomyślał pogardliwie Mzytryk. Spojrzał na wijące się i miotające w konwulsjach ciało Haszemiego na krawędzi rowu. Nie umieraj zbyt szybko, matierjebiec.

- Widzisz go? Anglika?

- Nie, towarzyszu generale, ale kryję obie strony.

Potem Mzytryk ujrzał nadjeżdżający na wpół zdemolowany ambulans. Ludzie z opaskami Czerwonego Krzyża wynieśli nosze i zaczęli zbierać rannych. Bitwa prawie wygasła. Dobrze, że tu jestem, pomyślał. Gniew jeszcze nie ustąpił. Postanowił osobiście pokierować odwetem, w chwili gdy dotarła do niego wiadomość od Hakim-chana. Kiepsko zawoalowane

„wezwania” wraz z tajnym raportem Pahmudiego o tym, jak zginął jego syn z rąk Haszemiego i Armstronga, wywołały paroksyzm gniewu.

311

Łatwo było wylądować helikopterem za przedmieściami Tebrizu, łatwo zorganizować kontratak, żeby schwytać w pułapkę dwóch morderców. Łatwo było zaplanować zemstę, która scementuje jego stosunki z Pahmudim, usuwając zarazem wroga, Haszemiego Fazira, i która jednocześnie odsunie od jego mudżahed-dinów i ludzi z Tude wiele groźących niebezpieczeństw. No i Armstrong, tajemniczy agent MI6, którego już od dawna trzeba było wyeliminować; oby ten drań był przeklęty za to, że zjawił się jak duch po tych wszystkich latach.

- Towarzyszu generale!

- Tak, widzę ich.

Mzytryk patrzył na ludzi z Czerwonego Krzyża, którzy położyli Haszemiego na noszach i nieśli go w kierunku ambulansu. Inni weszli za samochód. Podniecenie Mzytryka sięgnęło szczytu. Strzelec wyborowy cierpliwie czekał. Ludzie pojawili się znów, na wpół prowadząc, na wpół wlokąc Armstronga pomiędzy sobą.

- Wiedziałem, że trafiłem sukinsyna - powiedział strzelec.

645

W PAŁACU, 23:04. Rozbłysła czerwona poświata, oświetlająca instrumenty pokładowe podczas nocnych lotów. Erikki nacisnął guzik startera. Silniki krztusiły się, gdy manipulował

przerywaczami obwodu. Wsunął je na miejsce; silniki zaczęły się rozgrzewać.

Pracujące na pół mocy reflektory oświetlały dziedziniec. Azadeh i Hakim-chan, ciepło ubrani, stali poza zasięgiem wirującego śmigła, obserwując pilota. Przy odległej o jakieś sto metrów głównej bramie stało dwóch strażników i dwóch policjantów Haszemiego. Oni też patrzyli, ale bez

szczególne zainteresowania. W mroku żarzyły się ich papierosy. Policjanci zarzucili kałasznikowy na ramiona i podeszli bliżej.

Silniki nów parsknęły. Hakim-chan zawołał, przekrzykując hałas:

- Erikki, daj sobie na dzisiaj spokój!

Erikki nie usłyszał. Hakim odsunął się od źródła hałasu, bliżej bramy. Azadeh niechętnie ruszyła za nim. Chan szedł z trudem, niepewnie; nie posługiwał się sprawnie kulami.

- Pozdrowienia, Wasza Wysokość - odezwał się grzecznie policjant.

- Pozdrowienia. Azadeh! - rzekł poirytowanym głosem. - Twój mąż nie ma cierpliwości i zachowuje się bezsensownie. Co się z nim dzieje? Te ciągłe próby stają się już śmieszne.

Nawet gdyby mu się udało, to co by komu z tego przyszło?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. - Azadeh była bardzo blada i niespokojna. - On... od czasu ostatnich wydarzeń zrobił się bardzo dziwny, trudno... trudno go zrozumieć. Nawet trochę mnie przeraża.

- To mnie nie dziwi! On mógłby przerazić samego diabła.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość - powiedziała Azadeh. - Ale on zwykle... dawniej tak nie było.

Obaj policjanci odwrócili się dyskretnie, ale Hakim ich zatrzymał.

- Czy zauważyliście jakąś zmianę w zachowaniu pilota?

646

- On jest bardzo zły, Wasza Wysokość. Jest zły już od wielu godzin. Widziałem, jak kopnął śmigłowiec. Ale czy się zmienił? Nie wiem, nie znałem go przedtem.

Kapral miał czterdzieści kilka lat i nie szukał kłopotów. Drugi mężczyzna był młodszy i jeszcze bardziej zaniepokojony. Rozkaz brzmiał: obserwować pilota i czekać, aż odjedzie samochodem albo aż odjedzie w ogóle jakiś samochód. Nie zatrzymywać go, tylko zgłosić natychmiast przez radio. Obaj policjanci zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa: chanowie z Gorgo-nów mieli bardzo długie ręce. Obaj wiedzieli, że służący i strażnicy poprzedniego chana, oskarżeni przez niego o zdradę, nadal gnili w policyjnych lochach. Wiedzieli też jednak, że Wywiadu Wewnętrznego trzeba się obawiać jeszcze bardziej.

- Powiedz mu, Azadeh, żeby przestał, żeby wyłączył silniki.

312

- On nigdy przedtem nie był tak... tak wściekły na mnie, a dziś... - Jej spojrzenie było gniewne. - Nie

sądzę, żeby mnie posłuchał.

- Musisz spróbować!

- Gdy jest choć trochę zły, nie mogę go do niczego skłonić.

Policjanci dostrzegli bladość Azadeh; bardzo jej żalowali, ale jeszcze bardziej obawiali się o siebie. Wiedzieli, co zaszło na zboczu góry. Niech Bóg strzeże nas przed Olbrzymem z Nożem! Jak to jest: wyjść za mąż za takiego barbarzyńcę? Wszyscy wiedzą, że pił krew koczowników, których pozabijał. Czcili leśne duchy, występując przeciwko prawom Boga, i tarza się nagi w śniegu, zmuszając żonę, żeby robiła to samo.

Silniki kaszlnęły i zaczęły się dławić. Erikki ryknął gniewnie i uderzył olbrzymią pięścią w burte kokpitu, wgniatając ją głęboko.

- Wasza Wysokość, za twoim pozwoleniem pójdę już się położyć. Chyba wezmę pastylkę nasenną. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej... - Słowa Azadeh zacichły.

- Tak, pastylka to dobry pomysł, bardzo dobry. Ja będę musiał wziąć aż dwie; bolą mnie plecy i bez

647

leków nie mogę już zasnąć. - Hakim dodał ze złością:

- To jego wina! Gdyby nie on, nie cierpiałbym bólu.

- Zwrócił się do swego ochroniarza: - Przyrowadź strażników, którzy pilnują bramy; chcę wydać im polecenia. Chodź, Azadeh.

Odszedł, okazując ból. Azadeh potulnie ruszyła u jego boku. Silniki znów zaczęły wyc.

Hakim-chan odwrócił się i warknął pod adresem policjanta:

- Jeśli nie przestanie, za pięć minut każ mu w moim imieniu skończyć. Pięć minut, na Boga!

Policjanci patrzyli za nim niespokojnie. Ochroniarz z dwoma strażnikami wbiegał za chanem po schodach.

- Jeśli nawet Jej Wysokość nie może sobie z nim poradzić, to co dopiero my? - zauważył starszy policjant.

- Z pomocą Boga silniki będą pracować tak, że barbarzyńca będzie zadowolony i sam je wyłączy.

Światła na dziedzińcu zgasły. Minęło sześć minut; silniki nadal na przemian zaczynały pracować i gasły.

- Lepiej wykonajmy polecenie. - Młody policjant był bardzo zdenerwowany. - Chan powiedział: pięć. Jesteśmy już spóźnieni.

- Bądź gotów do ucieczki i staraj się go nie denerwować. Odbezpiecz broń. - Niepewnie podeszli bliżej.

- Pilocie! - Pilot był jednak odwrócony do nich plecami i na wpół schowany w kokpicie. Psi syn! Bliżej, do wirującego śmigła. - Pilocie! - zawołał kapral.

- On cię nie słyszy. Kto by usłyszał w tym hałasie? Podejdź tam, będę cię krył.

Kapral skinął głową, poleciał duszę Bogu i zanurkował pod wirujące śmigło.

- Pilocie! - Musiał podejść bardzo blisko i go dotknąć. - Pilocie! - Teraz pilot odwrócił się z ponurym wyrazem twarzy i powiedział coś w barbarzyńskim języku, którego policjant nie znał, ale zmusił się do uśmiechu. - Proszę, ekscelencjo pilocie, to rozkaz chana.

648

Odpowiedziało mu puste spojrzenie. Przypomniawszy sobie, że Olbrzym z Nożem nie zna żadnego cywilizowanego języka, zatem powtórzył wszystko głośniejszym, wyraźniejszym głosem, wspierając słowa gestami. Zobaczył z ulgą, że pilot skinął głową, tak jakby przepraszał, i przesunął

jakieś przełączniki. Silniki zaczęły wytracać obroty, rotor zwalniał.

Bogu niech będzie chwała! Dobra robota, sprytnie to załatwiłeś, pomyślał kapral. Rozpierała go duma.

313

- Dziękuję, ekscelencjo pilocie, dziękuję. Zadowolony z siebie i ośmielony, zerknął do wnętrza kokpitu. Zobaczył, że pilot daje mu znaki, iż chce zachować się wobec niego grzecznie - tak jak powinien, na Boga - zapraszając go do zajęcia miejsca za sterami. Dumny jak paw, spojrzał grzecznie na barbarzyńcę, wsunął się do kokpitu i zaczął oglądać przyrządy sterownicze oraz instrumenty.

Młodszy policjant, którego pozerła ciekawość, podszedł do drzwiczek kokpitu. Nachylił się, żeby lepiej widzieć, zafascynowany rzędami przełączników i tarcz, które żarzyły się w ciemności.

- Na Boga, kapralu, widziałeś kiedyś tyle zegarów naraz? Wyglądasz, jakby ten fotel był dla ciebie stworzony!

- Chciałbym być pilotem - powiedział kapral. - Ja...

- Urwał, zdumiony, gdy jego słowa przerwała oślepiająca czerwona mgła, która wytłoczyła mu powietrze z płuc i sprawiła, że ogarnęła go całkowita ciemność.

Erikki zderzył głowę młodszego policjanta z głową starszego, ogłuszając obu. Rotor przestał

już się obracać. Erikki rozejrzał się. W mroku nie widać było żadnego ruchu, tylko nieliczne światła w pałacu. Żadnych obcych oczu czy obecności, którą mógłby wyczuć. Prędko umieścił karabinki policjantów za fotelem pilota. W ciągu zaledwie kilku sekund wciągnął

obu mężczyzn do kabiny, wcisnął im w usta tabletki nasenne, które wziął z biurka Azadeh, i zakneblował ich. Odczekał chwilę, żeby złapać oddech, przeszedł do przodu i upewnił się, że wszystko jest przygotowane do szyb-649

kiego startu. Wrócił do kabiny. Mężczyźni się nie poruszyli. Oparł się o drzwi, gotów uciszyć ich w razie potrzeby. Miał wyschnięte gardło, oblewał się potem. Czekał. Usłyszał psy i pobrzękiwanie łańcuchów, na których je prowadzono. Przygotował stena. Patrol z dobermanami na smyczy przeszedł obok, nie zauważając Fina, który patrzył na pałac. Nie miał już temblaka.

W PÓŁNOCNYCH SLUMSACH. Rozklekotany ambulans z budą obciążoną płótnem toczył się po wyboistych uliczkach. Z tyłu dwóch sanitariuszy pilnowało trzech par noszy; na jednych leżał Haszemi; wył i krwawił z rozerwanego brzucha.

- W imieniu Boga, dajcie mu morfinę - wysyczał Armstrong, przezwyciężając własny ból.

Leżał na noszach, wsparty o burtę samochodu. Przyciskał tampon do otworu, jaki kula wyrwała mu w górnej części klatki piersiowej. Nie zdawał sobie sprawy ze strumienia krwi, wypływającego z rany w plecach i wsiąkającego w palto, które jeden z sanitariuszy wepchnął

pod jego płaszcz. - Dajcie mu morfinę, prędko! - powtórzył, klnąc w farsi i po angielsku, nienawidząc ich za głupotę i ślamazarność. Był w szoku po uderzeniu kuli, która nadleciała nie wiadomo skąd. Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

- Co my możemy, ekscelencjo? - Rozległ się w ciemności głos. - Nie mamy żadnej morfiny.

To wola Boga. - Mężczyzna zapalił latarkę, oślepił Armstronga, a potem skierował snop światła na Haszemiego i wreszcie na trzecie nosze. Leżący na nich młodzieniec już nie żył.

Armstrong zobaczył, że nie zatroszczyli się o to, żeby zamknąć mu oczy. Fazir zawył.

- Zgaś latarkę, Esmā'il - powiedział drugi sanitariusz. - Chcesz, żeby do nas strzelali?

Esmā'il usłuchał. W ciemnościach zapalił papierosa, kaszlnął i hałaśliwie odchrząknął. Na moment odchylił plandekę, żeby zorientować się w położeniu.

- Już tylko kilka minut, jeśli Bóg pozwoli. - Nachylił się i trącił Haszemiego, przenosząc go ze spokoju

nieświadomości do piekła bólu. - Już tylko kilka minut, ekscelencjo pułkownika, proszę nie umierać -

powiedział, chcąc okazać troskę. - Za kilka minut zajmą się panem.

314

Wszyscy zatoczyli się, gdy koło wpadło w dziurę w jezdni. Armstronga oślepił ból. Gdy poczuł, że ambulans się zatrzymuje, prawie załkał z poczucia ulgi. Jacyś ludzie podnieśli plandekę i wgramolili się do środka. Szorstkie ręce chwyciły Armstronga za stopy, wywlekły i ułożyły na innych noszach; zapięły pasy. Przez mgłę bólu zobaczył, jak nosze Haszemiego nikną w ciemnościach. Potem poczuł, że podniesiono gwałtownie jego nosze; ból był tak dotkliwy, że Armstrong stracił przytomność.

Noszowi przekroczyli rów i weszli przez drzwi w wysokim murze. Minęli odrapany korytarz i zeszli po schodach do dużej piwnicy, oświetlonej lampkami oliwnymi. Mzytryk polecił:

- Połóżcie go tam! - Wskazał drugi stół. Na pierwszym leżał już Haszemi, przypięty pasami do noszy. Mzytryk przyjrzał się ranom Armstronga, potem Fazi-ra. Obaj ranni nie odzyskali jeszcze przytomności. - Do-

|brze - stwierdził. - Poczekaj na górze. Esmail.

Esmail zdjął brudną opaskę ze znakiem Czerwonego Krzyża i rzucił ją na stos innych.

- Wielu naszych ludzi poniosło w budynku męczeńską śmierć. Wątpię, czy komuś udało się uciec.

- A więc postąpiłeś mądrze, nie idąc na to zebranie. Esmail wszedł hałaśliwie po schodach, aby dołączyć

do kolegów, którzy głośno gratulowali sobie sukcesu: schwytania wroga i jego psa łańcuchowego, cudzoziemca. Wszyscy byli zaufanymi, sprawdzonymi bojownikami islamsko-marksistowskimi; nie było wśród nich żadnego sanitariusza.

Mzytryk poczekał, aż zostanie sam. Wyjął mały 1 scyzoryk i wbił go głęboko w ciało Haszemiego. Roz-

, dzierający krzyk rannego sprawił mu radość. Gdy przebrzmiał, Mzytryk skropił twarz pułkownika lodowatą

li 6si

wodą. Fazor otworzył oczy, a przerażenie i ból, które Mzytryk w nich dojrzał, ucieszyły go jeszcze bardziej.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć, pułkowniku? Zamordował pan mojego syna, Fedora.

Generał Petr Oleg Mzytryk, do usług.

Znów posłużył się nożem. Haszemi zawył, jego twarz przybrała groteskowy wygląd.

Wykrzykiwał jakieś słowa, próbował przerwać krępujące go więzy.

- To za mojego syna... i to za mojego syna... i to za mojego syna...

Haszemi miał mocne, zdrowe serce. Przez wiele minut żył, błagał o litość, błagał o śmierć.

Prosił jedyne Boga o śmierć i zemstę. Skonał w męczarniach.

Mzytryk stał nad nim przez chwilę, mimo że do jego nozdrzy docierała obrzydliwa woń. Nie musiał jednak przypominać sobie, co ci dwaj zrobili jego synowi, stosując trzeci stopień.

Raport Pahmudiego był dokładny.

- Haszemi Fazir, dostałeś to, na co zasłużyłeś. Jesteś gównojadem - powiedział i splunął na twarz trupa.

Potem odwrócił się i znieruchomiał. Armstrong odzyskał przytomność. Patrzył na niego z przeciwległego kąta piwnicy. Chłodne niebieskie oczy. Twarz, z której odpłynęła krew.

Zdumiał go brak objawów strachu. Wkrótce to zmienię, pomyślał i wyjął scyzoryk. Zobaczył, że Armstrong oswobodził prawą rękę. Zanim zdążył zareagować. Anglik sięgnął do klapy płaszcza. Trzymał przy ustach róg, w którym zaszyta była kapsułka z cyjankiem.

- Nie ruszaj się! - rzucił ostrzegawczo Armstrong. Mzytryk był za stary, żeby zdecydować się na nagły

skok, zresztą odległość była i tak zbyt duża. W kieszeni miał pistolet, ale było jasne, że Armstrong zdąży rozgryźć kapsułkę; trzy sekundy to za mało, żeby się zemścić. Mógł tylko żywić nadzieję, że Anglik straci przytomność lub że ból osłabi jego uwagę. Oparł się o stół i zaklął.

315

Gdy w ciemności przypinano Armstronga do noszy, instynktownie napiął mięśnie ręki, żeby uzyskać luz wystarczający do jej oswobodzenia, na wypadek gdyby 652

ból stał się nie do zniesienia. Drugą kapsułkę miał zaszytą w kołnierzyku koszuli. Zadygotał, gdy Haszemi umierał, dziękując Bogu za chwilę zwłoki, która pozwoliła mu kosztem ogromnego wysiłku wyszarpnąć rękę. Kiedy dotknął kapsułki, opuścił go strach, a zarazem niemal przestał odczuwać ból. Na krawędzi śmierci odzyskał spokój.

- Jesteśmy... jesteśmy zawodowcami - powiedział.

- Nie zamordowaliśmy pańskiego... pańskiego syna. Żył, gdy generał Dżanan zabrał go dla Pahmudiego.

- Kłamca!

Mzytryk poznał po głosie słabość wroga. Wiedział, że nie musi już długo czekać.

Przygotował się.

- Przeczytaj oficjalne... oficjalne dokumenty... SA-VAMA musiała jakieś sporządzić... i ci z twojego przeklętego przez Boga KGB - mówił z trudem Armstrong.

- ^ Myślisz, że jestem na tyle głupi, żebyś mógł nastawić mnie przeciwko Pahmudiemu, zanim umrzesz?

- Przeczytaj raporty, pytaj, możesz poznać prawdę. Ale wy, sukinsyny z KGB, nie lubicie prawdy. Powtarzam: żył, kiedy zabrali go ci z SAVAMA.

Mzytryk był zbity z tropu. Taki zawodowiec jak Armstrong, tak czy inaczej w obliczu śmierci, nie traciłby czasu na sugerowanie tego rodzaju dochodzenia, gdyby nie był pewien jego wyniku.

- Gdzie są taśmy?

- Nie ma żadnych. Nie... nie z trzeciego stopnia.

- Armstrong tracił siły. Ból minął, upływał czas. Z każdą chwilą było mu coraz trudniej skupić uwagę. Ale taśmy muszą być chronione; kopia jedzie już bezpiecznie do Londynu razem ze specjalnym raportem. - Twój syn był odważny i silny. Niczego nam nie powiedział.

Nie wiem, co... co wyrwał z niego Pahmudi... zbiry Pahmudiego... to wasze szumowiny. On...

on żył, gdy wasza grupa go zabrała. Pahmudi powiedział Haszemiemu.

To możliwe, pomyślał niespokojnie Mzytryk. Te bękarty, zjadacze gówna z Teheranu, zrobiły bałagan w Iranie, przez całe lata błędnie odczytywały Szacha i plugawiły naszą pracę od pokoleń.

653

- Przekonam się. Na głowę mojego syna, wykryję prawdę, ale to ci już nie pomoże, towarzyszu!

- Przysługa wymaga... wymaga wzajemności. Załatwiłeś Rogera, Rogera Crosse'a, co?

Mzytryk roześmiał się. Teraz mógł mu naurągać i w ten sposób zużytkować czas oczekiwania.

- Ja to zorganizowałem, tak. Czy pamiętasz AMG? I Talbota, ale w tym wypadku powiedziałem Pahmudie-mu, żeby do 16/a wykorzystał tego zjadacza gówna, Fazira.

Zauważył, że chłodne, niebieskie oczy zwęziły się; zastanawiał się, co się w nich kryje.

Armstrong szukał w pamięci. AMG? Ach, tak, Alan Medford Grant, urodzony w 1905, senior agentów kontrwywiadu. W roku 1963, jako tajny informator Iana Dunrossa, wskazał kreta w Noble House. I innego w moim Wydziale Specjalnym; jak się okazało, był nim mój najlepszy przyjaciel.

- To kłamstwo! AMG zabił się na motocyklu w 1963.

- Ktoś mu pomógł. Mieliśmy już od roku 16/a na tego zdrajcę i na jego żonę, Japonkę.

- Nie był żonaty.

- Co wy tam wiecie. Wydział Specjalny? Głowy pełne łajna. Była z japońskiego wywiadu.

Miała wypadek w Sydney w tym samym roku.

316

Armstrong pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. „Wypadek” motocyklowy AMG b/ł

rzeczywiście zorganizowany przez KGB, lecz potem wyreżyserowany przez MI6.

Świadczenie zgonu było oryginalne, cudze, a Alan Medford Grant nadal skutecznie działa, choć ma już inną twarz i inną przykrywkę, której nawet ja nie znam. Ale żona? Japonka? Czy to kolejna zasłona dymna, kolejna tajemnica? Kręgi w kręgach, kręgi w...

Przeszłość zaczęła Armstronga wciągać. Z wysiłkiem skierował myśli na to, co naprawdę chciał wiedzieć. Pragnął sprawdzić, czy miał rację, czy też się mylił. Nie było czasu do stracenia, już nie.

- Kim jest czwarty człowiek, nasz arcyzdrajca?

654

Mzytryk skoncentrował się, potem uśmiechnął, gdyż Armstrong dał mu do ręki klucz do psychologicznej zemsty. Wypowiedział nazwisko i zobaczył, że Anglik jest zaszokowany.

Podał też nazwisko piątego, nawet szóstego.

- MI6 roi się od naszych agentów, nie tylko kretów. Tak samo w MI5, w większości waszych związków zawodowych. Ted Everly jest jednym z naszych, Broad-hurst i lord Grey -

pamiętasz go z Hongkongu? No i nie tylko Partia Pracy, choć to nasze najżyźniejsze pole.

Nazwiska? - zapytał, napawając się swą przewagą. Wiedział, że porusza się po bezpiecznym terenie.

- Zajrzyj do Who's Who\ Wysoko, w City, w Foreign Office. Henley jest nasz, a ja mam już kopię twojego raportu. Mamy ludzi aż do Gabinetu, może nawet na Downing Street.

W Wielkiej Brytanii pracuje pięciuset naszych zawodowców, nie licząc waszych zdrajców. -

Jego śmiech zabrzmiał okrutnie.

- A Smedley-Taylor?

- Och, tak, on też... - Nagle Mzytryk urwał. Zaczął się mieć na baczności. - Skąd o nim wiesz? Jeśli

wiesz o nim... Co?

Armstrong był zadowolony. Fedor Rakoczy nie skłamał. Wszystkie te nazwiska są na taśmie, taśma jest bezpieczna; Henleyowi nigdy nie ufał, nawet Talbotowi. Był zadowolony, ale i smutny. Żałował, że nie będzie mógł sam ich zdemaskować. Ktoś to zrobi. Może AMG?

Zatrzepotał powiekami, ręka puściła klapę płaszcza. Mzytryk błyskawicznie ruszył naprzód; jak na swoją tuszę, poruszał się niezwykle sprawnie. Przycisnął Armstronga nogą do stołu i oderwał klapę. Teraz Armstrong był bezsilny.

- Obudź się, matierjebied - krzyknął tryumfująco. Wydobył nóż. - Skąd wiesz o Smedleyu?

Armstrong nie odpowiedział. Śmierć nadeszła cicho. Mzytryk był wściekły, waliło mu serce.

- Nie szkodzi, jego już nie ma, nie trać czasu - mruknął. Ten sukinsyn poszedł do piekła, wiedząc, że był tylko narzędziem zdrajców, niektórych. Ale skąd wie-655

dział o Smedleyu-Taylorze? Do diabła z nim. A jeśli o moim synu powiedział prawdę?

W kącie piwnicy stała puszka nafty. Oblał naftą ciała, jego gniew zelżał.

- Esma'il! - zawołał. Gdy wylał już naftę, cisnął puszkę do kąta. Esma'il zszedł do piwnicy razem z drugim człowiekiem. - Gotowi do odjazdu? - zapytał.

- Tak, dzięki Bogu.

- Także dzięki nam samym - rzucił beztrosko Mzy-tryk. Wytarł ręce. Był zmęczony, lecz zadowolony z przebiegu dnia i nocy. Teraz tylko krótka podróż na przedmieścia Tebrizu do helikoptera. Potem niecała godzina do dachy w Tbilisi i Wertyńskiej. Za parę tygodni ten młody szczeniak, Hakim, przyjedzie z pisz-keszem, Azadeh, albo bez. Jeśli bez, będzie go to drogo kosztować. - Zapalajcie - rzucił sucho. - Zabieramy się stąd.

- Proszę, towarzyszu generale! - Esmail rzucił mu wesoło pudełko zapalek. - To pański przywilej. Może pan dokończyć to, co zaczął.

Mzytryk złapał pudełko.

- Dobrze - powiedział.

317

Pierwsza zapalka nie zapaliła się. Druga też. Trzecia tak. Wycofał się do schodów i ostrożnie rzucił. Płomienie strzeliły pod sufit, do drewnianych belek stropowych. Stopa Esmaila trafiła generała w plecy. Upadł na podłogę, na krawędź ognia. Krzyknął; na czerniejących szybko dłoniach i kolanach uciekał w stronę schodów. Zatrzymał się na chwilę, kaszląc i dławiąc się czarnym dymem, fetorem palonego ciała. Udało mu się jakoś wstać. Pierwsza kula strzaskała rzepkę kolanową. Zawył i zatoczył się do tyłu, do ognia. Drugi pocisk złamał mu nogę i rzucił

go na ziemię. Bezradnie machał rękami; jego wycie utonęło w huku płomieni. Zamienił się w żywą pochodnię.

Esmail i drugi mężczyzna wycofali się na podest, zderzając z innymi, którzy zbiegali na dół.

Wlepili spojrzenia w wijące się ciało Mzytryka; płomienie ogarnęły już jego buty.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał jeden z nich z przerażeniem w głosie.

- Mój brat zginął męczeńsko w Kwaterze Głównej. Twój kuzyn też.

- Wedle woli Boga, ale, Esmail, żeby tak towarzysza generała? Niech Bóg ma nas w swojej opiece. On dawał nam pieniądze, broń, materiały wybuchowe... Dlaczego go zabiłeś?

- A dlaczego nie? Czyż ten psi syn nie był aroganckim, źle wychowanym czcicielem szatana?

Nie był nawet człowiekiem Księgi. Tam u nich są jeszcze tuziny, co ja mówię, tysiące takich jak on. Oni nas potrzebują, a my ich nie. Zasłużył na śmierć. Czyż nie przybył sam i nie skusił

mnie? - Splunął w kierunku ciała. - Ważne osoby powinny mieć swych goryli.

Płomienie doszły do miejsca, w którym stali. Wycofali się w pośpiechu. Ogień ogarnął

drewniane schody; rozprzestrzenił się gwałtownie. Na ulicy wskoczyli do ciężarówki, która nie udawała już ambulansu. Esmal' il obejrzał się. Na widok ognia pożerającego dom zaśmiał się hałaśliwie.

- Pali się ten pies! Oby wszyscy niewierni zginęli równie szybko!

NA DZIEDZIŃCU PAŁACU. Erikki stał, opierając się o 212. Zgasło światło w apartamentach chana na drugim piętrze. Upewnił się, że obaj policjanci śpią. Po cichu zasunął

drzwi kabiny, poprawił położenie tkwiącego za pasem noża i wziął do ręki stena. Ruszył w kierunku pałacu ze zręcznością nocnego myśliwego. Strażnicy, czuwający przy bramie, nie zauważyli go. Zresztą po cóż mieliby sobie zawracać głowę pilnowaniem Fina? Chan powiedział wyraźnie, żeby dali mu spokój, że na pewno znudzi mu się wkrótce zabawa z silnikiem.

- Jeśli weźmie samochód, pozwólcie mu. Gdyby policjanci szukali kłopotów, to już nie nasz problem.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odpowiedzieli, zadowoleni, że nie odpowiadają za pilnowanie Olbrzyma z Nożem.

656

657

Erikki wśliznął się przez frontowe drzwi. Ruszył słabo oświetlonym korytarzem w kierunku schodów prowadzących do północnego skrzydła, odległego od pomieszczeń zajmowanych przez chana. Bezszelestnie pokonał schody i inny korytarz. Spod drzwi pokoju jego i Azadeh sączyło się światło. Bez wahania wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Wszedł do sypialni. Ku jego zaskoczeniu, była tam Mina, pokojówka. Klęczała obok łóżka i robiła masaż śpiącej Azadeh.

- Och, przepraszam. - Zadrzała. Bala się go tak jak cała reszta służy. - Nie usłyszałam Waszej Ekscelencji. Jej Wysokość prosiła... poprosiła mnie, żebym masowała ją jak najdłużej, a potem spała tutaj.

Twarz Erikkiego przypominała maskę. Plamy oleju na policzkach i przytwierdzonym plastrem opatrunku na uchu nadawały mu jeszcze groźniejszy wygląd.

- Azadeh!

- Och, nie może jej pan obudzić, ekscelencjo, ona wzięła... wzięła dwie pastylki nasenne i prosiła, żebym pana przeprosiła, gdyby pan...

318

- Ubierz ją! - syknął. Mina zbladła.

- Ale, ekscelencjo!

Jej serce na chwilę zamarło, gdy ujrzała nóż, który pojawił się w jego dłoni.

- Ubierz ją prędko. Jeśli choć piśniesz, wypruję ci flaki. Ruszaj się! - Zobaczył, że służąca podnosi suknię. - Nie to, Mina! Ciepłe ubranie, narciarskie. Na wszystkich bogów, nieważne które, byle szybko! Obserwował ją, blokując dostęp do drzwi. Na małym stoliku leżał kukri w pochwie. Przeszedł go dreszcz. Oderwał wzrok od noża i wyjął z sekretarzyka torebkę Azadeh. Były w niej wszystkie dokumenty: dowód tożsamości, paszport, prawo jazdy, świadectwo urodzenia, wszystko. Dobrze, pomyślał i jeszcze raz podziękował w duchu Aiszy za ten podarunek, o którym powiedziała mu Azadeh. Dziękował też swym starożytnym bogom za to,

658

że dziś rano podsunęli mu właściwy plan działania. Ach, kochanie, myślałaś, że naprawdę cię zostawię?

W torebce znajdował się też jedwabny woreczek z biżuterią; wydawało się, że jest cięższy niż zwykle. Patrzył ze zdumieniem na szmaragdy, diamenty, naszyjniki z pereł i wisiorki. To po Nadzud, pomyślał, to tych kamieni użył Hakim, układając się z koczownikami, to te odebrałem Bajazidowi. Zobaczył w lustrze, że Mina patrzy na całe to bogactwo, które trzymał

w dłoni. Azadeh była bezwładna, już prawie ubrana.

- Pospiesz się! - warknął do odbicia pokojówki w lustrze.

ZASADZKA PRZY DRODZE PONIŻEJ PAŁACU. Sierżant policji i jego kierowca czekali przy drodze, obserwując pałac odległy o czterysta metrów. Sierżant posługiwał się lornetką.

Widział słabe światła przy ogromnej stróżówce; ani śladu strażników czy jego własnych ludzi.

- Podjedź tam - rozkazał niespokojnie. - Na Boga, coś jest nie w porządku! Śpią albo są martwi. Jedź powoli i po cichu.

Sięgnął po automat i załadował. Kierowca zapalił silnik i ruszył pustą drogą.

PRZY GŁÓWNEJ BRAMIE. Strażnik Babak opierał się o kolumnę wewnątrz masywnej żelaznej bramy, zamkniętej na zasuwę i zabezpieczonej sztabami. Drugi strażnik leżał nie opodal na jakichś workach. Spał. Przez kratę bramy widać było okoloną śnieżnymi zaspami drogę, która wiała się w dół, do miasta. Za pozbawioną teraz wody fontanną na dziedzińcu, w odległości stu metrów, stał helikopter. Lodowaty wiatr poruszał nieznacznie śmigłem.

Babak ziewnął. Przytupywał z zimna, potem oddał mocz przez kratę, bezmyślnie kierując strumień w różne strony. Przedtem, gdy chan ich odprawił i wrócili na posterunek, stwierdzili, że policjanci zniknęli.

659

- Poszli po coś do jedzenia albo śpią - zauważył. - Oby Bóg przeklął wszystkich policjantów.

Ziewnął. Nie mógł wprost doczekać się świtu, kiedy to na kilka godzin zejdzie ze służby.

Trzeba tylko wypuścić samochód pilota, a potem zamknąć bramę. Wkrótce będzie już w łóżku, obok gorącego ciała. Odruchowo dotknął ręką genitaliów; ożywiły się, twardniały.

Odchylił się leniwie do tyłu; bawiąc się z sobą samym, obrzucił wzrokiem bramę. Ciężka sztaba była na miejscu, mała, boczna brama także była zamknięta. Jego oczy wychwyciły jakiś ruch na krawędzi pola widzenia. Spojrzał uważniej. Pilot wychodził właśnie bocznymi drzwiami. Niósł na ramieniu jakiś tobół; nie miał już ręki na temblaku, ale miał za to broń.

Babak pospiesznie zapiął rozporek, zdjął karabin z ramienia i zszedł z pola widzenia.

Delikatnie kopnął drugiego strażnika, który się obudził.

- Patrz - szepnął. - Myślałem, że pilot jest przez cały czas w kabinie.

Widzieli, jak Erikki przemyka się, wybierając ciemniejsze miejsca, potem przebiega przez otwartą przestrzeń i niknie po drugiej stronie śmigłowca.

- Co on niesie? Co to za tobół?

319

- Wygląda jak dywan, zwinięty dywan - szepnął drugi strażnik. Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi kok-pitu.

- Ale dlaczego? Na wszystkie imiona Boga, co on robi?

Oświetlenie nie było najlepsze, ale widzieli wszystko i wszystko słyszeli. Dotarł do nich hałas silnika nadjeżdżającego samochodu, ich uwagę jednak przykuł odgłos otwierania drzwi kabiny helikoptera. Czekali, wstrzymując oddech. Zobaczyli, że Fin kładzie dwa toboły pod helikopterem, potem nurkuje pod ogonem maszyny i wyłania się z ich strony. Zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na bramę, ale ich nie zauważył. Otworzył drzwiczki kokpitu i wszedł, trzymając w ręku broń. Zwinięty dywan leżał na fotelu obok miejsca pilota.

Nagle zawyły silniki; obaj strażnicy drgnęli.

660

- Niech Bóg nas strzeże! Co mamy zrobić?

- Nic - odparł Babak nerwowo. - Chan powiedział wyraźnie: „Zostawcie pilota w spokoju, cokolwiek by robił, on jest niebezpieczny”. Tak przecież powiedział, prawda? Powiedział też:

„Jeśli pilot zabierze przed świtem samochód, pozwólcie mu odjechać”. - Babak musiał mówić

głośniej, żeby przekrzyczeć hałas maszyny.

- Po prostu nie robimy niczego.

- Ale nie powiedział nam, że on znów uruchomi silnik ani że będzie wynosił dywany.

- Masz rację. Wedle woli Boga, ale masz rację.

- Denerwowali się coraz bardziej. Pamiętali o strażnikach uwięzionych i wychłostanych przez starego chana za nieposłuszeństwo. Pamiętali o tych, których wygnał nowy chan. - Te silniki chyba dobrze pracują, co?

Zobaczyli, że na piętrze pałacu, piętrze Hakima, zapalają się światła. Potem odwrócili się, gdy pod bramę zajechał policyjny samochód. Wskoczył z niego strażnik z latarką w rękę.

- Co się tu dzieje, na Boga? - krzyknął. - Otworzyć bramę! Gdzie są moi ludzie?

Babak podbiegł do bocznej bramy i odsunął rygiel.

Ręce Erikkiego pracowały tak szybko, jak to było możliwe; przeszkadzała mu rana w ramieniu. Pot spływał mu po twarzy, mieszając się z krwią ciekącą z ucha w miejscu, w którym obluzował się opatrunek. Ciężko dyszał, zmęczony długim biegiem z północnego skrzydła z Azadeh, zawiniętą w dywan, bezwładną pod wpływem środków nasennych. Klął i ponaglał wzrokiem igły wskaźników. Zobaczył, że w pomieszczeniach Hakima zapalają się światła, ktoś wygląda przez okno. Zanim opuścił pałac, starannie ogłuszył Minę, mając nadzieję, że nie wyrządza jej krzywdy. To miało chronić także ją; w ten sposób unikała oskarżeń o to, że nie wszczęła alarmu, że pomogła w ucieczce. Zawinął Azadeh w dywan i wsunął za pas kukri.

- No, dalej - warknął na wskaźniki.

Dostrzegł przy bramie dwóch ludzi w policyjnych mundurach. Ktoś oświetlił helikopter latarką; Erikki

661

poczuł, że wywraca mu się żołądek. Bez namysłu wysunął lufę stena przez okienko i ścisnął

spust, mierząc ponad głowami ewentualnych napastników.

Czterej mężczyźni rozbiegli się, szukając osłony, gdy pociski odbiły się rykoszetem od muru bramy. Sierżant upuścił latarkę, ale zdążyli już wcześniej zobaczyć bezwładne ciała kaprała i drugiego policjanta, rozciągnięte na ziemi. Myśleli, że policjanci są martwi. Gdy salwa przebrzmiała, sierżant przeczołgał się do bocznej bramy i ruszył do samochodu po automat.

- Strzelajcie, na Boga - krzyknął policyjny kierowca.

Podniecony Babak wystrzelił i chybił. Kierowca nieostroźnie wybiegł zza osłony, żeby odzyskać

latarkę. Z helikoptera padła następna seria. Wycofał się pospiesznie.

- Syn przeklętego ojca...

Cała trójka ukryła się w bezpiecznych miejscach. Kolejna salwa roztrzaskała latarkę.

320

Erikki zorientował się, że jego plan ucieczki legł w gruzach. 212 był na ziemi łatwym celem.

Czas uciekał. Przez ułamek sekundy pilot pomyślał, czy nie wyłączyć silnika, ale nie zrobił tego. Opróżnił magazynek stena, strzelając w kierunku bramy, pchnął dźwignię przepustnicy.

Wydał z siebie przerażający, pierwotny ryk bojowy, który zmroził wszystkich. Silniki pracowały już pełną mocą. Zawły z wysiłku, gdy poderwał maszynę o kilka centymetrów nad ziemię. Przeleciał kawałek, szorując lekko płozami o podłoże, aż wreszcie udało mu się wznieść helikopter, który miał jednak niebezpieczny przechył. Przy bramie kierowca wyrwał

strażnikowi karabin, wyjrzał zza kolumny i, widząc uciekający śmigłowiec, nacisnął spust.

Hakim wyglądał przez okno sypialni; wyrwany hałasem z głębokiego snu, wzmocnionego środkami nasennymi, widział jak przez mgłę. Obok niego stał Margol, ochroniarz. Zobaczyli, że 212 cudem uniknął zderzenia z małą drewnianą przybudówką, zrywając płozą kawał

dachu. Potem w dzikich przechyłach ruszył do przodu

662

i do góry. Za murem stał policyjny samochód- sylwetka sierżanta odznaczała się w świetle reflektorów. Hakim widział, że policjant celuje; pragnął, żeby spudłował.

Erikki usłyszał pociski szorujące o metal. Modlił się, żeby nie uszkodziły żadnej ważnej części. Rzykownie przechylił śmigłowiec i ruszył w kierunku przestrzeni odgradzonej pałacem od niebezpiecznej bramy. W dzikim przechyle helikoptera dywan spowijający Azadeh odwinął się i nakrył przyrządy sterownicze. Erikki przez chwilę nie wiedział, co zrobić. Potem użył całej swej siły, odsuwając Azadeh na bok. Rana na przedramieniu otworzyła się.

Wleciał za północne skrzydło, nadal na niewielkiej wysokości. Skierował maszynę ku innej części muru, koło szopy, w której ukrywali się Ross i Gueng. Zabłąkana kula przebiła drzwi i zawadziła o tablicę instrumentów, tłukąc szkło.

Gdy Hakim stracił z oczu helikopter, pokuśtykał w poprzek ogromnej sypialni, minął wesoło płonący na kominku ogień i zatrzymał się przy oknie na korytarzu.

- Widzisz go? - zapytał, ciężko dysząc z wyczerpania.

- Tak, Wasza Wysokość - krzyknął Margol. - Tam! 212 był już tylko ciemną sylwetką na tle jeszcze ciemniejszego muru. Potem reflektory oświetliły mur. Maszyna przeskoczyła go, mijając krawędź zaledwie o centymetry i zanurzyła się po drugiej stronie. Kilka sekund później pojawiła się znowu. Nabierała prędkości i wysokości. W tym momencie korytarzem nadbiegła Aisza. Krzyczała histerycznie:

- Wasza Wysokość, Wasza Wysokość... Azadeh... ten diabeł ją porwał... Ogłuszył Minę...

Hakim z trudem zbierał myśli z powodu pigułek nasennych. Nigdy jeszcze powieki tak mu nie ciążyły.

- O czym ty mówisz?

- Nie ma Azadeh, twojej siostry. Zawinał ją w dywan i porwał, zabrał ze sobą... - Urwała na widok twarzy Hakima, popielatobladej, z nieprzytomnymi oczami. Nie wiedziała o środkach nasennych. - On ją porwał!

663

- To... niemożliwe... to...

- Ależ tak! Ona jest porwana, a Mina nieprzytomna!

Hakim mrugnął, potem wyjąkał:

- Ogłoś alarm, Aisza! Jeśli ją porwał... na Boga... alarm! Wziąłem środki nasenne i... Na Boga, jutro zajmę się tym diabłem, teraz nie mogę, ale wyślij kogoś... na policję... do Zielonych Opasek... Ogłoś alarm, ogłoś, że chan nałożył cenę za jego głowę! Margol, pomóż mi wrócić do pokoju.

Przestraszeni służący i strażnicy gromadzili się w końcu korytarza. Aisza pobiegła do nich, zalewając się łzami. Powiedziała im, co się stało i co rozkazał chan.

321

Hakim opadł na łóżko. Wyczerpany, położył się na plecach.

- Margol, powiedz... powiedz strażnikom, żeby aresztowali tych głupców z bramy. Jak oni mogli do tego dopuścić?

- Oni nie mogli reagować, Wasza Wysokość. Margol był pewien, że chan obciąży ich winą, choć sam słyszał, jak im mówił, żeby nie przeszkadzali pilotowi. Poszedł wydać rozkaz i wrócił.

- Czy dobrze się pan czuje, Wasza Wysokość?

- Tak, dziękuję. Nie wychodź z pokoju. Obudź mnie o świcie. Podtrzymuj ogień i obudź

mnie o świecie.

Hakim z rozkoszą zapadł w sen. Plecy go nie bolały. Myślał o Azadeh i Erikkim. Gdy wcześniej Azadeh wyszła z pokoju i zostawiła go samego z Erikkim, pozwolił sobie na okazanie swych trosk.

- Nie ma wyjścia z pułapki, Erikki. Jesteśmy w pułapce, wszyscy: ty, Azadeh i ja. Nadal nie mogę uwierzyć, że byłaby zdolna do wyrzeczenia się islamu, lecz jednocześnie wiem, że nie usłucha ani mnie, ani ciebie. Nie chcę jej ranić, ale nie ma alternatywy: jej nieśmiertelna dusza jest ważniejsza od życia doczesnego.

- Mógłbym ocalić jej duszę, Hakimie, gdybyś mi pomógł.

- Jak? - Widział napięcie w twarzy Erikkiego.

- Usuwając przyczynę.

664

- Jak?

- Powiedzmy, hipotetycznie, że ten wariat pilot nie jest muzułmaninem, tylko barbarzyńcą, który tak bardzo kocha swą żonę, że staje się jeszcze większym wariatem. Zamiast po prostu uciec, ogłusza ją, porywa, wywozi z kraju wbrew jej woli i nie pozwala wrócić. W wielu krajach mąż może... może zastosować nadzwyczajne środki, żeby wymusić posłuszeństwo żony. W ten sposób nie musiałaby łamać danego słowa ani wyrzekać się islamu. Ty nie musiałbyś jej krzywdzić, a ja miałbym swoją kobietę.

- To jest oszustwo - odpowiedział oszołomiony Hakim. - Oszustwo!

- Nie. Rozmawiamy tylko hipotetycznie, ale to by spełniało wszystkie wymogi, których musisz dotrzymać. Nikt by nawet nie pomyślał, że siostra chana z Gor-gonów złamała przysięgę i wyrzekła się islamu dla jakiegoś barbarzyńcy. Nikt. Przecież nawet ty sam nie wiesz tego na pewno, prawda?

Hakim starał się znaleźć w tym rozumowaniu luki. Nie ma żadnych, pomyślał ze zdumieniem. A to by mogło rozwiązać... czyż nie rozwiązałyby wszystkiego? Skoro Erikki robi to bez jej wiedzy i pomocy... Porwie ją! To prawda, nikt nie pomyśli, że złamała słowo.

Porwanie! Mógłbym to rozgłosić, a potajemnie radować się jej szczęściem. Jeśli chcę, żeby wyjechali. Muszę, to jedyny sposób. Żeby uratować jej duszę, muszę uratować też jego.

Otworzył na chwilę oczy. Odblaski ognia tańczyły na suficie. Widział w nich Erikkiego i Azadeh. Bóg mi wybaczy, pomyślał, zapadając w sen. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś ją spotkam?

TEHERAN, OKOLICE UNIWERSYTETU, 23:58. W zimnym mroku Szahrazad stała z grupą mężczyzn z Zielonych Opasek, osłaniających czoło tłumowi wznoszącego islamskie okrzyki. Panował ścisk. Skandowali: Allahhu Akbarr. Tworzyli żywą osłonę przeciwko dwóm czy trzem tysiącom krzyczących lewicowych studentów i agitatorów, którzy zbliżali się jezdnią. Latarki i pochodnie, kilka

podpalonych samochodów, broń palna, pręty, drewniane pałki. Szahrazad dotknęła pistoletu w kieszeni, granatu w drugiej.

- Bóg jest wielki - krzyknęła.

Wrogowie podchodzili coraz bliżej. Widziała zaciśnięte pięści; po obu stronach tłum zafalował, okrzyki coraz bardziej ochryple, nerwy napięte, oczekiwanie.

- Nie ma Boga oprócz Boga...

322

666

Teraz wrogowie byli tak blisko, że widziała ich twarze. Nagle stwierdziła, że to nie są tylko czciciele szatana, ale także studenci, mężczyźni i kobiety w jej wieku, kobiety bez czadorów, odważnie wykrzykiwały hasła o prawach kobiet, o prawach wyborczych, hasła, z którymi się zgadzała. Prawa boskie, z którymi trudno walczyć, niezaprzeczalne prawdy.

Przypomniała sobie atmosferę podczas marszu kobiet. Wszystkie włożyły najlepsze ubrania, rozpuściły włosy, były tak swobodne jak ich fryzury, walczyły o wolność i sprawiedliwość w nowej republice islamskiej, w której ona, jej syn i Tommy żyliby długo i szczęśliwie. Nagle powróciło wspomnienie fanatyka z nożem, który chciał zniszczyć przyszłość, ale jej Ib-rahim go zatrzymał, Ibrahim, przywódca studencki; był tam, żeby ją ocalić. Och, Ibrahimie, czy jesteś tu dzisiaj, czy prowadzisz ich tak, jak wtedy prowadziłeś nas? Czy jeszcze raz stanąłeś do walki o wolność, sprawiedliwość i prawa kobiet, czy też doznałeś męczeństwa w Kowissie, tak jak tego chciałeś, zabijając tego dwulicowego mułę, który zamordował twojego ojca, podobnie jak zamordowano mojego?

Ale... ale ojca zabili wyznawcy islamu, nie lewacy, pomyślała zmieszana. A imam nadal zachowuje się tak, jakbyśmy żyli w czasach proroka... a Mieszang... a przegnany Tommy? A wymuszony rozwód i wymuszone małżeństwo z tym okropnym starcem! I żadnych praw!

- Co ja tu robię? - szepnęła. - Powinnam być tam z nimi, z nimi, nie tutaj... nie, nie, tam także nie! Co z moim dzieckiem, z moim przyszłym synem, to dla niego niebezpieczne i...

Padł strzał, potem następne, rozpoczęła się jatka. Ci, którzy byli z przodu, chcieli się cofnąć, a ci z tyłu pójść naprzód do walki. Wokół Szahrazad rozpętało się piekło. Czuła, że ledwie dotyka stopami ziemi, że tłum ją zgniata i porywa. Jakaś kobieta obok niej upadła i została stratowana. Jakiś starzec zatoczył się, i zniknął pod nogami pędzących. Czyjś łokieć wbił

się

667

w jej żołądek. Krzyknęła z bólu, a strach zmienił się w przerażenie.

- Tommyyy! Pomóż miii! - zawyla.

Mniej więcej sto metrów dalej Tom Lochart został przyciśnięty do frontu sklepu przez demonstrujących studentów. Miał rozerwaną kurtkę, czapka zniknęła. Był zrozpaczony bardziej niż kiedykolwiek. Już od kilku godzin chodził od jednej grupy studentów do drugiej; szukał żony wbrew rozsądkowi. Musiała być gdzieś tutaj, pomiędzy nimi. Dokąd mogłaby pójść? Na pewno nie do mieszkania tego studenta, tego Ibrahima, czy jak tam się nazywał, o którym Dżari powiedziała, że nic nie znaczył. Zresztą lepiej, żeby była tam niż tutaj, pomyślał

zdesperowany. Och, Boże, pozwól mi ją odnaleźć.

Mijały go skandujące kobiety, większość w zachodnich ubraniach, dżinsach, kurtkach. Nagle ją zobaczył. Ruszył do przodu, ale okazało się, że znów się pomylił. Przeprosił i wrócił na bok, ścigany nielicznymi przekleństwami. Potem zdało się mu, że zobaczył ją po drugiej stronie jezdni. Znów pomyłka. Dziewczyna miała ubranie narciarskie takie jak Szahrazad, podobną fryzurę. Była mniej więcej w jej wieku. Niosła jednak proporczyk islamskich marksistów. Rozczarowany, skłął ją za głupotę. Słyszał okrzyki; miał ochotę zabrać komuś pałkę i wybić im wszystkim głupoty z głowy.

Och, Boże, pomóż mi ją odnaleźć. Bóg JEST wielki, mruknął, i choć szalał z niepokoju o nią, był w podniosłym nastroju. Teraz, gdy jestem muzułmaninem, wszystko wygląda inaczej.

Teraz mnie zaakceptują. Jestem jednym z nich, mogę pojechać na hadżdż do Mekki, mogę się modlić w każdym meczecie. Kolor skóry czy rasa nie robią Bogu różnicy. Tylko wiara.

Wierzę w Boga i w to, że Mahomet jest prorokiem Boga. Nie będę fundamentalistą ani szyitą.

Będę ortodoksyjnym sunnitą. Znajdę jakiegoś nauczyciela, będę studiował, nauczę się arabskiego. Będę latać dla Iran-Oil i dla nowego reżimu. Będziemy szczęśliwi, Szahrazad i ja...

668

323

Gdzieś obok wypaliła strzelba, ogień płonącej barykady z opon wzbił się w górę. Grupki krzyjących studentów atakowały szeregi Zielonych Opasek. Rozległy się następne strzały.

Teraz ulica wyla, ciała pojękujących ofiar na chodnikach, stopy miażdżące słabszych.

Oszalała grupa młodych ludzi porwała go ze sobą w kierunku centrum bitwy.

Osiemdziesiąt metrów dalej Szahrazad krzyczała, walczyła o życie, próbowała, bijąc, kopiąc i popychając, utorować sobie drogę na bok, do względnie bezpiecznego miejsca. Czador opadł

w strzępach, czarczał zniknął. Była posiniaczona, bolał ją brzuch. Ludzie wokół niej zmienili się w dziki tłum, w bestie, zadające ciosy na oślep. Nikt już nie wiedział, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, poza mułtami i ludźmi z Zielonych Opasek, którzy starali się krzykiem opanować tumult. Z rozzierającym uszy rykiem islamski motłoch zatrzymał się na chwilę, a potem ruszył naprzód.

Wrzaski, strzały, piekło. Wszyscy odwoływali się do swojej wersji Boga.

Studenci walczyli desperacko, lecz zostali zmieceni. Bezlitośnie. Wielu upadło; miażdżyły ich stopy tłumu. Nastąpiło przełamanie. Przeciwnicy wymieszali się ze sobą.

Lochart, wysoki i silny, przebił się na pobocze. Stał pomiędzy dwoma samochodami, które chwilowo go osłaniały. O kilka metrów dalej zobaczył małą, na wpół ukrytą alejkę prowadzącą do ruin meczetu, które mogły być schronieniem. Z przodu eksplodował

samochód, rozsiewając na boki płomienie. Szczęśliwi byli ci, którzy zginęli na miejscu; ranni zaczęli wyc. Zdawało się mu, że dostrzegł ją w blasku ognia. Wpadła na niego grupa uciekających studentów; dostał pięścią w plecy, upadł, przebiegli po nim. Szahrazad była zaledwie trzydzieści metrów dalej. Włosy w nieładzie, podarte ubranie. Nadal w kleszczach tłumu, popychana i szarpana. Wołała o pomoc. Nikt tego nie słyszał ani nie dbał o to.

- Tommmyyyy... pomóż miiii...

Tłum na chwilę się otworzył. Popędziła do przodu, w kierunku zabarykadowanych sklepów i samochodów.

669

Tumult nieco się zmniejszył. Ręce odpychały sąsiadów, żeby zyskać przestrzeń, dłonie ocierały pot i brud, ludzie zaczęli dostrzegać się nawzajem.

- Ty przeklęta komunistyczna nierządniczo! - krzyknął stojący na jej drodze mężczyzna. Z gniewu wybałuszał oczy, wykrzywił twarz.

- Ja nie... ja nie, jestem muzułmanką - krzyknęła, lecz on złapał ją za resztki kurtki, wsunął dłoń i chwycił jej pierś.

- Nierządniczo! Muzułmanki tak nie paradują! Mu-zułmanki, noszą czad...

- Zgubiłam czador, podarł się - jęknęła.

- Nierządniczo! Bóg cię przeklnie! Nasze kobiety noszą czadory.

- Podarł się - powtórzyła i spróbowała się wyrwać. - Nie ma Boga...

- Nierządniczo! Kurwa! Satanistka! - krzyczał jak oszalały.

Poczuł jej piersi przez jedwab i gniótł jej ciało, przyciągając ją bliżej drugą ręką, żeby podporządkować sobie i opanować, gdyż krzyczała i kopała. Ludzie potrącali ich, nie widząc dobrze w ciemnościach, rozświetlanych tylko płomieniami. Nikt nie widział, co się dzieje naprawdę. Po prostu ktoś złapał lewacką dziwkę tu, w szeregach ludzi pobożnych.

- Na Boga, ona nie jest lewaczką, słyszałem, jak wznosiła okrzyki popierające imama -
zawołał ktoś, lecz jego głos utonął w hałasie wywołanym nową utarczką.

Ludzie rzucili się, jedni do walki, drudzy do ucieczki, zostawiając ich samych.

Walczyła z napastnikiem paznokciami, stopami i głosem; jego oddech i sprośności dławily ją.

Ostatnim wysiłkiem wezwała Boga na pomoc, zadała cios, który chybił i przypomniała sobie o pistolecie. Wyciągnęła go, przyłożyła do napastnika i nacisnęła spust. Mężczyzna zawył.

Upadł z odstrzelonymi genitaliami. Wokół zrobiło się cicho. I pusto. Wyjęła z kieszeni rękę, w której nadal trzymała broń. Stojący obok mężczyzna chwycił pistolet.

670

324

Spojrzała tępo na napastnika, który jęczał i skręcał się z bólu w kurzu ulicy.

- Bóg jest wielki - jęknęła. Zapięła kurtkę. Uniosła głowę i ujrzała otaczającą ją nienawiść. -

On na mnie napadł... Bóg jest wielki...

- Ona tylko tak mówi, to lewaczką - zaskrzeczała jakaś kobieta.

- Spójrzcie na jej ubranie. Ona nie jest jedną z nas. Kilka metrów dalej Lochart podnosił się z ziemi.

Bolała go głowa, huczało mu w uszach, ledwie widział i słyszał. Z wysiłkiem wstał i zaczął

przepychać się do ciemnego wylotu alejki. Wielu ludzi wpadło na ten sam pomysł i teraz panował tam tłok. Nagle usłyszał jej krzyk.

Zobaczył, że jest w niebezpieczeństwie: przyciśnięta do ściany, wokół niej tłum, ubranie na wpół zdarte, oderwane rękawy, granat w ręku. Jakiś mężczyzna wykonał w tym momencie gwałtowniejszy ruch. Wyrwała zawleczkę. Mężczyzna zamarł, wszyscy zaczęli się cofać.

Lochart jednym skokiem znalazł się przy niej. Chwycił granat, pamiętając o przytrzymaniu dźwigni.

- Zostawcie ją! - ryknął w farsi. Stanął z przodu, osłaniając ją przed napastnikami. - Ona jest muzułmanką, psie syny. Jest muzułmanką i moją żoną, a ja też jestem muzułmaninem!

- Na Boga, jesteś cudzoziemcem, a ona lewaczką! Lochart rzucił się na mężczyznę. Ciosem ręki uzbrojonej w granat strzaskał mu szczękę.

- Bóg jest wielki! - ryknął. Inni podjęli ten okrzyk, a ci, którzy nie dowierzali, nie odważyli się nic zrobić. Bali się jego, jeszcze bardziej granatu. Obejmując Szah-razad wolną ręką, Lochart z granatem

gotowym do rzutu podszedł do pierwszego szeregu atakujących.

- Proszę, przepuście nas. Bóg jest wielki. Pokój z wami.

- Ludzie stojący z przodu rozstąpili się, potem następni i następni, a on szedł, mrucząc: - Bóg jest wielki... Pokój z wami. - W końcu wyrwał się z kordonu i wszedł do zatłoczonej alejki.

Potykali się na odpadkach i dziurach,

671

potrącali w ciemności ludzi. W oddali, przed meczetem, płonęły nieliczne światełka. Lochart zatrzymał się przy fontannie, ułamał kawałek lodu i skropił twarz żony wodą. - Chryste -

mruknął i potarł jej policzki lodem.

- Och, Tommmmyy! - krzyknęła Szahrazad dziwnym głosem, na krawędzi załamania. - Skąd się tu wziąłeś, gdzie, och... tak się bałam, tak bałam.

- Ja też - wyjąkał, z trudem wydobywając z siebie głos. - Szukam cię od wielu godzin, kochanie. - Przyciągnął ją bliżej. - Nic ci się nie stało?

- Och nie, nic. - Objęła go mocno, wtuliła twarz w jego ramię.

Nagle rozległy się strzały, krzyki. Instynktownie objął ją jeszcze mocniej, ale nie czuł

niebezpieczeństwa. Na w pół widoczne tłumy przesuwały się w mroku, strzelanina była coraz bardziej odległa. Zgiełk rozruchów cichł.

Wreszcie jesteśmy bezpieczni. Nie, jeszcze nie, został granat, a nie ma zawlecзки, żeby go zabezpieczyć. Ponad głową jej i głowami przechodniów zobaczył wypalony budynek obok meczetu, za małym placikiem. Tam się go pozbędę, pomyślał, nie był jeszcze w stanie rozumować rozsądnie. Czerpał siły z uścisku żony. Tłum się zagęścił, wypełnił całą alejkę.

Dopóki jest tylu ludzi, trudno będzie rzucić bezpiecznie granat przez placyk. Przyciągnął

Szahrazad bliżej fontanny, gdzie panowały głębsze ciemności.

- Nie martw się. Poczekamy chwilę i pójdziemy.

- Mówili cicho po angielsku. Tak wiele mieli sobie do powiedzenia, o tak wiele chcieli zapytać. - Na pewno nic ci nie jest?

- Och, tak, na pewno. Jak mnie znalazłeś, jak? Kiedy wróciłeś? Jak mnie znalazłeś?

- Ja... przyleciałem z powrotem dziś wieczorem i poszedłem do domu, ale ty wyszłaś. - Nie wytrzymał.

- Szahrazad, zostałem muzułmaninem.

325

Wlepiła w niego zdumione spojrzenie.

672

- Ale... to była tylko taka sztuczka, żeby mnie wydostać?

- Nie, przysięgam! Naprawdę. Złożyłem przyrzeczenie. Wypowiedziałem szahadę w obecności trzech świadków: Mszanga, Zarah i Dżari. I wierzę. Naprawdę wierzę. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Jej niewiara ustąpiła wobec jego radości. Jego głos powiedział, co się wydarzyło.

- Och, jak wspaniale, Tommy - rzekła, niemal nieprzytomna ze szczęścia, choć była pewna, że w ich sytuacji niczego to nie zmienia. Nic nie odmieni Mszanga, pomyślała. Mszang znajdzie sposób, żeby nas zniszczyć, niezależnie od tego, czy Tommy będzie wiernym, czy nie. Nic się nie zmieniło. Rozwód, nowe małżeństwo, chyba że...

Przestała się bać.

- Tommy, czy możemy wyjechać z Teheranu jeszcze dzisiaj? Czy możemy uciec, kochanie?

- Przecież nie ma potrzeby, teraz już nie, mam wspaniałe plany. Porzuciłem pracę w S-G.

Teraz, kiedy jestem muzułmaninem, mogę zostać i pracować dla IranOil. Nie rozumiesz tego?

- Nie zdawali sobie sprawy z obecności przepływającego obok tłumu ludzi, pragnących dostać się do domu. - Nie ma powodu do zmartwienia, Szahrazad.

Ktoś ich potrącił, potem ktoś inny. Zrobił się zator, ludzie wtargnęli do ich maleńkiego schronienia. Zobaczyła, że Tommy odepchnął kogoś; inni zaczęli przeklinać. Szybko wzięła go za rękę i wciągnęła w tłum.

- Chodźmy do domu, mężu - powiedziała głośno w specjalnie gorszym farsi. Trzymała go mocno i szepnęła: - Mów w farsi. - Głośno zaś dodała: - Tu nie jest bezpiecznie. Lepiej porozmawiajmy w domu.

- Tak, tak, kobieto, lepiej wracajmy.

Idąc byli bezpieczniejsi. Szahrazad jest przy mnie, jutro wszystko się wyjaśni, dziś kąpiel i sen, jedzenie, i sen, i żadnych koszmarów, tylko wesołe sny.

673

- Gdybyśmy chcieli wyjechać dziś potajemnie, moglibyśmy? Moglibyśmy, Tommy?

Ogarnęła go fala zmęczenia. Miał ochotę krzyknąć. Czyż ona nie rozumie tego, co jej właśnie powiedziałem? Opanował się i odpowiedział krótko:

- Nie ma takiej potrzeby.

• - Masz rację, mężu, jak zawsze, ale czybyśmy mogli?

- Tak, tak, chyba tak - rzekł zmęczonym głosem.

Wyjaśnił jej, jak mogliby to zrobić. Ciągłe zatrzymywali się i znów ruszali do przodu razem z innymi, gdyż alejka zwązała się do wymiarów coraz bardziej klaustrofobicznych.

Była podniecona, pewna, że może go przekonać. Jutro wyjadą. Jutro rano zabiorę swoją biżuterię. Powiemy Mieszangowi, że spotkamy się z nim na bazarze w porze obiadowej, ale wtedy będziemy już lecieć helikopterem Tommy'ego'. Może polecieć do któregoś z państw zatoki, do Kanady, dokąd chce. Można być jednocześnie Kanadyjczykiem i muzułmaninem; tak mi powiedzieli, kiedy poszłam do ambasady. A potem, za miesiąc czy dwa miesiące, wrócimy do Iranu i zostaniemy tu na zawsze...

Zadowolona, przysunęła się do niego. W tłumie, pod osłoną ciemności, już się nie bała. Była pewna, że przyszłość rysuje się wspaniale. Teraz, gdy Tom jest wyznawcą, trafi do raju. Bóg jest wielki, Bóg jest wielki, ja też pójdę do raju, a razem, z pomocą Boga, będziemy mieć synów i córki. A potem, gdy będziemy starzy, jeśli on umrze pierwszy, czterdziestego dnia upewnię się, że nie zapomniano o jego duszy, potem przeklnę jego młodszą żonę lub żony i ich dzieci, uporządkuję swoje sprawy i będę spokojnie czekać, aż Bóg zechce mnie z nim połączyć.

- Och, tak cię kocham, Tommy, tak mi przykro, że masz przez mnie tyle kłopotów...

326

Wychodzili z alejki na ulicę. Tłumy były tu jeszcze większe. Ludzie kłębili się po bokach i na jezdni pomiędzy samochodami. Wszyscy byli jednak w dobrych humorach, mężczyźni, kobiety, mułowie, Zielone

Opaski, młodzi i starzy. Dobrze spędzili wieczór, wykonując bożą pracę.

- Allahu Akbar! - ktoś krzyknął.

Słowa odbiły się echem, gdy powtórzyły je tysiące ust. Z przodu jakiś samochód roztrącił

grupkę ludzi, którzy wpadli na innych, a ci na następnych; przekleństwa, śmiech. Wśród nich byli Szahrazad i Lochart Nikomu nic się nie stało. Złapał ją, żeby nie upadła na bruk, śmiali się, siedzieli przez chwilę na ziemi, on nadal pewnie trzymał granat. Nie usłyszeli ostrzegawczego syku. W chwili upadku Lochart rozluźnił chwyt. Tylko trochę, ale to wystarczyło. Przez nieskończenie długą chwilę on uśmiechał się do niej, a ona do niego.

- Bóg jest wielki - powiedziała, a on powtórzył te słowa z równie silną wiarą.

I właśnie wtedy umarli.

674

u>

O

V©

O

o* o

ASZ SZARGAZ, 6:34. Krawędź słońca wyłoniła się zza horyzontu, zamieniając czarną pustynię w karmazy-nowe morze, barwiąc stare portowe miasto i statki na wodach zatoki. Z

głośników minaretów popłynęło śpiewne nawoływanie muezzinów. Nie poprawiło to humoru Gavallanowi ani nikomu z personelu S-G, zgromadzonego na werandzie Hotelu Oaza.

Pospiesznie kończyli śniadanie.

- To dla ciebie, Scrag, prawda? - powiedział Gaval-lan.

- Święta racja, stary - odparł Scragger.

On, Rudi Lutz i Pettikin siedzieli przy stole z Gaval-lanem; wszyscy zmęczeni i zniechęceni.

Niemal pełny sukces Operacji Whirlwind zmieniał się w katastrofę. Dubois i Fowler nie odnaleźli się. W Bahrajnie Nclver nie był jeszcze poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Tom 679

Lochart wrócił do Teheranu i Bóg jeden wie, co się z nim dzieje. Żadnych wieści o Erikkim i Azadeh. Prawie nikt z ekipy w Asz Szargaz nie zmrużył w nocy oka. Dzisiejszy świt oznaczał

nieprzekraczalny termin zakończenia Operacji.

Poprzedniego dnia, gdy 212 zaczęły lądować, wszyscy pomagali rozbierać je na części, zdemontowali rotory i ogony, żeby móc załadować je do transportowców jumbo, kiedy przylecą, i jeśli przylecą. Zeszłego wieczoru Roger Newbury wrócił w kiepskim humorze ze spotkania z ministrem spraw zagranicznych.

- Ni czorta nie mogłem załatwić, Andy. Minister powiedział, że jego i szejka poproszono o umożliwienie przeprowadzenia osobistej inspekcji przez przedstawiciela lub ambasadora Iranu, który widział na lotnisku osiem czy dziewięć dziwnych 212 i twierdzi, że są to porwane maszyny irańskie. Minister przekazał, że Jego Wysokość szejk oczywiście wyraził zgodę. Jak mógłby odmówić? Inspekcja będzie przeprowadzona o zachodzie słońca, z udziałem ambasadora. Ja zostałem „serdecznie zaproszony”, jako przedstawiciel brytyjski do sprawdzenia dokumentów. Jeśli

któryś będzie podejrzany... ciężka sprawa, chłopie!

Gavallan przez całą noc próbował przyspieszyć przybycie frachtowców albo załatwić inne wszędzie, gdzie tylko się dało. Bez powodzenia. Obecne czartery przybędą „być może”

następnego dnia, w niedzielę,- do południa.

- Cholerni ludzie - mruknął i dolał sobie kawy. - Jak się próbuje dostać dwa 747, nie ma żadnego, za to pięćdziesiąt można załatwić bez problemu jednym telefonem.

Pettikin także był zmartwiony, między innymi NcIverem, który leżał w szpitalu w Bahrajnie.

327

Do południa na pewno nie będzie wiadomości o skutkach ataku serca NcIvera:

- Pas probleme - powiedział Jean-Luc poprzedniego wieczoru. - Pozwolili Genny zostać w szpitalu, w sąsiednim pokoju. Lekarz jest najlepszy w Bahrajnie, no i ja tu jestem. Odwołałem lot do domu i poczekam. Przyślijcie mi jutro trochę pieniędzy na rachunki.

Pettikin obracał w palcach filiżankę z kawą; śniadania nie tknął. Przez cały poprzedni dzień i noc pomagał demontować helikoptery. Nie miał szans na spotkanie z Paulą, która odleci znów dziś do Teheranu ewakuować Włochów. Nie będzie jej przynajmniej przez dwa dni. Gavallan polecił natychmiastowe wycofanie wszystkich uczestników Operacji z rejonu zatoki aż do odwołania.

- Nie możemy być nieostrożni - powiedział.

- Wszyscy muszą na razie wyjechać.

- Masz rację, Andy - przyznał Pettikin. - Ale co z Tomem i Erikkim? Powinniśmy kogoś tu zostawić. Ja z przyjemnością...

- Jezu, Charlie, przestań! - wybuchnął Gavallan.

- Myślisz, że ja się nimi nie przejmuję? A Fowler i Dubois? Musimy robić wszystko po kolei.

Wszyscy, którzy nie są niezbędni, mają zniknąć przed zachodem słońca, a ty jesteś jednym z nich!

Około pierwszej w nocy Pettikin przyszedł do biura, żeby zmienić Scota przy krótkofalówce.

Spędził tam resztę nocy. Żadnych wywołań. O piątej rano zastąpił go Nogger Lane, a on poszedł na śniadanie. Gavallan, Rudi i Scragger już jedli.

- Załatwiłeś coś z frachtowcami, Andy?

- Nie, Charlie. Będą najwcześniej jutro w południe

- odparł Gavallan. - Siadaj, napij się kawy.

Potem nadszedł świt i odezwali się muezzini. Teraz ich nawoływanie ucichło. Na werandzie zrobiło się trochę spokojniej.

Scragger nalał sobie kolejną filiżankę herbaty; miał nadal sensacje żołądkowe. Poczł skurcz i pobieł do toalety. Spazm minął prędko, nie było krwi. Doktor Nutt powiedział wcześniej, że nie podejrzewa dyzenterii:

- Po prostu odpocznij sobie przez parę dni, Scrag. Jutro będę miał wyniki wszystkich testów.

680

681

Scragger opowiedział doktorowi o krwi w moczu i bólach żołądka, na które cierpiał przez kilka ostatnich dni. Ukrywanie tego byłoby niewybaczalnym narażaniem na niebezpieczeństwo pasażerów i helikoptera.

- Scrag, lepiej zostań tu na parę dni w szpitalu - powiedział doktor Nutt.

- Wypchaj się, stary kogucie! Są sprawy do załatwienia i góry do zdobycia!

Wracając do stołu, dostrzegł ponury nastrój, jaki opanował wszystkich. Nie znosił tego, ale nie było wyboru. Można tylko czekać. Nie da się odlecieć, gdyż trzeba by było pokonać przestrzeń powietrzną Arabii Saudyjskiej, Emiratów lub Omanu; w tak krótkim czasie nie ma mowy o uzyskaniu zezwolenia. Zażartował przedtem, że mogliby zmontować helikoptery, zbadać, kiedy najbliższy brytyjski tankowiec odpłynie przez cieśninę Ormuz, wystartować i wylądować na jego pokładzie.

- ...po prostu wypłynęlibyśmy na szerokie wody i wysiedli w Mombasie albo pożeglowali wzdłuż wybrzeży Afryki do Nigerii.

- Hej, Scrag - powiedział z podziwem Vossi. - Nie-kiepski pomysł. Pojechałbym na taką wycieczkę. Co o tym sądzisz, Andy?

- Aresztowaliby nas, zanim rotor zrobiłby pierwszy obrót.

Scragger usiadł i machnięciem ręki odgonił muchę. Wstające słońce było już mniej czerwone; wszyscy zdążyli założyć ciemne okulary.

328

Gavallan dopił kawę.

- Dobrze, idę do biura na wypadek, gdybym mógł coś zrobić. Będę tam, gdybyście czegoś potrzebowali. Kiedy skończysz, Rudi?

Rudi odpowiadał za przygotowanie helikopterów do wysyłki.

- Chciałeś na dziś do południa. Tak będzie. - Dopił kawę i wstał. - Czas wyruszać, meine Kinder! - Wszyscy jęknęli, zachowując dobry humor pomimo zmęczenia. Zaczęli wstawać.

682

- Andy - powiedział Scragger. - Pojadę z tobą, dobrze?

- Świetna myśl, Scrag. Charlie, nie musisz pomagać Rudiemu. I tak będziemy gotowi za wcześnie. Może wpadłbyś później do biura?

Pettikin uśmiechnął się.

- Dzięki. - Paula będzie w hotelu do dziesiątej. W tej sytuacji miał wiele czasu, żeby się z nią spotkać. Co jej powiedzieć? - pomyślał, machając ręką na pożegnanie.

Gavallan wprowadził samochód przez bramę. Lotnisko było jeszcze częściowo zacienione.

Kilka odrzutowców z zapalonymi światłami nawigacyjnymi grzało już silniki. Ewakuacje z Iranu nadal korzystały z pierwszeństwa. Zerknął na Scraggera; zobaczył grymas na jego twarzy.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne, Andy, to tylko brzusek. Miałem to już na Nowej Gwinei, więc zawsze uważam.

Eliksir starego doktora Collisa Browna postawiłby mnie na nogi! - Chodziło o znakomitą i bardzo skuteczną nalewkę wynalezioną przez doktora Collisa Browna, angielskiego lekarza wojskowego. Nalewka zwalczała dyzenterię, na którą dziesiątki tysięcy żołnierzy zmarły w czasie wojny krymskiej. - Sześć kropelek starego specyfiku i mów mi wuju!

- Tak, Scrag - zbył go Gavallan, który zastanawiał się, czy w PanAm Freighting nie zwolniły się jakieś samoloty. - Zwykle nie ruszam się nigdzie bez Collisa... Chwileczkę! -

Rozpromienił się. - Mój zestaw pierwsz , pomocy! Tam jest tego trochę. Liz zawsze wkłada to do mojej walizki. Kropelki Browna, maść tygrysia, aspiryna, złoty suveren i puszka sardynek.

- Co? Sardynek?!

- Na wypadek, gdybym był głodny. - Gavallan cieszył się, że ta rozmowa odwraca jego myśli od zawieszanej nad nimi katastrofy. - Liz i ja mamy wspólnego przyjaciela, którego poznaliśmy dawno temu w Hongkongu. Facet nazywa się Marlowe. Jest pisarzem. Nosi 683

ze sobą puszkę z żelazną racją na wypadek klęski głodu. Liz i ja zawsze się z tego śmialiśmy.

Traktujemy to jako coś w rodzaju symbolu tego, jakie w gruncie rzeczy mamy szczęście.

- Peter Marlowe? Ten, który napisał Chartgi o obozie jeńców wojennych w Singapurze?

- Tak. Znasz go?

- Nie, ale czytałem książkę. Innych nie, tylko tę.

Scragger przypomniał sobie nagle o wojnie z Japończykami, a potem o Kasigim i Iran-Todzie. Poprzedniego dnia wieczorem telefonował do różnych hoteli, żeby znaleźć Kasigiego.

W końcu wytropił go w International i zostawił wiadomość, ale Japończyk, jak dotąd się nie odezwał. Prawdopodobnie jest zły, że go zawiodłem, że nie pomogliśmy mu w sprawie Iran-Tody. A niech mnie! Iran-Toda nie urodziła się wczoraj! A jednak gdyby nie Kasigi, byłbym jeszcze teraz przykuty kajdankami do tego cholernego łóżka.

- Szkoda, że my wszyscy nie mamy swoich puszek sardynek, Andy - powiedział. -

Naprawdę, nie pamiętamy już o tym, ile mieliśmy szczęścia. Pomyśl: wydostaliśmy się cało z Lengeh. A stary Duke? Wkrótce będzie zdrowy jak koń. Centymetr i byłoby po nim. Ale nie jest! To samo ze Scotem. A Whirlwind? Chłopaki wydostały się razem z maszynkami do latania. Erikkiemu nic nie grozi. Mac wyzdrowieje, zobaczysz! Dubois i Fowler? Czasem to 329

się zdarza, ale wiemy na razie tyle, że możemy jeszcze mieć nadzieję. Tom? No cóż, sam się zdecydował. Wydostanie się.

PRZY GRANICY IRAŃSKO-TURECKIEJ, 7:59.

Azadeh osłaniała oczy przed blaskiem wschodzącego słońca. Widziała coś błyszczącego w dolinie poniżej. Czy światło odbijało się od broni czy uprząży? Przygotowała automat, wzięła lornetkę. Za nią, w otwartej kabinie 212, Erikki spał na kocach głębokim snem. Był blady.

Stracił dużo krwi, ale sądziła, że jest w dobrym stanie. Przez szkła lornetki nie dostrzegła żadnego ruchu. Tam, w dole, leżał śnieg. Drzewa, pusto. Żadnych wiossek, 684

żadnego dymu. Dzień był ładny, ale panował chłód. Bezchmurnie, wiatr zelżał już w nocy.

Powoli badała wzrokiem dolinę. O kilka kilometrów dalej leżała wieś, której wcześniej nie zauważyła.

212 stał na małym płaskowyżu skalnym. W nocy, po ucieczce z pałacu, Erikki zgubił drogę, gdyż pocisk uszkodził niektóre instrumenty nawigacyjne. Obawiał się, że zmarnuje za dużo paliwa. Poza tym nie mógł jednocześnie prowadzić helikoptera i tamować krwi płynącej z rany w ramieniu. Postanowił zaryzykować: wylądować i poczekać do świtu. Na ziemi wyciągnął z kok-pitu dywan i rozwinął go. Azadeh nadal smacznie spała. Najlepiej, jak umiał, opatrzył ramię. Zawinął żonę z powrotem w dywan, żeby nie zmarzła, wyniósł z maszyny kilka karabinów i oparł się o płożę. Oczy same mu się zamykały, choć próbował czuwać.

Przebudził się gwałtownie. Na niebie rysował się odblask fałszywego świtu. Azadeh była ciągle

jeszcze zawinięta w dywan, ale teraz patrzyła na niego.

- A więc mnie porwałeś! - Jej udawany chłód zniknął. Obejmowała go, całowała i dziękowała za to, że tak mądrze rozwiązał dylemat całej trójki. Wygłosiła przemówienie, które przygotowała sobie w myślach. - Wiem, że żona nie może zrobić wiele wbrew woli męża. Erikki, prawie nic. Nawet w Iranie, gdzie jest cywilizacja, nawet tutaj, żona jest niemal tylko częścią majątku. Imam wypowiada się jasno o obowiązkach żony. W Koranie i w szarfat obowiązki żony są też, och, jakże jasno wyłożone. Wiem także, że poślubiłam niewiernego. Przyrzekam otwarcie, że przynajmniej raz 5 dziennie będę próbowała uciec, żeby spełnić swoją przysięgę. Choć boję się i wiem, że za każdym razem mnie złapiesz i że nie będziesz mi dawał pieniędzy, i będziesz mnie bił, i choć wiem, że powinnam być ci posłuszna, zrobię to. - Jej oczy wypełniły łzy szczęścia. - Dziękuję, kochanie. Tak się bałam...

- Zrobiłabyś to? Porzuciłabyś swego Boga?

- Erikki, jak ja się modliłam, żeby Bóg pokierował tobą!

685

- Zrobiłabyś to?

- Po co teraz myśleć o tym, co jest nie do pomyślenia, prawda, kochanie?

- Aha - powiedział, nagle zaczynając rozumieć. - Zatem wiedziałaś? Wiedziałaś, że muszę zrobić właśnie tak!

- Wiem tylko, że jestem twoją żoną, że cię kocham, że muszę cię słuchać; zabrałeś mnie bez mojej pomocy i wbrew mojej woli. Nigdy już o tym nie mówmy, dobrze?

Spojrzał na nią. Był zdezorientowany. Nie mógł pojąć, jak ona może być tak silna, jak obudziła się łatwo mimo środków nasennych. A właśnie, sen!

- Azadeh, muszę przez godzinę pospać. Przepraszam, ale w tym stanie nie mogę lecieć. Tu jest chyba dość bezpiecznie. Pozostań na straży.

- Gdzie właściwie jesteśmy?

- Jeszcze w Iranie. Gdzieś przy granicy. - Wręczył jej załadowany automat, wiedząc, że będzie umiała się nim posłużyć. - Jeden z pocisków roztrzaskał kompas.

Zobaczyła, że odchodzi i układa się na kocach w kabinie. Zasnął natychmiast. Czekać na świt, myślała o przyszłości i przeszłości. Jest jeszcze do załatwienia sprawa z Johnnym. Nic więcej. Jakie dziwne jest życie. Z tysiąc razy myślałam, że zacznę krzyczeć w tym wstrętnym 330

dywanie, zamiast udawać nieprzytomną, nie jestem taka głupia, żeby brać środki nasenne!

Przecież mogłam być potrzebna, mogłam nas bronić! Tak łatwo oszukać Minę, kochanego Erikkiego i

Hakima, który nie jest już tak kochany. ...,jej wieczna dusza jest ważniejsza niż ciało!" Przecież on by mnie zabił! Mnie! Ukochaną siostrę! Ale go przechytryłam.

Była bardzo zadowolona z siebie i z Aiszy, która pokazała jej ukryte miejsca w pałacu. Gdy wypadła z pokoju, udając gniew, i zostawiła Erikkiego i Hakima samych, mogła podsłuchać ich rozmowę. Och, Erikki, tak się bałam, że nie uwierzycie, iż naprawdę zламаłabym przysięgę! Tak się bałam, że to, co mówiłam przez cały wieczór, nie ułoży ci się w pełny obraz tego fortelu!

Ale ty wymyśliłeś wszystko jeszcze lepiej, nawet załatwiłeś helikopter! Och, jaki byłeś sprytny! Ja też byłam, byliśmy wszyscy. Upewniłam się nawet, że zabierzesz moją torebkę i woreczek z biżuterią Nadzud. Teraz jesteśmy bogaci i bezpieczni. Trzeba jeszcze tylko wydostać się z tego kraju, który stracił Boga.

- Stracił Boga, kochanie - powiedział Ross, gdy widzieli się po raz ostatni w Teheranie, zanim ją opuścił.

Nie mogła znieść myśli o rozstaniu bez pożegnania, więc poszła do Talbota zapytać o niego.

Potem, kilka godzin później, zapukał do jej drzwi. W mieszkaniu oprócz nich nie było nikogo.

- Najlepiej wyjedź z Iranu, Azadeh. Twój ukochany Iran już nie istnieje. Ta rewolucja jest taka sama jak wszystkie inne: nowa tyrania zastępuje starą. Wasi nowi władcy ustanowią swoje prawo, swoją wersję prawa boskiego, tak jak Szach ustanowił swoją. Wasi ajatollahowie będą żyć i umierać, tak jak żyją i umierają papieże: niektórzy są dobrymi ludźmi, inni złymi, jeszcze inni bardzo złymi. W bożym czasie świat zrobi się trochę lepszy. Bestia tkwiąca w człowieku, która pragnie krwi i zabijania, udręki i tortur, oswoi się trochę i napotka trochę większe ograniczenia. To ludzie psują świat, Azadeh. Przede wszystkim mężczyźni.

Wiesz, że cię kocham?

- Tak.

Tak łatwo cofnąć się w ciepłe, bezpieczne czasy, gdy byli młodzi.

- Ale nie jesteśmy już młodzi. Cięży na mnie wielki smutek, Azadeh.

- Przemienie, Johnny - odpowiedziała, pragnąc jego szczęścia. - Przemienie, tak jak nieszczęście Iranu. Od wieków przechodziliśmy ciężkie czasy, ale to zawsze mijało.

Pamiętała, jak siedzieli razem. Nie dotykali się, byli jednak sobą pochłonięci. Później on się uśmiechnął, żartobliwie zasalutował i odszedł.

Znów błysk w dolinie. Niepokój powrócił. Jakiś ruch wśród drzew i... zobaczyła ich.

- Erikki! - Obudził się natychmiast. - Tam, w dole. Dwóch ludzi na koniach. Wyglądają na koczowników.

Wręczyła mu lornetkę.

- Widzę ich. - Mężczyźni byli uzbrojeni. Galopowali wzdłuż dna doliny. Ubrani jak ludzie gór, wybierali osłonięte miejsca, gdy tylko była jakaś osłona. Erikki obserwował ich przez lornetkę. Widział, że od czasu do czasu spoglądają w górę w ich kierunku.

- Chyba mogą widzieć helikopter, ale nie sądzę, żeby widzieli nas.

- Czy oni jadą tutaj?

Mimo bólu i zmęczenia usłyszał w jej głosie strach.

- Może. Prawdopodobnie tak. Mamy dużo czasu; nie będą tu wcześniej niż za pół godziny.

- Szukają nas. - Zbladła i przysunęła się bliżej do Erikkiego. - Hakim ogłosił alarm.

- Nie zrobił tego. On mi pomógł.

- Pomagał do czasu ucieczki. - Nerwowo rozejrzała się wokół. Obrzuciła wzrokiem płaskowyż, linię drzew i góry, potem znów dwóch mężczyzn. - Gdy już uciekłeś, musi 331

zachować się jak chan. Nie znasz Hakima, Erikki. On był moim bratem tylko do chwili, w której został chanem.

Zobaczył przez lornetkę na wpół ukrytą wioskę przy drodze. Co gorsza, słońce odbijało się od drutów linii telefonicznej. Teraz sam zaczął się niepokoić.

- Może są po prostu ciekawskimi wieśniakami. Nie będziemy jednak czekać, żeby się przekonać. - Uśmiechnął się do niej, przewyciężając zmęczenie. - Głodna?

- Tak, ale nie szkodzi. - Zaczęła pospiesznie zwijać dywan, bardzo stary i bezcenny. Jeden z jej ulubionych.

- Bardziej chce mi się pić.

- Mnie też, ale czuję się już lepiej. Sen pomógł. Mierzył wzrokiem góry, porównując to, co widział,

z zapamiętaną mapą. Ostatnie spojrzenie na mężczyzn w dole. Na razie nie ma niebezpieczeństwa, chyba że jacyś inni są bliżej, pomyślał. Ruszył do kokpitu. Aza-deh wrzuciła dywan do kabiny i zatrzasnęła drzwi. W drzwiach zauważyła otwór po kuli, którego przedtem nie widziała. Żadne z nich nie dostrzegło błysku słońca na metalu w lesie, znacznie bliżej.

Erikkiego bolała głowa; był osłabiony. Nacisnął guzik startera. Wiatr w porządku. Rzut oka na instrumenty pokładowe. Licznik obrotów strzaskany, nie ma kompasu, wielu rzeczy nie ma. Nie potrzebuje niektórych instrumentów; dźwięk silników powie mu, kiedy wskaźniki znalazłyby się na zielonym. Lecz wskaźnik paliwa zatrzymał się na jednej czwartej. Nie ma czasu, żeby sprawdzić, czy działa i czy coś jeszcze wysiadło. Zresztą, jeśli nawet tak, co mógłbym zrobić? Wszyscy bogowie, duzi i mali, starzy i nowi, żywi i martwi i jeszcze nie narodzeni, bądźcie dzisiaj po mojej stronie. Potrzebuję wszelkiej pomocy, jakiej możecie mi udzielić. Zobaczył kukri. Przypomniał sobie, że wsunął nóż do bocznej kieszeni. Zmusił się, żeby go dotknąć. Poczul się tak, jakby się sparzył.

Azadeh biegła do kokpitu w podmuchach powietrza młóconego obracającym się coraz szybciej rotorem. Usiadła w fotelu i zamknęła drzwiczki. Oderwała wzrok od zaschniętej krwi na podłodze. Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy zobaczyła ponurą koncentrację męża. Trzymał

rękę blisko kukri... Znow zastanawiała się, po co Erikki zabrał ze sobą ten nóż.

- Dobrze się czujesz, Erikki? - zapytała, ale on zachowywał się tak, jakby nie usłyszał tego pytania. In szaa Allah. Bóg sprawił, że on żyje, że żyję ja, że jesteśmy razem i właściwie nic nam nie grozi. Ale teraz to ja muszę przejąć na siebie ten ciężar i zadbać o nasze bezpieczeństwo. On nie jest teraz moim Erikkim; nie wygląda jak on i nie zachowuje się jak on. Prawie słyszę złe myśli, kłębiące się w jego głowie. Wkrótce zło pokona dobro. Boże, ochraniaj nas. - Dziękuję, Erikki - powiedziała, biorąc od niego hełmofon i przygotowując się psychicznie do walki.

Upewnił się, że jest dobrze przypięta, i ustawił głośność w jej słuchawkach.

- Dobrze mnie słyszysz?

- Och, tak, kochanie, dziękuję.

Wsluchiwał się w odgłos silników; jeszcze minuta lub dwie, zanim można będzie wystartować.

689

- Nie mamy dość paliwa, żeby dolecieć do Wan, to znaczy do najbliższego lotniska w Turcji.

Mógłbym polecieć po benzynę na południe, do szpitala w Rezaije, ale to zbyt niebezpieczne.

Skieruję się trochę na północ. W ten sposób obejrzę wioskę i drogę. To może być droga z Choju do Wan.

- Dobrze, ale pospieszmy się, Erikki. Nie czuję się tu bezpiecznie. Czy w okolicy są jakieś lotniska? Hakim na pewno zawiadomił policję, a policja lotnictwo. Możemy już startować?

- Jeszcze kilka sekund; silniki są prawie gotowe.

332

- Zobaczył jej niepokój i piękno. Jeszcze raz jej obraz połączył się w jego umyśle z obrazem Rossa.

Odsunął od siebie tę wizję. - Myślę, że lotniska są w całym pasie przygranicznym.

Polecimy tak daleko, jak się da. Chyba wystarczy paliwa do przeskoczenia przez granicę.

- Zmusił się do przybrania lekkiego tonu. - Może znajdziemy stację benzynową. Jak myślisz, przyjmują karty kredytowe?

Zaśmiała się nerwowo i podniosła torebkę. Owinęła pasek wokół nadgarstka.

- Nie potrzebujemy kart kredytowych, Erikki, jesteśmy bogaci. Ty jesteś bogaty. Ja znam turecki. Jeśli nie uda mi się wyzebrać, kupić lub utorować nam drogi łapówkami, nie jestem z Gorgonów! Ale dokąd pojedziemy? Do Sztambułu? Należą ci się wspaniałe wakacje, Erikki.

To ty nas ocaliłeś, ty wszystko zrobiłeś i pomyślałeś o wszystkim!

- Nie, Azadeh, to ty. - Ty i Ross, miał ochotę krzyknąć. Spojrzał na instrumenty, żeby ukryć wyraz twarzy. Ale gdyby nie Ross, Azadeh byłaby martwa, a bez niej ja byłbym martwy...

Nie mogę żyć z myślą o tym, że ty i on, razem... Jestem pewien, że koch...

W tym momencie ujrzał grupy jeźdźców, wypadające z obu stron z lasu, o czterysta metrów od nich. Byli wśród nich policjanci. Pędzili galopem, pokonując skalistą przestrzeń, jaka ich dzieliła od zbiegów. Słuch powiedział Finowi, że wskaźnik jest na zielonym. Natychmiast otworzył maksymalnie przepustnicę. Czas zatrzymał się 690

w miejscu. Zanim oderwą się od ziemi... Nie unikną postrzelenia. Napastnicy mają aż za dużo czasu, żeby ściągnąć cugle, wycelować i wystrzelić. Każdy z tych dwunastu ludzi. W środku jest żandarm, sierżant. Zatrzymuje się, wyciąga M-16 z kabury przy siodle!

Nagle czas zaczął pędzić. Erikki uciekał w przechyle klucząc; każda sekunda zdawała się ostatnia. Wpadł w wąwóz, lecąc na wysokości wierzchołków drzew.

- Przerwać ogień! - krzyknął sierżant do ogarniętych podnieceniem koczowników. Mierzyli i strzelali, ich konie wierzgały. - W imieniu Boga, mówiłem, że mamy ich schwytać, oszczędzić ją, a zabić jego. Jej nie wolno zabić! - Niechętnie usłuchali. Sierżant zobaczył, że 212 jest już daleko w dolinie. Wyjął walkie-talkie i nacisnął guzik. - Kwatera Główna, tu sierżant Zibri. Zasadzka się nie udała. Rozgrzał silnik, zanim zajęliśmy pozycje. Ale wykurzyliśmy go z kryjówki.

- Którędy leci?

- Skreślił na północ w kierunku drogi Choj-Wan.

- Czy widziałeś Jej Wysokość?

- Tak, wyglądała na przestraszoną. Powiedz chanowi, że porywacz przywiązał ją do fotela; wyglądało to też tak, jakby skrepiwał jej nadgarstek. Ona... - Sierżant wykrzyknął: - Teraz helikopter zawrócił na wschód; trzyma się dwa lub trzy kilometry na południe od drogi.

- W porządku, dobra robota. Zawiadomimy lotnictwo...

TEHERAN, SIEDZIBA WYWIADU WEWNĘTRZNEGO, 9:54. Zabójca z Grupy Cztery, Sulejman al Wiali, próbował opanować drżenie dłoni, biorąc do ręki teleks od pułkownika SAVAMA. Szef Wywiadu Wewnętrznego, pułkownik Haszemi Fazir, zginął zeszłej nocy, prowadząc odważnie atak na Kwaterę Główną mu-dżaheddinów, wraz z angielskim doradcą Armstrongiem. Obaj spłoneli, gdy zdrajcy podpalili budynek. Podpisano: Szef Policji, Tebriz.

Sulejman nie ochłonął jeszcze po nagłym wezwaniu. Bał się, że ten urzędnik znalazł już w sejfie Fazira

691

dokumenty obciążające zabójców Grupy Cztery. Sejf był otwarty i pusty. Na pewno szef nie byłby tak nieostrożny, nie tu, w swoim biurze!

- Wola Boga, ekscelencjo - powiedział, oddając teleks i skrywając wściekłość. - Wola Boga.

Czy jest pan nowym szefem Wywiadu Wewnętrznego, ekscelencjo?

333

- Tak. Czym ty się zajmowałeś?

- Jestem agentem, ekscelencjo - odparł Sulejman grzecznie, jak tego oczekiwano. Udał, że nie słyszy czasu przeszłego. Strach zaczął go opuszczać. Gdyby te psy coś podejrzewały, nie stałbym tutaj, rozumował ze wzrastającą pewnością siebie. Wyłbym już w jakimś lochu.

Takie niekompetentne psie syny nie zasługują na życie w świecie mężczyzn. - Pułkownik polecił mi mieszkać w Żaleh, trzymać oczy i uszy otwarte i wykurzać komunistów z nor.

Nie zdradzał niczego wyrazem twarzy. Pogardzał tym nadętym facetem o szczupłej twarzy, który siedział za biurkiem Fazira.

- Od jak dawna jesteś tu zatrudniony?

- Od trzech czy czterech lat, nie pamiętam dokładnie, ekscelencjo. To jest w moich papierach, ekscelencjo. Ciężko pracowałem, a teraz będę panu służył ze wszystkich sił.

- SAVAMA wchłania Wywiad Wewnętrzny. Od dziś podlegasz mnie. Chcę dostać kopie wszystkich twoich raportów.

- Wedle woli Boga, ekscelencjo, ale ja nie umiem pisać. To znaczy piszę bardzo źle, a ekscelencja Fazir nigdy nie wymagał pisemnych raportów - gładko zełgał Sulejman.

Czekał w milczeniu, przestępując z nogi na nogę. Rznął głupka. SAVAK czy SAVAMA to sami kłamcy. Jest bardziej niż prawdopodobne, że to oni zlecili zamordowanie szefa. Oby Bóg ich

przeklął; te psy zrujnowały plany szefa. Odsuwają mnie od świetnej pracy! Świetnej pracy za dobre pieniądze, dającej prawdziwą władzę i przyszłość. Te złodziejskie psy ukradły moją przyszłość i gwarancje bezpieczeństwa. Teraz nie mam 692

pracy, nie mogę ukatrupiać wrogów Boga. Żadnej przyszłości, żadnego bezpieczeństwa, żadnej ochro... Chyba...

Chyba że użyję swego sprytu i umiejętności, żeby podjąć dzieło szefa w miejscu, w którym mu przeszkodzono!

Synu przeklętego ojca, dlaczego by nie? Bóg tak chciał. On nie żyje, ale ja żyję. On poniósł

ofiara, ale ja nie. Dlaczego miałbym nie utworzyć dalszych zespołów? Znam techniki szefa i część jego planu. Albo jeszcze lepiej: wpadnę do jego domu i opróżnię sejf w piwnicy. On nie wiedział, że ja wiem o tym sejfie. O tym sejfie nie wie nawet jego żona. Teraz, po jego śmierci, to będzie łatwe. Tak, pójdę jeszcze dziś, zanim ci zjadacze gówna tam dotrą. Jakie bogactwa może, powinien zawierać sejf! Pieniądze, dokumenty, listy... Mój szef lubił listy jak pies gówno! Niech mnie szlag, jeśli w sejfie nie ma list innych Grup Czterech. Czyż szef nie chciał być współczesnym As-Sabbahem? Dlaczego nie ja? Z zabójcami, prawdziwymi zabójcami, którzy nie boją się śmierci i szukają męczeństwa jako przepustki do raju...

Niemal roześmiał się na głos. Żeby to ukryć, udał, że mu się odbija.

- Przepraszam, ekscelencjo, nie czuję się dobrze. Czy mogę odej...

- Gdzie pułkownik Fazir trzymał dokumenty?

- Dokumenty, ekscelencjo? Chciałbym pomóc, ale co taki człowiek jak ja wie o dokumentach? Jestem tylko agentem. Składałem mu sprawozdania, a on mnie odsyłał, często z kopniakiem i przekleństwem. Chciałbym pracować dla pana, dla prawdziwego pana. -

Czekał, nie denerwując się. Co Fazir chciałby, żebym zrobił? Na pewno chciałby być pomszczony, co oznacza załatwienie Pahmudiego, który jest odpowiedzialny za jego śmierć. I tego psa, który ośmiela się siedzieć za jego biurkiem. Dlaczego nie? Ale najpierw muszę opróżnić prawdziwy sejf. - Proszę, czy mogę odejść, ekscelencjo? Boli mnie brzuch, mam pasożyty.

Pułkownik spojrzał z niesmakiem znad karty przebiegu służby, która niczego nie wyjaśniała.

W sejfie

693

żadnych akt, tylko pieniądze. Wspaniały piszkesz dla mnie, pomyślał. Ale gdzie są akta?

Fazir musiał je gdzieś przechowywać. W domu?

334

- Tak, możesz odejść - rzucił niecierpliwiony. - Ale zgłaszaj się do mnie raz w tygodniu. Do mnie osobiście. I nie zapominaj, jeśli nie będziesz dobrze pracować... Nie zamierzamy zatrudniać symulantów.

- Tak, ekscelencjo, z pewnością, ekscelencjo, dziękuję, ekscelencjo. Będę się starał, na chwałę Boga i imama. Ale kiedy mam się zgłosić?

- W dniu przypadającym po piątku każdego tygodnia.

Pułkownik odprawił go niecierpliwym gestem. Sulej-man wyszedł, powłócząc nogami.

Przyrzekł sobie, że ten pułkownik przestanie istnieć przed najbliższym terminem stawienia się u niego. Syn psa. Dlaczego nie? Już teraz moja władza sięga aż do Bejrutu i Bahrajnu.

BAHRAJN, 12:50. Prawie tysiąc sto kilometrów dalej na południe, w Bahrajnie, świeciło słońce, a powietrze było przejrzyste i rześkie. Na plażach mnóstwo ludzi, którzy przyjechali na weekend, windsurferowcy korzystali z idealnej bryzy, stoliki na tarasach hoteli pełne były skąpo ubranych mężczyzn i kobiet, zlaknionych wiosennego słońca. Jedną z tych kobiet była Sajada Bertolin. Na kostium bikini zarzuciła malowniczy strój plażowy. Piła napój ze świeżej cytryny, siedziała sama. Jej stolik ocieniał zielony parasol. Patrzyła na kąpiących się i dzieci bawiące się na płyciznach. Jakiś chłopczyk wyglądał trochę jak jej syn. To dobrze będzie wrócić znów do domu, pomyślała, wziąć syna w ramiona i tak, tak, nawet spotkać się z mężem. Tak długo obywałam się bez cywilizacji, bez dobrego jedzenia i interesujących rozmów, bez kawy, croissantów i wina, bez gazet, radia i telewizji, i bez wszystkich tych cudownych rzeczy, na które zwykle nie zwracamy uwagi. Chociaż ja nie. Ja zawsze to wszystko doceniałam, zawsze pracowałam, żeby poprawić świat, żeby na Środkowym Wschodzie zapanowała sprawiedliwość.

Ale teraz? Radość ją opuściła.

Teraz nie jestem jedynie sympatykiem i kurierem OWP, ale także tajnym agentem libańskiej milicji chrześcijańskiej, ich mocodawców izraelskich i CIA. Dzięki Bogu, podsłuchałam ich, gdy myśleli, że wyszłam po otrzymaniu od nich rozkazu powrotu do Bejrutu. Nadal nie znam nazwisk, ale wiem dostatecznie dużo, żeby móc ich namierzyć. Psy! Brudne psy!

Chrześcijanie! Zdrajcy Palestyny! Poza tym trzeba jeszcze pomścić Tejmura. Czy odważę się powiedzieć mężowi, który powtórzy wszystko tym z Rady? Nie odważę się. Oni wiedzą zbyt dużo.

Spojrzała na morze i drgnęła. Wśród ludzi pływających na deskach z żaglem rozpoznała Jean-Luca, balansującego zręcznie na chybotliwej desce, odchylonego elegancko na nawietrzną.

Kierował się do brzegu. W ostatniej chwili wyostrzył do linii wiatru, zeskoczył na płyciznę i pozwolił żaglowi opaść na wodę. Uśmiechnęła się, widząc taką perfekcję.

Ach, Jean-Luc, jak mocno kochasz siebie samego! Lecz przyznaję, że masz w sobie coś. W

wielu dziedzinach jesteś niezrównany: jako kucharz, jako kochanek... przynajmniej od czasu do czasu. Nie zmieniasz się, nie eksperymentujesz jak my, ludzie Środkowego Wschodu, którzy rozumiemy, na

czym polega erotyzm. Jesteś zbyt przejęty swoją własną urodą.

Przyznaję, jesteś piękny, mruknęła, przyjemnie wilgotniejąc pod wpływem tej myśli. Kochasz lepiej niż przeciętny mężczyzna, ale to wszystko, cheru nic więcej. Nie jesteś najlepszy. Mój pierwszy mąż był najlepszy, może dlatego, że był pierwszy? Potem Tejmur. Tejmur był kimś niepowtarzalnym. Ach, Tejmurze, już się nie boję o tobie myśleć, teraz, gdy wyjechałam z Teheranu. Tam się bałam. Nie zapomnę ciebie ani tego, co oni ci zrobili. Kiedyś wezmę za ciebie odwet na milicji chrześcijańskiej.

Patrzyła na Jean-Luca, zastanawiając się, co on tu

robi. Cieszyła się, że tu jest, miała nadzieję, że ją zauważy; nie chciała zrobić pierwszego kroku, żeby nie

' kusić losu. Była jednak gotowa poczekać i zobaczyć, co 694

695

335

los ma w zanadrzu. Przejrzała się w lusterku, pociągnęła usta błyszcznikiem, skropiła się lekko perfumami. Czekala. Zaczął schodzić z plaży. Udawała, że patrzy na swoją szklankę.

Widziała fragment jego odbicia, pozostawiała wszystko przypadkowi.

- Sajada! Mon Dieu, chérie! Co ty tu robisz?

Udała zaskoczoną. Pocałował ją na powitanie. Poczula morską sól, zapach olejku do opalania i potu. Postanowiła spędzić wesoło popołudnie.

- Właśnie przyjechałam, cheri, zeszłej nocy, z Teheranu - wydyszała, pozwalając, żeby ogarnęło ją podniecenie. - Jestem na liście oczekujących na jutrzejszy lot do Bejrutu; linie Middle Eastern, start w południe. A co ty tu robisz? To wygląda na jakiś cud!

- To jest cud, mamy szczęście! Ale nie możesz wyjechać jutro. Jutro jest niedziela i zorganizujemy piknik. Będziemy jedli homary i ostrygi!

Był bardzo pewny siebie, galijski i szarmancko przekonujący. Dlaczego nie? - pomyślała.

Bejrut może poczekać. Czekałam już tak długo, że jeden dzień nie robi różnicy.

A on myślał: Jak wspaniale! Weekend miał być nudny jak flaki z olejem, a teraz czeka mnie miłość po południu, potem sjesta. Później znakomita kolacja, trochę potańczymy, pokochamy się czule i zaśniemy, żeby nabrać sił przed następnym cudownym dniem.

- Chérie, to straszne, ale muszę cię zostawić prawie na godzinę - powiedział, znakomicie markując smutek. - Zjemy tu obiad. Mieszkasz w tym hotelu? Świetnie. Ja też: pokój 1623.

Okolo wpol do drugiej? Nie przebieraj sie, wygladasz wspaniale. Cesi bon?

Nachylin sie, pocaLOWal ja i dotknal piersi. Poczul drzenie i wiedzial, ze bedzie dobrze.

W SZPITALU, 13:16. - Dzień dobry, doktorze La-noire. Kapitan NcIver: jest z nim dobrze czy źle?

Jean-Luc mowil po francusku. Ojciec Antona La-noire'a pochodził z Cannes, matka z Bahrajnu.
Matka

696

byla corka niepiśmiennego rybaka. Ukonczyła Sorbonę. Jej ojciec nadal łowił ryby jak zawsze, nadal mieszkał w nędznej chacie, choć był multimilionerem, właścicielem szybów naftowych.

- Średnio.

- To znaczy?

Lekarz wykonał niewyraźny gest. Był wytwornym, prawie czterdziestoletnim mężczyzną.

Studiował w Paryżu i Londynie, znał trzy języki: arabski, francuski i angielski.

- Jeszcze przez kilka dni nie będziemy wiedzieć dokładnie; musimy zrobić wiele badań.

Całkowitą pewnością uzyskamy dopiero za miesiąc, ale, jak na razie, kapitan NcIver dobrze reaguje na leki i nie odczuwa bólu.

- Ale czy na pewno wyzdrowieje?

- Angina pectoris ma zwykle podobny przebieg. Z tego, co mówiła jego żona, wynika, że od kilku miesięcy żył w dużym napięciu, nie mówiąc już o ostatnich kilku dniach tej waszej Operacji. Nic dziwnego. Co za odwaga! Podziwiam jego, pana i wszystkich, którzy brali w tym udział, ale jako lekarz uważam, że wszyscy uczestnicy powinni teraz otrzymać dwu- lub trzymiesięczne urlopy.

Jean-Luc rozpromienił się.

- Czy mógłbym dostać to na piśmie? Oczywiście, chodzi o trzymiesięczny urlop zdrowotny z pełnym wynagrodzeniem i świadczeniami?

- Oczywiście. Jaką wspaniałą pracę wykonaliście dla swojej firmy, ryzykując życiem. Chyba wszyscy zasłużyliście na premie! Dziwne, że zdarzył się tylko jeden atak serca. Powinniście przez dwa miesiące odpoczywać. Jean-Luc, to bardzo ważne: musisz przejść dokładne badania, zanim znów zaczniesz latać.

Jean-Luc nie wiedział, co o tym myśleć.

- Czy to znaczy, że nas wszystkich czeka atak serca?

- Och, nie, wcale nie. - Lanoir uśmiechnął się. - Ale warto się dokładnie zbadać, po prostu na wszelki wypa-697

dek. Wiesz, że anginę pectoris wywołuje nagłe zablokowanie krwi? Zawał następuje, gdy to samo zdarza się z mózgiem. Arterie przestają być drożne i to jest to! In sha'a Allah. To się może wydarzyć w każdej chwili.

- Tak?

Jean-Luc czuł się coraz bardziej niepewnie. Cholera! Przy moim pechu na pewno padnie na mnie.

- O, tak - ciągnął z zapalem lekarz. - Znałem pacjentów przed czterdziestką. Mieli doskonałe ciśnienie krwi, prawidłowy poziom cholesterolu, EKG bez zarzutu... A nagle: paf! -

Gestykulował obrazowo. - Parę godzin i paf!

- Paf? Tak po prostu? - Jean-Luc wolał usiąść.

- Ja sam nie latam, ale mogę sobie wyobrazić, że latanie wywołuje stresy, zwłaszcza na Morzu Północnym. A stres jest chyba najpoważniejszą przyczyną anginy pectoris. Część serca obumiera i...

- Mój Boże, serce starego Maca obumarło? - Jean--Luc był wstrząśnięty.

- Och, nie, tylko częściowo. Przy każdym ataku, nawet lekkim, traci się kawałek na zawsze.

Śmierć. - Doktor Lanoire uśmiechnął się. - Oczywiście, to może potrwać bardzo długo, zanim zabraknie ci już tkanki.

Mon Dieu, pomyślał ogarnięty panicznym strachem Jean-Luc. To mi się wcale nie podoba.

Morze Północne? Wiadro gówna! Lepiej poproszę o przeniesienie, zanim w ogóle tam trafię!

- Jak długo Mac pozostanie w szpitalu?

- Cztery do pięciu dni. Sugerowałbym, żebyś dał mu dzisiaj spokój i przyszedł jutro. Jutro też staraj się go nie zmęczyć. On musi odpoczywać przez miesiąc, a potem przejść dalsze badania.

- Jakże ma szansę?

- To zależy od Boga.

Na górze, na balkonie ładnego pokoju z widokiem na błękit wód, Genny drzemała w fotelu.

Numer londyńskiego Timesa, który przyleciał rano samolotem Bri-tish Airways, tkwił

rozłożony na jej kolanach. NcIver

leżał wygodnie w śnieżnobiałej, wykrochmalonej pościeli. Przez okno wpadł świeży podmuch bryzy i obudził go. Wiatr się zmienił, pomyślał. Północno-wschodni, jak zwykle.

Dobrze. Poruszył się, żeby lepiej widzieć wody zatoki. Wyrwało to Genny z drzemki. Złożyła gazetę i wstała.

- Jak się czujesz, najmilszy?

- Świetnie, już teraz świetnie. Żadnego bólu. Jestem tylko trochę zmęczony. Wydawało mi się, że rozmawiałaś z lekarzem. Co powiedział?

- Powiedział, że wszystko wygląda dobrze. Atak nie był silny. Musisz się oszczędzać przez kilka dni, potem miesiąc urlopu, a potem dalsze badania. Powiedział, żeby być dobrej myśli, bo nie palisz i ogólnie jesteś w dobrej formie. - Genny stała nad łóżkiem, tyłem do światła, ale widział jej twarz i wyczytywał z niej prawdę. - Nie możesz już nigdy latać jako pilot - dodała i uśmiechnęła się.

- Drobiazg - rzucił obojętnym tonem. - Kontaktowałaś się z Andym?

- Tak. Telefonowałam wczoraj wieczorem i dziś rano. Za jakąś godzinę znów zadzwonię.

Nadal brak wiadomości o Marcu Dubois i Fowlerze, ale wszystkie helikoptery są już w Asz Szargaz. Demontują je i przygotowują do wywiezienia jutro. Andy był bardzo dumny z ciebie i Scraga. Z nim też rozmawiałam dziś rano.

Cień uśmiechu.

- Fajnie będzie zobaczyć znów starego Scraga. Dobrze się czujesz?

- Och, tak. - Dotknęła jego ramienia. - Tak się cieszę, że już ci lepiej. Sprawileś mi radość.

- Ty mi też, Gen. - Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i powiedział szorstko: - Dzięki, pani NcIver.

Przyciągnęła jego rękę do policzka. Potem nachyliła się i dotknęła wargami jego warg, czując ciepło na widok ogromu uczucia w jego spojrzeniu.

- Sprawileś mi radość - powtórzyła. Zauważył gazetę.

- Dzisiejsza, Genny?

- Tak, kochanie.

- Wydaje mi się, że już od lat nie czytałem gazet. Jakie wiadomości?

- Nic szczególnego. - Odłożyła gazetę. Nie chciała, żeby zobaczył to, co przed chwilą czytała. Mogło go to zdenerwować. Załamanie na giełdzie w Hongkongu. To na pewno dotyczy Struana i tego sukinsyna Linbara, pomyślała. Czy dotyczy S-G i Andy'ego? Duncan i tak nie może nic zrobić. - Strajki, Callagan mieszka w starej, dobrej Anglii bardziej niż zwykle.

Piszą, że może zarządzić w tym roku przedterminowe wybory, a jeśli to zrobi, Maggie Thatcher będzie miała szansę. Czy to nie byłoby wspaniale? Nareszcie rządziłby ktoś sensowny.

- Dlatego że kobieta? - uśmiechnął się krzywo. - Kij w mrowisko! Chryste, kobieta premierem! Nie wiem, jak w ogóle udało się jej zająć miejsce Heatha... Musiała chyba schować podkowę w rękawicy! Jeśli tylko ci cholerni liberałowie usuną się z drogi...

Zamilkł. Zobaczyła, że patrzy na morze. Przepływało właśnie kilka pięknych statków.

Po cichu usiadła i czekała. Chciała, żeby zasnął albo znów trochę porozmawiał, zależnie od tego, na co ma ochotę. Widocznie czuje się lepiej, skoro zaczyna pomstować na liberałów, pomyślała leniwie, patrząc na morze. Jej włosy omiatała bryza pachnąca morską solą.

Przyjemnie było tak po prostu siedzieć, wiedząc, że on czuje się już dobrze, że „reaguje pozytywnie na leki”. „Niech się pani nie martwi, pani Nelver”, powiedział lekarz. Łatwo mu mówić...

W naszym życiu nastąpi ogromna zmiana, musi nastąpić, niezależnie nawet od stracenia Iranu i wszystkich naszych rupieci, których nie będę żałować. Teraz, gdy Whirlwind się skończył...

Chyba zwariowałam, proponując taką akcję, ale och, jak wspaniale się udało! Przewieźliśmy dużo sprzętu i prawie wszyscy chłopcy są już bezpieczni... Nie mogę nawet myśleć o Tomie, Marcu, Fowlerze, Erikkim, Azadeh czy Szahrazad, niech Bóg ich błogosławi. Na pewno zostaniemy na rynku. Nasz udział w S-G musi być coś wart. Nie 700

zostaniemy bez grosza przy duszy i to jest ważne. Ciekawe, ile możemy dostać za nasze akcje? Przecież mamy jakieś akcje? Ale co z „załamaniem na giełdzie”? Mam nadzieję, że to nas nie dotknie.

Miło jest mieć trochę pieniędzy, ale to nieważne. Żeby tylko Duncan wyzdrowiał. Może przejdzie na emeryturę, może nie. Nie chciałabym, żeby zupełnie się wycofał, to by go zabiło.

Gdzie będziemy mieszkać? Pod Aberdeen? A może w Edynburgu, blisko Sary i Trevora, albo w Londynie, koło Hamisza i Kathy? Londyn nie, tam jest okropnie. Poza tym nie powinniśmy mieszkać zbyt blisko dzieci, zawracać im głowę, chociaż byłoby miło wpadać do nich od czasu do czasu, popilnować wnuków. Nie chcę być nudną teściową. Kathy to taka kochana dziewczyna. Kathy, Kathleen, Kathy: Andrew i Kathy i czasem wyjazd do Castle Avisyard, a teraz Andrew i Maureen i małe Elektra. Nie chciałabym być samotna, Duncan też...

Nie zapomnę tego horroru. Huk, ciemność, wycie silników, odór benzyny... Mój Boże, jak oni mogą znosić ten hałas godzina po godzinie... A Duncan z trudem łapie powietrze, czasem nie wiadomo, czy jeszcze żyje. Dwa razy krzyknęłam: „On nie żyje, nie żyje”, ale nikt mnie nie usłyszał i nikt nie

pomógł. Kochany stary Charlie przyleciał tu najszybciej, jak mógł, a ten 338

drugi, ten irański sierżant, jak on się nazywa? Ach, tak, Wazari. Wazari był miły, ale bezużyteczny. Och, Boże, to było straszne, straszne i trwało przez całą wieczność... Ale teraz już jest dobrze i dzięki Bogu ja tam byłam. Duncan wyzdrowieje, na pewno, musi.

Ciekawe, co się stało z Wazarim? Był taki przestraszony, kiedy zabierała go policja.

Chwileczkę, czy Jean-Luc nie powiedział, że zwolnią go prawdopodobnie jako uchodźcę politycznego, jeśli Andy za niego poręczy? Jeśli zagwarantuje, że zabierze go z Bahrajnu i da mu pracę?

Przeklęta rewolucja! Nie mogę nawet wrócić i zabrać paru rzeczy. Zostawiłam tę świetną starą patelnię, na

701

której nic się nie przypalało, i *dzbanek, w którym zawsze wychodziła dobra herbata, nawet z tych brudnych torebek i teherańskiej wody. Woda, brrr! Już koniec z kucaniem i używaniem wody zamiast papieru toaletowego. Brrr!

- Z czego się śmiejesz, Gen?

- Och, daj mi się zastanowić! Ach tak, myślałam o kucaniu, o tych tyłkach wystających rano nad rowem, o butelkach z wodą. Biedni ludzie. To zawsze wyglądało tak strasznie, a jednocześnie zabawnie. Biedni ludzie. My, chłopcze, już z tym skończyliśmy. Wracamy do kraju! - Dostrzegła jego spojrzenie i jej niepokój powrócił. - To nie jest złe, Duncan, wrócić do domu. Będzie dobrze, obiecuję.

Po chwili skinął głową, raczej dla potwierdzenia własnych myśli.

- Poczekamy, zobaczymy, Gen. Nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji. Nie martw się, co?

- Teraz się nie martwię.

- To dobrze. Nie ma powodu.

Znów spojrzał na morze. Nie mam zamiaru spędzić reszty życia, walcząc z tą parszywą brytyjską pogodą. To by było straszne. Emerytura? Chryste, ja muszę się czymś zajmować.

Bez pracy zwariuję. Może moglibyśmy wykombinować jakiś domek nad morzem, w Hiszpanii albo na południu Francji, i spędzać tam zimy? Nie pozwolę Gen marznąć i zestarzeć się przedwcześnie. Ten cholerny wiatr znad Morza Północnego! Nigdy, na Boga.

Teraz, gdy Operacja się powiodła, mamy dość pieniędzy. Dziewięć z dziesięciu 212!

Cudownie! Nie mogę nawet myśleć o Dubois, Fowlerze, Tomie i Erik-kim, Azadeh i Szahrazad.

Powrócił niepokój, a z nim ból, który zwiększył niepokój, a ten z kolei znów ból...

- O czym myślisz, Duncan?

- Piękny dzień.

- Rzeczywiście.

- Spróbujesz połączyć mnie z Andym, Gón?

- Oczywiście. - Podniosła słuchawkę i wybrała nu-

702

mer. Wiedziała, że będzie lepiej, jak on sobie trochę porozmawia. - Halo? Scot? Jak się masz?

Tu Genny. - Słuchała, a potem powiedziała: - Dobrze. Jest tam twój ojciec? - Słuchała. - Nie, powiedz mu tylko, że dzwoniłam w imieniu Duncana. Czuje się dobrze. Nasz numer wewnętrzny: 445. Chciał tylko pogadać. Poproś Andy'ego, żeby zatelefonował, gdy wróci?

Dziękuję, Scot... Nie, naprawdę dobrze się czuje. Powtórz to też Charliemu. Do widzenia.

Starannie odłożyła słuchawkę.

- Nic nowego. Andy jest na lotnisku ze Scragiem. Mają się spotkać z tym Japońcem, wiesz, tym z Iran-Tody. Nie powinnam tak mówić, ale nie mogę zapomnieć, co oni robili w czasie wojny.

NeIver zmarszczył brwi.

339

- Wiesz, Gen, chyba nadszedł już czas, żeby zapomnieć. Kasigi pomógł staremu Scragowi.

Nie można winić ich wszystkich za grzechy ojców. Może powinniśmy otworzyć nową epokę?

To właśnie nadchodzi, Gen, czy chcemy tego, czy nie: nowa epoka. Prawda?

Zobaczyła jego uśmiech i łzy stanęły jej w oczach. Nie wolno płakać, wszystko będzie dobrze, nowa epoka będzie dobra, a on wyzdrowieje, musi wyzdrowieć. Och, Duncan, tak się boję.

- Wiesz co, chłopcze - powiedziała wesoło. - Kiedy już całkiem wyzdrowiejesz, pojedziemy na wycieczkę do

Japonii.

- Umowa stoi. Przy okazji moglibyśmy wpaść znów

do Hongkongu.

Wziął ją za rękę, mocno ścisnął. Oboje skrywali swój strach przed jutrem, strach o siebie nawzajem.

ASZ SZARGAZ, HOTEL PRZY MIĘDZYNARODOWYM LOTNISKU, 13:55. Kasigi lawirował pomiędzy stołami, kierując się na nieskazitelnie biały taras, z którego rozpościerał

się widok na basen.

- Ach, panie Gavallan, kapitanie Scragger, spóźniłem się, bardzo przepraszam.

- Nic nie szkodzi, panie Kasigi, proszę usiąść.

- Dziękuję. - Kasigi miał na sobie tropikalny garnitur. Wyglądał tak, jakby nie było mu gorąco, choć było. - Tak mi przykro, nie znoszę się spóźniać, ale nad zatoką nie można być punktualnym. Musiałem przyjechać z Dubaju, a ruch... Chyba już można pogratulować?

Słyszałem, że Operacja udała się niemal w stu procentach.

- Nadal brakuje jednej maszyny i dwóch ludzi, ale, summa summarum mieliśmy szczęście -

odpowiedział

704

Gavallan. Ani jego, ani Scraggera nie rozpieszczała radość.

- Czy chce pan zjeść obiad, czy wypije tylko drinka?

Spotkanie, o które poprosił Kasigi, umówione było na dwunastą trzydzieści. Gavallan i Scragger, zgodnie z umową, nie czekali z jedzeniem i byli już przy kawie.

- Poproszę brandy z wodą mineralną i drugą wodę oddzielnie. Nie będę jadł, dziękuję, nie jestem głodny

- grzecznie skłamał Kasigi. Nie chciał zaprzętać sobie uwagi jedzeniem, skoro oni już skończyli. Uśmiechnął się do Scraggera. - Cieszę się, że już po wszystkim. Gratulacje!

- Przepraszam, że wtedy nie mogłem odpowiedzieć na twoje pytania, no, ale teraz już rozumiesz.

- Zrozumiałem, oczywiście, w chwili gdy o wszystkim usłyszałem. Zdrowie! - Kasigi wypił

łapczywie wodę mineralną. - Teraz, gdy Whirlwind już nie przeszkadza, panie Gavallan, może mógłby pan pomóc rozwiązać problemy Iran-Tody?

- Chciałbym, oczywiście, ale nie mogę. Bardzo mi przykro. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Teraz to już jest oczywiste.

- Być może dałoby się zrobić tak, żeby było możliwe. - Kasigiemu nie drgnęła powieka. -

Słyszałem, że jeśli wasze maszyny nie znikną do zachodu słońca, zostaną zasekwestrowane.

Gavallan uniósł rękę.

- Miejmy nadzieję, że to tylko plotka.

- Jeden z pracowników waszej ambasady poinformował naszego ambasadora, że to jest już postanowione. Byłoby tragedią stracić wszystkie helikoptery po odniesieniu takiego sukcesu.

- Postanowione? Jest pan pewien? - Gavallan poczuł, że opuszczają go resztki sił.

- Mój ambasador był pewny. - Kasigi uśmiechnął się czarująco. - Powiedzmy, że mógłbym przesunąć wasz termin do jutrzejszego zachodu słońca. Czy wtedy moglibyście rozwiązać moje problemy z Iran-Todą?

340

Obaj mężczyźni wlepili w niego wzrok.

- Czy może pan to zrobić, panie Kasigi?!

705

- Ja nie, ale nasz ambasador mógłby. Za godzinę mam się z nim spotkać. Poproszę go. Może będzie mógł wpłynąć na ambasadora Iranu albo szejka, albo ich obu.

- Kasigi dostrzegł zainteresowanie Gavallana i pozwolił, żeby na na chwilę zapadła cisza. Był zbyt doświadczony w połowach na Zachodzie, żeby nie doceniać znaczenia przynęty. -

Jestem dłużnikiem kapitana Scraggera. Nie zapomniałem, że ocalił mi życie i zmienił plany, żeby podrzucić mnie do Bandar Dejlamu. Nie zapomina się o przyjaciółach, prawda? Na szczęblu ambasadorów... może uda się to załatwić.

Japoński ambasador? Mój Boże, oby to było prawdą. Gavallan poczuł przypływ nadziei, mając przed sobą to nieoczekiwane rozwiązanie.

- My nie możemy niczego zrobić, wiem to na pewno. Byłbym wdzięczny za wszelką pomoc, to jasne. Uważa pan, że on mógłby pomóc?

- Myślę, że gdyby zechciał... - Kasigi pociągnął łyk brandy. - Tak jak pan może pomóc nam.

Mój prezes prosił, żeby przypomnieć panu o nim i o wspólnym przyjacielu panów, sir Ianie Dunrossie. - Dostrzegł, że na Gavallanie zrobiło to wrażenie i dodał: - Dwa dni temu jedli razem kolację.

- Jeśli tylko mogę pomóc... Na czym polegają pańskie problemy?

Gdzie tkwi haczyk? - zastanawiał się Gavallan.

1 gdzie jest łan? Trzykrotnie nie udało mi się go złapać.

- Potrzebuję trzech 212 i dwóch 206 w Iran-Todzie tak szybko, jak to możliwe. Chodzi o roczny kontrakt. Zasadniczą sprawą jest dokończenie budowy zakładów, a lokalny komitet obiecał mi pełną współpracę, jeśli zaczniemy od razu. Jeśli nie od razu, nastąpi katastrofa.

Zeszłej nocy naczelny inżynier Watanabe wysłał z Iran-Tody zaszyfrowany teleks: Przewodniczący komitetu Zataki zachowuje się jak wściekły rekin z powodu akcji S-G. Jego ultimatum: albo rozpoczniemy prace budowlane od razu - do czego potrzebujemy helikopterów

- albo zakłady zostaną przejęte i znacjonalizowane, 706

a wszyscy cudzoziemcy będą w odwecie oskarżeni o zbrodnię. Termin: niedziela, czwartego, po wieczornej mod-litiwie, kiedy to mam się stawić przed komitetem. Proszę o wskazówki.

Nocne telefony do Osaki i Tokio tylko rozgniewały Kasigiego.

- Yoshi, mój drogi przyjacielu - zniewalająco grzecznie odpowiedział jego kuzyn i zwierzchnik w Hi-ro-Tądzie. - Konsultowałem to z syndykatem. Wszyscy uznali, że jesteśmy szczęśliwi, mając ciebie na miejscu. Wszystko zależy od ciebie. Całkowicie ufamy, że rozwiążesz wszystkie te problemy, zanim wyjedziesz.

Przesłanie było zupełnie jasne: „Załatw to albo nie wracaj”.

Przez pozostałą część nocy zastanawiał się, jak to wszystko rozwikłać. Potem, o świcie, przypomniał sobie, co usłyszał przypadkowo od ambasadora Japonii o nowym ambasadorze Iranu. To dało mu klucz do rozwiązania problemu Gavallana, a zarazem własnego.

- Chciałbym być całkowicie szczerzy, panie Gavallan

- powiedział i z trudem opanował śmiech, lecz to absurdałne stwierdzenie było formułką, którą trzeba było wygłaszać, pertraktując z ludźmi Zachodu. - Do jutra, do zachodu słońca, muszę mieć plan i jasną sytuację.

- Dlaczego akurat do zachodu, jeśli wolno zapytać?

- Ponieważ zobowiązałem się do tego wobec przyjaciela. Rozumie pan, oczywiście, że muszę dotrzymać słowa - odparł Kasigi. - Zatem nas obu obowiązuje ten sam termin. - Oceniał, że nadszedł właściwy moment i zaatakował, żeby upewnić się, że hak utkwiał głęboko.

341

- Jeśli pomoże mi pan, będę za to do zgonnie wdzięczny. Oczywiście, tak czy inaczej, zrobię wszystko, by przekonać naszego ambasadora, żeby panu pomógł.

- Nie mogę zaoferować żadnej z naszych maszyn: zostałyby natychmiast zajęte. Nie mogę też zaoferować 206, które zostały: one także są hors de combat. S-G całkowicie wypadła z gry, tak samo zresztą jak Bell,

707

Guerney i wszystkie inne spółki. Czy może pan dysponować pilotami helikopterowymi z obywatelstwem japońskim?

- Nie. Nie mamy nikogo odpowiednio wykształconego. - Jeszcze nie mamy, pomyślał Kasigi i znów odczuł niechęć do syndykatu, który nie był na tyle przewidujący, żeby wyszkolić własnych, godnych zaufania ludzi. - Personel musi być zagraniczny. Mój ambasador mógłby ułatwić zdobycie wiz i innych zezwoleń. Wie pan, oczywiście, że Iran-Toda jest przedsiębiorstwem narodowym - dodał, nie przejmując się tym, że trochę przesadził. Wkrótce naprawdę będzie, gdy tylko informacje, które zyskałem, trafią we właściwe ręce.

- Co pan sądzi o załogach francuskich albo niemieckich?

Gavallan z wysiłkiem oderwał myśli od tego, jaki ambasador mógłby zapewnić bezpieczeństwo jego ludziom i helikopterom, jak uniknąłby w ten sposób pułapki Linbara i mógł zająć się swobodnie Imperial Helicopters na Morzu Północnym, kryzysem w Hongkongu, wcześniejszą emeryturą Linbara i usytuowaniem Scota tak, aby mógł w przyszłości przejąć władzę.

- Tak wiele wspaniałych możliwości - wyrwało mu się. Opanował się błyskawicznie i skoncentrował na problemach Iran-Tody. - Problem obejmuje dwa zagadnienia. Po pierwsze, sprzęt i części: gdyby mógł pan wystawić akredytywę opiewającą na naszą zwykłą miesięczną stawkę, odnawianą tak długo, jak długo będzie pan używał helikopterów -

skądkolwiek bym je zdobył

- z gwarancją, że gdyby władze irańskie je skonfiskowały, przejąłby pan wszystkie dolarowe płatności leasingowe poza Iranem i wyrównał właścicielom wszystkie straty, mógłbym dostarczyć je do Iran-Tody w ciągu... w ciągu tygodnia.

- Naszym bankiem jest Sumitomo - odpowiedział Kasigi od razu. - Mogę załatwić spotkanie z jego przedstawicielem dziś wieczorem. Z tym nie ma kłopotu. Skąd wzięłby pan śmigłowce?

708

- Niemcy albo Francja. Nie można używać brytyjskich lub amerykańskich. To samo z pilotami. Francja jest chyba lepsza, bo pomagała Chomeiniemu. Mógłbym to załatwić przez pewnych przyjaciół w Aerospatia-le. Co z ubezpieczeniem? Ja nie mogę ubezpieczyć pana w Iranie.

- Może będę mógł zrobić to w Japonii.

- Dobrze. Nie znoszę nie ubezpieczonych latadeł. Po drugie, Scrag, powiedzmy, że mamy helikoptery. Ilu pilotów i mechaników byś potrzebował?

- Gdybyś mógł, najlepiej mieć od ośmiu do dziesięciu pilotów i od dziesięciu do czternastu mechaników, stacjonujących poza Iranem, ale blisko.

- Kto by im płacił, panie Kasigi? W jakiej walucie i gdzie?

- W dowolnej walucie, gdziekolwiek i jakkolwiek. Zwykle stawki?

- Chyba powinien pan zaoferować „dodatek za niebezpieczne warunki pracy” ze względu na sytuację w Iranie.

- Czy mógłby pan załatwić to wszystko, panie Ga-vallan, sprzęt i ludzi, za powiedzmy dziesięć procent nadwyżki?

- Niech pan zapomni o procentach, a za to pamięta, że nasz udział nie może wyjść na jaw.

Sugerowałbym, że pańska operacja powinna być prowadzona - logistyka, części zamienne i naprawy - z Kuwejtu lub Bahrajnu.

342

- Bahrajn byłby lepszy, Andy - zauważył Scragger.

- Kuwejt jest znacznie bliżej - zdziwił się Kasigi.

- Owszem - odparł Scragger. - A więc jest bardziej podatny na nacisk Iranu i wrażliwy na rozruchy inspirowane przez Iran. Ta strona zatoki w ogóle jest chyba bardziej wrażliwa. Zbyt wielu szytów, którzy są zwykle biedni, zbyt wielu szejków, którzy zwykle są sunnitami. Na krótszą czy dłuższą metę lepiej być dalej, w Bahrajnie.

- Zatem Bahrajn - zgodził się Kasigi. - Panie Ga-vallan, czy mogę przez rok korzystać z usług kapitana Scraggera, żeby prowadził tę operację, jeśli do niej 709

dojdzie, za dwukrotność jego obecnego wynagrodzenia? - Zobaczył, że Scragger mruży oczy.

Pomyślał, czy nie posuwa się za daleko i na wszelki wypadek dodał lekkim tonem: - Skoro proszę cię, żebyś porzucił swoją największą miłość, przyjacielu, powinieneś coś z tego mieć.

- To wspaniała propozycja, ale, no cóż, nie wiem. Andy?

Gavallan zawahał się.

- To by oznaczało, Scrag, że rezygnujesz z S-G i z latania. Nie możesz dowodzić pięcioma maszynami i jeszcze samemu latać. Poza tym nie możesz wrócić do Iranu, nie ma jak.

To prawda. Porzucić latanie. A więc ja też jestem na rozdrożu, myślał Scragger. Nie ma co udawać: wypadek Maca dał mi wiele do myślenia. Dlaczego wczoraj zemdlałem? Doktor Nutt powiedział, że to tylko z wyczerpania. Gadanie! Wcześniej nigdy nie zemdlałem, i co ci lekarze w ogóle wiedzą?

Rok w Bahrajnie? To lepsze niż parę miesięcy na Morzu Północnym, zawsze pod groźbą badań lekarskich. Nie latać? Jezu! Chwileczkę, mógłbym robić sobie małe przejażdżki dla przyjemności.

- Muszę się nad tym zastanowić. Dziękuję za propozycję, panie Kasigi.

- A tak, na razie, panie Gavallan, czy mógłby pan zorganizować pierwszy miesiąc?

- Tak. Przy odrobinie szczęścia załatwiłbym w ciągu tygodnia tyle maszyn i pilotów, że mógłby pan zacząć. W ciągu następnego tygodnia na pewno znalazłbym resztę. Możemy zawrzeć kontrakt odnawiany co trzy miesiące. - Gavallan dodał tak delikatnie, jak tylko mógł:

- Jeśli uda się coś załatwić z tym terminem.

Kasigi nie okazał zadowolenia.

- Dobrze. Czy możemy spotkać się tutaj o dziewiątej? Przyprawdżę pana Umura, prezesa banku Sumito-mo na obszar zatoki, żeby załatwić akredytywy w takiej formie, jaka panu odpowiada, panie Gavallan.

- Punktualnie o dziewiątej. Może mógłby pan napomknąć swojemu ambasadorowi, że moje frachtowce

710

przybędą dopiero jutro w południe. Do zachodu słońca nie zdążę ich załadować i wyprawić.

- Nie wspomni pan nikomu o naszym „szczepku ambasadorów”?

- Oczywiście. Ma pan moje słowo. Scrag?

Kasigi usłyszał, że Scrag powtarza to samo. Jak zawsze w takich wypadkach, był zdumiony tym, że ludzie Zachodu mogą być tak naiwni, by polegać na czymś „słowie”, „słowie honoru”... Czyjego honoru, jakiego honoru? Czyż nie było zawsze tak, że tajemnica dzielona z kimś przestaje być tajemnicą? Tak jak z Operacją Whirlwind; wieści od razu się rozeszły.

- Moglibyśmy zaplanować to w taki sposób: dzisiaj załatwiamy sprawę pieniędzy i akredytyw; pan zaczyna załatwiać helikoptery, części zamienne i załogi. Zastanawia się pan, jak kierować tą operacją z Bahrajnu, podaje sposób składowania i sumę. Wszystko to podlega zatwierdzeniu jutro o zachodzie słońca. Jeśli do tego czasu wyciągnie pan swój własny sprzęt, zagwarantuje pan, że Iran-Toda będzie mieć helikoptery w ciągu tygodnia.

- Wygląda na to, że jest pan zupełnie pewien, iż uda się panu przesunąć nasz termin.

- Uda się mojemu ambasadorowi, być może. Zatelefonuję do pana od razu, gdy od niego wyjdę. Kapitanie Scragger, czy mógłby pan prowadzić szkolenie dla pilotów japońskich?

343

- Jasne, jeśli tylko znają angielski i mają wylatane na helikopterach po sto godzin. Będę musiał załatwić jakiegoś szkoleniowca i... - Scragger urwał. Nagle zrozumiał, że takie rozwiązanie jest idealne. - To doskonała myśl. Ja mógłbym przeprowadzać egzaminy.

Latałbym w ten sposób, ile dusza zapragnie, i do tego tak, że nie stanowiłbym zagrożenia publicznego. W porządecz-ku! - Rozpromienił się. - Wiesz co, "stary, jeśli Andy to załatwi, wchodzę do interesu.

Wyciągnął rękę, a Kasigi ją uściskał.

- Dziękuję. Doskonale. A więc, panie Gavallan, spróbujemy?

711

- Dlaczego nie? - Gavallan wyciągnął rękę, poczuł żelazny uścisk dłoni Kasigiego i wreszcie dotarło do niego, że naprawdę jest jakaś szansa. Kasigi jest sprytny. Bardzo. Teraz zastosował

standardową procedurę do nowoczesnej japońskiej firmy: dostanie zachodnich ekspertów, którzy wyszkolą na miejscu japoński personel, albo utworzy rynek w ich własnych krajach, a potem zastąpi obcych własnymi. My uzyskamy krótkoterminowy zysk, oni - długoterminowy rynek. Robią z nami w interesach to, czego nie udało im się zrobić w czasie wojny. Jawnie.

No i co z tego? Transakcja jest uczciwa. A jeśli Kasigi i jego ambasador mogą wyciągnąć mnie z kłopotów, to korona mi z głowy nie spadnie, gdy mu się zrewanżuję. - Spróbujemy.

Kasigi po raz pierwszy uśmiechnął się do niego całkiem szczerze.

- Dziękuję. Zatelefonuję, gdy tylko będę miał jakieś wiadomości.

Skłonił się i odszedł.

- Myślisz, że on to zrobi, Andy? - zapytał Scragger głosem pełnym nadziei.

- Całkiem uczciwie: nie wiem. Gavallan poprosił o rachunek.

- Zmieścisz się w jego terminie?

Gavallan zaczął odpowiadać i urwał. Zobaczył Pet-tikina i Paulę. Siedzieli przy stoliku koło basenu; prawie stykali się głowami.

- Myślałem, że Paula wyleciała rano do Teheranu.

- Miała lecieć. Może odwołano lot albo ona wzięła chorobowe - odpowiedział obojętnie Scragger. Myślał o tym, czy będzie mógł latać.

- Co wzięła?

- To takie powiedzonko z Australii. Jest ładny dzień, a panienska ma ochotę popływać albo się pokochać, albo po prostu trochę poobijać. Dzwoni do biura w czasie przerwy obiadowej i mówi, że czuje się strasznie. Chora. Idzie „na chorobę”. - Scragger uniósł brwi. - Takie panienski czasami chcą być bardzo pomocne, ale Paula jest trochę inna. Charlie długo nie pociągnie.

712

Gavallan dostrzegł błogi wyraz twarzy obserwowanych, którzy najwidoczniej zapomnieli o całym świecie. Mimo niepokoju o Dubois, Erikkiego i innych, znalazł czas, żeby przeczytać w porannej prasie o nagłym krachu na giełdzie w Hongkongu. Wiele dużych spółek, przede wszystkim Struan, Rothwell-Grant i Par-Con of China, straciło 30 procent wartości lub nawet więcej w ciągu jednego dnia wraz z załamaniem całego rynku. Wypowiedź tajpana, pana Linbara Struana, który powiedział, że chodzi tylko o drobne potknięcie bez żadnych poważnych konsekwencji, wywołała gwałtowne protesty jego konkurentów i rządu. Część prasy, nastawiona bardziej na sensację, zamieszcza plotki o manipulacjach w ramach Wielkiej Czwórki i o sprzedawaniu poniżej ceny, co wywołuje spadek w stosunku do wartości rejestrowej. To dlatego nie mogę skontaktować się z Ianem. Wyjechał do Hongkongu?

Cholerny Linbar! Trzeba uważnie przestudiować jego tegoroczny bilans.

Z wysiłkiem pohamował myśli. Zobaczył, że Pettikin dotyka dłoni Pauli. Nie cofnęła ręki.

- Myślisz, że on się oświadcza, Scrag?

- Jeśli nie, to jest dupą wołową.

344

- Fakt. - Gavallan westchnął i wstał. - Scrag, nie będę czekał. Podpisz rachunek. Potem zejdź

na dół do Charliego. Powiedz mu, że przepraszam, ale musi spotkać się ze mną w biurze za godzinę; resztę dnia ma wolną. Potem znajdź Willego i Rudiego. Ja zatelefonuję do Jean-Luca. Tak między nami: jeśli Kasigi się wywiąże, zdołamy mu wszystko pozałatwiać. Nie mów im, o co chodzi. Powiedz tylko, że to ważne, i pilnuj, żeby nie pisnęli nawet słówka.

Skierował się do wyjścia.

- Hej, panie Gavallan! - Usłyszał i zatrzymał się. Amerykanin Wesson wstał i witając go jowialnie, wyciągnął rękę. - Ma pan czas na małego drinka?

- Och, dzień dobry, panie Wesson. Dziękuję, ale czy nie moglibyśmy tego odłożyć? Trochę się spieszę.

- Do diabła, jasne, o każdej porze! - Wesson uśmiechnął się i ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. Ga-713

vallan dostrzegł mały aparacik słuchowy w uchu mężczyzny. - Chciałem tylko pogratulować.

Mogli najwyżej nasypać panu soli na ogon!

- Hmm... Mieliśmy tylko trochę szczęścia. Przepraszam, muszę już lecieć.

- Jasne, do zobaczenia.

Wesson z namysłem schował pióro do kieszeni. A więc Kasigi chce spróbować wykupić Gavallana, pomyślał, lawirując w kierunku holu. Tego bym się nigdy nie spodziewał.

Cholera, nic ma mowy, żeby nowy reżim poszedł tu na współpracę, Kasigi to marzyciel.

Biedny sukinkot musiał zwariować. Iran-Toda w proszku, a jeśli nawet teraz od razu zaczną, zakłady będą mogły rozpocząć produkcję dopiero za kilka lat. Wszyscy wiedzą, że kurek z irańską ropą będzie zakręcony, co pozbawi Japonię 70 procent dostaw energii; na pewno ceny światowe znów skoczą, dalsza inflacja... Japonia jest naszym jedynym sprzymierzeńcem na Pacyfiku, a te biedne dranie zostaną postawione pod ścianą.

Jeżu, skoro Gavallan zamknął bazę w Lengeh, całe pole Siri jest chyba zagrożone? Jak de Plessey poradzi sobie bez wsparcia helikopterowego? Ambasador? Interesujące. Jak oni chcą to zrobić? Kto komu co robi? Co mam przekazać staremu Aaronowi? Wszystko. Jeśli ktoś może się w tym połapać, to tylko on.

Przeszedł przez hol i dalej, do swojego samochodu. Nie zauważył Kasigiego w budce telefonicznej z boku.

- ...Zgadzam się całkowicie, Ishii-san. - Kasigi mówił z szacunkiem po japońsku, ocierając pot z czoła. - Proszę poinformować Jego Ekscelencję, że dostaniemy sprzęt i załogę. Wiem to na pewno, jeśli może pan załatwić resztę. - Starał się, żeby w jego głosie nie brzmiało zdenerwowanie.

- Ach, tak? Świetnie - odpowiedział Ishii z ambasady. - Poinformuję Jego Ekscelencję natychmiast. A co z irańskim ambasadorem? Czy miał pan od niego jakąś wiadomość?

Kasigi zdrętwiał.

- Nie przyjął zaproszenia?

714

- Nie, przykro mi, jeszcze nie, a jest już prawie trzecia. To bardzo niepokojące. Niech pan przyjdzie na spotkanie, tak jak się umówiliśmy. Dziękuję, Kasi-gi-san.

- Dziękuję, Ishii-san - odpowiedział.

Miał ochotę wyć. Delikatnie odwiesił suchawkę.

W klimatyzowanym holu poczuł się trochę lepiej. Podeszedł do recepcji i odebrał wiadomości

- obie o telefonach Hiro-Tody. Wszedł na górę, do swego pokoju, i zamknął drzwi. Porwał na strzępy karteczki z wiadomościami, wrzucił je do toalety i oddał na nie mocz.

- Drogi głupi kuzynie Hiro - powiedział na głos po japońsku. - Jeśli ocalę twój głupi łeb, co muszę zrobić, żeby ocalić własny... - Tu dodał kilka tak wulgarnych angielskich przekleństw, 345

że nie miały odpowiedników w japońskim... - Twoja rodzina będzie moim dłużnikiem przez osiem pokoleń; za wszystkie kłopoty, które mi sprawiasz.

Spuścił wodę, rozebrał się, wziął prysznic i położył się nagi na łóżku. Korzystając z ożywczej bryzy, zbierał siły i spokój, których będzie potrzebował podczas spotkania.

Słowa japońskiego ambasadora, od których zaczął się cały plan, zostały wypowiedziane do Rogera New-bury'ego na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej kilka dni temu. Ambasador wspomniał, że nowy ambasador Iranu niemal opłakiwał zamknięcie Iran-Tody, która dałaby nowemu islamskiemu państwu wspaniałą pozycję, wynikającą z siły gospodarczej, w całym rejonie zatoki.

- Nazywa się Abadani. Ukończył uniwersytet, ekonomista. Oczywiście także fundamentalista, ale nie taki zaciekły. Jest dość młody i niezbyt doświadczony, ale to zawodowiec, dobrze mówi po angielsku i pracował już w ambasadzie w Kabulu...

Wtedy nie znaczyło to dla Kasigiego zbyt wiele. Potem rozpoczął się Whirlwind. Teleksy z Teheranu dotarły do wszystkich państw zatoki. Następnie plotki o żądaniu Abadaniego przeprowadzenia inspekcji heli-715

kopterów Gavallana - inspekcji, która wykazałaby na pewno, że śmigłowce są zarejestrowane w Iranie.

- ...a to, Kasigi-san, wywoła incydent międzynarodowy - powiedział mu później Ishii. - Gdyż teraz zostanie w to wciągnięty Kuwejt, Arabia Saudyjska i Bahrajn, a tego, zapewniam pana, wszystkie te państwa chciałyby uniknąć, nie mówiąc już o naszym szejku.

O świcie Kasigi poszedł do Abadaniego. Powtórzył mu słowa Zatakiego, powiedział, że chce podjąć prace budowlane, dodając w wielkiej tajemnicy, że rząd japoński przyznaje właśnie Iran-Todzie status projektu narodowego, a zatem zgadza się gwarantować finansowanie.

Powiedział, że przy współpracy ekscelencji Abadaniego mógłby rozpocząć nastychmiast prace w Bandar Dej-lamie.

- Projekt narodowy? Dzięki Bogu. Jeśli pański rząd załatwi to formalnie, wszystkie sprawy finansowe będą raz na zawsze ustalone. Dzięki Bogu. Co ja mogę zrobić?

- Żeby od razu zacząć, potrzebuję helikopterów, zagranicznych pilotów i załóg. Jedyne droga dostania ich szybko wiedzie poprzez S-G Helicopters i pana Gavall...

Abadani zaczął krzyczeć.

Po grzecznym wysłuchaniu tyrady o piratach i wrogach Iranu Kasigi zaatakował ponownie.

- Ma pan zupełną rację, ekscelencjo - powiedział. - Ale musiałem wybrać pomiędzy zaryzykowaniem pańskiego niezadowolenia z powodu zwrócenia panu na to uwagi a zaniedbaniem obowiązków, jakie mam wobec pańskiego wspianiałego kraju. Stoimy przed prostym wyborem: jeśli nie dostanę helikopterów, nie będę mógł zacząć. Próbowałem bezskutecznie zdobyć je u Guer-neya i innych. Teraz wiem na pewno, że mogę to załatwić tylko przez tego nikczemnika. Oczywiście, chodzi tylko o kilka miesięcy, dopóki nie będę dysponował własnym personelem japońskim. Jeśli nie zacznę od razu, ten człowiek, Zataki -

a zapewniam pana: komitet w Abadanie jest sam dla siebie prawem - zrealizuje swą 716

groźbę. To zaniepokoi mój rząd i opóźni przyjęcie koncepcji finansowania projektu narodowego, a wtedy... - Wzruszył ramionami. - ...Mój rząd postanowi porzucić Iran-Todę i wybudować zakłady petrochemiczne w bezpiecznym miejscu, w Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie albo Iraku.

- Bezpieczne? Irak? U tych złodziei? Arabia albo Kuwejt? Na Boga, lud obali wkrótce tych dekadencjonalnych szejków! Nie można rozpoczynać tam poważnych inwestycji, to bardzo niebezpieczne! Oni nie respektują praw Boga, a Iran tak. Iran jest teraz stabilny. Imam, oby Bóg udzielił mu spokoju, uratował nas. Rozkazał, żeby ropa płynęła. Na pewno jest jakiś inny 346

sposób, żeby dostać helikoptery i załogi! Gawałlan i jego piracka szajka zrabowali naszą własność. Nie mogę pomagać piratom w ucieczce. Czy pan chce, żeby piraci uciekli?

- Uchowaj Boże, nawet o tym nie pomyślałem. Oczywiście, my nie wiemy, że oni są piratami, ekscelencjo. Słyszałem, że to tylko złośliwe plotki, rozpowszechniane przez wrogów, którzy chcą zaszkodzić Iranowi. A nawet gdyby tak było: niech pan porówna dziewięć używanych śmigłowców z trzema i jedną dziesiątą miliarda dolarów, które już wydaliśmy, i z następnym milionem sto tysięcy dolarów, który być może zainwestuje mój rząd.

- Cóż... Piractwo jest piractwem, prawo jest prawem. Szejk zgodził się na inspekcję, prawda jest prawdą. In sza'a Allah.

- Zgadza się całkowicie, ekscelencjo. Wie pan jednak, że prawda jest czymś względnym, a odłożenie wszystkiego do jutrzejszego zachodu słońca leżałoby w interesie obu naszych krajów... - Zduł przekleństwo i poprawił się szybko: - W interesie imama i waszego państwa islamskiego.

- Boża prawda nie jest względna.

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Kasigi. Pozornie zachowywał spokój, lecz w duchu zgrzytał zębami. Jak można rozmawiać z tymi wariatami, którzy zasłaniają się swoją religią i powołują się na Boga, gdy tylko

717

chcą zbić logiczne rozumowanie. Oni powariowali, czubki! Nigdy nie zrozumieją, tak jak my, Japończycy, zrozumieliśmy, że trzeba być tolerancyjnym wobec wierzeń innych ludzi, i że życie jest

tylko przejściem od nicości do nicości, a niebo i piekło to tylko opary opium, wydzielające się z aberracyjnych mózgow; dopóki nie okaże się, że jest inaczej! - Oczywiście, ma pan rację, ekscelencjo, ale tu nie chodzi o ich maszyny i ludzi. Potrzebuję tylko ich kontaktów. - Zmęczony czekał, przypochlebiał się i słuchał, aż wreszcie zagrał ostatnią kartą.

- Jestem pewien, że szejk i minister spraw zagranicznych uznaliby za szczególny zaszczyt, gdyby odłożył pan inspekcję do jutra, tak żeby mogli wziąć udział w specjalnym przyjęciu, wydawanym przez mojego ambasadora dziś o ósmej.

- Przyjęciu, panie Kasigi?

- Tak, to trochę nagle, ale bardzo ważne. Wiem przypadkiem, że zostanie pan zaproszony jako najważniejszy gość. - Kasigi ściszył głos. - Błagam, niech pan nie mówi nikomu, kto panu o tym powiedział, ale informuję pana w zaufaniu, że mój rząd zamierza zawrzeć długoterminowe kontrakty na dostawy ropy, które mogą się okazać zdumiewająco korzystne dla was, jeśli Iran będzie nadal naszym dostawcą. To byłby świetny moment...

- Długoterminowe kontrakty? Wiem, że te, które wynegocjował Szach, są niedobre, jednostronne i muszą upaść. Cenimy Japonię jako klienta. Japonia nigdy nie próbowała nas wyzyskiwać. Jestem pewien, że pański ambasador z przyjemnością przesunie przyjęcie o godzinę, co umożliwi przeprowadzenie inspekcji. Szejk, minister spraw zagranicznych, Newbury i ja możemy przyjść prosto z lotniska.

Kasigi nie był pewien, jak daleko może się posunąć. Ale, Panie Wymówko, pomyślał, jeśli nie odłoży pan swojej inspekcji, narazi się pan na zemstę, gdyż zmusi mnie pan do popełnienia jedyne go grzechu, jaki my uznajemy: niepowodzenia.

718

- Cieszę się, że Iran ma tu tak dobrego przedstawiciela.

- Z pewnością przyjdę na przyjęcie, panie Kasigi. Po inspekcji.

Wyjęta z rękawa karta Kasigiego została wyłożona z całą niezbędną w takim wypadku elegancją.

- Mam wrażenie, ekscelencjo, że zostanie pan wkrótce zaproszony do mojego kraju na spotkanie z najważniejszymi, powtarzam: najważniejszymi przywódcami, gdyż pan zdaje 347

sobie oczywiście sprawę z tego, jak ogromne znaczenie ma islamskie państwo dla Japonii.

Będzie pan mógł przeprowadzić inspekcję urządzeń, które mogą być cenne dla Iranu.

- My... my z pewnością potrzebujemy dobrych przyjaciół - odparł Abadani.

Kasigi obserwował go uważnie, lecz nie dostrzegł żadnej reakcji: te same niewinne oczy i brak elastyczności.

- W tych niespokojnych czasach trzeba dbać o przyjaciół, prawda? Nigdy nie wiadomo, kiedy może nas spotkać nieszczęście, czyż nie?

- To wszystko leży w rękach Boga. Tylko Jego.

- Nastąpiła dłuższa pauza. Potem Abadani powiedział:

- Wedle woli Boga. Zastanowię się nad tym, co pan proponuje.

Teraz w samotności swego pokoju hotelowego Kasigi czuł niepokój. Ważna jest tylko troska o siebie. Można być mądrym i ostrożnym, a i tak nie wie się nigdy, kiedy spadnie nieszczęście. Jeśli istnieją bogowie, to tylko po to, żeby nas dręczyć.

W TURCJI, PRZY GRANICY, 16:23. Rano wylądowali nieopodal wioski, zaledwie kilometr w głąb terytorium Turcji. Erikki wolałby na wszelki wypadek dolecieć dalej, ale zbiorniki były puste. Przedtem został wykryty przez dwa myśliwce i dwa uzbrojone hueye.

Musiał wytrzymać ich obecność przez kwadrans, aż przeskoczył linię graniczną. Hueye nie odważyły się

719

polecieć za nim, lecz krążyły nadal po swojej stronie granicy.

- Zapomnij o nich, Azadeh - powiedział radośnie.

- Już jesteśmy bezpieczni.

Nie byli. Otoczyli ich wieśniacy, przybyła policja. Czterech ludzi: sierżant i trzech innych w mundurach

- wygniecionych i źle dopasowanych - z rewolwerami w kaburach. Sierżant ciemnymi okularami chronił oczy przed blaskiem słońca odbitego od śniegu. Żaden z policjantów nie mówił po angielsku. Azadeh, zgodnie z planem uzgodnionym z Erikkim, pozdrowiła ich i wyjaśniła, że Erikki, obywatel Finlandii, pracował u Brytyjczyków na kontrakcie z Iran-Timber, że rozruchy i walki w Azerbejdżanie, koło Tebrizu, zagrażały ich życiu, podobnie jak lewacy, że ona, jego żona, była równie przerażona jak on i dlatego uciekli.

- Ach, efendi jest Finem, a pani Iranką?

- Finką poprzez małżeństwo, sierżancie efendi, Iranką z pochodzenia. Oto nasze dokumenty.

- Podała mu fiński paszport, w którym nie było danych o ojcu, Abdollah-chanie. - Czy możemy zatelefonować? Oczywiście zapłacimy. Mąż chciałby zadzwonić do ambasady i do swojego pracodawcy w Asz Szargaz.

- Ach, Asz Szargaz. - Sierżant z uśmiechem skinął głową. Był mocno zbudowany i gładko ogolony,

choć czarny, niemal niebieskawy zarost widoczny był przez złocistą skórę. - Gdzie to jest?

Powiedziała mu, mając przez cały czas świadomość, jak oboje wyglądają: Erikki z budnym, przesiąkniętym krwią bandażem na ramieniu i poszarpanym plastrem na naderwanym uchu, ona ze zmierzwionymi włosami, w brudnym ubraniu i z nie umytą twarzą. Z tyłu krążyły dwa hueye. Sierżant przyglądał się im z namysłem.

- Dlaczego ośmielają się wysłać za wami myśliwce i helikoptery?

- Wola Boga, sierżancie efendi. Obawiam się, że po tamtej stronie granicy dzieje się teraz wiele dziwnych rzeczy.

- Co tam się dzieje, za tą granicą? - Gestem nakazał policjantom zająć się 212 i słuchał z uwagą. Trzej policjanci odeszli, zajrzeli do kokpitu. Otwory po pociskach, zaschnięta krew, potłuczone instrumenty. Jeden z policjantów otworzył drzwi kabiny. Broń automatyczna, dalsze dziury po kulach. - Sierżancie!

348

Sierżant usłyszał, ale poczekał grzecznie, aż Azadeh skończy mówić. Mieszkańcy słuchali, wybałuszając oczy; nie było żadnej kobiety w czadorze czy czarczafie. Sierżant wskazał jedną z prymitywnych chałup wioski.

- Proszę poczekać tam, pod osłoną. - Dzień był zimny, ziemia pokryta śniegiem, na którym igrało słońce. Sierżant bez pośpiechu badałabinę i kokpit. Podniósł kukri, na wpół wysunął

z pochwy i wsunął z powrotem. Przywołał Azadeh i Erikkiego, machając nożem. - Jak może pan wyjaśnić obecność broni, efendi?

Azadeh niespokojnie przetłumaczyła pytanie.

- Powiedz mu, że zostały w helikopterze po koczownikach, którzy chcieli go uprowadzić.

- Ach, koczownicy - powiedział sierżant. - To dziwne, że zostawili panu takie bogactwo. Czy może pan to wyjaśnić?

- Powiedz mu, że ich wszystkich pozabijali lojaliści, a ja uciekłem w zamieszaniu.

- Lojaliści, efendi? Jacy lojaliści?

- Policja, policjanci z Tebrizu - odparł Erikki, odnosząc nieprzyjemne wrażenie, że z każdą odpowiedzią pograża się coraz bardziej. - Zapytaj go, czy mogę zatelefonować, Azadeh.

- Telefon? Oczywiście. W odpowiednim czasie. - Sierżant spojrział na krążące hueye. Potem skierował na Erikkiego spojrzenie twardych brązowych oczu. - To dobrze, że policja była lojalna. Policja ma obowiązki wobec państwa i wobec narodu; musi strzec prawa.

Przewożenie broni jest niedozwolone, a ucieczka przed strzegącymi prawa policjantami jest przestępstwem, czyż nie tak?

- Tak, ale my nie przemycamy broni, sierżancie efendi, ani nie uciekaliśmy przed policją strzegącą prawa

720

721

- powiedziała Azadeh, która zaczynała żywić jak najgorsze obawy.

Granica była tak blisko, za blisko. Ostatni etap ucieczki była dla niej przerażający. Hakim musiał ogłosić alarm w pasie granicznym: tylko on mógł zorganizować tak prędko pogoń za nimi na ziemi i w powietrzu.

- Czy jest pan uzbrojony? - zapytał grzecznie sierżant.

- Tylko w nóż.

- Czy mogę o niego poprosić? - Sierżant wziął nóż.

- Proszę za mną.

Poszli do posterunku policji, małego budynku z cegły; w środku były cele, kilka pomieszczeń biurowych i telefony. Posterunek sąsiadował z meczetem, stojącym przy małym wiejskim placu.

- W ostatnich miesiącach mieliśmy tu wielu różnych uchodźców: Irańczyków, Brytyjczyków, Europejczyków, Amerykanów, wielu Azerów, wielu, ale żadnego Sowietów. -

Roześmiał się z własnego dowcipu. - Wielu uchodźców: bogatych, biednych, dobrych, złych, wśród nich wielu przestępców. Niektórzy zostali odesłani z powrotem, inni ruszyli dalej. In sha'a Allah, co? Proszę poczekać tam.

„Tam” nie było celą, lecz pokojem z nielicznymi krzesłami i stołem. W oknach kraty. Dużo much i żadnej drogi ucieczki. Było jednak cicho i względnie czysto.

- Przepraszam, czy moglibyśmy dostać coś do jedzenia i do picia, i skorzystać z telefonu? -

zapytała Azadeh. - Możemy zapłacić, sierżancie efendi.

- Zamówię dla was coś z hotelu. Jedzenie jest dobre i niedrogie.

- Mój mąż pyta, czy mógłby skorzystać z telefonu?

- Na pewno. W odpowiednim czasie.

Tak było rano. Później przyniesiono jedzenie: ryż i duszoną baraninę, wiejski chleb i turecką kawę. Azadeh zapłaciła rialami; nie żądano więcej, niż jedzenie było warte. Sierżant pozwolił

349

im skorzystać z cuchnącej ubikacji i umyć się w starej miednicy w wodzie ze zbiornika. Poza jodyną nie było żadnych środków me-722

dycznych. Erikki oczyścił swe rany najlepiej, jak mógł. Z bólu zagryzał zęby. Nadal był

osłabiony. Potem usiadł obok Azadeh na krześle, położył nogi na drugim i zasnął. Od czasu do czasu otwierały się drzwi i do pokoju zaglądał któryś z policjantów.

- Matierjebec - mruknął Erikki. - Którędy moglibyśmy uciec?

Uspokajała go, była przy nim i zamknęła swój strach I za stalowymi wrotami.

Muszę go przez to przeprowa-

dzić, myślała bezustannie. Czuła się już trochę lepiej, mając uczesane włosy i umytą twarz, ubrana w czysty I sweter z kaszmiru. Słyszała za drzwiami stłumione gło-j sy, czasem dzwonek telefonu, od czasu do czasu odgłos przejeżdżającego samochodu, brzęczenie much. Ogarnęło ją zmęczenie i zasnęła. Miała złe sny: huk silników i strzałów, Hakim pędzący za nimi na koniu, oni zakopani po szyję w ziemi, kopyta o centymetry od twarzy. Potem jakoś się uwolnili i biegli przez granicę, która była całym akrami drutu kolczastego; pomiędzy nimi a bezpiecznym miejscem wyrósł nagle fałszywy mułła Mahmud i rzeźnik, i...

Otworzyły się drzwi. Obudzili się gwałtownie. Stał

przed nimi major w nieskazitelnym mundurze, towarzy-

J szyli mu sierżant i inny policjant. Major był wysoki, o twardej, zdecydowanej twarzy. i - Proszę o dokumenty - powiedział do Azadeh.

- Ja... dałam je sierżantowi, majorze efendi.

I - Dała pani fiński paszport. Proszę o dokumenty I irańskie. - Major wyciągnął rękę. Nie zdążyła zareago-I wać. Sierżant chwycił jej torebkę i wysypał zawartość i na stół. Jednocześnie drugi policjant podszedł do Erik-I kiego z ręką na kolbie rewolweru, wystającego z otwar-i tej kabury. Ustawił Erikkiego w kącie pod ścianą.

Major strzepnął jakieś paprochy z krzesła i usiadł. ' Wziął od sierżanta irański dowód tożsamości, prze-

(czytał uważnie, a potem spojrzął na leżącą na stole I zawartość torebki. Otworzył woreczek z biżuterią i . i spojrzął ze zdumieniem.

- Skąd pani to ma?

723

- To moje. Odziedziczyłam po rodzicach. - Azadeh bała się. Nie miała pojęcia, co major wie, widziała baczne spojrzenie, jakim obrzucał ją i Erikkiego. - Czy mąż może zatelefonować?

On chciałby...

- W odpowiednim czasie! Już wiele razy to pani mówiono. Odpowiedni czas to odpowiedni czas! - Major zapiął woreczek i postawił przed sobą na stole. Spojrzał na piersi Azadeh. - Pani mąż nie mówi po turecku?

- Nie, majorze efendi.

Oficer odwrócił się do Erikkiego i powiedział płynnie po angielsku:

- W Tebrizie wydano nakaz aresztowania pana. Za usiłowanie zabójstwa i porwanie.

Azadeh zbladła, a Erikki starał się opanować.

- Porwania kogo, proszę pana?

Przez twarz majora przeszedł grymas gniewu.

- Proszę nie próbować bawić się w kotka i myszkę. Tej pani. Azadeh, siostry Hakima, chana z Gorgonów.

- Jest moją żoną. Jak mąż może...

350

- Wiem, że jest pańską żoną i, na Boga, lepiej niech pan mówi prawdę. Według nakazu aresztowania, wywiózł ją pan wbrew jej woli irańskim helikopterem. - Azadeh chciała się wtrącić, ale major warknął: - Pytałem jego, nie panią. No i?

- To się odbyło bez jej zgody, a helikopter jest brytyjski.

Major spojrzał ze zdziwieniem, a potem zwrócił się do Azadeh.

- Co pani o tym powie?

- To... to było bez mojej zgody... - Zabrakło jej słów.

- Ale co?

Azadeh poczuła mdłości. Bolała ją głowa i ogarniała desperacja. Policja turecka była znana z nieelastyczności, wielkich uprawnień i brutalności.

- Proszę, majorze efendi, może moglibyśmy pomówić na osobności, wyjaśnić wszystko prywatnie?

724

- Jesteśmy na osobności, proszę pani - uciął major. Potem, widząc jej udrękę i w uznaniu dla jej urody, dodał: - Angielski jest bardziej prywatny niż turecki. A więc?

A więc, zacinając się, dobierając starannie słowa, opowiedziała mu o przysiędze złożonej Abdollah-chano-wi, o Hakimie i ich dylemacie: nie móc wyjechać i nie móc zostać.

Opowiedziała, jak Erikki, z własnej woli i na skutek własnej mądrości, przeciął ten węzeł gordyjski. Po policzkach spływały jej łzy.

- Tak, to się odbyło bez mojej zgody, ale za zgodą mojego brata, który pomógł Erik...

- Skoro chan wyraził zgodę, to dlaczego wyznaczył ogromną nagrodę za tego człowieka, żywego lub martwego? - zapytał major z niedowierzaniem. - Wydał też nakaz aresztowania, żądając natychmiastowej ekstradycji, gdyby okazała się potrzebna?

To był taki szok, że niemal zemdląca. Erikki chciał ją podtrzymać, ale policjant przyłożył mu do brzucha rewolwer.

- Chciałem jej tylko pomóc - powiedział.

- Więc zostań na miejscu - odparł turecki oficer. - Nie zabij go - dorzucił pod adresem policjanta. Potem po angielsku zapytał: - A więc, Azadeh, dlaczego?

Nie mogła odpowiedzieć. Poruszyła bezgłośnie ustami. Erikki odezwał się za nią:

- A cóż innego mógł zrobić chan, majorze? Chodzi tu o honor chana, o to, żeby wyszedł z tego z twarzą. Musiał to zrobić, niezależnie od tego, czego naprawdę pragnie.

- Być może, ale na pewno nie musiałyby tego robić tak szybko, nie musiałyby mobilizować lotnictwa. Dlaczego tak się spieszył, skoro chciał, żebyście uciekli? To i tak cud, że nie zmusili was do lądowania i że nie spadliście z tymi wszystkimi dziurami po kulach. To wszystko brzmi jak stek kłamstw. Może ona tak mówi, bo się pana boi? A teraz wasza tak zwana ucieczka z pałacu: jak to dokładnie wyglądało?

725

Erikki musiał mu powiedzieć. Nic innego nie można zrobić, myślał, tylko powiedzieć prawdę i nie tracić nadziei. Skoncentrował się na Azadeh, widział, że ogarnia ją ślepe przerażenie.

Jasne, Hakim mógł zareagować tak, jak zareagował. Żywego lub martwego! Czyż w jego żyłach nie płynie krew ojca?

- A broń?

Erikki opowiedział dokładnie, jak został zmuszony do latania dla KGB, opowiedział o szejku Bajazidzie, o porwaniu i okupie, o ataku na pałac i o tym, jak musiał ich odwozić, jak złamali słowo i musiał ich pozabijać.

- Ilu ludzi?

- Nie pamiętam dokładnie. Z pół tuzina, może trochę więcej.

- Lubisz zabijać, co?

351

- Nie, majorze, nienawidzę zabijania. Proszę mi uwierzyć: nie szukaliśmy kłopotów.

Chcieliśmy tylko, żeby pozwolono nam odejść. Chciałbym zatelefonować do ambasady... Oni mogą za nas poręczyć... Nie stanowimy dla nikogo zagrożenia.

Major rzucił mu ostre spojrzenie.

- Nie zgadzam się. Ta opowieść wygląda na naciąganą. Jest pan poszukiwany za porwanie i usiłowanie zabójstwa. Proszę pójść z sierżantem - powiedział i to samo powtórzył po turecku.

Erikki nie ruszył się z miejsca; zacisnął pięści, był bliski szału. Sierżant natychmiast wydobyl

broń, a major rzucił szorstko: - W naszym kraju niewykonywanie poleceń policji jest bardzo poważnym przestępstwem. Proszę iść z sierżantem.

Azadeh chciała zaprotestować, ale nie mogła. Erikki stracił z ramienia rękę sierżanta, spróbował się opanować i uśmiechnąć, żeby dodać jej otuchy.

- W porządku - mruknął i wyszedł z sierżantem.

Azadeh ogarnęła panika. Dygotały jej dłonie i kolana; za wszelką cenę chciała zachować godny wygląd, wiedziała, że jest bezbronna, a major siedzi naprzeciw niej, patrzy na nią, są sami w pokoju. In sza'a Allah, pomyślała i obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem.

- Przecież nie ma się pani czego obawiać - zauważył ze zdziwieniem. Wziął woreczek z biżuterią. - Na przechowanie - oznajmił niepewnie.

Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem.

Położona na końcu korytarza cela była mała i brudna, przypominała bardziej klatkę niż pokój.

Była tam prycza, małe, zakratowane okienko, łańcuchy przymocowane do potężnego okucia tkwiącego w ścianie, śmierdzący kubeł w kącie. Tu właśnie sierżant zamknął Erikkiego.

Major powiedział przez kraty:

- Proszę pamiętać: od pańskiego posłuszeństwa zależy... „komfort” pani Azadeh.

Odszedł.

Erikki, gdy został sam, zaczął myszkować po celi. Oglądał drzwi, zamek, kraty, podłogę, sufit, ściany i łańcuch. Szukał drogi ucieczki.

ASZ SZARGAZ, NA LOTNISKU, 17:40. O półtora tysiąca kilometrów dalej na południowy wschód, po drugiej stronie zatoki, Gavallan czekał niecierpliwie w biurze przy telefonie. Do zachodu słońca pozostała jeszcze godzina. Uzyskał już obietnicę wynajęcia za rozsądną cenę jednego 212 od firmy paryskiej i dwóch 206 od przyjaciela w Aerospatiale. Scot pilnował

radiostacji w sąsiednim pokoju, w którym też Pettikin zajmował się telefonem. Rudi, Willi Neuchtreiter i Scragger wydzwaniali z telefonów hotelowych, poszukując załóg i załatwiając ewentualne sprawy logistyczne w Bahrajnie. Kasigi jeszcze się nie odezwał.

Zadzwonił telefon. Gavallan chwycił słuchawkę. Może wiadomość o Dubois i Fowlerze? A może Kasigi?

- Halo?

-- Andy, tu Rudi. Mamy trzech pilotów z Lufttrans-portgesellschaft. Obiecali też dwóch mechaników. Dziesięć procent powyżej widełek płacowych, miesiąc pracy, dwa wolnego.

Poczekaj... telefon na drugiej linii, zadzwonię później, cześć.

726

727

Gavallan zanotował. Niepokój wywołał skurcz serca, a to przypomniało mu o McIverze. Gdy rozmawiał z nim wcześniej, nie wspomniał o problemach z terminem. Nie chciał go niepokoić. Obiecał, że poleci do Bahrajnu pierwszym lotem, żeby się z nim zobaczyć, gdy tylko wszystkie helikoptery będą bezpieczne. „Nie ma zmartwienia, Mac. Nie wiem, jak dziękować tobie i Genny za to, co zrobiliście”...

Widział przez okno zniżające się słońce, na lotnisku panował ruch. Zobaczył lądującego jumbo Alitalii; przypomniało mu to Pettikina i Paulę. Przy końcu pasa startowego, na obszarze frachtowym, jego 212 bez rotorów i kolumn wyglądały jak zgwałcone. Mechanicy pakowali jeszcze niektóre do skrzyń. Gdzie jest, na Boga, Kasigi? Próbował kilkakrotnie 352

złapać go telefonicznie w hotelu, ale Japończyka nie było i nikt nie wiedział, gdzie jest ani kiedy wróci.

Otworzyły się drzwi.

- Tato - powiedział Scot. - Dzwoni Linbar Struan.

- Powiedz mu, żeby się wypchał... Poczekaj - poprawił się szybko Gavallan. - Powiedz, że mnie nie ma i że zatelefonuję do niego, gdy tylko wrócę. - Wymruczał wiązaną chińskich przekleństw. Scot wyszedł. Znów dzwonek telefonu. - Gavallan.

- Andrew, tu Roger Newbury, jak się masz? Gavallan zaczął się pocić.

- Cześć, Roger, co nowego?

- Zachód słońca nadal pozostaje nieprzekraczalnym terminem. Irańczyk nalegał, że wpadnie tu po mnie, więc czekam. Mamy spotkać się z szejkiem na lotnisku. Przyjedziemy parę minut wcześniej. Będziemy czekać we trójkę w rejonie frachtów na najważniejszą osobistość.

- Co z przyjęciem u ambasadora japońskiego?

- Mamy tam wszyscy pojechać po inspekcji. Bóg jeden wie, co się wydarzy do tego czasu, ale... no cóż, my nie jesteśmy od myślenia. Przykro mi z powodu tego wszystkiego, ale mamy związane ręce. Do zobaczenia.

Gavallan podziękował, odłożył słuchawkę i otarł czoło.

Znów telefon. Kasigi?

- Halo?

- Andy? Tu Ian, Ian Dunross.

- Mój Boże, Ian. - Gavallana opuściło znużenie. - Tak się cieszę, że dzwonisz; kilka razy próbowałem cię złapać.

- Tak, przepraszam, ale nie można było się do mnie dodzwonić. Jak idzie?

Gavallan ostrożnie opowiedział. Wspomniał też o Kasigim.

- Mamy jakąś godzinę do zachodu słońca.

- To właśnie jeden z powodów mojego telefonu. Cholerny pech z Dubois, Fowlerem i McIverem. Trzymam za nich kciuki. Lochart chyba się załamał, ale kiedy w grę wchodzi miłość... - Gavallan usłyszał westchnienie i nie wiedział, jak ma je rozumieć. - Pamiętasz Hiro Todę, Toda Shipping?

- Oczywiście, Ian.

- Hiro powiedział mi o Kasigim i ich problemie z Iran-Todą. Są naprawdę w parszywej sytuacji. Jeśli możesz coś dla nich zrobić, cokolwiek, zrób to, proszę.

- Dobrze, i tak pracuję nad tym przez cały dzień. Czy Toda powiedział ci o pomysłe Kasigiego z ich

ambasadorem?

- Tak. Hiro telefonował osobiście. Powiedział, że są bardziej niż chętni, żeby pomóc, ale chodzi o problem irański i tak uczciwie, nie spodziewają się zbyt wiele, gdyż Irańczycy robią to, do czego mają prawo. - Twarz Gavallana zdradziła przestach. - Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby im pomóc. Jeśli Iran-Toda zostanie przejęta... No cóż, tak tylko między nami... - Dunross przeszedł na chwilę na dialekt szanghajski. - Firma dostanie śmiertelny cios w podbrzusze. - Dodał po angielsku: - Zapomnij o tym, co ci teraz powiedziałem.

Choć Gavallan nie pamiętał już zbyt dobrze dialektu szanghajskiego, zrozumiał i niemal postawił oczy w słupek. Nie miał pojęcia, że Struan miał w tym jakiś udział. Kasigi nie wypowiedział nigdy nawet najlżejszej aluzji.

728

729

- Kasigi dostanie helikoptery i załogi, nawet jeśli my stracimy maszyny.

- Miejmy nadzieję, że nie straciecie. Druga sprawa: czytałeś w gazetach o krachu na giełdzie w Hongkongu?

- Tak.

353

- Jest poważniejszy, niż piszą. Ktoś bardzo brutalnie pociąga za sznurki, a Linbar jest przyparty do muru. Nawet jeśli wyciągniesz 212 i zostaniesz na rynku, musisz zrezygnować z X63.

Temperatura skoczyła Gavallanowi o kilka kresiek.

- Ale, łan, z nimi mógłbym powstrzymać Imperial, oferując klientom lepsze usługi i większe bezpieczeństwo, i...

- Wiem, stary, ale nie możesz ich mieć, jeśli nie będziemy mogli za nie zapłacić. Przykro mi, ale tak właśnie jest. Rynek akcji zwariował, to wszystko sięga aż do Japonii i nie stać nas na katastrofę Tody, tam u ciebie.

- Może będziemy mieć trochę szczęścia; nie zamierzam tracić moich X63. Przy okazji, słyszałeś, że Linbar dał „Zyskowności” miejsce w Zarządzie Wewnętrznym?

- Tak. Interesujący pomysł. - Powiedział to tak, że Gavallan nie mógł wyczuć ani aprobaty, ani dezaprobaty. - Dowiedziałem się okrężną drogą o ich zebraniu. Jeśli dzisiaj się uda, czy będziesz w poniedziałek w Londynie?

- Tak. Okaże się o zachodzie słońca, dziś lub jutro. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wpadnę do Bahrajnu odwiedzić Maca, a potem lecę do Londynu. Dlaczego pytasz?

- Może będe chciał, żebyś odwołał Londyn i spotkał się ze mną w Hongkongu. Wydarzyło się coś cholernie dziwnego z Nobunagą Morim, drugim, oprócz „Zys-kowności” Choya, świadkiem śmierci Davida Mac Struana. Nobunagą spalił się kilka dni temu w swoim domu w Kanazawie. To jest na wsi, koło Tokio. W bardzo dziwnych okolicznościach. W dzisiejszej poczcie znalazłem bardzo dziwny list. Nie mogę mówić przez telefon, ale to bardzo ciekawe.

Gavallan wstrzymał oddech.

- Więc David... to nie był wypadek?

- Poczekaj, Andy, do naszego spotkania. Może w Tokio, może w Londynie, ale już wkrótce.

Przy okazji: Hiro i ja mieliśmy zatrzymać się w Kanazawie tej nocy, której zginął Nobunagą.

Coś nam wypadło w ostatniej chwili.

- Mój Boże, mieliście szczęście.

- Chyba tak. No cóż, muszę kończyć. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, chyba że możesz mi załatwić odroczenie do jutra.

- Ciągle nad tym pracuję, nie bój się. Cholernie mi przykro z powodu Dubois, Fowlera i NeIvera... Pod tym numerem w Tokio można zostawiać wiadomości do poniedziałku...

Pożegnali się. Gavallan wpatrywał się w telefon. Przyszedł Scot i mówił o następnych załatwionych helikopterach i pilotach, ale on ledwie słyszał, co syn mówi. Czy to było morderstwo? Chryste! Cholerny Linbar, w dodatku przyparty do muru z powodu swoich niewłaściwych inwestycji! Tak czy inaczej, muszę dostać X63, muszę!

Znów telefon. Kiepska słyszalność, obcy akcent:

- Rozmowa międzynarodowa na koszt odbierającego. Do efendi Gavallana.

Mocniej zabiło mu serce. Erikki?

- Tu efendi Gavallan, akceptuję opłatę. Proszę mówić głośniej, źle słyszę. Kto telefonuje?

- Chwileczkę...

Niecierpliwie czekając, spojrzął na bramę przy końcu pasa startowego, przez którą wjedzie szejk i inni, jeśli Kasigiemu nie uda się odroczyć inspekcji. Wstrzymał oddech na widok dużej limuzyny z flagą Asz Szargaz na błotniku, ale samochód pojechał dalej w obłokach kurzu.

W słuchawce rozległ się głos, którego nie mógł rozpoznać.

- Andy, to ja, Marc, Marc Dubois...

730

731

354

- Marc? Marc Dubois? - ryknął, a słuchawka mało nie wypadła mu z ręki, Przycisnął ją mocniej do ucha. - Jezu Chryste! Marc? W porządku? Gdzie, u diabła, jesteś? Co z Fowlerem? Gdzie jesteś?! - Odpowiedź była niezrozumiała. Natężył słuch. - Powtórz!

- Jesteśmy na Kor al-Amaja... - Była to iracka ogromna platforma naftowa, położona głęboko w morzu na drugim końcu zatoki, u wylotu drogi żeglugowej Szatt el-Arab, która oddzielała Irak od Iranu; około ośmiuset kilometrów na północnym zachodzie. - Słyszysz mnie, Andy?

Kor al-Amaja...

NA PLATFORMIE KOR AL-AMAJA. Marc Dubois zasłaniał dłonią lewe ucho, żeby lepiej słyszeć. Starał się nie krzyczeć do słuchawki; telefon był w biurze kierownika platformy, kręciło się tam wielu Irakijczyków i cudzoziemców, którzy mogli słyszeć jego słowa.

- Ta linia nie gwarantuje prywatności, vous comp-renez?

- Jasne, ale mów, na Boga, co się stało. Zdjęli was z wody?

Dubois upewnił się, że nie ma nikogo w pobliżu.

- Nie, mon vieux - powiedział ostrożnie. - Właśnie kończyło się paliwo i, v0ila, tankowiec Oceanrider wyłonił się z tego merde, tak że mogłem na nim usiąść, oczywiście lądowanie było bez zarzutu. Czujemy się świetnie, Fowler i ja. Pas problemel Co z innymi, z Ru-dim, Sandorem i Popem?

- W porządku, wszyscy są w Asz Szargaz; twoja grupa, Scraga, Mac, Freddy, choć Mac jest na razie w Bahrajnie. Skoro wy się odnaleźliście, Whirlwind udał się całkowicie: dziesięć maszyn na dziesięć. Eriki i Aza-deh są w Tebrizie. Nic im nie grozi, chociaż... - Gaval-lan chciał powiedzieć, że Tom, ryzykując życie, pozostał w Iranie, ale i on, i Dubois byli w tej sprawie bezsilni. Zamiast tego powiedział radośnie: - Świetnie, że jesteście bezpieczni, Marc.

Możecie lecieć dalej? '

732

- Oczywiście, potrzebuję tylko paliwa i instrukcji.

- Marc, masz teraz brytyjską rejestrację... Poczekaj... G-HKVC. Pozbądź się starych liter i namaluj nowe. Nasi niedawni gospodarze zasypali zatokę teleksami z prośbą o zatrzymanie naszych śmigłowców. Nie ląduj na żadnym brzegu.

Dobry nastrój opuścił Dubois.

- Golf Hotel Kilo Victor Charlie. Zapisałem. Andy, le bon Dieu był z nami, gdyż Oceanrider płynie pod banderą Liberii, a kapitan jest Brytyjczykiem. Jedną z pierwszych rzeczy, o które poprosiłem, było wiaderko farby. Farby... rozumiesz?

- Jasne, cholernie świetnie. No i co dalej?

- Ponieważ statek płynął na wody Iraku, pomyślałem sobie, że najlepiej będzie siedzieć cicho i zostać na pokładzie do chwili skontaktowania się z tobą, a dopiero teraz miałem okazję... -

Dubois zobaczył nadchodzącego kierownika irackiego. Powiedział głośno: - Znakomicie załatwił pan przydział na Oceanrider, panie Ga-vallan. Mogę z przyjemnością zameldować, że kapitan jest bardzo zadowolony.

- Dobra, Marc, będę zadawał pytania. Kiedy statek skończy załadunek ropy i dokąd płynie?

- Prawdopodobnie jutro. - Ukłonił się grzecznie Irakijczykowi, który usiadł za swoim biurkiem. - Powinniśmy być w Amsterdamie według planu. - Obaj mężczyźni ledwie się nawzajem słyszeli.

- Jak myślisz, czy mógłbyś zostać przez cały rejs? Oczywiście, uiścimy opłaty frachtowe.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań. Myślę, że możemy zawrzeć stałą umowę. Kapitan uważa, że to bardzo wygodne; może pozostawić statek na morzu, a śmigłowiec zapewni łączność z portem, z tym że, prawdę mówiąc, właściciele zrobili błąd, zamawiając 212.

Znacznie lepszy byłby 206. Chyba będą chcieli uzyskać jakiś rabat. - Usłyszał śmiech Gavallana i to poprawiło mu humor. - To właściwie wszystko, po prostu chciałem się zgłosić.

Fowler przesyła pozdrowie-

733

355

nia, a jeśli będę mógł, zatelefonuję* ze statku, gdy będziemy was mijać.

- Przy odrobinie szczęścia nie będzie nas tutaj. Maszynki mają jutro wyjechać. Nie martw się, będę pilnował Oceanridera przez cały rejs. Gdy tylko wypłyniecie z zatoki przez Ormuz, poproś kapitana, żeby wysłał teleks albo skontaktował się przez radio z Aberdeen, dobrze? Na razie wysyłam wszystkich na Morze Północne. Och, na pewno nie masz pieniędzy. Podpisuj tylko rachunki, a ja za wszystko "zapłacę. Jak się nazywa kapitan?

- Tavistock, Brian Tavistock.

- Dobra, zapisałem. Marc, nie masz pojęcia, jak się cieszę.

- Ja też. A bientbt.

Dubois odłożył słuchawkę i podziękował kierownikowi.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział z namysłem kierownik. - Czy wszystkie wielkie tankowce będą miały własne helikoptery?

- Nie wiem, m'sieur, ale to by było rozsądne, nieprawdaż?

Kierownik uśmiechnął się nieznacznie. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, władał angielskim z amerykańskim akcentem, pochodzącym z czasów nauki w Stanach.

- Irańska łódź patrolowa trzyma się na swych wodach i obserwuje Oceanrider. Dziwne, co?

- Tak.

- Na szczęście oni są na swoich wodach, my na swoich. Irańczykom wydaje się, że są właścicielami Zatoki Arabskiej, Szatt, Tygrysu i Eufratu aż do źródeł - tysiąc sześćset i prawie trzy tysiące dwieście kilometrów.

- Eufrat jest tak długi? - zapytał Dubois. Zaczął mieć się na baczności.

- Tak. Wypływa z Turcji. Czy był pan już kiedyś w Iraku?

- Nie, m'sieur, niestety. Może następnym razem...

734

- Bagdad jest wielki, starożytny i nowoczesny zarazem, tak jak reszta Iraku. Warto zobaczyć.

Mamy dziewięć miliardów ton metrycznych w odkrytych już polach naftowych i dwa razy tyle w czekających na swoją kolej. Jesteśmy wari o wiele więcej od Iranu. Francja powinna popierać nas, a nie Izrael.

- Ja, m'sieur, jestem tylko pilotem - odparł Dubois. - Nie zajmuję się polityką.

- U nas to niemożliwe. Polityka jest życiem; boleśnie się o tym przekonaliśmy. Nawet w Ogrodach Raju... Czy wie pan, że ludzie zamieszkiwali te tereny od sześćdziesięciu tysięcy lat? Ogrody Raju były zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów dalej, w górę Szatt, gdzie łączą się Tygrys i Eufrat. Nasi ludzie odkryli ogień, wynaleźli koło, matematykę, pismo, wino, ogrody, rolnictwo... Wiszące Ogrody Babilonu były tutaj, a Szehe-rezada snuła swe opowieści dla kalifa Harun ar-Raszi-da, któremu mógł dorównać jedynie wasz Karol Wielki.

Tutaj powstały najpotężniejsze cywilizacje starożytności: Babilonia i Asyria. Nawet Potop zaczął się tutaj. Przeżyliśmy Sumeryjczyków, Greków, Rzymian, Arabów, Turków, Brytyjczyków i Persów. - Niemal wypływał słowa. - I teraz też ich przeżyjemy.

Dubois ze znużeniem skinął głową.

- Jesteśmy na wodach Iraku - ostrzegął go kapitan Tavistock. - Platforma jest częścią irackiego terytorium, młody przyjacielu. W chwili gdy opuścisz mój mostek, będziesz zdany tylko na siebie. Ja nie mam władzy na tej platformie, rozumiesz?

- Chcę tylko zatelefonować. Muszę.

- A może lepiej zrobiłbyś to ze statku, gdy będziemy przepływać w drodze powrotnej koło Asz Szargaz?

- Nie będzie żadnych problemów - odparł Dubois. Był pewny siebie. - Dlaczego miałyby być? Jestem Francuzem.

Wcześniej, po wymuszonym lądowaniu na pokładzie, musiał opowiedzieć kapitanowi o Operacji Whirl-wind i genezie całego przedsięwzięcia. Starszy człowiek chrząknął.

735

356

- Ja nic o tym nie wiem, młody przyjacielu. Pan mi nie powiedział. Przede wszystkim niech pan zamaluje irańską rejestrację i namaluje wszędzie „G”. Dam panu do pomocy malarza.

Jeśli ktoś mnie zapyta, jest pan tutaj w ramach eksperymentu, do którego zmusili mnie właściciele statku. Wszedł pan na pokład w Cape Town. Ja pana nie lubię i właściwie ze sobą nie rozmawiamy. W porządku? - Kapitan uśmiechnął się. - Cieszę się, że jest pan na pokładzie. W czasie wojny pływałem na kutrach torpedowych; działaliśmy w całym kanale.

Moja żona pochodzi z Ule d'Ouessant, niedaleko Brestu. Od czasu do czasu zakradaliśmy się tam po wino i brandy, zupełnie tak jak moi przodkowie, piraci. Spójrz na jakiegokolwiek Brytyjczyka, zobaczysz pirata. Witam na pokładzie.

Teraz Dubois czekał, obserwując irackiego kierownika.

- Czy mógłbym skorzystać z telefonu jeszcze jutro rano, zanim odpłyniemy?

- Oczywiście. Proszę o nas nie zapominać. Wszystko zaczęło się tutaj i tutaj się skończy.

Salami - Kierownik uśmiechnął się dziwnie i wyciągnął rękę. - Dobrych lądowań!

- Dzięki, do zobaczenia.

Dubois wyszedł na platformę; chciałby już być na Oceanriderze. O kilkaset metrów na północ zobaczył irański kuter patrolowy, małą fregatę, kołyszącą się na fali.

- Espece de eon - mruknął i ruszył w kierunku statku, nie mogąc opanować niespokojnych myśli.

Droga na statek zabrała Dubois prawie piętnaście minut. Fowler na niego czekał. Dubois przekazał dobre wiadomości.

- Niekiepsko z chłopakami, niekiepsko, ale mamy jechać do Amsterdamu tym starym wiadrem!

Fowler zaczął kląć, ale Dubois tylko przeszedł na dziób i oparł się o okrężnicę.

Wszyscy bezpieczni! Nie przypuszczałem nawet, że tak się uda, myślał radośnie. Co za fantastyczne szczę-

736

ście! Andy i Rudi myślą, że to wynik planowania, ale nie, to tylko szczęście. Albo Bóg. Bóg wspaniale skoordynował rozkłady jazdy: mój i Oceanridera. Cholera, był jeszcze drugi, ale minąłem go, więc nie ma czego wspominać. Co teraz? Jeśli tylko nie dostanę morskiej choroby albo to pudło nie zatonie, fajnie będzie nic nie robić przez dwa, trzy tygodnie: pospać, pograć w brydża, porozmyślać. Potem Aberdeen i Morze Północne, i żarty z Jean-Lukiem, Tomem Lochartem, Duke'em, i z innymi... Potem do... Dokąd? Chyba czas się ożenić. Cholera, nie chcę się jeszcze żenić. Mam dopiero trzydzieści lat i jak dotąd mi się udało. Po prostu miałbym pecha, gdybym poznał jakąś paryską wiedźmę w skórze anioła, która rzuciłaby na mnie zły urok, przełamała moją obronę i zrujnowała silną wolę! Życie jest zbyt dobre, o wiele za dobre, i przynosi tyle wesołych chwil! Odwrócił się i spojrzał na zachód. Słońce, za mgiełką zanieczyszczeń, skłaniało się ku horyzontowi na ładzie, płaskim i nudnym. Chciałbym być teraz w Asz Szargaz z chłopakami.

ASZ SZARGAZ, SZPITAL MIĘDZYNARODOWY, 18:01. Starke siedział na werandzie na piętrze. On także patrzył na zniżające się słońce, lecz tutaj wyglądało ono pięknie na bezchmurnym niebie nad spokojnym morzem. Z powodu blasku mrużył oczy pomimo ciemnych okularów. Miał na sobie spodnie od pizamy, bandaż na klatce piersiowej. Rany goiły się dobrze, choć Starke był jeszcze osłabiony. Próbował myśleć i planować. Tyle spraw do przemyślenia... jeśli wydostaniemy stąd latadła. I jeśli nie wydostaniemy.

Z pokoju dochodził głos Manueli, która w hiszpańsko-teksaskim dialekcie rozmawiała z rodzicami w dalekim Lubbocku. Starke już z nimi rozmawiał. Rozmawiał też ze swoimi rodzicami i dziećmi, Billyjoe, małym Conroe i Sarit:

- Cześć, tatko, kiedy wracasz do domu? Mam nowego konia, w szkole jest świetnie, a dzisiaj dostałam podwójną chili!

737

357

Starke uśmiechnął się lekko, ale nie mógł wyrwać myśli z oceanu obaw. Tak długa droga stamtąd tu, wszystko takie obce, nawet w Brytanii. Teraz Aberdeen i Morze Północne? Nie miałbym nic przeciwko miesiącowi czy dwóm miesiącom, ale to nie dla mnie ani dla dzieciaków i Manueli. Jasne, że dzieci wolą być w domu, w Teksasie, a teraz Manuela też.

Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt szybko, tyle rzeczy, które ją przeraziły. Ona ma rację, ale ja, u diabła, nie wiem, dokąd chcę pojechać i co chcę robić. Muszę trzymać się latania, to wszystko, co umiem. Chcę latać. Ale gdzie? Nie na Morzu Północnym ani w Nigerii, a tam przede wszystkim będzie teraz działał Andy. Może jedna z małych placówek w Ameryce Południowej, Indonezji, na Malajach albo Borneo? Chciałbym z nim pracować, ale co z dziećmi, szkołą, z Manuela?

Może zapomnieć o dalekich krajach i osiąść w Stanach? Nie, zbyt długo byłem tutaj.

Spojrzał ponad starym miastem na daleką pustynię. Przypomniawszy sobie czasy, gdy przekraczał w nocy granice pustyni, czasem z Manuela, czasem samotnie... Jechał tam tylko po to, żeby słuchać. Słuchać czego? Ciszy, nocy albo nawoływania gwiazd? Niczego?

- Słuchasz Boga - powiedział muła Hosejn. - Jak niewierny mógłby to robić? Słuchasz Boga.

- To twoje słowa, muła, nie moje.

Dziwny człowiek: uratował mi życie, a ja jemu. Niemal przez niego zginąłem, a potem znów mnie ocalił i wypuścił nas wszystkich z Kowissu. Cholera, on wiedział, że opuszczamy Kowiss na dobre, jestem tego pewien. Dlaczego nas puścił, nas, Wielkiego Szatana? Dlaczego namawiał mnie, żebym poszedł do Chomei-niego? Imam nie ma racji, wcale nie ma.

Co w tym wszystkim do mnie przemawia?

Jest tu coś, coś na pustyni, co istnieje specjalnie dla mnie. Ostateczny spokój. Absolut. Tylko dla mnie, nie dla dzieci, nie dla Manuely czy moich starych... Dla nikogo, tylko dla mnie. Nie mogę tego nikomu wytłumaczyć, a już zwłaszcza Manuely. Komu mógłbym

wyjaśnić, co zaszło w meczecie w Kowissie albo na przesłuchaniu?

Lepiej stąd wyjechać. Wpadnę, jeśli nie wyjadę. Prostota islamu sprawia, że wszystko jest takie zwykłe i jasne, i lepsze, i...

Jestem Conroe Starke, Teksasczyk, pilot helikopterowy ze wspaniałą żoną i wspaniałymi dziećmi. To powinno wystarczyć, na Boga, prawda?

Zakłopotany, spojrzał na stare miasto, jego minarety i mury, różniące się już w blasku zachodzącego słońca. Za miastem jest pustynia, a za pustynią Mekka. Wiedział, w której stronie leży Mekka, gdyż widział lekarzy, pielęgniarki i innych pracowników szpitala, modlących się na klęczkach z twarzą zwróconą do świętego miasta.

Na werandę weszła Manuela. Usiadła obok niego i sprawiła tym samym, że wrócił częściowo do rzeczywistości.

- Przesyłają pozdrowienia i pytają, kiedy wracamy do domu. Dobrze byłoby tam wpaść, prawda, Conroe?

Zobaczyła, że obojętnie skinął głową. Nie było go tu. Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem, ale nie ujrzała niczego szczególnego. Po prostu słońce. Choroba jasna! Skryła swe zaniepokojenie. Szybko dochodził do zdrowia, ale był jakiś inny.

- Nie przejmuj się, Manuelo - powiedział wcześniej doktor Nutt. - To chyba tylko szok po postrzale. Ten pierwszy raz jest zawsze nieco traumatyczny. Zresztą wszyscy się niepokoiimy, martwimy... To na każdego działa trochę inaczej.

Jej zmartwienie nie przemijało. Aby je ukryć, oparła się o balustradę, spojrzała na morze.

- Kiedy spałeś, znalazłam doktora Nutta. Powiedział, że możesz wyjechać za kilka dni, nawet jutro, gdyby to było naprawdę ważne, ale że musisz odpocząć miesiąc czy dwa miesiące. Przy śniadaniu Nogger powiedział, że chyba wszyscy dostaniecie przynajmniej miesiąc płatnego urlopu. Wspaniale, co? Urlop plus zwolnienie lekarskie daje nam masę czasu na odwiedzenie domu, prawda?

358

739

- Jasne, dobra myśl.

Zawahala się, a potem spojrzała na niego uważnie.

- Co cię niepokoi, Conroe?

- Nie jestem pewien. Czuję się świetnie, nie chodzi o moją ranę. Nie wiem.

- Doktor Nutt powiedział, że takim drobiazgiem nie warto się przejmować, a Andy mówi, iż są teraz duże szanse, że inspekcja się nie odbędzie, i że jutro wywieziemy wszystkie maszyny.

Teraz nic nie możemy zrobić, nic więcej... - W pokoju zadzwonił telefon; poszła go odebrać, nie przerywając mówienia. - ...Żadne z nas nie może teraz zrobić niczego więcej. Jeśli się wydostaniemy, my i helikoptery, wiem, że Andy weźmie śmigłowce Kasigiego i... Halo?

Och, cześć, kochanie...

Starke usłyszał nagłe westchnienie i ciszę. Wstrzymał oddech. Potem doszedł go wybuch radości. Zawołała:

- To Andy, Conroe, to Andy! Dzwonił do niego Marc Dubois, jest w Iraku na jakimś statku, on i Fowler. Wylądowali przymusowo na jakimś tankowcu i są w Iraku, i nic im nie grozi...

Och, Andy, to wspaniale! Co? Tak, jasne, w porządku i... ale co z Kasigim? Poczekaj... Tak, ale... Jasne. - Odłożyła słuchawkę i wybiegła na werandę. - Z Kasigim jeszcze się nie wyjaśniło. Andy powiedział, że się spieszy, i że jeszcze zatelefonuje. Och, Conroe... -

Kłęczała obok niego, zarzuciła mu ręce na szyję, ścisnęła, choć bardzo ostrożnie, płakała z radości. -

Tak się bałam o Marca i starego Fowlera, tak się bałam, że zginęli.

- Ja też... - Czuł bicie jej serca, swego również. Zrobiło mu się trochę lżej na duszy. Ścisnął żonę mocno zdrowym ramieniem. - Cholera - mruknął. - Pospiesz się, Kasigi, pospiesz się...

ASZ SZARGAZ, BIURO, 18:18. Gavallan stał w oknie biura. Widział, jak przez bramę wjeżdża służbowy samochód Newbury'ego z małą flagą brytyjską. Samochód pomknął

obwodnicą lotniska w kierunku budynku - szofer w uniformie, dwie postaci z tyłu. Pokiwał głową. Odkręcił kurek i zwilżył twarz zimną wodą.

740

Otworzyły się drzwi. Wszedł Scot, za nim Charlie Pettikin. Obaj byli bladzi.

- Nie martwcie się - powiedział Gavallan. - Proszę, wejdźcie dalej. - Wrócił do okna, próbując wyglądać na opanowanego. Wytarł ręce. Słońce zbliżało się do linii horyzontu. - Nie ma co tu sterczeć, wyjdźmy im na spotkanie. - Zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz.

- Świetnie wyszło z Markiem i Fowlerem, prawda?

- Wspaniale - powiedział niepewnie Scot. - Nie mogło wypaść lepiej: dziesięć na dziesięć.

Weszli do holu.

- Jak się czuje Paula, Charlie?

- Och, ona... dobrze, Andy. - Pettikina zdumiewała zimna krew Gavallana i nawet trochę mu tego zazdrościł. - Ona... ona wyleciała godzinę temu do Teheranu. Chyba wróci dopiero w poniedziałek, choć może nawet jutro. - Oby Bóg przeklął ten Whirlwind, pomyślał żałośnie.

Zrujnował wszystko. Wiem, że trzeba śmiałości, by zdobyć piękną kobietę, ale co mogę zrobić? Jeśli zajmą nasze helikoptery, zostanę bez pracy, a nie mam prawie żadnych oszczędności. Jestem od niej o wiele starszy i... Pieprzyć wszystko! Właściwie powinienem być zadowolony: teraz nie mogę zmarnować jej życia, a i tak musiałyby być wariatką, żeby powiedzieć „tak”. - Paula jest w porządku, Andy.

- To miła dziewczyna.

W holu panował tłok. Wyszli z chłodu klimatyzowanego wnętrza na rozgrzane stopnie.

Gavallan zatrzymał się zdumiony. Stali tam wszyscy: Scragger, Vossi, Willi, Rudi, Pop Kelly, Sandor, Freddy Ayre, mechanicy, co do jednego. Wszyscy obserwowali nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się koło nich.

- Cześć, Andrew - powiedział. Wszyscy zamarli jak rażeni gromem; z Newburym był Kasigi, nie Irańczyk. Kasigi uśmiechał się promiennie. Newbury odezwał się z zakłopotaniem: -

Naprawdę nie rozumiem, co się stało, ale ambasador, irański ambasador, odwołał wszystko w ostatniej chwili. To samo zrobił szejk, a pan

Kasigi zaprosił mnie na japońskie przyjęcie. Dzisiaj inspekcji nie będzie...

Gavallan krzyknął z radości. Wszyscy otoczyli Kasi-giego, dziękowali mu, mówili jeden przez drugiego, śmiali się. Kasigi wyjaśniał:

- ...jutro też nie będzie inspekcji, nawet gdybyśmy musieli go porwać...

Śmiechy, wiwaty. Scragger tańczył matelota.

- Hura, na cześć Kasigiego!

Gavallan przepchnął się do środka, uściskał Kasigiego i powiedział, przekrzykując zgiełk:

- Dzięki, dzięki Bogu. Za trzy dni będzie pan miał kilka helikopterów, resztę do weekendu...

- Urwał, a potem krzyknął: - Jezu Chryste, chwileczkę, Jezu Chryste! Muszę powiedzieć Macowi, Duke'owi i innym... Uczcijcie to na mój rachunek...

Kasigi patrzył, jak Gavallan pospiesznie odchodzi. Potem uśmiechnął się do siebie.

W SZPITALU, 18:32. Starke rzucił słuchawkę i rozpromieniony wrócił na werandę.

- Kurczę blade, Manuelo, kurczę blade, udało się, nie ma inspekcji! Operacja się udała. Andy nie wie, jak Kasigi to załatwił, ale załatwił... Kurczę blade! - Objął ją i oparł się o balustradę.

- Whirlwind się udał, teraz już nic nam nie grozi. Możemy wyjechać i coś zaplanować.

Kurczę blade! Kasigi, ten skurczybyk, załatwił to! Al-lahu Akbar - dodał odruchowo.

Słońce dotknęło horyzontu. Z miasta doszedł do ich uszu głos muezzina, jednego, niezrównanego. Przyzywał Starke'a. Gdy ten dźwięk wypełnił jego uszy, jego całe jestestwo, zapomniał o wszystkim. Ulga i radość mieszały się ze słowami i z wezwaniem, i z nieskończonością. Oddalił się od Manuli. Bezradnie czekała, czekała w samotności. Bała się o niego, smuciła się, czuła, że chodzi o ich przyszłość. Czekala tak, jak tylko kobieta potrafi czekać.

Nawoływanie ustało. Teraz było bardzo cicho, bardzo spokojnie. Dojrzał stare miasto w jego starożytnym

742

splendorze; za miastem pustynia, za horyzontem nieskończoność. Zobaczył ją, zobaczył, czym była. Odgłos startującego odrzutowca, mewy. Potem pyrkotanie jakiegoś helikoptera.

Podjął decyzję.

- O ty - powiedział w farsi. - O ty, kocham cię.

- O ty, ja kocham cię na wieczność - wymamrotała, bliska łez. Usłyszała, że wzdycha i wiedziała, że znów są razem.

- Czas wracać do domu, kochanie. - Wziął ją w ramiona. - Czas, żebyśmy wszyscy wrócili do domu.

- Dom jest tam, gdzie ty - odparła. Już się nie bała.

W HOTELU OAZA, 23:52. Telefon zabrzączał w ciemnościach, wyrrywając Gavallana z głębokiego snu. Sięgnął po słuchawkę, zapalił lampkę nocną.

- Halo?

- Halo, Andrew, tu Robert Newbury. Przepraszam, że tak późno, ale...

- Och, nie szkodzi, przecież mówiłem, że można telefonować do północy. Jak poszło? -

Newbury obiecał, że zatelefonuje i opowie o przebiegu przyjęcia. Zwykle Gavallan nie spałby o tej porze, ale tym razem odłączył od świętujących zwycięstwo już po dziesiątej, a potem natychmiast zasnął. - Jak będzie jutro?

- Mam przyjemność zakomunikować ci, że Jego Ekscelencja Abadani przyjął zaproszenie szejka na polowanie z jastrzębiami w oazie Al Sal. Będzie jutro zajęty przez cały dzień. Ja mu jednak nie ufam, Andrew. Bardzo usilnie zalecamy, żebyś zabrał stąd sprzęt i personel tak 360

szybko i dyskretnie, jak tylko możesz. Poza tym nie działaj tutaj przez miesiąc czy dwa miesiące, aż damy ci cynk. Dobrze?

- Tak. Wspaniałe wieści, dziękuję. - Gavallan położył się. Był już zupełnie innym człowiekiem. Łóżko kusząco wygodne, zaraz rozkoszny sen. - I tak miałem przestać tu działać - powiedział z potężnym ziewnięciem. - Wszystko zakończy się przed zachodem słońca. - Słyszał zdenerwowanie w głosie Newbury'ego, lecz przypisywał je wcześniejszym silnym wrażeniom. Stłumił

743

kolejne ziewnięcie i dodał: - Scragger i ja wyjedziemy ostatni. Lecimy do Bahrajnu, razem z

Kasigim, odwiedzić Nclvera.

- To dobrze. Nie wiem, jak, u diabła, poradziłeś sobie z Abadanim i nie chcę wiedzieć, ale uchylam z szacunkiem kapelusza. A teraz... Nie lubię komunikować złych wiadomości razem z dobrymi, ale właśnie dostaliśmy teleks od Henleya z Tebrizu.

Gavallana opuściła senność.

- Kłopoty?

- Niestety tak. To brzmi dziwnie, ale... Zaszleścił papier... Henley pisze tak: Słyszeliśmy, że wczoraj zaatakowano Hakim-chana. Podobno jest w to zamieszany kapitan Yokkonen.

Zeszłej nocy uciekł helikopterem w kierunku granicy tureckiej, zabierając swoją żonę, Azadeh, wbrew jej woli. W imieniu Hakim-chana wydano nakaz aresztowania za usiłowanie zabójstwa i porwanie. Obecnie w Tebrizie toczą się ostre walki pomiędzy różnymi frakcjami, co utrudnia zdobycie dokładnych danych. Dalsze szczegóły zostaną podane, gdy tylko czegoś się dowiem. To wszystko. Dziwne, prawda? - Cisza. - And-rew? Jesteś tam?

- Tak... tak, jestem... tylko... tylko próbuję jakoś się pozbierać. Na pewno nie ma żadnego błędu?

- Wątpię. Poprosiłem w pilnym trybie o dalsze szczegóły; może dostaniemy coś jutro.

Proponuję, żebyś zawiadomił fińskiego ambasadora w Londynie. Zanotuj numer ambasady: 01-7668888. Bardzo mi przykro.

Gavallan podziękował. Oszołomiony, odłożył słuchawkę.

W TURECKIEJ WIOSCE, 10:20. Azadeh nagle się przebudziła. Przez chwilę nie pamiętała, gdzie się znajduje. Potem skoncentrowała wzrok: mały, odrapany pokój. Dwa okna, dwa twarde sienniki, czysta, ale zgrzebna pościel. Przypomniała sobie, że jest w wioskowym hotelu. Zeszłego wieczoru, nie bacząc na jej protesty, gdy nie chciała zostawiać Erikkiego, major i policjant przyprowadzili ją tutaj. Major nie przyjął jej wymówek i nalegał na wspólne zjedzenie kolacji w maleńkiej restauracji, która opustoszała w chwili, gdy on się w niej pojawił.

- Oczywiście, musi pani coś zjeść, żeby zachować siły. Proszę usiąść. Zamówię też to, co pani będzie jadła, dla pani męża, i wysłę mu. Dobrze?

747

- Tak, proszę - odpowiedziała, także po turecku. Usiadła. Zrozumiała nie wypowiedzianą groźbę i zjeżyła się. - Mogę za to zapłacić.

Przez jego pełne usta przemknął nikły cień uśmiechu.

- Jak pani sobie życzy.

- Dziękuję, majorze efendi. Kiedy mój mąż i ja będziemy mogli wyjechać?

i

- Porozmawiamy o tym jutro, nie dziś. - Skinął na jł policjanta i kazał mu pilnować drzwi. - Mówmy teraz 9 po angielsku - powiedział i wysunął w jej kierunku aj srebrną papierośnicę. S

- Nie, dziękuję. Nie palę. Przepraszam, kiedy dosta- -M nę z powrotem swoją biżuterię, majorze efendi? -fl Wybrał papierosa. Patrząc na Azadeh, postukał M

361

w papierośnicę. |

- Gdy tylko będzie już bezpieczna. Nazywam się fl Abdul Ikail. Stacjonuję w Wan i odpowiadam za cały 9 ten region aż do granicy. - Pstryknął zapalniczką i za- S ciągnął się, nie spuszczać oczu z rozmówczyni. - Czy jH była pani już kiedyś w Wan?

|

- Nie, nie byłam. W

- To jest małe senne miasteczko. Było! - Poprawił m się. - Przed waszą rewolucją, choć tu, na granicy, nie flj było nigdy tak zupełnie spokojnie. - Znów zaciągnął się B

głęboko dymem. - Niepożądane osoby, po obu stro- ' W nach, chcą przekraczać granicę albo uciekać. Przemyt- W nicy, handlarze narkotykami, złodzieje, całe obrzydli- W

stwo, jakie można sobie wyobrazić. H

Mówił obojętnym tonem, przeplatał słowa wypusz- i; czaniem smużek dymu. Powietrze w małej salce cuchnęło zapachami kuchni, ludzi, zastarzałym tytoniem. Azadeh przepełniały złe przeczucia. Bawiła się paskiem torebki.

- Czy była pani w Stambule? - zapytał.

- Tak, raz, przez kilka dni, jako mała dziewczynka. Pojechałam tam z ojcem, który załatwiał

jakieś interesy. Wsadził mnie wtedy do samolotu; poleciałam od razu do Szwajcarii, do szkoły.

- Nigdy nie byłem w Szwajcarii. Kiedyś spędziłem urlop w Rzymie. Byłem też w Bonn na kursie policyjnym i na innym w Londynie. W Szwajcarii nigdy. Przez chwilę palił, zatopiony w myślach. Potem zgasił papierosa w płaskiej popielniczce i skinął na właściciela hotelu, który czekał pokornie przy drzwiach, żeby przyjąć zamówienie. Jedzenie było proste, ale dobre. Podano je z ogromną, trwożliwą unізonością, co zaniepokoiło Azadeh jeszcze bardziej.

Najwidoczniej w wiosce nieczęsto bywali tacy prominenci jak major.

- Proszę się nie obawiać, pani Azadeh. Nic pani nie grozi - rzekł, jakby czytał w jej myślach.

- Przeciwnie, cieszę się, że mam okazję porozmawiać z panią. Jest pani osobą niezwykłą... -

Przez cały czas kolacji wypytywał ją o Azerbejdżan i Hakim-chana. Sam mówił niewiele; unikał rozmów o Erikkim i o tym, co zamierza z nim zrobić. - Co będzie, to będzie. Proszę przedstawić mi jeszcze raz pani wersję.

- Ja... ja już wszystko powiedziałam, majorze efendi. To prawda, nie żadna wersja.

Powiedziałam prawdę, mój mąż też.

- Oczywiście - odparł, jedząc łąpczywie. - Proszę opowiedzieć jeszcze raz.

Zrobiła to, pełna najgorszych obaw. Widziała w jego oczach pożądanie, choć zachowywał się bardzo poprawnie.

- To prawda - powtórzyła. Niemal nie tknęła jedzenia; nie miała apetytu. - Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Mój mąż tylko bronił siebie i mnie. Mówię to w obliczu Boga.

- Niestety, Bóg nie może tego poświadczyć. Oczywiście, w pani wypadku przyjmuję, że mówi pani w dobrej wierze. Na szczęście, my tutaj jesteśmy bardziej z tego świata, nie jesteśmy fundamentalistami. Islam i państwo są rozdzielone i nikt nie uzurpuje sobie prawa stawania pomiędzy nami a Bogiem. Fanatykami jesteśmy tylko o tyle, o ile chcemy nadal żyć po swojemu i o ile nie pozwalamy, żeby inni karmili nas swoimi poglądami 748

749

i prawami. - Urwał i zaczął nasłuchiwać. Wcześniej, idąc do hotelu, słyszeli odległe strzały, chyba artyleryjskie. Teraz usłyszeli następne. - Prawdopodobnie Kurdowie bronią swoich domów w górach. - Z niesmakiem! wydał usta. - Słyszeliśmy, że Chomeini wysyła przeciwko nim wojsko i ludzi z Zielonych Opasek.

- A więc kolejny błąd - odparła. - Tak mówi mój brat.

- Zgadzam się z tym. Pochodzę z kurdyjskiej rodziny. - Wstał. - Przez całą noc policjant będzie pilnował pani drzwi, żeby panią chronić - powiedział z tym samym dziwnym 362

uśmiechem, który wytrącał ją z równowagi. - Po to, żeby panią chronić. Proszę nie wychodzić z pokoju, dopóki... dopóki nie przyjdę po panią albo kogoś nie przyślę. Pani posłuszeństwo pomoże pani mężowi. Dobranoc.

A więc poszła do pokoju. W drzwiach nie było żadnego zamka; podstawiła krzesło pod klamkę. W po- I

koju panował chłód, woda w dzbanku lodowata. Umyła się i pomodliła, dodając specjalną modlitwę za Erik-kiego. Potem usiadła na łóżku.

Bardzo ostrożnie wydobyla piętnastocentymetrową szpilkę do kapelusza, ukrytą w torebce.

Przyjrzała się jej. Szpilka była bardzo ostra; główka mała, ale wystarczająca, żeby umożliwić pewny chwyt. Schowała szpilkę z boku, pod poduszkę, tak jak nauczył ją Ross.

w

- W taki sposób sama się nie ukłujesz - mówił jej z uśmiechem. - Wróg jej nie zauważy, ale ty będziesz JE mogła szybko ją wyciągnąć. Taka młoda, piękna dziewczyna - i czyni jak ty powinna być zawsze uzbrojona, po prostu

na wszelki wypadek.

- Och, ale... Johnny, ja nie mogę... ja nigdy...

- Musisz, jeśli zajdzie taka konieczność. Powinnaś być przygotowana. Jeśli masz broń, wiesz, jak się nią posłużyć i jesteś gotowa zabić w obronie własnej, nigdy nie musisz się niczego bać. - Podczas tamtych wspaniałych miesięcy w Górskiej Krainie pokazał jej, jak się tym posługiwać. - Wystarczy pchnięcie we właściwym miejscu, to mordercza broń... - Od tego czasu zawsze nosiła przy

sobie szpilkę, ale jeszcze nigdy jej nie użyła, nawet w wiosce. Wioska. Niech wioska należy do nocy, nie do dnia.

Dotknęła główki swej broni. Może dziś, pomyślała. In sha Allah! Co z Erikkim? In sha'a Allah! Przypomniała sobie słowa Erikkiego: „Możesz mówić In sha'a Allah, ale każdy bóg potrzebuje trochę pomocy tu, na ziemi”.

Tak, przyrzekam ci, Erikki, jestem przygotowana. Jutro jakoś ci pomogę, kochanie; jakoś cię z tego wyciągnę.

Czując się pewniej, zdmuchnęła świecę i położyła się w pościeli. Nie zdjęła swetra ani narciarskich spodni. Przez okna sączyło się światło księżyca. Zagrzała się. Ciepło, zmęczenie i młodość sprawiły, że zapadła w sen.

W nocy nagle się obudziła. Ktoś po cichu naciskał klamkę. Ręka Azadeh powędrowała do szpilki. Azadeh leżała bez ruchu, wpatrując się w drzwi. Klamka dotknęła oparcia krzesła.

Drzwi drgnęły, ale się nie otworzyły. Krzesło skrzypnęło pod naciskiem żelaza. Klamka wróciła po cichu na miejsce. Cisza. Żadnych kroków, oddechu. Klamka nie poruszyła się już.

Azadeh uśmiechnęła się do siebie. To Johnny pokazał jej, jak ustawić krzesło. Ach, kochanie, mam nadzieję, że odnalazłeś szczęście, którego szukałeś, pomyślała. Leżała, nie spuszczać oczu z drzwi.

Teraz już nie spała. Była wypoczęta i wiedziała, że jest znacznie silniejsza niż poprzedniego dnia, gotowa do walki, która wkrótce się rozpocznie. Tak, na Boga, powiedziała sobie, zastanawiając się, co wyrwało ją ze snu. Odgłosy samochodu i ulicznych kupców. Nie, nie to.

Pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- Major Ikail.

- Chwileczkę. - Włożyła buty, obciągnęła sweter, przygładziła włosy. Zręcznie odsunęła krzesło. - Dzień dobry, majorze efendi.

Zdziwiony, zerknął na krzesło.

- Mądrze pani zrobiła, blokując drzwi, ale proszę tego na drugi raz nie robić bez zezwolenia.

- Obrzucił ją

750

363

751

spojrzeniem. - Wygląda pani na wypoczętą. Dobrze. Zamówiłem dla pani kawę i świeży chleb. Czego jeszcze pani pragnie?

- Móc wyjechać. Z mężem.

- Tak? — Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi. Usiadł na krześle plecami do światła słonecznego, które wpadało przez okno. - Przy pani współpracy to się dla załatwić.

Gdy major wchodził do pokoju, cofnęła się, nie budząc podejrzeń. Teraz siedziała na krawędzi łóżka, trzymając rękę obok poduszki.

- Jakiej współpracy, majorze efendi?

- Byłoby mądrze nie dążyć do konfrontacji - powiedział tajemniczo. - Gdyby pani zgodziła się współpracować i wrócić dziś wieczorem dobrowolnie do Tebrizu, mąż spędziłby noc w areszcie, a jutro został wysłany do Stambułu.

Usłyszała własne słowa:

- Dokąd w Stambule? |*

- Najpierw do więzienia, na wszelki wypadek. Potem będzie mógł go odwiedzić jego ambasador i, jeśli taka będzie wola Boga, załatwić zwolnienie.

- Dlaczego on ma iść do więzienia? Nie zrobił...

- Na jego głowę nałożono nagrodę. Za żywego lub martwego. - Major uśmiechnął się nieznacznie. -

On potrzebuje ochrony. W wiosce i w okolicy jest wielu Irańczyków; wszyscy żyją na granicy śmierci głodowej. Czyż pani także nie trzeba chronić? Czyż nie jest pani idealną osobą do porwania? Czyż chan nie zapłaciłby za siostrę niezwłocznie i hojnie?

- Z chęcią wrócę, jeśli to pomoże mojemu mężowi - odpowiedziała od razu. - Ale jeśli wrócę... jaką mam gwarancję, że mój mąż będzie chroniony i wysłany do Stambułu, majorze efendi?

- Żadnej. - Wstał. - Jeśli nie będzie pani współpracować dobrowolnie, zostanie pani dzisiaj odstawiona do granicy, a on... on będzie musiał zaryzykować.

Azadeh nie wstała ani nie odsunęła ręki od poduszki. Nie spojrzała mu w twarz. Zrobiłabym to, ale jeśli

752

odejdę, Erikki będzie bezbronny. Współpracować? Czy to znaczy, że mam z własnej woli pójść z tym człowiekiem do łóżka?

- W jaki sposób mam współpracować? Co pan chce, żebym zrobiła? - zapytała. Była zła, gdyż zadrżał jej głos.

Major powiedział sardonicznie:

- Powinna pani zrobić to, z czym wszystkie kobiety mają trudności: być posłuszną, robić to, co się pani każe, nie próbować być za sprytną. - Odwrócił się. - Zostanie pani tutaj, w hotelu.

Ja wrócę później. Mam nadzieję, że do tego czasu będzie już pani przygotowana... żeby udzielić mi prawidłowej odpowiedzi.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jeśli spróbuje mnie zmusić, zabiję go, pomyślała. Nie mogę dać mu łapówki w postaci siebie; Erikki nigdy by mi tego nie wybaczył. Ja też bym sobie nie wybaczyła. Poza tym to by i tak nie zagwarantowało wolności. A nawet gdyby major dotrzymał słowa, Erikki musiałby się zemścić. Ja też.

Wstała, podeszła do okna. Spojrzała na ludną wioskę, pokryte śniegiem góry, w kierunku granicy.

- Mój powrót jest jedyną szansą Erikkiego - mruknęła. - Ale ja nie mogę, nie bez zgody majora. A nawet wtedy...

NA POSTERUNKU POLICJI, 11:58. W uścisku potężnych dłoni Erikkiego dolny koniec środkowego pręta kraty w oknie ustąpił. Posypał się cement. Erikki prędko osadził pręt w otworze. Spojrzał przez drzwi na korytarz. Strażnik się nie pojawił. Fin szybko pozbierał

364

grudki cementu i zamaskował podstawę pręta. Pracował nad tym prętem prawie przez całą noc, szarpiąc go, jak pies szarpie kość. Teraz miał już broń i dźwignię, dzięki której będzie mógł wygiąć pozostałe pręty.

To zajmie pół godziny, nie więcej, pomyślał i - zadowolony - usiadł na pryczy. Poprzedniego dnia wieczorem policjant przyniósł mu jedzenie, a potem zostawił samego, ufając w siłę klatki. Rano podali mu podłg

753

kawę i kawałek wyschniętego chleba. Patrzyli, nie rozumiejąc, gdy pytał o majora i swoją żonę. Erikki nie wiedział, jak jest po turecku „major”, nie znał też jego nazwiska. Ale gdy wskazał miejsce, w którym policjanci nosili dystynkcje, zrozumieli go. Wzruszyli ramionami, mówiąc coś po turecku, a potem odeszli. Sierżant się nie pojawił.

Każde z nas wie, co robić, pomyślał, Azadeh i ja. Każde z nas jest narażone na niebezpieczeństwo i robi, co będzie mogło. Jeśli ktoś ją choćby dotknął lub skrzywdził, temu komuś nie pomoże żaden Bóg, jeśli tylko ja będę żywy. Przysięgam.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza. Major szedł w jego kierunku.

- Dzień dobry - powiedział, krzywiąc się z powodu ciężkiego powietrza w celi.

- Dzień dobry, majorze. Przepraszam, gdzie jest moja żona i kiedy pozwoli nam pan odejść?

- Pańska żona jest w wiosce, bezpieczna, wypoczęta. Widziałem się z nią. - Major z namysłem spojrzał na Erikkiego. Zobaczył brud na jego rękach. Obrzucił uważnym spojrzeniem zamek, kraty w oknie, podłogę i sufit. - Jej bezpieczeństwo i sposób, w jaki jest traktowana, zależą od pana. Rozumie pan?

- Tak, tak, rozumiem. Ale ja uważam, że jako najstarszy stopniem policjant, pan jest tu za nią odpowiedzialny.

Major roześmiał się.

- Dobrze - rzucił szyderczo. Potem jego uśmiech znikł. - Lepiej unikać konfrontacji. Jeśli będzie pan współpracował, zostanie pan tu jeszcze przez noc, a jutro wyślę pana pod strażą do Stambułu. W Stambule będzie pana mógł odwiedzić wasz ambasador. Oczywiście, jeśli zechce. Będzie pan miał proces o przestępstwa, które się panu zarzuca, albo zostanie zastosowana ekstradycja.

Erikki starał się nie myśleć o własnych problemach.

- Przywiozłem tu swoją żonę wbrew jej woli. Ona niczego nie zrobiła; powinna wrócić do domu. Czy może otrzymać eskortę?

754

Major spojrział na niego.

- To zależy od pańskiej współpracy.

- Poproszę ją, żeby wróciła. Będę nalegał, jeśli o to panu chodzi.

- Ona może być odesłana - powiedział major szyderczym tonem - och, tak. Lecz oczywiście możliwe jest, że w drodze do granicy albo nawet zaraz po wyjściu z hotelu, znów ją ktoś

„porwie”, tym razem bandyci, irańscy bandyci, bardzo źli ludzie. Mogą trzymać ją z miesiąc w górach, żeby uzyskać okup od chana.

Twarz Erikiego przybrała barwę popiołu.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Niedaleko stąd jest linia kolejowa. Wieczorem mogliśmy pana stąd przeszmygłować do Stambułu. Zarzuty wobec pana mogłyby zostać oddalone. Dostałby pan dobrą pracę: latanie, szkolenie naszych pilotów, przez rok czy dwa lata. W zamian za to zgodziłby się pan zostać naszym tajnym agentem, przekazywać nam informacje o Azerbejdżanie, zwłaszcza o tym Sowiecie, o którym pan wspominał, Mzytryku. Także informacje o Hakim-chanie, o jego życiu, o tym, jak można się dostać do pałacu, no i wszelkie inne.

- Co z moją żoną?

365

- Zostanie z własnej woli w Wan, jako gwarancja, że będzie się pan odpowiednio zachowywał... przez miesiąc czy dwa miesiące. Potem będzie mogła do pana dołączyć, gdziekolwiek by pan był.

- Zrobię to, o co pan prosi, pod warunkiem, że ona zostanie dzisiaj odstawiona bezpiecznie do Hakim-cha-na, a ja zyskam dowód, że nic się jej nie stało.

- Albo się pan zgadza, albo nie - rzucił niecierpliwie major. - Nie jestem tu po to, żeby się z panem targować!

- Ona nie ma nic wspólnego z żadnymi moimi przestępstwami. Proszę pozwolić jej odejść.

Proszę.

- Uważa pan nas za głupców? Zgadza się pan?

- Tak! Ale najpierw chcę się z nią zobaczyć. Najpierw!

- A może chciałby pan najpierw zobaczyć, jak zostaje wykorzystana? Najpierw.

755

Erikki rzucił się na niego mimo krat; cała klatka zadrżała od potężnego uderzenia. Ale major stał poza zasięgiem Fina. Śmiał się, gdy ogromna dłoń sięgnęła po niego. Dobrze ocenił

dystans. Był zbyt sprytny, żeby dać się zaskoczyć. Był zbyt doświadczonym pracownikiem śledczym, żeby nie wiedzieć, jak szydzić, kiedy grozić, kiedy kusić, w jaki sposób wykorzystać strach i obawy więźnia, jak naginać prawdę, żeby przebić się przez zasłonę nieuchronnych kłamstw i półprawd i wydobyć prawdziwą prawdę.

Zwierzchnicy zostawili mu w sprawie tych dwojga wolną rękę. Teraz podjął decyzję. Powoli wyjął pistolet i wymierzył w twarz Erikkiego. Odwiódł kurek. Erikki nie cofnął się; ogromnymi rękami ścisnął kraty. Dyszał.

- Dobrze - powiedział spokojnie major, chowając broń. - Ostrzegalem, że pańskie zachowanie będzie mieć wpływ na traktowanie żony.

Odszedł. Gdy Erikki został sam, spróbował wyrwać drzwi klatki z zawiasów. Drzwi jęknęły, ale trzymały się mocno.

ASZ SZARGAZ, LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE, 16:39. Siedząc za kierownicą swojego samochodu, Gavallan patrzył na luk frachtowca 747, wypełnionego do połowy helikopterami 212, skrzyniami części i rotorami. Piloci i mechanicy żwawo załadowywali drugiego jumbo; został już tylko jeden kadłub 212, tuzin skrzyń i stosy walizek.

- Zmieściliśmy się w rozkładzie, Andy - powiedział Rudi, który kierował załadunkiem. Udał, że nie dostrzega bładości przyjaciela. - Pół godziny.

- Dobrze. - Gavallan wręczył mu jakieś papiery. - Tu masz zezwolenia na lot wszystkich mechaników.

- Piloci nie lecą?

- Nie. Wszyscy piloci mają rezerwację na British Airways. Przypilnuj, Rudi, żeby zgłosili się do odprawy do osiemnastej dziesiątej. BA nie może opóźnić lotu. Upewnij się, że lecą wszyscy. Muszą. Zagwarantowałem to.

756

- Nie przejmuj się. Co z Duke'em i Manuela?

- Już wyjechali. Poleciał z nimi doktor Nutt, więc można uznać, że ich wyprawiliśmy. Ja...

To chyba wszystko. - Gavallan z trudem się koncentrował.

- Ty i Scrag lecicie o szóstej trzydziści pięć do Bahrajnu?

- Tak, Jean-Luc wyjdzie po nas. Załatwimy wszystko dla Kasigiego, maszynki dla Iran-Tody i całą resztę. Wyjedźcie wszyscy.

- Do zobaczenia w Aberdeen.

Rudi uściśnął mocno rękę Gavallana i odszedł. Gavallan wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg i zaklął. Podjechał do biura.

- Masz coś, Scrag?

366

- Nie, nie, jeszcze nie, stary. Telefonowałem Kasigi. Poinformowałem go, że wszystko załatwione, podałem numery rejestracyjne i nazwiska pilotów oraz mechaników. Powiedział, że ma rezerwację na nasz lot do Kuwejtów dziś wieczorem. Tam złapie połączenie do Abadanu, a potem do Iran-Tody. - Wygląd Gavallana niepokoił Scraggera, tak jak wszystkich innych. -

Andy, przewidziałeś wszystkie ewentualności.

- Naprawdę? Wątpię, Scrag. Nie wyciągnąłem Erikiego i Azadeh.

W nocy, o bardzo późnej według czasu londyńskiego porze, Gavallan skontaktował się ze wszystkimi ważnymi osobami, jakie wpadły mu do głowy. Fiński ambasador był wstrząśnięty.

- To niemożliwe! Nasz obywatel? Takie sprawy? Niemożliwe! Gdzie pan będzie jutro o tej samej porze?

Gavallan powiedział mu, patrząc, jak wstaje świt. Z Hakim-chanem mógł się skontaktować tylko przez Newbury'ego, a Newbury już się tym zajmował.

- Cholerna sprawa, Scrag, ale tak to wygląda.

- Podniósł słuchawkę telefonu i odłożył ją na miejsce.

- Wymeldowaliście się wszyscy?

- Tak. Spotkamy się z Kasigim przy bramie. Wysłałem bagaże do terminalu i nadałem je.

Możemy tu zostać do ostatniej chwili, a potem prosto do samolotu.

757

Gavallan wpatrywał się w lotnisko. Zwykły ładny dzień.

- Nie wiem, co robić, Scrag, po prostu już nie wiem.

POSTERUNEK POLICJI W TURECKIEJ WIOSCE, 17:18. - ...tak jak pan powiedział, efendi. Czy załatwił pan wszystko? - Major rozmawiał przez telefon, jego głos przepełniony był szacunkiem.

Siedział przy jedynym biurku w małym, odrapanym biurze. Sierżant stał

obok. Kukri i nóż Erikkiego leżały na blacie biurka. - ...Dobrze. Tak... tak, zgoda. Salam. -

Odłożył słuchawkę, zapalił papierosa i wstał. - Będę w hotelu.

- Tak, efendi. - W oczach sierżanta błysnęło zdziwienie, ale nie dopuścił, żeby pojawiło się na jego twarzy. Patrzył, jak major przygląda mundur, czesze się i wkłada fez. Zazdrościł mu jego stopnia i władzy. Zadzwoił telefon. - Tak? Policja... Och, dzień dobry, sierżancie. -

Słuchał z rosnącym zdziwieniem. - Ale... tak... tak, doskonale. - Odłożył słuchawkę. - To... to był sierżant Urbil, telefonował z granicy, majorze efendi. Jedzie do nas ciężarówka lotnictwa irańskiego z ludźmi z Zielonych Opasek i mułłą. Mają zabrać z powrotem do Iranu helikopter, więźnia i ją.

Major wybuchnął gniewem.

- W imieniu Boga, kto przepuścił bez zezwolenia wrogów przez granicę? Przepisy mówią wyraźnie, jak postępować z mułłami i rewolucjonistami!

- Nie wiem, efendi - odpowiedział sierżant, przestraszony tym nagłym wybuchem gniewu. -

Urbil powiedział tylko, że wymachiwali dokumentami i nalegali; wszyscy wiedzą o irańskim helikopterze, więc ich przepuścił.

- Czy są uzbrojeni?

- Nie powiedział, efendi.

- Zbierz swoich ludzi, wszystkich. Niech wezmą broń automatyczną.

- Ale... co z więźniem?

- Zapomnij o nim - rzucił major i klnąc wypadł z biura.

NA OBRZEŻACH WIOSKI, 17:32. Ciężarówka lotnictwa irańskiego była w istocie częściowo ciężarówką, częściowo cysterną. Zjechała z bocznej drogi w śnieg, zmieniła bieg i skierowała się do 212. Wyszli jej na spotkanie policjanci.

Pół tuzina uzbrojonych młodych ludzi z zielonymi opaskami wyskoczyło na ziemię. Za nimi wysiadło trzech nie uzbrojonych, umundurowanych żołnierzy sił powietrznych i mułła. Mułła zarzucił na ramię kałasznikowa.

367

- Salam. Przybyliśmy, żeby zabrać naszą własność w imieniu imama i ludu - oświadczył

mułła pewnym siebie głosem. - Gdzie są porywacz i kobieta?

- Ja... ja nic o tym nie wiem. - Policjant był zdenerwowany. Otrzymał jasne rozkazy: trzymać wartę przy śmigłowcu i nie dopuszczać nikogo aż do odwołania. - Lepiej zapytajcie najpierw na posterunku. - Zobaczył, że jeden z lotników otwiera drzwiczki i zagląda do kokpitu. Dwaj pozostali rozwijali węże służące do przepompowywania paliwa. - Hej, wy tam, nie wolno zbliżać się do helikoptera bez zezwolenia!

Muła stanął mu na drodze.

- Oto nasze upoważnienie!

Pomachał papierami przed twarzą policjanta, którego zdenerwowało to jeszcze bardziej; nie umiał czytać.

- Lepiej idźcie najpierw na posterunek... - zająknął się zdeorientowany.

Zobaczył samochód policyjny, pędzący od strony wioski. Samochód wjechał w śnieg, pokonał jeszcze kilka metrów i stanął. Wysiedli z niego major, sierżant i dwóch policjantów z bronią używaną w czasie rozruchów. Muła, w otoczeniu ludzi z Zielonych Opasek, bez obawy ruszył im na spotkanie.

- Kim pan jest? - zapytał szorstko major.

- Muła Ali Miandiry z komitetu w Choju. Przybyliśmy w imieniu imama i ludu po naszą własność, porywacza i kobietę.

- Kobietę? Mówi pan o Jej Wysokości siostrze Ha-kim-chana?

758

759

- Tak, o niej.

- Imam... jaki imam?

- Imam Chomeini, oby Bóg zesłał mu spokój.

- A, Ajatollah Chomeini - powiedział major, któremu nie podobał się tytuł „imam”. - Co za „lud”?

Muła gwałtownie wyciągnął przed siebie dokumenty.

- Lud Iranu. To on jest naszą władzą.

Major wziął dokumenty, pobieżnie je przejrzał. Były dwa, pospiesznie nabazgrane w farsi.

Sierżant i dwaj jego ludzie zajęli stanowiska wokół ciężarówki; broń trzymali w pogotowiu.

Muła i ludzie z Zielonych Opasek mierzyli ich pogardliwymi spojrzeniami.

- Dlaczego dokument nie ma prawidłowej formy prawnej? - zapytał major. - Gdzie jest pieczęć policyjna i podpis szefa policji z Choju?

- To nie jest potrzebne. Dokument jest podpisany przez komitet.

- Jaki komitet? Nic nie wiem o żadnym Komitecie.

- Komitet Rewolucyjny z Choju; sprawuje władzę na tym terytorium. Także nad policją.

- Tym terytorium? Jesteśmy w Turcji!

- Mam na myśli tereny przygraniczne.

- Z czyjego upoważnienia? Proszę mi pokazać upoważnienie.

Młodzieńcy poruszyli się groźnie.

- Muła już je panu pokazał - krzyknął jeden z nich. - Komitet podpisał dokument.

- To znaczy kto podpisał? Pan?

- Tak - wyjaśnił muła. - To jest zgodne z prawem. Całkowicie. Komitet sprawuje władzę. -

Zwrócił się do personelu lotniczego: - Na co czekacie? Tankujcie helikopter!

Zanim major zdążył cokolwiek powiedzieć, jeden z mechaników powiedział ulegle:

- Przepraszam, ekscelencjo, ale deska rozdzielcza jest rozbita, niektóre przyrządy nie działają. Nie możemy polecieć tym śmigłowcem, dopóki nie zostanie sprawdzony. Lepiej odje...

760

368

- Niewierny przyleciał nim z Tebrizu. Leciał w dzień i w nocy, wylądował bezpiecznie.

Dlaczego wy nie możecie?

- Po prostu byłoby bezpieczniej sprawdzić wszystko przed startem, ekscelencjo.

- Bezpieczniej? Dlaczego? - warknął jeden z młodzieńców, podchodząc bliżej. - Jesteśmy w rękach Boga i wykonujemy bożą pracę. Chcecie opóźnić bożą pracę i zostawić tu helikopter?

- Oczywiście nie, oczy...

- Więc róbcie to, co powiedział mułła! Ale już!

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział niepewnie pilot. - Jak pan sobie życzy.

Ruszyli pospiesznie, żeby wykonać polecenie. Major był wstrząśnięty: pilot, kapitan, dał się tak łatwo za-krzyzczyć jakiemuś młodemu zbirowi, który teraz patrzył na niego wyzywająco.

- Komitet sprawuje władzę nad policją, agha - powtórzył mułła. - Policja służyła szatańskiemu Szachowi i jest podejrzana. Gdzie jest porywacz i... siostra chana?

- Jakim prawem przekracza pan granicę i w ogóle o cokolwiek prosi? - Majora ogarnęła zimna furia.

- W imieniu Boga i imama Chomeiniego: to jest wystarczające upoważnienie.

Mułła wskazał swoje papiery. Jeden z młodzieńców odwiódł kurek broni.

- Nie rób tego - syknął ostrzegawczo major. - Jeśli oddacie choć jeden strzał na naszej ziemi, nasze wojsko przekroczy granicę i spali wszystko stąd do Tebrizu!

- Skoro taka będzie wola Boga...

Mułła wpatrywał się w majora z nienawiścią. Mundur był dla niego symbolem wrogiego reżimu. Wojna, teraz czy później, to nie robi różnicy. Był w rękach Boga, a wykonywanie bożej pracy i wskazań imama zapewni zwycięstwo na wszystkich granicach. Lecz czas wojny jeszcze nie nadszedł; tak dużo zostało do zrobienia w Choju; trzeba pokonać lewaków, zduścić

761

rewoltę, zniszczyć wrogów imama. Wobec takich zadań, w tych górach każdy helikopter był bezcenny.

- Proszę... proszę o wydanie nam naszej własności - powiedział, odzyskując rozsądek.

Wskazał ręką oznaczenia. - To nasza rejestracja, dowód, że maszyna należy do nas. Została skradziona w Iranie. Na pewno pan wie, że pilot nie miał zezwolenia na opuszczenie Iranu. Z

punktu widzenia prawa to nasza własność. Nakaz... - Wskazał papiery, które major trzymał w ręku. - ...Nakaz jest legalny. Pilot porwał kobietę, więc proszę o wydanie także ich obydwójga.

Major stał na straconej pozycji. Nie może wydać Fina i jego żony tym nie uprawnionym osobom, posługującym się jakimś świstkiem papieru. To byłoby poważne niedopełnienie obowiązków i - zupełnie słusznie - kosztowałoby go głowę. Jeśli mułła użyje przemocy, będzie musiał stawić opór i bronić posterunku. A do tego ma zbyt mało ludzi. Przegra.

Wiedział też, że mułła i ludzie z Zielonych Opasek byli gotowi umrzeć; on nie.

Postanowił zaryzykować.

- Porywacz i pani Azadeh zostali dziś rano przewiezieni do Wan. Żeby uzyskać ekstradycję, musicie zwrócić się do dowództwa armii, a nie do mnie. Armia zabrała ich z powodu... ze względu na znaczenie siostry chana.

Muła zeszywniał. Jeden z młodzieńców z Zielonych Opasek powiedział posępnie:

- Skąd możemy wiedzieć, że to nie jest kłamstwo? Major ruszył w jego kierunku. Młodzian odskoczył do tyłu, ludzie z Zielonych Opasek wymierzili broń, przestraszeni lotnicy przypadli do ziemi, a dłoń majora powędrowała do rewolweru.

- Stać! - rozkazał muła. Usłuchano go. Usłuchał nawet major, który był wściekły, że duma i popędliwość wzięły górę nad jego opanowaniem. Muła przez chwilę rozważał różne 369 możliwości. Potem powiedział: - Zwrócimy się do Wan. Tak, zrobimy to. Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj zabierzemy naszą własność i odejdziemy.

762

Stał w lekkim rozkroku, z bojowym karabinem na ramieniu, pewny siebie.

Major z trudem ukrył uczucie ulgi. Helikopter i tak nie miał wartości ani dla niego, ani jego zwierzchników. Sprawiał tylko kłopot.

- Rzeczywiście, to wasza rejestracja - oświadczył krótko. - Co do prawa własności, nie wiem.

Jeśli podpiszecie pokwitowanie, nie wypełniając rubryki: „właściciel”, możecie go sobie zabrać.

- Podpiszę pokwitowanie za nasz helikopter.

Na odwrocie nakazu major napisał coś, co odpowiadało jemu i być może mulle. Muła odwrócił się i spojrzał groźnie na ludzi z personelu lotniczego, którzy zwijali już wąż. Pilot odgarniał z maszyny śnieg.

- Czy jesteś gotów, pilocie?

- W każdej chwili, ekscelencjo.

- Proszę. - Major wręczył mulle papier.

Z ledwie skrywaną drwiną muła podpisał, bez czytania.

- Jesteś gotowy, pilocie? - zapytał powtórnie.

- Tak, ekscelencjo, tak. - Młody kapitan spojrzał na majora, a major dojrzał - lub wydawało mu się,

że dojrzał - błagalne spojrzenie i nie wypowiedzianą prośbę o azyl, którego nie mógł

udzielić. - Czy mam startować?

- Startować - rzucił władczo mułła. - Oczywiście, startować. - Po kilku sekundach silnik zagrał, rotor zaczął nabierać prędkości. - Ali i Abrim, pojedziecie do bazy ciężarówką.

Obaj młodzieńcy posłusznie wsiedli. Mułła gestem nakazał im ruszać, a innym zająć miejsca w helikopterze. Rotory młóciły powietrze. Poczekał, aż wszyscy wejdą do kabiny. Potem zsunął z ramienia karabin, usiadł obok pilota i zatrzaskał drzwiczki.

Silniki nabierały mocy. 212 niepewnie wystartował i zaczął się oddalać. Sierżant ze złością wymierzył z automatu.

- Mogę zestrzelić sukinsynów, majorze - powiedział.

763

- Tak, tak, moglibyśmy. - Major wyjął papierośnicę. - Ale zostawmy to Bogu; może nas wyręczy. - Drżącą ręką zapalił papierosa, zaciągnął się i spojrzał na odjeżdżającą ciężarówkę i śmigłowiec. - Tym psom należy się dobra nauczka. - Podeszedł do samochodu i wszedł. -

Podwieź mnie do hotelu.

W HOTELU. Azadeh wychyliła się przez okno; badała wzrokiem niebo. Usłyszała start 212.

Przepelniła ją dzika nadzieja: może Erikki jakoś uciekł? Och, Boże, oby tak było...

Mieszkańcy wioski także patrzyli w niebo. Teraz i Azadeh zobaczyła helikopter, który pokonał już kawał drogi w kierunku granicy. Zrobiło się jej mdło. Czy okupił jej wolność własną? Och, Erikki...

Potem zobaczyła, że przed hotelem zatrzymuje się policyjny samochód. Major wysiadł, poprawił mundur. Azadeh zmartwiała. Zamknęła okno, usiadła na krześle naprzeciwko drzwi.

Czekała. Odgłos kroków. Otworzyły się drzwi.

- Proszę za mną - powiedział major. Przez chwilę nie rozumiała.

- Co?

- Proszę za mną.

- Po co? - zapytała podejrzliwie. Wyczuwała jakąś pułapkę, nie chciała oddalać się od swojej szpilki. - Co się tu dzieje! Czy mój mąż pilotuje helikopter? On wraca? Czy pan go odesłał? -

Czuła, że szybko opuszcza ją odwaga. Niemal szalała z niepokoju na myśl, że Erikki okupił

jej bezpieczeństwo sobą samym. - Czy on pilotuje?

370

- Nie, pani mąż jest na posterunku policji. Irańczycy przyjechali po helikopter, po niego i panią. - Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, major był w doskonałym nastroju. - Helikopter nosił irańską rejestrację i nie miał zezwolenia na opuszczenie Iranu; dlatego mają do niego prawo. Proszę za mną.

- Przepraszam, ale dokąd?

764

- Pomyślałem sobie, że może chciałaby pani porozmawiać z mężem. - Major patrzył na nią z przyjemnością. Cieszyło go niebezpieczeństwo. Zastanawiał się, gdzie ukryła broń. Te kobiety zawsze mają broń, jakiś jad czy truciznę. Nieświadomego tego faktu gwałciciela czeka śmierć. Łatwo sobie poradzić, jeśli jest się na to przygotowanym, jeśli patrzy się im na ręce i nie zasypia. - No cóż?

- Czy... czy tam są Irańczycy?

- Nie. Jesteśmy w Turcji, a nie w Iranie. Żadni cudzoziemcy na panią nie czekają. Chodźmy już, nie ma pani powodów do obaw.

- Ja... już idę. Natychmiast.

- Tak, proszę - powiedział. - Nie potrzebuje pani torebki, proszę tylko wziąć żakiet. Szybko, bo się rozmyślę.

Dojrzał w jej oczach błysk nienawiści i to go jeszcze bardziej rozbawiło. Ale tym razem usłuchała. Włożyła żakiet i zeszła po schodach, nienawidząc swej bezbronności. Przeszli razem przez placyk, obrzucani ciekawymi spojrzeniami mieszkańców wioski. Weszli do budynku posterunku, potem do tego samego pokoju, co przedtem.

- Proszę tu poczekać.

Zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju biurowego. Sierżant podał mu słuchawkę telefonu.

- Mam na linii kapitana Tanazaka, oficera dyżurnego placówki granicznej. Chce z panem rozmawiać.

- Kapitan? Tu major Ikail. Granica jest zamknięta dla wszystkich mułłów i ludzi z Zielonych Opasek aż do odwołania. Proszę aresztować sierżanta, który przepuścił kilku obcych parę godzin temu i wysłać go do Wan. Po drodze niech mu nie będzie za wygodnie. Irańska ciężarówka teraz wraca. Proszę nie przepuszczać ich przez dwadzieścia godzin i napsuć im krwi. Co do pana, może pan stanąć przed sądem wojennym za naruszenie przepisów dotyczących uzbrojonych ludzi! - Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. - Samochód gotowy, sierżancie?

765

- Tak, efendi.

- Dobrze. - Major wyszedł z pokoju. Ruszył korytarzem do klatki; sierżant szedł za nim.

Erikki nie wstał. Poruszyły się tylko jego oczy. - A teraz, panie pilocie, jeśli będzie pan spokojny i nie będzie się już głupio zachowywał, przyprowadzę tu pańską żonę.

- Jeśli pan albo ktokolwiek inny choćby ją tknie, przysięgam, że pana zabję. Rozerwę pana na kawałki

- wycedził przez zęby Erikki.

- Rzeczywiście, trudno mieć taką żonę. Lepiej mieć brzydką, chyba że trzyma się ją pod kluczem. Chce pan ją widzieć czy nie?

- Co mam zrobić?

- Po prostu zachowywać się spokojnie i nie zrobić niczego głupiego - odpowiedział major poirytowanym głosem. Do sierżanta zwrócił się po turecku: - Idź i przyprowadź ją.

Erikki oczekiwał jakiegoś nieszczęścia albo podstępu. Potem zobaczył ją na końcu korytarza.

Omal nie załkał z poczucia ulgi. Ona też.

- Och, Erikki...

- Posłuchajcie mnie oboje - rzucił sucho major.

371

- Choć sprawiliście nam dużo kłopotów, uznałem, że powiedzieliście prawdę. Zostaniecie wysłani pod strażą, dyskretnie, do Stambułu i przekazani waszemu ambasadorowi, także dyskretnie, w celu wydalenia z kraju. Oczywiście, równie dyskretnie.

Wpatrywali się w niego oszołomieni.

- Będziemy wolni? - zapytała, trzymając się żelaznych prętów.

- Tak, natychmiast. Oczekujemy od was dyskrecji; to część naszej umowy. Musicie zobowiązać się do tego na piśmie. Dyskrecja, to znaczy żadnych przecieków, żadnego radosnego rozgłaszania waszej ucieczki czy też eskapady. Zgoda?

- Och, tak, tak, oczywiście - odparła Azadeh. - Ale nie ma w tym... nie ma w tym żadnego haczyka?

- Nie.

766

- Ale... ale dlaczego? Dlaczego po... Dlaczego pan nas wypuszcza? - Erikki ciągle jeszcze nie dowierzał.

- Sprawdziłem was oboje, a próba wypadła pomyślnie. Żadne z was nie popełniło takich zbrodni, jakie my uważamy za przestępstwa. Przysięga złożona Bogu? To obchodzi Boga, a nie sąd. Poza tym, na szczęście dla was, nakaz jest nielegalny i dlatego nie możemy go zrealizować. Komitet! - mruknął z niesmakiem.

Potem dostrzegł sposób, w jaki oni na siebie patrzyli. Przez chwilę odczuwał szacunek. I zazdrość.

To dziwne, że Hakim-chan pozwolił, aby nakaz wydał komitet, a nie policja; wtedy ekstradycja byłaby legalna. Skinął na sierżanta.

- Wypuść go. Będę czekał na państwa w biurze. Proszę nie zapominać, że muszę jeszcze zwrócić wam biżuterię. I dwa noże.

Odszedł.

Drzwi klatki ustąpiły ze zgrzytem. Sierżant zawahał się, potem odszedł. Ani Erikki, ani Azadeh nie zauważyli jego odejścia. Nie widzieli odrapanej celi. Tylko siebie nawzajem. Ona na zewnątrz, trzymająca się kraty, on w środku, z rękoma na prętach drzwi. Nie drgnęli, tylko się uśmiechali.

- In sza'a Allah - powiedziała.

- Dlaczego nie? - Potem, nadal zdezorientowany faktem, że dostał się w ręce człowieka uczciwego, którego jeszcze przed chwilą chciał rozerwać na kawałki, Erikki przypomniał

sobie to, co major powiedział o trzymaniu kobiety pod kluczem, o tym, jak godna pożądana jest Azadeh. Choć nie chciał burzyć piękna tego cudu, który właśnie się wydarzył, rzekł: -

Azadeh, chciałbym zostawić tu wszystko, co złe. Możemy? Co z Johnem Rossem?

Nie przestała się uśmiechać; wiedziała, że stoją właśnie nad przepaścią. Rzuciła się w nią ufnie, rada z nadarzającej się sposobności.

- Dawno temu, zaraz po tym, gdy się spotkaliśmy, powiedziałam ci, - że znałam go kiedyś, dawno, gdy by-767

łam bardzo młoda. - Mówiła czułym głosem, skrywając niepokój. - W wiosce i bazie uratował mi życie. Gdy go spotkam, jeśli go kiedyś spotkam, uśmiechnę się do niego i będę szczęśliwa.

Błagam, żebyś postąpił tak samo. Przeszłość jest tylko przeszłością, powinna nią pozostać.

Zaakceptuj to i jego, Erikki, zrób to teraz i na zawsze, myślała, albo nasze małżeństwo szybko się skończy, nie z mojej woli, ale dlatego, że stracisz swą męską dumę, że nie będziesz mógł

znieść życia i mnie obok siebie. Potem ja wrócę do Tebrizu i rozpocznę nowe życie, smutne, to prawda, ale tak właśnie zamierzam postąpić. Nie będę ci przypominała o twojej obietnicy złożonej, zanim zostaliśmy mężem i żoną - nie chcę cię upokorzyć - ale to nieładnie, że sam o tym nie pamiętasz. Wybaczam ci to tylko dlatego, że cię kocham. Och, Boże, mężczyźni są 372

tacy dziwni, tak trudno ich zrozumieć. Boże, przypomnij mu natychmiast o jego przyrzeczeniu!

- Erikki - mruknęła. - Niech przeszłość pozostanie przeszłością, dobrze?

Błagała go oczyma tak, jak tylko kobiety potrafią błagać.

On jednak unikał jej spojrzenia, szarpany własną głupotą i zazdrością. Azadeh ma rację, krzyczał na siebie w duchu. To przeszłość. Azadeh powiedziała mi o nim uczciwie, a ja przyrzekłem z własnej i nieprzymuszonej woli, że mogę z tym żyć. Poza tym on ocalił jej życie. Ona ma rację, a jednak jestem pewien, że nadal go kocha.

Udręczony, spojrział jej w oczy. W jego głowie zatrzasnęły się jakieś drzwi; przekręcił klucz i wyrzucił go. Ogarnęła go radość, i oczyściła.

- Masz rację! Zgadzam się! Masz rację! Kocham cię! Zawsze będę kochał ciebie i Finlandię!

- Porwał ją w ramiona i całował, a ona oddała pocałunek. Przytuliła się do niego, szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Bez wysiłku niósł ją korytarzem. - Czy w Stambule są sauny? Jak myślisz, pozwoli nam zatelefonować? Tylko raz...

Ona nie słyszała. Uśmiechała się do swoich myśli.

768

BAHRAJN, SZPITAL MIĘDZYNARODOWY,

18:03. W sypialni Maca cicho zabrzączał telefon. Gen-ny, wyrwana z pogodnych marzeń, wstała po cichu z krzesła. Nie chciała budzić Maca, który drzemał obok niej w cieniu na werandzie. Podniosła słuchawkę.

- Pokój kapitana NcIvera - powiedziała cicho.

- Och, przepraszam, że przeszkadzam. Czy kapitan NcIver mógłby porozmawiać? Jestem asystentem pana Newbury'ego z Asz Szargaz.

- Przepraszam, ale on śpi; jestem jego żoną. Czy mogę przekazać mu wiadomość?

Jej rozmówca zawahał się.

- Może niech pani lepiej poprosi, żeby później do mnie zatelefonował. Nazywam się Bertram Jones.

- Jeśli to ważne, niech mi pan powie. Znów chwila wahania.

- Dobrze, dziękuję. Przyszedł do nas teleks z naszego biura w Teheranie, z wiadomością dla kapitana. Czytam: Proszę poinformować kapitana D. Mcfoera, dyrektora IHC, że, jak doniesiono, jeden z jego pilotów, Tom Lochart, i jego żona zginęli w wypadku podczas demonstracji. - Głos rozległ się nieco głośniejsz: - Bardzo mi przykro, pani NcIver.

- Dobrze, w porządku. Dziękuję. Mój mąż... otrzyma wiadomość. Dziękuję.

Po cichu odłożyła słuchawkę. Przypadkiem zobaczyła swe odbicie w lustrze: miała bladą, zrozpaczoną twarz.

Och, mój Boże, Duncan nie może mnie zobaczyć ani się dowiedzieć. To go...

- Kto to był, Gen? - Dochodzący z werandy głos zdradzał, że NcIver jest zaspany.

- To... to może poczekać, kochany. Śpij.

- Fajnie wyszło z tymi testami, prawda? - Wyniki były doskonałe.

- Cudownie... Zaraz wrócę.

Poszła do łazienki, zamknęła drzwi i obmyła twarz zimną wodą. Nie mogę mu powiedzieć, po prostu nie mogę... Niech Bóg go strzeże; czy powinnam zatele-

fonować do Andy'ego? Spojrzała na zegarek. Nie mogę. Andy jest teraz na lotnisku. Ja...

poczekam do jego przyjazdu, tak właśnie zrobię... Wyjdę na lotnisko razem z Jean-Lukiem i...

do tego czasu nie mogę nic zrobić... Och, Boże, och Boże, biedny Tommy, biedna Szahrazad... biedni kochankowie...

Rozpłakała się. Odkręciła kran, żeby nie było tego słychać. Gdy wróciła na werandę, NcIver smacznie spał. Usiadła; skierowała nie widzące spojrzenie na zachodzące słońce.

373

ASZ SZARGAZ, LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE, ZACHÓD SŁOŃCA. Rudi Lutz, Scragger i wszyscy inni czekali przy barierce, niespokojnie zerkając na zatłoczony hol.

Pasażerowie, ci, którzy przylecieli i odlatujący, kłębili się wokół nich.

- Ostatnie wezwanie. Lot British Airways numer 532 do Rzymu i Londynu. Pasażerów prosimy o wejście na pokład.

Przez ogromne panoramiczne okna widzieli słońce, dotykające już niemal horyzontu.

Wszyscy byli zdenerwowani.

- Jezu, Andy powinien na wszelki wypadek trzymać tu Johnny'ego i 125 - mruknął Rudi.

- Musiał go wysłać do Nigerii - bronił ojca Scot. - Staruszek nie miał innego wyjścia, Rudi. -

Zobaczył, że Rudi nie słucha. Wzruszył ramionami i zwrócił się do Scraggera: - Naprawdę chcesz rzucić latanie, Scrag?

Pobrużdżona zmarszczkami twarz wykrzywiła się.

- Na rok, tylko na rok. Bahrajn mi pasuje, Kasigi też. Poza tym nie rzucam latania całkowicie, Jezu, oczywiście, że nie. Nie mógłbym. Brrr, aż mnie ciarki przechodzą, kiedy o tym myślę.

- Mnie też. Scrag, gdybyś był w moim wieku, czy... Urwał, gdyż zirytowany urzędnik British Airways wyszedł przez bramkę i podszedł do Rudiego.

- Kapitanie Lutz, macie absolutnie ostatnią szansę wejścia na pokład. Mamy już pięć minut opóźnienia.

770

Nie możemy dłużej zatrzymywać samolotu! Proszę wsiadać albo polecimy bez was!

- Dobrze - odparł Rudi. - Scrag, powiedz An-dy'emu, że czekaliśmy najdłużej, jak można.

Jeśli Char-lie nie zdąży, zamknij go w Gottverdamsticker areszcie! Niech szlag trafi Alitalię; czy oni zawsze muszą się spóźniać? Idziemy.

Wręczył kartę pokładową ładnej stewardesie, przeszedł za barierkę. Zatrzymał się i patrzył na wchodzących kolegów: Freddy'ego Ayre'a, Popa Kelly'ego, Wil-lego, Vossiego, Sandora, Noggera Lane'a i wreszcie Scota, który zwlekał, jak mógł.

- Hej, Scrag, powiedz staruszkowi, że się zgadzam!

- Jasne, chłopie.

Scragger pomachał im ręką i ruszył do swojej bramki w drugim końcu terminalu. Kasigi już tam czekał, uśmiechnięty, gdyż zobaczył Pettikina biegnącego przez tłum, trzymającego Paulę za rękę. Gavallan był o dwadzieścia kroków dalej. Pettikin szybko uściskał Paulę i podbiegł do barierki.

- Na rany boskie, Charlie...

- Nie ochrzaniaj mnie, Scrag, musiałem czekać na Andy'ego - powiedział Charlie, z trudem chwytając oddech.

Oddał kartę pokładową, ucałował Paulę, przeszedł przez bramkę i zniknął.

- Cześć, Paula, co jest grane?

Paula też ciężko dyszała, ale widać było, że jest szczęśliwa. Lekko uściskała pilota:

- Charlie poprosił, żebym spędziła z nim urlop, car o, w Afryce Południowej. W okolicach Cape Town mam siostrę i jej rodzinę, więc odpowiedziałam: dlaczego nie?

- Rzeczywiście, dlaczego nie! Czy to znaczy...

- Przepraszam, Scrag! - zawołał Gavallan, który właśnie do nich dotarł. Dyszał ciężko, ale wyglądał, jakby mu ubyło dwadzieścia lat. - Przepraszam, przez pół godziny rozmawiałem przez telefon. Wygląda na to, że straciliśmy ten cholerny kontrakt ExTex w Arabii 771

Saudijskiej i część Morza Północnego, ale do diabła z tym! Mam wspaniałe wiadomości! -

Rozpromienił się i odmłodził o dalsze dziesięć lat. Z tyłu, za nim, słońce dotknęło 374

horyzontu. - Byłem już w drzwiach, gdy zadzwonił Erikki. On i Azadeh są w Turcji, całkowicie bezpieczni i...

- Alleluja! - ryknął Scragger, a z głębi poczekalni za bramkami rozległy się wiwaty; wiadomość przekazał Pettikin.

- ... a potem zatelefonował przyjaciel z Japonii. He mamy czasu?

- Masę, dwadzieścia minut. Dlaczego pytasz? Minąłeś się już ze Scotem. Prosił, żeby ci przekazać, że się zgadza.

Gavallan uśmiechnął się.

- To dobrze. Dziękuję. - Oddychał już normalnie.

- Zaraz wracam, Scrag. Poczekaj na mnie, Paula; to potrwa tylko chwilkę. - Podeszedł do kontuaru JAL.

- Dobry wieczór, jaki jest najbliższy lot z Bahrajnu do Hongkongu?

Urzędniczka postukała w klawisze komputera.

- O dwudziestej trzeciej czterdzieści dwie, sajjid.

- Świetnie. - Gavallan wyjął bilety. - Proszę anulować Londyn i wpisać...

Dłazsze słowa zagłuszyło wezwanie do modlitwy, które popłynęło z głośników. Na lotnisku natychmiast zapadła cisza.

Wysoko w Górach Zagros, osiemset kilometrów na północ od Asz Szargaz, Hosejn Kowissi zsiadł z

konia i pomógł synowi zmusić wielbłąda do ukłęknięcia. Miał na sobie kurtkę z owczej skóry ściągniętą pasem - strój Kaszkajów, czarne szaty, biały turban. Na plecach karabin Kałasznikowa. Obaj, ojciec i syn, byli w uroczystym nastroju; twarz chłopca spuchła od wszystkich wylanych łez. Razem uwiązali zwierzęta, wyjęli modlitewne dywaniki, uklękli przodem do Mekki. Owiewał ich zimny wiatr, zdmuchujący sypki śnieg z czubków zasp. Na 772

wpół ukryte słońce wyrzało zza ciężkich, śniegowych chmur. Wkrótce było już po modłach.

- Dziś będziemy tu obozować, synu.

- Tak, ojciec. - Chłopczyk posłusznie pomagał przy rozładowywaniu zwierząt. Po jego policzkach znów pociekły łzy. Poprzedniego dnia umarła jego matka. - Ojciec, czy mama będzie w raj, kiedy my tam dotrzemy?

- Nie wiem, synu. Tak, chyba tak.

Starał się nie okazywać smutku. Poród był długi i okrutny. Hosejn nie mógł jej w żaden sposób pomóc. Trzymał ją za rękę, modlił się o życie dziecka i żony i o to, żeby akuszerka sobie poradziła. Poradziła sobie, ale dziecko urodziło się martwe, krwotok nie ustał i przeznaczenie się dopełniło.

Wedle woli Boga, powiedział wtedy, ale po raz pierwszy to mu nie pomogło. Pochował ją i martwe dziecko. Pograżony w wielkim smutku, poszedł do swojego kuzyna, także mułły[^]Jemu i jego żonie oddał swych dwóch małych synów na wychowanie. Przekazał mu też swe miejsce w meczecie do czasu, gdy zgromadzenie wybierze następcę. Potem wyjechał

z Kowissu, zabierając ze sobą najstarszego syna.

- Jutro zjedziemy w doliny, synu. Będzie cieplej.

- Jestem bardzo głodny, ojciec - powiedział chłopczyk.

- Ja też, synu - odparł łagodnie. - Czy kiedyś było inaczej?

- Czy już niedługo doznamy męczeństwa?

- Bóg oznaczy czas.

Chłopczyk miał sześć lat; wielu spraw nie rozumiał, ale tę tak. Gdy Bóg zechce, trafimy do raj, gdzie jest ciepło i zielono, gdzie jest więcej jedzenia, niż można zjeść, i chłodna, czysta woda do picia. Ale co z...

- Czy w raj są rowy? - zapytał cienkim głosem, przytulając się do ojca, żeby choć trochę się ogrzać.

Hosejn objął go ramieniem.

- Nie, synu, nie sędę. Nie ma tam rowów, nie są potrzebne. - Czyścił karabin naoliwioną szmatką. - Nie są potrzebne.

773

- To bardzo dziwne, ojczu, "bardzo dziwne. Dlaczego wyjechaliśmy z domu? Dokąd jedziemy?

- Najpierw na północny zachód. To długa droga, synu. Imam ocalił Iran, ale muzułmanie są osaczeni wrogami czyhającymi na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Trzeba im pomagać, doradzać i głosić Słowo.

- Czy to imam, oby jego imię było błogosławione, ciebie wysłał?

- Nie, synu, on niczego nie nakazuje, tylko zaleca. Jadę wykonywać bożą pracę sam, z własnego wyboru. Człowiek jest wolny: może sam wybrać to, co musi robić. - Zobaczył, że chłopczyk zmarszczył brwi. Przyciągnął go mocniej do siebie; kochał go. - Teraz jesteśmy żołnierzami Boga.

- Och, to dobrze. Ja będę dobrym żołnierzem. Odpowiedz mi jeszcze raz, dlaczego pozwoliłeś wyjechać tym satanistom, tym z naszej bazy, i dlaczego pozwoliłeś im zabrać nasze helikoptery.

- Z powodu ich przywódcy, kapitana - tłumaczył cierpliwie Hosejn. - Myślę, że on był

narzędziem Boga. To on otworzył mi oczy na przesłanie Boga, że powinienem żyć, a nie szukać męczeńskiej śmierci, że powinienem pozostawić Bogu oznaczenie jej czasu. Także dlatego, że włożył w moje ręce niepokonaną broń przeciwko wrogom islamu, chrześcijanom i żydom: wiedzę o tym, że dla nich życie człowieka jest święte.

Chłopczyk stłumił ziewnięcie.

- Co to znaczy?

- Oni uważają, że życie człowieka jest bezcenne. Każdego człowieka. My wiemy, że wszelkie życie pochodzi od Boga, należy do Boga i wraca do Boga. Życie ma wartość tylko wtedy, gdy umożliwia wykonywanie bożej pracy. Rozumiesz, synu?

- Chyba tak - odparł chłopczyk, teraz już bardzo zmęczony. - Jeśli tylko wykonujemy bożą pracę, pójdziemy do raju, a raj jest wieczny. Tak, ojczu?

- Tak, synu, jeśli wykorzystamy to, czego nauczył mnie pilot, jeden wierny będzie mógł

przydusić stopą szyje dziesięciu milionom. Opanujemy ten świat, ty i ja...

774

Hosejn cieszył się z tego, że ma przed sobą jasny cel. To dziwne, pomyślał, że to właśnie ten człowiek, Starke, wskazał mi drogę. - Nie jesteśmy ani ludźmi wschodu, ani zachodu. Tylko ludźmi islamu. Rozumiesz, synu?

Odpowiedź nie padła. Chłopczyk zasypiał. Hosejn obejmował go, patrząc na zachodzące słońce. Wreszcie krawędź słońca też zniknęła za horyzontem.

- Bóg jest wielki - powiedział Hosejn do gór, nieba i nocy. - Nie ma innego Boga niż Bóg...